CZŁOWIEK-ZWIERZĘ.

Tygodnik „Romans i Powieść”.

CZŁOWIEK-ZWIERZĘ.

ROMANS

przez

Emila Zolę.

Przekład.

WARSZAWA.
Drukiem A. PAJEWSKIEGO, ulica Niecała Nr. 12.
—
1890.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.
Варшава, 23-го Ноября 1890 года

CZŁOWIEK-ZWIERZĘ.

ROMANS

przez

EMILA ZOLĘ.

I.

Roubaud, wchodząc do pokoju, postawił na stole butelkę białego wina, bochenek funtowy i pasztet. Matka Wiktorya, przed wyjściem, tak hojnie napaliła w piecu, że gorąco w pokoju dusiło. Pomocnik zawiadowcy stacyi otworzył okno i na niem się oparł.

Było to na uliczce Amsterdamskiej, w ostatnim domu, na prawo; w wysokiej kamienicy tej zarząd towarzystwa kolei zachodniej dawał mieszkanie niektórym urzędnikom. Okno na piątem piętrze, na samym rogu domu, pozwalało widzieć szeroki widnokrąg, jakby powiększony jeszcze tego popołudnia szarem niebem lutowem, wilgotnem, ale ogrzanem przez słońce.

Naprzeciw w promieniach słonecznych kąpały się zlekka domy przy ulicy Rzymskiej. Na lewo przed sklepami markizy rozpościerały olbrzymie skrzydła po nad zakopconemi szybami. Most Europejski ciągnął się na prawo,

a z pod niego wybiegały trzy pary szyn tuż prawie przed domem, rozgałęziały się i układały w wachlarz, którego zgięcia naturalne posuwały się jeszcze dalej i niezliczone ginęły, zasłonięte markizami dla patrzącego z okna.

Trzy domki zwrotniczych, przed arkadami mostu pokazywały nędzne przy sobie ogródki. Wśród mnóstwa wagonów i lokomotyw, rozstawionych na szynach, wielki sygnał czerwony odbijał w bladym blasku dziennym.

Przez chwilę Roubaud patrzył z zajęciem, porównywając i myśląc o swej stacyi Hawrskiej. Ilekroć przybywał dzień spędzić w Paryżu i odwiedzał matkę Wiktoryę, zawsze fach w nim się odzywał. Nadejście pociągu z Mantes ożywiło teraz widok; ścigał oczyma lokomotywę manewrującą, małą machinę tenderową o trzech nizkich kołach, która wekslowała wagony po szynach, to ciągnąc je naprzód, to znów cofając. Inna lokomotywa, potężna, do pociągów pośpiesznych, z parą wielkich kół okazałych, stała samotnie, wypuszczając kominem gęsty dym czarny, który ulatywał prosto, bardzo powoli, w spokojne powietrze.

Cały jednak umysł jego zajął pociąg, odchodzący o godzinie trzeciej minut dwadzieścia pięć do Caen, napełniony już przez pasażerów i czekający na lokomotywę. Tej nie widział, bo zatrzymano ją jeszcze za mostem Europejskim; słyszał tylko gotującą się do podróży: odzywała się dość cichem gwizdaniem, jakby się niecierpliwiąc. Dany został sygnał, odpowiedziała gwizdnięciem, teraz głośniejszem, niż wprzódy. Potem, przed ruszeniem z miejsca, na chwilę umilkła, klapę otwarto, kłąb pary buchnął przy ziemi, z ogłuszającym świstem. I zo-

baczył, jak pod mostem siała biało-sinawy dym, pochłaniając jakby nim obelkowania żelazne, gdy jednocześnie po nad drugą lokomotywą wzmagał się obłok coraz ciemniejszy. Zdala dolatywały wołania rozkazujące i skrzyp ruchomych platform towarowych.

Zasłona z dymu rozdarła się i Roubaud rozróżnił w głębi pociąg, nadchodzący z Wersalu i pociąg, odchodzący do Auteuil: mijały się z sobą.

Roubaud chciał już odejść od okna, gdy usłyszał głos, wymawiający jego imię Wychylił się, ażeby zobaczyć. Poniżej, na balkoniku czwartego piętra, poznał młodzieńca lat trzydziestu, Henryka Dauvergne, nadkonduktora, który mieszkał tu ze swym ojcem, także urzędnikiem kolejowym, i dwiema siostrami, Heleną i Zofią, blondynkami po lat ośmnaście i dwadzieścia, prowadząc gospodarstwo z sześciu tysięcy franków obu mężczyzn, wśród ciągłej wesołości. Słychać było jak starsza się śmiała, gdy śpiewała młodsza, a ptaszki w klatce współzawodniczyły z jej trylami.

— A! panie Roubaud, jesteś pan w Paryżu! Zapewne dla tej sprawy z podprefektem!

Pomocnik zawiadowcy znowu oparłszy się o okno, objaśnił, że musiał wyjechać z Hawru zrana, pociągiem pośpiesznym o godzinie szóstej minut czterdzieści Wezwany został do Paryża przez naczelnika eksploatacyi drogi, a rozkaz nakazywał pośpiech.

— A pani? — zapytał Henryk.

— Pani chciała także przyjechać, dla zrobienia sprawunków. Czekał na nią w tym pokoju, od którego matka Wiktorya dawała im klucz, przy każdym ich

przyjeździe i gdzie lubią jeść śniadanie spokojni i sami. Dziś zaledwie coś przekąsili w Mantes, bo chcieli najprzód załatwić się z interesami, umierał z głodu.

Henryk przez grzeczność jeszcze zapytał:

— I przenocujecie państwo w Paryżu?

— Nie! nie! Wracają oboje do Hawru wieczorem, pociągiem pośpiesznym o wpół do siódmej. O! nie ma urlopu! Wyciągają człowieka tylko po to, ażeby mu dać różne zlecenia, a potem do budy!

Przez chwilę obaj urzędnicy patrzyli na siebie, kiwając głową. Ale już nic nie słyszeli, fortepian szatański zahuczał bardzo głośno. Siostry musiały razem walić w klawisze, śmiejąc się jeszcze głośniej i podniecając do śpiewu kanarki. Młodzieniec sam się rozweselił, ukłonił się i wszedł do mieszkania, a pomocnik zawiadowcy pozostał przez chwilę, wlepiwszy oczy w balkon, zkąd dolatywała ta wesołość młodości. Potem, podniósłszy oczy, zobaczył lokomotywę, którą zwrotniczy skierował na linię do Caen. Ostatnie płatki białej pary ginęły wśród gęstych kłębów dymu czarnego, plamiącego niebo. I on także odszedł do pokoju.

Przed kukułką na zegarze, wskazującym dwadzieścia minut na czwartą, Roubaud uczynił gest rozpaczliwy. Dlaczego, u dyabła, Seweryna tak się spóźniała? Ona, jak tylko wejdzie do jakiego magazynu, to już wyjść z niego nie może. Dla oszukania głodu, który mu nurtował w żołądku, postanowił nakryć do stołu.

Dobrze znany mu był ten pokój obszerny o dwóch oknach, który służył zarazem za sypialnię, jadalnię i kuchnię, z meblami orzechowemi, łóżkiem, przykrytem weł-

nianą kołdrą czerwoną, z kredensem wysokim, stołem okrągłym i szafą normandzką.

Z kredensu wziął serwetę, talerze, widelce i noże, oraz dwa kieliszki.

Wszystko to odznaczało się czystością bez zarzutu, a jemu przyjemność sprawiało to gospodarowanie, bawiło go, radowała go czystość nakrycia i, zakochany w swej żonie, sam się już uśmiechał, na myśl, jakim szczerym wybuchnie ona śmiechem, gdy, otworzywszy drzwi, wszystko to zobaczy.

Kiedy jednak położył już pasztet na talerzu, a obok umieścił butelkę białego wina, czegoś się zaniepokoił i szukał oczyma. Potem żywo wyciągnął z kieszeni dwie zapomniane paczki, pudełeczko sardynek i bryndzy.

Wybiło wpół do czwartej. Roubaud chodził po pokoju wzdłuż i wszerz, przy najmniejszym odgłosie, ucho nadstawiając ku schodom. W tem próżniaczem oczekiwaniu, przechodząc obok lustra, zatrzymał się i przejrzał się w niem. Jeszcze się wcale nie starzał, czterdziestka się zbliżała, a płomienne rude włosy jego kędzierzawe wcale nie zblakły. Broda, którą nosił długo, zachowała również kolor słoneczny. Wzrostu średniego, ale z postawą niezwykle silną, podobał się sam sobie, zadowolony, z głowy nieco płaskiej, czoła niskiego, szyi grubej, twarzy okrągłej i krwistej, oświetlonej parą oczu dużych i żywych. Brwi łączyły mu się, podznaczając czoło krzaczastem półkolem. Ponieważ pojął za żonę kobietę o piętnaście lat od niego młodszą, te częste spojrzenia w lustro uspakajały go.

Dały się słyszeć czyjeś kroki. Roubaud pobiegł uchylić drzwi. To jednak wracała do siebie obok sprzedająca dzienniki, na stacyi. Zawrócił więc i zajął się przyglądaniem pudełku z muszli, stojącemu na kredensie. Dobrze to pudełko znał, był to podarunek Seweryny, dla matki Wiktoryi, jej mamki. I bagatelka ta przypomniała mu całe jego małżeństwo. To już lat temu trzy niedługo.

Urodzony na południu, w Plassans, syn kołodzieja, wyszedłszy z wojska, w randze sierżanta-majora, był oficyalistą najprzód na stacyi Mantes, potem awansował nieco wyżej i przeniesiony został do Borentin i tu poznał drogą swoją żonę, gdy przyjechała z Deauville na pociąg w towarzystwie panny Berty, córki prezesa Grandmorina. Seweryna Aubry była tylko córką ogrodnika, zmarłego w obowiązku u Grandmorina, lecz prezes, ojciec jej chrzestny i opiekun, tak ją psuł, czyniąc z niej towarzyszkę dla swej córki, posyłając ją na tę samą pensyę do Rouen, a ona miała nadto tak wrodzoną dystynkcyę, że Roubaud przez długi czas rad był przyglądać się jej tylko zdaleka, z namiętnością nieokrzesanego robotnika dla delikatnego klejnotu, który wydawał mu się niezmiernie cennym. To był jedyny romans jego życia. Zaślubiłby ją był bez grosza, tylko dla szczęścia posiadania jej, a gdy się zręcznie ośmielił, ziszczenie nadziei przeszło marzenia wszelkie.

Oprócz Seweryny i dziesięciu tysięcy posagu, prezes, dziś już emeryt, członek rady zarządzającej kolei zachodnich, poparł go swą protekcyą. Nazajutrz po ślubie otrzymał nominacyę na pomocnika zawiadowcy stacyi w Hawrze.

Zapewne miał za sobą zalety dobrego urzędnika, pilnego, punktualnego, uczciwego, umysłu niezbyt bystrego, lecz wielce prawego, i wszystkie te przymioty mogły usprawiedliwiać szybkie jego awansowanie. Wolał jednak myśleć, iż wszystko zawdzięcza swej żonie. Ubóstwiał ją.

Otworzywszy pudełko sardynek, Roubaud do reszty stracił cierpliwość. Mieli się zejść o godzinie trzeciej. Gdzież mogła być tak długo? Przecież, komu to gadać kupowanie bucików i pół tuzina koszul, nie zabiera całego, dnia. A gdy znów przechodził przed lustrem, zobaczył się w niem z najeżonemi brwiami i ostrą zmarszczką na czole. W Hawrze nigdy jej nie podejrzewał. W Paryżu roiły mu się w głowie wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa, wybiegi, fortele, występki. Fala krwi napływała mu do czaszki, pięści dawnego robotnika zaciskały się, jak za owych czasów, gdy pchał wagony. Brutalna siła brała nad nim górę, byłby ją zmiażdżył, w przystępie ślepej wściekłości. Seweryna otworzyła drzwi i ukazała się świeża, wesoła.

— To ja?.. Co? myślałeś, żem zginęła?

W blasku lat dwudziestu pięciu wydawała się dużą, szczupłą i bardzo zgrabną, jakkolwiek tłusta z drobnemi kośćmi. Przedewszystkiem nie była ładną, z twarzą długą, wydatnemi ustami, zasłaniającemi wspaniałe zęby. Ale, gdy się patrzyło na nią, podbijała wdziękiem, oryginalnością szerokich oczu niebieskich, pod gęstemi włosy.

A gdy mąż, nic nie odpowiadając, przypatrywał się jej ciągle badawczo, wzrokiem niepewnym, błędnym, który tak dobrze znała, rzekła:

— O! nabiegałam się... Wyobraź sobie... nie mogłam dostać omnibusu, a nie chciałam wydawać na dorożkę... poszłam więc pieszo.. Patrz, jak się zgrzałam...

— Przecie nie zechcesz we mnie wmówić, że wracasz z Taniego Magazynu — odezwał się gwałtownie.

Ale ona natychmiast, z przypochlebianiem się dziecka, rzuciła mu się na szyję, zatykając usta ładną drobną rączką tłuściutką z dołeczkami:

— Cicho bądź, ty brzydki!.. wiesz, że cię kocham.

Taką szczerością tchnęła jej postać, czuł, że pozostała tak czystą, tak uczciwą, że z szałem porwał ją w swe objęcia. Tak zawsze kończyły się jego podejrzenia. Oddawała mu się, lubiąc się wzdragać. Okrywał ją pocałunkami, a ona nie wywzajemniała się swemi, i to go niepokoiło właśnie, że w tem wielkiem dziecku uległem było przywiązanie dziecięce, a nie obudziła się w niej jeszcze kochanka.

— Więc chyba zrabowałaś cały Tani Bazar?

— O! tak. Zaraz ci opowiem.. Ale wprzód zjedzmy. O! tak mi się jeść chce... Ale! posłuchaj, mam dla ciebie mały prezencik. Powiedz: A gdzie dla mnie prezencik?

Śmiała mu się w twarz, bardzo blizko. Prawą ręką sięgnęła do kieszeni i trzymała w niej jakiś przedmiot, ale go nie pokazywała.

— No, mówże prędzej: gdzie dla mnie prezencik?

On także roześmiał się wesoło. Wreszcie się zgodził:

— Gdzie jest mój prezencik?

Kupiła mu nóż, ażeby zastąpić zgubiony przezeń dwa tygodnie temu, którego jeszcze żałował.

On się zachwycał tym nożem nowym o rączce z kości słoniowej i lśniącem ostrzu; nazywał go wspaniałym. Zaraz chciał go spróbować. Ona cieszyła się z tego bardzo i, żartując, kazała sobie dać trzy grosze, ażeby przyjaźń ich nie została przecięta.

— A teraz jedzmy, jedzmy — powtórzyła. — Nie, nie, proszę cię, nie zamykaj okna, tak mi jeszcze gorąco.

Poszła za nim do okna i stała te kilka chwil, oparta na jego ramieniu, patrząc na szeroki obszar stacyi. Teraz dymy już znikły, droga na torze, połyskującym od słońca, pogrążała się powoli w powstającą mgłę. Dalej lokomotywa manewrująca przyprowadzała gotowy już pociąg do Mantes, który miał odejść o dwadzieścia pięć minut na piątą. Słychać było stuk buforów, oznajmiający, że dodawano jeszcze nowe wagony. A na środku linii nieruchomo z maszynistą i palaczem, czarnymi od kurzu w drodze, stała ciężka lokomotywa od pociągu osobowo-towarowego, jakby zmęczona i zadyszana, snując ledwie cienkie pasemko pary. Czekała, aż tor będzie dla niej wolny, ażeby mogła powrócić do remizy w Batignolles. Ozwał się sygnał, umilkł. Pojechała.

— Jakie te Dauvernianki są wesołe — rzekł Roubaud, odchodząc od okna. — Słyszysz, jak bębnią na fortepianie? Przed chwilą widziałem się z Henrykiem; kazał ci się kłaniać.

— Do stołu! do stołu! — zawołała Seweryna.

Rzuciła się na sardynki i połykała je. O! i chlebek z Mantes prędko zniknął! Upajał ją każdy przyjazd do Paryża. Jak ją to cieszyło, że nachodziła się po ulicach; rozgorączkowaną jeszcze była kupowaniem sprawunków

w Tanim Bazarze. Odrazu, co wiosnę, wydawała tu całe swe oszczędności z zimy, woląc wszystkiego tu nakupić, powiadała bowiem, że oszczędza w ten sposób na kosztach podróży. To też nie przestając jeść, mówiła ciągle o tem, co kupiła. Wreszcie zmieszana, zarumieniona, przyznała się, ile razem wydała: przeszło trzysta franków!

— U! — wyrzekł Roubaud, dotknięty tem — to wcale piękna porcya, jak na żonę pomocnika zawiadowcy!.. Miałaś przecie kupić tylko pół tuzina koszul i parę bucików.

— O! mój drogi, takiej okazyi mieć już nie będę. . Sztuczka jedwabiu z prześlicznym szlaczkiem! kapelusz gustowny, prawdziwe marzenie! halki gotowe haftowane!.. I wszystko to za bezcen, dwa razy tyle zapłaciłabym w Hawrze. Odeślą mi do domu, zobaczysz!

Wolał się rozśmiać, tak ładną była, widocznie ucieszona, z miną zarazem błagalną. A przytem tak miłe było to śniadanko zaimprowizowane w pokoju, gdzie byli sami i swobodniejsi niż w restauracyi. Ona zwykle pijała wodę, dziś jednak pozwalała sobie nalewać wina i wychylała kieliszek po kieliszku, nawet o tem nie wiedząc. Pudełko sardynek było już próżne; rozkrajali pasztet nowym nożem. Przepysznie krajał, co dla Seweryny było prawdziwym tryumfem.

— A tobie jakże poszły interesa? — spytała.— Pozwalasz mi paplać, a nie mówisz mi wcale, jak się skończyło z podprefektem.

Wtedy opowiedział jej szczegółowo, jak go przyjął naczelnik eksploatacyi. O! zmył mu porządnie głowę. Bronił się, powiedział całą prawdę, jak ten zdechlaczek

podprefekt chciał koniecznie wsiąść z psem do przedziału klasy pierwszej, gdy zachowany był przedział klasy drugiej dla myśliwych i psów.

Ztąd kłótnia i różne obrazy. Naczelnik wprawdzie przyznał mi słuszność, żem chciał przestrzegać przepisów, lecz najstraszniejsze było odezwanie się, którego się nie zapierał: „Nie sądź pan, ażebyście zawsze byli panami“. Podejrzewano go o republikanizm. Rozprawy, jakie zaznaczyły otwarcie posiedzeń izby w roku 1869 i obawa przyszłych wyborów powszechnych, niepokoiły rząd. To też niezawodnie danoby mu dymisyę, gdyby nie silna protekcya prezesa Grandmorina. A jeszcze i pomimo niej, musiał podpisać list przepraszający, przez tegoż doradzony i zredagowany.

Seweryna przerwała mu, wołając:

— A co? czy nie dobrze się stało, żem poszła do niego i złożyłam mu wizytę z tobą dziś rano, zanim powędrowałeś po to mydło. Wiedziałam dobrze, że on nas wydobędzie z kłopotu.

— Tak, on cię bardzo kocha — podchwycił Roubaud — a w zarządzie kolei bardzo dużo może. Ale, widzisz, na co się to przyda być dobrym urzędnikiem! O! nie szczędzono mi pochwał, nie za pomysłowość, lecz za sprawowanie, za posłuszeństwo, za odwagę i t. p. A z tem wszystkiem, moja droga, gdybyś ty nie była moją żoną i gdyby Grandmorin nie był bronił mej sprawy, z życzliwości dla ciebie, miałbym się zpyszna, przeniesionoby mnie za karę na jaką odludną stacyjkę.

Uporczywie patrzyła w przestrzeń i wyszeptała, jakby mówiąc do siebie:

— O! ten człowiek bardzo dużo może...

Nastała cisza; siedziała z rozszerzonemi oczyma, zapatrzonemi w dal, przestawszy jeść. Zapewne stanęły jej przed oczyma wspomnienia dzieciństwa, tam, w zamku Deauville, o cztery mile od Rouen. Matki nie znała nigdy. Kiedy ojciec jej, ogrodnik Aubry, umarł, zaledwie rozpoczynała trzynaście lat i wówczas prezes, już wdowiec, wziął ją dla towarzystwa swej córki, a obie zostawały pod opieką jego siostry, pani Bonnehon, wdowy po fabrykancie, do której dziś należał zamek. Berta, starsza od niej o dwa lata, wyszła za mąż w pół roku później i zaślubiła pana de Lachesnaye radcę trybunału w Rouen, małego człowieczka, suchego i pożółkłego. Jeszcze przed rokiem prezes znajdował się na czele tego trybunału miejscowego, następnie zaś podał się do dymisyi, po wspaniałej karyerze. Urodzony w r. 1804, został podprokuratorem w Dignes zaraz po r. 1830, potem w Fontainebleau, potem w Paryżu, wreszcie prokuratorem w Rouen. Bogaty na kilka milionów, należał do rady generalnej od r. 1855, a w dniu wyjścia do emerytury, zaszczycony został krzyżem legii honorowej. I jak tylko najdawniej przypominała go sobie, widziała go zawsze takiego, jak teraz jeszcze, rzeźkiego, żwawego, z włosami stojącemi do góry, starannie wygolonego, z twarzą kwadratową, którą, nos gruby i oczy niebieskie, ostro patrzące, czyniły surową. Przy nim wszystko drżało.

Roubaud dwa razy musiał podnieść głos, powtarzając dwukrotnie:

— No, o czem tak myślisz?

Drgnęła, wstrząsnęła się, jakby przestraszona.

— A o niczem.

— Nie jesz, więc już nie głodnaś?

— O! nie, zaraz zobaczysz.

Seweryna, wychyliwszy kieliszek, dokończyła kawałka pasztetu, który miała na talerzu. Nowa przerwa nastąpiła, zjedli do szczętu chlebek funtowy i ani odrobiny nie zostało do sera. Jakież więc były krzyki, jakie śmiechy, gdy, popychając się nawzajem, wyszukali w kredensie matki Wiktoryi kawałek chleba razowego.

Chociaż okno było otwarte, gorąco nie zmniejszyło się wcale i dokuczało młodej kobiecie, zarumienionej i ożywionej wielce przy tem gadatliwem śniadaniu naprędce.

Roubaud, z powodu matki Wiktoryi, znowu powrócił do Grandmorina: i ta kobiecina także wiele mu zawdzięcza dobrego.

Dziewczyna uwiedziona, której dziecko umarło, mamka Seweryny, której przyjście na świat matka przypłaciła życiem, później żona palacza na kolei, żyła bardzo nędznie w Paryżu, zarabiając trochę szyciem, a mąż jej wszystko przejadał, gdy wtem spotkanie z córką mleczną nawiązało dawne węzły i zjednało dla niej także protekcyę prezesa. I dziś otrzymała ona miejsce doglądającej pokojów damskich na stacyi, czyli najlepsze miejsce, o jakiem mogła zamarzyć. Kolej płaciła jej tylko sto franków rocznie, ale z dochodami od podróżnych miała po czterysta franków, nie licząc tego pokoju z opałem. Więc los jej był bardzo dobry. Roubaud obrachował, że gdyby dodać do tego dwa tysiące ośmset franków, jakie miał jej mąż Pocquert, jako palacz, małżeństwo można było liczyć na

cztery tysiące franków, to jest dwa razy więcej, niż on zarabiał, jako pomocnik zawiadowcy stacyi w Hawrze.

— Zapewne — dodał — ale nie wszystkie kobiety chciałyby doglądać gabinetów. Wprawdzie żadna praca nie ubliża.

Tymczasem pierwszy głód już przeminął i jedli wolno, od niechcenia, krając ser na drobne kawałki, ażeby przedłużyć ucztę. Słowa ich także stawały się powolniejszemi.

— Ale — zawołał — zapomniałem cię zapytać... Dlaczego nie chciałaś pobyć dwa czy trzy dni w Doinville, o co cię prosił prezes?

Przy błogiem trawieniu, w myśli jego przypomniała się ich wizyta ranna, obok stacyi, w pałacu, przy ulicy Rocher, gdzie widział się jeszcze w dużym gabinecie różowym i słyszał jeszcze, jak prezes mówił do nich, że jedzie nazajutrz do Doinville. Potem, jak gdyby mu nagle przyszła myśl do głowy, ofiarował się nawet pojechać wraz z nimi pociągiem pośpiesznym o wpół do siódmej i zabrać potem chrześniaczkę do swej siostry, ktora oddawna pragnęła ją mieć u siebie. Ale młoda kobieta wynajdywała wszelkie powody, które przeszkadzały jej, jak mówiła.

— A ja, wiesz — mówił dalej Roubaud — nie widziałem nic złego w tej podróży. Mogłabyś była zostać tam do czwartku, jabym się już odpowiednio urządził... Przecie w naszem położeniu, potrzebujemy ich. Niebardzo to dobrze nie przyjmować ich grzeczności, tembardziej, że twoja odmowa sprawiła mu widoczną przykrość... To też nie przestałem cię trącać, ażebyś się zgodziła, do-

póki mnie nie szarpnęłaś za paltot. Wtedy mówiłem już tak samo jak ty, choć nic nie rozumiałem. No? dlaczego nie chciałaś?

Seweryna poruszyła się niecierpliwie.

— Czyż mogę cię zostawiać samego?

— To jeszcze nie racya... Odkądeśmy się pobrali, przez te trzy lata, przecież byłaś dwa razy w Doinville, po tygodniu. Nic ci więc nie przeszkadzało być i trzeci raz.

Zakłopotanie młodej kobiety wzrastało, odwróciła głowę.

— Dość, że mi się nie podobało. Chyba mnie nie zechcesz do tego zmuszać, czego sobie nie życzę.

Roubaud otworzył ręce, jakby dla upewnienia, że jej nie zmusza do niczego. Jednakże podchwycił:

— Ale ty przedemną coś ukrywasz... Czyżby ostatnim razem pani Bonnehon źle cię przyjęła?

O! nie! pani Bonnehon zawsze ją dobrze przyjmowała.

Tak była miła, wysoka, śliczna, ze wspaniałemi włosami, jeszcze jasnemi, pomimo pięćdziesięciu pięciu lat!

Za czasów wdowieństwa, a nawet za życia męża, miała często, jak opowiadano, serduszko zajęte. Ubóstwiano ją w Doinville, przemieniała zamek w przyjemną, rozkoszną siedzibę; całe towarzystwo przyjeżdżało z Rouen w odwiedziny, zwłaszcza urzędnicy. W tej sferze pani Bonnehon miała wielu przyjaciół.

— To przyznaj się, że cię Lachesnayowie zrazili.

Zapewne od czasu wyjścia za pana Lachesnaya, Berta przestała być dla niej tem, czem była niegdyś. Daw-

niej z noskiem czerwonym wyglądała nieszczególnie. Teraz w Rouen panie chwaliły bardzo jej dystynkcyę. Nadto mąż, taki jak jej, brzydki, surowy, skąpy, musiał chyba i z niej zrobić złośnicę.

Nie, Berta jak najgrzeczniej traktowała swoją dawną koleżankę i Seweryna nie miała jej nic do zarzucenia.

— Więc to prezes ci się tam nie podoba?

Seweryna, która dotąd odpowiadała tonem powolnym, głosem równym, znowu poruszyła się niecierpliwie.

— On, co za myśl!

I mówiła krótkiemi zdaniami nerwowemi. On zaledwie dawał się widzieć. Dla siebie miał oddzielny w parku pawilon, którego drzwi wychodziły na pustą uliczkę. Wychodził, wchodził, bez niczyjej wiedzy. Nawet siostra nie wiedziała napewno, kiedy przyjedzie. W Barentin najmował powóz, na noc przyjeżdżał do Doinville i tu całe dnie spędzał w swym pawilonie, nie widując się z nikim. O! on tam nikomu nie przeszkadzał.

— Wspomniałem ci o nim, bo opowiadałaś mi tyle razy, żeś się go w dzieciństwie bała, jak wilkołaka.

— O! jak wilkołaka! zawsze musisz przesadzać.. Śmiać się nigdy nie śmiał. Patrzył się zawsze tak ostro, że trzeba było głowę spuścić. Widziałam ludzi, którzy wobec niego tak się mieszali, że nie mogli ani słowa doń przemówić, tak imponował im swoją reputacyą człowieka surowego i mądrego. Ale mnie nigdy nie łajał, do mnie zawsze miał jakąś słabość.

Znowu głos jej zwolniał, a oczy patrzyły w przestrzeń.

— Przypominam sobie... kiedy jeszcze byłam malcem i bawiłam się z przyjaciółkami w alejach, jak się tylko pokazał, wszystkie się zaraz chowały. Ja czekałam spokojna. On przechodził, a widząc mnie uśmiechniętą, z podniesioną główką, zwykle mnie uszczypnął w policzek... Później, gdy miałam szesnaście lat, a Berta chciała o co go prosić, zawsze mnie obarczała prośbą. I mówiłam, wcale nie spuszczając oczu, choć czułam, że jego świdrują mnie aż do kości. Ale nic sobie z tego nie robiłam, tak byłam pewna, że zgodzi się na wszystko, czego tylko zechcę... O! tak, przypominam sobie, przypominam! Tam niema ani jednego zakątka w parku, niema ani jednego pokoju w zamku, któregobym nie oglądała, teraz nawet trafiłabym wszędzie zamknąwszy oczy.

Zamilkła, z przymkniętemi powiekami; na twarzy jej ciepłej i zlekka wzdętej, zdawał się przebiegać dreszcz, na myśl o tych czasach dawniejszych, o tych rzeczach, o jakich nie mówiła wcale.

Przez chwilę pozostała tak, a wargi lekko jej drżały.

— Rzeczywiście, był bardzo dobrym dla ciebie — podchwycił Roubaud, zapalając fajeczkę. — Nietylko wychował cię, jak pannę, ale bardzo dobrze zarządzał twemi groszami po ojcu i zaokrąglił pokaźnie tę sumkę do naszego ślubu... A jeszcze coś ci zapisze, jak mi mówił.

— Tak — wyszeptała Seweryna — ten domek w Croix-de Maufres, tę posiadłość, którą przecina kolej. Czasem jeździliśmy tam na tydzień... Ale, na to nie liczę, Lachesnayowie muszą go męczyć, ażeby mi nic nie zostawił. A zresztą ja też wolę nic, nic!

Ostatnie słowa te wymówiła głosem tak żywym, że ździwił się. Wyjął fajeczkę z ust i przyglądał się jej zdumionym wzrokiem.

— Dziwna jesteś! Powiadają, że prezes ma miliony, cóż więc złego byłoby, gdyby o swej chrześniaczce pomyślał w testamencie? Niktby się temu nie dziwił, a namby dobrze to zrobiło w interesach.

Potem rozśmieszyła go myśl, która mu przyszła do głowy.

— Chyba ci przecie nie chodzi o to, że mogą mówić, iż jesteś jego córką... Bo wiesz, o prezesie, pomimo jego sztywnej miny, podobno gadają różne rzeczy; za życia nawet żony, bałamucił podobno wszystkie swoje służące. I oto wyposaża młodą dziewczynę. A mój Boże, cóż z tego nawet, gdybyś była jego córką.

Seweryna powstała, gniewna, z rozognioną twarzą, z przerażającem drganiem niebieskiego spojrzenia, pod ciężką masą włosów czarnych.

— Córką jego... jego córką! Nie chcę, ażebyś z takich rzeczy żartował, rozumiesz? Alboż ja mogę być jego córką? Czyż jestem do niego podobną? Ale dość o tem, pomówmy o czem innem. Nie chcę pojechać do Doinville, bo nie chcę, bo wolę wrócić z tobą do Hawru.

Pokiwał głową i uspokoił ją giestem.

— Dobrze! już dobrze! nie będę już cię tak drażnił!

Uśmiechał się, nigdy jej nie widział tak zdenerwowaną; zapewne podziałało wino. Rad zasłużyć na przebaczenie, wziął znowu nóż do ręki i, podziwiając go jeszcze i wycierając starannie, ażeby pokazać, że kraje, jak brzytwa, obcinał sobie paznokcie.

— Już kwadrans na piątą — szepnęła Seweryna, stając przed kukułką. — Mam jeszcze zajść w kilka miejsc... Trzeba myśleć już o pociągu.

Lecz, jakby dla uspokojenia się do reszty, przed zaprowadzeniem nieco porządku w pokoju, oparła się znów jeszcze na oknie.

Wtedy on, odłożywszy nóż i fajkę, wstał także od stołu i ujął ją z tyłu lekko w swe objęcia.

W uścisku tym oparł podbródek na jej ramieniu, a głowę o jej głowę. Nie ruszali się wcale, patrzyli.

Pod nimi, na dole, małe lokomotywy, wekslujące, uwijały się bez wytchnienia; i jak skrzętne, a małomówne gosposie, zaledwie było je słychać, przy zagłuszonym odgłosie kół i cichem gwizdaniu. Jedna z nich pojechała właśnie, znikła pod mostem Europejskim, odprowadzając do remizy pociąg z Trouville, który odstawiano. A po za mostem spotkała się i minęła z lokomotywą, idącą samotnie z remizy, jakby na spacer, połyskującą miedzią i stalą, i wyświeżoną do podróży. Zatrzymała się, dwukrotnem gwizdaniem zażądała wolnego przejścia od zwrotniczego, który ją prawie natychmiast posłał do jej pociągu, stojącego już w pogotowiu. Był to pociąg, odchodzący o godzinie wpół do piątej do Dieppes.

Tłum podróżnych cisnął się, słychać było turkot wózków, naładowanych bagażami, posługacze jeden po drugim kładli pakunki do wagonów.

Niebo się zachmurzyło w stronie Batignolles, zmierzch mglisty spowijał budowle i zaczął już ogarniać rozłożony wachlarz linii kolejowej.

— Nie, nie, daj mi spokój — wyszeptała Seweryna.

Oddechem dmuchał jej ciągle na szyję, a pomału przycisnął się do niej silniej, podniecany ciepłem młodego ciała, które trzymał w ramionach. Odurzała go swym zapachem, a jeszcze bardziej podniecała jego żądzę, chcąc się wydostać z uścisku.

W jednej chwili oderwał ją od okna, które zamknął łokciem. Usta jego napotkały jej usta, gniótł je namiętnie.

— Nie, nie, nie jesteśmy u siebie — powtarzała.

Sama była jakby oszołomiona, odurzona jedzeniem i winem, jeszcze drgająca od gorączkowego chodzenia po Paryżu. Pokój zanadto ogrzany, stół z resztką śniadania, niespodziewany rezultat podróży, czyniący z niej miłą przejażdżkę, wszystko to rozpłomieniało w niej krew i przejmowało ją rozkosznym dreszczem.

A jednak odmawiała, opierała się, sprzeciwiała, z przestrachem, którego nie umiałaby wskazać przyczyny.

— Nie, nie, nie chcę!

On, z krwią, ledwie nie wytryskującą z pod skóry, powstrzymywał swe ręce brutalne. Drżał, byłby ją zmiażdżył.

— Nie, nie błagam cię, daj mi spokój!

Był to taki okrzyk prawdziwej boleści, że go poskromił, że kazał mu się uspokoić. Ręką powiódł po twarzy, jakby chcąc usunąć to, co go paliło.

Widząc, że zapanował nad sobą, nachyliła się ku niemu i wycisnęła mu na policzkach przeciągły pocałunek, chcąc mu dowieść, że pomimo wszystko, zawsze go kocha.

Tak pozostali przez chwilę, nic nie mówiąc, odzyskując równowagę umysłu.

Ujął ją za prawą rękę i bawił się starym pierścionkiem złotym, który nosiła na tym samym palcu, co i obrączkę. Zawsze go tam widział.

— Prawda, że ładny — odezwała się Seweryna, głosem mimowoli rozmarzonym, myśląc, że mąż przygląda się pierścionkowi, i doświadczając gwałtownej chęci mówienia o czemkolwiek. — W Croix- de Manfres, podarował mi go na imieniny, gdy miałam lat szesnaście.

Roubaud podniósł głowę, ździwiony.

— Kto? prezes?

Gdy oczy męża jej spoczęły na jej oczach, ocknęła się jakby gwałtownie. Uczuła jak zimno jakieś mrozi jej policzki, chciała odpowiedzieć i nie znalazła słów, zdrętwiała od paraliżu, który ją schwycił.

— Ależ — mówił mąż dalej — zawsze mówiłaś, że ten pierścionek dostał ci się po matce.

W tej chwili jeszcze mogła była cofnąć słowa, które się jej wymknęły przy zapomnieniu o wszystkiem. Dość było jej rozśmiać się, udać roztargnioną. Uparła się jednak, nie panując nad sobą, tracąc świadomość.

— Nigdy, mój drogi, nigdy ci nie mówiłam, że ten pierścionek dostał mi się po matce.

Wtedy Roubaud spojrzał na nią badawczo i sam także pobladł.

— Jakto? nigdy mi tego nie mówiłaś? Dwadzieścia razy najmniej!.. Nic złego w tem, że prezes dał ci pierścionek. Tyle ci innych rzeczy dał... Ale dlaczego taiłaś to przedemną? dlaczego kłamałaś, mówiąc o matce?

— Nie mówiłam ci o matce, mylisz się, mój drogi.

Niedorzecznem było to upieranie się. Wiedziała, że się tem gubi, że czyta on w jej oczach wyraźnie i teraz chciałaby cofnąć, połknąć te słowa, ale nie było już na to czasu, czuła, że mieni się na twarzy, że cała jej osoba tchnie wyznaniem, zimno z policzków ogarnęło całą jej twarz, wargi drgały nerwowo.

A on, przerażajecy, sponsowiał nagle, jakby krew chciała rozerwać mu żyły, schwycił ją w ręce, przyglądał jej się zblizka, ażeby w przestrachu jej oczu lepiej czytać to, czego nie mówiła głośno.

— Boże! — wyjąkał — Boże!

Strach ją zdjął, spuściła głowę, ażeby ją ukryć w ramionach, przeczuwając uderzenie pięści.

Mały, drobny, nic nie znaczący fakt, odsłonił rzeczywistość, w kilku zmienionych słowach. Dość było jednej minuty.

Rzucił ją na podłogę i na oślep uderzył ją obiema pięściami.

Przez trzy lata ani razu jej nie potrącił, teraz bił ją, oślepły, rozszalały, z całą brutalnością człowieka, którego ręce pchały niegdyś wagony!

— Tyś była jego kochanką!.. jego kochanką!..

Wściekłość go ogarniała, przy powtarzaniu tych słów; za każdym razem przy wymawianiu ich, spuszczał na nią gwałtownie pięście, jakby chciał je wbić, wtłoczyć w jej ciało.

— Byłaś jego kochanką!.. byłaś!..

Głos jego dusił się w takim gniewie, że gwizdał, a już się nie wydobywał.

Wtedy usłyszał dopiero, że gnąc się pod razami, mówiła: nie. Innej nie miała obrony, zaprzeczała, ażeby jej nie zabił. A ten krzyk, ten upór w kłamstwie, do reszty przyprawiał go o obłęd.

— Przyznaj się, że byłaś jego kochanką!

— Nie! nie!

Podniósł ją, trzymał w ramionach, nie pozwalając jej upaść na kołdrę, ażeby twarz ukryć. Zmuszał ją, ażeby na niego patrzyła.

— Przyznaj się, że byłaś jego kochanką!

Nagle wyślizgnęła mu się, wymknęła i chciała pobiedz ku drzwiom.

Jednym skokiem rzucił się znów za nią, z pięściami, wzniesionemi do góry i wściekły od jednego uderzenia powalił ją przy stole. Padł przy niej, pochwycił za włosy, ażeby przytrzymać na podłodze. Przez chwilę pozostali tak na ziemi, twarzą w twarz, nie ruszając się, nie mówiąc.

A wśród tej przerażającej ciszy, słychać było dolatujące śmiechy i śpiewy panien Dauvergne, których fortepian huczał na szczęście, zagłuszając hałas bójki. Tam Klara śpiewała piosenki dziecięce, a Zofia kolejno jej akompaniowała.

— Przyznaj się, że byłaś jego kochanką!

Nie śmiała już mówić, nic wcale nie odpowiadała

— Przyznaj się, że byłaś jego kochanką, albo cię zabiję!

Gotów ją był zabić, czytała to wyraźnie w jego spojrzeniu. Padając, spostrzegła nóż otwarty na stole, wi-

działa blask jego ostrza, zdawało się jej, że po niego sięga.

Podłość wzięła w niej górę, chęć skończenia raz ze wszystkiem.

— Więc tak, prawda, a teraz daj mi odejść.

Ohydnem się to stało. Wyznanie, jakiego domagał się tak gwałtownie, uderzyło go w samą twarz, jako rzecz niemożebna, potworna. Zdawało mu się, że nigdy nie mógł przypuszczać takiej nikczemności.

Porwał ją za głowę i uderzył nią o nogę stołu; wyrywała mu się, ciągnął ją za włosy po podłodze, potrącając o krzesła. Ilekroć usiłowała powstać, za każdym razem jednem uderzeniem pięści rzucał ją na ziemię. Dyszał gorączkowo w tej wściekłości dzikiej, zwierzęcej. Stół popychany o mało co nie rozbił pieca Włosy i krew zostały na kancie bufetu.

Kiedy wreszcie oboje uczuli się wyczerpanymi, on od bicia, ona od uderzeń otrzymywanych, znaleźli się znów przy łóżku, ona wciąż na podłodze, leżąca, on na kolanach, trzymając ją za ramiona.

Oddychali gwałtownie.

Na dole muzyka brzmiała dalej, śmiechy odzywały się dźwięczne i świeże młodością.

Jednym ruchem Roubaud podniósł Sewerynę i posadził na łóżku.

Potem, sam klęcząc jeszcze, przygniatając ją wzrokiem, mógł wreszcie mówić.

Już jej nie bił, teraz ją dręczył pytaniami, chcąc się dowiedzieć o wszystkiem.

— Więc byłaś jego kochanką!.. powtórz, byłam!.. I w jakim wieku? jak dawno?

Ona wybuchnęła nagle płaczem, łzy nie pozwalały jej odpowiedzieć.

— Powiesz mi, czy nie? Mów, albo znów zacznę.

Płakała, nie mogła wymówić ani słowa, a on podniósł rękę i ogłuszył ją nowem uderzeniem. Trzy razy uderzył ją, nie otrzymując odpowiedzi, a za każdym razem pytał:

— Dawno? jak dawno? mów!

Po co walczyć? Dusza z niej ucieknie. Serceby z niej wyszarpał zgrubiałemi palcami dawnego robotnika.

I badanie trwało dalej, mówiła wszystko, w takiem przygnębieniu ze wstydu i strachu, że szeptane zdania zaledwie dawały się słyszeć.

A on, szarpany zazdrością okrutną, szalał z bólu, rozdzierany dwuznacznemi obrazami; wciąż mało mu było jeszcze wiedzieć, zmuszał ją wracać do szczegółów, udokładniać fakty. Z uchem, przytkniętem do ust nędznej, konał od tej spowiedzi, grożąc wciąż pięścią podniesioną, gotową opaść, gdyby zamilkła.

Znów przesunęła się cała przeszłość w Doinville, dzieciństwo, młodość. Czy prezes myślał już o niej, kiedy ją wziął po śmierci swego ogrodnika i kazał wychowywać razem z córką?

Tak, musiało się to już zacząć wtedy, kiedy inne dzieci uciekały wśród zabawy, gdy się zjawiał, a ona uśmiechnięta, z główką podniesioną czekała, ażeby jej, przechodząc, dał klapsa po buzi.

A później, skoro mówi, iż patrząc mu prosto w oczy, otrzymywała wszystko, o co prosiła, to czy nie dlatego że czuła się panią; o! jakże wstrętny ten starzec, wychowujący dziecko, dla swojej żądzy!

Roubaud dyszał.

— Więc w którym roku życia zostałaś jego kochanką?

— W siedemnastym.

— Kłamiesz!

Kłamać, mój Boże! po co?

Wzruszyła ramionami, z niezmiernem znużeniem.

— I gdzież się to stało pierwszy raz?

— W Croix de Maufras.

Jęk wydarł mu się z gardła. Potem nagle wstrząsnął nią silnie.

— Więc, na miłość Boską, po co wyszłaś za mnie?.. Wiesz, że takie oszustwo to ohydna podłość?.. Złodziejki w więzieniu czystsze mają sumienie .. Musiałaś mnie nie kochać, musiałaś mną pogardzać? Co? dlaczego mnie zaślubiłaś?

Ruchem odpowiedziała, że nie wie.

Czyż teraz wiedziała właściwie dlaczego?

Zaślubiając go, była tak szczęśliwą, spodziewała się skończyć z tamtym!.. Nie, nie kochała go, i nie chciała mu powiedzieć, że, gdyby nie ta historya, nigdy nie byłaby się zgodziła zostać jego żoną.

— To on, nieprawdaż? pragnął cię gdzie umieścić? Dobre bydlę znalazł... Co? Chciał ci dać męża, ażeby sam dalej to robił... I tak robił, nieprawdaż... gdyś tam pojechała dwa razy, po to cię zapraszał.

Skinieniem głowy przyznała się znowu.

— Więc po to i teraz cię prosił? Więc do końca chciał ciągle tych brudów! Więc jeżeli cię nie uduszę, to się zacznie na nowo!..

Ręce jego zagięte konwulsyjnie zbliżały się, ażeby ją za gardło pochwycić. Ale na to ona wybuchnęła sama.

— Jesteś niesprawiedliwy. Przecie ja wcale nie chciałam pojechać. Ja sama odmówiłam. Tyś mnie posyłał, aż musiałam się pogniewać, przypomnij to sobie... Widzisz więc, że nie chciałam. Już się skończyło. Nigdy, nigdy nie byłabym przystała.

Czuł, że mówi prawdę, ale nie miał z tego żadnej pociechy. Straszne cierpienie, raniące ostrze pozostało mu w piersiach. Tego, co zaszło między nim a nią nic nie mogło powetować, naprawić.

Nie puszczając jej wcale, zbliżył się do jej twarzy, zdawał się być zamagnetyzowany, pociągnięty tu, jakby dla odnalezienia w krwi drobnych żyłek niebieskich tego wszystkiego, co mu wyznała.

I mówił cicho, jakby w halucynacyi:

— W Croix- de Maufres, w pokoju czerwonym... Znam go, okno wychodzi na kolej.. Rozumiem, że ci obiecuje zapisać ten dom. Dobrze ci się on należy. Pilnował twoich pieniędzy i wyposażył cię, wartaś tego była.. Sędzia, człowiek milionowy, tak szanowany, tak wykształcony, tak dumny! Doprawdy, w głowie mi się mąci...

Porwał ją za rękę i poczuł pierścionek, pierścionek w kształcie węża złotego z łbem rubinowym. Zerwał go

z palca, rzucił na podłogę i zmiażdżył obcasem w nowym przystępie wściekłości.

Potem zaczął chodzić po pokoju, w milczeniu, straciwszy głowę.

Ona, oparta o ścianę łóżka, również milcząca, patrzyła nań dużemi oczyma, utkwionemi w niego. Straszna cisza trwała dalej.

Wściekłość Roubauda nie uspokoiła się wcale. Ilekroć zdawała się znikać, zaraz wracała większa jeszcze i sprawiała zawrót głowy, blizki szaleństwa.

Wtedy nie panował nad sobą, rękami bił powietrze, później odzywało się w głębi niego zwierzę rozwścieczone.

Pragnienie zemsty stawało się potrzebą fizyczną, palącą, torturowało mu ciało, dręcząc, żądając zaspokojenia. Nie zatrzymując się, uderzył się pięścią w skronie i wyjęczał głosem zbolałym:

— Co ja zrobię?

Przecież tej kobiety nie zabił natychmiast, więc jej i teraz nie zabije.

Wściekłość się w nim wzmagała na myśl o jego własnej podłości, bo podłem to było, że dbał jeszcze tyle o tę nędznicę, iż jej nie zadusił. Nie mógł jednakże tak z nią pozostać.

Więc ją wypędzi, wyrzuci na ulicę, ażeby nigdy już nie zobaczyć.

I znowu fala cierpienia napływała na niego, wstręt go przejmował znów dla samego siebie, bo czuł, że tego nawet nie uczyni.

Więc co? Poddać się tej ohydzie, odwiezie z powrotem tę kobietę do Hawru i będzie spokojnie żył z nią, jak gdyby nic nie zaszło. Nie! Nie! raczej niech umrą oboje! natychmiast!

Taka go zdjęła rozpacz, że krzyknął głośno, błędny:

— Co ja teraz zrobię?

Seweryna, siedząc na łóżku, śledziła go wciąż rozszerzonemi źrenicami. Przy łagodnem przywiązaniu towarzyszki, jakie miała dla niego, litowała się już nad nim wobec niezmiernej boleści, jaką w nim widziała.

Obelgi, uderzenia, byłaby mu wybaczyła, gdyby to uniesienie szalone nie było jej tak zaskoczyło znienacka, tak, że i teraz nie mogła jeszcze oprzytomnieć zupełnie.

Ona, uległa, bierna, która, tak młodą będąc, poddała się pragnieniom starca, a później zgodziła na małżeństwo, ażeby wszystko naprawić, nie mogła zrozumieć takiego wyrzutu zazdrości za dawne winy, za które żałowała, i nawpół świadoma swego występku, ani nie zepsuta nawskroś, ani też niedojrzała jeszcze do namiętności, pomimo wszystko, przyglądała się mężowi, chodzącemu po pokoju, tak, jakby patrzyła na wilka, albo na inne zwierzę.

Co się w nim działo?

I przestraszało to ją najbardziej, że czuła w nim zwierzę, które podejrzewała od trzech lat, przy głuchem jego warczeniu, a które dzisiaj zerwało się z łańcucha i rozwścieczone gotowe było gryźć.

Co mu powiedzieć, ażeby zapobiedz nieszczęściu?

Za każdym razem, gdy zawracał, znajdował się przy łóżku, obok niej.

Czekała aż znów nadejdzie i ośmieliła się odezwać.

— Mój drogi, posłuchaj...

Ale on jej nie słuchał, pędził na drugi koniec pokoju, jak słomka, unoszona przez burzę.

— Co ja teraz zrobię? co zrobię?

Wreszcie schwyciła go za rękę i zatrzymała na chwilę.

— Mój drogi, przecie ja sama nie chciałam tam jechać... Nigdybym już tam nie pojechała, nigdy, nigdy! Ciebie tylko kocham!

I przybierała minkę pieszczotliwą, przyciągała go do siebie, nadstawiła usta, ażeby ją pocałował.

Ale on, upadłszy przy niej, odepchnął ją ze zgrozą.

Ta chęć pieszczoty zapaliła w nim żądzę, ale tem większe uczuł obrzydzenie siebie, wszystkiego, że gwałtownie zapragnął krwi.

— O! żebym ja nie zdechł razem z tobą, on musi wprzód zdechnąć, musi!

Głos mu spotężniał, powtórzył te słowa, powstawszy, wyprostowany, jakby te słowa, dając mu postanowienie, uspokoiły go zarazem.

Nie rzekł już nic, podszedł zwolna do stołu, spojrzał na nóż, którego ostrze rozłożone połyskiwało. Ruchem machinalnym zamknął nóż i schował go do kieszeni. I z oczyma, wlepionemi w przestrzeń, pozostał na tem miejscu, i myślał. Na czole zarysowały się dwie zmarszczki, jakby nie mógł nic wymyślić.

Chcąc sobie ułatwić myślenie, otworzył okno i stanął w niem, twarz wystawiwszy na chłód zmierzchu.

Po za nim żona jego wstała, zdjęta strachem, i, nie śmiąc go wypytać, starając się odgadnąć, co się dzieje

w jego twardej czaszce, czekała, stojąc także wprost szerokiego nieba.

W zapadającej nocy czarną masą odbijały się dalekie domy, rozległy plac stacji zapełnił się mgłą. W niej nikły już wiązania mostu Europejskiego. Ku Paryżowi ostatni odbłysk dnia blado oświetlał szyby ogromnych hali, gdy u dołu rozpościerały się już gęste ciemności. Zabłysły gwiazdy, na wybrzeżach zapalono latarnie gazowe.

Wielka smuga jasnego światła padała od latarni u lokomotywy w pociągu do Dieppe, pełnego pasażerów, z drzwiami, już pozamykanemi, który czekał tylko sygnału zawiadowcy na wyruszenie w drogę Zamieszanie się wkradło i tarcza czerwona zwrotniczego zamykała przejazd, a tymczasem lokomotywa odprowadzała wagony, które przez źle wykonany manewr zostawione były na torze. Pociągi przesuwały się bez ustanku, we wzmagającym się zmroku po sieci pokratkowanych szyn, wśród szeregu wagonów, nieruchomo stojących na linii w oczekiwaniu. Jeden pociąg pojechał do Argenteuil, drugi do Saint-Germain, inny znów, bardzo długi, przybył z Cherbourgu. Sygnały mnożyły się, gwizdania, odgłosy trąbek; ze wszech stron, jeden po drugim, ukazywały się ognie czerwone, zielone, białe; zamęt panował o tej szarej godzinie, tak, że zdawało się, iż wszystko ulegnie zdruzgotaniu. A wszystko mijało, wciskało się, torowało sobie drogę dalej jednolitym powolnym ruchem miarowym, sunąc wciąż naprzód, ledwie widzialne w głębiach zmroku. Ogień czerwony w sygnale zwrotniczego znikł, pociąg do Dieppe zagwizdał i ruszył z miejsca. Z szero-

kiej przestrzeni szarego nieba zaczęły padać rzadkie krople deszczu. Noc zapowiadała słotę.

Gdy Roubaud odwrócił się, twarz miał zgrubiałą i pociemniałą, jakby na niej zaległ cień zapadającej nocy.

Już się namyślił, plan jego był już gotów. Przy gasnącym blasku dziennym spojrzał na zegar z kukułką i wyrzekł głośno:

— Dwadzieścia minut na szóstą.

I zdziwił się: upłynęła zaledwie godzina i godzina wystarczyła na tyle rzeczy! A jemu się zdawało, że się męczyli tak już całe tygodnie.

— Dwadzieścia minut na szóstą! mamy czas.

Seweryna, nie śmiąc go wypytywać, śledziła go wciąż niespokojnemi oczyma. Zobaczyła, jak szuka czegoś w szafie i wyjmuje papier, buteleczkę atramentu i pióro.

— Masz! napiszesz.

— Do kogo?

— Do niego... Siadaj.

A gdy instyktownie odsuwała się od krzesła, nie wiedząc jeszcze, czego będzie od niej wymagał, przyciągnął ją i posadził na krześle tak gwałtownie, że czuła się jakby przybitą.

— Pisz: „Jedź pan dziś wieczorem pociągiem pośpiesznym o w pół do siódmej i niepokazuj się aż w Rouen“.

Trzymała pióro, lecz ręka jej drżała, strach jej powiększała tajemniczość, jaką dla niej stanowiły te dwa wiersze.

To też ośmieliła się nawet podnieść głowę błagalnie.

— Mój drogi, co chcesz zrobić?.. Proszę cię... wytłomacz mi.

On głosem nieubłagalnym powtórzył:

— Pisz, pisz!

Potem, wpatrzywszy się w jej oczy, bez gniewu, bez obelg, ale tak uporczywie, że czuła, jak ją przygniatał wzrokiem:

— Zobaczysz, co chcę... i słuchaj, co chcę uczynić, będzie musiał zrobić ze mną tak, jak ja chcę...

W ten sposób zostaniemy sami, będzie między nami coś wspólnego.

Przestraszył ją, jeszcze się wzdrygnęła.

— Nie, nie, wprzód chcę wiedzieć... Nie napiszę, dopóki się nie dowiem.

Wtedy, przestawszy mówić, wziął jej rękę, drobną, wątłą rączkę dziecka i ścisnął ją w swojej pięści żelaznej i ściskał ją coraz silniej, jak kleszczami, aż do zmiażdżenia.

Tak wolę swą wtłaczał jej w ciało wraz z bólem.

Krzyknęła, wszystko się w niej łamało, wszystko się gięło. W nieświadomości, w uległości, nie mogła mu nie być posłuszną. Narzędzie miłości, narzędzie śmierci.

— Pisz, pisz!

I pisała z trudnością ręką zbolałą.

— To dobrze, grzeczną jesteś — rzekł, kiedy dostał list — teraz trochę tu uporządkuj... Przyjdę po ciebie.

Bardzo spokojny był. Przed lustrem poprawił węzeł u krawata, włożył kapelusz i odszedł.

Słyszała, jak zamykał drzwi na podwójny spust i wyjął klucz.

Noc zapadała coraz bardziej.

Przez chwilę siedziała, nadstawiając uszy na wszelkie odgłosy, dochodzące z zewnątrz.

U sąsiadki, handlarki dzienników, odzywało się ciągłe skomlenie przygłuszone, widocznie pies był zamknięty. Na dole u Dauvergnów fortepian milczał. Tam rozlegał się teraz wesoły brzęk rądli i talerzy, obie gosposie krzątały się w kuchni, Klara gotowała potrawkę z baraniny, Zofia przyrządzała sałatę.

A ona, przygnębiona, słuchała, jak się śmiały wśród zgrozy tej okropnej i coraz bardziej ciemniejącej nocy.

O kwadrans na siódmą lokomotywa pociągu pośpiesznego do Hawru, wysunęła się z pod mostu Europejskiego, posłana została do swych wagonów i przyczepiona.

Skutkiem nagromadzenia dużego, nie zdołano pociągu tego umieścić pod przykryciem.

Czekał na otwartem powietrzu, obok wybrzeża, które na schyłku widnokręgu, jakby wpadało wprost w ciemności nieba jak atrament, czarnego, a kilka latarń gazowych, stojących wzdłuż chodników, wyglądało na zakopcone gwiazdy.

Deszcz przestał padać, tylko powstał po nim wiatr chłodny, przejmujący wilgocią, hasając po rozległej przestrzeni otwartej, którą mgła rozszerzała aż do bladych światełek w domach przy ulicy Rzymskiej.

Przestrzeń była szeroka i smutna, skąpana w wodzie, tu i owdzie przerwana krwawym ogniem, tu i owdzie napełniona zwartą masą lokomotyw i wagonów samotnych,

szczątkami pociągów, drzemiących na drodze do remizy, a z głębi tego jeziora cieni wydobywały się hałasy jakieś, jękliwy oddech jakiś, dyszący gorączką, gwizdanie podobne do przeraźliwych krzyków kobiecych, dalekie dźwięki trąbek, a dołączał się do tego zewsząd gwar sąsiednich ulic.

Głośno rozbrzmiewały rozkazy, ażeby dodawano wagonów.

Lokomotywa sznelcugu stała nieruchoma, wypuszczając kłęby dymu, który unosił się, w tę całą czarną przestrzeń, rozpraszał się na małe smugi, siejąc łzy białe na bezbrzeżną żałobę, pokrywającą niebo.

O dwadzieścia minut na siódmą, ukazał się Roubaud i Seweryna.

Ona, przechodząc obok poczekalni, oddała ukłon matce Wiktoryi, a on ją popychał naprzód z miną śpieszącego się męża, którego żona się opóźnia, niecierpliwy i gwałtowny, z kapeluszem, zsuniętym z czoła; ona, z woalką, obciśniętą na twarzy, chwiejna, jakby zmordowana znużeniem.

Tłum podróżnych dążył po wybrzeżu; tłoczono się i obchodzono wagony wzdłuż, szukając wolnego miejsca.

Chodnik ożywiał się, posługacze pchali przed sobą wózki z pakunkami do brankardu na czele pociągu, konduktor starał się umieścić jakąś bardzo liczną rodzinę, pomocnik zawiadowcy stacyi przyglądał się połączonym wagonom, z latarką w ręku, ażeby się przekonać, czy dobrze były przyczepione.

Roubaud wreszcie znalazł pusty przedział, do którego chciał, ażeby Seweryna wsiadła, gdy spostrzeżony

został przez zawiadowcę stacyi, pana Vanderpa, który przechadzał się po platformie ze swym przybocznym pomocnikiem, panem Dauvergne. Obaj z założonemi wtył rękami, przyglądając się manewrom dodawanych wagonów.

Nastąpiły ukłony. Trzeba było zatrzymać się i porozmawiać.

Najprzód mówiono o historji z podprefektem, która się zakończyła pomyślnie, ku powszechnemu zadowoleniu.

Potem była mowa o wypadku, jaki zrana zdarzył się w Hawrze, a telegraf już o nim doniósł. U lokomotywy, która w czwartki i soboty obsługiwała pociąg pośpieszny o godzinie wpół do siódmej, złamała się oś, w chwili właśnie, gdy pociąg wjeżdżał na stację; naprawa jej na miejscu zatrzyma tam przez dwa dni mechanika Jakóba Lantier, ziomka Roubauda i palacza Pacquent, męża matki Wiktoryi.

Seweryna, stojąc przed drzwiami przedziału, czekała, jeszcze nie wsiadając; mąż tymczasem w rozmowie z tymi panami udawał wielką swobodę umysłu, podnosił głos, śmiał się.

W tem odezwało się stuknięcie od uderzenia, pociąg cofnął się o kilka metrów: lokomotywa pchała pierwsze wagony ku temu, który dodano, 293, dla posiadania wolnego przedziału.

I syn Dauvergne, Henryk, który znajdował się przy tym pociągu jako nadkonduktor, poznawszy Sewerynę pod woalką, prędko odepchnął ją w bok, bo uderzona zostałaby otwartemi drzwiczkami wagonu; potem, przepraszając ją, z uśmiechem i wielką uprzejmością opowiedział jej, że nowy przedział przeznaczony był dla jednego z człon-

ków zarządu Towarzystwa, który zażądał go na pół godziny przed odjazdem pociągu.

Rozśmiała się sucho, nerwowo, jakby bez żadnego powodu, a on podążył do swej służby, opuścił ją rozpromieniony, bo mówił sobie nieraz, że byłaby z niej bardzo miła kochanka.

Zegar wskazywał dwadzieścia siedm minut na siódmą. Jeszcze trzy minuty.

Nagle Roubaud, który przyglądał się uważnie wyjściom z sal poczekalnych, nie przestając rozmawiać z zawiadowcą stacyi, opuścił tegoż i powrócił do Seweryny.

Ale wagon, upatrzony poprzednio, już się odsunął, musieli pójść do przedziału pustego o kilka kroków; Roubaud, obróciwszy się w tył, popchnął żonę naprzód i prawie szturgnięciem pięści wsadził ją do wagonu, gdy ona, w uległości trwożliwej, patrzyła instynktownie w tył, ażeby widzieć, co się dzieje.

Zbliżał się jakiś spóźniony podróżny, trzymając w ręku tylko kołdrę, z kołnierzem, podniesionym w górę, i w kapeluszu, tak naciśniętym na głowę, że w migoczących błyskach gazowych widniała z całej jego twarzy tylko część siwej brody.

Jednakże, pomimo widocznej chęci unikania wszystkich, pp. Vanderpe i Dauvergne podeszli ku niemu

Podążyli za nim, a on im się dopiero ukłonił o trzy wagony dalej przed dodanym przedziałem, do którego wsiadł pośpiesznie.

To on był.

Seweryna drżąca upadła na ławkę.

Mąż gniótł jej ramię, jakby nią teraz poniewierał, skoro był swego pewny.

W minutę później pół godziny wybiło.

Jakiś przekupień naprzykrzał się ze sprzedażą dzienników wieczornych, podróżni przechadzali się jeszcze po platformie, paląc papierosy, wreszcie wszyscy wsiedli. Słychać było z dwóch przeciwnych stron konduktorów, zamykających wagony. I Roubaud, który nieprzyjemnej doznał niespodzianki, spostrzegłszy w przedziale, o którym myślał, że jest pusty, jakąś postać nową, siedzącą w kącie, zapewne kobietę jakąś w żałobie, milczącą, nieruchomą, nie mógł się powstrzymać od wykrzyku złości, gdy drzwiczki się otworzyły i konduktor wrzucił przez nie jakąś parę, otyłego jegomościa i otyłą jejmość, którzy wpadli zadyszani.

Pociąg zaraz miał ruszyć.

Deszcz bardzo drobny znów zaczął padać, powlekając błotem rozległe pole ciemne, które bezustannie przebiegały pociągi, dające się poznać tylko po przesuwaniu się szybkiem migoczących okienek oświetlonych. Kilka latarń rzucało mdłe światło.

I nic więcej, nic, prócz niezmiernej przestrzeni nocnej, wśród której ukazywały się tylko dachy, wystające nad linią kolejową, uwydatniane niewyraźnie słabym odbłyskiem gazu.

Wszystko nikło, nawet zgiełk głuchnął i tylko lokomotywa sapała, otwierając klapy i wypuszczając kłębiące się smugi białej pary. Dym ulatywał w górę, rozpościerając się jakby całun. Niebo nim zostało zamroczone

jeszcze bardziej, obłok sadzy unosił się nad Paryżem nocnym, pałającym swojemi ogniskami.

W tej chwili pomocnik zawiadowcy stacyi podniósł latarnię, dając znak, ażeby maszynista, oznajmił o jeździe pociągu. Odezwały się dwa gwizdnięcia i tam, przy budce zwrotniczego ogień czerwony znikł, zastąpił go płomień białawy.

Przed drzwiami brankardu nadkonduktor oczekiwał na sygnał do odjazdu, który zaraz podał dalej. Maszynista zagwizdał jeszcze przeciągle, otworzył regulator, w ruch wprawiając lokomotywę... Ruszono z miejsca.

Najprzód posuwanie się było nieznaczne, po chwili pociąg już pędził. Przemknął pod mostem Europejskim i zapuścił się ku tunelowi w Batignolles.

Już tylko było widać, jak krwawił się czerwonemi ogniami, jakby ziejącemi ranami.

Jeszcze przez kilka chwil można go było ścigać okiem w ciemnych głębiach nocy.

Teraz biegł jak szalony i nic już nie miało zatrzymać tego pociągu, pędzącego pełną parą.

Znikł.

II.

W Croix-de-Maufras, w ogrodzie, który przecina kolej żelazna, stoi dom z cegły, tak blizko od toru kolejowego, że chwieje się od każdego przejścia pociągu. I dość tędy raz przejeżdżać, ażeby go zachować w pamięci.

Wszyscy, których pociąg unosi szybko w dal, wiedzą dobrze, że się znajduje na tem miejscu, lecz wcale go nie znają, bo zawsze jest zamknięty, jakby opuszczony, z szaremi okiennicami, które zzieleniały od deszczu.

Pustka, ciągnąca się wokół, zwiększa jeszcze bardziej samotność zapadłego kąta, bo na milę dokoła niema żywej duszy.

Przechodnie są tu bardzo rzadcy.

Domek to nizki, ściany jego się poosuwały, dachówki strawił mech. Nędznie wygląda pośród otaczającego go ogrodu, zasadzonego warzywami, a zamkniętego żywopłotem i obejmującego w sobie wielką studnię, tak wysoką jak domostwo.

Tego wieczora, o schyłku dnia, o bardzo miłym szarym wzroku, jakiś podróżny, który w Barentin wysiadł z pociągu do Hawru, podążał szybkim krokiem przez ścieżkę do la Croix des Maufras.

Okolica usiana była pagórkami, wydrążona kotlinami, — ciągłe falowanie ziemi, po której przebiegają pociągi kolejowe.

Kolej jedynie ożywia te strony, zazwyczaj puste i posępne.

Cisza zalega tu najczęściej zupełna, chyba, że wiatr hula, świszcząc przeraźliwie po nad wzgórzami i dolinami, lub nawałnica leje strumienie wody, które spływają później z pagórków, wymulając jakby łożyska, prędko wysychające.

Cisza zazwyczaj, aż oto szyny zaczynają jęczyć, zdaleka dolatuje tętent coraz bardziej się wzmagający i po chwili z właściwą sobie wrzawą i łoskotem przebiega

pociąg z dymiącą lokomotywą, szybko w dal unoszący podróżnych.

I znowu cisza w tem pustkowiu.

Podróżny, młody, silny, przyśpieszał kroku, jakby dla wydobycia się czemprędzej z pod wrażenia smutku, jaki roztaczała ta odludna okolica samotna.

W ogrodzie drużnika kolejowego dziewczyna wyciągała wodę ze studni, duża dziewczyna lat ośmnastu, blondynka, tęga, z grubemi usty, wielkiemi oczyma piwnemi, z czołem nizkiem pod ciężkiemi włosami.

Ładną nie była wcale, ręce miała grube, a ramiona barczyste, jak u mężczyzny.

Gdy zobaczyła podróżnego, idącego ścieżką, zostawiła dzbanek, i pobiegła do furtki w żywopłocie.

— O! Jakób! — zawołała.

On podniósł głowę. Miał lat około dwudziestu sześciu, również rosły, ciemny brunet, ładny chłopiec o twarzy okrągłej regularnej, której wdzięk psuły jednak zbyt wydatne szczęki.

Twarde jego włosy wiły się w kędziorach, jakoteż zakręcone były wąsy, tak gęste i tak czarne, że wzmagały bardziej jeszcze bladość jego cery.

Z delikatnej skóry, ogolonej troskliwie na twarzy, możnaby go wziąć za panicza, gdyby się nie dawała widzieć nieodzowna cecha jego rzemiosła, tłuszcz, od którego zżółkły już ręce mechanika, ręce, które pozostały jednak drobne i giętkie.

— Dobry wieczór, Floro — rzekł poprostu.

Ale oczy jego, które miał szerokie i czarne, usiane punkcikami złotemi, jakby zaszły mgłą, od której zbladły.

Powieki zadrgały, oczy się odwróciły, w zakłopotaniu nagłem, pod wpływem przykrości, dochodzącej aż do cierpienia. I całe nawet jego ciało cofnęło się jakby instynktownie.

Ona nieruchoma, z oczami, w niego wlepionemi, spostrzegła to mimowolne drgnięcie, które starał się powściągnąć, ilekroć przystępował do jakiej kobiety.

Zdawało się, że spoważniała i posmutniała.

Potem, chcąc ukryć swe zakłopotanie, kiedy ją zapytał, czy matka w domu, chociaż wiedział dobrze, że chora i wychodzić nie może, usunęła się, ażeby mógł wejść, nie otarłszy się o nią, wróciła do studni, nie rzekłszy ani słowa, wyprostowana i dumna.

Jakób prędkim krokiem przebiegł wązki ogród i wszedł do domu.

Tu, po środku pierwszej izby, obszernej kuchni, gdzie jedli i mieszkali, ciotka Phasia, jak ją nazywał od dzieciństwa, była sama i siedziała przy stole na krześle, wyplecionem słomą, owinąwszy nogi starym szalem.

Była to kuzynka jego ojca przez Lantierów, która go podawała do chrztu, a później, gdy miał lat sześć, wzięła do siebie, kiedy rodzice jego znikli, pojechawszy do Paryża, a on został w Plassans, gdzie później uczęszczał na nauki do szkoły sztuk i rękodzieł. Czuł dla niej za to wdzięczność żywą, mówił, że to jej zawdzięczał, iż na coś wyszedł.

Kiedy został mechanikiem pierwszej klasy w towarzystwie kolei zachodnich, po dwóch latach przesłużonych na kolei orleańskiej, zastał matkę chrzestną, wyszłą za mąż za drużnika kolejowego, nazwiskiem Misarda, zapę-

dzoną losem wraz z dwiema córkami, z pierwszego małżeństwa, do tej zapadłej dziury Croix-de-Maufras.

Dziś, chociaż dopiero czterdzieści pięć lat liczyła, przystojna ciotka Phasia, niegdyś taka duża i silna, wyglądała na lat sześćdziesiąt — wychudła, pożółkła i ciągle trzęsąca się od dreszczy.

Na jego widok wykrzyknęła radośnie:

— Jakto! to ty, Jakóbie! A! mój chrześniak! co za niespodzianka!

Ucałował ją w policzki, opowiedział jej, że miał dwa dni przymusowego urlopu. U lokomotywy jego, zrana przy wjeździe do Hawru, oś się ułamała, a ponieważ naprawa nie mogła być ukończona przed upływem dwudziestu czterech godzin, wrócić potrzebował na służbę dopiero nazajutrz zrana, na pociąg pośpieszny o czterdzieści minut na siódmą wieczorem.

Chciał się więc z nią zobaczyć i uściskać.

Przenocuje tu a z Barentin pojedzie dopiero zrana pociągiem o godz. 7 minut 26.

I trzymał w dłoniach jej biedne wynędzniałe ręce i mówił, jak go zaniepokoił jej list ostatni.

— A, tak, mój chłopcze, źle jest, źle. Jakiś dobry, żeś odgadł, iż ja cię tak pragnęłam zobaczyć! Ale wiem, jak ty jesteś zajęty, i nie śmiałam cię prosić, ażebyś mnie odwiedził. No! jesteś nareszcie, to też serce mi skacze z radości.

Przerwała sobie, rzucając przez okno trwożliwe spojrzenie.

W zapadającym zmierzchu, po drugiej stronie toru kolejowego, widać było jej męża Misarda, na placówce,

w jednej z tych budek drewnianych, które stoją o pięć lub sześć kilometrów od siebie i połączone są aparatami telegraficznemi, dla zapewnienia prawidłowego biegu pociągów.

Żona jego, a później Flora, miała nadzór nad barjerą przejazdową, Misard zaś był dróżnikiem.

Jak gdyby mógł ją usłyszeć, zniżyła głos, drżąc cała.

— Zdaje mi się, iż mnie truje!

Jakób na to zwierzenie wstrząsnął się, a oczy jego zwróciły się także ku oknu i znów zamgliły się tym szczególnym niepokojem, który przyćmiewał ich blask złotawo czarny.

— O! ciociu Phasio! co za myśl — wyszeptał. — On wygląda tak łagodnie i wydaje się tak słabym.

Przeleciał pociąg z Hawru i Misard wyszedł z budki, ażeby zamknąć drogę za nim.

Kiedy z pomocą lewara podnosił w górę sygnał czerwony, Jakób mu się przypatrywał.

Człeczyna chudy, z przerzedzonemi włosy na głowie i na brodzie, z twarzą wymizerowaną, zapadłą.

Przytem milczący, jakby znużony, bez gniewu, z wielką pokorą dla zwierzchników.

Ale wszedł już do swej budki, ażeby zapisać w rozkładzie jazdy godzinę przejścia pociągu i ażeby nacisnąć dwa guziki elektryczne, dla oznajmienia dróżnikowi, że droga jest wolna, a następnemu, że pociąg nadchodzi.

— O! ty go nie znasz — podchwyciła ciotka Phasia. — Powiadam, ci że musi mi zadawać coś paskudne-

go... Ja, co byłam, tak silna, że mogłam go zjeść, teraz on, ten cherlak, ten niedołęga, mnie zjada.

Gorączkowała się nienawiścią głuchą i trwożliwą, wywnętrzała serce, rada że ma kogo, który ją słuchał.

Gdzie głowę miała, ażeby wyjść znów za mąż, za takiego nicponia i to bez grosza, skąpca, ona, starsza od niego o pięć lat, mając dwie córki jedną sześcioletnią, a drugą już ośmioletnią?

Nie długo już dziesięć lat będzie, jak zrobiła to głupstwo, i ani godzina nie upłynęła, ażeby jej nie przyszło tego żałować; życie w nędzy, wysłanie w ten kąt lodowaty na północy, gdzie trzęsła się z zimna, nudy śmiertelne, bo nie widywała nikogo z obcych, bo nie miała nawet sąsiadki do pogawędzenia.

On był dumnym, milczącym, a teraz zarabiał tysiąc dwieście franków, jako dróżnik, ona od początku pięćdziesiąt franków za pilnowanie barjery przejazdu, co teraz Flora miała sobie powierzone; i taka była teraźniejszość i taka przyszłość, żadnej nadziei, pewności, że będzie się żyło i zawsze więc w tej dziurze, o tysiąc mil od ludzi.

Nie opowiedziała mu jednak, jakie miewała pociechy; zanim zachorowała, kiedy mąż jej pracował na stacyi, a ona sama zostawała z córkami dla pilnowania przejazdu, bo wtedy od Rouce do Hawru, na całej linii tak słynęła z urody, że inspektorowie kolejowi wstępowali do niej w przejeździe, nawet rywalizowali z sobą jeden przed drugim.

Mąż wcale nie zawadzał, grzeczny dla wszystkich, wymykał się drzwiami, wracał, odchodził, nie mówiąc nic.

Rozrywki te jednak ustały, i teraz po całych tygodniach, miesiącach, wysiadywała na tem krześle, w samotności, czując, jak zdrowie ucieka od niej coraz bardziej z każdą chwilą.

— Powiadam ci — dodała na zakończenie — że to on do mnie się wziął, i chociaż taki, zamorduje mnie.

Nagłe dzwonienie skierowało jej również lękliwe spojrzenie na zewnątrz.

Drużnik poprzedni zawiadomił Misarda, o pociągu jadącym do Paryża i ramię sygnału, stojącego przed budką, podniosło się w tym kierunku.

Zatrzymał przyrząd dzwoniący i wyszedł, ażeby dwa razy zatrąbić na sygnał.

W tejże chwili Flora zamknęła barjerę, potem stanęła przed nią wyprostowana, trzymając chorągiewkę, w pochwie skórzanej.

Słychać było pociąg pośpieszny, zasłonięty zakrętem drogi, jak zbliżał się ze wzmagającym sapaniem.

Przebiegł jak błyskawica, wstrząsając, grożąc zawaleniem domkowi, wśród wichru gwałtownego.

Już Flora powróciła do warzyw, gdy Misard znów podniósł sygnał czerwony, bo nowe dzwonienie, któremu towarzyszyło poruszenie się w górę drugiego ramienia sygnałowego, dał znać, że pociąg, który przeszedł pięć minut wcześniej, minął już następnego drużnika.

Wrócił do budki, uprzedził dwóch dróżników, zapisał przejście pociągu, potem czekał.

Robota zawsze ta sama, którą odbywał w ciągu dwunastu godzin, mieszkając tam, jedząc tam, nie czytając nawet trzech wierszy dziennika, nie zdając się nawet mieć

jakiejkolwiekbądź myśli w swej spłaszczonej nieco czaszce.

Jakób, który żartował dawniej z ciotki, że szerzy takie spustoszenia w sercach inspektorów objazdowych, nie mógł się powstrzymać od śmiechu, mówiąc:

— A może jest zazdrosny?

Ale Phasia wzruszyła ramionami z politowaniem, gdy śmiech niepowściągniony nabiegł do jej biednych wybladłych oczu.

— O! mój chłopcze, co też ty mówisz?.. On zazdrosny! On nigdy sobie z tego nic nie robił, bo przecie nic to nie kosztowało jego kieszeni.

Potem znowu zdjęta dreszczem:

— Nie, nie, on o to nie dbał, on dba tylko o pieniądze... O nie się pogniewaliśmy. Widzisz, nie chciałam mu dać tysiąca franków, które dostałam w roku zeszłym w spadku po ojcu. Wtedy mi groził, i to mi nieszczęście przyniosło, zachorowałam. I ta słabość nie opuściła mnie od tego czasu, tak! właśnie od tego czasu.

Młodzieniec zrozumiał, a ponieważ uwierzył w czarne myśli cierpiącej kobiety, próbował jej wyperswadować.

Ale ona opierała się, jakby przekonana najzupełniej.

To też powiedział jej wreszcie:

— No, to nic prostszego, jak z tem skończyć... Niech mu ciotka da ten tysiąc franków.

Aż się zerwała na krześle. I podniecona, gniewna:

— Moje tysiąc franków, nigdy! wolę zdechnąć... O! dobrze są one schowane, dobrze! Cały dom można przewrócić, a nikt ich nie znajdzie... O! i on już przewra-

cał, i nic! Słyszałam, jak w nocy opukiwał ściany. Szukaj, szukaj! Dość mi patrzyć na jego spuszczony nos, to mi dodaje cierpliwości... Jeszcze niewiadomo, kto pierwszy się wyniesie, on czy ja. Ja się mam na baczności, nie jem już, czego się tknie. A jeżeli nogi wyciągnę, no, to i tak nie będzie miał tysiąca franków, wolę zostawić je w ziemi.

Opadła na krzesło, wyczerpana, wstrząśnięta nowym odgłosem trąbki.

To Misard na progu budki zapowiadał przybycie pociągu, jadącego do Hawru.

Pomimo uporu, w jakim nie chciała mu dać spadku, przejmował on ją strachem potajemnym, wzrastającym, strachem olbrzyma wobec robaka, który go toczy.

Zapowiedziany pociąg pasażerski, wyszły z Paryża o g. 12 m. 45, zbliżał się zdaleka, z głuchym tententem; słychać było, jak wychodził z tunelu, jak dyszał głośniej na otwartem polu. Potem przeszedł z hukiem kół i masą wagonów, z niesłychaną siłą huraganu.

Jakób z oczyma, podniesionemi ku oknu, przyglądał się szybkom kwadratowym, za któremi ukazywały się twarze podróżnych.

Pragnął odwrócić czarne myśli Phosii i, odezwał się żartobliwie:

— Skarżysz się, moja matko chrzestna, że kota nawet nie widzisz w tej dziurze. A tu tyle ludzi!

Z początku nie zrozumiała zdziwiona.

— Gdzież tu tylu ludzi? A! ci ludzie przejeżdżający. Wielka mi przyjemność. Ani się ich zna, ani można z nimi porozmawiać.

On mówił dalej:

— Mnie przecie znasz, ciotko, i często mnie widzisz, przejeżdżającego tędy.

— Ciebie, to prawda, znam i znam godzinę twego pociągu i wyglądam twej lokomotywy. Ale przelatujesz i przelatujesz tylko. Wczoraj ot tak machnąłeś ręką. Nawet ci odpowiedzieć nie mogę... Nie, cóż z takiego widywania ludzi.

Jednakże na tę myśl o fali tłumu, który pociągi, kursujące tam i napowrót przewoziły, codziennie przed nią, wśród wielkiej ciszy pustkowia, zadumała się, patrząc na linię kolejową, gdzie zapadała noc.

Kiedy była silną, chodziła i stawała przed barjerą z chorągiewką w ręce, nie myślała nigdy o tych rzeczach.

Ale zmącone myśli, ledwie wyraźne, zaprzątały jej głowę, odkąd po całych dniach wysiadywała na tem krześle, mając do rozmyślania tylko głuchą walkę z mężem. Dziwnem się jej wydawało żyć tak samotnie w tym kącie zapadłym, nie mając nikogo, przed kim mogłaby się zwierzyć, gdy od dnia do nocy, ciągle, tylu mężczyzn i kobiet przesuwało się, unoszonych wirem pociągów, które wstrząsały domem i uciekały na skrzydłach pary.

Pewna była najzupełniej, że cały świat tędy przejeżdżał, nietylko Francuzi, ale i cudzoziemcy, ludzie z najodleglejszych stron, nikt bowiem teraz nie mógł pozostawać u siebie i wszystkie ludy, jak mówiono, zlać się miały wkrótce w jeden.

Tak, to był postęp, skoro wszyscy, jak bracia jechali

razem. Usiłowała ich policzyć, po tylu na wagon; za dużo było, nie potrafiła!

Często zdawało się jej, że poznaje twarze, ot jakiegoś pana z płową brodą, zapewne Anglika, który odbywał co tydzień podróż do Paryża, albo twarzyczkę maleńką jakiejś brunetki, jeżdżącej regularnie co środa i sobota

Ale znikali błyskawicznie i nie była pewną, czy ich widziała, wszystkie bowiem twarze łączyły się z sobą, stawały się do siebie podobne, zlewały się z sobą i wreszcie ginęły jedne po drugich.

Potok biegł, nie zostawiając nic z siebie.

A co ją czyniło smutną, to myśl, że wśród tego ciągłego tententu, że wśród dobrobytu swego i rzucania pieniędzmi, tłum ten ruchliwy zawsze, nie wiedział wcale, że ona tu jest w niebezpieczeństwie, tak, że gdyby ją mąż przyprawił o śmierć, pociągi także mijałyby się przy jej trupie, a niktby wnich się nie domyślił zbrodni, popełnionej w samotnym domu.

Phasia zatrzymała wzrok na oknie i wypowiedziała to, co czuła zbyt nieokreślenie, ażeby mogła odrazu wyrazić.

— O! to piękny wynalazek! niema co mówić. Jedzie się prędko, ludzie się zmądrzyli... Ale dzikie zwierzęta zawsze pozostaną dzikiemi zwierzętami, i choćby jeszcze lepsze wynaleziono machiny, zawsze pod spodem znajdą się dzikie zwierzęta.

Jakób znów pokiwał głową, chcąc pokazać, że myśli tak, jak ona.

Teraz przypatrywał się Florze, która otwierała barjerę, dla przepuszczenia wozu, naładowanego ogromnemi bryłami kamieni.

Droga ta obsługiwała tylko kamieniołomy w Béconot, tak, że w nocy barjera bywała zawsze zamkniętą i dziewczyna bardzo rzadko potrzebowała do niej wstawać.

Widząc, że rozmawia poufale z woźnicą, nizkim brunetem, zawołał:

— O! więc Cabuche chory, kiedy jego krewniak Ludwik przy koniach. Często też, widujesz ciotko, tego biednego Cabucha?

Ręce podniosła, nic nie odpowiedziawszy, ale z głębokiem westchnięniem.

Cały ten dramat odbywał się zeszłej jesieni, co nie mogło dobrze wpłynąć na jej zdrowie.

Młodsza jej córka, służąca za pokojówkę u pani Brulon w Doinville, uciekła pewnego wieczora rozgorączkowana, pokaleczona i, ażeby umrzeć, schowała się do poczciwego Cabucha w domku, w którym mieszkał wśród lasu!

Krążyły wieści, które pomawiały o gwałt prezesa Grandmorrina, ale nie śmiano powtarzać ich głośno.

Nawet matka, która wiedziała, co ma o tem myśleć, nie lubiła mówić o tem nieszczęściu.

W końcu jednak powiedziała:

— Nie, on już nie wychodzi, zdziczał zupełnie... Biedna Ludwisia, taka była pieszczoszka, taka biała, taka miła! Ona mnie tak kochała, i umiałaby mnie pielęgnować, a Flora, mój Boże, nie żalę się na nią, ale ona ma jakby niespełna rozumu, po całych godzinach gdzieś prze-

pada, a dumna jest, a gwałtowna... Wszystko to smutne, bardzo smutne.

Jakób, słuchając co mówiła, patrzył wciąż na furmana, który teraz przejeżdżał przez tor kolejowy. Koła uwięzły w szynach, woźnica musiał trzaskać z bicza, a Flora ustami zachęcała konie.

— U! — odezwał się młodzieniec — gdyby tak pociąg nadjechał... Toby dopiero była marmolada!

— O! niema obawy — podchwyciła ciotka Phasia — Flora głupkowata, ale zna się dobrze z koleją i uważna... Dzięki Bogu, już od pięciu lat nie mieliśmy tu żadnego wypadku. Kiedy człowieka przejechano. U nas tylko krowa o mało co nie wykoleiła pociągu! O! biedne bydlę! znaleziono tułów tu, a łeb tam, przy tunelu, ale przy Florze można spać spokojnie.

Wóz przejechał i słychać było oddalający się turkot kół po kamieniach.

Phasia wróciła też do zwykłych myśli, o zdrowiu, zarówno swojem, jak i innych.

— A ty? dobrze się teraz masz? Pamiętasz, jakto u nas chorowałeś, a doktór nie mógł się na tem poznać?

Oczy jego znów przybrały wyraz niespokojny.

— Ja jestem zdrów zupełnie, moja matko chrzestna.

— Doprawdy! wszystko ustało, ten ból, który ci świdrował czaszkę, za uszami, te napady gorączki i ten smutek, co, jak cię złapał, chowałeś się po kątach, jak zwierzę?

W miarę, jak mówiła, on stawał się coraz niespokojniejszym, jakby doznawał coraz większego osłabienia, tak, że jej wreszcie przerwał:

— Zapewniam cię, że jestem bardzo zdrów. Nic mi już nie jest zupełnie.

— Tem lepiej, mój chłopcze. Twoja choroba nie wróciłaby mi zdrowia. Zresztą, kiedyż, jeżeli nie w twoim wieku, być zdrowym? O zdrowie! nic niema lepszego. Bardzo to grzecznie z twej strony, żeś przyszedł mnie odwiedzić, kiedy mógłbyś był zabawić się gdzieindziej. Wszak zjesz z nami obiad i przenocujesz na górze, obok pokoju Flory.

Znowu odgłos trąbki przerwał jej słowa.

Noc zapadła i oboje, zwracając się ku oknu, zaledwie rozpoznawali Misarda, rozmawiającego z jakimś człowiekiem.

Już skończył, oddawał służbę swemu zastępcy, dyżurnemu nocnemu.

Nareszcie wolnym miał być, po dwunastu godzinach, spędzonych w tej chacie, której umeblowanie składało się tylko ze stolika pod półkami z aparatem, krzesełka i pieca, od którego było tak gorąco, że musiał prawie ciągle trzymać drzwi otwarte.

— A! zaraz przyjdzie — szepnęła ciotka Phasia, naraz przejęta strachem.

Pociąg, zapowiedziany przybywał, bardzo ciężki, bardzo długi, z coraz głośniejszym tętentem. Aż młodzieniec musiał nachylić się do uszu, ażeby go słyszała chora, którą pragnął pocieszyć, wzruszony tym stanem opłakanym, w jakim się znajdowała.

— Posłuchaj, ciociu, jeżeli doprawdy źle myśli mąż, może się powstrzyma, gdy się dowie, że ja się w to wda-

łem... Dobrze byłoby, ażebyś mi powierzyła ten tysiąc franków.

Ostatni uczyniła wysiłek!

— Moje tysiąc franków! ani tobie, ani jemu. Powiadam ci, wolę zdechnąć!

W tej chwili pociąg przechodził w szalonym biegu, jakgdyby wszystko uprzątał przed sobą. Domek zatrząsł się od gwałtownego pędu wiatru.

Pociąg ten, zmierzający do Hawru, był bardzo napakowany, gdyż nazajutrz miała się tam odbyć uroczystość spuszczenia okrętu na morze.

Pomimo szybkości dawały się widzieć przez oświetlone szyby drzwiczek przedziały pełne, rzędy głów, ściśniętych obok siebie. Jedne następowały po drugich i znikały.

Ile osób! Zawsze tłum, tłum bez końca, wśród turkotu wagonów, gwizdania lokomotyw, brzęczenia telegrafu, dzwonienia dzwonków.

Było to jakby wielkie ciało, istota olbrzymia, na ziemi leżąca, z głową w Paryżu, plecami wzdłuż linii, nogami i rękami w Hawrze i innych stacyach kresowych.

Pierwsza powróciła Flora.

Zapaliła lampę naftową bez klosza i postawiła na stole.

Ani słowa nie wyrzekła, zaledwie spojrzała przelotnie na Jakóba, który się odwrócił, stojąc przy oknie. Na piecyku przygrzewał się kapuśniak. Podała go, gdy ukazał się Misard. Żadnego zdziwienia nie okazał, że zastaje tu młodzieńca. Może go widział, jak przyszedł, ale go nie wypytywał ciekawie.

Uścisk ręki, trzy słowa krótkie i nic więcej!

Jakób sam z własnej chęci musiał opowiedzieć historyę uszkodzenia lokomotywy i projekt swój odwiedzenia matki chrzestnej.

Misard kiwał zlekka głową, jak gdyby potakiwał, pochwalał, i usiedli do stołu, jedli, nie śpiesząc, najprzód w milczeniu.

Phasia, która od rana nie spuszczała z oczu kociołka, gdzie gotował się kapuśniak, wzięła sobie talerz zupy. Ale gdy mąż powstał, ażeby jej podać wodę żelazną, zapomnianą przez Florę, z karafki, w której moczyły się gwoździe, nie tknęła jej wcale.

On, uniżony, cichy, kaszlący nie dobrze wróżącym kaszlem, zdawał się wcale nie widzieć tych lękliwych spojrzeń, jakiemi śledziła najmniejsze jego poruszenie.

Kiedy prosiła o sól, której nie było na stole, powiedział jej, iż będzie żałowała, że tyle jej używa, że od tego jest właśnie chora; i wstał, przyniósł na łyżeczce szczyptę, sól, czyszczącą wszystko, jak mówiła.

Opowiadano sobie o powietrzu bardzo ciepłem od kilku dni, o wypadku na kolei, jaki się przed kilkoma dniami zdarzył w Maronsue.

Jakób w końcu pomyślał, że matka chrzestna miała tylko przywidzenia na jawie, bo jego nic nie uderzyło w tym człowieku, tak pobłażliwym, z oczyma zamglonemi.

Przeszło godzinę siedziano przy stole. Dwa razy na odgłos trąby, Flora znikała na chwilę. Pociągi przechodziły, wstrząsając szklankami; ale żaden z jedzących nawet uwagi na to nie zwracał.

Nowy oddźwięk trąbki dał się słyszeć i tym razem Flora, która zdjęła nakrycie, nie powróciła. Zostawiła matkę i dwóch mężczyzn przy butelce jabłeczniku. Wszystko troje siedziało tak jeszcze pół godziny. Poczem Misard, który od chwili zatrzymał oczy swe przepatrujące jeden z kątów pokoju, wziął czapkę i wyszedł, powiedziawszy tylko „do widzenia“. Ryby łapał w poblizkich strugach, gdzie były wspaniałe węgorze, i nigdy nie poszedł spać, dopóki nie odwiedził zastawionych sieci.

Skoro tylko wyszedł, Phasia spojrzała badawczo na chrześniaka.

— A co? co powiesz? widziałeś, jak on zaglądał do tego kąta? Musiała mu myśl przyjść, że mogłam schować pieniądze za faskę z masłem. O! znam go dobrze, i jestem pewną, że tej nocy będzie odstawiał faski i szukał.

Poty na nią wystąpiły, znowu się trzęsła.

— Widzisz, znowu się powtarza! Musiał mi cóś zadać, w ustach mam gorzko, jakbym połknęła stare miedziaki. Bogu przecie wiadomo, że nic nie wzięłam z jego ręki!.. Sił mi już brak. Muszę się położyć. Żegnam cię więc, mój chłopcze, bo jeżeli odjeżdżasz o godzinie 7 minut 26, będzie to dla mnie zawcześnie. A zajrzysz znowu, nieprawdaż? i miejmy nadzieję, że mnie jeszcze zastaniesz.

Musiał jej pomódz, ażeby przeszła do swego pokoju, gdzie położyła się i zasnęła znużona.

Zostawszy sam, zawahał się przez chwilę, myśląc, czy nie dobrze byłoby i jemu pójść się położyć na sianie, które go oczekiwało na strychu. Ale dopiero było trzy kwadranse na ósmą i miał czas jeszcze wyspać się.

Wyszedł więc sobie, pozostawiając palącą się lampkę naftową w pustym domu, uśpionym, wstrząsanym od czasu do czasu gwałtownym hukiem pociągu.

Na dworze Jakób zdziwiony został łagodnem powietrzem. Zapewne deszcz jeszcze będzie padał. Na niebie mgła mleczna, bezkształtna, rozproszyła się, a księżyc w pełni, którego nie widać było po za nią, oświetlał całe sklepienie czerwonawym blaskiem.

Wyraźnie też dawały się widzieć pola, na których pagórki i drzewa odbijały się czarną massą w tem oświetleniu jednostajnem i martwem.

Obszedł niewielki sad. Potem zamierzył iść w stronę Doinville, gdyż droga była tam mniej przykra. Ale widok domu samotnego, stojącego na drugim brzegu linii kolejowej, przyciągnął go i poszedł przez plant.

Dom ten znał dobrze, podczas każdej podróży przyglądał mu się wśród turkotu lokomotywy, i zawsze on na nim sprawiał wrażenie, choć sam nie wiedział dlaczego. Czuł, jak gdyby wywrzeć on miał wpływ na jego życie.

Za każdym razem doznawał najprzód obawy, czy go zastanie na miejscu, a później znów doświadczał jakiegoś niemiłego uczucia, że znów go zobaczył.

Nigdy nie widział, ażeby w tym domu były drzwi otwarte lub okna, a dowiedział się tylko tyle, że należał on do prezesa Grandmorrina.

Tego wieczora zdjęła go chęć pójść tam, ażeby się więcej dowiedzieć.

Długo stał Jakób na drodze, naprzeciw sztachet.

Cofał się, wspinał, starając się przyjrzeć bliżej.

Kolej żelazna, przecinając ogród, pozostawiła zresztą przed domem tylko mały placyk, otoczony parkanem, gdy z tyłu rozciągał się grunt, dość obszerny, otoczony żywopłotem.

Smutnie, ponuro, wyglądał ten dom w swem opuszczeniu, przy czerwonawych blaskach tej nocy mglistej.

Już miał się oddalić, z pewnym dreszczem na ciele, gdy spostrzegł w płocie dziurę. Myśl, że byłoby tchórzostwem z tego nie korzystać, skłoniła go do wejścia przez ten otwór.

Serce biło mu gwałtownie. Wtem, gdy przechodził obok zrujnowanej altanki, zatrzymał się na widok cienia, przykucniętego przy drzwiach.

— Jakto, to ty? — zawołał zdziwiony, poznając Florę. — Cóż ty tu robisz?

Ona również okazała zdziwienie. Potem zaś spokojniej wyrzekła:

— Widzisz dobrze, że zabieram sznury... Zostawiono tu duży pęk sznurów, które gniją, i nikt z nich nic niema. A ponieważ mnie są potrzebne, przyszłam po nie.

Wistocie, siedząc na ziemi, dużemi nożycami rozcinała węzły, gdy trudno było sznur rozwiązać.

— To właściciel już tu nie przychodzi? — spytał młodzieniec.

Rozśmiała się.

— O! od tej historyi z Ludwisią, niema obawy, ażeby prezes odważył się w Croix de Maufras pokazać koniec swego nosa. Mogę mu śmiało zabrać sznury.

Na chwilę zamilkł, zmieszany wspomnieniem wypadku tragicznego, które wywołała.

— A ty, czy wierzysz w opowiadanie Ludwiki, wierzysz, że on chciał ją uwieść, a ona zraniła się broniąc?

Przestała się śmiać i nagle zawołała gwałtownie:

— Ludwisia nigdy nie kłamała, ani Cabuche... Cabuche jest moim przyjacielem.

— Może twoim kochankiem teraz?

— Ii!.. to trzeba byłoby być gęsią!.. Nie, on tylko jest moim przyjacielem, ja nie mam kochanka, nie chcę żadnego.

Podniosła dużą głowę, której gęste włosy jasne, kręcące się, zasłaniały czoło. Cała jej postać silna i giętka tchnęła dziką energiją woli.

W okolicy stawała się już istotą legendową.

Różne historye opowiadano o niej, ile to razy już zapobiegła nioszczęściu na kolei, to jednem pchnięciem odsunęła wóz zapomniany na szynach, gdy pociąg już nadjężdżał; to znów wagon samotny, staczający się po pochyłości Barentin zatrzymała, jak dzikie zwierzę, galopujące na spotkanie pociągu.

A te dowody siły budziły podziw, czyniły ją przedmiotem pożądań, tembardziej, że ją zawsze uważano za lekką, bo zawsze włóczyła się po polach, szukała ustroni, wylegiwała się w rozpadlinach, z oczami, wpatrzonemi w powietrze, niema, nieruchoma.

Pierwsi jednak, którzy się odważyli, nie mieli ochoty drugi raz probować.

Opowiadano sobie powszechnie, że niejaki Ozil, zwrotniczy po drugiej stronie tunelu, na drodze do Dieppe, chłopiec trzydziestoletni uwierzył, złudzony pozorami, że może ją pozyskać, a ona tak go zbiła kijem, iż o mało ducha nie wyzionął.

Pozostała czystą i butną, pełną wzgardy dla wszystkich mężczyzn, co wreszcie naprowadziło znów na domysł, że brak jej piątej klepki w głowie.

Jakób, słysząc, jak wypierała się chęci posiadania kochanka, żartował dalej:

— Więc nic z tego małżeństwa z Ozilem? Powiadano mi, że codzień chodzisz do niego tunelem.

Wzruszyła ramionami.

— Acha! małżeństwo... Tunel mnie bawił... Półtrzeciej wiorsty lecieć w ciemności i myśleć, że można być przejechaną przez pociąg, jeżeli się tylko nie będzie uważało. Trzeba tylko posłuchać, jak pociągi tam sapią... Ale mnie ten Ozil zupełnie się znudził. Nie taki dla mnie.

— A innego to chcesz?

— E! niewiem... Nie! nie!

Śmiech ją zdjął, gdy jednocześnie musiała się bardziej nachylić nad sznurem, nie mogąc sobie dać rady z węzłem.

Potem, nie podnosząc głowy, jakby bardzo zajęta swą robotą:

— A ty — spytała — nie masz kochanki?

Jakób znów bardzo spoważniał.

Oczy jego odwróciły się, powieki zadrgały, a wzrok zapuścił się w dal, pokrytą ciemnościami nocy.

Odpowiedział krótko:

— Nie.

— Tak, tak — mówiła dalej. — Opowiadano mi, że masz wstręt do kobiet. A zresztą, nie od dziś cię znam, nigdy mi nie gadałeś grzeczności?.. Ale powiedz, dlaczego?..

Milczał, ona rzuciła wreszcie sznur i patrzyła na młodzieńca.

— Czy ty kochasz tylko swoją maszynę? Wiesz, że już z ciebie żartują. Powiadają, że ty ciągle ją tylko wycierasz, czyścisz, ażeby się błyszczała, jakbyś mógł się pieścić tylko z nią?.. Ja ci to mówię, bo jestem twoją przyjaciółką.

On także patrzył na nią teraz, przy bladem świetle zamglonego nieba.

I przypomniał sobie, że kiedy była maleńką, ale już żywą i upartą, zawsze skakała mu na szyję, gdy przychodził; miała do niego szczególne upodobanie.

Potem, gdy często tracił ją z oczu, za każdym razem zastawał ją bardziej podrosłą, zawsze rzucającą się na niego z całusami i coraz bardziej niepokojącą go płomieniami dużych, jasnych oczów.

Teraz była już kobietą, wspaniałą, ponętną, a kochała go zapewne głęboko, z całego serca i to oddawna, od samego dzieciństwa.

Serce mu bić zaczęło, doznał nagłego uczucia, że jest tym, na którego czeka.

W oczach mu się zaćmiło, krew uderzyła do głowy, pierwszym jego popędem było uciec, pod wrażeniem, jakie go przejęło.

Żądza znowu go czyniła szalonym, widział wszystko w kolorach czerwonych.

— Co ty tam tak stoisz? — podchwyciła — Usiądźże!

Znowu się zawahał.

Potem nogi raptownie się pod nim ugięły, usiadł, a raczej upadł przy niej, na stos sznurów.

Nie widział już nic, w gardle mu zaschło.

Ona wprzód dumna, milcząca, teraz gadała co tchu, wesoła, sama się trzpiocząc.

— Widzisz, mama nie dobrze zrobiła, że wyszła za mąż za Misarda. To się dla niej źle skończy. Ja się tam w to nie wtrącam, bo każdy ma dość swych kłopotów, nieprawdaż? A przytem matka każe mi zaraz iść spać, kiedy się w co wdam... Niechże sobie sama radzi, jak umie. Ja żyję na dworze. Myślę o tem, co będzie później... O! wiesz, widziałam, jakeś przejeżdżał dziś ze swą maszyną... Ot, patrz, w tamtych krzakach siedziałam. Ale ty nigdy nie patrzysz... A ja ci powiem, o czem myślę, ale nie teraz, później, kiedy będziemy zupełnie dobrymi przyjaciołmi.

Upuściła nożyce, a on wciąż niemy, wziął ją za ręce. Ucieszona pozwoliła mu na to. Jednakże kiedy je poniósł do warg palących, wzdrygnęła się w poczuciu dziewiczości.

Postawę przybrała obronną na tę zaczepkę mężczyzny.

— Nie! daj mi spokój, nie chcę!... Siedź spokojnie... porozmawiajmy... Mężczyźni zaraz mają takie myśli... O! gdybym ci powtórzyła, co mi Ludwika opowiedziała tego dnia, kiedy umarła u Cabucha... Zresztą, wiedziałam już ja o procesie, bo widziałam jego świństwa, kiedy tu przychodził z młodemi dziewczętami... Jest między niemi jedna, której nikt nie podejrzewa, a którą wydał za mąż...

On nie słyszał jej i nie słuchał.

Pochwycił ją gwałtownie i brutalnie usta jej rozgniatał swemi.

Krzyknęła zlekka, skarga się jej ozwała tak głęboka, a tak łagodna, że w niej brzmiało wyznanie długo tajonego uczucia.

Ale walczyła z nim, instynktownie, choćby przez chęć ażeby nie być pokonaną.

Przez chwilę mocowali się z sobą, kto kogo przewróci. Nareszcie gorset jej rozdarł się i upadła.

Wtedy on zadyszany nagle się zatrzymał.

Zdawało się, że szał go jakiś ogarnia, jakaś wściekłość dzika, że rozjuszony szuka kamienia, broni jakiejś, ażeby ją zabić.

Oczy jego napotkały nożyce, połyskujące wśród zwojów sznuru, i miał ochotę zatopić je w białe jej łono.

Ale uczucie zgrozy go wytrzeźwiło, odrzucił je, uciekł, pomieszany, z przymkniętemi powiekami, jakby sam jej teraz nie chciał, dlatego, że mu się opierała.

Jakób uciekał wśród posępnej nocy.

Pędził ścieżką z pagórka i wbiegł na niewielką dolinę; kamyki, toczące mu się pod nogami, przestraszyły go,

rzucił się na lewo w zarośla, a zawróciwszy na prawo znalazł się na pustej płaszczyźnie.

Nagle napotkał przed sobą ogrodzenie kolejowe: pociąg nadchodził, ryczący, pałający ogniem; z początku nie pojął tego nawet, znieczulony z przestrachu.

A! tak! tłum ludzi przejeżdżał, ta bezustanna fala, a on tu blizki był obłędu.

Odwrócił się od tego miejsca, poszedł dalej.

Wszędzie teraz napotykał tor kolejowy, w głębi nasypu, okręconego po obu stronach przepaściami.

Okolica ta pusta, przerznięta szynami, była jakby labiryntem bez wyjścia, gdzie odbywała się jego ucieczka, w ponurem pustkowiu pól, leżących odłogiem.

Długo tak biegł, aż ujrzał przed sobą czarny otwór, paszczę otwartą tunelu.

Pociąg nadjeżdżający zapuszczał się tam, dymiąc i gwiżdżąc i zostawiając po sobie takie wstrząśnienie, że ziemia aż drżała.

Jakób z nogami zmęczonemi upadł przy linii kolejowej i wybuchnął konwulsyjnym płaczem. Leżał na trawie, z twarzą w niej zanurzoną.

Mój Boże! więc mu się wróciła ta okropna choroba, z której myślał, że jest wyleczony?

Zabić przecie chciał to dziewczę!

Zabić kobietę! zabić kobietę! to brzmiało mu w uszach, z głębi jego młodości, ze wzmagającą się gorączką, z nurtującą go żądzą.

Jak inni, pod wpływem dojrzałości, pożądają kobiety, tak jego żądzą było kobietę zabić.

Bo nie mógł przed sobą kłamać, po to wziął nożyce, ażeby zatopić w jej ciele, skoro tylko zobaczył to ciało, tę szyję ciepłą i białą!

I to bynajmniej nie z gniewu, nie! ale dla przyjemności, bo wzrastało w nim pragnienie, takie pragnienie, że gdyby się nie uczepił trawy, byłby wrócił tam pędem, ażeby ją zamordować.

Ją, mój Boże! tę Florę, która w oczach jego wyrosła, to dziecko, przez które czuł się kochanym tak głęboko!

Palce jego zakrzywione wgłębiały się w ziemię, szlochanie wydarło mu się z gardła z jękiem okropnym rozpaczy.

Jednak starał się uspokoić, starał się sam siebie zrozumieć.

Czem się różnił w porównaniu z innymi?

Tam, w Plassans, w latach młodości, często się o to sam siebie zapytywał.

Matka jego, Gerweza wprawdzie powiła go bardzo młodo, w połowie szesnastego roku życia; ale był już drugim, bo pierwszego miała Klaudyusza, w roku zaledwie czternastym.

I żaden z obu braci, ani Klaudyusz, ani Stefan, urodzony później, nie zdawał się wcale cierpieć przez to, że pochodził z matki, takiego jeszcze dziecka, i ojca, takiego młokosa, jak piękny Lantier, którego złe serce miało tyle łez kosztować Gerwezę.

Może i jego bracia dotknięci też byli taką chorobą, do której się jednak nie przyznawali, zwłaszcza starszy, który gwałtownie chciał zostać słynnym malarzem, tak, że

jak twierdzono powszechnie, już zwaryował z tego zamiłowania i pragnień.

W rodzinie wielu to cierpiało.

On też w pewnych godzinach czuł już dobrze tę chorobę dziedziczną, co nie idzie zatem, ażeby zdrowie miał liche, tylko w istocie jego następowała często utrata równowagi, robiły się w nim jakby dziury, przez które uciekało jego jestestwo.

Nie należał do siebie, słuchał swych popędów, jak zwierzę rozwścieczone.

A przecież nie pił wcale, odmawiał sobie nawet małego kieliszka wódki, zauważywszy, że kilka kropli alkoholu wprawiało go w szaleństwo.

I myślał nieraz, że pokutował za ojców i praojców, którzy byli dużem pokoleniem pijaków, po których dostał krew popsutą, powolne zatrucie, dzikość, która go równała z wilkami, pożerającemi kobiety w głębi lasów.

Jakób podniósł się na łokciu, rozmyślając i przyglądając się czarnemu wejściu do tunelu. I naraz szlochanie z piersi podniosło się do gardła, upadł, wił się po ziemi, krzycząc z bólu.

Ta dziewczyna, ta dziewczyna, którą chciał zabić!

Na myśl tę, ból go przejmował taki, jak gdyby owe nożyce zatapiał we własne ciało.

Żadne rozumowanie nie uspakajało go; chciał ją zabić, zabiłby ją, gdyby tu była jeszcze, rozpięta, z szyją nagą.

Przypomniał sobie dobrze, miał wtedy zaledwie lat szesnaście, gdy go nawiedziła ta choroba, po raz pierwszy,

pewnego wieczora, gdy bawił się z małą dziewczynką, córeczką swojej krewnej; zbił ją o mało co nie na śmierć.

Następnego roku pamiętał, jak wyostrzył nóż, ażeby go zatopić w szyi innej małej blondynki, która codzień przechodziła przed bramą jego domu. Miała ona tłuściutką szyję różowiutką, gdzie już wybierał miejsce dla pchnięcia, pod uchem.

Potem przyszły inne jeszcze widziadła, cały ich szereg, stawały mu przed oczyma te wszystkie, na które patrzył z chęcią zamordowania, kobiety, spotkane na ulicy, to znów sąsiadki, zwłaszcza jedna z nich, młoda mężateczka, która siedziała przy nim w teatrze, śmiała się głośno, bardzo głośno, i od której musiał uciec podczas antraktu, z obawy, ażeby jej nie zabić.

Ponieważ ich nie znał, zkąd nabierał takiego względem nich rozwścieczenia? bo za każdym razem był to jakby atak nagłej ślepej wściekłości, pragnienia, wciąż się odradzającego, pomszczenia zniewag dawnych, których nawet nie mógł sobie dobrze przypomnieć.

Pochodziło to z tak dawnych czasów, od tego zła, jakie kobiety wyrządziły kiedykolwiek mężczyznom, z chęci odwetu, przeszłego z mężczyzny na mężczyznę, odwetu za pierwsze wiarołomstwo w jaskiniach pierwotnych?

I czuł także podczas ataku potrzebę walki, dla pokonania kobiety i poskromienia jej, uczuł żądzę, zabicia jej i zarzucenia sobie na plecy, jak łupu, wyrwanego innym, na zawsze.

Czaszka mu pękała pod tym wysiłkiem, odpowiedzi nie mógł dać sobie, zbyt nieświadomy, z mózgiem bezwładnym, w tej rozpaczy człowieka, pchanego do czynów gdzie wola jego jest niczem, gdzie nawet pobudki znikają.

Znów pociąg przebiegł z błyskawicznemi ogniami, z hukiem piorunu, zapalającego się i gasnącego, zagłębił się w tunel; a Jakób, jak gdyby ten tłum bezimienny, obojętny, śpieszący się, mógł go słyszeć, powstał, tłumiąc płacz, przybierając postawę niewinnego.

Ileż razy po doznanym ataku, czuł się jak gdyby umierającym!

Tylko na lokomotywie żył spokojnie, szczęśliwie, zdala od ludzi.

Kiedy go unosiła prędkiemi obrotami kół z wielką szybkością kiedy cały zajęty był przyglądaniem się drodze, przypatrywaniu się sygnałom, nie myślał już o niczem, oddychał pełną piersią powietrzem, zawsze w całym pędzie.

Dlatego tak kochał swą maszynę, jak kochankę uspakajającą, od której spodziewać się można tylko szczęścia.

Po wyjściu ze szkoły sztuk i rzemiosł, pomimo żywej inteligencyi, wybrał sobie zawód mechanika kolejowego, dla samotności i odosobnienia.

Bez zarozumiałości o sobie, po latach czterech, dochrapał się miejsca mechanika pierwszej klasy, z pensyą już dwóch tysięcy ośmiuset franków, która razem z oddzielnym dochodem procentowym za opał i smarowidła, wynosiła około czterech tysięcy. O żadnym jednak wyższym awansie nie mógł marzyć.

Widział, jak jego koledzy ze szkoły, ci, którzy powychodzili z drugiej lub trzeciej klasy, zostali tylko robotnikami, smarownikami i żenili się z kobietami prostemi, które pokazywały się tylko niekiedy, w porze odjazdu pociągu, przynosząc im koszyki z zapasami na drogę.

Koledzy zaś ambitniejsi, zwłaszcza ci, którzy pokończyli szkoły, zwlekali z ożenieniem się aż do czasu, gdy mogli zostać magazynierami, spodziewając się wtedy za żonę wziąć mieszczankę, damę kapeluszową.

On uciekał od kobiet, nic go to nie obchodziło? On nigdy się nie ożeni; on całe życie miał jeździć sam, ciągle i ciągle, bez odpoczynku.

Wszyscy też zwierzchnicy stawiali go za przykład, bo nie pił, nie latał; tylko koledzy żonaci żartowali sobie z takiej wstrzemięźliwości, inni zaś niepokoili się, gdy oddawał się swenu smutkowi, milczący, z oczyma wybladłemi, cerą ceglastą.

W małym pokoiku, przy ulicy Cardivet, zkąd widać było remizę kolejową w Batignolle, ileż godzin tam spędził, wszystkie godziny wolne, zamknięty jak mnich w głębi celi, zwalczając żądze swe siłą snu.

Jakób usiłował podnieść się.

Bo cóż robił tu w trawie, podczas wilgotnej i mglistej nocy ciemnej?

Okolica tonęła w ciemnościach, światło było tylko na niebie, gęsta mgła tworzyła olbrzymią kopułę ze szkła matowego, którą księżyc, schowany z tyłu, oświetlał bladym odbłyskiem żółtawym; a horyzont czarny spał w nieruchomości śmierci.

No! musiało być około dziewiątej, najlepiej było powrócić do domu i położyć się spać.

Lecz w odrętwieniu swem widział już, jak idzie napowrót do Misarda, wchodzi na schody, wyciąga się na sianie, obok izdebki Flory, a od niej oddziela go tylko proste przeforsztowanie z tarcic.

Ona byłaby tam, słyszałby jej oddech; wiedział, że drzwi nigdy nie zamyka, że mógłby do niej wejść.

I znowu go przejął dreszcz gwałtowny, gdy sobie wyobraził tę dziewczynę rozebraną, z ciałem ciepłem jeszcze od snu; płacz konwulsyjny rzucił go znów na ziemię.

On ją chciał zabić, chciał ją zabić, mój Boże!

Dusił się, obumierał na myśl, że poszedłby ją zabić w łóżku, zaraz, gdyby powrócił.

Nicby to nie pomogło, że nie miałby żadnej broni, że głowę gniótłby oburącz, dla przemożenia się; czuł, że choroba, naprzekór jego woli, popchnęłaby go ku tym drzwiom, że udusiłby tę dziewczynę.

Nie, nie! raczej noc przepędzić na włóczeniu się po polu, aniżeli tam powrócić.

Jednym skokiem się podniósł i zaczął uciekać.

I znowu pół godziny biegł przez ciemne pole, jakby goniła go cała psiarnia, spuszczona ze sfory. Skakał na pagórki, zeskakiwał na dół. Raz po raz drogę mu zamknęły dwa strumyki: przebył je, zamaczawszy się po łokcie. Do rozpaczy doprowadzał go krzak, który mu stanął na drodze.

Jedyną jego myślą było iść prosto, coraz dalej, coraz dalej, ażeby uciec przed sobą, ażeby uciec przed tem zwierzęciem wściekłem, które czuł w sobie.

Ono unosiło go jednak, galopowało z nim.

Od siedmiu miesięcy, sądząc, że już je wypędził od siebie, zajmował się bardziej innymi, niż sobą; a teraz znowu się zaczynało, teraz znów potrzeba się było z niem bić, ażeby się nie rzuciło na pierwszą, przypadkiem potrąconą kobietę.

Jednakże wielka cisza i rozległa samotność uspakajały go, pozwalały mu marzyć o życiu niemem i samotnem, jak to pustkowie, którędy wciąż szedł, nie napotykając żywej duszy.

Musiał jednak zawrócić w drugą stronę, bo natknął się znów na tor kolejowy, okrążywszy dość duże półkole zarośli, wystających po nad tunelem.

Cofnął się, z żywą obawą i gniewem, ażeby nie natrafił na ludzi. Potem, chcąc drogę przeciąć, po za wyjściem, zabłądził; znalazł się znów przed płotem kolejowym, tuż przy wyjściu z podziemia, na przeciw łąki, gdzie szlochał przed chwilą.

Zwyciężony szedł teraz wolno, gdy huk pociągu, do latujący z głębin ziemi, lekki z początku, lecz coraz bardziej się wzmagający, zatrzymał go na miejscu.

Był to pociąg pośpieszny do Hawru, który wyszedł z Paryża o godzinie wpół do siódmej, a przejeżdżał tędy o godzinie 9 minut 25, pociąg, którym, co dwa dni jeździł.

Jakób widział, jak najprzód czarna paszcza tunelu oświetlała się, niby otwór pieca, gdy w nim drzewo zapłonie.

Potem z łoskotem, przez siebie sprawionym, wysunęła się lokomotywa, olśniewając swem dużem okiem

okrągłem, latarnią przednią, której ogień przedarł ciemności i rzucał na szyny podwójną linię płomieni.

Było to jednak zjawisko błyskawiczne.

Natychmiast nastąpiły wagony, małe, kwadratowe szybki w drzwiczkach, z których padały gwałtowne błyski, a przedziały pełne pasażerów, przelatywały z taką szybkością, że oko ledwie dowierzało potem owemu przemijającemu widokowi.

A w tej krótkiej chwili, krótszej niźli sekunda, Jakób bardzo wyraźnie ujrzał przez oświetlone drzwiczki jednego z przedziałów, jak człowiek jakiś trzymał drugiego, przewróconego na ławce, i wsadzał mu nóż w gardło, gdy tymczasem jakaś masa czarna, może trzecia osoba całym ciężarem swoim przygniatała nogi mordercy.

Już pociąg uciekał, niknąc w stronie ku Croix de Maufras, pokazując tylko z siebie, trzy ognie przy ostatnim przedziale, trójkąt czerwony.

Przykuty do miejsca, młodzieniec ścigał oczyma pociąg, którego ryczenie cichło wśród wielkiego spokoju martwej okolicy.

Czyż dobrze widział?

I teraz wahał się, nie śmiał twierdzić, że rzeczywistością było to widzenie, przyniesione i porwane błyskawicą.

Ani jeden rys żywy nie pozostał mu z obu aktorów dramatu. Masa ciemna zapewne była burką podróżną, spadłą na ciało ofiary.

Jednakowoż z początku zdawało mu się, że rozróżnia gęste włosy i delikatną twarz bladą. Ale wszystko się z sobą zacierało, ulatniało się, jak marzenie.

Zapewne było to tylko działanie wyobraźni.

A wszystko to jednak mroziło go, zdawało mu się tak nadzwyczajnem, że w końcu przypuszczał, iż miał tylko halucynacyę, powstałą skutkiem strasznego ataku, jaki przechodził.

Godzinę jeszcze prawie Jakób szedł, z głową ociężałą od kołujących się myśli.

Złamany był, a dotkliwe zimno wewnętrzne pochłonęło w nim gorączkę.

Nie namyśliwszy się nawet wcale, powrócił w końcu znów do Croix-de Maufras.

Potem, gdy się znalazł przed domem dróżnika, powiedział sobie, iż nie wejdzie tam, że położy się pod małą szopą, w pobliżu gołębnika.

Ale snop światła padał przez drzwi domu, Jakób popchnął je machinalnie.

Widok niespodziewany zatrzymał go na progu.

Misard w kącie poodstawiał faski z masłem i na czworakach, przy świetle latarni, obok niego stojącej, opukiwał mur pięścią i przysłuchiwał się.

Na skrzyp drzwi obrócił się, zresztą wcale się nie zmieszał i rzekł po prostu tonem naturalnym:

— Zapałki mi upadły.

I kiedy ustawił faski na miejscu, dodał:

— Przyszedłem po latarnię, gdyż przed chwilą, wracając, spostrzegłem jakiegoś człowieka, leżącego na plancie... Zdaje mi się, że nieżywy.

Jakób, z początku przejęty myślą, że zszedł Misarda na szukaniu skarbów ciotki Phasii, co przemieniało w raptowną pewność jego wątpliwości co do jej oskarżeń,

został następnie tak gwałtownie wstrząśnięty wiadomością o znalezieniu trupa, że zapomniał o dramacie, odgrywającym się tu, w tym ustronnym domku.

Scena w przedziale, widzenie tak przelotne człowieka, mordującego drugiego, ożyło przed nim przy blasku jakby znów błyskawicy.

— Człowiek na plancie, gdzie? — zapytał, blednąc.

Misard miał mu już odpowiedzieć, jak niósł dwa węgorze, wyjęte z sieci, i biegł do domu pędem, ażeby je schować.

Ale po co się było zwierzać temu chłopcu?

Machnął tylko ręką i odrzekł:

— A tak... o jakie pięćset metrów... Trzeba się lepiej przyjrzeć, ażeby zobaczyć.

W tejże chwili Jakób usłyszał po nad głową uderzenia przygłuszone.

Tak był przelękniony, że skoczył z miejsca.

— To nic — podchwycił ojciec — to Flora tam chodzi.

I młodzieniec rzeczywiście poznał stąpanie nóg bosych po podłodze. Musiała nań czekać, musiała go słyszeć przez drzwi, na wpół uchylone.

— Idę z panem — podjął. — A czyś pan pewien, że umarł?

— O! tak mi się zdaje. Przy latarni lepiej się zobaczy.

— I cóż pan o tem myślisz? Wypadek, nieprawdaż?

— Być może. Zapewne jaki zuch rzucił się pod pociąg, a może który z podróżnych wyskoczył z wagonu.

Jakób wstrząsnął się.

— Chodź pan prędzej, chodź!

Nigdy go nie ogarniała taka gorączka zobaczenia, dowiedzenia się. Po za domem, gdy towarzysz jego, bez najmniejszego wzruszenia szedł plantem, bujając latarnią, której smuga światła pełzała po szynach, on biegł naprzód gniewny na tę powolność.

Było to jakby pragnienie fizyczne, ten ogień wewnętrzny, który przyspiesza kroki kochanków, w godzinach schadzki.

Bał się tego, co go tam czekało, a jednak leciał tam wszystkiemi mięśniami członków.

Kiedy przybył, kiedy o mało co się nie potknął o czarną masę, wydłużoną na zakręcie plantu, stanął jak wryty, wstrząśnięty dreszczem od stóp do głowy.

A żal jego, że nie mógł nic wyraźnie rozróżnić, zamienił się w wymyślania na tamtego, który opóźniał się przynajmniej o trzydzieści kroków.

— Ależ, na Boga, chodź pan... jeżeli jeszcze żyje, możnaby go uratować.

Misard, drepcząc, zbliżał się z zimną krwią.

Potem, gdy poruszył latarnią po nad ciałem:

— O! — odezwał się — ma on już dość.

Człowiek ten, wyleciawszy bezwątpienia z wagonu, upadł na brzuch, twarzą na ziemię, o pięćdziesiąt centymetrów najwyżej od szyn.

Widać było tylko jego głowę, wianek gęsty białych włosów. Nogi leżały odrzucone w bok. Z rąk jedna jakby była oderwana, druga zgięta pod piersią.

Ubrany był bardzo dostatnio, w szerokim paltocie z sukna granatowego, w eleganckich kamaszach i cienkiej bieliźnie.

Ciało nie miało żadnych śladów zgniecenia, tylko z gardła upłynęło dużo krwi i powalało kołnierz u koszuli.

— Urządzono tego mieszczucha — podchwycił spokojnie Misard, po kilku sekundach przypatrywania się w milczeniu.

Poczem, zwracając się do Jakóba, nieruchomego, z otwartemi ustami:

— Nie trzeba ruszać, to zabronione... Zostaniesz pan tutaj i będziesz pilnował, a ja pobiegnę do Barentin, uprzedzić zawiadowcę stacyi.

Podniósł latarnię i spojrzał na kamień przydrożny, znaczony cyfrą odległości.

— Przy samym 153 im.

I, postawiwszy latarnię na ziemi przy zwłokach, oddalił się krokiem ociężałym.

Jakób, pozostawszy sam, nie ruszał się, patrzył ciągle na tę masę bezwładną, rozciągniętą, którą mdłe światło, padające na ziemię, czyniło bezkształtną.

A w nim wzruszenie, które przyspieszyło jego bieg, które go tu zatrzymywało, kończyło się tą przeszywającą myślą, wydobywającą się z całej jego istoty: tamten, człowiek, którego ujrzał z nożem w dłoni, miał jednak śmiałość! tamten spełnił do końca pragnienie swoje, tamten zabił!

A! nie być tchórzem, zadowolić się nareszcie, wsadzić nóż!

On, którego żądza dręczyła od lat dziecięcych, w tej gorączce miał wzgardę dla siebie samego i uwielbienie dla tamtego, a szczególniej czuł potrzebę zobaczyć to, czuł niepowściągnione pragnienie napoić oczy tym łachmanem ludzkim, tem stłuczonem cackiem, tą padliną, w którą nóż przemieniał żyjącą istotę.

O czem marzył, tamten dokonał i to tak samo.

Gdyby on zabił, leżałoby to także na ziemi.

Serce o mało mu nie wyskoczyło z piersi; popęd jego do morderstwa wydzierał się z niego gwałtem, na widok tej śmierci tragicznej.

Postąpił krok, zbliżył się bardziej, jak dziecko nerwowe, które się oswaja ze strachem.

Tak! i onby miał śmiałość, i on!

Ale łoskot po za plecami zmusił go do odskoczenia w tył.

Pociąg nadjeżdżał, którego nawet nie słyszał w tem zachwyceniu.

Zmiażdżony byłby, dopiero ostrzegł go oddech gorący, podmuch potężny lokomotywy.

Pociąg przebiegł w huraganie huku, dymu i płomienia.

Było w nim osób dużo, fala podróżnych unosiła się ciągle ku Hawrowi na zbliżającą się uroczystość.

Dziecko jakieś płaszczyło sobie nos na szybie, przyglądając się ciemnej okolicy, a młoda kobieta opuszczała okno i wyrzucała papier, powalany masłem i lukrem.

Już pociąg wesoły mknął dalej, nie troszcząc się wcale o trupa, którego jego koła dotykały.

A trup leżał wciąż na twarzy, oświetlony niewyraźnie latarnią, pośród melancholicznego spokoju nocy.

Wtedy Jakóba zdjęła chęć zobaczyć ranę, póki sam był.

Niepokój go powstrzymywał, myśl, że gdy dotknie się głowy, mogą to zauważyć.

Obliczył sobie, że Misard nie był w stanie wcześniej wrócić z zawiadowcą stacyi, niż za trzy kwadranse.

I pozwalał upływać minutom, myślał o tym Misardzie, o tym cherlaku, tak powolnym, tak spokojnym, który także miał śmiałość zabijać najspokojniej w świecie trucizną.

Więc zabić było łatwą rzeczą?

Zbliżył się, myśl zobaczenia rany kłuła go tak ostro, że ciało go paliło.

Zobaczyć, jak to zrobiono i, co popłynęło, zobaczyć dziurę czerwoną!

Jak ułoży głowę starannie, nikt się nie dowie.

Ale bał się jeszcze czego innego, choć nie chciał się do tego przed sobą przyznać, w wahaniu swojem, bał się krwi.

Zawsze i we wszystkiem to przerażenie budziło się u niego jednocześnie z pragnieniem.

Jeszcze kwadrans mógł być sam i już miał się odważyć, gdy drgnął, posłyszawszy obok siebie jakiś szmer

Flora stała tuż, patrząc, jak on.

Ciekawa była zawsze wypadków; niech tylko powiedziano, że bydlę albo człowiek przejechany został przez pociąg, z pewnością zaraz tam była

Ubrała się na nowo, chciała zobaczyć trupa, o którym mówił ojciec.

A po pierwszem spojrzeniu nie wahała się ona wcale.

Jedną ręką podniosła latarnię, drugą ujęła za głowę i odwróciła ją.

— Strzeż się, nie wolno — wyszeptał Jakób.

Ale ona wzruszyła ramionami.

I głowa ukazała się w blasku żółtym, głowa starca, z dużym nosem, oczyma niebieskiemi, szeroko rozwartemi.

Poniżej podbródka zionęła rana, okropna, głęboki otwór, przerznięcie szyi, rana rozorana, jakgdyby w niej nóż się obrócił.

Krew płynęła najobficiej po prawej stronie piersi. Na lewej stronie, w dziurce od paltota, wstążka orderu komandora wydawała się cała bryłką skrzepłej krwi.

Flora wydała lekki okrzyk zdziwienia.

— A! to stary!

Jakób, nachylony, tak, jak ona, zbliżał się, włosy mieszając z jej włosami, ażeby lepiej widzieć; dusił się, dławił na ten widok.

Mimowiednie powtórzył:

— Stary... stary...

— Tak, stary Grandmorrin... Prezes.

Przez chwilę jeszcze przyglądała się tej twarzy bladej, ustom wykrzywionym, oczom, rozszerzonym w przerażeniu.

Potem puściła głowę, którą poczynał ścinać chłód trupi.

Głowa upadła na ziemię, zasłaniając ranę.

— Już się nie będzie śmiał z dziewczynami — odezwała się ciszej. — To niechybnie za jedną z nich... A! moja biedna Ludwisia!.. a! św . . . . dobrze mu tak!

I zapanowała długa cisza.

Flora, postawiwszy latarnię, czekała, rzucając na Jakóba powłóczyste spojrzenia, on zaś, przedzielony od niej zwłokami, nie ruszył się wcale, jakby przestraszony, zgnębiony tem, co zobaczył.

Musiało być około jedenastej.

Czekała cierpliwie jeszcze chwil kilka, zdziwiona milczeniem, którego nie przerywał.

Zakłopotanie po scenie wieczornej nie pozwalało jej mówić pierwszej.

Ale wtem dał się słyszeć szmer głosów. To ojciec jej przyprowadzał zawiadowcę stacyi. Nie chcąc być widzianą, zdecydowała się.

— Nie idziesz spać?

Drgnął, zawahał się jakby przez chwilę.

Potem z wysiłkiem rozpaczliwym wyrzekł:

— Nie! nie!

Nie uczyniła żadnego poruszenia, ale opadające prosto ręce u tej silnej dziewczyny wyraziły żal widoczny.

Jakby chcąc go sobie przejednać za okazany przedtem opór, odezwała się jeszcze pokorniej:

— Więc nie przyjdziesz nie?

— Nie! nie!

Głosy zbliżały się i ona, nie starając się nawet uścisnąć mu ręki, bo zdawał się umyślnie odgradzać się od niej trupem, nie pożegnawszy go ani jednem słowem,

oddaliła się, znikła w ciemnościach, gwałtownie dysząc, jakby szlochając.

Niebawem zawiadowca stacyi już był na miejscu z Misardem i dwoma oficyalistami.

On również stwierdził tożsamość: rzeczywiście był to prezes Grandmorrin, którego widywał, jak wysiadał na jego stacyi, za każdym razem, gdy jechał do siostry swej pani Bonnehon w Doinville.

Ciało mogło pozostać na miejscu, gdzie upadło, kazał je tylko przykryć płaszczem, który jeden z oficyalistów przyniósł.

Jeden z urzędników otrzymał rozkaz, ażeby pociągiem z Barentin o godzinie jedenastej pojechał zawiadomić prokuratora w Rouen.

Ale nie można się było spodziewać go wcześniej niż przed godziną szóstą zrana, bo miał przywieźć z sobą sędziego śledczego, sekretarza trybunału i lekarza.

Zawiadowca stacyi tym czasem postawił straż przy nieboszczyku: podczas całej nocy luzowano się, ciągle pilnował jeden człowiek z latarnią.

A Jakób, zanim postanowił iść się położyć w jakiej szopie na stacyi Barentin, zkąd miał odjechać do Hawru dopiero o godzinie siódmej minut dwadzieścia, stał jeszcze wciąż nieruchomy, zadumany.

Potem myśl o sędziu śledczym, którego oczekiwano, przestraszyła go, jak gdyby był wspólnikiem zbrodni.

Czy ma powiedzieć, co widział w przelocie pociągu? Z początku zamierzył mówić, ponieważ o siebie nie potrzebował się zgoła lękać.

Jego obowiązek w tym względzie nie ulegał zresztą wątpliwości.

Potem jednak zapytał sam siebie: po co? nie dostarczyłby żadnego pewnego faktu, nie mógłby stwierdzić żadnego szczegółu dokładnego co do zabójcy.

Głupio byłoby mieszać się w to, tracić czas, przejmować się, bez korzyści dla kogokolwiek.

Nie, nie, nie będzie mówił.

I odszedł wreszcie, choć wrócił się jeszcze dwa razy, ażeby się przyjrzeć garbowi czarnemu, jaki ciało tworzyło na ziemi, w promieniu żółtawego blasku latarni.

Zimno przejmujące wiało z mglistego nieba, wśród pustkowia okolicy.

Pociągi ciągle przejeżdżały, znowu przybywał w stronę Paryża, bardzo długi.

Wszystkie się krzyżowały przy potężnej mocy mechanizmu, mknęły do dalszego celu, ku przyszłości, muskając głowę bezwiednie, nawpół odciętą, głowę tego człowieka, którego drugi człowiek zamordował.

III.

Nazajutrz, w niedzielę zrana, piąta godzina wybiła na wszystkich wieżach w Hawrze, kiedy Roubaud wszedł pod daszek stacyjny, udając się na służbę.

Ciemno było jeszcze zupełnie, a wiatr, który dął od morza, wzmógł się i pędził mgły, zatapiając niemi wzgó-

rza, ciągnące się od Saintes Adresse do fortu Tourneville; ku wschodowi, po nad morzem, ukazywała się światłość na rąbku nieba, gdzie błyszczały jeszcze ostatnie gwiazdy.

Na peronie latarnie gazowe paliły się światłem, pobladłem od wilgotnego zimna wczesnej godziny.

Stał pierwszy pociąg do Moutvilliers, pociąg służbowy.

Drzwi od poczekalni nie były pootwierane, platforma ciągnęła się pusta, w tem zdrętwiałem jeszcze przebudzeniu się stacyi.

Kiedy wychodził od siebie, na górze, po nad salami poczekalnemi, Roubaud zastał żonę kasyera, panią Lebleu, nieruchomo stojącą pośrodku głównego korytarza, na który wychodziły mieszkania urzędników.

Od wielu już tygodni pani ta wstawała w nocy, ażeby szpiegować pannę Guichon, buchalterkę, którą podejrzewała o romans z zawiadowcą stacyi, panem Dabadie. Zresztą nie zauważyła nigdy najmniejszej drobnostki, ani cienia, ani oddechu.

I tego rana jeszcze prędzej weszła do siebie, nie bez pewnego jednak ździwienia, bo u Roubaudów, przez trzy sekundy, w ciągu których otwarte były i zamknięte drzwi przez męża, spostrzegła żonę stojącą w pokoju jadalnym, piękną Sewerynę, już ubraną, uczesaną, obutą, chociaż zwykle wylegiwała się w łóżku do godziny dziewiątej.

To też pani Lebleu nie omieszkała obudzić małżonka swego, ażeby mu powiedzieć o tym niezwykłym fakcie.

W przeddzień nie kładli się spać, przed przyjazdem pociągu z Paryża, to jest przed jedenastą minut pięć, pa-

leni ciekawością dowiedzenia się, co się stało z awanturą podprefekta.

Nic jednak nie mogli wyczytać z miny Roubaudów, którzy mieli ją taką, jak zwykle; i daremnie do północy nadstawiali uszu; żaden głos nie odezwał się u ich sąsiadów, widocznie zaraz usnęli snem twardym.

Niewątpliwie podróż ich nie dała im dobrego rezultatu, w przeciwnym razie bowiem Seweryna nie byłaby tak wcześnie wstała.

A gdy kasyer zapytał, jaką miała minę, żona usiłowała ją odmalować: bardzo sztywna, bardzo blada, z rozszerzonemi oczyma niebieskiemi, tak jasnemi przy czarnych włosach; i bez żadnego ruchu, jakby lunatyczka.

Zresztą dowiedzą się w ciągu dnia, co o tem trzeba myśleć.

Na dole Roubaud spotkał kolegę swego, Moulina, który skończył właśnie dyżur nocny.

I objął po nim służbę, a tymczasem Moulin rozmawiał, przechadzał się jeszcze przez kilka minut, opowiadając mu najdrobniejsze fakty z dnia poprzedniego: jacyś złodzieje złapani zostali, gdy się zakradali do magazynu; trzech ludzi ze służby ruchu otrzymało naganę za nieposłuszeństwo; łańcuch pękł, przy ustawianiu pociągu do Montvilliers.

Roubaud słuchał w milczeniu, z twarzą spokojną; był tylko trochę blady, zapewne w następstwie zmęczenia które wskazywały także jego podsiniałe oczy.

A jednak, gdy kolega przestaje mówić, zdaje się pytać go jeszcze, jak gdyby spodziewał się usłyszeć jeszcze o innych wypadkach.

Ale tamten nic więcej już nie opowiada, to już wszystko. Opuścił głowę i przez chwilę patrzy na ziemię.

Tak chodząc pod przykrytą dachem platformą, obaj doszli do miejsca, już otwartego, gdzie po prawej stronie wznosiła się remiza, w której stały wagony kursujące, te mianowicie, jakie, przybywszy w przeddzień z podróży, miały nazajutrz znów składać pociąg, wyprawiany w drogę.

Podniósł głowę, spojrzenie jego utkwiło w jednym z wagonów klasy pierwszej, zaopatrzony tylko w jeden przedział, numer 293, który latarnia gazowa oświetlała właśnie blaskiem niepewnym, wtem Moulin zawołał:

— A! zapomniałem!..

Blada twarz Roubauda zaczerwieniła się i nie przemógł powściągnąć lekkiego drgnięcia.

— Zapomniałem — powtórzył Moulin — że wagon ten nie może jechać, nie każ go kolega zakładać zrana do pociągu pośpiesznego o godzinie szóstej minut czterdzieści

Zapanowało krótkie milczenie, zanim Roubaud spytał głosem bardzo naturalnym:

— Tak! a to dlaczego?

— Bo zamówiony jest oddzielny wagon pierwszej klasy na pociąg pospieszny wieczorny. Niewiadomo, czy w ciągu dnia nadejdzie taki wagon, lepiej więc ten zatrzymać.

Spojrzał na niego znów badawczo, poczem odpowiedział:

— Zapewne.

Lecz inna go myśl zajmowała i nagle wybuchnął:

— Pfe! jakie to obrzydliwe! Jak te gałgany czyszczą! Ten wagon musiał być nie czyszczony już od tygodnia.

— O! — podchwycił Moulin — kiedy pociąg przyjdzie po jedenastej, niema obawy, ażeby posługacze wzięli się do ścierek... Dobrze jeszcze, jeżeli zechce się im zajrzeć do środka. Niedawno zapomnieli w wagonie jakiegoś pasażera, który spał, i obudził się dopiero nad ranem.

Potem, powstrzymując ziewanie, dodał, że idzie spać. Już miał odchodzić, kiedy wróciła go ciekawość:

— Ale, ale, a jak wasza sprawa z podprefektem, załatwiona już, nieprawdaż?

— Tak, bardzo dobrze mi się powiodła cała podróż, jestem zadowolony.

— No, to dobrze... A pamiętaj kolego, numer 293 nie jedzie.

Kiedy Roubaud został sam na platformie, wrócił powoli ku stojącemu na szynach pociągowi do Montvilliers. Drzwi od sal zostały otwarte, zjawili się podróżni, kilku strzelców z psami, dwie czy trzy rodziny drobnych kupców, korzystające z niedzieli, wogóle mało osób.

Ale gdy pociąg odjechał i zaledwie miał czas zniknąć, Roubaud musiał już myśleć o przygotowaniu pociągu osobowo-towarowego, wyruszającego o trzy kwadranse na szóstą zrana do Rouen i do Paryża.

Zrana i tak wcześnie, personel był zwykle bardzo nieliczny i pomocnik zawiadowcy miał sporo różnej roboty.

To musiał pilnować każdego wagonu, który robotnicy wtaczali z remizy na szyny pod platformę, to

biegł do sali towarowej, ażeby być obecnym przy ekspedyowaniu pakunków.

Między żołnierzami, a jednym z urzędników powstała kłótnia, w którą musiał się wdać.

Przez pół godziny na przeciągach mroźnego powietrza, wśród tłumu, dygoczącego z zimna, z oczami, klejącemi się od snu, przy ciągłem popychaniu się, musiał się podwajać, myślą nawet nie należał do siebie.

Potem, gdy pociąg osobowo-towarowy odszedł, platforma znów opustoszała.

Wtedy udał się do dróżnika, dla upewnienia się, czy wszystko w porządku znajduje się w tej stronie, gdyż inny pociąg przybywał prosto z Paryża, a nawet już się opóźniał.

Wrócił, ażeby obecnym być przy wysiadaniu, czekał, aż tłum podróżnych odda bilety i rozproszy się w omnibusach hotelowych, które naówczas czekały przy platformie, oddzielone od plantu tylko sztachetami.

I wtedy dopiero mógł odpocząć przez chwilę, na stacyi, która stała się pustą i milczącą.

Szósta godzina biła.

Roubaud wyszedł z przykrytej dachem platformy i na otwartem powietrzu, mając przed sobą wolną przestrzeń, podniósł głowę, odetchnął, widząc, że się rozwidnia nareszcie.

Wiatr od strony morza ostatnie rozwiał mgły, zajaśniał pogodny poranek pięknego dnia.

Spojrzał najpierw w stronę Ingouville, aż do drzew cmentarza, odbijających ciemną masą na blednącem niebie; potem, zwróciwszy się ku południowi i zachodowi,

zauważył po nad morzem ulatniające się resztki pierzastych obłoczków mgły, rozpływające się na horyzoncie, gdy cały wschód począł rumienić się blaskami wstającego słońca.

Ruchem machinalnym zdjął z głowy czapkę, wyszytą szychem srebrnym, jakby chciał orzeźwić czoło świeżem i czystem powietrzem.

Ten widnokrąg, do którego tak przywykł, rozległa płaszczyzna obszarów stacyi, całe miasto nawet zdawało się go uspakajać, przywracać go spokojowi codziennej pracy, powszedniej, wiecznie tej samej.

Po nad murami ulicy Karola Lafitte dymiły kominy fabryczne, widniały ogromne stosy węgli magazynowych, wzdłuż Vauban.

A już wszczynał się gwar.

Gwizdania pociągów, szum przebudzenia się, zapach fal, przynoszony wiatrem, przypomniały jego myślom uroczystość na dziś zapowiedzianą, ten okręt, ktory miano spuścić na wodę, a przy którym tłum będzie się tłoczył i gniótł.

Kiedy Roubaud powrócił pod platformę przykrytą, zastał służbę, szykującą pociąg pośpieszny na godzinę 6 minut 40, i zdawało mu się, że robotnicy wytaczają wagon numer 293.

Wtedy znikł w nim odrazu wszystek spokój, pozyskany dzięki orzeźwiającemu powietrzu.

— Krocset tysięcy! tylko nie ten wagon! dajcie mu spokój! On pojedzie dopiero wieczorem.

Nadkonduktor tłómaczył mu, że posuwano tylko wagon, ażeby zabrać stojący po za nim.

Ale on nie słyszał nic, ogłuszony uniesieniem niezmiernem.

— Gałgany! idyoci! mówiłem wam, ażebyście nie ruszali!

Kiedy nareszcie zrozumiał, gniew jego spadł na niedogodności stacyi, gdzie nie można było obrócić wagonu.

Rzeczywiście stacya, zbudowana, jedna z najpierwszych na całej linii, była zbyt mała, niegodna Hawru, ze starą remizą drewnianą, dachem drewnianym, przykrytym blachą, wązkiemi szybkami, budynkami nagiemi i smutnemi, wszędzie wymagającemi odnowienia.

— To wstyd, nie wiem doprawdy, dlaczego Towarzystwo jeszcze tego nie zwaliło!

Ludzie przy pociągu patrzyli na niego, dziwiąc się, że mówi tak śmiało, on, który się odznaczał zwykle tak ścisłą uległością.

Sam się też spostrzegł i zaraz zamilkł.

Odtąd, milczący, sztywny, pilnował ustawiania wagonów. Zmarszczka niezadowolenia przerzynała mu czoło nizkie, gdy twarz okrągła i rumiana, najeżona broda rudawa, nabierała cechy głębokiej woli.

Odtąd Roubaud już miał wszystką zimną krew.

Czynnie zajął się pociągiem pośpiesznym, kontrolował każdy szczegół. Zaprzęganie wydało mu się złem, żądał, ażeby wagony połączono w jego oczach.

Matka z dwiema córkami, które bywały u jego żony, chciały, ażeby je usadowił w oddzielnym przedziale dla kobiet.

Potem, przed zagwizdaniem na znak odjazdu, upewnił się jeszcze co do dobrego porządku w pociągu, i pa-

trzył na niego długo, jak się oddalał, tem jasnem spojrzeniem ludzi, których chwilowe roztargnienie może pozbawić życia tylu ludzi.

Zresztą natychmiast musiał przejść przez szyny, dla przyjęcia pociągu z Rouen, wjeżdżającego na stacyę.

Właśnie znajdował się w nim urzędnik pocztowy, z którym codzień, opowiadali sobie nowości.

Podczas poranku, tak pracowitego, był to krótki wypoczynek, prawie kwadrans, w ciągu którego mógł swobodnie oddychać, bo nie wzywało go żadne pilne zajęcie.

I tego poranku, jak zwykle, zapalił papierosa, rozmawiał bardzo wesoło.

Dzień już się zrobił duży, pogaszono latarnie gazowe pod werendą.

Była ona tak ubogo oświetlona, że zmrok szary jeszcze na niej panował; ale po za nią, na zewnątrz, rozległa przestrzeń nieba, na którą wychodziła, już pałała pożarem promieni słonecznych, gdy horyzont cały różowił się w czystem powietrzu pięknego poranku zimowego.

O godzinie ósmej pan Dabadie, zawiadowca stacyi, przychodził zwykle, a pomocnik zawiadowcy zdawał raport.

Był to piękny mężczyzna, mocny brunet, tęgiej postawy, wyglądający na wielkiego przemysłowca, zajętego wciąż interesami.

Zresztą, niewiele się interesował dozorem podróżnych, zajmował go najbardziej olbrzymi przewóz towarów transito, ciągłe stosunki z wyższem kupiectwem w Hawrze z całym światem.

Tego dnia spóźnił się; Roubaud dwa razy już uchylał drzwi od kancelaryi i wcale go nie zastał.

Na stole nawet listy nie były otwarte. Oczy pomocnika zawiadowcy padły wśród nich na depeszę.

Potem, jak gdyby go wpływ jakiś magnetyczny przytrzymywał na miejscu, nie odszedł już ode drzwi, obawiając się mimowoli i rzucając na stół spojrzenia dorywcze.

Wreszcie o godzinie ósmej zjawił się p. Dabadie.

Roubaud, siedząc, milczał, ażeby mu nie przeszkadzać w otwarciu depeszy.

Ale naczelnik nie śpieszył się, chciał pokazać się uprzejmym dla swego podwładnego, którego cenił.

— No i cóż, naturalnie wszystko poszło dobrze w Paryżu?

— Tak, panie, dziękuję panu.

Otworzył wreszcie telegram, ale go nie czytał, uśmiechał się wciąż do swego pomocnika, którego głos stał się jakoś zdławionym, przy gwałtownym wysiłku, jaki czynił, dla zapanowania nad nerwowym kurczem, jaki mu wykrzywił podbródek.

— Bardzo jesteśmy szczęśliwi, żeś pan tu pozostał.

— I ja, panie naczelniku, cieszę się bardzo, że zostałem przy panu.

Teraz dopiero pan Dabadie zabrał się do przejrzenia depeszy.

Roubaud, któremu lekki pot wystąpił na twarz, przyglądał mu się uważnie.

Ale wzruszenie, którego się spodziewał, nie dało się wcale widzieć, zawiadowca spokojnie kończył czytanie

telegramu, który rzucił potem na biurko, zapewne prosta wiadomość służbowa.

I zaraz pan Dabadie jął otwierać korespondencye, gdy jednocześnie, według zwyczaju, pomocnik jego jak co rano, zdawał mu raport o tem, co zaszło podczas nocy i zrana.

Tym razem jednak Roubaud musiał się namyślać, zanim sobie przypomniał, co mu kolega mówił, o owych włóczęgach, schwytanych, gdy się zakradli do magazynu.

Kilka słów jeszcze zamienili z sobą, i zawiadowca pożegnał go kiwnięciem głowy, gdy przyszli dwaj inni pomocnicy zawiadowcy, przy przewozie towarów, również dla zdania raportu.

Przynieśli nową depeszę, którą urzędnik oddał im tylko co pod werendą.

— Możesz pan odejść — rzekł głośno pan Dabadie, widząc, że Roubaud zatrzymał się przy drzwiach.

Ale ten czekał, z oczyma, wpatrzonemi w depeszę, i odszedł dopiero, gdy ćwiartka papieru upadła na biurko, również tak samo obojętnie.

Przez chwilę chodził pod werendą, roztargniony, oszołomiony.

Zegar wskazywał godzinę ósmą minut trzydzieści pięć, żaden już pociąg nie odchodził, przed osobowo-towarowym o godz. 10 minut 40.

Zwykle czas ten spędzał na obchodzeniu stacyi dokoła.

Przez kilka minut szedł, nie wiedząc, dokąd go kroki prowadzą.

Potem, gdy podniósł głowę i zobaczył, że się znajdował przed wagonem nr. 293, zatrzymał się nagle i podążył ku remizie lokomotyw, chociaż nie miał nic do zobaczenia w tamtej stronie.

Słońce wschodziło coraz wyżej na sklepienie niebios, pył złoty padał na blade powietrze.

A on nie napawał się już pięknym porankiem, przyśpieszał kroku, z miną bardzo zajętą, starając się zabić chwile oczekiwania.

Nagle zatrzymał go jakiś głos.

— Panie Roubaud, dzień dobry... Czy pan widział moją żonę?

Był to Pecqueux palacz, wysoki, wieku lat czterdziestu trzech, chudy, kościsty, z twarzą spaloną od ognia i dymu.

Oczy szare pod czołem nizkiem, usta szerokie z wystającemi szczękami, śmiały się ciągle rubasznie.

— Jakto, to pan? — odezwał się Roubaud, zatrzymując się zdziwiony. — A! tak, z lokomotywą wydarzył się wypadek, zapomniałem... I pojedziesz pan dopiero wieczorem? Urlop na dwadzieścia cztery godzin, dobra gratka, co?

— Dobra gratka — powtórzył tamten, nie całkiem jeszcze wytrzeźwiony po wczorajszej pijatyce.

Ze wsi, w pobliżu Rouen, wstąpił zamłodu na kolej, jako robotnik ślusarski.

Potem, w trzydziestym roku życia, sprzykrzywszy sobie warsztaty, chciał zostać palaczem, ażeby później awansować na mechanika; wtedy to ożenił się z Wiktoryą z tej samej wsi, co i on.

Lata jednak biegły, a on wciąż był palaczem, i teraz nigdy nie zostanie mechanikiem, bo się źle prowadzi, pije, za kobietami lata.

Dwadzieścia razy wydalonoby go ze służby, gdyby nie miał protekcyi prezesa Grandmorrina, i gdyby się nie przyzwyczajono do jego wad, które wynagradzał dobrym zawsze humorem i doświadczeniem wytrawnego robotnika.

Rzeczywiście obawiać się go należało tylko wtedy, gdy się upił, bo wówczas zamieniał się w prawdziwego brutala, gotowego do wszelkich awantur.

— Cóż. widziałeś się pan z moją żoną? — zapytał znowu, szczerząc zęby w głupkowatym śmiechu.

— Tak, widzieliśmy się z nią — odpowiedział pomocnik zawiadowcy. — Nawet jedliśmy śniadanie w jej pokoju... A! dzielną masz kobietę za żonę, mój Pecqueux! Wstydź się, powinieneś być jej wiernym.

Palacz zaśmiał się jeszcze rubaszniej.

— O! tak każdy potrafi gadać! Ale kiedy ona chce, ażebym się bawił!

To prawda, Wiktorya, starsza od niego o dwa lata, okropnie się roztyła i ociężała, i wcale nie miała do niego żalu o bałamucenie się po za domem, nawet kładła mu nieznacznie po parę franków do kieszeni, aby się rozerwał.

On też wreszcie tak sobie życie urządził, że miał dwie żony, po jednej na każdym końcu linii żelaznej, jednę w Paryżu, gdzie sypiał, drugą w Hawrze, na te godziny, które musiał przeczekać między dwoma pociągami.

Wiktorya, bardzo oszczędna, sama sobie odmawiająca niejednego, wiedząc o wszystkiem, obchodziła się

z nim po macierzyńsku, nie chciała, ażeby się potrzebował wstydzić przed tamtą. Przy każdym też odjeździe dbała o jego bieliznę, bo bardzoby ją bolało, gdyby tamta jej mogła zarzucić brak porządku.

— Tak — podchwycił Roubaud — zawsze to niegrzecznie z twej strony. Żona moja która bardzo jest przywiązana do swej mamki, chce natrzeć ci uszu.

Ale zamilkł, widząc wychodzącą z szopy, przy której stali, wysoką kobietę chudą, Filomenę Sauvagort, siostrę magazyniera, małżonkę dodatkową, którą Pecqueux miał w Hawrze od roku.

Musieli oboje rozmawiać w szopie, kiedy Pecqueux wyszedł, ażeby zawołać na pomocnika zawiadowcy.

Ona jeszcze młoda, pomimo trzydziestu dwóch lat, wysoka, spiczasta, z piersiami płaskiemi, ciałem, spalonem od ciągłych żądz, głowę miała podłużną, z oczyma pałającemi.

Mówiono o niej, że pije.

Wszyscy mężczyzni ze stacyi znali się z nią w małym domku, który brat jej zajmował przy składzie lokomotyw, a który ona utrzymywała bardzo brudno.

Brat ten, zabity owerńczyk, bardzo surowy pod względem karności, bardzo ceniony przez swych zwierzchników, miał bardzo wiele przykrości z jej powodu, tak, że groziła mu nawet utrata miejsca.

A jeżeli inni ją tolerowali przez wzgląd na niego, on ją trzymał przy sobie, jedynie przez wzgląd na związki rodzinne, co nie przeszkadzało mu, gdy ją schwytał z jakim mężczyzną, bić jej tak zapamiętale, że ją zostawiał leżącą, prawie nieżywą.

Palaczowi Pecqueux przypadła do gustu ta chuda kobieta po żonie zbyt otyłej.

Ale Seweryna, myśląc, że powinna bronić Wiktoryi, poróżniła się z Filomeną, której unikała, jak mogła, przy dumie swego charakteru i przestała się jej kłaniać.

— No, dobrze—odezwała się Filomena bezczelnie—do widzenia, Pecqueux. Ja odchodzę, ponieważ pan Roubaud chce ci prawić morały w imieniu swej żony.

Palacz, zawsze jowialny, śmiał się ciągle.

— Zostań, przecie żartuje.

— Nie, nie! Muszę zanieść dwa jajka od mych kokoszek, przyrzekłam je pani Lebleu.

Rzuciła umyślnie to nazwisko, wiedząc o głuchem współzawodnictwie między kasyerową a żoną pomocnika zawiadowcy; dlatego udawała czułości dla pierwszej, ażeby rozwścieczyć drugą.

Poprzestała na tem jednak, widocznie zaciekawiona, gdy usłyszała, jak palacz pytał o sprawę z podprefektem, chcąc się dowiedzieć o jej rezultacie.

— Więc wszystko załatwione, nieprawdaż? Toś pan zadowolony, panie Roubaud?

— Bardzo zadowolony.

Pecqueux mrugnął okiem złośliwie.

— O! pan nie potrzebujesz się bać, jak kto ma za sobą takie tęgie plecy... Co? rozumie pan, co chcę powiedzieć. Moja żona także jest wdzięczną.

Pomocnik zawiadowcy stacyi przerwał to napomknienie widoczne o prezesie Grandmorrinie, odzywając się dość szorstko:

— Więc jedziecie dopiero wieczorem?

— Tak, machina będzie naprawiona, dają nową oś. Czeka na mechanika, który sobie używa świeżego powietrza. Znasz go pan, Jakób Lantier, z tych samych stron co i pan?

Przez chwilę Roubaud stał, nic nie odpowiadając, nieobecny myślą.

Potem, jak gdyby się nagle ocknął.

— Co? Jakób Lantier, mechanik? A tak, znam go. Nieraz mówiliśmy sobie, dzień dobry, dobry wieczór. Tuśmy się właśnie spotykali, bo był odemnie młodszym, a tam, w Plassans, nigdy go nie widziałem... Zeszłej jesieni wyświadczył grzeczność mej żonie, załatwiając jej zlecenie do kuzynek w Dieppe... Zdolny chłopiec, jak mówią.

Mówił na wiatr, dużo. Nagle oddalił się.

— Do widzenia, Pecqueux... Muszę tam zobaczyć.

Wtedy też odeszła Filomena wydłużonym, posuwistym krokiem, a Pecqueux, nie ruszając się z miejsca, z rękami włożonemi w kieszeń, śmiał się z zadowolenia, że ma taki próżniaczy poranek.

Dziwił się tylko, dlaczego zawiadowca stacyi, obszedłszy dokoła magazyn, znowu tam podążył. Przecie długiego czasu nie potrzeba było, ażeby tam zajrzeć.

Co on tam tak szpiegował?

Kiedy Roubaud wracał pod werendę, godzina dziewiąta biła. Zaszedł on aż do sali pakunków i patrzył tak, jak gdyby nie znajdował tego, czego szukał; potem wrócił się tym samym krokiem niecierpliwym.

Po kolei przyglądał się różnym biurom.

O tej porze na dworcu było cicho i pusto; on tylko wyglądał niespokojnie, jak gdyby go właśnie rozdrażniał ten spokój; znajdował się w udręczeniu człowieka, zagrożonego katastrofą, który pragnął, ażeby już ona wybuchła.

Zimnej krwi już mu poczynało braknąć, nie mógł ustać na miejscu.

Oczu nie spuszczał z zegara. Godzina dziewiąta, pięć minut po dziewiątej.

Zwykle wracał do siebie dopiero o godzinie dziesiątej, po odejściu pociągu o godzinie 9 minut 50; wracał na śniadanie.

A teraz w jednej chwili poszedł do domu, na myśl, że Seweryna tam, na górze, także musi czekać.

Na korytarzu w tejże samej chwili pani Lebleu otwierała drzwi Filomenie, która przyszła po sąsiedzku, roztargana, przynosząc dwa jajka.

Stały w miejscu, i Roubaud musiał wejść do mieszkania, mając ich oczy skierowane na siebie.

Klucz miał przy sobie, więc się pośpieszył.

Jednakże, pomimo to, przy prędkiem otwieraniu drzwi, spostrzegły Sewerynę, siedzącą na krześle w pokoju jadalnym, z opuszczonemi rękami, bladą twarzą, nieruchomą.

Wtedy pani Lebleu, pociągnąwszy do siebie Filomenę i także się z nią zamknąwszy, opowiedziała jej, że widziała już coś podobnego od samego rana: niezawodnie historya z podprefektem musiała się źle skończyć.

Ale nie, Filomena powiedziała jej zaraz, że dlatego przyszła, iż miała nowiny, i powtórzyła, co słyszała z ust samego pomocnika zawiadowcy.

Wówczas obie kobiety gubiły się w domysłach. Tak przy każdem spotkaniu zawsze opowiadały sobie plotki.

— Musiano im dobrze zmyć głowę, moja pani, rękę włożyłabym w ogień... Musi być z nimi krucho.

— Ah! kochana pani, gdyby już raz można się było ich pozbyć!

Zawiść, tak jadowita między Lebleu'ami a Roubaudami zrodziła się po prostu, z powodu mieszkania.

Całe pierwsze piętro, po nad salami poczekalnemi, służyło za mieszkania dla urzędników, a korytarz główny, prawdziwy korytarz hotelowy, pomalowany na żółto, oświetlony od góry, przedzielał piętro na dwoje, mając po prawej i lewej stronie drzwi ciemne.

Ale mieszkania po prawej stronie posiadały okna, wychodzące na dziedziniec odjazdowy, wysadzony staremi wiązami, po za któremi rozciągał się wspaniały krajobraz w stronę Ingouville, mieszkania zaś po lewej stronie miały małe okienka, otwierające się pod samą werendą, której wysoki dach pochyły i brudne szyby zasłaniały cały horyzont.

Z jednych patrzyło się na ciągły ruch na podwórzu, na zieloność drzew, na rozległą okolicę; przy drugich można się było zanudzić na śmierć, bo zaledwie widziało się w półświetle mury, jak w więzieniu odgradzające niebo.

Od frontu mieszkał zawiadowca stacyi, pomocnik zawiadowcy Moulin i Lebleu'owie; od tyłu Roubadowie

i buchalterka, panna Guichon, nie licząc w to trzech pokoi, które były zachowane dla inspektorów objazdowych.

W zwyczaju było, że dwaj pomocnicy zawiadowcy zawsze mieszkali obok siebie. Jeżeli Lebleu'owie ulokowali się obok, zawdzięczali to grzeczności dawnego pomocnika zawiadowcy, który, przed Roubaudem służąc, jako wdowiec i bezdzietny, chciał się przypodobać pani Lebleu ustępując jej swego mieszkania.

Ale czyż to mieszkanie nie powinno było wrócić do Roubaudów? Czyż było słusznie pchać ich na tył, gdy mieli prawo do frontu?

Dopóki, obie rodziny żyły z sobą w zgodzie, Seweryna czyniła ustępstwo swej sąsiadce, starszej od niej o lat dwadzieścia, schorowanej i tak otyłej, że co chwila nie mogła tchu złapać.

A wojna wszczęła się naprawdę dopiero wtedy, gdy Filomena poróżniła kobiety między sobą przez obrzydliwe plotki.

— A wie, pani? — podchwyciła — że oni może skorzystali z podróży do Paryża, ażeby prosić o usunięcie państwa... Zapewniano mnie, że napisali do dyrektora długi list, upominając się o swe prawa.

Pani Lebleu dusiła się.

— A to nędznicy! O! jestem pewna, że zmawiają się z tą buchalterką, bo już od dwóch tygodni ledwie mi się kłania!.. Także mi dama!.. O! niech ja ją złapię!.. a złapię!

Zniżyła głos, ręcząc, że panna Guichon ma blizkie konszachty z zawiadowcą stacyi. Drzwi od ich mieszkań wychodzą naprzeciw siebie.

To pan Dabadie, wdowiec, ojciec sporej panienki, wciąż jeszcze pozostającej na pensyi, sprowadził tu tę blondynkę, lat około trzydziestu, już zwiędłą, milczącą i chudą, a giętką jak padalec. Musiała być kiedyś guwernantką.

Niepodobna jej było zejść znienacka, przesuwała się bez najmniejszego szmeru przez najwęższe szczeliny. Sama przez się nic nie znaczyła. Jeżeli jednak miała bliższe stosunki z zawiadowcą stacyi, nabierała przez to niezaprzeczonej wyższości, a więc ponętnem było pochwycić jej tajemnicę, ażeby buchalterkę uczynić w ten sposób zależną.

— O! ja się dowiem! — mówiła dalej pani Lebleu. — Nie pozwolę się zjeść. Jesteśmy tu i zostaniemy. Poczciwi ludzie trzymają naszą stronę, nieprawdaż, moja pani?

Rzeczywiście wszyscy mieszkańcy stacyi zawzięty brali udział w tej wojnie dwóch mieszkań. Cały korytarz wrzał.

Tylko drugi pomocnik zawiadowcy, Moulin, wcale się tem nie interesował, zadowolony, że mieszka od frontu, z żoną, kobiecinką cichą i wątłą, która nie pokazywała się prawie nigdy, a dawała mu dzieci co dwadzieścia miesięcy.

— No — dodała Filomena — niech się oni nie dmą, jeszcze niewiadomo, czyje będzie na wierzchu... Ale niech się pani ma też na baczności, bo ten ich znajomy ma długą rękę.

Trzymała ciągle parę jajek; wreszcie je ofiarowała; jajka świeżutkie, znalazła je zrana pod kurkami.

Stara dama dziękowała tysiąckrotnie.

— Jakaś pani grzeczna!.. Pani mnie psujesz!.. Niechże pani przychodzi częściej na pogawędkę. Mąż mój, jak pani wie, ciągle przy kasie, a ja nudzę się okropnie, zmuszona tu siedzieć ciągle... przez te moje nogi... Cóżby dopiero było, gdyby ci nędznicy pozbawili mnie mego widoku?

Potem, gdy ją odprowadzała i otwierała już drzwi, przyłożyła palec do ust.

— Sza! słuchajmy!

I obie stały w korytarzu dobre pięć minut, nie poruszając się wcale, z powstrzymanym oddechem.

Nachylały głowy, nadstawiały uszy ku pokojowi jadalnemu Roubaudów.

Ale najmniejszy szmer ztamtąd nie dolatywał, panowała tam śmiertelna cisza.

Wtedy z obawy, ażeby ich kto nie zszedł, rozstały się nareszcie, ukłoniwszy się sobie po raz ostatni głową, nie wymówiwszy już ani słowa.

Jedna oddalała się na palcach, druga zamknęła drzwi od swego mieszkania tak ostrożnie, że nie skrzypiały ani trochę.

O godzinie dwadzieścia minut na dziewiątą Roubaud był znów na dole, pod werendą.

Pilnował ustawiania pociągu osobowego, mającego odejść o godzinie 9 minut 50; i pomimo wysiłku woli, ruchy miał bardziej gorączkowe i kręcił się nieustannie.

Wciąż zwracał głowę ku wybrzeżu, przyglądając się uważnie.

Nic jednak nie zaszło nowego, ręce mu drżały.

Wtem, nagle, gdy jeszcze rozglądał się po stacyi, usłyszał przy sobie głos urzędnika telegrafu, jak mówił doń zadyszany:

— Panie Roubaud, nie wiesz pan, gdzie jest pan zawiadowca i pan naczelnik strażników... Mam dla nich depesze, szukam już ich od dziesięciu minut...

Obrócił się w takiem zesztywnieniu, że ani jeden muskuł na twarzy jego nie poruszył się.

Oczy jego wlepiły się w te dwie depesze, które trzymał urzędnik. Tym razem ze wzruszenia kolegi, powziął pewność, że była to nareszcie katastrofa!

— Pan Dabadie tylko co tędy przechodził — odrzekł spokojnie.

I nigdy nie czuł się tak zimnym, tak przytomnym. tak gotowym do śmiałej obrony.

Teraz pewnym był siebie.

— O! właśnie nadchodzi — podchwycił.

Rzeczywiście zbliżał się zawiadowca stacyi.

Skoro tylko przebiegł oczyma depeszę, zawołał:

— Morderstwo popełniono na linii... Telegrafuje do mnie inspektor z Rouen.

— Jakto? — zapytał Roubaud — zamordowano kogoś z urzędników...

— Nie, nie, jakiegoś pasażera w wagonie... Ciało zostało wyrzucone, tuż po za tunelem Malaunay, na wiorście 153... I ofiarą jest jeden z członków naszej rady zarządzającej, prezes Grandmorrin.

Teraz znów pomocnik zawiadowcy wydał okrzyk.

— Prezes! o! biedna moja żona! to się dopiero zmartwi!

Okrzyk był tak naturalny, tak żałosny, że pan Dabadie zwrócił nań uwagę.

— A, prawda! kolega go znasz. Zacny człowiek, nieprawdaż?

Potem, wracając do drugiego telegramu, adresowanego do naczelnika strażników:

— To musi być od sędziego śledczego — dodał — zapewne polecenie jakieś... A teraz dopiero 25 minut na dziesiątą, więc jeszcze pana Cauche niema. Trzeba posłać czemprędzej do kawiarni kupieckiej. Tam go niezawodnie zastaną.

W pięć minut nadszedł pan Cauche, sprowadzony przez jednego z oficyalistów.

Był to dawny oficer, który, uważając urząd swój jako emeryturę, nie przychodził na stacyę nigdy przed godziną dziesiątą, pochodził trochę i zaraz wracał do kawiarni.

Dramat ten, który spadł na niego między dwiema partyjkami pikiety, zdziwił go najprzód, gdyż interesa, które przechodziły przez jego ręce, były zwykle bardzo błahe.

Ale depesza pochodziła od sędziego śledczego z Rouen, a jeżeli przybyła w dwanaście godzin po znalezieniu trupa, to jedynie dlatego, że sędzia najprzód zatelegrafował do Paryża, do zawiadowcy stacyi, ażeby się dowiedzieć, w jakich warunkach ofiara wyjechała; potem, otrzymawszy wiadomość o numerze pociągu i wagonu, wtedy dopiero posłał naczelnikowi straży rozporządzenie, ażeby

zrewidował przedział, który się mieścił w wagonie nr. 293, jeżeli ten wagon znajdował się jeszcze w Hawrze.

Natychmiast zły humor, który pan Cauche okazywał, że go niepotrzebnie oderwano od pikiety, znikł zupełnie i ustąpił miejsca minie niezmiernie poważnej, stosownie do wielkiej doniosłości, jaką przybierała cała sprawa.

— Ale! — wykrzyknął nagle, zaniepokojony, bo lękał się, ażeby go śledztwo nie ominęło — wagonu zapewne tu niema, musiał dziś zrana odjechać.

Wtedy Roubaud uspokoił go z miną zupełnie obojętną.

— Nie, nie, przepraszam pana... Przedział jeden zatrzymaliśmy na wieczór, wagon stoi tam, w remizie.

I poszedł pierwszy, a za nim podążyli zawiadowca stacyi i naczelnik.

Widocznie wiadomość już się rozeszła, bo obsługa pociągowa ukradkiem porzucała robotę i także tam śpieszyła, a we drzwiach ukazywali się urzędnicy z różnych biur i podchodzili do siebie nawzajem.

Kiedy zbliżono się do wagonu, pan Dabadie głośno uczynił uwagę.

— A jednak wczoraj przecie musiano oglądać wagony. Gdyby zostały ślady, zarazby o nich dano znać w raporcie.

— Zobaczymy! zobaczymy! — wtrącił pan Cauche.

Otworzył drzwiczki i wszedł do przedziału.

I w tejże chwili wykrzyknął, klnąc przez zapomnienie:

— A! krocset sto tysięcy! a to jakby krew puszczono wieprzowi!

Szmer przerażenia przebiegł po obecnych, głowy się wyciągnęły naprzód, a pan Dabadie, jeden z pierwszych chciał zobaczyć i zawiesił się na stopniu, a za nim Roubaud, jak i inni, także wydłużał szyję.

Wewnątrz, w przedziale nie znać było nieładu.

Szyby były zapuszczone, wszystko zdawało się na właściwem miejscu.

Tylko przez otwarte drzwiczki rozchodził się okropny odór, a w środku, na jednej z poduszek stała kałuża czarnej krwi, kałuża tak głęboka, tak szeroka, że z niej jak ze źródła wypłynął strumyk, cieknąc po dywanie. Na suknie tu i owdzie ścięła się w gruzełki. I nic więcej prócz tej krwi cuchnącej.

Pan Dabadie uniósł się.

— Gdzie są ludzie, którzy wagon oglądali wczoraj wieczorem? Niech mi tu ich przyprowadzą!

Stali właśnie blizko, zbliżyli się, wyjąkali jakąś wymówkę, że w nocy niepodobna było widzieć, a przecie wszędzie szperali. Wczoraj, zaklinali się, nic nie poznali.

Tymczasem pan Cauche, stojąc w wagonie, notował ołówkiem szczegóły do raportu.

Wezwał Roubauda, u którego bywał chętnie, i często obadwaj, zapaliwszy papierosy, przechodzili się wieczorem w wolnej godzinie wzdłuż stacyi.

— Panie Roubaud, proszę, wejdź, pomożesz mi.

A kiedy pomocnik zawiadowcy stacyi przeskoczył krew na dywanie, ażeby na nią nie nastąpić:

— Zobacz pan — rzekł — pod tamtą poduszką, czy tam co czasem nie wpadło?

Podniósł poduszki i szukał rękami ostrożnie, ale ze spojrzeniem zwykłej ciekawości.

— Nic niema.

Wtem zwróciła jego uwagę plama na suknie kanapki; pokazał ją naczelnikowi.

Czyż to nie było odciśnięcie skrwawionego palca?

Nie, zgodzono się w końcu, że to tylko błoto.

Tłum ludzi cisnął się, ażeby przyjrzeć się tej rewizyi, węsząc zbrodnię, tłocząc się z tyłu zawiadowcy, który z odrazy, właściwej takiemu delikatnemu człowiekowi, zatrzymał się na stopniu i nie posunął się dalej.

Nagle pan Dabadie zauważył głośno:

— Ale, panie Roubaud, pan jechałeś tym pociągiem nieprawdaż?.. Wszak wróciłeś wczoraj kuryerem... Możebyś pan nam mógł dostarczyć jakich wskazówek?

— A tak! prawda! — zawołał naczelnik straży — czyś pan czego nie zauważył?

Przez trzy, czy cztery sekundy, Roubaud pozostał niemy.

Właśnie nachylony przyglądał się dywanowi. Ale natychmiast prawie się podniósł, odpowiadając głosem naturalnym, trochę szorstkim:

— Powiem panom, co wiem... Ze mną była żona. Jeżeli więc podane ma być w raporcie to, co mi wiadomo, wolałbym, ażeby ona tu przyszła i uzupełniła moje wspomnienia swojemi.

Bardzo rozsądnem wydało to się panu Cauche, a Pecqueux, który nadszedł, ofiarował się pójść po panią Roubaud. Pobiegł w podskokach; przez chwilę czekano.

Filomena, która towarzyszyła tu palaczowi, podążyła za nim oczyma, zła, że się podjął takiego zlecenia.

Jednocześnie jednak ujrzawszy panią Lebleu, śpieszącą o ile jej na to pozwalały spuchnięte nogi, poskoczyła ku niej, ażeby jej dopomódz, i obie kobiety ręce podniosły ku niebu, wydawały okrzyki, roznamiętnione odkryciem tak ohydnej zbrodni.

Jakkolwiek nic jeszcze pewnego nie wiedziano, już koło nich krążyły różne pogłoski, a na twarzach i w ruchach przebijała zgroza. Filomena, panując swym głosem, ponad zgiełkiem, chociaż od nikogo nic jeszcze nie słyszała, dawała słowo honoru, że pani Roubaud widziała mordercę.

Cisza też zapanowała zupełna, gdy Pecqueux powrócił, a z nim ukazała się żona pomocnika zawiadowcy.

— Patrzcie no ją! — mruknęła pani Lebleu. — Czyby kto powiedział, że to żona pomocnika zawiadowcy przy takiej minie, jak u jakiej księżny! Już zrana przed świtem była tak ubrana, uczesana i wykrygowana, jakby się wybierała na wizytę.

Seweryna zbliżała się drobnym, miarowym krokiem. Musiała przejść wzdłuż całej stacyi, mając na siebie zwrócone spojrzenia wszystkich ludzi, ją wyglądających, ale nie słabła bynajmniej, i tylko chusteczkę przykładała do oczu z wielkiego zmartwienia, jakiego doznała, usłyszawszy nazwisko ofiary.

Ubrana w czarną suknię, bardzo elegancką, zdawała się nosić żałobę po swym opiekunie; ciemne włosy ciężkie lśniły na słońcu, bo nie myślała nawet o nakryciu głowy, pomimo zimna.

Oczy niebieskie tak łagodne, pełne boleści i tonące we łzach, czyniły widok jej wzruszającym.

— Nie bez racyi tak płacze — odezwała się Filomena półgłosem. — Teraz, kiedy zabito ich protektora, wylecą ztąd jak z procy.

Gdy Seweryna znalazła się pośród wszystkich, przed otwartemi drzwiczkami przedziału, p. Cauche i Roubaud wysiedli ztamtąd, i ten ostatni zaczął mówić, co wie dział.

— Nieprawdaż, moja droga, wczoraj zrana, zaraz po przyjeździe do Paryża, poszliśmy odwiedzić pana Grandmorrina... mogło być kilka minut po jedenastej, nieprawdaż?

Wpatrywał się w nią ostro, a ona powtarzała ulegle:

— Tak, kilka minut po jedenastej.

Ale oczy jej zatrzymały się na poduszce, poczerniałej od krwi, i płacz spazmatyczny wydarł się jej z gardła.

Zawiadowca stacyi wzruszony odezwał się do niej skwapliwie:

— Jeżeli pani nie może znieść tego widoku... Pojmujemy bardzo dobrze pani boleść...

— O! tylko dwa słowa — przerwał naczelnik straży. — Potem odprowadzimy panią do mieszkania.

Roubaud pytał prędko:

— Wtedy, gdyśmy już mówili o rozmaitych rzeczach, pan Grandmorrin oznajmił nam, że ma jechać nazajutrz do Doinville, do swej siostry. Widzę go jeszcze siedzącego przy biurku. Ja byłem tuż przy nim, a żona ot tam... Nieprawdaż, moja droga, powiedział nam, że pojedzie nazajutrz?

— Tak, nazajutrz.

Pan Cauche, który wszystko zapisywał pośpiesznie ołówkiem, podniósł głowę:

— Jakto, nazajutrz! kiedy pojechał wieczorem!

— Ależ czekaj pan! — odparł pomocnik zawiadowcy.—Dopiero kiedy się dowiedział, że wyjeżdżamy wieczorem, przyszedł mu projekt jechać kuryerem z nami, gdyby żona moja zechciała mu towarzyszyć do Doinville i zabawić tam kilka dni u jego siostry, jak to już nieraz bywało. Ale żona, mając dużo w domu do roboty, odmówiła... Nieprawdaż, że odmówiłaś?

— Tak, odmówiłam.

— Bardzo był uprzejmy. Odprowadził nas aż do drzwi swego gabinetu! Nieprawdaż, moja droga?

— Tak, do samych drzwi.

— Wieczorem wyjechaliśmy... Przed wsiadaniem do wagonu, rozmawiałem z panem Vandorpe, zawiadowcą stacyi. I nic nie widziałem. Zły byłem, bo myślałem, że w przedziale jedziemy sami, a w kącie siedziała już jakaś dama, której nie zauważyłem zrazu, w ostatniej zaś chwili wsiadły jeszcze dwie osoby, jakieś małżeństwo... Aż do Rouen nie zauważyłem nic szczególnego... To też w Rouen, kiedyśmy wysiedli dla wyprostowania nóg, jakież było nasze zdziwienie, gdyśmy zobaczyli o trzy czy cztery wagony od naszego, pana Grandmorrina, stojącego przed drzwiczkami przedziału .. Jakto! pan prezes także jedzie? O! ani przypuszczałem, że podróżujemy z panem tym samym pociągiem. Powiedział nam, że otrzymał jakąś depeszę... Zagwizdano, prędko wsiedliśmy znów do swego przedziału, gdzie tym razem, przeciwnie, nie zastaliśmy

nikogo, bo wszyscy nasi towarzysze podróży pozostali w Rouen, co nas bynajmniej nie zmartwiło... I oto wszystko, wszystko, nieprawdaż, moja droga?

— Tak, to wszystko.

Opowiadanie to, jakkolwiek tak zwyczajne, sprawiło silne wrażenie na słuchaczach.

Wszyscy mieli usta otwarte.

Pan Cauche, przestawszy pisać, wywołał ogólne żdziwienie, zapytując:

— I jesteś pan pewnym, że w przedziale z panem Grandmorrinem nie było nikogo?

— O! co do tego jestem pewien zupełnie.

Dreszcz przebiegł po zebraniu.

Tajemnica, która się tworzyła, przejmowała strachem, każdy czuł ziębnienie skóry.

Jeżeli podróżny był sam, któż go więc zamordował i wyrzucił z przedziału, o trzy mile dalej, przed samem zatrzymaniem się pociągu?

W ciszy, jaka zapanowała, usłyszano złośliwy głos Flomeny:

— No, to zabawne.

Roubaud, czując, że mu w twarz patrzy, spojrzał na nią, kiwnął głową, jakby chciał także potwierdzić jej zdanie.

Przy niej spostrzegł Pecqueux'a i panią Lebleu, którzy także kiwali głową.

Oczy wszystkich zwrócone były w jego stronę, spodziewano się jeszcze czego innego, chciano wydostać z niego nowe jeszcze szczegóły, szczegóły zapomniane, które rozjaśniłyby tajemnicę.

W tych spojrzeniach gorąco ciekawych nie było jednak żadnego oskarżenia; a jednak jemu się zdawało, że w nich kiełkuje już niewyraźne podejrzenie, wątpliwość, którą najdrobniejszy fakt przemieni w pewność.

— A to nadzwyczajne! — mruknął pan Cauche.

— Doprawdy nadzwyczajne — powtórzył pan Dabadie.

Wtedy Roubaud postanowił jeszcze dodać:

— A jestem jeszcze zupełnie pewny, że pociąg jechał z prawidłową szybkością, tak, że nie zauważyłem nic nienaturalnego... Mogę to powiedzieć, bo, skoro znaleźliśmy się sami, opuściłem szybę dla palenia papierosa, wyglądałem na zewnątrz, zdawałem sobie sprawę ze wszystkich odgłosów w pociągu... Nawet w Barentin, poznawszy na stacyi pana Bessier, zawiadowcę, mego następcę, zawołałem go, i zamieniliśmy z sobą trzy słowa, a wszedłszy na stopień uścisnął mi rękę. Nieprawdaż, moja droga, można go zapytać, pan Bessier poświadczy?

Seweryna, wciąż nieruchoma i blada, z twarzą tchnącą zmartwieniem, potwierdziła raz jeszcze słowa męża:

— Tak, poświadczy.

Odtąd wszelkie oskarżenie stało się niemożebnem, skoro Roubaud, wsiadłszy w Rouen do swego wagonu, był powitany w Barentin przez przyjaciela.

Cień podejrzenia, jaki pomocnik zawiadowcy zdawał się dojrzeć w oczach, zupełnie znikł, a zdziwienie wszystkich wzmagało się.

Sprawa nabierała coraz więcej tajemniczości.

— Ale — odezwał się pan Cauche — czyście państwo pewni, że w Rouen nikt nie mógł wsiąść do prze-

działu potem, jakeście się rozstali z panem Grandmorinem?

Oczywiście Roubaud nie przewidział tego pytania, bo po raz pierwszy zmieszał się, widocznie nie mając odpowiedzi przygotowanej zgóry. Spojrzał na żonę z pewnem wahaniem.

— O nie! nie sądzę. Zamykano drzwiczki, gwizdano, ledwie zdążyliśmy do wagonu. . A zresztą przedział był specyalnie zastrzeżony i nikt obcy nie mógł wsiąść, zdaje mi się...

Ale oczy jego żony rozszerzały się i stawały się tak wielkiemi, że lękał się przyświadczać.

— Ha! zresztą kto to może wiedzieć... Może też kto wsiadł. Tłok, zamieszanie było wielkie...

A w miarę jak mówił, głos jego stawał się wyraźniejszym, spokojniejszym, a do głowy przychodziły mu nowe pomysły do opowiadania.

— Wiecie, państwo, na uroczystość do Hawru wybrało się bardzo wiele osób... Musieliśmy bronić swego przedziału przed podróżnymi drugiej a nawet trzeciej klasy... A przytem stacya była bardzo licho oświetlona, nie widać było prawie nic .. popychano się, krzyczano, w gorączkowym pośpiechu, przed ruszeniem pociągu... Tak, bardzo być może, że ktoś, nie wiedząc, gdzie ma się podziać, a nawet korzystając z zamieszania, gwałtem dostał się do przedziału w ostatniej sekundzie.

A przerywając sobie, wtrącił:

— Nieprawdaż, moja droga? tak się musiało stać.

Seweryna zupełnie zgnębiona, z chustką przy zaczerwionych oczach, powtórzyła:

— Tak, tak się stać musiało z pewnością.

Odtąd trop został już wskazany.

Pan Cauche i zawiadowca stacyi, nic nie mówiąc, spojrzeli po sobie ze znaczącą miną.

Tłum poruszył się cały, czując, że śledztwo się skończyło i każdy rad był popisać się przed innymi swojemi domysły.

Zaraz też różne przypuszczenia zaczęły krążyć, każdy opowiadał na swój sposób.

Od chwili niejakiej cała obsługa stacyi jakby została zamieszana, cały personel został też przygnębiony wrażeniem dramatu.

Prawdziwą też niespodzianką było ukazanie się na stacyi nadjeżdżającego pociągu o godz. 9 m. 38.

Zaraz też rzucono się do drzwiczek wagonów i fala podróżnych wypłynęła.

Zresztą prawie wszyscy ciekawi pozostali przy panu Cauche, który, powodowany skrupulatnością człowieka systematycznego, oglądał raz jeszcze zakrwawiony przedział.

Pecqueux, rozprawiając z panią Lebleu i Filomeną, spostrzegł w tej chwili swego mechanika Jakóba Lantier, który wysiadł z pociągu i nieruchomy zdaleka przyglądał się zbiegowisku.

Kiwnął na niego ręką wyraźnie. Jakób nie poruszył się wcale. Wreszcie poszedł krokiem powolnym.

— Cóż to? — zapytał swego palacza.

Ale sam wiedział dobrze, słuchał więc roztargnionem uchem wiadomości o morderstwie i tych przypuszczeń, jakie czyniono.

To go najbardziej dziwiło i wstrząsało dziwnie, że znalazł się wśród śledztwa, że widział znów ten wagon, dojrzany zaledwie w ciemności, przy błyskawicznym pędzie.

Wyciągnął szyję, spojrzał na kałużę krwi, zakrzepłej na poduszce, i znowu stanęła mu przed oczyma scena morderstwa, widniał trup złowrogi, leżący w poprzek toru z rozciętem gardłem.

Potem, gdy odwrócił oczy, zauważył Roubaudów, gdy tymczasem Pecqueux opowiadał mu dalej, w jaki sposób ci ostatni zamieszani zostali do sprawy, opowiadał o ich wyjeździe z Paryża tym sa̅mym pociągiem, co i ofiara, i ostatnie słowa, jakie z sobą zamienili w Rouen.

Roubauda znał, gdyż witał się z nim i ściskał za rękę, Roubaudową widywał tylko zdaleka i stronił od niej, jak i od innych z obawy chorobliwej.

Ale w tej chwili uderzył go jej widok, bo taka była zapłakana i blada, tyle słodyczy miała w oczach niebieskich, patrzących z pod gęstych czarnych włosów.

Nie spuszczał z niej wzroku i zapytywał się sam siebie w roztargnieniu, dlaczego Roubaudowie i on są tutaj, jakie okoliczności mogły ich sprowadzić razem przed wagon zbrodni, ich, po powrocie z Paryża w przeddzień, i jego, tylko co przybyłego z Barentin.

— O! wiem, wiem — rzekł głośno, przerywając palaczowi. — Właśnie znajdowałem się tam, przy wyjściu z tunelu i zdaje mi się, że coś widziałem wtedy, gdy pociąg przejeżdżał.

Uczyniło to niezmierne wrażenie. Wszyscy go otoczyli.

A on sam zadrżał, zdziwiony, przerażony tem, co powiedział.

Po co mówił, kiedy sobie tak solennie przyrzekł, że nic nie powie, że będzie milczał?

Tyle miał słusznych powodów do milczenia.

Słowa nieświadomie wymknęły mu się z ust, gdy patrzył na tę kobietę.

Raptownie odjęła chustkę, ażeby w nim utkwić oczy załzawione, które się coraz bardziej rozszerzały.

Ale już pan Cauche prędko się do niego zbliżył z zawiadowcą stacyi.

— Co? Cóżeś pan widział?

I Jakób pod spojrzeniem nieruchomem Seweryny, powiedział, co widział: przedział oświetlony, przebiegający wśród nocy pełną parą i niknące sylwetki dwóch ludzi, jednego przewróconego, drugiego z nożem w ręce.

Roubaud, stojąc przy żonie, słuchał, również wlepiwszy w niego duże oczy żywe.

— Więc — zapytał pan Cauche — będziesz pan mógł poznać mordercę?

— O! nie, nie sądzę.

— Czy miał na sobie paltot czy bluzę?

— Nie umiem powiedzieć. Pomyślcie panowie, pociąg biegł z szybkością ośmnaście kilometrów!

Seweryna, wbrew woli swej, zamieniła z Roubaudem spojrzenie, a on miał jeszcze siłę odezwać się:

— Rzeczywiście, na to potrzeba dobrych oczu!

— Mniejsza o to — oświadczył pan Cauche — ale to bardzo ważne zeznanie, sędziemu śledczemu pomoże do lepszego rozejrzenia się w tem wszystkiem...

— Panowie Lantier i Roubaud, podajcie mi swoje imiona, ażebym dokładnie was mógł zapisać.

Skończyło się. Gromadka ciekawych rozproszyła się powoli, służba kolejowa zabrała się znów czynnie do swych zajęć.

Roubaud zwłaszcza musiał podążyć dla doglądania pociągu towarowo-osobowego, do którego już wsiadali podróżni.

Uścisnął Jakóbowi rękę silniej niż zwykle, a ten, pozostawszy sam z Seweryną, po za panią Lebleu, Pecqueux'em i Filomeną, którzy się oddalili, szepcząc do siebie, uczuł się zniewolonym odprowadzić młodą kobietę pod werendę, aż do schodów mieszkań urzędniczych, nie wiedząc, o czem z nią ma mówić, a jednak nie odchodząc od niej, jakby już ich jaki węzeł skrępował.

Teraz wesołe światło dzienne wzmogło się już bardziej, słońce świeciło pokonawszy resztkę zasłony mgieł, a wiatr morski, zaczerpnąwszy sił od przybierającego przypływu, przynosił orzeźwiający zapach soli.

A kiedy wreszcie rozstał się z Roubaudową, wymówiwszy jakieś czcze słówko, napotkał znowu jej rozszerzone oczy, których łagodność i błagalna tak go wzruszyła głęboko.

Wtem odezwało się ciche gwizdnięcie.

To Roubaud dawał znak do odjazdu.

Lokomotywa odpowiedziała przeciągłym świstem i pociąg ruszył z miejsca, potoczył się szybciej, znikł wreszcie w dali, w złocistym pyle słońca.

IV.

Dnia tego, a było to drugiego tygodnia w marcu, pan Denizet, sędzia śledczy, wezwał do swej kancelaryi w gmachu sądowym w Rouen, kilku ważnych świadków w sprawie Grandmorrina.

Od trzech tygodni sprawa ta sprawiała wiele hałasu.

Wstrząsnęła całem Rouen, roznamiętniła Paryż, a dzienniki opozycyi w gwałtownej wojnie, jaką prowadziły z cesarstwem, pochwyciły ją, jako broń dla nich dogodną i pożądaną.

Zbliżanie się wyborów powszechnych, których widoki panowały nad całą polityką, dodawały walce jeszcze większego rozgorączkowania.

W izbie odbywały się posiedzenia burzliwe, a sprawa Grandmorrina nastąpiła jeszcze jakby dla obudzenia większej agitacyi, opowiadania obiegały o niej najdziwaczniejsze, dzienniki podawały codzień nowe przypuszczenia, uwłaczające rządowi.

Z jednej strony dawano do zrozumienia, że ofiara, bywalec pałacu Tuilleries, dawny sądownik, kawaler legii honorowej, milioner, oddawał się jak najohydniejszej rozpuście; z drugiej strony, ponieważ śledztwo nie wyprowadzało tego na jaw, zaczęto oskarżać policyę i rząd o pobłażliwość, żartowano z tego legendowego zbrodniarza, co to nigdy go nie można odnaleźć.

Jeżeli było dość prawdy w tych napaściach, tem przykrzejsze stawały się do zniesienia.

Pan Denizet czuł też całą odpowiedzialność, na nim ciążącą.

Pan Denizet także się roznamiętniał, tem bardziej, że był neutralnym i że czekał z niecierpliwością na tego rodzaju sprawę, któraby wyprowadziła na jaw wysokie przymioty sprytu i energii, jakie sobie przypisywał.

Syn zamożnego handlarza bydła, skończył kursa prawne w Caen i wstąpił do sądownictwa dosyć późno, gdzie pochodzenie jego wieśniacze, oraz bankructwo ojca, utrudniały mu awans.

Sekretarzem został w Bernay, potem w Dieppe w Hawrze, a teraz od ośmnastu miesięcy dopiero, mając już lat pięćdziesiąt, pełnił obowiązki sędziego śledczego w Rouen.

Bez majątku, nękany potrzebami, których nie mógł zaspokoić ze skromnej pensyi, żył w tej zależności urzędowania źle płatnego, jakiej ulegają tylko miernoty, a w jakiej zdolniejsi trawią się sami przez się, aż się sprzedadzą.

On się odznaczał inteligencyą bardzo żywą, uczciwością nawet, zamiłowaniem do zawodu, który go upajał władzą, bo czynił go w kancelaryi sędziowskiej panem bezwzględnym wolności innych.

Tylko poczucie własnego dobra, powściągało jego zapał, bo miał wielką chęć dostać order i być przeniesionym do Paryża; dlatego też gdy w początkach zawodu sędziowskiego dał się unieść miłości dla prawdy, teraz postępował z najwyższą przezornością, ażeby w czemkolwiek nie zaszkodzić sobie dla lepszej przyszłości.

Trzeba powiedzieć, że pan Denizet był z góry uprzedzony, bo zaraz na wstępie śledztwa jeden z przyjaciół

poradził mu udać się do Paryża do ministeryum sprawiedliwości.

Tu długo rozmawiał z sekretarzem jeneralnym, panem Canny-Lamotte, osobistością bardzo wpływową, zwłaszcza przy rozdawaniu nominacyj i będącą w ciągłych stosunkach z Tuilleries.

Był to bardzo przystojny człowiek, który, jak on, także rozpoczął karyerę od skromnej sekretarki w trybunale, ale którego protekcya i ożenienie się wyniosły na deputowanego i kawalera legii honorowej.

Sprawa naturalnie dostała mu się już do rąk. Prokurator cesarski w Rouen, zaniepokojony tym procesem dramatu, którego ofiarą padł dawny sądownik, przesłał czemprędzej raport do ministra, który znów zdał wszystko na swego głównego sekretarza.

A tu zaszedł dziwny zbieg okoliczności: pan Canny-Lamotte właśnie urzędował kiedyś pod prezesem Grandmorrinem, młodszy od niego o lat kilka, i zaprzyjaźnił się z nim dość blizko, tak, że znał go nawskroś, aż do jego grzechów.

Mówił też o śmierci tragicznej swego przyjaciela z głębokim smutkiem, a z panem Denizet rozprawiał tylko o gorącem pragnieniu wykrycia winowajcy.

Nie ukrywał jednak, że w Tuilleries nie zadowoleni byli z tego przesadzonego hałasu, jaki sprawiała sprawa i dlatego zalecał mu postępowanie w tym razie z jak największą oględnością i taktem.

Słowem, sędzia zrozumiał, że nie powinien się nadto śpieszyć, oraz nic nie przedsiębrać, bez uprzedniego porozumienia.

Powrócił do Rouen nawet przekonany, że sekretarz jeneralny wysłał od siebie agentów, chcąc także prowadzić śledztwo na własną rękę.

Chciano się dowiedzieć prawdy, ażeby ją lepiej jeszcze ukryć, w razie potrzeby.

Dnie tymczasem upływały, i pana Denizet, pomimo uzbrojenia się w cierpliwość, coraz bardziej złościły docinki gazet.

Zresztą budził się w nim policyant, węszący, jak dobry pies. Ciągnęła go potrzeba odnalezienia prawdziwego śladu, nęciła go sława zwęszenia go wpierw, niż inni, choćby nawet później wszystko miał porzucić, według rozkazu.

I w oczekiwaniu od ministeryum listu, rady, prostej wskazówki, opóźniającej się jednak, zabrał się czynnie do śledztwa.

Dwa czy trzy aresztowania dokonane okazały się nieuzasadnione.

Nagle otwarcie testamentu prezesa Grandmorrina, obudziło w nim podejrzenie, które nawet go się imało już w początkach; podejrzenie względem Roubaudów.

Testament ten, pełen dziwnych legatów, zapisywał Sewerynie na własność dom w Croix-de-Maufras.

Odtąd cel morderstwa, daremnie poszukiwany, został znaleziony. Roubaudowie, usłyszawszy o zapisie, mogli zamordować swego dobroczyńcę, aby niezwłocznie wejść w posiadanie domu.

I to go jeszcze bardziej upewniło, że pan Canny-Lamotte jakoś dziwnie wyrażał się o pani Roubaud, mówiąc,

że ją dawniej poznał u prezesa, gdy była młodą dziewczyną.

Ale ileż nieprawdopodobieństw, ileż niemożliwości, materyalnych i moralnych!

Odkąd skierował poszukiwania w tę stronę, napotykał co krok fakty, które zwracały z tej drogi śledztwo, prowadzone z klasyczną rozwagą.

Nic się nie rozświetlało, w braku światła centralnego, w braku rozjaśniającej wszystko pierwszej przyczyny. Wprawdzie istniał jeszcze także inny trop, którego pan Denizet nie stracił z oczu, trop, wskazany przez samego Roubauda, że wśród tłoku mógł ktoś wsiąść do wagonu

Z tego to właśnie mordercy, tradycyjnie niepochwytnego, legendowego, wyśmiewały się dzienniki opozycyjne.

Śledztwo najprzód starało się otrzymać wiadomość o tym człowieku w Rouen, zkąd pojechał do Barentin, gdzie musiał wysiąść; ale nic dokładnego nie można się było dowiedzieć; jedni świadkowie nawet uważali za niemożebne takie zdobycie szturmem przedziału zastrzeżonego, inni dawali wiadomości jak najsprzeczniejsze.

I trop zdawał się nie prowadzić do niczego, gdy sędzia, badając dróżnika Misarda, wpadł niechcący na dramatyczną historyę Cabucha i Ludwiki, tego dziecka, które, uwiedzione przez prezesa, poszło konać pod dachem swego poczciwego przyjaciela.

Było to dla niego uderzenie piorunu, odrazu cały akt oskarżenia powstał w jego głowie, znajdował już w nim pogróżki zabójstwa, z jakiemi Cabuche dał się słyszeć względem swej ofiary, poprzednie okoliczności jak naj-

fatalniejsze, wprawdzie jeszcze, niemożliwe do udowodnienia.

Po cichu, w chwili takiego natchnienia, kazał Cabucha porwać z domku, w którym mieszkał w głębi lasu, z lichej lepianki, w której znaleziono spodnie poplamione krwią.

I, broniąc się jeszcze przeciw przeświadczeniu, które go opanowywało, obiecując sobie nie zarzucać przypuszczenia co do Roubaudów, ręce zacierał na myśl, że on tylko miał spryt w wykryciu prawdziwego mordercy.

Właśnie dla nabrania zupełnej pewności, wezwał tego dnia do swej kancelaryi kilku świadków, przesłuchanych już raz na drugi dzień po zbrodni.

O godzinie wpół do drugiej, jakkolwiek wezwanie było dopiero na drugą, Roubaudowie już się stawili.

Przyjechali z Hawru i zaledwie zjedli śniadanie w restauracyjce przy ulicy Wielkiej.

Oboje ubrani czarno, on w surducie, ona w sukni jedwabnej, jak poważna dama, mieli miny poważne i zmartwione, jak u małżeństwa, po stracie krewnego.

Seweryna osiadła na ławce, nieruchoma, nie mówiąc ani słowa, gdy Roubaud, stojąc, z założonemi w tył rękoma przechadzał się powoli przed nią.

Ale ilekroć zawracał, spojrzenia ich spotykały się i wtedy jakiś ukryty niepokój ukazywał się jak cień, na milczących ustach.

Zapis Croix-de Maufras, jakkolwiek przejął ich radością, jednakże znów obudził obawy; rodzina bowiem prezesa, a zwłaszcza córka, urażona dziwnemi legatami, tak licznemi, że wynosiły prawie połowę całego majątku, mó-

wiła o zwaleniu testamentu, a pani de Lachesnaye, podburzona przez męża, szczególnie uwzięła się na dawną swą przyjaciółkę Sewerynę, którą obrzucała bardzo ciężkiemi podejrzeniami.

Z drugiej strony ciągły strach wzniecała na Roubaudzie obawa dowodu, o którym wprzód nie pomyślał: ów list, który kazał żonie napisać, ażeby namówić Grandmorrina do podróży, list, który z łatwością mógł być znaleziony, jeżeli tylko nie zniszczył go ten, który go otrzymał, a odrazu przecie poznanoby charakter pisma.

Na szczęście, dnie mijały, a nic nie zaszło, list widocznie był podarty.

Jednakże każde nowe wezwanie do kancelaryi sędziego śledczego, zawsze zimnym potem okrywało małżeństwo, przy ich poważnej postawie spadkobierców i świadków.

Druga godzina wybiła, wszedł Jakób. Przyjechał z Paryża.

Roubaud przystąpił doń zaraz z wyciągniętą ręką bardzo czule.

— A, i pan także... i pana oderwano od zajęć! A! doprawdy, już mi się przykrzy ta smutna sprawa, nigdy się nie kończąca!

Jakób, spostrzegłszy Sewerynę, wciąż siedzącą nieruchomo, odrazu się zatrzymał na miejscu.

Od trzech tygodni, co drugi dzień, przy każdym przyjeździe do Hawru, pomocnik zawiadowcy stacyi obsypywał go grzecznościami. Nawet pewnego razu musiał być u niego na obiedzie.

A przy młodej kobiecie czuł dreszcze na całem ciele, czuł dziwne jakieś pomieszanie.

Czyżby i ona budziła w nim żądzę?

Serce mu biło, ręce paliły, skoro tylko zobaczył białość jej szyi, po nad wycięciem stanika. Postanowił też stanowczo stronić od niej jak najdalej.

— I cóż tam w Paryżu mówią o sprawie? — podchwycił Roubaud — nic nowego, nieprawdaż? Tak, nic nie dojdą i nigdy się nie dowiedzą... Przywitaj się pan z moją żoną...

Pociągnął go i Jakób musiał się ukłonić Sewerynie, zakłopotanej, uśmiechającej się z minką zalęknionego dziecka.

Silił się na rozmawianie o rzeczach obojętnych, a mąż i żona nie spuszczali z niego oczu, jak gdyby starali się przeniknąć dalej nawet po za jego myśli, aż do jego marzeń błędnych, nad któremi sam nawet nie chciał się zastanawiać.

Dlaczego był tak sztywny? dlaczego ich unikał?

Czyżby wspomnienia wracały mu wyraźniej, a może wezwano ich po to, ażeby między nim a nimi urządzić konfrontacyę, ażeby stawić ich sobie do oczu?

Był to jedyny świadek, którego się lękali i świadka tego chcieli też sobie zjednać, związać się z nim ścisłem braterstwem, tak ścisłem, ażeby nie miał już odwagi przeciw nim świadczyć.

Pomocnik zawiadowcy, wciąż niespokojny, sam znów powrócił do sprawy.

— Więc się pan nie domyślasz, w jakiej sprawie nas wzywają? Co, a może zaszło coś nowego?

Jakób skinął obojętnie.

— Pogłoska krążyła przed chwilą na stacyi, kiedym przyjechał. Mówiono o jakiemś aresztowaniu.

Roubaudowie zdziwili się, niezmiernie wzruszeni.

Jakto, aresztowanie? nikt im o tem nie wspominał! Czy to już aresztowano kogo? czy dopiero mają aresztować?

Zarzucili go pytaniami, ale nic już więcej nie wiedział.

Wtem odgłos kroków na korytarzu zwrócił uwagę Seweryny.

— Berta z mężem — szepnęła.

Rzeczywiście byli to Lachesnayowie.

Przeszli przed Roubaudami bardzo sztywnie, młoda kobieta nie raczyła nawet spojrzeć na dawną koleżankę. I woźny natychmiast wprowadził ich do gabinetu sędziego śledczego.

— A tak! musimy się uzbroić w cierpliwość — rzekł Roubaud — będziemy tego mieli na dobre dwie godziny. Siadaj pan...

Sam usiadł po lewej stronie Seweryny, a ręką zapraszał Jakóba, wskazując mu miejsce po drugiej stronie przy niej.

Jakób przez chwilę stał jeszcze. Potem, gdy nań patrzyła spojrzeniem łagodnem i bojaźliwem, usiadł machinalnie na ławce.

Między nimi wydawała się bardzo wątłą, odgadywał w niej czułość uległą i ciepło, jakie się rozchodziło w powietrzu od tej kobiety, podczas długiego oczekiwania, odrętwiało go powoli całego.

W gabinecie pana Denizet badanie miało się zacząć. Już śledztwo dostarczyło materyału na grube akta, z kilku zeszytów papierowych, przybranych w oprawę niebieską. Usiłowano zebrać wszystkie szczegóły o ofierze, od wyjazdu jej z Paryża.

Pan Vandorpe, zawiadowca stacyi, zeznał, że pociąg wyruszył o wpół do siódmej wieczorem, że wagon nr. 293 dodany został w ostatniej chwili, że on sam zamienił kilka słów z Roubaudem, który wsiadł do swego przedziału, na krótko przed przyjściem prezesa Grandmorrina, że wreszcie tenże usadowił się w wagonie, niezawodnie sam.

Następnie konduktor pociągu, Henryk Dauvergne, badany, co się działo w Rouen podczas przystanku na dziesięć minut, nie mógł nic stanowczego powiedzieć.

Widział, jak Roubadowie rozmawiali przed wagonem i pewny był, że powrócili do swego przedziału, którego drzwi zamknął jeden z dyżurnych; ale wszystko to widział niewyraźnie, wśród popychania się tłumu i przy zmroku na stacyi. Co zaś do przypuszczenia, czy jaki człowiek, ów przysłowiowy morderca niepochwytny, mógł wskoczyć do przedziału, w chwili ruszenia pociągu, wydawało mu się to mało prawdopodobnem, co nie wykluczało jednak możebności, bo już za jego pamięci zdarzyło się to dwukrotnie.

Inni urzędnicy ze stacyi w Rouen, pytani również w tych okolicznościach, zamiast rzucić choć trochę światła, tylko bardziej jeszcze zaciemniali rzecz sprzecznemi zeznaniami.

Jednakże stało się stwierdzonym faktem, iż Roubaud z wewnątrz wagonu uścisnął za rękę zawiadowcę stacyi

w Barentin, który stanął na stopniu; zawiadowca ten stacyi, p. Bessier, zeznał to, jako rzecz pewną, i dodał, że kolega jego był sam z żoną, która, nawpół leżąc, wyglądała na śpiącą spokojnie.

Dalej odszukano nawet podróżnych, którzy jechali z Paryża w tym samym przedziale co i Roubadowie.

Otyła jejmość i spasły jegomość, którzy, spóźniwszy się, wsiedli w ostatniej chwili, mieszczanie, oświadczyli, że zdrzemnęli się zaraz i nie umieją nic powiedzieć; co zaś do kobiety zawoalowanej, milczącej w swym zakątku, znikła jak cień, i żadną miarą niepodobna było jej odszukać.

Wreszcie skontrolowano wszystkich podróżnych, którzy wysiedli tego wieczora w Barentin, policzono bilety i poznano wszystkich pasażerów, z wyjątkiem jednego jakiegoś barczystego draba, z niebieską chustką na głowie, ubranego, według jednych, w paltot, według innych w bluzę.

O tym samym człowieku, przepadłym, znikłym, jak marzenie, było w aktach trzysta dziesięć opowiadań, tak pomieszanych, że jedno drugiemu przeczyło jak najwyraźniej.

Akta pęczniały jeszcze od dokumentów urzędowych, był w nich bowiem protokół sekretarza, którego prokurator cesarski i sędzia śledczy sprowadzili na miejsce zbrodni, cały tom opisu miejscowości toru kolejowego, gdzie leżała ofiara, położenie ciała, opis ubrania, przedmiotów znalezionych w kieszeniach, które pozwalały stwierdzić tożsamość osoby; raport lekarza stanowił również dokument, w którym z terminami naukowemi opisana

była rana w gardle, jedyna rana, okropne przecięcie od narzędzia ostrego, zapewne od noża; inne jeszcze protokóły, nowe jeszcze dokumenty, dotyczyły przeniesienia trupa do szpitala w Rouen i czasu, przez jaki tam pozostawał. Oznaki bardzo prędko następującego rozkładu ciała zmusiły władze oddać zwłoki rodzinie.

Z nowej tej kupy papierów, dwa czy trzy punkty pozostawały ważne.

Najprzód w kieszeniach nie odnaleziono ani zegarka, ani pugilaresu, gdzie miało być dziesięć tysięcy franków, suma, należąca się od prezesa Grandmorrina siostrze jego, pani Bonnechon, która też na nią czekała.

Zdawałoby się więc, że zbrodnia miała na celu kradzież, gdyby znów nie pozostał na palcu pierścionek z dużym brylantem.

Ztąd cały szereg przypuszczeń.

Na nieszczęście, wcale nie miano numerów banknotów, ale zegarek był znany, zegarek spory, doskonale zbudowany, z dwiema na kopertach literami nazwiska prezesa a wewnątrz z cyfrą fabryki i numerem 2516.

Wreszcie broń, nóż, którego mordera użył, wywołał poszukiwania wzdłuż całego toru, we wszystkich zaroślach, wszędzie, dokąd mógł być wrzucony; ale nie znaleziono nic, zabójca musiał schować nóż w tę samą dziurę, co i banknoty oraz zegarek.

Tylko, o paręset łokci od stacyi Barentin natrafiono na kołdrę podróżną ofiary, porzuconą tam, jako rzecz kompromitującą, i ona też znajdowała się w liczbie dowodów rzeczowych.

Kiedy Lachesnayowie weszli, p. Denizet, stojąc przed biurkiem, odczytywał pierwsze badanie, które sekretarz wyszukał w aktach.

Był to mały człowieczek, dość silny, starannie wygolony, siwiejący.

Grube policzki, podbródek kwadratowy, nos szeroki, odznaczały się dziwną nieruchomością, którą powiększały jeszcze powieki ociężałe, nawpół przysłaniające duże jasne oczy.

Cała zaś mądrość, cały spryt, jaki sobie przypisywał, wskazywały usta, podobne do ust aktora, mającego popularność w mieście, wargi nadzwyczaj ruchome, które zwężały się, gdy stawał się dowcipnym.

Przebiegłość najczęściej prowadziła go na manowce, zbyt był przezorny, zbyt przemądrzały wobec prawdy najprostszej, najwyraźniejszej; z zawodu sędziego śledczego, podług ideałów swoich, czynił coś w rodzaju anatomii moralnej, obdarzonej podwójnym wzrokiem i niezmiernie sprytnej. Zresztą głupim wcale nie był.

W jednej chwili przybrał minę uprzejmą dla pani Lachesnaye, bo był z niego także urzędnik światowy, bywający w towarzystwach w Rouen i w okolicy.

— Niech pani raczy usiąść.

I przysunął krzesło młodej kobiecie, mizernej blondynce, niesympatycznej i brzydkiej w ubiorze żałobnym.

Dla pana de Lachesnaye był tylko grzeczny, a nawet trochę cierpki, bo człowieczek ten, blondyn, także chuderlawy, radca dworu przy latach trzydziestu sześciu, uorderowany, dzięki wpływowi teścia i zasług, które

ojciec jego położył, jako urzędnik do szczególnych poruczeń, przedstawiał w jego oczach urzędników z łaski, tych urzędników bogatych, którzy, przy całej miernocie umysłowej, szli wyżej dzięki swym stosunkom i majątkowi, gdy on, biedny, bez protekcyi, skazany był na przyrośnięcie do jednego i tego samego urzędu.

Rad też był, że w tym ciasnym gabinecie mógł mu dać uczuć swoją władzę, władzę zupełną, jaką posiadał nad wolnością wszystkich, tak, że miał prawo jednem słowem zamienić świadka na oskarżonego i kazać go aresztować natychmiast, jak mu się spodoba.

— Pani mi wybaczy — podchwycił — że będę panią jeszcze udręczał tą bolesną historyą. Wiem, że pani tak samo, jak my, pragnie wyświetlenia wszystkiego i ukarania winowajcy.

Znakiem uprzedził sekretarza, wysokiego chłopca, wyżółkłego i wyschłego, i zaczęło się badanie.

Ale od pierwszych, pytań zadanych jego żonie, p. de Lachesnaye, który sam usiadł, gdy go nikt nie prosił, starał się w odpowiedziach zastępować żonę.

Całą żółć wylał na testament teścia. To trudne było do wiary! zapisy tak liczne, tak poważne, że stanowiły prawie połowę majątku, majątku, wynoszącego trzy miliony sześć kroć sto tysięcy! I to dla osób, których prawie nie znano, dla kobiet ze wszystkich warstw społecznych! Wymieniona była nawet mała kwiaciarka, wysiadująca w bramie przy ulicy Rocher. Na to niepodobna się było zgodzić i czekał tylko ukończenia śledztwa, ażeby spróbować, czy nie można będzie zwalić tego tak niemoralnego testamentu.

Kiedy rozwodził swe żale, z zaciśniętemi zębami, odsłaniając tem całą głupotę i chciwość, p. Denizet przypatrywał mu się oczyma jasnemi, nawpół przymkniętemi, a wielkie jego usta wyrażały pogardę zazdrosną, dla tego niedołęgi, którego nie zadawalały jeszcze dwa miliony, a który zdawał się w przyszłości zapowiadać wysokiego dygnitarza, dzięki wielkim pieniędzom.

— Mnie się zdaje, że nie miałby pan racyi — wyrzekł wreszcie. — Testament mógłby być zakwestyonowany, gdyby zapisy przewyższały połowę spadku, a tak pewno nie jest.

Poczem, zwracając się do sekretarza, dodał:

— Wawrzyńcze, wszak tego nie zapisujesz do protokółu, nieprawdaż?

Sekretarz odpowiedział uśmiechem, z miną człowieka wiedzącego, co ma robić.

— No, to przynajmniej - odparł Lachesnaye tonem jeszcze bardziej cierpkim—niech sobie nikt nie myśli, że zgodzę się oddać Croix-de-Maufras tym Roubaudom! taki zapis dla córki służącego. A to z jakiego tytułu? Zresztą skoro dowiedzionem jest, że ręce maczali w zbrodni...

P. Denizet wracał do sprawy.

— Doprawdy! tak pan sądzi.

— A naturalnie, jeżeli wiedzieli o testamencie, mieli interes w śmierci naszego biednego ojca, to nie ulega najmniejszej wątpliwości... Zwróć pan uwagę przytem, że oni to ostatni z nim rozmawiali. Wszystko to wygląda bardzo podejrzanie.

Zniecierpliwiony tem zbijaniem jego nowego domysłu, sędzia zwrócił się do Berty:

— A pani, jak sądzi, czy dawna przyjaciółka pani zdolna jest do takiej zbrodni?

Zanim odpowiedziała, spojrzała na męża.

W ciągu kilkomiesięcznego pożycia, oboje nabrali wspólnej cierpkości i oschłości. Wzajemnie się psuli. On to właśnie podburzył ją przeciw Sewerynie, tak, że dla zatrzymania domu w swojem ręku, chętnie kazałaby ją aresztować natychmiast.

— Mój Boże! — odezwała się wreszcie — osoba, o którą mnie pan pyta, gdy była dzieckiem, miała bardzo złe popędy.

— Jakto? Czy, zdaniem pani, źle się prowadziła w Doinville?

— O! nie, panie, bo mój ojciec byłby jej nie trzymał!

W okrzyku tym odezwała się drażliwość mściwej mieszczanki, nie mającej sobie nic do wyrzucenia i poczytującej sobie za sławę, że mogła się uważać za najcnotliwszą kobietę w Rouen, godną bywać wszędzie i wszędzie być traktowaną z szacunkiem.

— Ale — mówiła dalej — kiedy kto przywyknie do lekkomyślności i marnotrawstwa! zresztą wiele rzeczy, które wówczas nie uważałabym za możliwe, wyda mi się dzisiaj pewnemi.

Pan Denizet znowu okazał niecierpliwość. Nie chciał iść wcale tym tropem, a ktokolwiek wpychał go tu, stawał się jego przeciwnikiem, zdawał się poddawać w wątpliwość jego bystrość umysłu.

— Tak — zawołał — ale wszystko trzeba wyrozumować. Ludzie tacy, jak Roubaudowie, nie zabiją takiego człowieka, jak ojciec pani, po to, ażeby prędzej dostać

spadek; a przynajmniej byłyby wskazówki takiego pośpiechu, wykryłbym wreszcie radość z posiadania spadku. Nie, pobudka ta całkiem nie wystarcza, trzeba byłoby odkryć inną, a tymczasem niema nic, państwo sami o niczem więcej nie wiecie... Zresztą przyjrzyjmy się faktom, czyż nie rzucają się w oczy niemożebności fizyczne? Nikt nie widział, ażeby Roubaudowie wsiadali do tego przedziału, a nawet jeden z urzędników prawie zapewnia, że wsiedli do swego wagonu. A ponieważ pozostali w nim aż do Barentin, trzeba byłoby przypuścić chyba, że przeszli tam i napowrót ze swego wagonu do wagonu prezesa, od którego oddzielały ich jeszcze trzy inne, i to podczas kilku minut przejazdu, kiedy pociąg pędził z całą szybkością. Czyż to prawdopodobne? pytałem o to maszynistów i konduktorów. Wszyscy mi odpowiedzieli, że tylko wielka wprawa może dać tyle zimnej krwi i energii... W każdym razie żona nie odważyłaby się na to, mąż byłby ryzykował bez niej, ale właściwie po co? ażeby zabić swego protektora, który go świeżo wybawił z wielkiego kłopotu?.. Nie, nie, to niemożebne, przypuszczenie takie nie wytrzymuje żadnej krytyki, trzeba czego innego szukać... A! raczej to ten człowiek, który wsiadł w Rouen, a wysiadł na pierwszej stacyi, i niedawno jeszcze groził śmiercią ofierze.

W roznamiętnieniu swem zmierzał do swego nowego tropu, byłby może zanadto wiele się wygadał, gdy drzwi się otworzyły, a w nich ukazała się głowa woźnego.

Zanim jednak tenże zdołał co powiedzieć, ręka w rękawiczce otworzyła te same drzwi na rozcież i weszła jakaś pani, blondynka, ubrana w żałobie, bardzo elegancko,

jeszcze ładna, pomimo lat przeszło pięćdziesięciu, pięknością podstarzałej bogini.

— To ja, kochany sędzio. Spóźniłam się, ale mi wybaczysz, nieprawdaż? Drogi są fatalne, trzy mile z Doinville do Rouen tyle znaczy dziś co sześć.

Pan Denizet powstał bardzo uprzejmie.

— Jakże się pani miewa od zeszłej niedzieli?

— Bardzo dobrze. A pan, kochany sędzio, czyś już ochłonął z przestrachu, jakiego cię nabawił mój stangret? Opowiedział mi on, że o mało pana nie wywrócił i to tuż pod zamkiem.

— O! małe tylko wstrząśnienie... nawet nie pamiętam... Niechże pani raczy usiąść i jak przed chwilą powiedziałem to samo pani de Lachesnaye, niech mi pani wybaczy, że obudzę boleść pani tą okropną sprawą...

— Ha! mój Boże!.. kiedy nie może być inaczej!.. Dzień dobry, Berto! dzień dobry Lachesnaye!

Była to pani Bonnehon, siostra ofiary.

Wdowa, od roku trzydziestego życia, po przemysłowcu, który jej zostawił duży majątek, już sama z siebie bardzo bogata, mając do podziału ze swym bratem dobra Doinville, pędziła dni bardzo mile, podobno wśród częstych wzruszeń sercowych, ale umiała tak utrzymać pozory, tak zachować nieskalaną reputacyę, że była wyrocznią w towarzystwie rouenskiem.

Ze sposobności i z upodobania lubiła szczególnie świat urzędniczy i w zamku swym od lat trzydziestu pięciu przyjmowała cały świat sądowniczy, który powozy jej przywoziły z Rouen i odwoziły, jakby na bal nieustający.

Dziś jeszcze nie uspokoiła się całkiem, przypisywano jej uczucie macierzyńskie dla młodego urzędnika, syna radcy dworu, pana Chainmella, pracowała nad awansowaniem syna a ojca obsypywała zaproszeniami i grzecznościami. Zachowała też dobrego przyjaciela z dawnych czasów, radzcę również, kawalera, pana Desbareilles, sławę literacką trybunału w Rouen, którego zręczne sonety były w modzie. Przez wiele lat miał on swój pokój w Doinville.

Teraz, chociaż minęła mu już sześćdziesiątka, zawsze bywał na obiedzie, jako stary przyjaciel, któremu reumatyzm pozwala tylko poprzestawać na wspomnieniach.

Tak potrafiła utrzymać swoje panowanie, przy pomocy wrodzonego jej wdzięku, pomimo grożącej starości, i nikt nie śmiał z nią współzawodniczyć, nie czuła rywalki, dopiero ostatniej zimy znalazła ją w osobie pani Lebon, żony także radzcy.

Była to wysoka brunetka trzydziestoczteroletnia, a świat urzędniczy bardzo już sobie upodobał jej towarzystwo. To nadało twarzy pani Bonnehon nieco melancholii.

—Więc, jeżeli pani pozwoli — podchwycił pan Denizet — zadam pani kilka pytań.

Lachesnayów już nie miał o co pytać, ale ich jeszcze nie pożegnał; gabinet jego tak ponury, tak chłodny, przemienił się w salon towarzyski.

Sekretarz flegmatyk przygotował się znów do pisania.

— Jeden ze świadków wspominał o depeszy, którą brat pani otrzymał, a która go wzywała natychmiast do

Doinville... Nie znaleźliśmy śladu tej depeszy... Czyby pani do niego pisała?

Pani Bonnehon z całą pewnością siebie, uśmiechnięta, zaczęła odpowiadać tonem przyjacielskiej pogawędki.

— Nie pisałam do brata, spodziewałam się go, wiedziałam, że ma przyjechać, ale dzień nie był oznaczony. Zwykle przybywał niespodziewanie, a najczęściej pociągiem nocnym. Ponieważ mieszkał w domku samotnym w parku, a drzwi wychodzą na uliczkę pustą, nie słyszeliśmy nawet, jak przyjeżdżał. W Barentin wynajmował powóz i pokazywał się u nas dopiero nazajutrz, czasem bardzo późno... Tym razem czekałam jednak na niego, gdyż miał mi przywieźć dziesięć tysięcy franków, jakie mi przypadało z rachunku między nami. Te dziesięć tysięcy franków miał niezawodnie przy sobie. Dlatego też ja myślę, że go zabito po prostu dla okradzenia.

Sędzia pozwolił zapanować krotkiemu milczeniu, poczem, bystro spojrzawszy w oczy:

— Co pani myśli — rzekł — o pani Roubaud i o jej mężu?

Poruszyła się, jakby chciała zaprzeczyć.

— O! nie, kochany panie Denizet, nie myl się co do tych poczciwych ludzi... Seweryna była dobrą dziewuszką, bardzo łagodną, bardzo uległą, nawet i ładniutką, co wcale nie zawadzi. Ja myślę, ponieważ chcesz pan, ażebym wyjawiła swe zdanie, że, jak ona tak i jej mąż, niezdolni są do zbrodni.

Sędzia głową przytakiwał. Tryumfował teraz, rzucając spojrzenia ku pani de Lachesnaye.

Ta, urażona, nie wytrzymała, ażeby się nie wtrącić.

— Ciocia bardzo jest pobłażliwa.

Na to pani Bonnehon dała folgę swej otwartości.

— Daj spokój, Berto, my się nigdy co do tego nie zgodzimy... Ona zawsze była wesoła, lubiła się pośmiać, i bardzo słusznie. Wiem doskonale, co ty i twój mąż myślicie. Ależ doprawdy interes musiał wam zanadto głowę zawrócić, że się dziwicie tak bardzo, iż twój ojciec zapisał Croix-de-Maufras poczciwej Sewerynie. On ją przecie wychował, wyposażył, więc rzecz naturalna, że pamiętał o niej w testamencie. Czyż jej trochę nie uważał za swą córkę, nieprawdaż! A! moja droga, pieniądze tak mało znaczą przy szczęściu!

Ona rzeczywiście, będąc zawsze bogatą, okazywała się najzupełniej bezinteresowną. Nawet, jako kobieta piękna i uwielbiana zdawała się widzieć jedyny cel życia w piękności i w miłości.

— To Roubaud mówił o depeszy — wtrącił oschle pan de Lachesnaye. — Jeżeli nie było depeszy, to prezes nie mógł powiedzieć; że ją dostał. Dlaczegóż więc Roubaud skłamał?

— Ależ — zauważył pan Denizet, roznamiętniając się — prezes być bardzo może zmyślił sam tę depeszę, ażeby wytłómaczyć swój nagły wyjazd Roubaudom. Według ich własnego zeznania, miał dopiero jechać nazajutrz, a ponieważ znalazł się w tym samym, co i oni pociągu, potrzeba było coś im powiedzieć, jeżeli nie chciał im wyjawić prawdziwej przyczyny, której zresztą nikt dotąd nie znamy. Ta okoliczność niema żadnej wagi, to nie znaczy nic.

Nastąpiło nowe milczenie.

Kiedy się sędzia odezwał, był już bardzo spokojny i okazał się nader poważnym.

— Teraz, proszę pani, przystępuję do przedmiotu bardzo drażliwej natury i zgóry proszę mi wybaczyć to pytanie. Nikt bardziej odemnie nie szanuje pamięci brata pani... Ale krążyły wieści... mówiono, że miał kochanki...

Pani Bonnehon znów się uśmiechnęła, z niewinną pobłażliwością.

— O! drogi panie! w jego wieku! — Mój brat właśnie owdowiał, a ja nigdy nie czułam się mieć prawa, do uważania tego za złe, czego on za złe nie uważał. Żył więc jak mu się podobało, a ja się w to nie mieszałam. Wiem tylko, że umiał być godnym swego stanowiska i pozostał do końca życia, jaknajprzyjemniejszym w towarzystwie.

Berta, dotknięta głęboko opowiadaniem przy niej o kochankach ojca, spuściła oczy, a mąż jej, również zakłopotany, stanął tyłem przy oknie.

— Niech mi pani wybaczy, że się nad tem rozwodzę — rzekł p. Denizet. — Podobno była jakaś historya z pokojówką u pani?

— A! tak, z Ludwiką... Ależ, mój panie, ta mała łotrzyca już w czternastym roku była zepsuta i to jak zepsuta! Chciano wyzyskać śmierć jej przeciw memu bratu. Krzycząca niegodziwość! zaraz to panu opowiem.

Niewątpliwie mówiła to wszystko w dobrej wierze.

Jakkolwiek wiedziała dobrze, co ma myśleć o obyczajach prezesa, zgon jego tragiczny nie zadziwiał jej

wcale, jednakże czuła potrzebę bronić wysokiego stanowiska swej rodziny. Zresztą w tej nieszczęśliwej awanturze z Ludwiką, jeżeli brata uważała za zdolnego do takiej namiętności, przekonana była również o wielkiem zepsuciu dziewczęcia.

— Wyobraź pan sobie gapiątko! o! tak miłą, delikatną, blondyneczkę i różową jak aniołek, a tak łagodną i skromną jak *Nitouche*... Acha! czternastu lat jeszcze nie miała a już przyjaźniła się z pewnym hultajem, kamieniarzem, Cabuchem, który odsiedział pięć lat w więzieniu za zabicie człowieka w karczmie. Chłopak ten żył w stanie dzikim, w głębi lasu Bécourt, gdzie ojciec jego, zmarłszy ze zmartwienia, zostawił mu chałupę, skleconą z chrustu i z ziemi. Tu wziął się do opuszczonych kamieniołomów, które niegdyś dostarczyły połowy kamieni, z których Rouen jest zbudowane. Otóż ona odnalazła tam w tych pieczarach swego wilkołaka, którego tak się w okolicy lękano, że sam zupełnie żył, jak zadżumiony. Często odtąd spotykano ich razem, wałęsających się po lesie, trzymających się za ręce, ją drobną i miluchną jak dziecko, jego ogromnego, podobnego do zwierza. No, trudno wyobrazić sobie gorszą rozpustę!.. Naturalnie o tem wszystkiem dowiedziałam się dopiero później. Ludwikę wzięłam do siebie prawie z litości, dla dobrego uczynku. Rodzice jej, Mizardowie, o których nędzy wiele słyszałam, nie pisnęli do mnie ani słowa, że już dobrze natłukli dziecko, a nie mogli go oduczyć od biegania do Cabucha, jak tylko zobaczyło drzwi otwarte... I wtedy stał się ten wypadek. Brat mój w Doinville nie miał własnej służby.

Ludwika i jeszcze jedna kobieta robiła porządek w ustronnym pawilonie, gdzie mieszkał. Pewnego rana Ludwika znikła, gdy udała się tam sama. Mnie się zdawało, że oddawna już nosiła się z myślą ucieczki, może kochanek na nią czekał i uprowadził!.. Ale, co najgorsza, że w pięć dni później, krążyć zaczęły wieści o śmierci Ludwiki ze szczegółami gwałtu, którego jakoby usiłował się dopuścić mój brat, wśród okoliczności tak potwornych, że dziecko ledwie żywe schroniło się do Cabucha i tam umarło na zapalenie mózgu. Co się rzeczywiście stało? Tyle opowiadano rozmaitych plotek, że trudno doprawdy wiedzieć. Co do mnie, sądzę, że Ludwika istotnie umarła na jakąś gorączkę, co stwierdził też lekarz, a nabyła jej wałęsając sie nocami po lesie i po błotach... Nieprawdaż, kochany sędzio, że niepodobna, ażeby mój brat pragnął takiej łobuzki, to ohydne, to niemożliwe.

Pan Denizet słuchał tego opowiadania, ani nie przytakując, ani też nie zaprzeczając.

Pani Bonnehon kończyła też z pewnem zakłopotaniem, wreszcie odważyła się powiedzieć:

— Mój Boże! nie mówię wcale, ażeby mój brat nie chciał czasem z nią pożartować. Lubił młodość, a przy pozornej powadze był bardzo wesoły. Dajmy nawet, że ją kiedy pocałował.

Na te słowa wzdrygnęła się wstydliwość Lachesnayów.

— O! moja ciotko! moja ciotko!

Ale pani Bonnehon wzruszyła ramionami. Po co kłamać przed sądem.

— Pocałował ją, a może połachotał. W tem niema jeszcze zbrodni.. I tem bardziej to przypuszczam, że plotki pochodzą od kamieniarza. Ludwika kłamczuch, musiała wszystko przesadzać, wszystkim nagadać niestworzone rzeczy, może dlatego, żeby ją kochanek zatrzymał, tak, że ten gamoń wreszcie uwierzył, iż mu zabito kochankę... W istocie, o mało co nie oszalał z wściekłości i wygrażał się po karczmach, że gdyby prezes wpadł mu w ręce, rozprułby go jak wieprza.

Sędzia, dotąd milczący, przerwał nagle:

— Powiedział tak i świadkowie mogliby to po twierdzić?

— O! kochany sędzio, znajdziesz ich, ilu chcesz... Tak, w każdym razie, była to bardzo niemiła sprawa, tyle z nią mieliśmy kłopotu. Na szczęście, stanowisko mojego brata stawiało go po nad wszelkie podejrzenia.

Pani Bonnehon zrozumiała, po jakim nowym tropie szedł teraz pan Denizet, i bardzo to ją zaniepokoiło, wolała nie zapędzać się zanadto przez wypytywania go ze swej strony.

Wstał i oświadczył, że nie chce nadużywać dłużej bolesnej cierpliwości rodziny.

Z polecenia jego, sekretarz odczytał protokół badań, przed podpisaniem go przez świadków.

Zeznania te były tak przyzwoicie napisane, tak oczyszczone z wszelkich słów niepotrzebnych, drastycznych i kompromitujących, że pani Bonnehon, z piórem w ręce, spojrzała z wdzięcznem zdziwieniem na tego Wawrzyńca, bladego, kościstego, na którego dotąd nawet nie rzuciła okiem.

Potem, kiedy sędzia odprowadził ją do drzwi, zarówno jak synowicę i jej męża; uścisnęła go za ręce.

— Prędko się zobaczymy, nieprawdaż? Pan wie, że zawsze jesteś oczekiwany w Doinville. Bo przecie liczysz się jeszcze do wiernych mi przyjaciół.

Uśmiech jej przysłoniła melancholia, a tymczasem synowica jej wyszła pierwsza, zlekka tylko się ukłoniwszy.

Pan Denizet, zostawszy sam, odetchnął swobodniej, stał przez chwilę zamyślony.

Dla niego sprawa stawała się jasną. Grandmorrin, który dał się już z tego poznać, niezawodnie dopuścił się gwałtu.

Śledztwo wprawdzie stawało się przez to o wiele drażliwszem, postanowił też podwójnie być ostrożnym, dopóki nie otrzyma spodziewanych wskazówek z ministeryum. Ale niemniej przeto tryumfował. Nareszcie miał winowajcę.

Usiadł znów przed biurkiem i zadzwonił na woźnego.

— Poproś pan Jakóba Lantier.

Na ławce w korytarzu Roubaudowie czekali ciągle, z twarzami, jakby obojętnemi i sennemi ze zmęczenia, chwilami przecie drgającemi nerwowo.

Głos woźnego, wzywający Jakóba, jakby ich obudził, bo się wstrząsnęli

Patrzyli za nim rozszerzonemi źrenicami, dopóki nie znikł w pokoju sędziego.

Potem znów wpadli w ten stan oczekujący, jeszcze bledsi, jeszcze bardziej milczący.

Cała ta sprawa od trzech tygodni przejmowała Jakóba żywym niepokojem, jak gdyby miała się przeciw niemu obrócić.

Było to niedorzecznością, gdyż nic nie miał sobie do wyrzucenia, przecie nic nawet nie zataił, a jednak wszedł do sędziego, drżąc, jakby winowajca, obawiający się, ażeby nie wykryto jego zbrodni, i bronił się przeciw pytaniom, pilnował się, bojąc się, ażeby nie powiedzieć zawiele.

On także mógłby był zabić!

Czyż tego niepodobna było wyczytać mu z oczu?

Nic przykrzejszego dlań nie było nad to stawanie u sędziego, doznawał jakby wściekłości, chcąc się czemprędzej uwolnić, od męczenia temi historyami, które go nic a nic nie obchodziły.

Zresztą tego dnia panu Denizetowi chodziło tylko o rysopis mordercy.

Ponieważ tylko Jakób widział go na chwilę, od niego więc tylko spodziewać się można było w tym względzie wiadomości.

Ale on nie powiedział nic więcej po nad to, co przy pierwszem zeznaniu; powtarzał, że scena morderstwa była dlań tylko widzeniem, sekundę trwającem, widokiem tak przelotnym, że pozostał we wspomnieniach jego niepochwytnym, bezkształtnym.

Ot widział tylko człowieka, mordującego drugiego człowieka, i nic więcej.

Przez pół godziny sędzia, z uporczywą wytrwałością dręczył go powoli, zadawał mu jedno i to samo pytanie, w wszelkiej możliwej formie: czy ten człowiek wielki był,

czy mały? czy miał brodę, włosy długie czy krótkie? jak był ubrany? z jakiej sfery zdawał się pochodzić?

A Jakób zmieszany dawał odpowiedzi tylko niewyraźne.

— No, a gdyby go panu pokazano? — spytał nagle pan Denizet, patrząc mu bystro w oczy — czybyś go pan poznał?

Jakóbowi zadrgały zlekka powieki pod tem spojrzeniem, świdrującem mu czaszkę.

Sumienie odezwało się w nim głośno.

— Czybym go poznał... może.

Ale już zaraz dziwna obawa zaplątania samego siebie, narzuciła mu system wymijający.

— Nie, nie sądzę, nigdy nie śmiałbym twierdzić. Niech pan tylko pomyśli, pociąg pędził z szybkością ośmdziesięciu kilometrów na godzinę.

Ruchem, pełnym zniechęcenia, sędzia miał mu już polecić, ażeby poszedł do sąsiedniego pokoju, gdy raptem się rozmyślił.

— Zostań pan, usiądź.

I, zadzwoniwszy znów na woźnego, rzekł:

— Wprowadź państwa Roubaud.

Odedrzwi, gdy spostrzegli Jakóba, wzrok ich się zamglił pod wrażeniem niepokoju.

Czy co powiedział? czy go zatrzymano po to, ażeby go z nimi skonfrontować?

Całą pewność siebie stracili, zobaczywszy go tutaj odpowiadali też zrazu głosem zdławionym.

Ale sędzia ponowił tylko poprzednie ich badanie, potrzebowali więc tylko powtarzać te same zdania, prawie

jednakowo brzmiące, a on ich słuchał, z głową spuszczoną, nawet nie patrząc na nich.

Wtem zwrócił się nagle ku Sewerynie:

— Pani powiedziała naczelnikowi straży, którego tu mam protokół, że, podług pani, jakiś człowiek wsiadł w Rouen do przedziału, kiedy już pociąg ruszał z miejsca.

Struchlała.

Dlaczego to przypominał? Czy to nie była zasadzka?

Czyżby chciał zestawić jej zeznania, ażeby dowieść kłamstwa?

Spojrzeniem poradziła się męża, który wtrącił zaraz przezornie.

— Nie sądzę, proszę pana, ażeby żona twierdziła to tak stanowczo.

— Przepraszam, kiedy pan uważałeś to za możliwe, pani się odezwała: „Ale z pewnością tak było“. Chciałbym otóż się dowiedzieć, na czem pani to opierała?

Do reszty się zmieszała, przekonana że, jeśli nie będzie się miała na baczności, to z odpowiedzi do odpowiedzi sędzia doprowadzi ją do wyznań. A jednak nie mogła milczeć.

— O! nie, panie sędzio, powiedziałam tak, bez żadnego powodu... Musiałam to mówić, po prostu tylko rozumując, bo rzeczywiście trudno to sobie inaczej wytłómaczyć.

— Aleś pani nie widziała tego człowieka, nie możesz pani nic o nim powiedzieć?

— Nie, nie, panie, nic!

Pan Denizet zdawał się być skłonnym zaniechać badania w tym kierunku. Ale do tego samego przedmiotu powrócił zaraz z Roubaudem.

— A jakże to mogło być, żeś pan nie widział tego człowieka, jeżeli rzeczywiście wsiadł, bo z pańskiego zeznania wynika, żeś pan rozmawiał jeszcze z ofiarą, kiedy już zagwizdano na odjazd pociągu!

To natarczywe pytanie zastraszyło wreszcie pomocnika zawiadowcy i nie wiedział już czego się teraz trzymać? czy porzucić bajeczkę o tym człowieku, czy też się przy niej upierać.

Jeżeli niema przeciw niemu poszlak, przypuszczenia o nieznajomym mordercy niepodobna było popierać, bo ono nawet pogorszało sprawę.

Chciał więc przedewszystkiem wyrozumieć, jak rzeczy stoją, i odpowiadał dlatego wymijającemi i niejasnemi objaśnieniami.

— Doprawdy, wielka to szkoda — podchwycił pan Denizet — że pańskie wspomnienia są tak niewyraźne, bo panbyś nam ostatocznie dopomógł do rozpoznania podejrzeń, które padają na różne osoby.

To już wydawało się Roubaudowi skierowanem tak wprost przeciw niemu, iż uczuł nieodzowną potrzebę usprawiedliwienia.

W mniemaniu, że został wykryty, powziął natychmiast plan.

— To już rzecz sumienia! Człowiek się waha, pojmuje pan, że to naturalne. Gdybym się panu przyznał, że, jak mi się zdaje, naprawdę widziałem tego człowieka...

Sędzia uśmiechnął się tryumfująco, myśląc, że ten początek szczerości zawdzięcza zręczności swojej.

Wmawiał w siebie, że wie z doświadczenia, z jaką trudnością nieraz świadkowie spowiadają się z tego, co mają do powiedzenia, i to mu pochlebiało, że ich pomimo to zniewolił do wyznań.

— Mówże pan... Jakże wyglądał? Mały był, duży, może pańskiego wzrostu?

— O! nie, nie, daleko większy. Przynajmniej takie sprawił na mnie wrażenie, bo jestem prawie pewny, że się o niego otarłem, biegnąc z powrotem do naszego wagonu.

— Poczekaj pan — rzekł pan Denizet.

I, zwracając się do Jakóba, zapytał go:

— Czy człowiek, którego pan widział z nożem w ręku, większy był od pana Roubaud?

Mechanik, który się niecierpliwił, bo poczynał się obawiać, że nie będzie mógł odjechać pociągiem o godz. piątej, spojrzał na Roubauda.

I wydało mu się, że nigdy przedtem nań nie patrzył, zdziwił się, że Roubaud wygląda tak krępo, barczysto, ze szczególnym profilem twarzy, który gdzieś już widział, czy też który mu się śnił.

— Nie — szepnął — był nie większy, prawie tego samego wzrostu.

Na to pomocnik zawiadowcy żywo zaprotestował:

— O! daleko wyższy, przynajmniej o głowę.

Jakób tymczasem wpatrywał się w niego szeroko rozwartemi oczyma, a on pod tem spojrzeniem, w którem czytał rosnące zdumienie, poruszał się niespokojnie,

jakby chciał się otrząsnąć ze swej powierzchowności; jednocześnie żona jego także zlodowaciała, śledziła niemą pracę pamięci, pracę, którą znać było na twarzy młodzieńca.

Widocznie zdziwiło go z początku niejakie podobieństwo między Roubaudem i mordercą; później nabrał nagle pewności, że Roubaud jest mordercą, jak o tem krążyły pogłoski; obecnie, wydawał się cały wzruszony tem odkryciem, roztworzył usta i niewiadomo było, co chce uczynić, a on sam także nie wiedział.

Jeżeli powie, oboje małżonkowie będą zgubieni.

Oczy Roubauda napotkały jego wzrok i obaj spojrzeli sobie aż do głębi duszy.

Zapanowała cisza.

— Więc nie zgadzacie się panowie na jedno? — odezwał się pan Denizet. — Jeżeli panu wydał się niższym, to zapewne dlatego, że się niezawodnie schylił w walce z ofiarą.

Sędzia patrzył także na tych dwóch ludzi.

Wprzód nie pomyślał wcale o zużytkowaniu tej konfrontacyi, ale instynktem, nabranym w zawodzie, czuł, w tej chwili, że prawda wisiała w powietrzu.

Nawet jego pewność co do tropu Cabucha została zachwiana.

Czyżby Lachesnayowie mieli słuszność? czyżby winowajcami, pomimo wszelkiego prawdopodobieństwa, byli rzeczywiście, ten urzędnik uczciwy i jego młoda żona, tak łagodna?

— A czy człowiek ten nosił brodę tak, jak pan? — zapytał Roubauda.

Ten miał siłę odpowiedzieć, głos wcale mu nie drżał:

— Czy brodę nosił? nie! nie! Zdaje mi się, że wcale nie miał brody.

Jakób zrozumiał, że to samo pytanie będzie i jemu zadane.

Co powie? bo onby przysiągł, że człowiek ów miał brodę i to długą.

Zresztą ludzie ci nie obchodzili go wcale, dlaczegóżby więc nie powiedzieć prawdy?

Ale, odwracając oczy od męża, napotkał spojrzenie żony, a w spojrzeniu tem wyczytał tak gorące błaganie, taką gotowość oddania całej siebie, że całkiem go to wzruszyło.

Po ciele przebiegł mu znów dawniej doświadczany dreszcz: czyżby on ją kochał, i to kochał prawdziwą miłością, bez potwornej żądzy morderstwa?

I w tejże chwili pod szczególnem działaniem tego niepokoju, pamięć mu się zamroczyła, już nie odnajdywał mordercy w Roubaudzie.

Widzenie zamgliło się znowu, ogarnęła go wątpliwość, tak dalece, że przez życie całe byłby żałował, gdyby już był co powiedział.

Pan Denizet właśnie zadał mu pytanie:

— Czy ten człowiek nosił brodę, jak pan Roubaud?

Wtedy odpowiedział w dobrej wierze:

— Doprawdy, proszę pana, nie umiem powiedzieć. Powtarzam, że mi się tylko mignęło w oczach. Nie wiem nic, nie chcę nic wiedzieć.

Ale pan Denizet się uparł, bo pragnął skończyć już raz z podejrzeniami względem pomocnika zawiadowcy.

Nalegał nań, nalegał usilnie, bo już otrzymać zdołał od pierwszego rysopis zupełny mordercy, wiedział, że wysoki był, barczysty, bez brody, słowem zgoła inaczej wyglądał niż Roubaud; tymczasem z Jakóba zdołał teraz wydobyć tylko wymijające półwyrazy, które wprawdzie potwierdzały poniekąd, co utrzymywał tamten.

I wobec tego sędzia powracał do pierwszego przekonania; na dobrym tropie był; portret, który opisywał świadek, był tak dokładny, że każdy nowy rys, czynił go wyraźniejszym.

Teraz widział, że to małżeństwo, niesłusznie posądzone, przyczyni się zeznaniem swojem do spadnięcia głowy winowajcy.

— Wejdźcie tam państwo — rzekł do Roubaudów i do Jakóba, przeprowadzając ich do sąsiedniego pokoju, gdy już podpisali protokół zeznań — zaczekajcie, państwo, aż was wezwę.

Natychmiast też polecił, ażeby przyprowadzono aresztowanego; był tak uszczęśliwiony, że dobry humor posunął, aż do powiedzenia swemu sekretarzowi:

— Mamy go, Wawrzyńcze.

Drzwi się otworzyły i ukazało się dwóch żandarmów, prowadzących wysokiego chłopa lat dwudziestu pięciu do trzydziestu.

Na znak sędziego, oddalili się i Cabuche pozostał sam na środku gabinetu, oszołomiony, z błędnem spojrzeniem dzikiego zwierzęcia, pochwyconego.

Był to drab o szyi potężnej, pięściach ogromnych, blondyn, z bardzo białą cerą, brodą rzadką, jedwabistą, złotawo połyskującą.

Twarz duża, czoło nizkie, znamionowały gwałtowność istoty pierwotnej, poddającej się niezwłocznie każdemu uniesieniu; ale zarazem znać było chęć serdecznej uległości w tych szerokich ustach i nosie kwadratowym, jak u poczciwego psa.

Pochwycony znienacka i gwałtem w głębi swej kryjówki, bardzo wczesnym rankiem, zrozpaczony oskarżeniami, których nie rozumiał, miał już przy osłupieniu i podartej bluzie złowrogą minę obwinionego, ten wstrętny wygląd łotrowski, jaki więzienie nadaje najporządniejszym ludziom.

Noc zapadała w pokoju a on zacisnął się w kąt, w cień najgłębszy. Woźny przyniósł dużą lampę bez klosza, rażący jej blask oświetlił mu twarz.

Wtedy, widoczny już, pozostał nieruchomy.

Pan Denizet natychmiast utkwił w nim jasne duże oczy o powiekach ociężałych.

Nie widział jednak nic; był to początek zapasów, pierwsza próba siły, przed rozpoczęciem dzikiej wojny, pełnej przebiegów, zasadzek i tortur moralnych.

Człowiek ten był winowajcą, wszystko przeciw niemu świadczyło, miał tylko prawo przyznać się do zbrodni.

Badanie zaczęło się bardzo powoli.

— Czy wiecie, o jaką zbrodnię jesteście obwinieni?

Cabuche, głosem zdławionym przez gniew bezsilny, wybąkał:

— Nic mi jeszcze nie mówiono, ale już się domyślam. Tyle o tem gadają.

— Znaliście pana Grandmorrina?

— O! o! znałem go zanadto!

— Pewna dziewczyna, Ludwika, kochanka wasza, służyła za pokojówkę u pani Bonnehon?

Wybuch gniewu porwał kamieniarza. Od złości w oczach mu się zaczerwieniało.

— O! na Boga! ci, co to powiadają, podli są, kłamią najbezczelniej! Ludwika nie była moją kochanką!

Sędzia z ciekawością przyglądał się jego gniewowi i odezwał się podchwytliwie:

— Bardzo gwałtowni jesteście! wszak skazani byliście na pięć lat więzienia, za zamordowanie człowieka w kłótni.

Cabuche spuścił głowę. Wyrok ten był dla niego upokorzeniem. Wyjąkał tylko:

— On pierwszy uderzył... Siedziałem tylko cztery lata, darowano mi rok.

— Zatem — podchwycił pan Denizet — utrzymujecie, że Ludwika nie była waszą kochanką?

Cabuche znowu zacisnął ręce.

Potem głosem cichym, urywanym, wymówił:

— Niechże pan zrozumie, że to było dopiero dziecko, czternastu lat nie miała, kiedy powróciłem ztamtąd... Odemnie wszyscy uciekali, kamieniami rzucano na mnie. A ona, w lesie, gdzie ją zawsze spotykałem, zbliżyła się do mnie, chodziła ze mną, rozmawiała, była tak grzeczna dla mnie, o! tak, grzeczna... I zostaliśmy przyjaciołmi, za ręce trzymaliśmy się, gdy chodziliśmy razem... Jakże to dobre były te czasy... Ona rosła to prawda, a ja myślałem już o niej, tego się nie zapieram. Ale tak ją kochałem, że gotów byłem oszaleć. Ona mnie także bardzo kochała, i byłoby się pewnikiem skończyło tem, o czem pan mówił, kiedy ją odemnie rozłączono, oddając do służ-

by u tej pani w Doinville... Potem, pewnego wieczora, wracając z kamieniołomów, znalazłem ją pod memi drzwiami nawpół oszalałą, a gorączka aż paliła jej ciało. Nie śmiała powrócić do rodziców... marzyła o mnie! O! na Boga! ten łotr! a powinienem był zaraz mu krwi upuścić!

Sędzia przygryzał delikatne wargi, żdziwiony szczeremi słowy tego człowieka

Widocznie trzeba było rzecz prowadzić bardzo przebiegle.

— Tak, znam tę okropną historyę, którą wymyśliliście sobie z ową dziewczyną, zwróćcie tylko uwagę, że cała przeszłość pana Grandmorrina stawiała go po nad oskarżenia wasze.

Oszołomiony, z wytrzeszczonemi oczyma i drżącemi rękoma, kamieniarz wyjąkał.

— Jakto! myśmy wymyślili? To już sami kłamią, nas oskarżają o kłamstwa!

— E, nie udawajcie niewiniątka... Badałem już Misarda, który jest mężem matki waszej kochanki. Skonfrontuje was razem, w razie potrzeby. Zobaczycie, co on myśli o waszej historyi... A myślcie też i wy, co mówicie, prawdę powiedzcie, mamy tu świadków, wiemy wszystko, lepiej będzie gdy się przyznacie.

Była to jego taktyka straszenia, chociażby nic nie wiedział i nie miał świadków.

— Cóż? będziecie zaprzeczali, że krzyczeliście wszędzie publicznie, że chcecie krwi upuścić panu Grandmorrinowi?

— O! co to, to mówiłem. I mówiłem ze szczerego serca, tak, bo ręka świerzbiała mnie okropnie!

Zdziwienie opanowało pana Denizet, który spodziewał się ciągłych zaprzeczeń.

Jakto! obwiniony przyznawał się do pogróżek!

Jakiż się krył w tem fortel?

W obawie, czy się zanadto nie zapędził w badaniu, sędzia namyślił się trochę, poczem spytał go obcesowo:

— Cóżeście robili w nocy z 14 na 15 lutego?

— Położyłem się o zmierzchu o godzinie szóstej wieczorem... Byłem trochę słaby, i mój krewniak Ludwik zrobił mi nawet grzeczność, zawożąc wóz z kamieniami do Doinville.

— Tak, widziano waszego krewniaka z wozem, przejeżdżającego przez tor kolejowy. Ale krewniak wasz na badaniu mógł tylko powiedzieć jedno: żeście się z nim rozstali w południe i że odtąd już się z wami nie widział... Dowiedźcie mi więc, żeście się położyli spać o godzinie szóstej.

— No, to trochę głupie, bo jakże ja mogę dowieść. Mieszkam w domu sam jeden, wśród lasu... Byłem tam.

Wtedy pan Denizet postanowił zadać stanowczy cios.

Twarz jego pod działaniem woli stawała się zupełnie martwą, ale usta natomiast się ożywiały.

— To ja wam powiem, coście porabiali w nocy 14 lutego... O godzinie trzeciej wsiedliście w Barentin na pociąg do Rouen, w celu, jakiego śledztwo nie mogło jeszcze ustanowić. Powrócić mieliście pociągiem z Paryża, który zatrzymuje się o godzinie dziewiątej minut trzy i byliście na peronie, pośród tłumu, kiedy zobaczyliście naraz pana Grandmorrina, siedzącego w przedziale. Zwróćcie na to uwagę, że przypuszczam jaknajzupełniej, iż wcale nie

było zasadzki, że myśl zbrodni zjawiła się wam dopiero wtedy. Wdarliście się do przedziału, dzięki zamieszaniu, czekaliście, aż się znajdziecie w tunelu Malaunay, ale źleście się obrachowali z czasem, bo pociąg już wyjechał z tunelu, kiedy wyście to robili... I wyrzuciliście trupa, poczem wysiedliście w Barentin, pozbywszy się również kołdry podróżnej... Oto coście porabiali!

Śledził najlżejsze poruszenia na rumianej twarzy Cabucha i porządnie się zirytował, kiedy ten, z początku słuchając uważnie, w końcu parsknął szczerym śmiechem.

— Co pan opowiada? a to co?.. Gdybym zrobił, tobym powiedział.

Poczem dodał spokojnie:

— Nie zrobiłem, ale powinienem był zrobić. Dalibóg, żałuję tego bardzo.

Więcej pan Denizet nie mógł z niego wydobyć.

Daremnie ponowił zapytania, daremnie wracał dziesięć razy do jednego i tego samego przedmiotu, na różne sposoby. Nic! zawsze nic! To nie on.

Cabuche wzruszał tylko ramionami i nazywał to głupiem.

Przy aresztowaniu go, zrewidowano całą jego norę, ale nie znaleziono ani broni, ani biletów bankowych, ani zegarka; zabrano tylko spodnie, poplamione kilkoma kropelkami krwi, dowód potępiający.

Znowu zaczął się śmiać: a to zabawne! to przecie królik, zduszony pod łeb, pokrwawił mu nogi!

Nie on więc, ale sędzia, zanadto upierając się przy myśli o zbrodni, tracił grunt pod nogami, przeholowawszy swą przebiegłość zawodową, gmatwając najprostszą prawdę.

Ten ograniczony człowiek, niezdolny walczyć sprytem, ale niezłamanej siły, kiedy mówił, niepomału go zniecierpliwił; on go miał tylko za winowajcę i każde nowe zaprzeczenie oburzało go, jako upór w dzikości i kłamstwie. Koniecznie chciał go na czem pochwycić.

— Więc zaprzeczacie?

— A tak, bo to nie ja...

Pan Denizet gwałtownie zerwał się z miejsca; sam poszedł otworzyć drzwi od małego pokoiku sąsiedniego.

I, przywoławszy Jakóba:

— Czy poznajesz pan tego człowieka? — zapytał.

— Znam go — odpowiedział mechanik zdziwiony. Widywałem go dawniej u Misarda.

— Nie, nie... Czy poznajesz go pan, jako tego człowieka w wagonie, mordercę?

Jakób już się miał na baczności.

Zresztą nie poznawał go wcale, tamten wydawał mu się czarniejszym i krótszym.

Miał to już oświadczyć, gdy się namyślił, iż możeby tem zagalapował się zanadto. Postanowił więc mówić wymijająco.

— Nie wiem... nie mogę powiedzieć... Zaręczam panu, że nie umiem powiedzieć.

Pan Denizet, nie czekając dłużej, przywołał obojga Roubadów.

I zadał im pytanie:

— Czy poznajecie państwo tego człowieka?

Cabuche wciąż się jeszcze uśmiechał.

Nie dziwił się wcale, kiwnął przyjaźnie głową Sewerynie, którą znał jeszcze, kiedy, będąc małą dziewczynką, mieszkała w Croix-de-Maufras.

A ona i mąż jej drgnęli na jego widok.

Zrozumieli: więc to był człowiek, o którego aresztowaniu mówił im Jakób, ten obwiniony, który usprawiedliwił nowe ich badanie.

I Roubaud zdumiony był i przestraszony podobieństwem tego chłopca z urojonym mordercą, którego wymyślił rysopis, wprost sprzeczny ze swoim.

Był to szczególny traf, jednak tak go przeraził, że wahał się z odpowiedzią.

— No, poznajesz go pan?

— Mój Boże! panie sędzio, powtarzam panu, to było poprostu przemijające uczucie... ktoś mnie potrącił... Tak, rzeczywiście, jest tak wielki, jak tamten i także blondyn i także bez brody.

— No, więc go pan poznajesz?

Pomocnik zawiadowcy, przyparty tem pytaniem stanowczem, drżał cały od walki wewnętrznej.

Instynkt samozachowawczy wziął w nim górę.

— Nie chcę nic twierdzić.. Ale jest coś podobnego w nim, coś bardzo podobnego.

Tym razem Cabuche kląć począł.

Już go niecierpliwiły te wszystkie historye! Ponieważ nie on to był, chciał odejść. I pod wpływem fali krwi, która mu napłynęła do mózgu, zacisnął pięści; wyglądał tak strasznie, że aż wezwani żandarmi musieli go uprowadzić.

Ale to uniesienie, to zerwanie się dzikiego zwierzęcia, miotającego się wściekle, było dla pana Denizeta tryumfem.

Teraz przekonanie miał już wyrobione i dał to po sobie poznać.

— Czyście zauważyli jego oczy? Ja bo ich poznaję po oczach... O! z nim już rzecz skończona! mamy go!

Roubaudowie nieruchomi spoglądali po sobie.

Jakto? już się skończyło? ocaleni byli, ponieważ sąd miał już w swem ręku winowajcę!

To ich oszołomiło nieco, świadomość bolesna roli, jaką okoliczności zmusiły ich odegrać.

Ale zarazem radość ich ogarniała, brała górę nad ich skrupułami, i uśmiechali się do Jakóba, czekali, spragnieni świeżego powietrza, aby sędzia pożegnał ich wszystkich troje, gdy wtem woźny przyniósł list panu Denizet.

Sędzia żywo wrócił do biórka, ażeby przeczytać list uważnie. Zapomniał o świadkach.

Był to list z ministeryum ze wskazówkami, na jakie miał czekać przed posunięciem dalej śledztwa. A to, co czytał, musiało ostudzić jego tryumf, bo twarz pomału mu bladła i przybierała zwykłą nieruchomość ponurą.

Nagle podniósł głowę, spojrzał ukośnie na Roubaudów, jakby mu ich przypomniało coś z tego listu.

Ci także, straciwszy krótkotrwałą radość, byli znów niespokojni.

Dlaczego na nich tak spojrzał?

Czyżby w Paryżu odnaleziono te trzy wiersze, ten list nieszczęsny, o którym myśl trapiła ich strachem?

Seweryna znała dobrze pana Cany Lamotte, widziała go bowiem nieraz u prezesa i wiedziała, że on miał porządkować papiery nieboszczyka.

Roubaud żałował teraz niezmiernie, że nie posłał żony do Paryża, ażeby tam poczyniła potrzebne wizyty, a przynajmniej ażeby sobie zapewniła protekcyę sekretarza rady zarządzającej, w razie gdyby zarząd, sprzykrzywszy sobie rzucone nań podejrzenia, zechciał mu dać dymisyę.

I oboje już nie spuszczali oczu z sędziego, czując, jak ich niepokój rośnie, w miarę jak się zachmurzał pan Denizet, któremu ten list widocznie popsuł wszelkie szyki, obracając w niwecz wszystko, co mu się udało tego dnia pozyskać.

Wreszcie sędzia położył list i przez chwilę siedział zamyślony z oczyma, wpatrzonemi w Roubaudów i Jakóba.

Potem, jakby coś postanowiwszy, odezwał się do siebie głośno:

— No, tak, zobaczymy, zobaczymy... możecie państwo odejść.

Ale kiedy wszyscy troje wychodzili, zdjęła go chęć wyjaśnienia tego punktu ciężkości, który obalał poprzedni jego system.

Nie mógł się chęci tej oprzeć, jakkolwiek w liście polecono mu nic nadal nie przedsiębrać, bez uprzedniego porozumienia.

— Nie, nie, zostań pan jeszcze, mam się pana jeszcze o coś zapytać — rzekł do Jakóba.

Roubaudowie zatrzymali się na korytarzu. Drzwi były otwarte, ale nie mogli odejść, coś ich tu zatrzymywało, trwoga o to, co się działo w gabinecie sędziego.

Nie mogli odejść, nie dowiedziawszy się, o co chciał sędzia zapytać Jakóba.

Zawrócili napowrót, przestępując z nogi na nogę, dreptali w miejscu I znaleźli się znów przy ławce, gdzie czekali tyle godzin; usiedli ociężale, nic do siebie nie mówiąc.

Kiedy mechanik się pokazał, Roubaud podniósł się z trudnością.

— Czekaliśmy na pana, powrócimy na stacyę razem. Dobrze?

Ale Jakób odwrócił głowę, zakłopotany, jakby chciał uniknąć wzroku Seweryny, który w niego utkwiła.

— Sędzia nic już nie wie, kręci się w kółko — odezwał się nareszcie — albo się błąka w domysłach. Teraz, naprzykład, pytał mnie, czy czasem przy morderstwie nie były dwie osoby. A ponieważ mówiłem w Hawrze o jakiejś masie czarnej, która przykrywała nogi starego, i o to mnie wypytywał... Jemu się zdawało, że to musiała być kołdra... Posłał szukać kołdry... i nic nie znaleziono... Więc mnie znów wypytywał... Mój Boże! może to była kołdra ..

Roubaudowie drżeli.

Wpadnięto na ślad, jedno słowo tego chłopca mogło ich zgubić.

On musiał o wszystkiem wiedzieć i w końcu się wygada.

I wszyscy troje, kobieta i dwóch mężczyzn, w milczeniu opuścili gmach sądowy.

Wtem pomocnik zawiadowcy odezwał się:

— Ale, mój kolego, żona moja będzie musiała pojechać do Paryża na dzień jeden, za interesami. Może będziesz łaskaw jej pomódz tam, jeżeli będzie czego potrzebowała.

V.

O godzinie kwadrans na dwunastą, punktualnie, trąbka na moście Europejskim dwukrotnym sygnałem zwiastowała przybycie pociągu pośpiesznego z Hawru

Pociąg wyjeżdżał właśnie z tunelu Batignolles; wkrótce zwrotnice zostały nastawione i pociąg wjechał na stacyę, gwizdnąwszy krótko, chrzęszcząc i skrzypiąc osiami, dymiąc, ociekając wodą, od Rouen bowiem deszcz nie przestawał smagać ani na chwilę.

Konduktorzy jeszcze nie poodkręcali klamek u wagonów, kiedy drzwiczki jednego z przedziałów otworzyły się prędko i Seweryna wyskoczyła żywo na podjazd, przed zatrzymaniem sią pociągu.

Wagon jej znajdował się na końcu, musiała się więc śpieszyć, ażeby dostać się czemprędzej do lokomotywy, wśród popychającego się tłumu podróżnych, którzy powysiadali z wagonów, wśród dzieci i pakunków.

Jakób stał na platformie, czekając na wjechanie do remizy, a Pecqueux tymczasem wycierał miedź ścierką.

— Więc zgoda — rzekła, wspinając się na palce. — Będę o godzinie trzeciej przy ulicy Cardinet, a pan będzie łaskaw przedstawić mnie naczelnikowi, ażebym mogła mu podziękować.

To Roubaud wymyślił ten pretekst do podziękowania naczelnikowi magazynów za jakąś drobną kiedyś przysługę. W ten sposób powierzona zostanie opiece mechanika, będzie mogła bardziej zacieśnić węzły przyjaźni i bardziej na niego oddziałać.

Ale Jakób, poczerniały od węgla, przemokły od deszczu, zmęczony wiatrem i ulewą, patrzył na nią ostro, nic nie odpowiadając.

Mężowi nie odmówił, wyjeżdżając z Hawru, na myśl jednak, że się z nią znajdzie sam na sam, wszystko się w nim burzyło, bo czuł dobrze, że pragnie ją teraz.

— Nieprawdaż? — podchwyciła uśmiechnięta, ze słodkiem spojrzeniem pieszczącem, pomimo ździwienia i pewnego wstrętu, jakiego doznawała, widząc go tak brudnego, zaledwie podobnego do człowieka — dobrze? liczę na pana.

Kiedy się jeszcze wspięła, opierając się ręką w rękawiczce o klamrę żelazną, Pecqueux ostrzegł ją grzecznie:

— Niech pani uważa, bo się pani powala.

Jakób musiał wreszcie odpowiedzieć.

Odezwał się z przymusem:

— Tak, na ulicy Cardinet... Byleby ten wściekły deszcz nie roztopił mnie do reszty... Co za psi czas!

Wzruszył ją ten stan opłakany, w jakim się znajdował, i dodała, jakby to dla niej tak się nacierpiał:

— O! jakżeś pan był biedny! kiedy mnie było tak dobrze! Doprawdy, wie pan, myślałam o panu, i martwił mnie niezmiernie ten potop!.. A gdyśmy wyjeżdżali tak się cieszyłam, myśląc, że pan mnie odwozi zrana i z powrotem przywiezie pociągiem wieczornym!

Lecz ta serdeczna poufałość, tak miła, zdawała się go tylko jeszcze bardziej niepokoić.

Widocznie się też ucieszył, gdy jakiś głos zawołał: „W tył!“

Sięgnął prędko po gwizdawkę, a palacz odsunął młodą kobietę.

— O trzeciej!

— Tak, o trzeciej!

Lokomotywa ruszyła z miejsca, a Seweryna została i wyszła z podjazdu.

Po wyjściu z dworca, na ulicy Amsterdamskiej, kiedy otwierała parasolkę, ucieszyła się, zobaczywszy, że deszcz już nie pada.

Udała się na plac Hawru, zastanowiwszy się, że najlepiej będzie zaraz zjeść śniadanie.

Było wpół do dwunastej, weszła do restauracyi, na rogu ulicy św. Łazarza, i kazała sobie podać jajek na miękko i kotlet. Potem, jedząc powoli, pogrążyła się w myśli, które ją trapiły już od tygodnia, a twarz jej blada, zmęczona, nie miała teraz właściwego sobie uśmiechu łagodnego i powabnego

Roubaud poprzedniego dnia, w dwa dni po badaniu ich w Rouen, uważając dłuższe wyczekiwanie za niebezpieczne, postanowił ją wysłać, dla zobaczenia się z panem Camy-Lamotte nie w ministeryum, lecz w jego własnem mieszkaniu przy ulicy Rocher, gdzie miał pałac, sąsiadujący właśnie z pałacem Grandmorrina.

Wiedziała, że go tam zastanie o pierwszej i nie śpieszyła się, namyślała się, co ma mu powiedzieć, starała się przewidzieć, co on jej odpowie, ażeby się niczem nie zmieszać.

W przeddzień nowy powód do niepokoju przyśpieszył jej podróż. Dowiedzieli się z plotek na stacyi, że pani Lebleu i Filomena opowiadały wszystkim, iż zarząd da niezawodnie dymisyę Roubaudowi, jako skompromitowanemu, a co najgorsza, p. Dabadie, wprost zapytany, nie zaprzeczył wcale, co nadawało znaczenia tej wiadomości.

Pilnem więc było niesłychanie, ażeby jechała czemprędzej do Paryża, dla obrony swej sprawy, a szczególniej dla pozyskania protekcyi osoby tak wpływowej, jak przedtem był prezes.

Po za tą jednak potrzebą, tłomaczącą przynajmniej wyjazd, było jeszcze niepowściągnione pragnienie, pragnienie palące, które zbrodniarza popycha do oddania się w ręce sądu, byleby tylko w niepewności nie pozostawał.

Niepewność ich zabijała, odkąd czuli, że są odkryci, odkąd Jakób powiedział, że sąd podejrzewa o zbrodnie dwie osoby. Gubili się w domysłach, czy to list znaleziony wykrył wszystko, czy jakie fakty inne, na które dopiero teraz zwrócono uwagę; co chwila spodziewali się nowych badań i aresztowania, a przerażenie ich tak się wzmo-

gło, że najdrobniejsze fakty dokoła nich wydawały im się tak groźnemi, iż w końcu woleliby nawet katastrofę, niż te ciągłe alarmy.

Mieć już pewność i dłużej nie cierpieć.

Seweryna zjadła kotlet tak zamyślona, że ocknęła się potem nagle jakby ze snu, ze ździwieniem, że się znajduje w miejscu publicznem.

Wszystko jej się wydawało gorzkiem, jedzenie nie chciało przejść przez gardło, wstręt nawet czuła do kawy.

Daremnie jednak jadła powoli, zaledwie kwadrans był po dwunastej, kiedy wyszła z restauracyi.

Trzeba jeszcze było zabić trzy kwadranse czasu!

Ona, co ubóstwiała Paryż, która tak lubiła chodzić po ulicach swobodnie, ile razy tylko przyjechała, teraz czuła się niepewną siebie, zalęknioną, niecierpliwiła się, ażeby raz już się upewnić i ze wszystkiem skończyć.

Chodniki wysychały, wiatr ciepły kończył rozpędzać chmury.

Poszła przez ulicę Tunehet, znalazła się na targu kwiatów marcowych, pierwiosnków i azalij, jakie dają blade dnie schyłku zimy.

Przez pół godziny krążyła wśród tych zwiastunów śpieszącej wiosny, ogarnięta znów zadumą, myśląc o Jakóbie, jako o nieprzyjacielu, którego powinna była rozbroić.

Zdawało jej się, że była już po wizycie przy ulicy Rocher, że wszystko tam dobrze poszło, że pozostawało jej tylko zapewnić sobie milczenie tego chłopca; zadanie było trudne i pracowała myślą nad układaniem planów romantycznych. Ale czyniła to bez znużenia, bez zgrozy, z udającą łagodnością.

Poczem nagle spostrzegła godzinę na zegarze w kiosku: dziesięć minut po pierwszej.

Złożenie wizyty znaglało już ją teraz, rzeczywistość przypomniała się jej dotkliwie, pośpieszyła czemprędzej na ulicę Rocher.

Pałac pana Camy Lamotte znajdował się przy zbiegu tej ulicy z Neapolitańską i Seweryna musiała przejść obok pałacu Grandmorina, pustego, niemego z zapuszczonemi roletami.

Oczy podniosła i przyśpieszyła kroku.

Przypomniała się jej pierwsza tu wizyta, dom ten wielki wydał się jej strasznym.

A gdy nieco dalej obróciła się ruchem instynktownym, patrząc w tył, jakby była ścigana przez kogo, ujrzała na chodniku sędziego śledczego z Rouen, pana Denizet, który również podążał tą ulicą.

Zdrętwiała.

Czy zauważył ją, jak spoglądała na ten dom?

Ale on szedł spokojnie i dała mu się wyprzedzić; sama teraz postępowała za nim z wielkim strachem.

I znowu serce jej zabiło mocno, gdy zobaczyła, że na rogu ulicy Neapolitańskiej zadzwonił do pana Camy Lamotte.

Jeszcze większy ją strach owładnął.

Teraz już nie ośmieli się tam wejść.

Zawróciła się, minęła ulicę Edymburską i udała się aż na most Europejski.

Tu dopiero czuła się bezpieczną.

I, nie wiedząc już, dokąd iść i co czynić, stanęła nieruchomo przy balustradzie, patrząc między żelaznemi bel-

kami na rozległą przestrzeń stacyi, gdzie pociągi manewrowały bezustannie.

Ścigała je przerażonemi oczyma, a jednocześnie myślała, że sędzia niezawodnie poszedł tam dla ich sprawy i że ich los rozstrzygał się właśnie w tej chwili.

Wtedy taka ją zdjęła rozpacz, że dręczyła ją chęć, zamiast powrócić na ulicę Rocher, rzucić się natychmiast pod pociąg.

Właśnie wychodził jeden z wielkiej szachownicy pokrzyżowanych szyn, patrzyła nań, jak zbliżał się i przejechał tuż przed nią, wyrzucając z siebie aż do jej twarzy ciepły kłąb pary białej...

Potem znowu bezużyteczność jej podróży, cierpienie straszne, jakieby z sobą przywiozła z powrotem, gdyby nie miała dość siły, ażeby pójść dla nabrania pewności, tak żywo przedstawiły się w jej umyśle, że pozostawiła sobie jeszcze pięć minut, dla zdobycia się na odwagę.

Lokomotywy gwizdały; oczyma goniła jednę z nich, niewielką, prowadzącą pociąg za rogatkę miejską, a gdy wzrok jej zwrócił się na lewo, rozróżniła po za gmachem ekspedycyi, w górze okno matki Wiktoryi, to okno, gdzie widziała się jeszcze opartą i wyglądającą wraz z mężem, przed okropną sceną, która sprowadziła ich nieszczęście.

To w niej obudziło poczucie niebezpieczeństwa i taki ostry ból ją przejął, że uczuła się gotową zwierzyć się już ze wszystkiem, byleby raz już skończyć.

Dźwięki trąbki, turkot przeciągły, ogłuszały ją, gdy gęste dymy zasłaniały widnokrąg, wzlatując ku wielkiemu pogodnemu niebu Paryża.

Znów skierowała się na ulicę Rocher, idąc tam jakby dla samobójstwa, przyśpieszonym krokiem, w nagłej obawie, że nikogo już tam nie zastanie.

Kiedy Seweryna pociągnęła gałkę od dzwonka, zmroził jej mózg przestrach.

Ale już lokaj wprowadził ją do przedpokoju i posadził, zapytawszy o nazwisko. A przez drzwi, zlekka uchylone, słyszała bardzo wyraźnie żywą rozmowę dwóch głosów. Naraz cisza nastąpiła, głęboka, zupełna.

Rozróżniała już tylko bicie głuche krwi w swych skroniach, mówiła sobie jednak, że sędzia naradza się jeszcze i że będzie musiała zapewne czekać długo; to czekanie wydawało jej się nieznośnem, trudnem do wytrzymania.

Jakiej więc doznała niespodzianki, gdy lokaj wezwał ją i wprowadził.

Sędzia niewątpliwie wcale nie wyszedł. Odgadywała, że czai się za drzwiami.

Był to wielki gabinet z czarnemi meblami, zasłany grubym dywanem, obwieszony ciężkiemi portyerami, tak zaopatrzony troskliwie, że nie przemknął tu żaden odgłos z zewnątrz. Jednakże przy całej powadze surowej, znajdowały się tu kwiaty, blade róże w koszyku bronzowym. Znamionowało to jakby wdzięk ukryty, upodobanie do przyjemnego życia, po za pozorami surowości.

Pan domu stał w starannie zapiętym surducie, z miną także surową na twarzy szczupłej, którą rozszerzały trochę siwiejące faworyty; znać było w nim jeszcze elegancyę dawnego światowca i pięknego mężczyzny, pozostała mu jeszcze zręczność w ruchach, a w wymuszonej sztywności urzędowej przebijała żywa dystynkcya.

W półświetle pokoju wyglądał bardzo po pańsku.

Seweryna, wchodząc, odurzoną została owem ciepłem powietrzem, zaduszonem wśród obić; widziała przed sobą tylko pana Camy Lamotte, który patrzył, jak się zbliżała.

Wcale nie prosił jej siedzieć i jakby umyślnie nie otwierał ust pierwszy, ażeby mu sama wytłomaczyła powód wizyty.

Przedłużyło to ciszę, aż pod działaniem gwałtownej reakcyi nagle zapanowała zupełnie nad sobą, stała się bardzo spokojną i bardzo przezorną.

— Wybaczy pan — rzekła — ośmielam się przypomnieć życzliwości pańskiej. Wiadomo panu, jaką poniosłam niepowetowaną stratę, i w opuszczeniu, w jakiem się znajduję teraz, ośmieliłam się pomyśleć o panu, ażeby nas pan bronić zechciał i użyczył choć trochę takiej protekcyi, jak pański przyjaciel, a mój nieodżałowany protektor.

Wtedy pan Camy Lamotte nie mógł już nie prosić, aby usiadła, bo powiedziane to zostało tonem tak doskonałym, bez zbytniej uniżoności ani przesadzonego zmartwienia, dzięki subtelnej sztuce obłudy kobiecej.

Nic jednak nie rzekł jeszcze, tylko usiadł, czekając co powie.

Mówiła więc dalej, widząc, że ma rzecz całą przedstawić.

— Pozwalam sobie odświeżyć wspomnienia pańskie, przypominając panu, że miałam zaszczyt widywać pana w Doinville! A! szczęśliwe to były dla mnie czasy! Dziś złe czasy nastały, pan tylko nam pozostałeś i przychodzę błagać pana w imieniu tego, którego straciliśmy, pana,

któryś go tak kochał, dokończ dobrego uczynku jego, zastąp go pan przy mnie.

Wahał się, przypatrywał się jej i wszystkie podejrzenia rozchwiały się w nim, tak mu się wydawała naturalną i ujmującą w żalu swym i prośbach.

Liścik, znaleziony przez niego w papierach Grandmorrina, te dwa wiersze niepodpisane, mogły, jak myślał, pochodzić tylko od niej, której względy dla prezesa znał dobrze, i przed chwilą jeszcze samo oznajmienie jej wizyty bardziej go jeszcze upewniło. Przerwał rozmowę z sędzią po to tylko, ażeby utrwalić ostatecznie swe przeświadczenie.

A tu jakże ją uważać za winowajczynię, gdy taka spokojna i łagodna.

Lecz się postanowił przekonać. I, zachowując nadal minę surową, rzekł:

— Niech pani mówi jaśniej... Pamiętam doskonale i jak najchętniej pragnę być pani użytecznym, jeżeli nic nie stanie na przeszkodzie.

Seweryna wtedy opowiedziała mu wręcz, jak mąż jej zagrożony jest dymisyą. Zazdroszczono mu bardzo prawdziwych jego zasług i wysokiej protekcyi, która go dotąd osłaniała.

Teraz, kiedy go uważano za pozbawionego obrony, miano nadzieję zatryumfowania i podwojono zabiegi. Nikogo zresztą nie wymieniała, mówiła ogólnie, pomimo groźnego niebezpieczeństwa.

Już to samo, że przyjechała do Paryża, świadczyło, jak musiała być przekonana o potrzebie szybkiego przeciwdziałania. Może jutro byłoby już zapóźno.

Wszystko to wypowiedziała z taką obfitością logicznych szczegółów, z tak rozsądnem rozumowaniem, tak przekonywająco, iż doprawdy wydawało się niepodobnem, ażeby się trudziła w innym celu.

P. Camy Lamotte przyglądał się jej bacznie, nie pomijając nawet lekkich drgnień jej warg, wreszcie zadał pierwszy cios:

— Ale dlaczegóż zarząd miałby dać dymisyę mężowi pani? Przecież niema mu nic poważnego do zarzucenia.

Ona także nie spuszczała z niego oczu, śledząc najdrobniejsze zmarszczki na twarzy, pytając się w myśli, czy znalazł list, i pomimo niewinnego napozór pytania jego, nagle nabrała pewności, że list był tu, w gabinecie, w którejś szufladzie, i on dobrze wiedział, skoro zastawiał na nią zasadzkę, pragnąc zobaczyć, czy ośmieli się mówić o prawdziwych przyczynach dymisyi. Zresztą zanadto ton głosu zaakcentował a uczuła zarazem, jak sięgają w głąb jej duszy blade oczy znużonego człowieka.

Odważnie stawiła czoło niebezpieczeństwu.

— Mój Boże! to prawdziwa potworność, proszę pana, posądzają nas, żeśmy zabili naszego dobroczyńcę, dla tego nieszczęśliwego testamentu. Nie mieliśmy kłopotu z wykazaniem naszej niewinności. Ale zawsze coś pozostaje z tych oskarżeń ohydnych, a zarząd lęka się zapewne skandalu.

Znów zdziwiony został i zbity z tropu tą otwartością, mającą nawet akcent szczerości.

Zresztą pierwszem spojrzeniem osądziwszy ją lekceważąco, jako pospolitą kobietę, teraz zaczynał zmieniać to zdanie.

Wydawała mu się już niezmiernie powabną, przy uległej łagodności oczu niebieskich, pod ciemnemi włosami, nadającemi jej równocześnie wyraz pewnej energii.

I myślał o swym przyjacielu Grandmorrinie, zdjęty zazdrością podziwu; ten człowiek o dwadzieścia lat od niego starszy, miał aż do śmierci takie istoty, kiedy on musiał się już wyrzec takich klejnocików, ażeby nie str a cić resztek zdrowia.

Wyglądała rzeczywiście bardzo ładnie, bardzo ujmująco; na ustach jego zjawił się też uśmiech, amatora teraz bezinteresownego, wraz z zimną miną urzędnika, mającego fatalną sprawę na karku

Lecz Seweryna przez zuchwalstwo, właściwe kobiecie, czującej swą przewagę, jak najniefortunniej dodała:

— Ludzie tacy, jak my, nie zabijają dla pieniędzy. Innej pobudki byłoby potrzeba, a pobudki takiej nie było...

Spojrzał na nią i widział, jak usta jej zadrgały w kącikach.

To ona. Odtąd przekonanie miał jaknajzupełniejsze.

I ona także zrozumiała, niezwłocznie, iż sama się zgubiła, poznała to po zniknięciu uśmiechu i nerwowem zaciśnięciu jego warg.

Uczuła się tak słabą, jakby ją życie opuszczało.

Jednak siedziała prosto na krześle, słyszała swój głos, jak wymawiał niezmienionym tonem wyrazy, jakie powiedzieć było trzeba.

Rozmowa trwała dalej, ale już nie mieli sobie nic do powiedzenia, chociaż w słowach ich błahych o przedmio-

tach obojętnych, przebijały te myśli, których nie chcieli wygłosić.

On miał list, a ona list ten napisała.

To dawało się zrozumieć nawet z chwilowego milczenia.

— Tak, pani — odezwał się wreszcie — nie odmawiam wstawienia się do zarządu, jeżeli rzeczywiście pani na to zasługujesz. Spodziewam się właśnie dziś wieczorem naczelnika eksploatacyi w innym interesie. Ale! będę potrzebował kilku notatek. O! proszę! napisz pani nazwisko, wiek, stan służby swego męża, wreszcie wszystko, co może się przydać.

I przysunął do niej mały stoliczek, przestając na nią patrzeć, ażeby jej zanadto nie przestraszyć.

Wstrząsnęła się cała, chciał mieć kartkę z jej pismem, ażeby je porównać z listem.

Przez chwilę z rozpaczą starała się wymyślić jaki powód, który uchroniłby ją od pisania. Potem się zastanowiła.

Po co? skoro wiedział?

Nie w ten, to w inny sposób, zawsze może mieć kilka wierszy jej pisma.

Więc już bez widocznego zmieszania, z miną, jaknajspokojniejszą w świecie, pisała, czego żądał, a on, stojąc za nią, poznawał wybornie pismo, śmielsze, choć mniej drżące, niż w owym liście.

I uznał ostatecznie za bardzo odważną tę kobietę delikatną i znowu się uśmiechał, teraz, kiedy nie mogła tego widzieć, uśmiechał się, jak człowiek, którego mogą jesz-

cze wdzięki wzruszyć, przy gruntownem doświadczeniu we wszystkich rzeczach.

Wistocie, jak sądził, nie warto było się trudzić dla sprawiedliwości.

Dbał tylko o przyzwoitość względem systemu rządowego, któremu służył,

— Pani mi to da, a ja się dowiem, postaram się, ażeby było jaknajlepiej.

— Bardzo wdzięczna jestem panu. Teraz przy pańskiem poparciu spokojna być mogę o męża... i mogę uważać całą sprawę jako już załatwioną, nieprawdaż?

— O! nie! ja się do niczego nie zobowiązuję... Muszę najpierw zobaczyć i namyślić się.

Rzeczywiście wahał się, nie wiedząc, jak ma postąpić z Roubaudami.

A ona jedno tylko miała na myśli, jednę troskę, odkąd się zdała na jego łaskę: to jego wahanie mogło ją ocalić lub zgubić, choćby nawet nie odgadła pobudek, jakiemiby się kierował.

— O! niech pan pomyśli o naszym niepokoju. Pan mi nie pozwolisz odejść bez tego, że mnie upewnisz.

— Niestety, moja pani, nie mogę nic twierdzić teraz. Niech pani czeka.

Popychał ją ku drzwiom.

Odchodziła strapiona, strwożona, zmieszana, prawie gotowa przyznać się do wszystkiego głośno, byleby go tylko zmusić do powiedzenia, co zamierza z nimi uczynić.

Chciała jeszcze chwilę poczekać, spodziewając się że wymyśli jaki fortel, i zawołała:

— A! zapomniałam, chciałam pana jeszcze prosić o radę względem tego nieszczęsnego testamentu... Jak pan sądzi, czy się mamy zrzec zapisu?

— Prawo jest po stronie państwa — odparł poważnie. — Rzecz to więc własnej chęci i okoliczności.

Na progu już była, ale jeszcze raz starała się spróbować.

— Błagam pana, niech mi pan nie da tak odejść, niech mi pan powie, że mogę mieć nadzieję.

I jakby przez zapomnienie ujęła go za rękę.

Usunął dłoń swą. Ale tak na niego spojrzała pięknemi oczyma, tak namiętnemi w tej prośbie, że go wzruszyła.

— No, to niech pani przyjdzie o piątej. Może będę mógł co pani powiedzieć.

Odeszła, opuściła pałac bardziej jeszcze zakłopotana, niż przed przyjściem.

Położenie się wyjaśniło a los jej pozostał w zawieszeniu, pod groźbą niezwłocznego aresztowania.

Jak tu wytrzymać do godziny piątej?

Nagle przypomniała sobie Jakóba, o którym już zapomniała poniekąd, i on także mógłby ją zgubić, gdyby ją aresztowano!

Chociaż było dopiero kwadrans na trzecią, pospieszyła przez ulicę Roche na ulicę Cordinet.

Pan Canny-Lamotte, pozostawszy sam, zatrzymał się przed biurkiem.

Bywalec zaufany w Tuilleries, dokąd go powoływały prawie codziennie obowiązki głównego sekretarza ministeryum sprawiedliwości, również wpływowego jak sam

minister, wtajemniczony w sprawy nawet najdrażliwsze, wiedział dobrze, jak proces Grandmorrina drażnił i niepokoił najwyższe sfery.

Dzienniki opozycyjne w dalszym ciągu prowadziły hałaśliwą kampanię, jedne oskarżały policyę, że tak się zajęła dozorem politycznym, iż nie miała czasu na schwytanie morderców, inne szperały w życiu prezesa, dając do zrozumienia, że należał także do dworu, znanego z najnikczemniejszego zepsucia, a ta ciągła walka gazeciarska stawała się coraz szkodliwszą, w miarę zbliżania się wyborów.

Dlatego sekretarzowi głównemu wyrażono pragnienie, ażeby z tem wszystkiem jaknajprędzej skończyć w jakikolwiek bądź sposób.

Ponieważ minister zdał na niego całą tą delikatną sprawę, czuł się jej zupełnym panem, i wszystko, co chciał, przedsiębrał, pod własną naturalnie odpowiedzialnością.

Wymagało to oczywiście zbadania rzeczy, bo wcale sobie nie życzył zapłacić za wszystkich swoją osobą, gdyby się pokażał niezręcznym.

Zamyślony wciąż, p. Canny Lamotte otworzył drzwi od sąsiedniego pokoju, gdzie p. Denizet czekał.

Ten, który słyszał wszystko, zaraz wykrzyknął, wchodząc:

— A co? czy nie mówiłem panu! teraz widać już, jak niesłusznie podejrzewano tych ludzi... ta kobieta myśli tylko o ocaleniu męża od spodziewanej dymisyi. Ani jednego słowa nie powiedziała podejrzanego.

Sekretarz główny nie odpowiedział natychmiast.

Zatopiony w sobie, ze wzrokiem na sędzi, którego twarz ociężała, przy cienkich wargach, uderzała go, myślał teraz, że ci urzędnicy, których miał przed sobą przedstawiciela, jeszcze tak pełni godności przy swem ubóstwie i odrętwieniu rutynicznem.

Ale sędzia, mający się za bardzo przebiegłego, roznamiętniał się wielce, gdy sądził, że doszedł prawdy.

— Zatem — podchwycił pan Canny-Lamotte — pan stanowczo widzisz winowajcę w tym Cabuchu?

Pan Denizet spojrzał ze zdziwieniem.

— O! stanowczo. Wszystko przeciw niemu. Wyliczyłem panu dowody, powiedziałbym, że są klasyczne, bo ani jednego nie brak... Śledziłem bacznie, czy miał za spólnika kobietę w przedziale, jak mi pan dał do zrozumienia. Zdawało się to zgadzać z zeznaniem mechanika, który w przelocie widział scenę morderstwa; ale zręcznie przezemnie badany, człowiek ten nie zapierał się, przy pierwszem zeznaniu, a nawet przyznał, że tą czarną masą, o której mówił, musiała być kołdra podróżna... O! tak, Cabuche jest z pewnością winowajcą, bo jeżeli go nie mamy, to nie mamy nikogo.

Dotychczas sekretarz główny czekał z zapoznaniem sędziego z dowodem piśmiennym, który posiadał, lecz kiedy przekonanie jego było ustalone, bardziej się jeszcze ociągał z wyjaśnieniem prawdy.

Po co miał niszczyć fałszywy trop śledztwa, skoro prawdziwy ślad mógł doprowadzić do większych kłopotów.

Nad tem wszystkiem potrzeba było wprzód się zastanowić.

— Mój Boże! — odezwał się z uśmiechem zmęczonego człowieka — chętnie chcę przypuszczać, że po pańskiej stronie jest prawda... Wezwałem pana tylko po to, ażeby razem rozejrzeć się w kilku ważnych punktach. Ta sprawa jest wyjątkową, a stała się teraz polityczną, czujesz pan to, nieprawdaż? Być może więc, iż zmuszeni będziemy postępować tu, jako członkowie rządu... No, powiedz pan otwarcie, czy pańskie badania wykazały naprawdę, że ta dziewczyna, kochanka Cabucha, była uwiedzioną?

Sędzia przybrał minę człowieka przebiegłego, a jednocześnie oczy znikły mu nawpół za powiekami.

— Tak, zdaje mi się, że prezes obszedł się z nią bardzo źle... a to z pewnością okaże się z przebiegu procesu... Dodaj pan, że jeżeli obrona powierzona zostanie adwokatowi z opozycyi, spodziewać się można rozmazania przykrych historyj, a tych nie brak wcale w naszych stronach.

Pan Denizet nie zawsze był głupi, gdy przestawał słuchać rutyny, panującej bezwzględnie w zakresie jego przenikliwości.

Zrozumiał, dlaczego go wezwano nie do ministeryum sprawiedliwości, lecz do prywatnego mieszkania sekretarza głównego.

— Tak — dokończył, widząc, iż sekretarz wcale się nie zmarszczył — będziemy mieli paskudną sprawę.

Pan Canny-Lamotte poprzestał na kiwnięciu głową.

W tej chwili rozważał następstwa innego procesu, procesu Roubaudów.

Tak, nie ulegało wątpliwości, że gdyby mąż stanął przed sądem przysięgłych, powiedziałby wszystko, powie-

działby o stosunku prezesa do jego żony i o szalonej zazdrości, która popchnęła go do morderstwa, a w tym razie nie chodziło już o służącą i o dawniej już znanego przestępcę, ale o urzędnika ożenionego z ładną kobietą, i skandal ten wzburzyłby całe mieszczaństwo i cały świat kolejowy.

A czy podobna było wiedzieć, co jeszcze może wyjść na jaw, gdy rozmazywać się będzie życie takiego człowieka, jakim był prezes?

Może rozdeptanie będą jeszcze obrzydliwsze rzeczy.

Nie, sprawa Roubaudów, prawdziwych winowajców, była jeszcze trudniejszą.

Już powziął postanowienie usunąć ją niezawodnie.

Jeżeli chodziło o wybór, wolał mieć do czynienia ze sprawą niewinnego Cabucha.

— Podzielam pańskie zapatrywania — rzekł wreszcie do p. Denizeta. — Rzeczywiście silne są poszlaki przeciw temu kamieniarzowi, skoro chciał się słusznie zemścić... Ale, jakie to wszystko jest smutne, mój Boże!.. Jakie to błoto trzeba poruszyć. Wiem dobrze, ze sprawiedliwość musi być obojętną, że nie może się krępować ustępstwami, że musi być po nad prywatnemi interesami...

Przerwał, dokończył tylko gestem, a sędzia, teraz milczący, czekał posępnie na rozkaz, który przeczuwał.

Z chwilą, gdy przyjmowano podawane przezeń dowody, gotów był dla wymagań rządowych poświęcić ideę sprawiedliwości.

Lecz sekretarz, pomimo właściwej mu zręczności przy takich działaniach, pośpieszył się trochę zanadto, powiedział trochę zaprędko, jakby oczekując bezwzględnego posłuszeństwa:

— Urządź pan rzeczy tak, ażeby sprawa była zupełnie przyciszona.

— Przepraszam pana — oświadczył pan Denizet — nie jestem już panem sprawy, zależy ona od mego sumienia.

Pan Canny-Lamotte uśmiechnął się, odzyskując natychmiast zimną krew i przybierając ton grozy, który zarazem wydawał się drwiącym i lekceważącym wszystkich.

— Zapewne. Ja też odwołuję się do pańskiego sumienia. Niechże pan poweźmie sobie postanowienie, jakie ono panu podyktuje, bo jestem pewny, że pan równoważy za i przeciw, mając na względzie tryumf zasad i moralność publiczną... Lepiej pan wiesz, niż ja, że nieraz większem bohaterstwem bywa przyjąć, niżli wpaść w gorsze... Zresztą na pana patrzę tylko, jako na dobrego obywatela i poczciwego człowieka. Nikt nie myśli krępować pańskiej niezależności, i dlatego też powtarzam, że jesteś panem bezwzględnym sprawy, jak zresztą chce tego prawo.

Sędzia, zazdrosny o tę władzę nieograniczoną, zwłaszcza, że blizki był użycia jej na złe, przyjmował każde ze słów, zadowolonem kiwaniem głowy.

— Zresztą — mówił dalej drugi ze zwiększoną uprzejmością, której przesada zakrawała na ironię — wiemy, z kim mamy do czynienia. Oddawna już przygląda-

my się pańskiej pracy i pozwalam sobie powiedzieć panu, że powołamy go natychmiast do Paryża, skoro się tylko otworzy wakans.

Pan Denizet aż się poruszył.

Jakto? Gdyby wyświadczył żądaną przysługę, miano zaspokoić jego ambicyę, marzenie jego o posadzie w Paryżu.

A pan Canny-Lamotte, zrozumiawszy dobrze, jeszcze dodał:

— Nominacya pańska już czeka i to tylko kwestya czasu... A ponieważ się już wygadałem, czuję się szczęśliwym zwiastować panu, że przedstawiony pan jesteś do orderu krzyża na 15 października.

Sędzia na chwilę zamyślił się. Wolałby był awans, obliczał bowiem, że byłby on połączony z podwyższeniem pensyi o jakie sto sześćdziesiąt franków miesięcznie, a przy takiej nędzy, w jakiej żył, byłby to większy dobrobyt, ubranie mógłby mieć lepsze, Helena jego byłaby lepiej żywiona, a tem samem mniej przykra.

Ale dobrze byłoby mieć i krzyż. Zresztą już mu obiecano.

I on, wychowany w tradycyach świata urzędniczego ubogiego i uczciwego, on, któryby się nigdy nie był sprzedał, ustępował natychmiast dla tej tylko nadziei, dla bardzo niepewnej obietnicy, że wyższa administracya będzie go protegowała.

— Bardzo mnie to wzruszyło — szepnął — niech pan to raczy powiedzieć panu ministrowi.

Wstał, czując, że teraz wszystko, co mogliby sobie powiedzieć, tylkoby ich kłopotało.

— A zatem — dodał, z oczyma zagasłemi i twarzą nieruchomą — ukończę śledztwo, mając na uwadze pańskie względy. Naturalnie, jeżeli nie będziemy mieli faktów dowiedzionych przeciw Cabuchowi, lepiej będzie nie narażać się na niepotrzebny skandal procesu... Wypuści się go na wolność i ustanowi się nad nim dozór.

Sekretarz główny jeszcze na progu nie omieszkał być wielce uprzejmym.

— Panie Denizet, zdajemy się najzupełniej na pański takt i wysoką uczciwość.

Pan Canny-Lamotte, gdy znalazł się sam, przez ciekawość, jakkolwiek teraz zbyteczną, zabrał się do porównania pisma Seweryny z niepodpisanym liścikiem, który znalazł w papierach prezesa Grandmorrina.

Podobieństwo było zupełne.

Złożył go troskliwie i schował, bo chociaż nie pisnął o nim ani słowa sędziemu, myślał jednak, że taką broń należy skrzętnie zachować.

Że zaś jednocześnie nasunęła mu się przed oczy twarzyczka tej kobiety, wzruszył ramionami pobłażliwie i drwiąco.

— Oj! te kobietki, ile one mogą, kiedy zechcą!

VI.

Seweryna o godzinie trzy kwadranse na trzecią pośpieszyła już na ulicę Cardinet, gdzie się umówiła z Jakóbem.

Mieszkał tu wysoko, w małym pokoju, a właściwie tylko w nim sypiał, i to nie codzień, bo dwa razy na tydzień spędzał noc w Hawrze, od pociągu wieczornego do rannego.

Tego dnia jednak, przemokły na deszczu, przyszedł, rzucił się na łóżko i zasnął.

Seweryna może byłaby nań czekała daremnie, gdyby nie krzyki w sąsiedztwie kłócącego się małżeństwa, które go obudziły.

Uczesał się i ubrał, w bardzo kwaśnym humorze, gdy zobaczył ją na dole, na chodniku, wyglądając oknem z poddasza.

— A! nareszcie jesteś pan! — zawołała, ujrzawszy go wychodzącego z bramy domu. — Lękałam się już, czym źle nie zrozumiała... Wszak powiedziałeś mi pan, że na rogu ulicy Saussure...

I, nie dając mu odpowiedzieć, podniosła oczy w górę i zapytała:

— Więc to tam pan mieszka?

W istocie, nie uprzedzając woale, oznaczył jej spotkanie przed bramą swego domu, gdyż biuro, dokąd mieli iść razem, znajdowało się prawie naprzeciwko.

Pytanie jej zakłopotało go wszakże; zdawało mu się, że posunie swoją poufałość tak daleko, iż będzie chciała zobaczyć jego pokój.

A izdebka była tak licho umeblowana i taki w niej panował nieład, że się wstydził.

— O! ja nie mieszkam, ale raczej się gnieżdżę — odpowiedział. — Lecz śpieszmy się, bo się obawiam, ażeby naczelnik nie wyszedł.

I rzeczywiście, kiedy się udali do małego domku, który zajmował naczelnik, z tyłu magazynu, już go nie zastali i bez skutku chodzili od remizy do remizy i wszędzie im mówiono, że będzie dopiero o wpół do piątej i wtedy mogą go znaleźć w warsztatach.

— Dobrze, przyjdziemy — oświadczyła Seweryna.

Potem, kiedy wyszli i znalazła się sama z Jakóbem:

— Jeżeli pan ma czas — rzekła — wszak to panu nic nie szkodzi, że z panem poczekam?

Odmówić nie mógł, a zresztą, pomimo niepokoju, jaki mu sprawiała, wywierała na niego coraz bardziej wzmagający się urok, tak wielki, że sztywność, jaką sobie względem niej postanowił zachować, topniała pod jej słodkiemi spojrzeniami.

Ona, z tem wejrzeniem czułem i lękliwem, niezawodnie musiała kochać jak pies wierny, którego niema się nawet serca uderzyć.

— Naturalnie, że pani nie zostawię samej — odrzekł mniej szorstko. — Lecz mamy czekać jeszcze więcej, niż godzinę... Może pani pójdzie do kawiarni?

Uśmiechnęła się z radości, że wreszcie stał się serdeczniejszym, i żywo zawołała:

— O! nie, nie... nie chcę nigdzie się zamykać... Wolę iść z panem pod rękę po ulicach, dokąd pan chcesz.

I sama ujęła go pod ramię z kokieteryą.

Teraz, kiedy nie był zabrudzony od kurzu, wydawał się jej dystyngowanym, miał w oczach jej minę urzędnika zamożnego, dumnego z niebezpieczeństw, na jakie codzień się narażał w podróży.

Nigdy przedtem nie zauważyła, że jest tak przystojnym chłopcem, z twarzą okrągłą, regularną, wąsami bardzo ciemnemi na skórze białej; tylko oczy trwożliwe, z odbłyskiem złotawym, które i teraz odwracały się od niej, budziły w niej pewną nieufność.

Jeżeli unikał spoglądania na nią, czyż nie dlatego, że nie chciał się do niczego zobowiązać, że chciał pozostać panem działania nawet przeciw niej.

Odtąd, w niepewności ciągłej będąc i drżąc na myśl o gabinecie przy ulicy Rocher, gdzie ważyły się losy jej życia, jedno miała na celu, ażeby tego człowieka, który ją prowadził pod rękę, całkiem do siebie przywiązać, wymódz na nim, ażeby i on patrzył jej w oczy tak, jak ona, w jego patrzyła.

Wtedy do niej już będzie należał.

Nie kochała go wcale, nie myślała nawet o tem.

Chciała tylko uczynić go od siebie zależnym, ażeby nie potrzebowała się go obawiać.

Kilka minut szli, nie mówiąc nic, wśród bezustannego tłumu przechodniów, których taka zwykle obfitość w tej ludnej dzielnicy miasta.

Niekiedy musieli aż schodzić z trotuaru i przechodzić środkiem ulicy między powozami.

Wreszcie znaleźli się na skwerze Batignolles, prawie pustym o tej porze roku.

Niebo, wymyte ulewą ranną, było niezwykle czerwone, w promieniach ciepłych słońca marcowego kwitły bzy.

— Może tu pójdziemy — odezwała się Seweryna — Ten tłum już mnie oszołomił.

Jakób również chciał wejść na skwer, pragnąc uciec bardziej dla siebie, zdala od ludzi.

— I owszem — odrzekł.

Powoli szli przez aleje między drzewami bez liści.

Kilka mamek spacerowało z dziećmi w pieluszkach, a tu i owdzie przechodnie, dla skrócenia drogi, śpiesznym krokiem przebywali ogród.

Jakób z Seweryną przeszli po nad rzeką wśród skał, potem zawrócili między szynami, których wieczna zieleń połyskiwała na słońcu.

Zobaczywszy ławkę w tym ustronnym zakątku, siedli, nic nie mówiąc, jakby się umyślnie zeszli na tem miejscu.

— Bardzo ładna pogoda — odezwała się po chwili milczenia.

— Tak — odpowiedział — słońce się pokazało.

Ale nie o słońcu, nie o pogodzie, myśleli.

On, który zawsze uciekał od kobiet, przemyśliwał o wypadkach, jakie go do tej zbliżyły. I ta kobieta była tuż przy nim, dotykała się go, groziła zawładnięciem jego istoty.

A od ostatniego badania w Rouen, nie wątpił już, że ta kobieta jest wspólniczką zbrodni w Croix de Maufras.

Jak? skutkiem jakich okoliczności? Co nim powodowało, namiętność czy interes?

Pytanie to sobie postawił, nie mogąc na nie znaleźć dostatecznej odpowiedzi.

Wreszcie jednak ułożył sobie całą tą historję:

Mąż chciwy i gwałtowny, chciał czemprędzej korzystać z zapału, a że się lękał zmiany testamentu na ich niekorzyść, więc chciał żonę do siebie przywiązać krwawym węzłem.

I uchwycił się tak wymyślonej historyi, której ciemne punkta go pociągały, interesowały, chociaż nie starał się ich wyjaśnić.

Ta myśl właśnie go zajmowała, odkąd siedział na ławce, przy niej, tak blizko, że czuł ciepło jej ciała.

— W majątku — odezwał się — to rzadkość módz tak siedzieć, jak w lesie.

— O! — rzekła — jak tylko słońce jest, to bardzo przyjemnie.

A sama myślała też, że chyba chłopiec ten musiałby być bardzo głupim, ażeby nie odgadnąć, że oni są winni.

Zanadto mu się narzucali, zanadto garnęła się do niego, nawet w tej chwili.

Podczas więc milczenia, przerywanego czułemi słowami, śledziła jego rozmyślania.

Gdy oczy ich się spotkały, wyczytała z nich, że zapytywał sam siebie, czy tą czarną masą, którą widział na nogach ofiary, nie była właśnie ona?

Co czynić, co mówić, ażeby go związać węzłem nierozerwalnym?

— Dziś rano — dodała — bardzo było zimno, kiedy wyjeżdżaliśmy z Hawru.

— Nie mówiąc już — rzekł — o deszczu, który nas zmoczył.

W tej chwili Seweryna powzięła nagłe natchnienie. Nie rozumowała, nie rozmawiała: był to popęd instynktowny z głębi jej inteligencyi i serca, bo gdyby się namyślała, nie powiedziałaby nic.

Lecz czuła, że tak będzie bardzo dobrze, że, tak mówiąc, zdobędzie go zupełnie.

Delikatnie ujęła go za rękę i spojrzała na niego.

Kępy drzew zielonych zasłaniały ją przed oczyma przechodniów na sąsiednich ulicach; słyszeli tylko daleki turkot powozów, zgłuszony w tej słonecznej ustroni skweru, i tylko na zakręcie alei dziecko jakieś bawiło się spokojnie sypaniem piasku do dzbanuszka.

Bez żadnego wstępu, z całem uczuciem, szepnęła półgłosem:

— Myślałeś pan, że jestem winną?

Drgnął zlekka i oczy zatrzymał na jej oczach.

— Tak — odpowiedział takim samym głosem, cichym i wzruszonym.

Wtedy silniej jeszcze uścisnęła rękę, którą zatrzymała w swej dłoni, i nic nie rzekła odrazu; czuła, że ich łączy gorączka.

— Otóż mylisz się pan, nie jestem winną.

I mówiła to nie dlatego, ażeby go przekonać, ale po to tylko, ażeby go ostrzedz, iż powinna być niewinną w oczach innych.

Było to pragnienie kobiety, mówiącej z życzeniem, ażeby tak było, jak ona chce, choćby w rzeczywistości rzecz się działa inaczej.

— Nie jestem winną... Wszak nie będziesz mi pan sprawiał przykrości tą myślą, że jestem winną.

I czuła się wielce szczęśliwą, widząc, jak on wzrok pogrąża w jej oczach.

Zapewne to, co czyniła było podarowaniem własnej osoby, bo gdyby później zażądał jej, nie mogłaby mu odmówić.

Ale już węzeł między nimi był zawiązany, nierozerwalny: teraz nie bała się, ażeby mówił, teraz on należał tak do niej, jak ona do niego.

Wyznanie połączyło ich oboje.

— Nie będziesz mi pan wyrządzał przykrości, przecie wierzysz mi pan?

— O! wierzę pani — odpowiedział z uśmiechem.

Dlaczego miałby ją zmusić brutalnie do rozmawiania o tej okropnej rzeczy. Później opowie mu ona wszystko, jeżeli uzna za potrzebne.

Ten sposób uspakajania się przez zwierzenia się mu, wzruszał go wielce, jako objaw niezmiernego uczucia.

Taka była ufająca, taka uległa z temi oczyma łagodnemi; tak wydawała mu się kobietą, gotową się powierzyć mężczyźnie, ażeby być szczęśliwą.

A szczególniej to go uszczęśliwiało, że kiedy trzymał ją za ręce, kiedy nie spuszczał z niej oczu, wcale nie uczu-

wał w sobie tego chorobliwego wzruszenia, nie wstrząsał nim wcale ten okropny dreszcz, który go przejmował za każdym razem na myśl o posiadaniu kobiety.

Innych kobiet nie mógł dotknąć, aby jednocześnie nie przychodziła mu ochota kąsać ich, ażeby nie budziło się w nim okropne pragnienie zamordowania ich. Więc mógłby ją kochać i nie zabić?

— Pani wie o tem dobrze, że jestem przyjacielem pani i że nie ma się co pani mnie obawiać — szepnął jej do ucha. — Nie chcę znać pani interesów, będzie tak, jak pani zechcesz. Rozumiesz mnie, pani? możesz zupełnie rozporządzać moją osobą.

I tak się przysunął do jej twarzy, że czuł jej ciepły oddech na wąsach.

Zrana jeszcze byłby zadrżał, z dzikiej obawy doznania ataku.

Co się w nim działo, że doświadczył zaledwie lekkiego drżenia, będącego jakby tylko przypomnieniem choroby, jakby jej ostatnią resztką u rekonwalescenta?

Ta myśl, że ona zabiła, myśl, która zacierała się już w pamięci, przedstawiała ją w jego oczach inaczej, przedstawiała mu się większą, silniejszą, potężniejszą.

Może ona nietylko dopomagała, ale nawet uderzyła.

Był o tem przekonany, bez żadnego nawet dowodu.

A odtąd wydała mu ją niezwykłą kobietą, nie taką, jak inne.

Teraz oboje rozmawiali wesoło, jak para młodych ludzi, którzy się tylko co poznali i zaczynają się już kochać.

— Daj mi pani rękę, niech ją rozgrzeję.

— O! nie, nie tutaj. Mógłby nas kto zobaczyć.

— Kto? przecie jesteśmy sami... A zresztą, coby to szkodziło. Dzieci nie rozumieją...

— Spodziewam się.

Śmiała się szczerze, z radości, że jest uratowana.

Chłopca tego nie kochała; była tego zupełnie pewną, jeżeli siebie przyrzekła, już myślała, jakby nie dotrzymać.

Wyglądał tak potulnie, może nie będzie się naprzykrzał, i wszystko da się załatwić bardzo dobrze.

— Więc zgoda, jesteśmy koledzy, a nic w tem złego nie mogą widzieć ani inni, ani mój mąż... Teraz puść mi pan rękę i nie patrz tak na mnie, bo sobie popsujesz oczy.

Lecz on nie przestawał trzymać jej delikatnych palcy w swoich.

Bardzo pocichu wyjąkał:

— Pani wiesz, że cię kocham...

Żywo wyrwała mu się, trochę się obruszywszy.

I, stanąwszy przed ławką, na której siedział:

— E! to szaleństwo! — rzekła. — Bądź pan przyzwoity, ktoś idzie.

Rzeczywiście nadchodziła mamka z niemowlęciem, uśpionem na ręku.

Potem jakaś dziewczyna młoda przeszła bardzo prędko.

Słońce zachodziło, niknąc na widnokręgu, w mgłach sinych, śląc jeszcze pył złoty z po za zielonych wierzchołków sosen.

Turkot powozów jakby nagle ustał.

Słychać było, jak na zegarze sąsiednim, biła godzina piąta.

— A! mój Boże! — zawołała Seweryna — piąta, a ja mam być na ulicy Rocher.

Radość jej rozwiała się, smutek ją ogarnął na myśl o tej niepewności, jaka ją tam czekała; przypomniała sobie, że nie jest jeszcze ocalona.

Zbladła cała, a usta jej drżały.

— Ale miała się pani przecież widzieć z naczelnikiem magazynu? — odezwał się Jakób, który także wstał z ławki i podał jej ramię.

— Ha! tem gorzej! zobaczę się z nim kiedyindziej. Posłuchaj, przyjacielu mój, już cię nie potrzebuję! Pozwól mi prędko pośpieszyć się! I z całego serca dzięki!

Znów uścisnęła mu ręce, śpieszyła się.

— Zobaczymy się zaraz na pociągu.

— Tak, zaraz.

Już oddalała się szybkim krokiem, znikała wśród drzew skweru, gdy on zwolna podążał na ulicę Cardinet.

. . . .

Pan Canny-Lamotte miał u siebie długą naradę z dyrektorem eksploatacyi kolei wschodniej.

Wezwany pod pozorem innej sprawy, powoli, przy zręcznych pytaniach sekretarza ministeryum, wyspowiadał się, jaką przykrość radzie zarządzającej sprawiał proces Grandmorrina.

Przedewszystkiem dzienniki żaliły się na brak bezpieczeństwa dla pasażerów, jadących pierwszą klasą. Potem cały personel zamieszany był w tę awanturę, kilku

urzędników miano w podejrzeniu, nie licząc tego Roubauda, najbardziej skompromitowanego, który lada chwila mógł być aresztowany.

Wreszcie obiegały pogłoski o rozpuście, o potwornie niemoralnych obyczajach prezesa, członka rady zarządzającej, przez co zarzuły te spadały i na całą radę.

Tak zbrodnia, obmyślana przez nic nie znaczącego pomocnika zawiadowcy, historya pokątna i brudna, wywołała poważne zawikłanie i wstrząsnęła tą ogromną machiną eksploatacyi kolei żelaznej i zahaczyła nawet o jej najwyższą administracyę.

Wstrząśnienie sięgało i wyżej, udzieliło się ministeryum, zagroziło sprawom państwa, rządowi w bieżącej dobie słabości politycznej, a pora była krytyczna, najmniejsza gorączka sprowadzić mogła rozkład wielkiego ciała społecznego.

Kiedy więc pan Canny-Lamotte dowiedział się od swego gościa, że rada zarządzająca postanowiła dać dymisyę Roubaudowi, żywo powstał przeciw temu zamiarowi.

Nie! nie! byłoby to najniezręczniejszym krokiem, wywołałoby to jeszcze większą wrzawę w prasie, która niezawodnie przedstawiłaby pomocnika zawiadowcy, jako ofiarę polityczną.

Wszystkoby zaskrzypiało od dołu do góry, i Bóg wie do jakich przykrych odkryć możnaby wtedy dojść dla jednych i dla drugich.

Skandal i tak już za długo trwał, trzeba było jaknajprędzej zaprowadzić ciszę.

Dyrektor eksploatacyi, przekonany przez dostojnika ministeryalnego, zobowiązał się zatrzymać Roubada, a na-

wet nie przenieść go z Hawru. Tym sposobem opinia nabierze pewności, że na kolei niema ludzi nieuczciwych.

Rzecz była skończona, sprawa zatarta.

Kiedy Seweryna zadyszana, z bijącem sercem, znalazła się w ponurym gabinecie przy ulicy Roche, przed panem Canny-Lamotte, tenże popatrzył na nią przez chwilę, z przyjemnością przyglądając się, mocą jakiego wysiłku starała się wydawać spokojną. Bez kwestyi, sympatyę czuł dla tej zbrodniarki delikatnej, o tak łagodnych oczach.

— A zatem! moja pani...

I wstrzymał się, ażeby się napawać jej niepokojem kilka chwil jeszcze.

Ale ona miała tak głębokie wejrzenie i czuł, że tak się garnęła doń cała, w takiej potrzebie dowiedzenia się, że się ulitował.

— A zatem, moja pani, widziałem się z dyrektorem kolei i wymogłem na nim, że mąż pani nie dostanie dymisyi. Sprawa już załatwiona.

Wtedy ona się ugięła pod falą radości zanadto żywej, jaka ją zalała.

Oczy jej napełniły się łzami, nie mówiła nic, uśmiechała się tylko.

On powtórzył, wymawiając dobitnie każde zdanie, ażeby uczynić jasnem całe jego znaczenie.

— Sprawa jest załatwiona. Możesz pani powrócić spokojnie do Hawru.

Rozumiała dobrze; chciał powiedzieć przez to, że ich nie zaaresztują, że ich ułaskawiono. Było to nietylko po-

zostawienie urzędu, było to puszczenie okropnego dramatu w niepamięć, było to przebaczenie.

Mimowolnem poruszeniem instynktownej pieszczoty, jak ładne zwierzątko domowe, które w podziękowaniu patrzy i łasi się, pochyliła się ku jego ręce, ucałowała ją i przycisnęła do swoich policzków.

A tym razem nie cofnął ręki, sam bardzo wzruszony tkliwym wdziękiem tego podziękowania.

— Ale — odezwał się, usiłując przybrać surową minę — pamiętajcie sprawować się dobrze.

— O panie!

Chciał ich pozostawić na swej łasce, kobietę i mężczyznę. Dlatego napomknął o liście.

— Pamiętaj pani, że akta tej sprawy tu pozostaną i że przy najmniejszem przewinieniu, wszystko może się zacząć na nowo... Zaleć pani zwłaszcza swemu mężowi, ażeby się nie bawił w politykę. Pod tym względem będziemy nielitościwi. Wiem, że już się raz skompromitował, mówiono mi o jakiejś kłótni z podprefektem, przytem mają go za republikanina, to bardzo źle... Tak. Niech będzie rozsądny, albo go usuniemy...

Stała już, teraz pilno jej było wyjść na ulicę, ażeby mieć dość przestrzeni dla radości, która ją dusiła.

— Będziemy panu posłuszni. Będziemy tem, co się panu spodoba, gdziekolwiek i kiedykolwiek pan rozkaże, zawsze będę pańską.

Zaczął się znów uśmiechać, z miną znużoną, tym wzgardzonym uśmiechem człowieka, który w ciągu długich lat wszystkiego zakosztował.

— O! nie będę tego nadużywał, moja pani, nigdy już nie nadużywam.

I sam jej otworzył drzwi od gabinetu.

Na progu obróciła się dwa razy z twarzą rozpromienioną, która mu jeszcze dziękowała.

Na ulicy Seweryna szła, jak waryatka, to po trotoarze, to środkiem bez potrzeby między powozami, narażając się na przejechanie.

Czuła w sobie potrzebę ruchu i krzyku.

Teraz pojmowała już, dlaczego ich ułaskawiono, nawet rzekła do siebie:

— Tak! boją się! niema niebezpieczeństwa, ażeby to chcieli rozmazywać, głupia byłam, że się tak dręczyłam!.. Ale nastraszę męża, niech się zachowuje spokojnie. Ocalona jestem! ocalona! co za szczęście!

Kiedy skręcała na ulicę św. Łazarza, zobaczyła na zegarze u jubilera, iż jeszcze dwadzieścia minut brakowało do szóstej.

— O! zafunduję sobie dobry obiad, mam jeszcze dosyć czasu.

Naprzeciw dworca kolejowego wybrała najokazalszą restauracyę.

Usiadła sama przy stoliczku, obok lustra i okna, tak że mogła widzieć ruch uliczny, i kazała sobie podać ostrygi, majonez z łososia i kurczę pieczone.

Wynagrodzić tem sobie chciała liche śniadanie.

Umierała z głodu, połknęła prędko kawał placka

kaszkowego, który jej bardzo smakował, i kazała jeszcze dodać do obiadu omlet z konfiturami.

Potem, napiwszy się kawy czarnej, już się śpieszyła, bo tylko kilka minut miała do odejścia pociągu.

Jakób, rozstawszy się z nią, poszedł do siebie, przebrać się w odzież roboczą, poczem udał się do remizy, gdzie zwykle przychodził na pół godziny, przed wytoczeniem lokomotywy.

Zazwyczaj obejrzenie machiny zdawał na Pecqueux, chociaż ten na trzy razy był zwykle dwa razy pijany.

Tego dnia jednak, pod wpływem błogiego wzruszenia, jakiemu podlegał, sam się chciał upewnić o należytem działaniu wszystkich części składowych lokomotywy, tembardziej, że rano, jadąc z Hawru, zauważył, jak mu się zdawało przynajmniej, większe jakby zużywanie siły dla mniejszej pracy.

W obszernej szopie zakrytej, poczerniałej od węgli, którą oświetlały zakurzone okna wysokie, pośród innych odpoczywających lokomotyw, machina Jakóba znajdowała się na czele, wysunięta już na tor, pierwsza gotowa do odjazdu.

Palacz z remizy nałożył już ognisko.

Była to jedna z lokomotyw pośpiesznych, z podwójnemi osiami, elegancka, delikatna, a zarazem potężna, z wielkiemi kołami lekkiemi, połączonemi przez lewary stalowe, z szeroką piersią, bokami, wydłużonemi silnemi, połączenie myśli z techniką, które stanowią wszechwładną piękność w tych istotach metalu, dokładność siły.

Jak wszystkie machiny towarzystwa zachodniego, oprócz numeru porządkowego, a był nim numer 214, nosiła nazwę stacyi, nazywała się Lizon, jak stacya na tejże kolei.

Ale Jakób, przywiązawszy się do niej, nazwał ją Lizą i nazywał ją tak z wielką czułością.

I co prawda kochał on wielce swą lokomotywę od czterech lat, odkąd nią kierował. Jeździł on i innemi, posłusznemi i kapryśnemi, odważnemi i leniwemi; wiedział, że każda ma swój temperament, że wiele z nich niewiele było warte, jak mówią to o kobietach z krwi i kości; jeżeli zaś tę tak pokochał, to dlatego, że miała rzadkie przymioty wzorowej kobiety.

Łagodna była, posłuszna, łatwa do kierowania, bieg regularny zawsze mająca, dzięki dobrej waporyzacyi.

Utrzymywano, że te zalety jej pochodzą z doskonałości części składowych i z wyborowego materyału.

Lecz Jakób myślał inaczej, i co innego wiedział, bo inne machiny, zupełnie tak samo zbudowane, i tak samo urządzone, nie wykazywały żadnego z jej przymiotów.

W niej była dusza, tajemnica fabrykacyi, to coś, co robota mechaniczna dodaje nieraz metalowi, odrębna indywidualność machiny, życie.

Kochał więc z wdzięcznością swą Lizę, która biegła i zatrzymywała się, jak klacz silna i uległa, kochał ją, bo, prócz stałej pensyi, dawała mu jeszcze grosze, w postaci nagrody za oszczędności na paliwie.

Tak znakomicie ulepszona była pod względem wy-

dajności pary, że potrzebowała daleko mniej węgla, niż inne.

Jedno mógł jej tylko zarzucić, zanadto wielkie spotrzebowanie smaru; walce lokomotywy pożerały niezmierną ilość tłuszczu, był to ciągły głód, a nawet prawdziwe obżarstwo.

Napróżno starał się ją przekonać, bo coraz to się zadyszała, taki to już był jej temperament.

Wreszcie cierpliwie już znosił to jej łakomstwo, tak, jak się zamyka oczy na pewne przywary u osób, odznaczających się zresztą wysokiemi przymiotami, i nieraz żartował ze swym palaczem, że do niej, jak do pięknych kobiet można było zastosować przysłowie: kto smaruje, ten jedzie.

Podczas gdy ognisko syczało, Liza powoli nabierała życia, Jakób kręcił się dokoła niej, przyglądając się każdej z jej składowych części, starając się odkryć, dlaczego zrana więcej zjadła smarów, niż zwykle.

I nic nie mógł dociec, lśniła się od czystości, i to takiej czystości, jaka tylko być może przy najtroskliwszem pielęgnowaniu lokomotywy przez maszynistę.

Bo też widziano zawsze, jak ją wycierał, jak ją czyścił, zwłaszcza po przyjeździe.

Tarł ją z całych sił, korzystał, że była jeszcze ciepła, ażeby łatwiej usunąć plamy i skazy.

Nigdy też nie forsował jej zanadto, zawsze jej dawał bieg prawidłowy, nie opóźniał jej wcale, aby później pędzić ją, dla zyskania na czasie.

I tak dobrze ze sobą żyli, że przez lat cztery, ani razu nie skarżył się na nią w księdze remizy, gdzie maszyniści zapisują żądania naprawy lokomotywy, i to najczęściej źli maszyniści, próżniacy lub pijacy, którym wiecznie coś się psuje w ich lokomotywie.

Lecz tego dnia i Jakóbowi ciążyło na sercu to marnotrawstwo smarów i ogarniał go nawet niepokój, czuł brak zaufania do niej, pragnął upewnić się, czy mu się nie będzie źle sprawowała w drodze.

Pecqueux jeszcze nie przyszedł. Jakób rozgniewał się nie na żarty, kiedy nareszcie powrócił, a język mu się plątał, po śniadaniu z jakimś przyjacielem.

Zazwyczaj obaj ci ludzie żyli z sobą w zgodzie, przy tak długiem towarzyszeniu sobie, przy tych ciągłych przejazdach z jednego końca kolei na drugi, zawsze obok siebie na lokomotywie, razem wstrząsani jej ruchem, razem milczący, połączeni tą samą pracą i temi samemi niebezpieczeństwami.

Maszynista, chociaż był młodszy o lat dziesięć, po ojcowsku postępował ze swym palaczem, zasłaniał jego wady, pozwalał przespać mu się godzinkę, kiedy był pijany; Pecqueux wywzajemniał mu się za pobłażliwość prawdziwem przywiązaniem jak u psa, a zresztą był doskonałym robotnikiem, w swoim zawodzie, naturalnie po za pijaństwem.

Trzeba powiedzieć, że i on także kochał Lizę, co właśnie sprzyjało do dobrego stosunku z maszynistą. Oni we dwóch i lokomotywa, tworzyli prawdziwie idealne stadło, nigdy nic sobie nie robili na złość.

Dlatego Pecqueux, dotknięty takiem gniewliwem powitaniem, spojrzał na Jakóba z podwójnem ździwieniem, kiedy usłyszał, że i na machinę zrzędzi.

— E! cóż znowu? ona jest czarodziejka!

— Nie! nie! nie jestem spokojny.

I chociaż każdą cząstkę znalazł w porządku, nie przestawał kiwać głową.

Wszystko to powinno go było uspokoić, a jednak wciąż czuł niepokój.

Bo w sercu jego była już nietylko Liza.

Inne uczucie w niem się wzmagało, uczucie dla tej istoty tak miłej, tak delikatnej, którą widział wciąż na ławce skweru obok siebie, tej istoty, która tak pieszczotliwie błagała go o miłość i o opiekę.

Kiedy się opóźniał z jazdą w drodze, pomimo woli, kiedy puszczał lokomotywę swoją z szybkością ośmdziesięciu kilometrów, nigdy nie pomyślał o niebezpieczeństwie, na jakie mogli być narażeni podróżni.

I oto teraz sama myśl odwiezienia do Hawru tej kobiety, prawie nienawidzonej jeszcze zrana, którą wiózł do Paryża z niezadowoleniem, z niejaką nawet przykrością, teraz przejmowała go niepokojem, obawą wypadku, skutkiem którego wyobrażał ją sobie zranioną z jego winy i umierającą na jego ręku.

Odtąd miłość dla niego stała się obowiązkiem, Liza podejrzewana, powinna się była dobrze sprawować w drodze, jeżeli miała nadal zachować względy swojego maszynisty.

Piąta wybiła, Jakób i Pecqueux weszli na małą platformę, łączącą tender z lokomotywą i ostatni, na znak swego zwierzchnika, odsunął klapę i kłąb białej pary napełnił poczerniałą szopę.

Potem, posłuszna śrubie regulatora, powoli obracanej przez maszynistę, Liza ruszyła z miejsca, wyszła z remizy, zagwizdała, ażeby utorować sobie drogę.

Prawie natychmiast mogła się zapuścić w tunel Batignolles. Ale przy moście Europejskim musiała zaczekać i, wcale nie prędzej, niż o godzinie regulaminowej, zwrotniczy przepuścił ją do pociągu, o wpół do siódmej odchodzącego, do którego dwóch ludzi przyczepiło ją mocno.

Już miano niebawem odjechać, brakowało bowiem tylko pięciu minut, a Jakób wciąż wychylał się z lokomotywy, żdziwiony, iż nie widzi Seweryny w tłumie popychających się podróżnych.

Pewny był, żeś nie wsiądzie do wagonu, nie odwiedziwszy go przedtem.

Wreszcie zjawiła się, prawie biegnąc, z obawy spóźnienia.

I rzeczywiście przeszła wzdłuż całego pociągu i zatrzymała się dopiero przy lokomotywie, z twarzą ożywioną i widocznie uradowaną.

Wspięła się na drobnych nóżkach i podniosła twarzyczkę uśmiechniętą.

— Niech się pan nie boi, nie spóźniłam się, jestem.

On również śmiał się, zadowolony, że już była.

— Dobrze! bardzo dobrze!

Ona znowu się wspięła i odezwała się ciszej:

— Mój przyjacielu, jestem zadowolona, bardzo zadowolona... Wszystko dobrze poszło, lepiej niż mogłam pragnąć.

Zrozumiał, o czem mówiła, i on się także bardzo ucieszył.

Potem pobiegła już do wagonów, ale raz jeszcze odwróciła głowę i odezwała się żartobliwie:

— Tylko teraz niech mi pan kości nie połamie.

Jakób zaś zawołał wesoło:

— E! niech się pani nie boi.

Już zamykano drzwiczki, i Seweryna ledwie zdążyła wsiąść.

Jakób, na znak nadkonduktora, zagwizdał, poczem otworzył regulator.

Pojechano.

Był to taki sam odjazd, jak owego pociągu tragicznego w lutym, o tej samej godzinie, wśród tego samego ruchu na stacyi, wśród tego samego zgiełku i tego samego dymu.

Lecz teraz jeszcze było widno. Zmrok zapadał, ale jeszcze przejrzysty, łagodny, upajający.

Seweryna wyglądała oknem.

A na lokomotywie Jakób, stojąc po prawej stronie, ciepło ubrany w kaftan wełniany, z okularami na oczach, przymocowanemi w tyle głowy, pod czapką, nie spuszczał wzroku z drogi, wychylał się co chwila, ażeby lepiej widzieć ciągnącą się przed nim przestrzeń toru.

Wstrząsany podskakiwaniem machiny, na co nawet nie zwracał uwagi, rękę prawą trzymał na szybrze, regulującym bieg, jak sternik na kole parowca, i manewrował ruchem niewidocznym a ciągłym, to miarkującym prędkość, to przyśpieszającym, lewą zaś ręką ciągle używał świstawki, bo wyjazd z Paryża jest trudny, pełen przeszkód.

Gwizdał przy większym spadku toru, przed stacyami, przy tunelach, przy każdym większym zakręcie drogi.

Gdy zdaleka spostrzegł sygnał czerwony, przeciągle zagwizdał, ostrzegając o sobie, i przebiegł jak piorun.

Zaledwie od czasu do czasu rzucał okiem na manometr, obracając małą korbę pompki, skoro ciśnienie dosięgało dziesięciu kilogramów.

A wzrok jego zwracał się na tor kolejowy wciąż naprzód, czuwając nad najdrobniejszemi szczegółami, z taką natężoną uwagą, że nie widział po za tem nic innego, że nie czuł nawet jak wiatr zrywał się na burzę.

Manometr opadał; otworzył drzwi od ogniska, opuszczając zasuwę.

Pecqueux, przyzwyczajony do odgadywania myśli z ruchów, zrozumiał: młotem roztłukł kawałki węgla i, zagarnąwszy łopatą, wsypał dość równą warstwę na całej szerokości rusztu.

Gorący żar piekł nogi im obudwu; poczem, gdy drzwi zostały zamknięte, przejął ich do kości ostry powiew powietrza lodowatego.

Noc zapadała, Jakób podwajał ostrożność.

Rzadko czuł Lizę tak posłuszną jego woli; miał nad nią zupełną władzę, kazał jej jeździć, jak chciał, z zupeł-

ną samowładnością pana, a jednak nie folgował swej surowości, obchodził się z nią jak z poskromionem zwierzęciem, któremu zawsze należy niedowierzać.

Tak, po za sobą, w pociągu, pędzącym całą siłą, widział delikatną postać, która mu się powierzyła z zaufaniem i uśmiechem na ustach.

Na tę myśl lekki go dreszcz przejmował, mocniej ściskał śrubę, kierującą ruchem, wzmagające ciemności przebijał spojrzeniem uporczywem, szukając sygnałów płomienistych.

Po przejechaniu łuków, jakie tworzy droga przy Asvieres i Colombes, odetchnął już trochę.

Aż do Montes wszystko było dobrze, jechało się po torze kolejowym, jak po stole, zupełnie swobodnie.

Za stacyą Montes musiał pchać bardziej Lizę, ażeby dostać się mogła na dość znaczną wyniosłość, ciągnącą się parę wiorst.

Potem, nie zwalniając wcale, puścił ją na prostą drogę przez tunel Rolleboise, tunel długości dwóch kilometrów, które przebył w niespełna trzy minuty.

Już tylko jeden tunel miał przed sobą, tunel Roule, opodal od Gaillon, przed stacyą Sotteville, niebezpieczną stacyą, na której łatwo było o wypadki, z powodu powikłania sieci kolejowej, ciągłego wekslowania i ciągłego nagromadzenia wagonów.

Całą swą istotę skupił w oczach, które czuwały, w ręce, która prowadziła, i Liza, zadyszana i dymiąca, przejechała Sotteville pełną parą i zatrzymała się dopiero w Rouen, zkąd wyruszyła, nieco spokojniejsza, pnąc się trochę wolniej na wzgórze, wznoszące się aż do Malonnay.

Księżyc wszedł bardzo jasny, siejąc srebrzyste światło, które pozwalało Jakóbowi rozróżniać najmniejsze krzaczki, a nawet kamienie przydrożne, szybko uciekające w dal przy biegu pociągu.

Kiedy przy wyjściu z tunelu Molonnay, zwrócił na prawo spojrzenie, zaniepokojone cieniem, jakie rzucało na tor rozłożyste drzewo, tuż obok rosnące, poznał ustronny zakątek, ów mały zagajnik, zkąd widział morderstwo.

Okolica pusta i dzika roztaczała się z ciągłemi pagórkami, z ciemniejącemi skrajami lasów i z ponurą samotnością.

Następnie w Croix-de-Maufras, w nieruchomym blasku księżyca, nagle ukazał mu się ów dom w całem swem opuszczeniu i osamotnieniu, z okiennicami pozamykanemi, z wiejącym smutkiem.

I Jakób, sam nie wiedząc dlaczego, tym razem uczuł jeszcze większe ściśnienie serca, jak gdyby znajdował się przed swojem nieszczęściem.

Natychmiast jednak inny widok nasunął się jego oczom.

Obok domu Misardów przy baryerze, zamykającej przejazd przez plant, stała Flora.

Teraz, ile razy przejeżdżał tędy, zawsze widział ją na tem miejscu, jak go wyczekiwała, jak go wyglądała.

Nie poruszyła się, zwróciła tylko głowę, ażeby jak najdłużej nie stracić go z oczu, w tym błyskawicznym pędzie pociągu.

Wysoka jej sylwetka odbijała się masą czarną na świetle białem, włosy jej złotawe lśniły tylko połyskiem od księżycowego blasku.

Jakób, puściwszy znów szybciej Lizę w przejeździe przez Montville, później zwolnił jej bieg cokolwiek, a wreszcie przed ostatnią stacyą pozwolił jej pogalopować trzy mile z tą szybkością, z jaką śpieszą konie, czując, że już stajnia blizko.

Znużony był niezmiernie, kiedy pociąg zajechał wreszcie, wśród turkotu i dymu przed dworzec w Hawrze.

Seweryna, zanim poszła do swego mieszkania, przybiegła doń i powiedziała tonem wesołym i czułym:

— Dziękuję; do jutra...

VI.

Miesiąc przeminął i wielki spokój zapanował znów w mieszkaniu, które Roubaudowie zajmowali na pierwszem piętrze dworca, po nad salami poczekalnemi.

U nich, u sąsiadów ich z tego samego korytarza, przywykłych w zajęciach swych do punktualności zegarowej, życie płynęło znów jednostajnie.

Zdawać się mogło, że nic nie zaszło ani gwałtownego, ani niezwykłego.

Głośna i skandaliczna sprawa Grandmorrina powoli przechodziła w zapomnienie, miała być umorzona, skutkiem niemożności wykrycia przez sąd winowajcy.

Po dwóch tygodniach i kilku dniach sędzia śledczy Denizet wydał decyzyę, ażeby Cabucha wypuścić na wol-

ność, motywując swe postanowienie tem, że nie było przeciw niemu dostatecznych dowodów.

Tworzyła się legenda romantyczna o mordercy nieznanym, niepochwytnym, o awanturniku zbrodniczym, wszędzie obecnym, na którego składano wszelkie zabójstwa, a który znikał jak dym, skoro się tylko ukazywali agenci.

Zaledwie kilka żarcików odezwało się w prasie opozycyjnej, która roznamiętniała się znów przy zbliżających się wyborach powszechnych.

Nawet samowole władzy, nadużycia prefektów dostarczały jej innych przedmiotów do artykułów, tchnących oburzeniem.

Tak więc, skoro dzienniki, nie zajmowały się już sprawą, przestała sama przez się podniecać ciekawość tłumów. Nawet już o niej nie mówiono.

Spokój u Roubaudów tembardziej się utrwalił, że usunięty został jeszcze inny kłopot.

Zaniechano zwalenia testamentu prezesa Grandmorrina.

Za radą pani Bonnehon, Lachesnayowie zgodzili się wreszcie nie występować przeciw testamentowi, jedynie z obawy wywołania skandalu, a zresztą bardzo niepewni wyników procesu.

Roubaudowie więc, objąwszy swój spadek w posiadanie, od tygodnia już byli właścicielami Croix-de-Maufras, domu i ogrodu, oszacowanych na czterdzieści tysięcy franków.

Natychmiast postanowili je sprzedać, dom ten skalany krwią i rozpustą, który ich prześladował, jak upiór,

gdzie nie mieliby śmiałości zasnąć, bojąc się widm z przeszłości; postanowili sprzedać go hurtem, z meblami, tak, jak był, bez naprawy, nawet bez ścierania kurzu.

Ponieważ jednak przy licytacyi publicznej zawieleby stracili, gdyż małoby się znalazło kupców, którzyby chcieli zamieszkać w tem pustkowiu, postanowili zaczekać na amatora i poprzestali na przylepieniu ogromnego ogłoszenia, wypisanego tak wielkiemi literami, że łatwo je było czytać z kursujących ciągle powozów.

Ta odezwa, widniejąca z liter, to pustkowie do sprzedania, wzmagały jeszcze bardziej smutek, jaki sprawiały pozamykane okienice i ogród, zarośnięty chwastem.

Roubaud nie chciał tam pójść, nawet po to, ażeby co zarządzić, Seweryna więc sama udała się pewnego popołudnia; klucze zostawiła u Misardów, prosząc, ażeby zgłaszającym się pokazywali posiadłość.

Można było tu w ciągu dwóch godzin rozgospodarować się, gdyż wszystko było gotowe, nawet bielizna w komodach.

I odtąd już nic nie niepokoiło Roubaudów, każdy dzień upływał dla nich w spokojnem oczekiwaniu jutra.

Dom da się prędzej czy później sprzedać, pieniądze odpowiednio umieszczą, wszystko pójdzie dobrze.

Zresztą nawet zapomnieli o tem, żyli tak, jak gdyby nigdy nie mieli opuścić tych trzech pokojów, w których mieszkali: sali jadalnej, z której drzwi prowadziły wprost na kurytarz; sypialni dość obszernej, po prawej stronie, kuchenki małej i zaduszonej — na lewo.

Nawet ten dach blaszany przed ich oknami, przykrywający wjazd na stacyę, już ich nie dziwił, nie przypro-

wadzał do rozpaczy, jak dawniej, lecz przeciwnie, jakby uspokajał, wzmagał uczucie bezpiecznego wypoczynku, pokrzepiającego spokoju, w którym zasypiali.

Przynajmniej sąsiedzi nie widzieli ich, oczy szpiegowskie nie zaglądały do nich ciągle, a kiedy wiosna nadeszła, nie skarżyli się wcale ani na gorąco, ani na zbyt rażący blask od blachy, rozgrzanej promieniami słonecznemi.

Po straszliwych wstrząśnieniach, jakich doświadczali prawie przez dwa miesiące, teraz z błogością oddawali się temu, ogarniającemu ich udrętwieniu.

Chcieliby się już ztąd nie ruszać, szczęśliwi, że mogą żyć tak zwyczajnie, nie potrzebując ani drżeć, ani cierpieć.

Nigdy Roubaud nie był tak pilnym urzędnikiem, tak sumiennym.

Codzień, już o godzinie piątej, wychodził na linię kolejową, wracał na śniadanie dopiero o dziesiątej, znów wychodził o jedenastej, nie było go w domu do piątej, i wracał dopiero po jedenastu godzinach służby..

Gdy zaś przypadały dyżury nocne, był na służbie od godziny piątej po południu, do szóstej zrana, nawet nie miał krótkiego wypoczynku po obiedzie, bo jadł w swej kancelaryi, a ciężką tę służbę znosił z pewnem zadowoleniem, bo z upodobaniem wdawał się w najdrobniejsze szczegóły, wszystko chciał widzieć, wszystko chciał zrobić, jak gdyby w tej pracy znajdował zapomnienie, jakby dostarczała mu ona równowagi dla zwykłego życia.

Seweryna znów, prawie zawsze sama, bo co dwa tygodnie widywała go tylko przy śniadaniu i przy obiedzie, zapaliła się jakby do gospodarstwa.

Dawniej siedziała, szyła, haftowała, nie cierpiała krzątać się około kuchni, sprzątania pokojów, co wszystko robiła stara Szymonowa, przychodząca na posługi od godziny dziewiątej do dwunastej.

Ale kiedy była już spokojną o siebie, pewna, że tu zostanie, myślała już teraz o porządku w mieszkania, krzesła z miejsca nie brała, ażeby go wprzód nie okurzyć.

Zresztą oboje spali spokojnie.

W pogawędkach, wspólnych przy obiedzie i kolacyi, nigdy nie mówili o tej sprawie, tak, że musieli już wierzyć, że wszystko się skończyło, że wszystko było pogrzebane.

Szczególnie dla Seweryny życie stało się bardzo spokojnem.

Wkrótce lenistwo znowu ją ogarnęło i gospodarstwo oddała na łaskę starej Szymonowej, jak panienka, zdolna tylko do pracy igiełką.

Rozpoczęła robotę bez końca, dywan, który mógł ją zająć całe życie.

Wstawała dosyć późno, z przyjemnością wylegając się w łóżku, kołysana przyjazdami i odjazdami pociągów, które jej wskazywały godziny, zupełnie tak dokładnie, jak zegar.

W pierwszych miesiącach małżeństwa, ten hałas na stacyi, te gwizdania, stuk obracanych zwrotnic, huk

nagłe wstrząśnienia, w których wszystko się chwiało w jej mieszkaniu, dokuczały jej niezmiernie.

Potem przyzwyczaiła się powoli, teraz miała upodobanie w tym ruchu, w tej wrzawie stacyjnej, które właśnie dawały jej spokój.

Aż do śniadania podróżowała z jednego pokoju do drugiego, gawędząc z posługaczką i nic nie robiąc.

Po południu znów siadywała przy oknie w pokoju jadalnym, robota jej leżała na kolanach, a ona rada była że może tak siedzieć bezczynnie.

Kiedy mąż był na dyżurze i wracał dopiero nad ranem, słyszała jak chrapał aż do wieczora, a zresztą te dnie dyżuru były dla niej najprzyjemniejsze, bo wtenczas jak przed ślubem, mogła spokojnie się wysypiać i miała cały dzień wolny, prawdziwą rekreacyę.

Nie wychodziła nigdy, widziała tylko z okna dym, ulatujący z kominów fabrycznych, którego kłęby czarne plamiły niebo.

Przed oczyma miała mury budynków kolejowych, po za niemi było miasto; czuła, że ono tam jest, z początku drażniła ją ta myśl, że nie może go zobaczyć, ale rozdrażnienie to uspokoiło się z czasem. Kilka doniczek lewkonii i werbeny, które pielęgnowała na zrębie dachu, przykrywającego platformę stacyjną, były dla niej małym ogródkiem, przyozdabiającym jej samotność.

Nieraz, w chwilach wolnych od zajęć, Roubaud wyłaził oknem na dach, zsuwał się aż na jego koniec, siadał na samej krawędzi, zwieszał nogi i palił fajkę, pod gołem niebem, przyglądając się miastu, roztaczającemu się pod

nim, wysokiemu lasowi masztów, morzu rozległemu, w dal sięgającemu zielonością swoją.

Zdawało się, że taka sama senność zdjęła i inne stadła urzędnicze, sąsiadów Roubauda.

Korytarz, gdzie się dawniej rozlegały sprzeczki, teraz także zasypiał.

Kiedy Filomena przychodziła z wizytą do pani Lebleu, zaledwie słychać było szept ich głosów.

Zdziwione obie, iż rzeczy wzięły taki obrót, mówiły już tylko z pewnem wzgardliwem politowaniem o pomocniku zawiadowcy; zapewne dla utrzymania go przy posadzie, żonka jego w Paryżu musiała się pięknie niejednemu zasługiwać. Zresztą człowiek ten nie mógł zmyć z siebie tak ciężkich podejrzeń.

Żona kasyera, przekonawszy się, iż sąsiedzi nie są w stanie odebrać jej mieszkania, spoglądała teraz na nich pogardliwie.

Mijała ich, przechodząc, dumna, sztywna, bez ukłonu.

Wszystkich zraziła do siebie, nawet panią Filomenę, tak, że ta odwiedzała ją coraz rzadziej.

Pani Lebleu, pragnąc zabić czas wolny jakiemkolwiek zajęciem, szpiegowała ciągle pannę Guichon i naczelnika stacyi, pana Dabadie, nie miała jednak szczęścia, aby ich pochwycić

Od czasu do czasu słyszała tylko w sieni cichy odgłos pantofli pilśniowych.

Wszystko powoli wracało do spokojności i miesiąc cały upłynął w ciszy wielkiej, ponurej, jaka zwykle następuje po strasznych katastrofach.

U Roubaudów pozostał jednak punkt jeden bolesny, niepokojący, punkt na podłodze w sali jadalnej.

Nie mogli w tę stronę zwrócić spojrzenia bez obawy i trwogi.

Była to tafla dębowa z lewej strony okna, tafla, którą wyjęli a następnie założyli napowrót, ukrywszy pod nią zegarek i dziesięć tysięcy franków, zabranych z ciała Grandmorrina, nie licząc trzechset franków w złocie schowanych w portmonetce.

Roubaud zabrał z kieszeni zmarłego ten zegarek i pieniądze, lecz nie miał bynajmniej zamiaru przywłaszczenia ich sobie.

Nie był on złodziejem, wolałby umrzeć z głodu, jak mówił, aniżeli dotknąć choć jednego centima z tej sumy, lub sprzedać zegarek.

Pieniądze starego, który splamił jego żonę, a któremu on wymierzył sprawiedliwość, te pieniądze zwalane błotem i krwią, nie! nie! to nie były pieniądze dosyć czyste, aby ich mógł dotknąć człowiek uczciwy.

I nie myślał wcale o domu w Croix de Maufras, który otrzymał jako podarek; wspomnienie tej ofiary zrabowanej, te pieniądze zabrane w czasie morderstwa oburzały go, wzruszały jego sumienie, napełniały go bojaźnią, a jednak nie miał zamiaru spalenia tych pieniędzy, wrzucenia zegarka i portmonetki do morza.

Jeżeli prosty rozsądek mu to doradzał, wnet głuchy instynkt oświadczał się przeciw podobnemu postępkowi.

Czuł jakieś poszanowanie wewnętrzne, nie odważyłby się nigdy zniszczyć podobnej sumy.

Z początku, pierwszej zaraz nocy, ukrył ją pod poduszką nie mogąc znaleźć dość pewnej kryjówki.

Następnych dni wysilał myśl swoją, aby wyszukać jakiś kąoik ukryty, codziennie chował tę sumę gdzieindziej drżąc na najmniejszy szelest z obawy przed śledztwem sądowem.

Nigdy wyobraźnia jego nie była tak czynną jak teraz.

Wreszcie pewnego dnia zmęczony obawą, podniósł jednę taflę posadzki, ukrył tam pieniądze i zegarek, i za nic w świecie jużby tam więcej nie zajrzał.

Pod taflą ową był w jego przekonaniu rodzaj trupiarni.

W dziurze tej spoczywały śmierć i trwoga.

Zdawało mu się, że lada chwila widmo jakieś ztamtąd się ukaże.

Chodząc po pokoju unikał tego miejsca, obawiał się stąpić nogą na tę taflę, a jeśli to uczynił przypadkiem, dziwnego wnet doznawał uczucia, przysiągłby, że go coś w nogi uderza.

Seweryna, siadając popołudniu w pobliżu okna, usuwała zawsze krzesło, aby nie znaleźć się na desce, pod którą był trup ukryty.

Pomiędzy sobą nie mówili nic o tem, sądzili, iż przyzwyczają się w końcu do obecności tego trupa, niedługo jednak przyszli do smutnego przekonania, że czują go coraz bardziej pod swemi stopami, że codzień coraz więcej odbiera on im spokojność.

Niepokój ten był tem dziwniejszy, że nie wzruszał ich bynajmniej widok noża, owego noża nowego, pię-

knego, który kupiła żona, a mąż wbił w gardło kochanka.

Umyty w najzwyczajniejszy sposób, leżał sobie spokojnie w szufladce stolika, i tylko od czasu do czasu służył matce Simon do krajania chleba.

Ciszę, w jakiej żył od miesiąca, Roubaud zamięszał sam, tworząc nowy powód obawy.

Powodem tym było coraz częstsze zapraszanie Jakóba aby ich odwiedzał.

Rozkład służby sprowadzał mechanika trzy razy w tygodniu do Hawru: w poniedziałki od dziesiątej minut trzydzieści pięć zrana do szóstej wieczorem, we czwartki zaś i soboty, od jedenastej wieczorem do szóstej rano.

Pierwszego zaraz dnia po powrocie Seweryny, pomocnik zawiadowcy przyczepił się do niego.

— Ależ kolego!.. nie możesz mi przecież odmówić... musisz przetrącić coś z nami. Cóż u licha! byłeś tak grzeczny dla mej żony, należy ci się odemnie podziękowanie.

W ciągu miesiąca Jakób dwa razy znalazł się na śniadaniu, na które gwałtem prawie został zaciągnięty.

Zdawało się że Roubaud, zmęczony tem bezustannem milczeniem, jakie panowało przy śniadaniach z żoną, obecnie uczuwał jakąś ulgę, gdy znalazł towarzysza. Odzyskał dawny humor, rozmawiał, żartował.

— Przychodźże do nas jak możesz najczęściej. Widzisz, jak ci jesteśmy radzi.

Pewnego wieczoru, we czwartek, Jakób przyprowadziwszy pociąg na stacyę, obmył się z kurzu i dymu, i za-

mierzał położyć się do łóżka, gdy spostrzegł pomocnika zawiadowcy, kręcącego się koło magazynu.

Pomimo późnej godziny Roubaud wyciągnął Jakóba, prosząc go aby mu towarzyszył do stacyi.

Przybywszy przed mieszkanie, nie chciał go pożegnać, dopóki nie wstąpi na górę.

Jakób dał się namówić.

Seweryna jeszcze nie spała, zajęta była czytaniem.

Wypili po szklance wina, poczem zaczęli grać w karty i nie spostrzegli nawet jak szybko północ minęła.

Od tego czasu śniadania poniedziałkowe i wieczerze czwartkowe i sobotnie stały się zwyczajem.

Jeżeli Jakób nie przyszedł którego dnia, wnet Roubaud wyszukał go i wymawiał mu to zaniedbanie.

W czasie jego nieobecności stawał się coraz bardziej pochmurnym, gdy jednak ujrzał swego nowego przyjaciela, zaraz był wesołym i rozmownym.

Ten chłopiec, który go tak dawniej niepokoił, który powinien mu być nieznośnym, jako świadek, żyjące przypomnienie sprawy strasznej, przeciwnie, stał się dlań niezbędnym.

Być może właśnie dlatego, że wiedział wszystko, a nic nie mówił.

Tajemnica ta łączyła ich, jak węzeł nierozerwalny, jak wspólnictwo.

Często Roubaud spoglądał na Jakóba wzrokiem wymownym, ściskał jego rękę w nagłem uniesieniu, siła zaś tego uścisku przechodziła granice zwykłego koleżeństwa.

Jakób był prawdziwą rozrywką dla małżeństwa.

Seweryna przyjmowała go wesoło; gdy wchodził, wydawała lekki okrzyk, jak kobieta zbudzona w przyjemny sposób.

Rzucała wszystko, robótkę, książkę, zwykła ospałość opuszczała ją, a miejsce jej zajmowała rozmowa wesoła i śmiechy.

— A, jak to pięknie, żeś pan przyszedł. Oczekiwałam pana, myślałam wciąż o panu.

Dnie, w których Jakób przychodził na śniadanie, były prawdziwem świętem.

Znała już wszystkie jego ulubione przysmaki, sama wychodziła na miasto, aby kupić to, co lubiał najbardziej.

A wszystko to czyniła z całą uprzejmością, jak dobra gospodyni, przyjmująca przyjaciela domu, a nie zdradzając nic innego jak tylko chęć przypodobania się i potrzebę rozrywki.

— W poniedziałek będzie krem! przyjdź pan... ale na pewno!

I nic więcej.

Tylko po miesiącu, gdy Jakób zainstalował się już na dobre, rozdział pomiędzy małżonkami stawał się coraz większy.

Seweryna coraz bardziej lubiała spać sama jedna.

Urządzała się tak, aby jak najmniej spotykać się z mężem.

On zaś, co dawniej, w pierwszych dniach po ślubie, taki był gwałtowny, brutalny w objawach swej miłości, obecnie nie zważał nawet na tę oziębłość żony.

Kochał ją bez żadnych czułości, a ona zgadzała się na to jak kobieta posłuszna, wierząc, iż nie mogło być inaczej, nie żądając nawet żadnej przyjemności.

Od czasu jednak zbrodni czuła jakiś wstręt do niego, nie wiedząc nawet z jakiego powodu.

Twarz męża drażniła ją, przestraszała.

Pewnej nocy, gdy wskutek zapomnienia nie zgasiła świecy, krzyknęła gwałtownie.

Ta twarz czerwona, usta zaciśnięte konwulsyjnie, oddech przyśpieszony, przypomniały jej mordercę.

Od tego czasu dziwne uczucie ją opanowało.

Ilekroć mąż zbliżył się do niej, zdawało jej się, iż ukrywa nóż w dłoni i zamierza popełnić morderstwo.

Pomimo przywoływania zimnej krwi i rozsądku, nie mogła pozbyć się tego wrażenia. Serce jej biło ze strachu.

Roubaud ze swej strony coraz mniej narzucał się żonie, widząc jej wyraźną niechęć ku sobie.

Zdawało się iż ów wypadek, owa krew przelana, była powodem zniechęcenia, obojętności, jaka pomiędzy nimi zapanowała, a która jest zwykłem tylko następstwem czasu.

Jakób przyczyniał się pomimowoli do tego rozłączenia.

Obecność jego uwalniała małżonków od sam na sam, które stawało się dla nich coraz przykrzejszem.

Roubaud nie czuł najmniejszych wyrzutów sumienia. Obawiał się tylko złych następstw, nim sprawa cała pójdzie w zapomnienie.

Największą niespokojnością przejmowała go obawa utraty miejsca.

Obecnie nie żałował niczego. Być może, iż gdyby trzeba zacząć na nowo, nie mieszałby już żony do podobnej sprawy. Kobiety tak łatwo popadają w szaleństwo.

I Seweryna ugięła się pod tym ciężarem, jakim on ją obarczył.

Byłby pozostał panem, jak dawniej, gdyby jej nie był przypuścił do udziału w zbrodni.

Lecz już przepadło... teraz trzeba się z tem pogodzić.

W umyśle jego zapanowało w pierwszej chwili przekonanie, że zabójstwo to było niezbędnem. Gdyby nie zabił owego człowieka, sam nie mógłby żyć dłużej.

Dziś jednak, gdy wygasł już w nim płomień tej zazdrości szalonej, gdy nie czuł już tego nieznośnego żaru który palił mu piersi, gdy widok krwi cudzej uspokoił krew jego własną, burzącą się w sercu, dziś nie widział już gwałtownej konieczności owego zabójstwa.

Zapytywał sam siebie: czy doprawdy warto było zabijać? Nie była to wcale skrucha z jego strony; rodzaj rozczarowania i nic więcej, rodzaj myśli, jaka nasuwa się często wobec pytań, na które nie można odpowiadać otwarcie, chcąc pozostać szczęśliwym.

On, niegdyś tak gadatliwy, obecnie popadł w zadumę, z której budził się jeszcze bardziej ponurym.

Codziennie po obiedzie, chcąc uniknąć sam na sam z żoną, wychodził przez okno na szczyt dachu i tam ukołysany lekkim wiatrem i pustemi marzeniami, palił fajkę,

spoglądając bezmyślnie na miasto, na okręty, majaczące w dalekiej odległości.

Pewnego wieczoru zbudziła się w nim dawna zazdrość dzika.

Poszedł do magazynów, aby wedle zwyczaju zaciągnąć do siebie Jakóba na szklankę wina.

Wracając spotkał na schodach do swego mieszkania Henryka Dauvergne, głównego konduktora.

Ten zmieszał się, zobaczywszy Roubauda i niepytany nawet, tłómaczył swoją wizytę u pani Roubaud jakiemś poleceniem, które mu dały jego siostry.

W rzeczywistości jednak od dłuższego czasu napastował on Sewerynę, ciesząc się nadzieją pozyskania jej względów.

Roubaud od samych drzwi zaczął już groźnie wykrzykiwać nad żoną.

— Czego ten tu znów przyłazi?.. Wiesz, że tego nie znoszę!

— Ależ, mój drogi, przyszedł tu, chcąc mi pokazać najnowsze wzory do haftu...

— Do haftu!.. a jakże!.. Cóż ty myślisz, żem ja jestem taki głupi i nie widzę czego on tu szuka... A ty!.. strzeż się!..

I postąpił ku niej z pięścią zaciśniętą.

Seweryna pobladła jak ściana i cofnęła się pośpiesznie, zdziwiona tym nagłym wybuchem, tembardziej niespodziewanym, iż już od tak dawna byli względem siebie zupełnie obojętni.

Roubaud jednak wkrótce się uspokoił i rzekł do swego towarzysza:

— Taki urwis wkrada się pomiędzy małżeństwo, sądząc, że żona w tej chwili rzuci mu się na szyję, a mąż kontent z podobnego zaszczytu, zamknie na to oczy. O!. krew się we mnie burzy, gdy o tem pomyślę... W podobnym wypadku zadusiłbym żonę... bez namysłu... Niechże się ten jegomość więcej tu nie pokazuje, bo inaczej prędko ja załatwię z nim rachunek...

Jakób zażenowany podobną sceną, nie wiedział, jak się wobec tego zachować.

Czy ten wybuch gniewu był i ku niemu zwrócony. Czyżby mąż chciał go przestrzedz w ten sposób?

Wkrótce jednak uspokoiły go słowa Roubauda, wyrzeczone tonem prawie wesołym:

— Głupiec jakiś!.. wiem przecież dobrze, że sama wyrzuciłabyś go za drzwi... Dajno nam szklanki i chodź wypij razem z nami.

Poklepał Jakóba po ramieniu; Seweryna uspokojona także, uśmiechała się.

Później pili razem i spędzili kilka godzin wesoło.

W ten sposób Roubaud wpływał na zbliżenie pomiędzy swą żoną i kolegą, z miną najprzyjaźniejszą, nie myśląc wcale o możliwych następstwach.

Ów wybuch gwałtowny, owa zazdrość podrażniona, stały się właśnie przyczyną większej zażyłości, czułości tajemnych i zwierzeń pomiędzy Seweryną a Jakóbem.

Przyszedłszy na trzeci dzień i zastawszy Sewerynę samą, zaczął mówić o brutalnem postępowaniu Roubauda, oskarżał go i litował się nad Seweryną.

Ona słuchała z oczyma załzawionemi, a z serca uciśnionego pomimowoli wydobył się potok skarg, tak dawno tłumionych.

Jakób przekonał się jak dalece ta kobieta była nieszczęśliwą w pożyciu małżeńskiem.

Od tej chwili mieli już przedmiot rozmowy w krótkich chwilach gdy znajdowali się sam na sam.

Więzy ich miłości wzmocniły się; niezadługo doszli do tego, iż jeden znak, jedno mrugnięcie oka wystarczało im do zrozumienia się wzajemnego.

Za każdą wizytą Jakób zapytywał ją spojrzeniem, czy mąż nie dał jej jakiego powodu do smutku.

Ona odpowiadała jedynie ruchem powiek.

Później dłonie ich szukały się po za plecyma męża, łączyły w długim uścisku, wypowiadały dotknięciem palców wszystko to, czego nie można było wypowiedzieć ustami.

Bardzo rzadko się zdarzało, aby na chwilę zostali sami, bez męża.

Roubaud nie odstępował ich nigdy i zawsze siedzieli razem w pokoju stołowym, w owym pokoju, który krył pod podłogą straszną tajemnicę.

Zresztą nie starali się o to, aby pozostać sam na sam.

Na myśl im nawet nie przyszło, aby naznaczyć sobie rendez-vous w jakim oddalonym zaułku dworca kolei.

Jak dotąd łączyło ich uczucie czyste, sympatya szczera.

Zadawalniało ich spojrzenie, uściśnienie ręki, mogąc się w ten sposób porozumieć zupełnie.

Pierwszy raz, gdy Jakób szepnął do ucha Seweryny, że czekać będzie na nią w przyszły czwartek o północy po za magazynami, wzburzyła się, wyrwała swą rękę gwałtownie.

Był to właśnie tydzień wolny, tydzień służby nocnej Roubauda.

Straszna jednak bojaźń opanowała ją na myśl, że ma wyjść ze swego mieszkania, że ma szukać tego człowieka tak daleko, wśród ciemności otaczających dworzec kolejowy. Ogarnęło ją pomięszanie, jakiego nigdy dotąd jeszcze nie uczuwała, obawa zwykła u kobiety, nie wiedzącej, zkąd przyczyna tego bicia serca.

Nie odrazu jednak zgodziła się na podobne żądanie.

Musiał ją prosić prawie dwa tygodnie, zanim przystała, pomimo, że myśl o tej nocnej wycieczce podobała jej się i wywołała gorącą chęć spełnienia żądania Jakóba.

Nastały dnie czerwcowe, a z niemi upały. Wieczory tylko były przyjemniejsze z powodu chłodu, jaki sprawiał lekki wiatr, wiejący od strony morza.

Jakób pięć razy już ją oczekiwał, pięć razy miał nadzieję, iż przybędzie, pomimo wyraźnie udzielonej mu odmowy.

I tego wieczoru odpowiedziała swe zwykłe „nie“.

Na niebie nie było widać ani gwiazd, ani księżyca.

Pomimo to czekał na nią i nareszcie ujrzał zdaleka postać czarno ubraną, pośpieszającą cicho, ostrożnie.

Noc była tak ciemna, że Seweryna mogłaby przejść koło niego, otrzeć się o jego ubranie i nie dostrzedz go,

gdyby ją był nie pochwycił w swe ramiona i nie zatrzymał, składając pocałunek na jej ustach.

Wydała okrzyk lekki, drżący, a potem, śmiejąc się, zbliżyła swe wargi do jego twarzy.

Na tem jednak kończyło się wszystko.

Nie chciała wejść do żadnego z pustych budynków kolejowych, nie chciała usiąść ani na chwilę.

Chodzili tylko obok siebie i rozmawiali głosem cichym, przyciskając się jedno do drugiego.

Miejscem ich przechadzek była przestrzeń szeroka, zajęta przez magazyny i inne budynki, przestrzeń pomiędzy ulicami Zieloną i François Mazeline, które przecinały tor kolejowy.

Pełno tam szop, budek, rezerwoarów, studni, zabudowań rozmaitego gatunku; dwie wielkie remizy na pomieszczenie lokomotyw, mały domek Sauvagnatów, otoczony ogródkiem, jak dłoń szerokim, kilka ruder, w których składano uszkodzone wagony i przyrządy, warsztaty kolejowe i domki, gdzie sypiali maszyniści i palacze. Nie było nic łatwiejszego, jak skryć się, zgubić się, jakby w głębi gęstego lasu, wśród tych uliczek pustych, wśród tych zakrętów nie do wybrnięcia.

Przez godzinę używali tej samotności przyjemnej, czyniąc ulgę sercom swoim w słowach przyjacielskich, gromadzących się od tak dawna

Nie chciała o niczem więcej słyszeć, jak tylko o życzliwości. Oświadczyła mu od razu, że nigdy do niego należeć nie będzie.

Niegodziwością wydawało się jej splamić tę przyjaźń czystą, której ona tak potrzebowała, z której tak była dumną.

Potem odprowadził ją do ulicy Zielonej.

Usta ich splotły się w długim pocałunku, Seweryna powróciła do domu.

O tej samej godzinie w biurze zawiadowcy Roubaud zaczynał drzemać, zapakowawszy się w fotel skórzany, z którego zrywał się dwadzieścia razy w ciągu nocy, aby wyprostować skurczone członki.

Do godziny dziewiątej przyjmował i wysyłał pociągi wieczorne.

Ostatni szczególnie wielkiej wymagał uwagi; ciągłe manewry, przeprzęganie wagonów, karty ekspedycyjne należało przygotować samemu.

Nareszcie, gdy przyszedł pociąg pośpieszny z Paryża i został już na bok usunięty, Roubaud zasiadał sam do kolacyi, składającej się z kawałka zimnego mięsa przyniesionego z domu, pomiędzy dwoma kromkami chleba.

Ostatni pociąg przybywał z Rouen pół godziny po północy.

Całe wybrzeże pogrążało się w wielkiem milczeniu.

Gdzieniegdzie tylko świeciły na pół przyćmione płomyki gazu, dworzec cały zasypiał w tem półcieniu.

Z całego personelu pozostawało tylko dwóch niższych urzędników i pięciu ludzi ze służby pod rozkazami pomocnika zawiadowcy.

I ci zwykle chrapali w najlepsze, wyciągnięci na ławkach z popodkładanemi pod głowę pięściami, jeden tylko

Roubaud drzemał prawie z otwartemi oczyma, by w razie najmniejszego popłochu wszystkich obudzić.

Obawiając się, aby znużenie go nie przemogło i aby on sam zbyt twardo nie zasnął, nastawiał budzik na godzinę piątą, o której nadchodził pierwszy pociąg z Paryża.

Czasami jednak, szczególnie w ostatnich tygodniach, nie mógł spać zupełnie; ogarnęła go jakaś bezsenność; kręcił się tylko, wiercił w swym skórzanym fotelu.

W takim wypadku wychodził z dworca, przechadzał się wzdłuż toru kolejowego, dochodził nieraz aż do ostatniej budki sygnałowej, gdzie rozmawiał chwilę z dozorcą.

Niebo ciemne, poważna cisza nocy, uspokajały jego gorączkę.

Po jakiejś awanturze z włóczęgami dano mu rewolwer, który nosił nabity w kieszeni.

I tak nieraz aż do samego brzasku przechadzał się, zatrzymując od czasu do czasu, gdy mu się zdawało, że w cieniu nocy coś się porusza, po chwili szedł znów dalej i uspokajał się dopiero, gdy niebo zaczynało już jaśnieć, a z pośród cieniów nocy coraz wyraźniej wychylał się dworzec kolei.

Wtedy powracał do biura, do swego fotelu skórzanego i zapadał w sen głęboki, z którego budził go dzwonek zegarka, nastawionego na piątą godzinę.

Co dwa tygodnie we czwartek i w sobotę Seweryna schodziła się z Jakóbem.

Jednej nocy, gdy mu opowiedziała o rewolwerze, w jaki był Roubaud uzbrojony, zaniepokoili się tem bardzo.

Nigdy, co prawda, Roubaud nie dochodził aż do magazynów.

Niebezpieczeństwo na jakie się narażali, powiększało tylko urok tych schadzek.

Wynaleźli w swych przechadzkach kącik przepyszny dla siebie.

Były to składy węgla po za domem Sanvagnata. Tworzyły one rodzaj ulicy krętej wśród domów wystawionych z czarnego marmuru.

Tu byli najzupełniej bezpieczni.

W końcu znajdowała się mała remiza, służąca do pomieszczenia narzędzi. Obok jednej ze ścian leżały stosy worków próżnych, które mogły służyć za posłanie nawet dosyć miękkie.

Pewnej soboty, gdy gwałtowna ulewa zmusiła ich do szukania schronienia w owej remizie, Seweryna uparła się iż nie usiądzie, chociaż nie przeszkadzała bynajmniej pocałunkom Jakóba.

Nie wstyd ją powstrzymywał, pozwalała mu pieścić się żarłocznie swym oddechem i sama się niem upajała.

Lecz gdy rozdrażniony, rozgrzany tym płomieniem, chciał ją pochwycić, opierała się, płakała i powtarzała zawsze jedno i to samo.

Dlaczego jej chce wyrządzić taką przykrość? Przecież to tak pięknie kochać się uczuciem czystem, wzniosłem, nie zniżając się do zmysłowego. Splamiona w szesnastym roku życia rozpustą starca, którego krwawe widmo ją przestraszało, przygnębiona następnie brutalną żądzą swego męża, zachowała czystość dziecięcą, dziewiczość, całą wstydliwość wobec namiętności niezrozumianej.

Co ją zachwycało u Jakóba, to jego słodycz, jego posłuszeństwo, jego bojaźń dotknięcia jej rękami, dopóki ona go nie objęła swemi drobnemi i delikatnemi.

Po raz pierwszy kochała a nie chciała się oddać, bo to właśnie zatrułoby cały urok miłości: należeć do niego w ten sam sposób, jak należała do dwóch innych.

Pragnieniem jej bezwiednem było wrażenie to tak przyjemne przedłużyć do nieskończoności, stać się napowrót młodą, taką jaką była dzieckiem, mieć przyjaciela dobrego, jak się go miewa w piętnastym roku, i jak się go całuje z całych sił w pierwszym lepszym ukrytym kąciku.

Jakób, gdy go ominęła chwila gorączki, nie przynaglał jej bynajmniej. Oddawał się cały temu tak dziwnemu dla niego szczęściu. Tak samo jak i ona zdawał się powracać do dziecięcości i rozpoczynać miłość, która dotychczas przejmowała go obawą.

Jeśli okazywał się uległym, jeśli nie starał się ująć jej w swe ręce, to dlatego, że obawiał się, aby namiętność gwałtowna nie popchnęła go do morderstwa.

A jednak czuł, że z każdym dniem staje się lepszym, dowodem było choćby to, że godziny całe trzymał ją w swych objęciach, z ust jej wypijał jej duszę, a jednak nie przyszło mu na myśl stać się jej panem, schwyciwszy ją za gardło.

To było tak przyjemne, czekać dopóki miłość sama ich nie złączy w uścisku nierozerwalnym, dopóki nie nadejdzie chwila, gdy, wyczerpawszy swą wolę, w upojeniu połączą swe objęcia.

Te schadzki przyjemne trwały dosyć długo; i zawsze chętnie szukali jedno drugiego, a spotkawszy się chodzili wśród ciemności, pomiędzy masami węgla, które zaciemniały jeszcze bardziej noc, ich otaczającą.

Pewnej nocy czerwcowej Jakób chcąc przybyć do Hawru o jedenastej minut pięć, jak to oznaczone było w rozkładzie, musiał żywo pośpieszać. Liza szła wolno, jak gdyby ociężała pod wpływem dusznego upału.

Od samego Rouen ścigała go burza wzdłuż całej doliny Sekwany. Błyskawice co chwila miotały zdaleka.

Jakób oglądał się niespokojnie na zachmurzone niebo, Seweryna miała tego wieczora czekać na niego w umówionem miejscu. Obawiał się, że ta burza nadciągająca nie pozwoli jej wyjść z domu, jeśli się zerwie zbyt wcześnie.

Nareszcie przybył na stacyę przed deszczem. Teraz zaczął się znów niecierpliwić na podróżnych, powoli opuszczających wagony.

Roubaud był na stacyi, przechadzał się wśród tłumu pasażerów i służby; po chwili zbliżył się do Jakóba.

— Musisz być dyabelnie zmęczony; znać po tobie, jak ci pilno przywitać się z łóżkiem... Przyjemnych marzeń — dodał z uśmiechem.

— Dziękuję.

Jakób zagwizdał, cofnął pociąg na boczną linię i, odczepiwszy od niego machinę, przybył do magazynów.

Drzwi remizy były otwarte. Liza wsunęła się do tej szopy olbrzymiej, tworzącej rodzaj galeryi o dwóch torach żelaznych, długiej na siedmdziesiąt metrów, w której mogło się pomieścić sześć machin.

Nie było tu zbyt jasno; cztery migocące płomyki gazowe rozpraszały ciemności i odbijały na ścianach ruchliwe potworne cienie. Chwilami tylko jasne błyskawice oświetlały dach szklany i okna wysokie, umieszczone po obu stronach remizy.

Przy tem świetle chwilowem, jakby przy płomieniach pożaru można było dostrzedz liczne szczerby w murach, wiązania okopcone dymem węglowym i całą nędzę tego budynku, chylącego się do upadku i widocznie nie wystarczającego już na potrzeby.

Dwie machiny już tam stały zimne, zadrzemane.

Pecqueux zabrał się do zagaszenia ogniska, przerzucał gwałtownie węgle żarzące, a iskry, wydobywające się z popielnika, spadały pod spód, do rowu, wykopanego pod lokomotywą.

— Strasznie jestem głodny, pójdę cokolwiek przetrącić — rzekł palacz — a panu się jeść nie chce?

Jakób nie odpowiedział.

Pomimo pośpiechu nie chciał opuścić machiny dopóki ognisko nie zostanie zgaszone a kocioł wypróżniony. Było to przyzwyczajenie dobrego maszynisty, od tego nigdy nie odstąpił.

Jeśli miał czas, odchodził dopiero wówczas, gdy ją obejrzał starannie dokoła, oczyścił, otarł tak, jak się to robi ze zwierzęciem ulubionem którego się dogląda z przyjemnością.

Woda zciekała grubym strumieniem do rowu i wtedy dopiero Jakób odezwał się:

— Prędzej, prędzej!

Odgłos grzmotu zagłuszył te słowa. Błyskawica tak jasna i tak przeciągła oświetliła całą szopę, iż można było z łatwością policzyć na dachu szyby wybite, których tam było bardzo dużo. Narzędzia żelazne i duża blacha, stojąca w kącie, odezwała się długim głuchym dźwiękiem.

Pecqueux zaklął pocichu.

Jakób uczynił ruch rozpaczliwy.

Skończyło się, niema nawet i myśleć o czem, tembardziej że deszcz ulewny zaczął lać jak z cebra. Zdawało się, że burza wytłucze resztę szyb na dachu.

Przez otwory woda ciekła strumieniami, wiatr huczał po remizie, mając dostęp wolny przez dziury w dachu i drzwi otwarte na rozścież, całe wiązanie trzeszczało, grożąc lada chwila zawaleniem całej szopy.

Liza znalazła się widocznie pod jedną z szyb zbitych, bo wkrótce potoki wody po niej spływały.

Pecqueux właśnie kończył ją czyścić.

— Po co się tu kręcić, deszcz ją sam wymyje.

I, wracając do myśli, która mu widocznie od chwili już dłuższej nie dawała spokoju, rzekł:

— Trzebaby coś zjeść bodaj w poczekalni. Po takim deszczu nie sposób będzie dostać się do łóżka.

Poczekalnia o której Pecqueux wspomniał, znajdowała się tuż prawie za magazynami, gdy tymczasem dom, gdzie były umieszczone łóżka dla maszynistów i palaczy, nocujących w Hawrze, stał przy ulicy François-Mazeline.

Na taki deszcz można zmoknąć do nitki, zanimby się tam doszło.

Jakób pomimowoli musiał się zgodzić pójść za palaczem, który zabrał koszyk swego zwierzchnika aby mu ulżyć ciężaru. Wiedział dobrze iż w koszyku tym są dwa kawałki mięsa zimnego, chleb i butelka, ledwo co odkorkowana. Wiadomość o tem wszystkiem dodawała mu apetytu.

Deszcz lał coraz większy. Pioruny trzaskały coraz bardziej, pierwszy lepszy mógł uderzyć w remizę i rozwalić ją do szczętu.

Jakób i Pecqueux wyszli małą furtką na lewo, prowadzącą do kantyny.

Liza tymczasem wystygła już zupełnie; zasnęła w ciemnościach, oświetlanych tylko gwałtownemi błyskawicami, zmoczona wodą, ciekącą z dachu, która spływała po jej bokach i tworzyła pomiędzy kołami kałużę, ściekającą powoli do rowu.

Zanim jednak Jakób udał się za swym pomocnikiem, wstąpił do małego pokoiku tuż przy poczekalni, gdzie stał przygotowany szaflik z wodą.

Wyciągnął z koszyka mydło i ręcznik i obmył z węgla i dymu twarz i ręce, zaczernione w czasie drogi.

Miał także przyzwyczajenie wozić ze sobą całą odzież na zmianę, mógł więc przebrać się od stóp do głowy jak to czynił co wieczór, przybywając do Hawru, gdy miał umówioną schadzkę z Seweryną.

Pecqueux siedział już tymczasem za stołem, umywszy zaledwie koniec nosa i palców.

Poczekalnia owa składała się poprostu z maleńkiego pokoju, pustego, pomalowanego na żółto, w którym był tylko piec do odgrzewania przyniesionych ze sobą wiktua-

łów, stół, przybity do ziemi i pokryty blachą cynkową, zastępującą obrus. Dwie ławki dopełniały umeblowania tego salonu.

Goście, przychodzący tutaj, zaopatrzeni byli w swe zapasy, które spożywali na papierze, niosąc kawałki do ust na końcu scyzoryka.

Obszerne okno oświetlało ten pokój.

— To dopiero deszcz przeklęty — zawołał Jakób, przykładając twarz do szyby.

Pecqueux siedział na ławce przed stołem.

— Pan nic jeść nie będzie? — zapytał.

— Nie, mój stary. Możesz dokończyć za mnie chleb i mięso; jeśli tego twój żołądek wymaga. Mnie się jeść nie chce.

Pecqueux nie dał sobie tego dwa razy powtórzyć. Rzucił się na mięso i wysączył do dna butelkę.

Często mu się trafiała podobna gratka, gdyż przełożony jego jadł mało. Pecqueux za to jadł za dwóch.

Po chwili odezwał się, napakowawszy pełne usta chleba i mięsa:

— Deszcz? a cóż to nam szkodzi, skoro jesteśmy pod dachem. Chociaż, co prawda, jeśli tak dalej lać będzie to pan tu sam zostanie. Ja sobie pójdę.

Roześmiał się głośno, nie robiąc tajemnicy ze swego stosunku z Filomeną Sauvagnat, tembardziej, iż nie chciał, aby Jakób go podejrzywał, gdzie się tak często błąka po nocach.

Filomena mieszkała obok swego brata, zajmowała pokoik na parterze tuż przy kuchni. Potrzeba było tylko

zapukać do okiennicy, okno się otwierało, a pukający jednym krokiem znajdował się w pokoju.

Tą drogą jak mówiono, dostawała się cała służba kolejowa.

Teraz jednak tylko Pecqueux był wpuszczany.

— Niech cię jasne pioruny! — zaklął głucho Jakób, widząc że deszcz, który już przed chwilą ustawał, na nowo padać zaczyna.

Pecqueux, niosąc do ust ostatni kawałek mięsa na końcu noża, zapytał z dobrodusznym uśmiechem:

— Co pan masz za zajęcie dziś wieczorem? hę? o! na nas dwóch zarząd skarżyć się nie może... nie niszczymy bynajmniej materaców przy ulicy François-Mazeline.

Jakób żywo odwrócił się od okna.

— Dlaczegoż to? — zapytał.

— A cóż? pan, tak samo jak i ja, zacząwszy od wiosny kładziemy się spać koło trzeciej lub czwartej zrana

Musiał coś wiedzieć, a może dostrzegł te częste schadzki.

Zresztą nic to dziwnego. W każdej sypialni łóżka stały parami, maszynisty obok palacza; zarząd starał się nawet w nocy połączyć byt tych dwóch ludzi, przeznaczonych do pracy wiążącej ich razem na każdym kroku.

Pecqueux łatwo mógł zauważyć prowadzenie się swego przełożonego, które nie było już tak regularnem jak dawniej.

— Cierpię na ból głowy — odrzekł Jakób bezmyślnie. — To mi dobrze robi, gdy chodzę po nocnem powietrzu.

Nie dokończył jeszcze tych słów, gdy Pecqueux przerwał mu głosem podniesionym, jakby się gwałtem chciał usprawiedliwiać:

— O! cóż znowu!.. wiesz pan przecie dobrze, iż jesteś wolny, możesz robić, co ci się podoba... ja sobie tak mówiłem na żart... Chociaż... gdyby się tak panu kiedy... znudziło... to można się do mnie zwrócić bez żenady... Ja jestem dobry do wszystkiego... do czego pan tylko zechcesz...

I, nie tłómacząc się jaśniej, pozwolił sobie uścisnąć silnie rękę Jakóba; poczem zmiął i wyrzucił papier zatłuszczony, w którym było owinięte mięso, butelkę wsadził do koszyka, posprzątał na stole, a wszystko tak starannie, jak człowiek przyzwyczajony do gąbki i miotły.

Nareszcie, gdy deszcz nie ustawał, pomimo że nie słychać już było grzmotów, odezwał się:

— No! ja uciekam Zostawiam pana samego.

— O! — odrzekł Jakób — skoro deszcz nie ustaje, pójdę i położę się na łóżku polowem.

Łożka polowe stały obok magazynów, zasłonięte od deszczu namiotem płóciennym. Przeznaczone one były dla służby, którą się tam kładła w ubraniu, gdy przybywała do Hawru na dwie lub trzy godziny.

Jakób widząc swego palacza kroczącego szybko wśród strumieni deszczu ku domowi Sauvagnatów, pobiegł sam do namiotu polowego.

Gorąco tam było, duszno, nie wszedł też do środka, lecz zatrzymał się u wejścia.

W głębi na posłaniu leżał jeden z maszynistów, wyciągnięty na grzbiecie, z ustami otwartemi i chrapał jak trąba żołnierska.

Jakób stał tak kilka minut. Nie mógł się zdecydować, nie chciał jeszcze tracić nadziei.

Pomimo całej wściekłości jaka go opanowała na ten deszcz przeklęty, czuł jednak szaloną chęć pójścia na miejsce umówione.

Wiedział, że Seweryny tam nie będzie, w każdym razie czułby się zadowolonym, iż dotrzymał przyrzeczenia i pomimo wszystkiego, stawił się jak zwykle.

Chwilę jeszcze pomyślał i szybkim krokiem puścił się w stronę tak dobrze mu znaną, w aleje między stosami węgla.

Deszcz smagał go po twarzy, nie mógł otworzyć oczu. Dotarł jednak do szopy z narzędziami, gdzie już raz szukał z Seweryną schronienia przed deszczem.

Zdawało mu się, że tam nie będzie czuł tego przykrego osamotnienia.

Wszedł do ciemnego zakątka, gdy nagle uczuł dwoje ramion obejmujących go czule i usta, składające pocałunek na jego wargach.

Seweryna tam była.

— Mój Boże!.. jakto? jesteś tutaj?..

— Tak. Widziałam, iż zanosi się na burzę, przybiegłam jeszcze, nim deszcz zaczął padać... Dlaczegóż tak późno?..

Ostatnie słowa wyszeptała głosem omdlewającym.

Jakób czuł, iż nigdy go tak serdecznie nie uścisnęła jak dzisiaj.

Pociągnęła go lekko ku sobie, usiadła na workach próżnych, na tem posłaniu miękkiem, zajmującem kąt szopy.

On upadł obok niej, nie puszczając jej z objęć... czuł ją obok siebie...

Nie mogli się widzieć, oddech ich sprowadzał uderzenie krwi do głowy, wprawiał w szał, kazał zapomnieć o wszystkiem, o całem otoczeniu, o świecie całym. Gorące pocałunki wywołały na usta słowa pieszczoty.

— Czekałaś na mnie?.. tęskniłaś?..

— O!.. tęskniłam... tęskniłam...

I w tejże chwili, nie mówiąc ani słowa, drżąca cała, tłumiąc nawet oddech, przyciągnęła go ruchem gwałtownym ku sobie.

Chwilę przedtem, nim nadszedł, sądziła, że go już nie ujrzy. Ujrzawszy go, uniesiona radością niespodziewaną, uczuła wrażenie dziwne, nieoczekiwane... nie liczyła nic... nie rozumowała.

Stało się, bo stać się musiało.

Gęste krople deszczu uderzały o dach szopy, wydając szmer monotonny, ostatni pociąg z Paryża przebiegł szumiąc, gwiżdżąc i wstrząsając ziemią.

Jakób, zerwawszy się, słuchał ze zdziwieniem szumu burzy.

Gdzież się znajduje?

Wstając, poczuł pod ręką trzonek młotka, na który już zwrócił uwagę, siadając poprzednio.

Radość nieopisana go ogarnęła. A więc... stało się? Seweryna należała do niego i nie użył tego młotka aby jej roztrzaskać głowę.

Należała do niego bez walki, bez tej żądzy wrodzonej, nurtującej w nim bezustannie, aby ją widzieć martwą jak łup drugim wyrwany. Nie, ona należała do niego siłą czaru wszechmocnego, ona go uleczyła, gdyż widział ją inną, gwałtowną w swej słabości, pokrytą krwią, będącą dlań niejako pancerzem przerażenia.

Ona go opanowała, jego, który sam nie śmiał nawet pomyśleć o czemś podobnem.

Czuł dla niej wdzięczność niewysłowioną, pragnął żyć dla niej jedynie, w niej ześrodkować całą swą istotę.

Seweryna również czuła się szczęśliwą, iż raz przecie skończyła się walka długa, ten opór z jej strony, którego przyczyny zrozumieć nie mogła.

I dlaczego się tak długo opierała? Przyrzekła przecież. Dotrzymanie tego przyrzeczenia przynosiło jej rozkosz.

Teraz dopiero zrozumiała, iż go pragnęła oddawna, nawet wówczas, gdy oczekiwanie wydawało jej się tak przyjemnem. Serce jej i ciało potrzebowało miłości stanowczej, ciągłej.

Wypadki poprzednie, rzucające zbłąkaną w stek brudów i podłości, były strasznem okrucieństwem.

Życie jej było dotąd nadużyciem. Pogrążana była w błoto, w krew, i to z taką szybkością, iż piękne jej oczy niebieskie nie straciły nic z uroku naiwności i utrzymały wyraz przestrachu pod tym chełmem tragicznym z czarnych włosów.

Pomimo wszystkiego pozostała czystą, kochała po raz pierwszy, ubóstwiała tego chłopca, pragnęła rozpłynąć się

w nim, być jego sługą. Należała do niego, mógł nią rozporządzać według upodobania.

— Najdroższy!.. weź mnie... zatrzymaj mnie... chcę tylko tego, czego ty zechcesz!..

— Nie... nie... mój skarbie!.. tyś panią... rozkazuj... mogę cię tylko kochać i być ci posłusznym.

Godziny mijały. Deszcz przestał już padać oddawna. Na całym dworcu zaległa cisza, przerywana tylko szmerem niewyraźnym, płynącym gdzieś zdaleka. To fale morskie tak szemrały.

Spoczywali we wzajemnym uścisku, gdy nagle rozległ się strzał.

Zerwali się niespokojnie.

Dzień zaczynał już świtać, zdaleka nad ujściem Sekwany niebo powoli się wyjaśniało.

Co oznaczał ten strzał niespodziewany?

Nierozwaga mimowolna i szał jaki ich opanował sprawiły, iż się tak bardzo opóźnili. Czyżby to mąż? nie znalazłszy żony w domu, szuka ich może i strzela z rewolweru, chcąc ich z ciemnego zakątka wywabić.

Obojgu równocześnie ta myśl przyszła do głowy.

— Nie wychodź! Zaczekaj, zobaczę.

Jakób pocichu podszedł do samej bramy i, zakryty cieniem muru, podsunął się w stronę, zkąd dolatywał jakiś hałas.

Zdaleka widział kilku ludzi biegnących; poznał głos Roubauda; słyszał wyraźnie jak pomocnik zawiadowcy zapewniał, iż dostrzegł trzech włóczęgów, zajętych kradzieżą węgla.

Od kilku tygodni miewał on już podobne przywidzenia.

Snując się bezmyślnie pomiędzy pustemi budynkami kolejowemi, widział w swej wyobraźni tłumy całe bandytów, czychających na jego życie.

Tym razem bojaźń jego doszła do szczytu. Strzelił w powietrze, chcąc tym strzałem dodać sobie odwagi.

— Prędzej! prędzej! uciekajmy — szeptał Jakób — gotowi splądrować remizę... Zbliżają się... Uciekaj!..

Wybiegli prędko. Seweryna uciekała, ile jej siły pozwalały, kryjąc się wzdłuż murów. Jakób zniknął wśród stosów węgli.

I rzeczywiście była to najwyższa pora, gdyż Roubaud postanowił zrewidować remizę.

Przysięgał iż złodzieje musieli się tam ukryć.

Zdaleka widać było światełka latarni, błąkające się tuż przy ziemi. Wkrótce odbyła się rewizya. Skończyło się na tem iż wszyscy rozeszli się do domów zirytowani tą pogonią bezcelową.

Jakób, uspokojony nareszcie, postanowił udać się na ulicę Mazeline i przespać się choć chwil kilka.

Zaledwie uszedł kawałek drogi potknął się prawie o swego palacza Pecqueux poprawiającego ubranie i klnącego strasznie choć pocichu.

— A tam co? mój stary?..

— Niech ich!.. nie pytaj pan lepiej. Ci łajdacy obudzili Sauvagnata. Usłyszał mą rozmowę z jego siostrą... wylazł w koszuli. Zaledwie miałem czas wyskoczyć oknem... O!.. o!.. słyszysz pan?..

Krzyki i płacz kobiety odbierającej widocznie rzęsiste razy, mieszały się z przekleństwami mężczyzny.

— Hę?.. a to jej garbuje skórę!.. I pomyśleć, że ona ma trzydzieści dwa lata a on ją tłucze jak małe dziecko, złapane na gorącym uczynku... A zresztą... co mi tam... przecie to jej brat.

— Mnie się jednak zdawało, że jemu o ciebie nie idzie... że gniewa się tylko, gdy kogo innego zastanie — zauważył Jakób.

— Kto go tam może wiedzieć!.. Czasami to udaje że mnie wcale nie widzi... a czasami znów, jak pan słyszysz, wali i to wali porządnie!.. Ale to mu nie przeszkadza kochać swej siostry, wolałby nie wiem co, aniżeli się z nią rozłączyć... Chodzi mu tylko o to by ludzie nic nie gadali... No! na dzisiaj to będzie miała chyba dosyć!..

Krzyki ustały. Słychać było tylko jęk cichy i łkanie.

Pecqueux i Jakób oddalili się.

W dziesięć minut później spali snem głębokim jeden obok drugiego w małej sypialni, pomalowanej na żółto, w której znajdowały się tylko cztery łóżka, cztery stołki, stół i miednica blaszana.

Od tej nocy Jakób i Seweryna spędzali przyjemnie czas wyznaczony na schadzki.

Nie zawsze jednak burza osłaniała ich swemi skrzydły opiekuńczemi. Niebo jasne gwiaździste, noc jasna księżycowa przeszkadzała im nieraz.

Zawsze jednak zdołali wyszukać jakiś kącik ukryty, ciemny, osłoniony murami budynków lub ścianami, utworzonemi ze stosów węgla, i tam spędzali przyjemnie kilka godzin, jedno obok drugiego.

W sierpniu i we wrześniu noce były tak ciepłe, przyjemne, czyste powietrze wiejące od strony morza upajało takim czarem, iż nieraz byliby się dobrze spóźnili, gdyby nie ruch, budzący się na stacyi i świst machin, zaczynających swą dzienną pracę.

Nawet pierwsze dni chłodne października nie przeszkadzały im bynajmniej.

Seweryna przybywała ubrana nieco cieplej, zawinięta w płaszcz szeroki, w którym i Jakób czasami znikał do połowy.

Później barykadowali się w jednym z kącików remizy z narzędziami, którą pomysłowy maszynista nauczył się zamykać z wewnątrz za pomocą sztaby żelaznej, założonej na zawiasy.

Byli tam jakby u siebie.

Burze listopadowe mogły wyrywać szyby z dachu, mogły nawet dach cały zerwać, nie zrobiwszy im krzywdy najmniejszej.

Kącik, wybrany w remizie, osłoniony był z góry i z boków.

Pomimo to Jakób czuł niepohamowane pragnienie, aby mógł przycisnąć ją do swej piersi w jej własnem mieszkaniu, tam, gdzie wydawała się inną, bardziej powabną, z uśmiechem spokojnym uczciwej mieszczanki.

Ona się jednak opierała, nie tyle może z obawy przed czujnem okiem szpiegujących ją sąsiadów, ile raczej w skutek skrupułu.

Pewnego jednak poniedziałku w jasny dzień, zjadłszy śniadanie, na które go jak zwykle Roubaud zaprosił, rozmawiał z Seweryną, śmiejąc się i żartując.

Męża nie było w domu, gdyż wezwany został za jakimś ważnym interesem przez naczelnika stacyi.

Jakób, żartując, pochwycił Sewerynę w swe ramiona nosił ją po pokoju, nareszcie duszącą się od śmiechu rzucił na łóżko.

Szał i płochość sprawiły, iż zapomnieli o wszystkiem.

Seweryna opierała się cokolwiek śmiejąc się i żartując, wreszcie uległa, zwyciężona czułym uściskiem i pieszczotliwemi słowami.

Od tego czasu w czwartki i soboty Jakób po północy przychodził zawsze na górę.

Było to jednak bardzo niebezpieczne. Nie śmieli się ruszyć z powodu sąsiadów, a jednak czuli, iż uczucie ich się zwiększyło, radość podwoiła.

Niekiedy przychodziła im ochota do urządzenia jednej z dawniejszych schadzek wśród stosów węgla, i biegli wówczas do remizy, nie zważając na mrozy grudniowe.

Jakób i Seweryna wiedli życie podobne już od czterech miesięcy. Namiętność nie tylko nie zmniejszała się, lecz przeciwnie wzrastała z dniem każdym.

Byli dla siebie wzajemnie nowością zupełnie dotąd nieznaną. Serca ich pozostawały prawie w stanie dziecińStwa. Pierwsza ta miłość zadziwiła ich, pieszczoty najmniejsze czarowały. Dokonywała się w nich walka ciągła, kto zdoła więcej poświęcić dla drugiego.

On nie wątpił już, znalazł środek na straszną swą chorobę dziedziczną.

Od chwili bowiem, gdy Seweryna należała do niego myśl morderstwa nie zamąciła mu umysłu. Czyżby posiadanie fizyczne zadawalało tę potrzebę śmierci? Posiadać, mordować! czyż te dwa wyrazy równoważą się w ciemnej głębi człowieka-zwierzęcia?

Jakób nie zastanawiał się nad temi pytaniami, zanadto nieświadomy nie próbował nawet uchylić drzwi od tej przerażającej tajemnicy.

Czasami, gdy trzymał Sewerynę w swych objęciach przychodziło mu nagle na myśl wspomnienie o tem, co uczyniła o tem zabójstwie, do którego przyznała się jedynie spojrzeniem, siedząc na ławce skweru w Batignoles.

Nie ciekawy był jednak szczegółów; nie chciał nic wiedzieć. Ona, przeciwnie, czuła coraz bardziej potrzebę powiedzenia wszystkiego.

Nieraz w uścisku namiętnym, Jakób czuł wyraźnie, jak pierś jej wzdyma się parta naciskiem tej tajemnicy, jak chciałaby podzielić z nim ten ciężar, aby sobie ulżyć cokolwiek.

W chwilach podobnych dreszcz przechodził ją od stóp do głowy, dreszcz ten zaczynał się w krzyżu, ściskał jej gardło i westchnienia głębokie wydawał. Na usta jej cisnęły się słowa przytłumione, ciało całe uginało się w kurczu nerwowym.

Jakób zaniepokojony zamykał jej usta pocałunkiem, nie dopuszczając do wyznania.

Po co wprowadzać pomiędzy siebie tę straszną tajemnicę. Zresztą, któż mógł zaręczyć, czy nie zniszczy ona ich szczęścia. Przeczuwał niebezpieczeństwo, drżenie dzi-

wne opanowywało go na myśl poruszenia tej krwawej historyi.

Ona odgadywała bezwątpienia stan jego; ulegała mu, obsypywała pieszczotami, okazywała się istotą potrzebującą kochać i być kochaną! I wszystko kończyło się we wzajemnym omdlałym, długim uścisku.

Roubaud od lata uspokoił się znacznie. W miarę jednak o ile żona jego stawała się weselszą, o ile powracała jej świeżość młodości, o tyle mąż starzał się, pochmurniał.

W ciągu tych czterech miesięcy zmienił się bardzo, jak sama utrzymywała. Jakóba ściskał zawsze serdecznie za ręce, zapraszał go, był szczęśliwym, siedząc z nim przy jednym stole.

Lecz ta rozrywka mu nie wystarczała; wychodził często. Spożywszy ostatni kąsek obiadowy, zostawiał żonę sam na sam z przyjacielem pod pozorem iż w pokoju jest nadzwyczaj duszno, że musi odetchnąć na świeżem powietrzu.

W rzeczywistości jednak biegł do poblizkiej kawiarni, gdzie spotykał pana Cauche, naczelnika straży Pił mało, co najwyżej mały kieliszek rumu, przyszła mu jednak chętka do gry, i zamieniła się wkrótce w namiętność.

Ożywiał się, zapominał o wszystkiem, wziąwszy karty do ręki i pogrążywszy się w partyi pikiety.

Pan Cauche, gracz zapalony, twierdził, iż gra się ożywi jeżeli będzie oznaczona jaka stawka. Grano zatem o sto su.

Od tego czasu Roubauda opanowała gorączka gry, widok pieniędzy, leżących przed nim, wzbudził żądzę wygranej, rujnującą człowieka doszczętnie, doprowadzającą go do tego stopnia zaciekłości, iż na jednę kartę stawić gotów nawet swe życie.

Do tego czasu obowiązki służbowe nie cierpiały jeszcze. Wymykał się do kawiarni wtedy tylko, gdy był wolny od zajęcia; do domu powracał zwykle o drugiej lub trzeciej w nocy.

Seweryna nie uskarżała się na to bynajmniej. Robiła mu tylko wyrzuty, iż powraca coraz bardziej markotny.

Nic dziwnego!.. szczęście mu nie sprzyjało, przegrywał dosyć znaczne sumy; doszedł nawet do tego, że się zadłużył.

Pewnego wieczora wybuchła pierwsza sprzeczka pomiędzy mężem a żoną.

W sercu jej nie wyrodziła się jeszcze dla niego nienawiść, z trudnością jednak znosiła jego obecność. Czuła, jak dalece ten człowiek cięży na jej życiu Byłaby tak swobodną, tak szczęśliwą, gdyby nie on! Zresztą, nie czuła żadnych wyrzutów, oszukując go; czyż to nie jego własna wina?.. czyż nie on sam popchnął ją do upadku?

W tem powolnem rozłączeniu, gdy szukali lekarstwa na chorobę trawiącą ich od czterech miesięcy, każde z nich pocieszało się, rozweselało, według własnej woli.

On miał grę, ona mogła mieć kochanka...

Jedno ją tylko gniewało, na jedno nie mogła się zgodzić bez oburzenia, to na te ciągłe jego przegrane, zmuszające ją do ograniczania się w swych potrzebach.

Od czasu gdy pięciofrankówki zaczęły topnieć w kawiarni, nieraz była w kłopocie, czem zapłaci praczkę. O drobiazgach, o jakichkolwiek przyborach toaletowych nie miała nawet co i myśleć.

Owego właśnie wieczora gdy wybuchła pierwsza sprzeczka, poszło o kupno bucików, gdyż jedyne, jakie miała na nogach, mocno już były zniszczone.

Roubaud zabierał się właśnie do wyjścia, a nie mogąc znaleźć noża stołowego do ukrajania kawałka chleba, pochwycił za duży nóż z szuflady, ową broń, użytą przy zamordowaniu Grandmorrina.

Ona patrzyła na niego, słuchała wymówek, iż nie ma piętnastu franków na buciki dla niej, i nie wie czy prędko je mieć będzie, zkąd je bowiem weźmie.

Pomimo odmowy, kilkakrotnie powtórzyła swe żądanie; upierała się i była coraz bardziej rozdrażnioną.

W końcu wskazała palcem na ów punkt posadzki, gdzie zagrzebane były ślady morderstwa. Powiedziała mu, iż tam leżą pieniądze, niech jej da ztamtąd.

Roubaud pobladł straszliwie, upuścił nóż, który z brzękiem wpadł do szufladki.

Przez chwilę myślała, iż ją uderzy.

Zbliżył się ku niej i jąkając wyrzekł, iż te pieniądze mogą tam zgnić, że pozwoliłby sobie prędzej rękę uciąć, zanimby ich dotknął.

Zacisnął pięści, zagroził, że ją zabije, gdyby ośmieliła się w czasie jego nieobecności podnieść taflę i skraść choćby grosz jeden.

Nigdy! Nigdy! To umarło! to już pogrzebane! Groźba ta była zresztą zbyteczna; Seweryna pobladła na samą

myśl, iżby tam miała szukać pomocy. Nie! nie!.. nic ją do tego nie zmusi... gdyby nawet nędza miała im zajrzeć w oczy, gdyby nawet z głodu umrzeć im przyszło.

Rzeczywiście, od owego czasu nie wspominano o tem więcej, pomimo iż niedostatek nieraz bardzo uczuwać się dawał.

Gdy dotykali nogą tego miejsca, uczucie jakby oparzenia stawało się tak straszne, tak niemożliwe do zniesienia, że uciekali ztamtąd czemprędzej.

Zaczęły się inne sprzeczki, a to w przedmiocie folwarku Croix de Maufras.

Dla czego nie sprzedać tego domu?

I oskarżali się wzajemnie, iż żadne nie czyni nic, aby przyśpieszyć tę sprzedaż. On nie chciał się tem zajmować, odmawiał w gwałtowny sposób. Ona pisała kilka razy do Misarda i otrzymywała odpowiedzi błahe.

Nabywca się nie zgłaszał, owoce nie obrodziły, jarzyny zgniły skutkiem deszczów.

Powoli ów wielki spokój, w jaki popadło małżeństwo po dokonaniu zbrodni, zaczął niknąć. Miejsce jego zajmowało rozdrażnienie gorączkowe.

Owe pieniądze ukryte, ów przyjaciel, wprowadzony przez męża, te główne zarodki choroby gwałtownej, rozwijały się szybko, rozdzielały ich, rozdrażniały ich wzajemnie.

Życie ich zamieniało się powoli w piekło.

I w otoczeniu Roubaudów działo się coraz gorzej. Nowa burza sprzeczek i waśni wisiała już w powietrzu, grożąc lada chwila wybuchem.

Filomena zerwała gwałtownie z panią Lebleu, wskutek oszczerstwa, rzuconego przez tę ostatnią, występującą z oskarżeniem, iż przyjaciółka sprzedała jej kurę, zdechłą na jakąś szkodliwą chorobę.

Prawdziwy jednak powód zerwania tkwił w zbliżeniu się Filomeny do Seweryny.

Pecqueux poznał przypadkowo pewnej nocy w objęciach Jakóba żonę Roubauda, ta zaś, pokonawszy swe dawne skrupuły, zaczęła się okazywać nadzwyczaj uprzejmą dla żony palacza.

Filomenie pochlebiał ten stosunek z kobietą, będącą bezsprzecznie pięknością i znakomitością na dworcu kolei. Zaczęła powoli unikać żony kasyera, wreszcie odwróciła się od niej zupełnie. Wygadywała na nią niestworzone rzeczy; krzyczała i dowodziła wszędzie, że mieszkanie od ulicy należy do Roubauda, że to rzecz wstrętna, iż do tego czasu mieszkania tego im nie oddano.

Rzeczy zaczęły kiepski obrót przybierać dla pani Lebleu, tembardziej, że jej zaciekłość w śledzeniu panny Guichon, aby ją raz nareszcie pochwycić z zawiadowcą, groziła także kłopotami.

Ona wprawdzie nic nie pochwyciła, ale ją samą pochwycono, stojącą pod cudzemi drzwiami, z okiem przy dziurce od klucza.

Zawiadowca, rozdrażniony podobnem szpiegowaniem, odezwał się do swego pomocnika, pana Moulin, że gdyby Roubaud zażądał mieszkania od ulicy, on chętnie żądanie jego poprze i podpisze. Moulin zaś, zazwyczaj mało gadatliwy, obecnie powtórzył to każdemu z osobna.

Zdawało się, że lada chwila wybuchnie walka na całym kurytarzu od drzwi do drzwi, tak dalece rozpłomieniły się namiętności.

Pośród tych wstrząśnień, wzrastających coraz bardziej, Seweryna miała jeden tylko dzień szczęśliwy: piątek.

W połowie października zdobyła się na odwagę i wynalazła pozór pierwszy lepszy, jakąś słabość w kolanie, bardzo dotkliwą, która zmuszała ją do powierzenia się starannej opiece specyalisty, i co piątek wyjeżdżała pociągiem pośpiesznym o szóstej minut czterdzieści zrana, tym samym, który prowadził Jakób, spędzała z nim dzień cały w Paryżu i wracała również pośpiesznym pociągiem o wpół do szóstej wieczorem.

Z początku uważała sobie za obowiązek, zdawać sprawę przed mężem z postępów kuracyi kolana, czasami było lepiej, czasami gorzej, lecz w końcu, widząc, że jej prawie nie słucha, przestała o tem mówić.

Niekiedy patrzyła na niego i zapytywała sama siebie, czy on się też domyśla, a może wie o wszystkiem.

— Jakto? ten człowiek miotany wściekłą zazdrością, zdolny do morderstwa, zaślepiony krwią w napadzie szaleństwa nikczemnego, dziś doszedł do tego, że pozwala jej na wszystko?

Nie, nie mogła w to uwierzyć. On chyba zgłupiał poprostu.

W pierwszych dniach grudnia, pewnej nocy zimnej, śnieżnej, Seweryna oczekiwała bardzo długo na swego męża.

Nazajutrz, w piątek, zaraz o świcie miała wyjechać. Wieczorem upakowała starannie torbę podróżną, przygotowała ubranie, aby zrana nie tracić czasu, lecz wnet wyskoczyć z łóżka i być gotową.

Wreszcie położyła się i zdrzemnęła koło pierwszej w nocy.

Roubaud nie powracał.

Dwa razy już się trafiło, iż przyszedł do domu o świcie, oddany namiętności, nie mogąc wyrwać się z kawiarni, gdzie mały pokoik, na samym końcu zakładu, zamienił się w prawdziwy dom gry. Grano tam obecnie w ekarte, o grube nieraz sumy.

Seweryna zadowolona, że spać może sama ukołysana marzeniem o jutrze, spała snem spokojnym, otuliwszy się ciepłą miękką kołdrą.

Trzecia godzina wybiła gdy zbudził ją dziwny hałas.

Z początku nie mogła pojąć co to takiego. Zdawało jej się, iż śni i zasnęła znowu. Było to jakby głuche wyważanie drzwi, trzeszczenie drzewa; ktoś widocznie chciał się zakraść pokryjomu.

Nagłe szarpnięcie i głośny łoskot tak ją przestraszyły iż zerwała się na równe nogi.

Przelękła się okropnie. Nie... nie myliła się... ktoś wyłamuje zamek od sieni.

Przez chwilę siedziała na łóżku, jak wryta, w uszach jej dzwoniło, nie miała siły, aby wstać i zobaczyć co się dzieje.

Po długiej chwili wstała nareszcie, szła pocichutku, boso i uchyliła ostrożnie drzwi od pokoju.

Pobladła z zimna i przestrachu, wydawała się jeszcze szczuplejszą bez ubrania, w jednej tylko koszuli.

Przez drzwi uchylone zajrzała do sali jadalnej, a widok jaki tam dostrzegła przygwoździł ją zdziwieniem i przerażeniem.

Na podłodze Roubaud, rozciągnięty na czworakach, podejmował taflę za pomocą noża. Świeca stojąca w lichtarzu tuż obok niego, oświecała pokój i rzucała potworny cień Roubauda aż pod sam sufit. Pochyliwszy twarz nad tą dziurą tworzącą na posadzce plamę czarną patrzył oczyma rozszerzonemi. Krew zaczerwieniła silnie jego policzki. Wyglądał jak zbójca.

Brutalnie zagłębił rękę... nie znalazł nic. Drżąc przybliżył świecę. Z głębi dziury wyglądała portmonetka, zegarek i pieniądze.

Seweryna wykrzyknęła mimowoli, a Roubaud przelękniony obejrzał się na nią.

Przez chwilę nie poznawał jej, wziął ją widocznie za widmo, do którego też rzeczywiście była podobną, biała, blada, przerażona.

— Co ty tu robisz? — zapytała.

Poznał ją nareszcie. Unikając odpowiedzi, mruknął coś cicho pod nosem.

Obecność jej była mu nie na rękę, chciałby aby wróciła do łóżka, nie mógł jednak znaleźć powodu słusznego, nawet słowa więzły mu w gardle.

— A! to tak? — mówiła — to ty odmawiasz mi na buciki, a sam zabierasz pieniądze dla siebie, boś przegrał, bo ci na dalszą grę potrzeba!..

Te słowa doprowadziły go do wściekłości.

Jakto? ona chce zatruć mu resztkę życia, odebrać tę ostatnią przyjemność?.. ona?.. ta kobieta, która mu ciężarem teraz się stawała?.. Bawił się gdzieindziej, nie potrzebował jej zupełnie.

Pomyślawszy to zagłębił ponownie rękę i zabrał portmonetkę, zawierającą trzysta franków.

Założył płytę na swoje miejsce, przycisnął obcasem, i, odwróciwszy się ku wyjściu, rzekł tylko przez zaciśnięte zęby:

— Nudzisz mnie. Robię, co mi się podoba. Czy ja cię pytam, co ty będziesz robiła za parę chwil w Paryżu?..

I, wzruszywszy ramionami, powrócił do kawiarni, zostawiwszy świecę na podłodze.

Seweryna podniosła lichtarz, położyła się do łóżka przeziębnięta cała. Nie zgasiła światła, nie mogła bowiem zasnąć, czuwała z oczyma otwartemi, oczekując godziny odejścia pociągu.

A więc to było już pewnem obecnie. Rozkład postępował szybko; zbrodnia wsiąkała w tego człowieka, rozluźniała, niszczyła wszelkie węzły, łączące go z tą kobietą. Roubaud wiedział o wszystkiem.

VIII.

Owego piątku podróżni, mający zamiar udać się z Hawru pociągiem pośpiesznym o szóstej minut czterdzieści zrana, ujrzeli małą niespodziankę. Każdy, zbudziwszy się i wyjrzawszy oknem, wydał pomimowoli okrzyk żdziwienia. O północy śnieg zaczął padać gęsty, wielkiemi płatami, tak, iż utworzył warstwę wysoką na trzydzieści centymetrów.

Pod halą przykrytą Liza szumiała już, huczała, zaprzężona do pociągu złożonego z siedmiu wagonów, trzech drugiej klasy, a czterech pierwszej.

Jakób i Pecqueux przyszedłszy o wpół do szóstej do magazynów, zaniepokoili się tą masą śniegu. Teraz zaś, stojąc przed dworcem, oczekiwali na znak odjazdu, zasłonięci od śniegu daszkiem wystającym, i spoglądali to na niebo czarne, pokryte chmurami, to na pola, po których hulały tumany śniegu

Maszynista mruczał:

— Niech mnie dyabli porwą, jeśli kto dojrzy jaki sygnał.

— Żeby się choć przebić udało w tym przeklętym śniegu — dorzucił palacz.

Roubaud był na peronie; punktualnie stawił się na służbę.

Przez chwilę zmęczone jego powieki opadały jakby pod ciężarem ołowiu, wkrótce jednak odzyskał przytomność umysłu.

Podszedł do Jakóba, uścisnął go za rękę.

Ten spytał, czy nie wie, w jakim stanie znajduje się droga.

— Nie miałem jeszcze żadnej wiadomości.

Wkrótce zeszła Seweryna zawinięta w płaszcz ciepły.

Roubaud pobiegł do niej, sam ją zaprowadził do pociągu i umieścił w przedziale pierwszej klasy. Bezwątpienia przejął spojrzenie czułe, jakie zamieniła z Jakóbem.

Nic go to jednak nie obchodziło. Zauważył tylko, że na taką pogodę wybierać się w podróż nie bardzo rozsądnie, i że lepiejby zrobiła, odkładając to na inny raz.

Podróżni przybywali pootulani, obładowani torbami podróżnemi, walizkami, pudełkami, i w tłumie wielkim popychali się, potrącali wzajemnie.

Zimno było przerażające. Śnieg czepiał się obuwia i nie topniał wcale. Każdy, wsiadłszy do przedziału zamykał za sobą pośpiesznie drzwi wagonu; barykadowano się formalnie.

Wkrótce też peron był prawie pusty. Kilka płomyków gazowych oświetlało dworzec tak, że pozostawał prawie wpółcieniu. Tylko latarnia na lokomotywie przyczepiona u spodu komina, świeciła jak oko olbrzyma, rzucając w dal jasną smugę świetlaną.

Roubaud podniósł w górę latarkę sygnałową. Starszy konduktor zagwizdał, Jakób mu odpowiedział, otworzywszy regulator i posunąwszy naprzód walec nadający ruch lokomotywie.

Ruszono.

Przez kilka chwil pomocnik zawiadowcy patrzył spokojnie za pociągiem oddalającym się wśród burzy.

— No! trzeba dobrze uważać — rzekł Jakób do palacza, nakładając na oczy okulary. — Dziś niema żartów.

Zauważył dobrze, iż jego towarzysz upada ze znużenia. Widocznie noc całą musiał spędzić bezsennie.

— O! niech się pan nie boi... jakoś to będzie — wybełkotał Pecqueux.

Natychmiast po opuszczeniu hali, pokrytej śniegiem, zabrnęli w dość głęboką zaspę. Wiatr dął od wschodu wprost na machinę.

Jakób i Pecqueux zasłonięci nie czuli śniegu, który smagał komin i latarnię. Nie czuli i zimna, ubrani w ciepłe kurtki wełniane. Powoli jednak znikało światło przed machiną; zasłona śniegowa coraz grubsza pokrywała szkło latarni. Zamiast przestrzeni, oświetlonej na dwieście lub trzysta metrów, mieli przed sobą rodzaj mgły mlecznej, z pośród której wychylały się tylko niewyraźne cienie stojących przy drodze przedmiotów.

Jakób zaczął się obawiać, iż, jeśli tak dalej pójdzie, nie będzie nawet w stanie rozróżnić w koniecznej odległości sygnałów ostrzegawczych, czerwonych, zamykających drogę.

Jechał pomimo to z pierwotną szybkością, wszelkie bowiem opóźnienie, mogło również narazić pociąg na wielkie niebezpieczeństwo.

Do stacyi Harflur Liza szła bez przerwy zwyczajnym trybem. Warstwa śniegu nie przerażała dotąd Jakóba, nie dochodził on bowiem wyżej sześćdziesięciu centyme-

trów, gdy tymczasem odgarniacze machiny usuwały na metr wysokości.

Cała jego uwaga zwrócona była obecnie, aby utrzymać zwykłą szybkość biegu lokomotywy, wiedział bowiem dobrze, iż prawdziwą zaletą maszynisty, prócz staranności i przywiązania do swej machiny, jest umiejętność prowadzenia jej bez wstrząśnień, równo, przy najwyższem możliwie ciśnieniu.

Trafiało mu się nawet, iż, puściwszy wodze swej Lizie, nie zważał na sygnały nakazujące natychmiastowe zatrzymanie pociągu, wierzył bowiem, iż każdej chwili potrafi powściągnąć machinę.

Dwa razy zdarzyło mu się zapędzić zadaleko, rozgnieść petardę „nagniotek“ jak ją nazywają, i za każdym razem musiał za to odbyć rekreacyę bezpłatną przez cały tydzień.

Obecnie jednak niebezpieczeństwo, zagrażające na każdym kroku, myśl, iż Seweryna znajduje się w tym pociągu, a on odpowiada za tę drogą istotę, potrajały siłę jego woli, wytężając całą uwagę na tę drogę długą, do samego Paryża, na ten tor podwójny, najeżony przeszkodami, które należało pokonać.

Wychodził na pomost żelazny, łączący tender z machiną i, nie zważając na ciągłe wstrząśnienia, na śnieg, chłoszczący go drobnemi, ostremi igłami po twarzy, wychylał się na prawo, aby lepiej zobaczyć drogę. Przez szyby bowiem przy machinie, pokryte śniegiem, nic nie mógł dojrzeć.

Głowa jego i piersi wystawione były na mróz i wiatr gwałtowny. Chwilami zdawało mu się, iż go ktoś tępą

brzytwą drapie po twarzy. Chwilami cofał się, aby zaczerpnąć oddechu.

Zdejmował okulary, wycierał je z wilgoci i znowu powracał na swe stanowisko obserwacyjne, gdzie wystawiony na wicher, wpatrywał się bezustannie przed siebie, czy nie dojrzy światełka czerwonego.

Myśl ta opanowała go tak dalece, iż dwa razy wyraźnie ujrzał na wilgotnej zasłonie, rozciągającej się przed jego wzrokiem, dwie krwawe iskry, które tylko mignęły i zgasły. Było to złudzenie.

Nagle wśród ciemności ogarnęło go jakieś przeczucie że palacz nie znajduje się przy ognisku.

Obejrzał się .. nikogo!..

Mała lampka, urządzona tak, aby nie raziła wzroku, oświetlała poziom wody w machinie.

Na płycie manometru, świecącej jak złoto, ujrzał delikatną niebieską igiełkę, która, drżąc szybko opadała. Znak to wyraźny, iż ogień lada chwila zgaśnie.

Pecqueux wyciągnął się na skrzynce z węglami i spał w najlepsze; nie mógł przezwyciężyć snu, z którym mocował się od samego Hawru.

— A! ty łotrze jeden! — zawołał Jakób, wstrząsając gwałtownie palaczem.

Pecqueux zerwał się na równe nogi, mruczał pod nosem jakieś wyrazy uniewinnienia. Zaledwie mógł się utrzymać.

Siłą przyzwyczajenia znalazł się jednak w tej chwili przy ognisku i wnet rozbijał młotkiem bryłę węgla i rozrzucał kawałki wewnątrz za pomocą łopatki, układając równą warstwę na ruszcie.

Potem kilkoma ruchami miotły usunął na bok miał węglany. Drzwiczki ogniska przez chwilę stały otworem a smuga światła, rzucona jak ogon komety, wzdłuż tendra barwiła krwawo płatki śniegu, padającego bezustannie.

Za Harfleurs zaczynała się wielka pochyłość, długa na trzy mile, ciągnąca się aż do Saint-Romain. Pochyłość to najgwałtowniejsza na całej linii.

Jakób powrócił na swe stanowisko do machiny i przygotowywał się z całą uwagą, wiedział bowiem dobrze, iż tu przyjdzie wytężyć wszystkie siły, aby przebyć tę drogę, trudną nawet przy najpiękniejszej pogodzie.

Z ręką na korbie stał, obserwując słupy telegraficzne, aby zdać sobie sprawę z szybkości, z jaką biegnie Liza.

Ale i bez tego poznać było można, iż machina idzie coraz wolniej, coraz wyraźniej słychać tarcie odgarniaczy, napotykających na wzrastający z każdą chwilą opór.

Nogą otworzył drzwiczki ogniska.

Pecqueux zrozumiał ten ruch i jakkolwiek rozespany powiększył ogień, zwiększając tem samem i ciśnienie.

Drzwiczki były czerwone od gorąca, oświetlały ich nogi kolorem fioletowym. Nie czuli jednak tego żaru, tłumionego przewiewem mroźnego powietrza.

Na znak maszynisty palacz otworzył szyber, co wywołało wielki pęd wiatru. Nagle igiełka manometru podniosła się do dziesięciu atmosfer. Liza zebrała wszystkie siły, na jakie zdobyć się mogła.

Przez chwilę widząc, iż poziom wody się obniża, maszynista poruszył rączkę, łączącą rury ze zbiornikiem. Ciśnienie zostało zmniejszone. Wkrótce jednak powróciło

do pierwotnego stanu, machina znów szumiała, buczała, wyrzucała kłęby dymu i pary, miotała się niby zwierzę dzikie, a Jakób kierował nią nie jak stworzeniem ukochanem lecz gnębił ją, uciskał, jakby zupełnie chciał poniżyć.

— Nie!.. ona nie wylizie, nie wydobędzie się ztąd ta szelma — mruknął Jakób przez zęby, on, co nigdy w drodze nie powiedział ani słowa.

Pecqueux zaspany i ździwiony patrzył szeroko otwartemi oczyma na swego przełożonego. Czego on chce od Lizy? Przecie to machina najlepsza, najpoczciwsza, a jak świetnie chodzi!.. Prawdziwa satysfakcya puścić się z nią w drogę. Niech mi kto pokaże takie ognisko!.. A parowanie!.. za każdym razem na przestrzeni z Hawru do Paryża można zaoszczędzić na niej dziesiątą część węgla.

Kto ma takie przymioty temu można wybaczyć nie jedno. Tak samo grymaśnej gospodyni wybacza się jej kaprysy, jeśli się wie tylko, że oszczędna, że dobrze dom prowadzi. Bo i cóż zresztą można zarzucić tej poczciwej Lizie? Wymaga smarów trochę więcej od innych machin?.. no to się ją smaruje i basta.

Jakby na potwierdzenie tych myśli palacza, Jakób odezwał się w tejże samej chwili:

— Nie!.. nie wylezie, jeśli jej nie nasmaruję!..

Zaledwie dokończył tych słów, schwycił blaszankę z tłuszczem i zabrał się do roboty, która dopiero raz jeden zdarzyła mu się w ciągu wieloletniej służby.

Zamierzał zaopatrzyć machinę w smar w czasie biegu.

Śmiałym krokiem przesadził poręcz i wszedł na wąziutką platformę, biegnącą wzdłuż kotła.

Było to zadanie nadzwyczaj niebezpieczne. Platforma, tak wązka, iż nóg na niej zmieścić nie podobna, była w dodatku śliską od wody i śniegu, topniejącego przy ogrzanej blasze.

Nie dość jeszcze na tem, czynność całą trzeba było dokonać poomacku, gdyż oczu w żaden sposób otworzyć nie było można.

Zdawało się, iż wiatr gwałtowny uniesie go lada chwilę jak lekką słomkę.

Całą siłą musiał się trzymać tu i owdzie wystających z machiny obręczy lub przyrządów. Liza tymczasem pędziła dalej pociemku całą siłą pary, nie zważając na tego człowieka, uczepionego u jej boku; szumiała, dyszała i przerzynała wysoki pokład śniegu, tworząc głęboką bruzdę.

Jakób, przywlokłszy się na sam przód machiny, przykucnął, aby mógł dostać się do kubka, wystającego nad walcem. Jedną ręką trzymał się cienkiego prętu żelaznego, drugą zaś napełnił kubek aż po sam wierzch.

Dokonawszy tego, przyczołgał się, jak robak pełzający na drugą stronę i wypełnił smarem walec z lewej strony.

Nareszcie powrócił znużony, blady. Nic dziwnego, czuł śmierć, zaglądającą mu z bardzo blizka w oczy. Jedno poślizgnięcie, stracenie na jednę chwilę równowagi i...

Powróciwszy, odetchnął.

— A! szelma! — mruknął.

Pecqueux, zdziwiony tem gburowatem obejściem, i temi obelgami, rzucanemi przez maszynistę na ukochaną zawsze Lizę, ośmielił się zwrócić żartobliwie uwagę:

— Trzeba to mnie było zostawić... Ja się znam na tem... Oho!.. umiem ja smarować nieposłuszne stworzenia.

I on, widząc niebezpieczeństwo Jakóba, ocknął się już zupełnie z półsnu, który go dotąd nie opuszczał. Powrócił na stanowisko i ze swej strony wychylał się na lewo, aby wraz ze swym przełożonym śledzić bacznie drogę.

Zazwyczaj miał on wzrok dobry, lepszy nawet niż Jakób. Teraz jednak, wśród tej zaspy śnieżnej nic nie mógł dostrzedz.

Nie wiedział nawet, gdzie się znajduje, on, który każdy kilometr na tej przestrzeni znał tak dobrze, jak podłogę w swojem mieszkaniu.

Droga znikła zupełnie pod śniegiem, nawet drzewa, budynki, leżące w oddali, wszystko gdzieś znikło.

Cała okolica wydawała się pustynią bezgraniczną, pokrytą białym całunem, po którym Liza pędzi jak szalona, bez upamiętania, gdzie jej się żywnie podoba.

Nigdy jeszcze ci dwaj ludzie nie czuli ścisłości węzłów, łączących ich, bardziej niż obecnie, wśród tego pustkowia, pełnego niebezpieczeństw, wiedząc, że życie ich ani na chwilę nie jest pewne, a prócz tego dźwigając na sobie straszną odpowiedzialność za całość tych wszystkich, którzy tam po za nimi siedzą.

Jakób, z wycieczki swej naokoło machiny, wrócił bardzo rozdrażniony a nawet zagniewany, a jednak tym razem uwaga żartobliwa palacza nietylko nie rozgniewała

go, ale przeciwnie, wywołała uśmiech na jego usta. Zresztą położenie nie bardzo sprzyjało jakiejbądź sprzeczce, a nawet nie dozwalało na żadną naganę.

Śnieg padał coraz gęstszy. Zasłona przed oczyma Jakóba i Pecqueux, była coraz ciemniejszą. Pomimo to jechano w górę.

Teraz znów palacz zauważył jakiś ognik czerwony w dali i jednem słowem zwrócił nań uwagę swego przełożonego. Spojrzawszy po raz drugi, nic już nie dojrzał. Śniło się jego oczom, jak mawiał czasami.

Maszynista, jakkolwiek nic nie widział, nie mógł odzyskać spokojności. Serce mu biło, trwożyła go ta halucynacya palacza, tracił wiarę w samego siebie.

Zdawało mu się, iż rozróżnia coś, po za białą masą, z milionów płatków śniegu złożoną; były to jakieś olbrzymie kształty czarne, jakieś postacie potworne, rozsiadające się w przestrzeni, lub dążące wprost naprzeciw pociągu.

Czyżby to góry się usunęły, spadły na drogę i zagradzały przejście; czyżby pociąg miał się rozbić padając na te przeszkody.

Trwoga go ogarnęła. Mimowoli sięgnął ręką do gwizdawki parowej, i zagwizdał długo, rozpaczliwie.

W gwizdaniu tem słychać było wyraźną skargę, rozbrzmiewającą ponuro wśród burzy.

A za chwilę ździwił się jeszcze bardziej, gdyż gwizdał w sam czas; mijał właśnie z największą szybkością dworzec Saint-Romain, o którym sądził, iż jest jeszcze oddalony najmniej o dwie wiorsty.

Odetchnął cokolwiek. Liza przebiegła miejsce niebezpieczne, wydobyła się na równinę i szła teraz daleko pewniej.

Od Saint-Romain do Bolbec droga wznosi się nieznacznie, powoli. Pozwalało mu to mieć nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze aż do drugiego końca płaszczyzny.

Przybywszy do Beauville, gdzie zatrzymał się trzy minuty, nie omieszkał przywołać zawiadowcę stacyi, którego spostrzegł na peronie, i podzielić się z nim obawą, tembardziej iż pokład śniegu stawał się coraz wyższy.

— W ten sposób nie dojedziemy do Rouen. Najlepiej byłoby podwoić zaprzęg, dodając drugą machinę, stojącą w zapasie na stacyi.

Zawiadowca stacyi odpowiedział jednak, iż nie ma rozkazu w tym względzie, sam zaś na własną odpowiedzialność nic uczynić nie może.

Najwyżej może mu tylko dać pięć lub sześć łopat drewnianych do odgarniania śniegu z szyn w razie potrzeby.

Pecqueux zabrał łopaty i umieścił je w tendrze koło węgli.

Po równinie Liza biegła rzeczywiście szybko i bez trudności wielkich. Męczyła się jednakowóż.

Co chwila Jakób dawał znak swemu pomocnikowi, aby otworzył drzwiczki od ogniska i dołożył więcej węgla.

Za każdym razem nad pociągiem pochmurnym, ponurym, czarnym, wśród tej masy białej, pokrywającej widnokrąg jakby całunem olbrzymim, promieniała smuga świetlana.

Trzy kwadranse na ósmą dzień zaczynał już świtać. Zaledwie jednak dostrzedz to było można wśród wiru śnieżnego, wypełniającego całą przestrzeń dokoła.

Jasność ta podejrzana, w której nic nie można było rozróżnić, niepokoiła jeszcze bardziej obu ludzi na machinie, którzy oczyma załzawionemi, pomimo ochrony, jaką mieli w okularach, starali się patrzeć, jak można najdalej.

Nie spuszczając ręki z regulatora, Jakób gwizdał prawie bezustannie, dla ostrożności.

Gwizdanie rozlegało się rozpaczliwym głosem skargi wśród śnieżnej pustyni.

Przejechano Bulber, później Yvetot, bez wypadku.

W Maleville Jakób znów wypytywał się niespokojnie o stan drogi dalszej.

Nikt nie mógł mu udzielić żadnych objaśnień. Żaden pociąg jeszcze nie przechodził, od czasu, kiedy śnieg zaczął padać. Depesza z Rouen przyniosła tylko wiadomość, iż stanął tam pociąg, który ruszyć się nie może.

Pojechano dalej.

Liza szumiała, huczała i znużona, ciągnęła pociąg po łagodnym spadku, dążącym do Barentin.

Dzień zajaśniał, blady, bez światła. Zdawało się, iż jasność pochodzi nie od promieni słonecznych lecz od śniegu, otaczającego pociąg dokoła.

Wiatr dął coraz gwałtowniej, śnieg padał coraz gęstszy, Pecqueux co chwila odgarniał łopatą śnieg, zasypujący grubą warstwą węgle, złożone w tendrze.

Na prawo i lewo migały wsie przed oczyma jadących, ale tak zmienione, że ani Jakób, ani jego pomocnik, rozpoznać ich nie mogli. Obszerne pola, łąki, ogrodzone

płotami sady owocowe, wszystko to znikło pod całunem śniegu, tworzącego powierzchnię równą, gdzieniegdzie tylko falistą.

Jakób, wystawiony na wiatr i śnieg, chłoszczący go po twarzy, zaczynał uczuwać straszne zimno.

Zatrzymano się nareszcie w Barentin.

Tutaj zawiadowca stacyi, p. Bessieres, zawiadomił sam Jakóba, iż nadeszły depesze, donoszące o ogromnym śniegu, jaki spadł na drodze w okolicy Croix-de-Maufras.

— Zdaje mi się, że jeszcze będzie można przejechać —dodał—ale w każdym razie nie przyjdzie to łatwo.

Jakób uniósł się cokolwiek.

— Do miliona piorunów!.. Mówiłem to przecież w Benzeville!.. Coby im było szkodziło podwoić zaprząg!.. A teraz co?.. ładnie będziemy wyglądali

Starszy konduktor zeszedł również ze swego wagonu.

I on wściekał się ze złości.

W budce swojej zmarzł okropnie. Najbardziej go jednak gniewało to, iż nie można rozróżnić sygnałów w odległości kilku kroków.

Prawdziwa podróż po omacku, pomiędzy temi masami śniegu.

— Zrobiłem co do mnie należało; przestrzegłem pana—rzekł p. Bessieres—reszta do was należy.

Podróżni zaczęli się niepokoić tem długiem czekaniem na stacyi pustej, zasypanej śniegiem, gdzie nie słychać było głosu ludzkiego, gdzie zniknął wszelki ślad życia.

Okna wagonów opuszczały się, tu i owdzie wyglądały twarze zaciekawione.

Jakaś dama tęga, z dwiema młodemi blondynkami, bardzo miłemi, córkami zapewne; bezwątpienia angielki. Dalej pani, z włosami ciemnemi, którą jakiś pan, dosyć już stary, zmuszał, aby się cofnęła. Dwaj inni, wychyliwszy się do połowy z okna, rozmawiali głośno z jednego wagonu do drugiego.

Jakób rzuciwszy okiem wzdłuż wagonu, dojrzał tylko Sewerynę.

I ona również zaniepokojona, opuściła szybę i wyglądała w kierunku machiny.

Wzrok jej wyrażał straszną obawę.

— Biedne stworzenie — pomyślał Jakób — jak ona się tam boi, biedaczka!.. Jakiegoż musi doznawać uczucia, będąc tak blizko, a jednak tak daleko... A!.. oddałbym wszystką krew moją, abym już był w Paryżu, abym mógł przywieźć ją całą i zdrową.

— Niema co!.. trzeba jechać—zakonkludował zawiadowca stacyi.—Po co straszyć podróżnych!

Sam dał sygnał.

Nadkonduktor zagwizdał i wskoczył do swej budki.

Liza odpowiedziała mu krzykiem długim, żałosnym.

Ruszono dalej.

Po chwili Jakób spostrzegł, że droga zmieniła się zupełnie. Tu już nie była równina, pokryta w dal nieskończoną gęstym śnieżnym dywanem, po którym Liza posuwała się jak statek morski, zostawiając ślad za sobą.

Wjechali w krainę wzgórz i pagórków, wąwozów i przepaści, przerzynających powierzchnię i falujących aż do Malanney.

Śnieg tutaj zbierał się w nierównej ilości. Chwilami droga była zupełnie czysta, gdzieniegdzie zaś ogromne zaspy tamowały przejazd. Wiatr zmiatał śnieg z miejsc wyniosłych, a zasypywał doły i rowy.

Był to nieprzerwany ciąg przeszkód do przebycia, barykad, tworzących prawdziwe szańce.

Dzień zajaśniał już tak dalece, że okiem objąć można było większą przestrzeń. Cała okolica, te przesmyki wązkie, te skarpy spadziste, pokryte wysoką warstwą śniegu, wszystko to wyglądało jak ocean lodowaty, nieruchomy wśród burzy.

Nigdy jeszcze Jakób nie czuł takiego zimna. Twarz mu poczerwieniała od uderzeń niezliczonej ilości szpilek śnieżnych. Tracił władzę w swych rękach, palce jego były jakby sparaliżowane. Z przerażeniem dostrzegł, iż nie może dowolnie kierować regulatorem. Gdy podnosił rękę do gwizdawki, czuł ciężar nie do uniesienia; ramię jego wydawało się martwe. Zaledwie mógł się utrzymać na nogach, zgrubiałych od zimna, wstrząśnienia maszyny nigdy mu się nie wydały tak przykre, tak bolesne, jak dzisiaj. Zmęczenie straszne opanowało go zupełnie, mróz zamroczył mu nawet głowę. Zaczął obawiać się, iż straci przytomność, nie będzie mógł prowadzić pociągu. Ręka jego bezwiednie kierowała małą korbką, służącą do zmiany szybkości ruchu. Oko bezmyślnie spoglądało na igiełkę manometru, opadającą coraz niżej. Umysł jego ogarniały coraz częstsze przywidzenia.

Zdawało mu się, iż widzi na drodze drzewo wielkie zwalone, uniemożliwiające przejazd, to znów czerwona chorągiewka, ostrzegająca przed niebezpieczeństwem, ma-

jaczyła mu przed oczyma. Chwilami słyszał wyraźnie huk petardy, założonej na szynach, oznaczającej rozkaz natychmiastowego wstrzymania pociągu. Chciał to uczynić i nie mógł znaleźć dość siły i woli, ażeby chęć zamienić w uczynek.

Tracił zupełnie zmysły.

Stan ten trwał kilka chwil, długich dla niego, jak wieczność.

Nagle, obejrzawszy się w tył przypadkowo, ujrzał swego pomocnika, rozciągniętego na kufrze, śpiącego, zmorzonego tym mrozem, który działał tak straszliwie.

Widok ten wprowadził go w gniew wielki; czuł, że twarz mu się rozgrzewa, krew szybciej krążyć zaczyna. Rzucił się jak wściekły i nie ręką, lecz kopnięciem nogi budził palacza.

— Do pioruna jasnego!... Wstawaj, bydlę jakieś!...

On, co zwykle był tak łagodny, co wybaczał wszelkie przekroczenia Pecqueux, pochodzące z nadmiernego użycia wódki, dzisiaj kopał go, okładał kułakami.

Pecqueux powoli powstał zdrętwiały, sztywny i chwytając za młotek i węgle, mruczał tylko po cichu:

— Zaraz, zaraz... wszystko będzie dobrze.

Ognisko, zaopatrzone w świeży węgiel, zapłonęło gwałtownie. Ciśnienie pary zwiększyło się znacznie. Czas też był największy po temu.

Liza grzebała się w zaspie śnieżnej, wysokiej przeszło na metr. Przerzynała się z taką siłą, iż cała trzęsła się jak w febrze. Przez chwilę zdawała się tracić siły, jak statek parowy, wjeżdżający na ławicę piaskową, na której lada chwila osiędzie.

Gruby pokład śniegu, który powoli pokrył wagony, obciążał pociąg znacznym ciężarem.

Liza wytężyła wszystkie siły i przebyła tę zaporę, napozór niezwalczoną. Przebywszy ją, wydostała się na dłuższą równinę, oczyszczoną ze śniegu i sunęła po niej rączo, ciągnąc za sobą wagony.

Pociąg wyglądał jak wstęga czarna, przewijająca się po kraju wymarzonym, legendowym, olśniewająco białym.

Wkrótce jednak równina się skończyła, pagórki coraz częstsze występowały, tworząc wąwozy i kotliny, pełne zasp śnieżnych.

Jakób i Pecqueux, opierali się całemi siłami przed wrażeniem, wywołanem skutkiem mrozu. Czuli oni ważność i odpowiedzialność zajmowanego stanowiska, którego nie mogli opuścić, choćby im umrzeć przyszło.

Liza znowu straciła swą szybkość.

Dostała się teraz pomiędzy dwie pochyłości; przejście pomiędzy temi ścianami wysokiemi, zupełnie było zasypane. Biegła coraz wolniej, koła obracały się z trudnością, jakby dostały się na lep, trzymający je na uwięzi.

Po kilku chwilach stanęła spokojnie, bez najmniejszego wstrząśnienia.

Śnieg trzymał ją ubezwładnioną, jakby w uścisku śmiertelnym.

— Jest!... Niech cię pioruny spalą!..—zaklął Jakób gwałtownie.

Przez kilka chwil stał jeszcze z ręką na korbie; wykręcił całą, próbując, czy przeszkoda nie da się przezwyciężyć. Widząc jednak, że Liza szumi i huczy, a nie ru-

sza się z miejsca, zamknął regulator i zaklął jeszcze bardziej.

Nadkonduktor wychylił się ze swej budki, a Pecqueux odwracając się, zawołał:

— Stoimy!.. Ani rusz dalej!..

Konduktor szybko zeskoczył na śnieg i wpadł weń po kolana. Podszedł do machiny.

Zaczęli się we trzech naradzać.

— Niema innego sposobu, trzeba odgarnąć śnieg— odezwał się Jakób.—Na szczęście mamy łopaty. Zawołaj pan konduktora z końca pociągu. We czterech może jakoś oczyścimy drogę.

Dano znak konduktorowi. Zeskoczył z wagonu i z trudnością dostał się do machiny, tonąc chwilami po sam pas w śniegu.

Ale to zatrzymanie się w pustem polu, w pośród tej pustyni białej, ten głos ludzi, naradzających się co począć, widok konduktora brnącego w śniegu wzdłuż pociągu, zaniepokoiły podróżnych. Opuszczano szyby, otwierano drzwi, krzyczano, wołano, zamieszanie stawało się coraz większe.

— Gdzie jesteśmy?... Dla czego nie jedziemy?.. Co się stało?.. Boże!... Czyżby jakie nieszczęście?..

Konduktor czuł się w obowiązku uspokojenia pasażerów. Podszedł do wagonów zajętych. Z jednego okna wychyliła się czerwona twarz damy angielskiej, po jej bokach cisnęły się jasne główki jej córek. Zapytała akcentem cudzoziemskim:

— Proszę pana.. czy grozi jakie niebezpieczeństwo?

— O! nie, pani, trochę śniegu, nic więcej. Jedziemy natychmiast.

Okno zamknęło się wśród wesołego świergotu młodych dziewcząt, śmiejących się i żartujących.

Nieco dalej, jegomość w podeszłym wieku przywołał konduktora. Z za jego pleców, wyglądała młoda, ładna brunetka, prawdopodobnie żona.

— Dla czego się nie zabezpieczono przed czemś podobnem?.. To nie do wybaczenia! . Wracam z Londynu, interesy moje wzywają mnie do Paryża, muszę tam być dziś jeszcze. Ostrzegam pana, że w razie wypadku będę poszukiwał strat moich na drodze sądowej. Towarzystwo zapłaci mi za to grubo!...

— Jedziemy za trzy minuty... za pięć najwyżej...— uspakajał konduktor.

Zimno było straszliwe, śnieg przez otwarte okna wciskał się do wnętrza wagonów, wkrótce też wszystkie szyby były podniesione.

W głębi jednak powozów zamkniętych panowała bojaźń, zamieszanie, zdradzające się głuchym szmerem, wydobywającym się na zewnątrz.

Tylko dwa okna zostały otwarte a z nich wyglądali dwaj ludzie, jeden amerykanin, mogący mieć lat czterdzieści, drugi zaś człowiek młody, mieszkaniec Hawru.

Rozmawiali oddzieleni trzema przedziałami i z zaciekawieniem przyglądali się odgarnianiu śniegu.

— W Ameryce, w podobnych wypadkach, wszystko co żyje, wychodzi z pociągu, bierze za łopatę i pomaga.

— O! to drobnostka!.. zdarzyło mi się to już dwa razy zeszłego roku. W skutek zajęć moich muszę bywać w Paryżu co tydzień.

— A ja mniej więcej co trzy tygodnie.

— Z New-Yorku?..

— Tak, panie, z New-Yorku!.

Jakób kierował robotą.

Ujrzawszy Sewerynę w drzwiczkach pierwszego wagonu, gdzie zawsze siadała, aby być o ile możności najbliżej niego, rzucił jej błagalne spojrzenie.

Zrozumiała je i cofnęła się szybko, aby nie wystawiać twarzy na działanie wiatru mroźnego.

On, myśląc o niej, pracował ze zdwojoną gorliwością.

Po chwili dostrzegł, że śnieg nagromadzony wstrzymuje nie tyle koła machiny, które mogły się przerznąć przez śnieg nawet najgłębszy, ile popielnik.

Masa śniegu pchana siłą zbiła się jak kamień i tworzyła przeszkodę nie do przebycia.

Nagle przyszła mu myśl do głowy.

— Trzeba odszrubować popielnik.

Nadkonduktor z początku oparł się temu zamiarowi. Jakób zostawał pod jego rozkazami, bez jego pozwolenia nie mógł nic uczynić.

Zachodziła obawa, że przez odszrubowanie popielnika, machina może uledz uszkodzeniu.

Po długich nareszcie perswazyach nadkonduktor dał się przekonać.

— Ale pan bierzesz to na swoją odpowiedzialność.

Odszrubowanie nie było rzeczą łatwą.

Jakób i Pecqueux wyciągnięci na plecach, leżeli pod machiną na śniegu, topniejącym pod nimi, i dłubali, kręcili, odkręcali przeszło pół godziny. Szczęściem, że w skrzynce z przyrządami znaleźli to, co im było gwałtem potrzebne.

Narażając się na spalenie lub uduszenie, po strasznych wysiłkach nareszcie dokonali, czego chcieli.

Popielnik został odczepiony, leżał już pod machiną na ziemi. Trzeba go było ztamtąd wyciągnąć, co nastręczało wielką trudność. Otwory pomiędzy kołami a walcami były za małe.

Przy pomocy obu konduktorów poradzili sobie nareszcie, wyciągnęli ten ciężar straszny na bok i ułożyli na pochyłości toru.

— A teraz odgarnijmy resztę śniegu.

Od godziny pociąg stał już w tem pustkowiu

Zaniepokojenie podróżnych wzrastało. Co chwilę szyba jakaś opuszczała się, a głos niecierpliwy pytał:

— Dlaczego nie jedziemy?..

Powoli panika zaczęła ogarniać wszystkich, krzyczano, płakano, zdawało się, iż wkrótce wszyscy poszaleją.

— Nie, nie, już dosyć odgarnięto, siadajcie... pojedziemy, resztę biorę już na siebie.

Jakób i Pecqueux wskoczyli na machinę, konduktorzy zajęli swe stanowiska.

Maszynista wypuścił z walców parę i wodę, chcąc stopić tę masę białą, tamującą przejazd.

Następnie, położywszy rękę na korbie, cofnął się powoli o jakie trzysta metrów, ażeby nabrać rozpędu. Potem kazał zwiększyć ogień, i przy ciśnieniu, większem niż dozwolone, puścił Lizę na ten mur, utworzony ze śniegu, całą siłą, na jaką zdobyć się mogła.

Przybywszy, uderzyła tak silnie, iż całe wiązanie zatrzeszczało. Nie mogła jednak się przedrzeć, zatrzymała się drżąca jeszcze od tego uderzenia.

Jakób nie stracił nadziei. Cofnął się raz jeszcze i znów wypuścił Lizę... ale nadaremnie.

Nareszcie po raz trzeci cofnął się o pół kilometra, i z największym wysiłkiem ruszył ku zaspie.

Zdawało się, iż Liza wytęża swe muskuły metalowe. Uderzyła raz jeszcze i, przeszła, hucząc i szumiąc, jakby chciała głęboko odetchnąć po dokonanej pracy.

— Pomimo wszystko, poczciwe bydlę — mruczał Pecqueux.

Jakób oślepiony, zdjął okulary i otarł je. Serce biło mu gwałtownie; nie czuł już zimna, prześladowała go tylko myśl, iż w odległości trzystu metrów od Croix-de-Maufras znajduje się wąwóz głęboki, ciągnący się właśnie w kierunku wiatru.

Śniegu musiało się tam zebrać masę. Jakób przewidywał, iż tam napotka skrópuł, o który rozbiją się wszystkie jego dobre chęci doprowadzenia pociągu, jak najprędzej, do Paryża.

Wychylił się z machiny. Zdaleka widział już ten wąwóz straszny. Wyglądał, jak rów olbrzymi, napełniony śniegiem.

Liza pędziła z szybkością zwyczajną nie napotykając na żadne przeszkody. Dla ostrożności nie gaszono wcale świateł ani na przodzie, ani z tyłu pociągu.

Biała latarnia, zawieszona na machinie, u dołu komina, błyszczała jak oko Cyklopa. Liza zbliżała się do wąwozu, spoglądając z nieufnością tem olbrzymiem, szeroko otwartem okiem na zaspę śniegową. Zaczęła parskać jak koń, który się czegoś obawia; zrywała się i z trudnością posuwała się naprzód.

Jakób dał znak palaczowi, aby powiększył ogień. Z komina wydobył się nie ogon gwiaździsty, jak to było w nocy, lecz pióropusz długi, czarny, kłębiasty, odbijający dziwnie na tem ogólnem tle białem.

Liza biegła śmiało naprzód, dostała się już do wąwozu. Na prawo i na lewo wznosiły się skarpy pochyłe. W głębi nie można wcale rozróżnić drogi. Było to jakby zagłębienie potoku, zasypanego śniegiem po same brzegi.

Liza potoczyła się w środek zaspy. Biegła z piętnaście metrów ze wszystkich sił, na jakie zdobyć się mogła. Ustawała jednak powoli. Śnieg, party przodem machiny, posuwał się naprzód i tworzył wał coraz gęściejszy, coraz wyższy, niemożliwy do przebycia. Wrzał on, wznosił się jak fala zbuntowana i groził zasypaniem całego pociągu.

Liza była zwyciężoną, nie mogła iść dalej. Po raz ostatni zebrała jeszcze siły i z szumem posunęła się ze trzydzieści metrów.

Był to ostatni ruch jakby w agonii. Kawałki śniegu zbitego opadały z boków, toczyły się pod koła wagonów. Wkrótce cały pociąg został okuty, skrępowany więzami

lodowemi. Liza zatrzymała się stanowczo, wydając ostatnie tchnienie. Stała teraz martwa, nieruchoma.

— Masz!.. teraz już chyba nie ruszymy... Spodziewałem się tego.

W pierwszej zaraz chwili chciał się cofnąć, aby siłą rozpędu przebić tę zaporę. Liza jednak nie mogła już ruszyć z miejsca. Nie chciała iść ani naprzód, ani w tył, przygwożdżona była ze wszystkich stron, przybita, bezczynna, głucha.

Pociąg cały również stał posępnie, zakopany aż po drzwiczki w śnieżycę. Śnieg padał bez przerwy, a teraz nawet był gęstszy i silniejszy.

Zdawało się, iż pociąg cały zniknie niezadługo, zagrzebany zupełnie w tej masie białej. Cisza panowała dokoła. Najmniejszego śladu życia, tylko śnieg tkał bezustannie swój całun biały, olbrzymi.

— Znowu się zaczyna? — zapytał nadkonduktor, wychylając się ze swej budki.

— Zagrzebani! — krzyknął Pecqueux.

Położenie tym razem istotnie było krytyczne. Konduktor z tyłu pociągu pobiegł o kilkaset kroków i założył petardę, ażeby zatrzymała pociąg następny i uchroniła od katastrofy spotkania.

Jakób gwizdał ze wszystkich sił, wzywając w ten sposób pomocy. Głos ten jednak ginął wśród padającego śniegu, trudno przypuścić, aby go słyszano w Barentin.

Co robić? Było ich tylko czterech. Sami nie odgarną śniegu, niema nawet co marzyć o tem. Na to potrzeba co najmniej dwudziestu. Co gorsza, obawa i nie-

pokój zaczęły teraz coraz bardziej objawiać się pomiędzy podróżnymi.

Jedne drzwiczki otworzyły się; piękna brunetka wyskoczyła przerażona, sądząc, iż stał się jakiś wypadek.

Mąż jej, kupiec, w podeszłym wieku, krzyczał oburzony, wybiegając za nią:

— Napiszę skargę do ministra!.. to oburzające... tego wybaczyć nie podobna!..

Płacz kobiet, głosy gniewliwe mężczyzn, wydobywały się z wagonów, których okna otwierały się co chwila gwałtownie.

Tylko dwie młode angielki śmiały się i cieszyły.

Gdy nadkonduktor usiłował uspokoić wszystkich, młodsza zapytała go po francuzku z lekkim odcieniem akcentu angielskiego:

— Czy tu się zatrzymujemy? czy tu stacya?..

Kilku mężczyzn wyskoczyło z wagonów, nie zważając, iż pokład śniegu jest tak wysoki. Zapadali po sam pas i z trudem poruszać się mogli.

Amerykanin wraz z młodym człowiekiem z Hawru, dostali się do lokomotywy, chcąc naocznie sprawdzić położenie.

Przybywszy, przyglądali się długo, wreszcie amerykanin kiwając głową powątpiewająco, zauważył:

— Potrzeba co najmniej pięć lub sześć godzin czasu, zanim przekopią przejście.

— Co najmniej! — dodał drugi — i to przy pomocy dwudziestu robotników.

Jakób zdołał wytłomaczyć nadkonduktorowi iż trzeba kogokolwiek z pociągu posłać do Barentin z wezwa-

niem o pomoc. Ani on sam, ani też Pecqueux nie mogli odstąpić machiny. Wybór więc padł na młodego konduktora.

Nie namyślając się długo, puścił się w drogę, brnąc w śnieżnej zaspie. Wkrótce zniknął z oczu przy wyjściu z wąwozu, na skręcie toru kolejowego.

Miał cztery kilometry do przebycia, nie mógł więc powrócić jak za dwie godziny.

Jakób, zrozpaczony, opuścił na chwilę swe stanowisko i podszedł do pierwszego wagonu, gdzie spostrzegł Sewerynę, opuszczającą okno.

— Nie obawiaj się pani niczego, niema najmniejszego niebezpieczeństwa.

Mówił jej „pani“, aby nie zwrócić niczyjej uwagi.

— O! nie obawiam się wcale, niepokoiłam się tylko o pana.

W słowach ich tyle było słodyczy, iż podziałały na nich uspakajająco. Uśmiechnęli się i wzrokiem zamienili uścisk wzajemny.

W chwili, gdy Jakób odwrócił się, wracając na machinę, Seweryna ujrzała coś zupełnie nieoczekiwanego.

U góry, na szczycie skarpy stała Flora, ku machinie zaś schodził Misard w towarzystwie dwóch ludzi, których z początku nie poznała.

Usłyszeli oni rozpaczliwe gwizdanie, i Mizard, który nie był w tej chwili na służbie, przybiegł wraz ze swymi przyjaciołmi. Byli to: kamieniarz Cabuche i powroźnik Ozil.

Pierwszy musiał pomimowoli odpoczywać z powodu zaspy śnieżnej, drugi zaś przybiegł z Melonay przez tu-

nel, korzystając z chwili wolnej, aby się pomizdrzyć do Flory.

Był on cierpliwy, wytrwały, nie zniechęcało go cierpkie obejście, jakiem go przyjmowała młoda dziewczyna.

Przyszli oni obaj do Misardów i właśnie wychylali po szklance wina, gdy z wąwozu rozległo się rozpaczliwe gwizdanie. Przybiegli natychmiast wiedzeni ciekawością. Flora przyszła również, i ona ciekawa jak chłopak i jak chłopak też silna i dziarska.

Dla Misardów był to zresztą wypadek epokowy, awantura nadzwyczajna. Pociąg, zatrzymujący się przed ich domem! To coś niesłychanego.

Od lat pięciu, odkąd tu mieszkali, ileż to pociągów przesunęło się przed ich oczyma, bez względu na deszcz, na pogodę, w dzień czy w nocy, przemykając szybko, jak podmuch wiatru. Zawsze pędziły, uciekając przed ich domem, niknęły z oczu jak widmo wymarzone, i nie mieli nigdy pojęcia, co się tam wewnątrz dzieje

Cała ta masa ludzka przyprzężona do rydwanu parowego defilowała przed ich domem, niektóre z tych twarzy były im nawet znajome, przyzwyczaili się widzieć je zawsze w pewnych okresach o jednej i tej samej godzinie, a nie widzieli nic więcej jak tylko twarz ich, przesuwającą się z szybkością nieomal błyskawiczną.

I oto raz nareszcie, pociąg, zatrzymany śniegiem, zawitał do drzwi ich domu. Zwykły porządek rzeczy został naruszony, zmieniony, mogli przyglądać się tym ludziom obcym nieznanym, patrzyli też na nich oczyma wytrzeszczonemi, zupełnie tak, jak patrzą dzicy na europej-

czyków, których burza przypędziła do nieznanych wcale brzegów.

Przez otwarte drzwi wagonów widać było kobiety, otulone w futra, mężczyźni wysiadali ubrani w grube paltoty, cały ten pociąg, osiadły na tem morzu śnieżnem, wprawiał ich w podziw. Patrzeli jak skamieniali.

Flora poznała Sewerynę. Czatując oddawna na każdy pociąg, prowadzony przez Jakóba, zauważyła od dłuższego już czasu obecność tej kobiety w piątkowym pociągu pośpiesznym, a to tembardziej, iż Seweryna, przejeżdżając przez Croix-de-Maufras wyglądała zawsze oknem chcąc choć w przejeździe ujrzeć swą własność.

Gdy ujrzała iż Jakób rozmawia z Seweryną, brwi jej się namarszczyły.

— A! pani Roubaud! — zawołał Misard, który ją również poznał i przybrał natychmiast minę uniżoną. — To dopiero wypadek, ale przecie pani nie zostaniesz tam w wagonie, zajdziesz pani na chwilę do nas.

Jakób uścisnął rękę dozorcy rogatki i poparł jego prośbę.

— Ma słuszność... Będziemy tu stać przez parę godzin, zziębniesz pani tymczasem na mrozie.

Seweryna odmawiała, tłómacząc się, iż jest ciepło ubrana, zresztą odległość trzystu metrów po takiej śnieżnej zaspie przerażała ją również.

Naraz Flora, patrząca dotąd na Sewerynę dużemi oczyma, posunęła się bliżej i odezwała się tonem krótkim, urywanym:

— Chodź pani! Ja panią zaniosę.

I, zanim Seweryna zdobyła się na odpowiedź, już znalazła się w ramionach silnych, prawie męzkich, które niosły ją jak małe dziecko.

Flora przebiegłszy skarpę, postawiła Sewerynę na ziemi, z której wiatr zmiótł już śnieg doszczętnie.

Krótkiej tej scenie podróżni przypatrywali się zachwyceni.

— Co za zuch dziewczyna! Gdyby takich było z tuzin pod ręką, nie trzebaby czekać i godziny; odgarniętoby śnieg bardzo prędko.

Ale propozycya Mizarda, to zaproszenie do domu, gdzie można znaleźć schronienie, a może kawałek chleba i szklankę wina, przebiegało już od wagonu do wagonu.

Wpłynęło to nieco uspakajająco na ogólne usposobienie.

Wszyscy widzieli, że położenie nie jest wcale groźne, chociaż nie przestaje być przykrem. Kamionki z wodą ciepłą ostygły zupełnie, była godzina dziewiąta, ten i ów zaczął już głód uczuwać. Kto wie, jak się to długo miało ciągnąć. A może trzeba będzie noc spędzić w pociągu?

Utworzyły się dwa obozy. Jedni zrozpaczeni, nie chcieli opuścić wagonu, choćby im przyszło umrzeć z głodu i chłodu. Ci ze wściekłością zawijali się w szale, futra i kołdry i kładli się na ławkach, chcąc snem skrócić oczekiwanie nieprzyjemne.

Inni woleli brnąć po sam pas w śniegu, byle się tylko dostać do jakiegobądź domu, byle ujrzeć trochę ognia, byle tylko nie widzieć tego pociągu martwego, zagrzebanego wśród śniegu.

Utworzyła się cała grupa; stary kupiec z młodą żoną, amerykanin i młodzieniec z Hawru, angielka z dwiema córkami, i tuzin innych podróżnych, gotowało się do przejścia przez to morze śniegowe.

Jakób pocichu przekonywał Sewerynę, zaręczając, że jak tylko zdoła się wymknąć na chwilę, natychmiast przybiegnie do niej.

Flora spoglądała ciągle na nich oczyma zachmurzonemi, Jakób spostrzegłszy ją, odezwał się łagodnie po przyjacielsku:

— A więc już ułożone. Poprowadzisz panów i panie. Ja zostanę tu z Misardem i innymi. Zrobimy tymczasem, co będzie można.

Rzeczywiście, w tejże samej chwili Cabuche, Ozil i Misard pochwycili za łopatki i przyłączyli się do palacza i nadkonduktora zajętych odgarnianiem śniegu.

Mała ta załoga wysilała się, aby odkopać machinę, której koła zupełnie zniknęły wśród zaspy śnieżnej.

Nikt nie odzywał się ani słowem, wszyscy pracowali zaciekle.

Mała grupa podróżnych oddalała się, rzucając ostatnie spojrzenia na pociąg, który wkrótce został osamotniony, tworząc linię wąziutką na białym rozległym całunie.

Pozamykano drzwiczki wagonów, popodnoszono okna. Śnieg padał bezustannie, zagrzebując wszystko swemi drobnemi płatkami.

Flora chciała wziąć Sewerynę na ręce i ponieść ją dalej; ta jednak odmówiła, twierdząc, że może iść pieszo, tak samo jak i inni.

Przebycie jednak przestrzeni trzystu metrowej, oddzielającej pociąg od mieszkania Misardów, nie było łatwem do wykonania. Szczególniej w wąwozie, zapadano się aż do pasa.

Grubą angielkę trzeba było dwa razy wydobywać ze śniegu, w którym prawie tonęła. Córki jej śmiały się ciągle; były zachwycone.

Żona starego kupca pośliznęła się kilka razy, tak że omal nie upadła, wreszcie zmuszona była przyjąć ofiarowane ramię młodzieńca z Hawru. Mąż jej wymyślał tymczasem na wszystkich urzędników we Francyi. W narzekaniach tych dzielnie mu dopomagał amerykanin.

Wyszedłszy z wąwozu, mieli już łatwiejszą drogę do przebycia; postępowali ostrożnie wzdłuż nasypu, utworzonego ze śniegu. Wiatr przewiewał na tej linii mocniej, niż w innych miejscach.

Nareszcie przybyli do mieszkania Misarda.

Flora wprowadziła podróżnych do kuchni, gdzie nawet stołków dla wszystkich nie starczyło. Nic dziwnego, było ich ze dwadzieścia osób; to szczęście jeszcze, iż kuchnia była na tyle przestronna i mogła ich pomieścić.

Wybiegła na podwórze, przyciągnęła kilka desek, z których urządziła długie ławki, opierając ich końce na stołkach. Następnie rzuciła trochę gałęzi na komin, roznieciła duży ogień. Wreszcie, spoglądając na całe towarzystwo, zrobiła ruch wyraźnie oznaczający, iż niczego już więcej od niej wymagać nie można.

Nie odzywała się ani słowem, patrzyła tylko szeroko otwartemi oczyma zielonemi, z miną nieco dziką lecz śmiałą.

Dwie tylko twarze z pomiędzy tej całej liczby były jej znane; widziała je systematycznie co kilka dni w wagonie. Byli to, amerykanin i młodzieniec z Hawru.

Obserwowała ich uważnie, tak jak się przypatruje robakowi pochwyconemu i ułożonemu spokojnie, którego nie można było poznać dokładnie w czasie biegu. Wydawali jej się dziwnymi. Nie tak ona sobie ich wyobrażała, jakkolwiek widziała tylko ich twarze.

Co do reszty, ci byli dla niej zupełnie obcymi. To stworzenia innej rasy, może nawet nie z tej ziemi; spadli z nieba i wnosili do jej kuchni nowe myśli, zwyczaje, ubrania, o których nawet nie marzyła.

Gruba angielka opowiadała młodej żonie kupca, iż jedzie do Indyj, gdzie ma syna na stanowisku wysokiego urzędnika, ta zaś żartowała, iż takie nieszczęście prześladuje ją w podróży przedsięwziętej po raz pierwszy w celu towarzyszenia mężowi, jeżdżącemu dwa razy na rok do Londynu.

Wszyscy zaś na różny sposób przeklinali to położenie obecne, stawiając sobie zapytania, jak to długo trwać będzie? Trzeba przecie jeść, trzeba spać?.. jak się to zrobi... Boże!.. Boże!..

Flora słuchała tego wszystkiego niema i nieruchoma. Spotkawszy spojrzenie Seweryny siedzącej na krześle koło ognia, dała jej znak głową, aby przeszła do drugiej izby, obok położonej. Sama też wyszła pośpiesznie.

— Mamo! Pani Roubaud jest tutaj — odezwała się, wchodząc i poprzedzając Sewerynę — czy nie masz jej nic do powiedzenia.

Ciotka Phasia leżała pożółkła, z nogami, opuchniętemi, tak chora, że od piętnastu dni nie ruszała się z łóżka.

W izbie ubogiej, ogrzewanej piecem żelaznym, z którego wydobywało się duszne, gorące powietrze, spędzała całe godziny, myśląc wciąż o jednem i tem samem.

Jedyną rozrywkę stanowił dla niej turkot pociągów, przebiegających szybko przed domem.

— A! Pani Roubaud! — mruczała niewyraźnie — dobrze, dobrze...

Flora opowiedziała jej o wypadku, jaki zatrzymał pociąg pośpieszny w wąwozie, o tych ludziach, których sprowadziła do sąsiedniego pokoju.

Słuchała wszystkiego, nie zdradzając najmniejszym ruchem, iż opowiadanie to czyni na niej jakiekolwiek wrażenie.

— Dobrze... dobrze — powtarzała monotonnie głosem znużonym.

Po chwili jednak podniosła głowę, jakby sobie coś przypomniała i rzekła do Flory:

— Jeśli pani chce dom swój obejrzeć, to klucze są, jak wiesz, na kółku przy szafie.

Seweryna nie miała do tego jednak najmniejszej ochoty. Drżenie chwilowe przebiegło ją na myśl wstąpienia do Croix de-Maufras, szczególnie dziś, po tym śniegu, wśród wilgotnej pogody.

Nie!.. nie!.. niema tam nic do zobaczenia!.. woli tu zaczekać. Tutaj przynajmniej ciepło.

— A więc usiądź pani, rozgość się — mówiła Flora — zawszeć tu lepiej niż w tamtej izbie. Zresztą, niema u nas dość chleba, aby ich wszystkich zadowolić, gdy

tymczasem dla pani, jeśli jesteś głodna, znajdzie się zawsze kawałek

Podsunęła krzesło Sewerynie i wogóle starała się okazać mniej dziką, niż poprzednio.

Wzrok jej jednak nie schodził z młodej kobiety; patrzyła na nią wciąż, jakby chciała znaleźć tam odpowiedź na pytanie, stawiane już sobie od dłuższego czasu.

Dlatego też czuła konieczną potrzebę patrzenia na nią, dotykania jej; musi się w końcu dowiedzieć.

Seweryna podziękowała i usiadła na krześle. W każdym razie wolała być tutaj, sam na sam z chorą, w pokoju, w którym Jakób znajdzie przecie sposobność zobaczenia się z nią choć na chwilę.

Dwie godziny spędziła na rozmowie urywanej ze starą o okolicy i gospodarstwie, wreszcie znużona usnęła na chwilę.

Był to nie sen głęboki, lecz zaledwie drzemka, z której zbudził ją głos Flory:

— Jest tutaj... wejdź!..

Był to Jakób. Wymknął się z machiny i przynosił pomyślne wiadomości

Konduktor, wysłany do Barentin, powrócił z całą załogą robotników. Przywiódł ze sobą ze trzydziestu żołnierzy z motykami i łopatami, których zebrała na stacyi administracya kolei, aby w razie potrzeby wysłać ich na punkta zagrożone. przewidując, iż nie obejdzie się bez wypadku. Wszyscy teraz zajęci odgarnianiem śniegu. W każdym razie nie skończy się to bardzo prędko, pociąg ni ruszy przed nocą.

— Zresztą nie jest tu pani tak źle... trochę tylko cierpliwości — dodał. — Nieprawdaż, ciotko Phasio, nie dasz przecie umrzeć pani Roubaud z głodu.

Phasia, na widok swego kochanego chłopca, jak go nazywała, z trudnością podniosła się z łóżka. Patrzyła na niego, słuchała gdy mówił, widocznie ożywiona, uszczęśliwiona.

Gdy zbliżył się do jej łóżka, odezwała się nareszcie:

— Naturalnie!.. naturalnie!.. Mój chłopcze kochany!.. więc cię widzę nareszcie. Toś to ty się tak dał zagrzebać w śniegu... A ta głupia nic mi o tem nie powiedziała.

I zwróciwszy się do córki, zaczęła ją łajać.

— Bądźże przynajmniej grzeczną, idź do tych pań i panów, zajmij się nimi, niech się nie skarżą, że gdy przypadek zaskoczył ich w drodze, trafili na jakichś dzikich ludzi.

Flora stała pomiędzy Jakóbem a Seweryną. Usłyszawszy słowa matki, zdawała się wahać przez chwilę, jakby chciała okazać się nieposłuszną.

Pytała sama siebie, czyby nie lepiej było, aby tu została. W ten sposób prędzej się dowie tego, co chce wiedzieć.

Nie!.. to się na nic nie zdało. Ci dwoje nie zdradzą się w jej obecności, ona im tylko zawadzać będzie. Lepiej zejść ich niespodziewanie.

I wyszła, nieodezwawszy się ani słowem, rzucając tylko przeciągłe na nich spojrzenie.

— Cóżto, ciotko Phasio? — zapytał Jakób, głosem zdradzającym smutek — znowu leżycie w łóżku, i to jak widzę na dobre... Czyżbyście tak bardzo byli chorzy?..

Ona przyciągnęła go ku sobie, zmusiła prawie, aby usiadł na brzegu materaca i, nie zważając na obecność młodej kobiety, która się dyskretnie na bok usunęła, zaczęła mówić, znajdując widoczną ulgę w swych słowach:

— O!.. bardzo... bardzo!.. Cudem jeszcze jakimś widzisz mnie przy życiu... Nie chciałam pisać o tem do ciebie... bo... bo o tych rzeczach pisać nie można... Myślałam, że już skończę. Ale teraz mi lepiej... o wiele lepiej... i mam nadzieję że się jeszcze z tego wygrzebię!..

Jakób obserwował uważnie starą i ujrzał z przerażeniem, iż choroba szybkie czyni postępy. Z tej pięknej niegdyś ciotki Phasi, nic już dziś nie zostało.

— I cóż, biedna ciotko Phasio, zawsze te kurcze i zawrót głowy?..

Przerwała mu silnem uściśnieniem ręki i mówiła dalej głosem jeszcze bardziej przyciszonym:

— Wyobraź sobie, żem go złapała!.. Wiesz dobrze jak uważałam, aby mi w czem nie zadał swego proszku. Nie piłam, nie jadłam nic, czego on dotknął, pomimo tego czułam ciągle ogień w żołądku. Wiesz, co zrobił?.. Domieszał tego proszku do soli!.. Widziałam to jednego wieczoru... Na szczęście jednak dostrzegłam to wczas jeszcze, zażyłam masę lekarstwa.

Jakób, od czasu gdy miłość dla Seweryny, uleczyła go z namiętności strasznej, myślał często o tej historyi otrucia powolnego, lecz nieustannego. Myślał z powątpiewaniem, jakby o jakiem sennem widziadle.

Z kolei uścisnął teraz czule rękę chorej i starał się ją uspokoić.

— E!.. czyż to możebne... Chcąc mówić coś podobnego, trzeba być bardzo pewnym. Zresztą to się już ciągnie za długo. Może to jaka choroba, na której lekarze poznać się nie mogą.

— Choroba! — odrzekła, uśmiechając się szyderczo — choroba, którą on we mnie wpakował... tak, tak!.. Co do lekarzy, to prawda, masz zupełną słuszność. Było ich tu dwóch, i nic nie zrozumieli, nawet nie mogli się zgodzić na jedno... Nie chcę ich tu więcej widzieć w mojem mieszkaniu... Wmieszał mi do soli, słyszysz; przysięgam ci, że widziałam. To z powodu tysiąca franków, tego tysiąca, który mi ojciec zostawił. Myśli sobie, że gdy mnie zniszczy, zgubi, zamorduje, to prędzej je znajdzie!.. oho!.. a jakże!.. wątpię w to bardzo. Dobrze są one ukryte, nikt ich nie znajdzie... nigdy.. nigdy... O! jestem o nie spokojna. Mogę umrzeć, mogą mnie zakopać do grobu, a tego tysiąca nikt nie dostanie .. nikt!..

— Ależ, ciotko Phasio, na waszem miejscu wezwałbym żandarmów, gdybym był tak pewnym.

Zrobiła ruch odmowny.

— Żandarmów? o, nie!.. nigdy!.. to nie obchodzi nikogo, to tylko nasza sprawa, pomiędzy nim a mną. Wiem, że on mnie chce zjeść, a ja się nie daję... to naturalne... A więc potrzebuję się tylko bronić. Czyż nie?.. Nie trzeba być tak głupią, jak byłam przedtem? z tą solą... co?.. prawda?.. I ktoby to uwierzył? Ten wymoczek... ten koniuszek, ta odrobina człowieka, którą z łatwością przyszłoby niejednemu schować do kieszeni, to... to nie

jest w stanie zniszczyć kobietę taką, jak ja, gdyby mu tylko pozwolić gryźć temi jego szczurzemi zębami.

Ogarnęło ją lekkie drżenie. Oddychała z trudnością, musiała przerwać swe opowiadanie.

— Mniejsza zresztą... Jeśli zginę, z pewnością nie od tego co mi teraz zadał... o nie! Już teraz ze mną jest lepiej, za piętnaście dni stanę na nogi, czuję to dobrze. A później trzebaby mu wstać bardzo rano aby mnie znowu podejść... oho!.. chciałabym to widzieć... Jeśli znajdzie sposób wpakować we mnie swój proszek, ha... to znaczy, że on jest silniejszy.. w takim razie... tem gorzej... wyciągam nogi!.. ale i wtedy nic do tego nikomu.

Jakób przypuszczał że to choroba wyradza w jej głowie te czarne myśli, nie przekonywał jej, lecz starał się ją rozerwać, żartując.

Chora jednak nagle drżeć zaczęła pod kołdrą.

— O! już idzie — szepnęła — czuję, gdy się zbliża.

I rzeczywiście w kilka sekund później wszedł Misard.

Phasia posiniała z bojaźni; przedstawiała ona widok kolosa, ulegającego mimowolnie bojaźni strasznej wobec drobnego robaka, podcinającego jego życie.

Misard, wszedłszy, spostrzegł ich w tej chwili jedno obok drugiego. Spojrzeniem odgadł o czem mówili. W tej chwili jednak udał, iż nie widzi wcale Jakóba.

Odedrzwi zwrócił się wprost do Seweryny, przybrawszy postać sługi uniżonego, i odezwał się głosem, jak mógł najłagodniejszym:

— Sądziłem, że pani zechce skorzystać ze sposobności i rzuci choć okiem na swoją własność. Wymkną-

łem się więc na chwilę, od pracy przy pociągu. Jeśli pani żąda, abym jej towarzyszył...

Seweryna powtórnie odmówiła, on zaś ciągnął dalej głosem płaczliwym:

— Pani była prawdopodobnie zdziwiona zupełnym brakiem owoców... Wszystkie były robaczywe... wszystkie!.. nieopłaciło się nawet ich zbierać... Oprócz tego nadeszła burza straszna, poczyniła wielkie szkody, połamała gałęzie... A! to bardzo smutne, że pani nie może sprzedać!.. Był tu jakiś pan, żądał aby wszystko było ponaprawiane. Zresztą jestem ciągle na usługi pani .. pilnuję tego, jakby to była moja własność, i pani może mi wierzyć, iż gospodaruję tak, jakby pani sama gospodarowała.

Następnie chciał jej koniecznie ofiarować trochę chleba i owoców, jabłek, gruszek, z jego ogrodu.

Te jakoś, szczęśliwym wypadkiem, nie były robaczywe.

Seweryna przyjęła.

Misard, przechodząc przez kuchnię, zapewnił podróżnych, że odgarnianie śniegu wciąż postępuje; zawsze to jednak trwać będzie ze cztery lub pięć godzin.

Południe minęło, narzekania słychać było coraz większe, wszyscy zaczynali odczuwać głód.

Flora oświadczyła stanowczo, iż niema tyle chleba, aby wystarczyło dla wszystkich. Ma za to trochę wina w piwnicy.

Poszła też po nie i przyniosła z dziesięć litrów, które postawiła na stole. Zabrakło jednak szklanek.

Potworzyły się gromadki, dzielące się jedną szklanką, gruba angielka z dwiema córkami, młoda żona starego kupca. Ta ostatnia znalazła w młodzieńcu z Hawru służącego usłużnego, gorliwego, pomysłowego, troskliwego o wygody dla niej. Zniknął na chwilę i znów powrócił z koszykiem jabłek.

W jednym z kątów kuchni wyszukał bochenek chleba. Flora gniewała się, dowodziła że chleb ten jest przeznaczony dla chorej matki. Nic to nie pomogło. Bochenek w jednej chwili został pokrajany i rozdzielony pomiędzy kobiety, zaczynając od młodej żony kupca, która część jej ofiarowaną przyjęła z uśmiechem. Pochlebiało jej to odznaczenie.

Mąż jej nie ruszał się z miejsca, nie zajmował się nią wcale, rozmawiał z amerykaninem, który opowiadał z uniesieniem o stosunkach i zwyczajach handlowych w Nowym-Yorku.

Młode angielki nigdy jeszcze nie chrupały jabłek z taką przyjemnością. Matka ich, zmęczona, była nawpół śpiącą.

Przed kominem siedziały na ziemi dwie panie, znużone oczekiwaniem.

Mężczyźni wychodzili co chwilę przed dom, aby wypalić papierosa i zabić w ten sposób, chociaż kwadrans czasu, prędko jednakże wracali przeziębnięci, drżący.

Powoli niemoc ogólna się zwiększała. Głód źle zaspokojony, znużenie powiększone niecierpliwością, wszystko to nadawało towarzystwu wygląd rozbitków, rzuconych wskutek burzy na odludną wyspę.

Misard, wchodząc i wychodząc kilkakrotnie, nie zawsze zamykał drzwi za sobą.

Phasia przyglądała się też z ciekawością tym ludziom, których widziała tylko przemykających z szybkością błyskawicy przed oknami ich domu.

Od roku, odkąd jej spacer ograniczał się od łóżka do krzesła przed progiem, widziała obce twarze tylko w oknach wagonów. Skarżyła się nieraz na ten kraj odludny, do którego nigdy ludzka noga nie zawita, a teraz nagle ujrzała przed sobą tak liczne towarzystwo, nieoczekiwane, spadłe jakby z nieba.

I pomyśleć, że pomiędzy tylu ludźmi, śpieszącymi za swymi interesami, ani jeden nie przeczuwa tego, co się tu dzieje, nie wie nic o proszku, przymięszanym do soli. Myśl ta ciężyła jej na sercu.

Pytała się, czy Bóg pozwala na to, aby podobna podłość, podobna zbrodnia, jakiej się na niej dopuszczano, miała pozostać w ukryciu.

Nieraz też zastanawiało ją, iż tyle setek, tyle tysięcy ludzi pędzi koło ich domu, nie przypuszczając nawet, że tam wewnątrz dokonywa się morderstwo, pocichu, bez najmniejszego hałasu.

To też teraz patrzyła na nich uważnie, przyglądała się jednemu po drugim, słuchała, co mówią i przyszła do przekonania, że gdy się jest tak zajętym jak oni, nic dziwnego, że się przechodzi mimo podłości, nie zwracając na nią uwagi, nie wiedząc o niej.

— Czy pójdziesz ze mną? — zapytał Misard Jakóba.

— Tak, tak — odpowiedział ten ostatni. — Idę za wami.

Misard wyszedł, zamknąwszy drzwi za sobą. Phasia zatrzymała jeszcze Jakóba za rękę i szepnęła mu cicho do ucha:

— Zobaczysz jego głupią minę, gdy po mojej śmierci nie znajdzie pieniędzy ukrytych... O!.. to mnie bawi... ta myśl to jedyna moja uciecha!.. To mi pozwoli wesoło pożegnać się z tym światem.

— A więc, ciotko Phasio, pieniądze te przepadną? Nie oddacie ich waszej córce.

— Florze? aby jej zaraz odebrał? Aha! jużci! zaraz! Nawet tobie, mój chłopcze, nie powiem, boś za głupi. Nikomu!.. nikomu! . Powierzę je ziemi i tam się już z niemi nie rozłączę.

Mowa ta wyczerpała ją cokolwiek.

Jakób ułożył ją do łóżka, uspokoił, przyrzekł, iż odwiedzi ją wkrótce i ucałował czule.

Siedział jeszcze chwilę, a gdy mu się zdawało, iż usnęła już zupełnie, podszedł do Seweryny, siedzącej ciągle koło pieca, tyłem do izby. Dał jej znak palcem, aby zachowała się cicho.

Ona uśmiechnęła się i ruchem cichym, wdzięcznym, przechyliła głowę w tył, na poręcz krzesła, podając mu swe usta.

On nachylił się, zbliżył swe usta do jej warg i złożył na nich pocałunek długi, namiętny.

Oczy ich przez chwilę były zamknięte, a gdy je otworzyli, ujrzeli przed sobą Florę, która, otwarłszy drzwi, patrzyła na nich zimno, spokojnie.

— Czy pani już nie chce więcej chleba?—zapytała głosem ochrypłym.

Seweryna pomięszana. a nawet nieco zagniewana, wybełkotała bezmyślnie:

— Nie... nie... Dziękuję...

Przez chwilę Jakób utkwił we Florę spojrzenie płomienne. Wahał się. Usta jego drgały, jak gdyby chciał przemówić, po chwili postanowił odejść, uczyniwszy gest, oznaczający groźbę wyraźną.

Drzwi za nim zatrzasnęły się z łoskotem.

Flora stała nieporuszona, jak postać dziewicy-rycerza, z hełmem na głowie, utworzonym z gęstych jasnych włosów.

A więc jej obawa każdego piątku, na widok tej kobiety, w pociągu, prowadzonym przez Jakóba, nie omyliła jej. Miała już odpowiedź na to pytanie, jakie sobie od dłuższego czasu stawiała, odpowiedź pewną, stanowczą.

Człowiek, który tę kocha, jej kochać już nigdy nie będzie!.. I kogo sobie wybrał... jakąś kobietę nikłą, wiotką, jakieś nic zupełne!.. I ona mogła była być na miejscu tej... szczęśliwej... i ona również mogła być szczęśliwą, gdyby się mu nie była oparła... Bo przecież on, dla tego tylko jej nie kocha, że... sama na to nie pozwoliła, że go odepchnęła od siebie owego wieczora, gdy przybył do nich, korzystając z czasu wolnego, przeznaczonego na naprawę machiny. Gdyby wówczas...

A! ta myśl nie dawała jej teraz spokoju, drażniła ją do tego stopnia, że wybuchła spazmatycznym płaczem.

Chciała biedz za nim, rzucić mu się na szyję, wołając:

— Weź mnie!.. Byłam głupią... nie wiedziałam... nie rozumiałam wtedy.

Gdzie go jednak szukać?.. Wobec mnóstwa ludzi uczynić tego niepodobna... Zresztą on by ją teraz odepchnął...

Cała jej wściekłość zwróciła się teraz ku tej kobiecie pomieszanej, szepcącej jakieś niezrozumiałe wyrazy.

Mogłaby się rzucić na nią i zdusiłaby ją swemi silnemi rękami.

Dlaczego tego nie czyni?.. pragnie przecież zemsty... i zemści się!.. o!.. zemści z pewnością. Wie ona takie rzeczy o swej rywalce, któreby mogły zawieść ją do więzienia... a jednak chodzi ona wolna, swobodna, jak wszystkie nędznice, sprzedane starym, możnym i bogatym.

Jej zazdrość, gniew, wściekłość, objawiały się jedynie w ruchach gwałtownych.

Zebrała resztki chleba i owoców.

— Skoro pani nie chce już więcej, oddam to innym.

I wyszła.

Trzecia wybiła, później czwarta; czas upływał powoli, wśród coraz większego znużenia. Gniew ogólny wzmagał się z każdą godziną. Zbliżała się noc ciemna. Czyżby ją trzeba spędzić wśród tego pustkowia?

Ta myśl przerażała wszystkich.

Mężczyźni wychodzili co dziesięć minut, aby się dowiedzieć o stanie drogi. Powracali ze smutnemi minami.

Machina dotąd jeszcze zagrzebana była wśród stosów śniegu; niema najmniejszej nadziei, aby prędko ruszyć mogła dalej.

Nawet dwie młode angielki, dotąd wesołe i uśmiechnięte, zaczęły płakać, zdenerwowane do najwyższego stopnia.

W jednym z kątów młoda żona starego kupca oparła się na ramieniu młodzieńca z Hawru i usnęła. Mąż jej nie zwracał na to uwagi.

W tem pustkowiu znikły wszelkie konwenanse, możliwa wygoda zastąpiła miejsce przyzwoitości.

Izba wyziębła, wszyscy dygotali, a nikomu nie chciało się przyłożyć drzewa do ognia na kominie, który wygasł prawie zupełnie.

Amerykanin wyszedł, sądząc, iż daleko wygodniej mu będzie na ławce w wagonie.

Obecnie wszyscy żałowali, że tu przyszli. Lepiej było zostać w pociągu. Byliby przynajmniej wiedzieli, co się dzieje, niepewność pod tym względem nie wpływała wcale uspakajająco.

Stara angielka również chciała powrócić do wagonu. Tam przynajmniej będzie się mogła przespać. Z trudnością wyperswadowano jej ten zamiar.

Kiedy się zmierzchło zupełnie, zapalono jakąś lichą świeczkę. Światło jej rzucało nikłe promienie tylko na tę część stołu, na której była umieszczona, reszta izby pogrążona w półcieniu jeszcze bardziej wydawała się ponurą. Czarna rozpacz ogarnęła całe towarzystwo.

Na dole jednak w wąwozie ukończono oczyszczenie drogi. Żołnierze umiatali już ostatecznie szyny przed machiną, która prawie gotowa była do wyruszenia.

Jakób i Pecqueux zajęli swoje stanowiska.

Śnieg przestał padać, maszynista odzyskał nadzieję. Ozil zapewniał go, że po drugiej stronie tunelu, na drodze do Malauney, śnieg jest o wiele mniejszy.

Jakób niespokojny pytał jeszcze raz.

— Przeszedłeś pieszo cały tunel? Czy po obu stronach droga jest możliwa?

— Ależ mówię przecie, że zupełnie prawie czysta. Można przejechać z największą łatwością. Sam przecież przechodziłem.

Cabuche, który przez cały czas pracował gorliwie, zabierał się do odejścia, ze zwyczajną sobie trwożliwością, którą niedawne badanie go przez sądy w sprawie Grandmorrina, jeszcze bardziej powiększyły.

Jakób przywołał go do machiny.

— Słuchajno, przyjacielu, złóż te wszystkie łopaty i motyki do nas należące, tam z boku skarpy. Gdy ich będzie potrzeba, znajdziemy je z łatwością.

Kiedy kamieniarz oddał mu tę ostatnią przysługę Jakób podziękował silnem uściśnieniem dłoni, chcąc mu wyraźnie okazać, iż pomimo wszystkiego szanuje i ceni jego pracę.

— Jesteś dzielny chłopiec — powiedział.

Cabuche, wzruszony nadzwyczaj tem przyjacielskiem odezwaniem się, zdołał tylko wybąknąć:

— Dziękuję!.. — i otarł kułakiem łzę, gwałtem cisnącą się do oka.

Misard uśmiechnął się na te słowa, zaciąwszy usta.

Od dłuższego czasu rzucił już łopatę i stał z rękami w kieszeniach, przypatrując się pociągowi. Czekał chwili

odejścia, aby poszukać koło szyn, czy kto czego przypadkiem nie zgubił.

Nareszcie nadkonduktor zgodził się wraz z Jakóbem, że można spróbować puścić się w dalszą drogę.

Pecqueux, zeszedłszy jeszcze raz na drogę, zauważył coś koło cylindra, i zawołał Jakóba:

— Patrz pan, cylinder zgiął się okropnie od dołu.

Jakób zeszedł, schylił się i rozważał nad tem uszkodzeniem. Widział on je już przed chwilą.

Gdy odgarniano śnieg, zauważono, iż na torze leżały podkłady dębowe, przygotowane do zamiany na miejsce starych i złożone tymczasem na pochyłości skarpy. Wskutek śniegu i wiatru zsunęły się niektóre aż na szyny.

O jeden z takich podkładów musiała uderzyć Liza całą siłą, cylinder bowiem był od dołu mocno zgięty, a nawet i tłok zdawał się nieco skrzywiony.

Nic jednak nad to nie było uszkodzonego, przynajmniej na zewnątrz. Co się bowiem działo wewnątrz, o tem narazie trudno się było przekonać. Być może, iż i tam zakradły się nieporządki, nic bowiem niema delikatniejszego w machinie, jak ten zbiór rur i szufladek, gdzie bije serce całego mechanizmu, gdzie dusza się mieści ożywcza.

Jakób wyszedł napowrót, zagwizdał, otworzył regulator, aby wypróbować działanie lokomotywy.

Z początku nie mogła ruszyć z miejsca, jak człowiek pozbawiony w gwałtownym upadku władzy w rękach lub nogach.

Wydawszy nareszcie długie, ciężkie westchnienie, ruszyła powoli.

Jakób pocieszył się cokolwiek. Jakoś to pójdzie, będzie można przynajmniej dojechać do Paryża.

Po chwili potrząsł jednak głową, on bowiem, co znał swą Lizę na wylot, czuł, że idzie jak nie swoja, jakby się zmieniła, postarzała.

Nie ulega wątpliwości, że musiała gdzieś otrzymać jakiś cios śmiertelny. Stało się to wśród śniegu, na mrozie, zupełnie jak u tych młodych kobiet, które wybiegają zmęczone po balu z odkrytą piersią, zaziębiają się i umierają.

Jakób zagwizdał raz jeszcze. Konduktorzy zajęli swe stanowiska. Misard, Ozil i Cabuche wskoczyli na stopnie pierwszego wagonu.

Pociąg powoli wyszedł z wąwozu, pośród żołnierzy, stojących po obu stronach z łopatami i motykami na ramionach, i zatrzymał się przed domem dróżnika, aby zabrać podróżnych.

Flora stała już przy baryerze. Ozil i Cabuche jej towarzyszyli. Misard żegnał teraz uniżenie panie i panów, wychodzących z jego mieszkania, i zbierał drobne srebrne pieniądze, sypiące się dość obficie; każdy czekał tej chwili jak zbawienia, radość zajaśniała na twarzach.

Radość to jednak nie zupełna; długie oczekiwanie, głód i zimno zanadto zmęczyły wszystkich.

Gruba angielka wniosła swe córki do wagonu, gdyż na własnych nogach dojść nie mogły, tak były senne i znużone. Młodzieniec z Hawru usiadł w przedziale, zajętym przez kupca i jego młodą żonę.

Wszyscy wsiadali śpiesznie, potrącając się, pchając. Zdawało się, że armia rozbita zabiera się do odwrotu.

W oknie domu, tak licznie przed chwilą zamieszkałego, stanęła ciotka Phasia, wiedziona ciekawością, z trudnością zwlekła się ze swego łóżka.

Jej oczy wielkie, w których wyraźnie malowała się choroba, spoglądały na ten tłum nieznany, dziwnym przypadkiem chwilowo bawiący w jej mieszkaniu, którego już nigdy w życiu nie ujrzy.

Seweryna wyszła ostatnia Odwróciła głowę, uśmiechnęła się do Jakóba, on odprowadził ją wzrokiem aż do drzwi wagonu, a Flora, patrząca uważnie na wszystko, pobladła, dojrzawszy tę cichą wymianę czułego ich spojrzenia. Ruchem gwałtownym przybliżyła się do Ozila, którego dotąd zawsze zdaleka omijała; zazdrość wywarła na niej skutek taki, iż czuła konieczną potrzebę podzielenia się z kimkolwiek uczuciem, tak nagle wzbudzonem i tak gwałtownie zadraśniętem.

Nadkonduktor dał sygnał, Liza odpowiedziała, gwiżdżąc długo, żałośnie. Jakób ruszył, pojechał i zatrzymał się dopiero w Rouen.

Szósta minęła, cienie nocy spowijały powoli wieś, pokrytą śniegiem. Na tle tem jasnem odbijał tylko czarny dom w Croix-de-Maufras, stojący trochę z boku, z kartą na ścianie frontowej, na której wielkiemi literami wypisane były wyrazy: „Do sprzedania“.

VIII. IX

Do Paryża pociąg przybył koło godziny jedenastej. Musiano zatrzymać się w Rouen przez dwadzieścia minut, ażeby podróżni mogli zjeść obiad.

Seweryna skorzystała z tego czasu i wysłała depeszę do męża, uprzedzając go, iż powróci do Hawru dopiero nazajutrz wieczorem.

Uśmiechała jej się myśl spędzenia nocy w Paryżu, w pokoju zamkniętym, swobodnie, bez przeszkody.

Pomocnikowi Jakóba przyszedł w czasie drogi pewien pomysł do głowy. Żona jego, mama Wiktorya, leżała od tygodnia w szpitalu, upadając bowiem skaleczyła się mocno w nogę, on zaś przez ten czas nie sypiał w domu.

Zaproponował więc swemu przełożonemu, że mógłby swe mieszkanie ofiarować pani Roubaud. Będzie jej wygodniej, aniżeli w sąsiednim hotelu, zostanie przez noc i dzień cały do wieczora jakby u siebie w domu.

Jakób zastanowił się nad tą propozycyą tem bardziej że zaczął się już kłopotać, dokąd poprowadzi Sewerynę.

Kiedy przybyli do Paryża, Seweryna, wysiadłszy z wagonu, podeszła do machiny.

Jakób przedstawił jej propozycyę palacza i radził, aby przyjęła, podając równocześnie klucz od mieszkania, który mu Pecqueux już przedtem oddał.

Seweryna wahała się, nie chciała przyjąć tej ofiary

zażenowana uśmiechem palacza, zdradzającym wyraźnie, iż wie dobrze o wszystkiem.

— Nie, nie.., mam kuzynkę, ta pościele mi materac na ziemi.

— Ale po co to włóczyć się Bóg wie gdzie po nocy — przerwał Pecqueux z miną uśmiechniętą — pokój pod nosem prawie, łóżko wygodne, a szerokie!.. cztery osoby pomieścićby się mogły.

Jakób poparł wzrokiem słowa palacza.

Nareszcie zgodziła się i wzięła klucz z rąk Jakóba, który, żegnając się, szepnął jej pocichu:

— Czekaj na mnie.

Seweryna potrzebowała tylko przejść ulicę Amsterdamską i skręcić w przecznicę, aby się znaleźć w domu, gdzie mieszkał Pecqueux

Na szczęście brama była jeszcze otwarta. Weszła niewidziana przez nikogo, odźwierna tak była zajęta partyą domina, którą rozgrywała ze swą sąsiadką, iż nie zwracała wcale uwagi na wchodzących.

Po cichu przeszła schody, a przybywszy na czwarte piętro, znalazła się przed mieszkaniem mamy Wiktoryi.

Otworzyła drzwi powoli, cichuteńko, tak, że nikt z mieszkających obok nie mógł jej widzieć.

Tylko przechodząc przez trzecie piętro, słyszała śpiewy i śmiechy u Dauvergne'ów. Był to zapewne dzień przyjęcia u dwóch sióstr; bawiono się, śmiano, śpiewano i grano z przyjaciołkami, odwiedzającemi ich raz na tydzień.

Nawet teraz, zamknąwszy drzwi za sobą, Seweryna usłyszała dźwięki niewyraźne, jakby wydobywające się z pod podłogi.

W pokoju ciemność panowała zupełna i sprawiła przykre wrażenie na Sewerynie, zwłaszcza, gdy kukułka na zegarze odezwała się, znacząc godzinę jedenastą. Głos ten był znany jej dobrze.

Powoli oczy jej przyzwyczaiły się do tej ciemności. Na przeciwległej ścianie zarysowały się wyraźnie okna, przez które odbijało się na suficie cokolwiek światła.

Zoryentowała się wkrótce, postąpiła w stronę, gdzie stał kredens i szukała na nim zapałek, gdyż przypomniała sobie, że je tam kiedyś w kącie widziała. Rzeczywiście znalazła je w tem samem miejscu.

Trudniej poszło z wyszukaniem kawałka świecy, ale i ta się znalazła, nie cała wprawdzie, maleńki tylko kawałeczek leżał w kącie szuflady.

Zaświeciwszy ten mały kawałeczek, obejrzała się po całym pokoju, jakby chciała się przekonać, czy rzeczywiście jest sama.

Poznawała każdy przedmiot, okrągły stolik, przy którym jadła kolacyę z mężem, łóżko, nakryte kołdrą bawełnianą, na którem ją tak bił pięściami. Wszystko to samo i w tem samem miejscu, nic a nic się nie zmieniło od dziesięciu miesięcy, odkąd tu nie była.

Powoli Seweryna zrzuciła kapelusz, lecz gdy zdjęła i płaszcz, zaczęła dygotać z zimna.

Pokój oddawna był nieopalany. Obok pieca spostrzegła skrzynkę z węglem i trochę drzewa, przygotowanego na podpałkę.

W jednej chwili postanowiła, nie rozbierając się dalej, rozpalić ogień. Bawiło ją to, odpędzało złe myśli, jakie ją na wspomnienie chwili w tem mieszkaniu ubiegłej dręczyć zaczynały. Z uśmiechem zabrała się do spełnienia tego zamiaru.

Wkrótce ciepło rozchodzić się zaczęło od pieca. Seweryna rozebrała się i zaczęła gospodarować w mieszkaniu. Ustawiła krzesła, według swego gustu, otworzyła szafę z bielizną, wyjęła prześcieradło i zasłała niem łóżko.

Przy czynności tej sprawdziła słowa palacza, łóżko było rzeczywiście szerokie i nawet miała nieco trudu z założeniem prześcieradła.

Jedna rzecz ją tylko martwiła, a mianowicie, że w kredensie nie było ani znaku żadnych zapasów spożywczych. Pecqueux, bezwątpienia gospodarując tu od tygodnia, wymiótł wszystko do ostatniej okruszyny.

Zupełnie tak samo jak i ze światłem. Daremnie szukała po wszystkich kątach. Oprócz tego małego kawałeczka świeczki, nic nigdzie nie znalazła.

Zresztą mniejsza o to. Położywszy się do łóżka, można się obejść bez świecy.

W pokoju zrobiło się trochę za gorąco.

Seweryna kręciła się tu i owdzie, wesoła, ożywiona, wreszcie stanęła na środku, chcąc zobaczyć, czy czego nie brak na przyjęcie Jakóba.

— Dlaczego on jednak tak długo czekać każe na siebie? — myślała.

Świst lokomotywy przywiódł ją do jednego z okien.

Chciała zobaczyć, co oznacza, gdyż odezwał się tak blizko, jak gdyby gwizdano pod samemi oknami.

Wyjrzała przez zamglone od mrozu szyby.

To pociąg do Hawru odjeżdżał.

W dali widziała pole puste, wąwóz, prowadzący do tunelu batignolskiego, wszystko to pokryte białym całunem śniegu, na którym rysowały się tylko czarne linie szyn kolejowych.

Zdawało się, iż machiny i wagony, stojące bezczynnie śpią, pozatulane w białe futra.

Pociąg minął, oświetlając przed sobą znaczną przestrzeń, zniknął w tunelu. Trzy latarnie czerwone, umieszczone na końcu pociągu, znaczyły na śniegu smugę krwawą, szybko niknącą.

Seweryna patrzyła na ten pociąg znikający, a gdy nareszcie odwróciła się od okna, uczuła jakieś drżenie.

Zdawało jej się, iż ktoś obejmuje ją brutalnem ramieniem, i znów oczyma szeroko otwartemi spojrzała po całym pokoju.

Była sama, zupełnie sama.

Co Jakóba tak zajmuje, że dotychczas go niema?

Czekała jeszcze dziesięć minut.

Nagle zdawało jej się, iż słyszy lekkie pukanie do drzwi.

Przelękła się zrazu.

Pukanie odezwało się po raz drugi, tym razem nieco silniejsze.

Zrozumiała.

Pobiegła do drzwi i, otworzywszy je, ujrzała Jakóba, z butelką malagi i pakietem ciastek.

Ledwie wszedł do pokoju, rzuciła mu się na szyję ze śmiechem wesołym.

— Jesteś przecie!.. tak długo czekałam... i nie zapomniałeś o jedzeniu!..

Jakób szybkim ruchem ręki dał jej znak milczenia.

— Pst!.. pst!..

Zapytała go pocichu, czy przypadkiem odźwierna nie idzie za nim, chcąc się dowiedzieć, kogo tak późno w tym domu odwiedza.

Ale nie, i on także dostał się tu szczęśliwie.

W chwili gdy miał zadzwonić, brama otwarła się dla dwóch pań, powracających bezwątpienia od Dauvergne'ów. Wszedł pocichu i nikt go nie spostrzegł. Tylko tuż obok kobieta sprzedająca dzienniki, nie spała jeszcze i, przechodząc widział przez drzwi cokolwiek uchylone, jak prała bieliznę w miednicy.

— A więc cicho!.. nie róbmy hałasu!.. dobrze?..

Odpowiedziała mu na to uściskiem długim namiętnym i pokryła twarz jego pocałunkami.

Ta cisza tajemnicza, ta rozmowa, prowadzona szeptem, bawiła ją, iż zaledwie powstrzymać się mogła od głośnego wybuchnięcia śmiechem.

— Będziemy sprawowali się cicho, jak dwie małe myszki, nikt nas nie usłyszy, zobaczysz!..

I delikatnie, powolutko, chodząc na palcach, z największą ostrożnością, zastawiła na stole dwie szklanki, dwa noże i dwa talerze.

Za każdym razem skoro tylko jakiś przedmiot postawiony zaprędko stuknął, lub mocniejszy brzęk wydał, musiała całą siłą powstrzymywać się od śmiechu.

On patrzył na nią, również rozbawiony jej tajemniczem krzątaniem się po pokoju, wreszcie rzekł półgłosem:

— Myślałem, że jesteś głodna.

— Ależ tak!.. umieram z głodu... W Rouen dali taki zły obiad, że go zaledwie skosztowałam.

— To możebym jeszcze zeszedł i kupił kurczę pieczone?..

— Nie!.. nie!.. nie! — przerwała mu szybko. — Nie chcę!.. potem możebyś nie mógł się już dostać z powrotem... o nie!.. nie chcę... obejdę się ciastkiem.

Usiedli jedno obok drugiego prawie na jednem krześle, ona podzieliła ciastka na dwie części i zaczęli zajadać je, patrząc na siebie, umizgając się.

Seweryna skarżyła się, iż czuje pragnienie. Wypiła dwie szklanki madery. Krew wystąpiła jej na twarz i zaczerwieniła policzki.

Za nimi piec rozpalony ogrzewał ich plecy.

Jakób przechylił się i pocałował Sewerynę w szyję, obnażoną z ubrania.

— Pst!.. pst!..

Położyła palec na ustach i dała mu znak aby słuchał.

Z pod podłogi wydobywał się odgłos rytmiczny i dochodziły dźwięki tańca.

Bawiono się tam widocznie bardzo wesoło.

Sąsiadka obok otworzyła drzwi i boso pobiegła przez korytarz do zlewu, gdzie wylała mydliny z miednicy. Po chwili powróciła i zamknęła drzwi za sobą.

Taniec i muzyka na dole ustały chwilowo.

I znów zapanowała cisza, wśród której słychać tylko było odległy turkot wagonów, przesuwanych po szynach na stacyi, i płaczliwy, urywany świst lokomotywy.

Wtem odezwało się gwizdanie przeciągłe, a po niem dzwonki, zwołujące służbę na stacyę.

— Pociąg z Auteil — szepnął Jakób. — To znaczy, że północ uderzy za dziesięć minut.

Po chwili milczenia uścisnął ją i głosem pieszczotliwym lecz cichym, prawie szeptem, zapytał:

— O czem myślisz?..

Nie odpowiedziała, zajęta myślami o chwili, jaką przebyła w tym samym pokoju ze swym mężem, gdy tu była po raz ostatni.

Tak samo i wówczas śniadanie zakończyło się ciastkami, na tym samym stole, wśród tego samego otoczenia, w tej samej prawie godzinie.

Myśli te wywoływały w jej głowie gorączkę, słowa cisnęły się na usta, chciała powiedzieć o wszystkiem.

Zdawało jej się, iż to wyznanie zacieśni jeszcze bardziej węzeł, łączący ją z Jakóbem.

Tak!.. musi mu wyznać, wśród uścisków, wśród pocałunków.

Myśl o mężu, przywołała na myśl jego postać, zadrżała, czuła jego dotknięcie na swem ramieniu, obejrzała się mimowoli.

Zadrżała, czując wargi Jakóba na swych ustach...

Czyżby tym pocałunkiem jeszcze raz chciał powstrzymać słowa wyznania?

Złączeni w uścisku namiętnym, nie zwrócili nawet uwagi na to, iż świeca zgasła, zatoczywszy kilka jasnych, ostatnich kręgów.

Nie mówili do siebie ani słowa.

W pokoju ciemno było zupełnie, zaledwie rozróżnić można było okna, w których odbijał bładawy blask śniegu. Tylko drzwiczki pieca, rozpalone do czerwoności, rzucały na sufit plamę krwawą.

Spoglądali na nią oboje oczyma, szeroko otwartemi.

Dźwięki muzyki ustały zupełnie, słychać było tylko zamykanie drzwi, i wkrótce dom cały pogrążył się w śnie spokojnym.

Jedynie tylko niewyraźny turkot wagonów, dolatujący ze stacyi, zdradzał ruch i życie.

W Sewerynie zbudziła się chęć gwałtowna wyznania; chęć ta dręczyła ją od tak dawna.

Plama na suficie rozszerzała się coraz bardziej, zapatrzona w nią uległa halucynacyi; zdawało jej się, że przedmioty zaczynają mówić głośno i opowiadają tę ponurą historyę.

Nie mogła już dłużej wytrzymać:

— Ty nie wiesz, najdroższy...

Jakób, zapatrzony również w plamę krwawą na suficie, przeczuwał dobrze, o czem Seweryna chce mu powiedzieć.

Nie dopuszczał on nigdy do tego wyznania, w obawie iż to opowiadanie obudzi w nim nie zupełnie może ugaszoną żądzę krwi i mordu.

Obawiał się, że stosunek ich wzajemny może uledz jakiej zmianie, od chwili, gdy dowie się o tej strasznej

przyczynie, która ich do siebie zbliżyła. Nie dopuszczał więc nigdy do wyznania, jakkolwiek Seweryna kilkakrotnie już je uczynić pragnęła.

Za każdym razem zamykał jej usta pocałunkiem. Dziś jednak, rozmarzony uściskami i wysoką temperaturą, panującą w pokoju, nie miał siły powstrzymać Seweryny.

Lekkie drżenie przebiegło po jego ciele i z obawą pomyślał:

— Stało się... powie wszystko .. będę wiedział to, czego wiedzieć nie chciałem.

Seweryna milczała przez chwilę. Już otwarła usta, lecz znów się powstrzymała.

Wreszcie odezwała się:

— Ty nie wiesz, najdroższy, że mój mąż domyśla się wszystkiego.

W ostatniej chwili przyszła jej na myśl scena, jaka nastąpiła nocy poprzedzającej, i wywołała ona na usta powyższe słowa zamiast wyznania.

Jakób odetchnął zlekka.

A więc obawiał się daremnie. Ona nie myśli czynić zwierzeń, których sam domysł, wzbudza w nim niepokój i trwogę.

— Czyż to możebne? — odparł niedowierzająco. — A jednak jest tak uprzejmy dla mnie. Dziś rano jeszcze ściskał mnie serdecznie za rękę.

— Zaręczam ci, że wie wszystko, wszystko. Wie nawet, że jesteśmy teraz razem. Mam na to dowody.

Zamilkła na chwilę, obejmując Jakóba rękami i składając na jego ustach długi, namiętny pocałunek.

Potem zamyśliła się na chwilę.

— O!.. jak ja go nienawidzę!.. jak ja go nienawidzę!..

Jakób był ździwiony. Nie miał on najmniejszej pretensyi do Roubauda.

— Za co? — zapytał. — Nie przeszkadza on nam bynajmniej.

Seweryna nie odpowiedziała na to pytanie. Znowu milczała, a po chwili powtórzyła raz jeszcze:

— Jak ja go nienawidzę. O!.. czuć jego obecność koło siebie, to męka najstraszniejsza. Gdybym tylko mogła, jakżebym chętnie uciekła od niego, jakże chętnie zostałabym z tobą.

Jakób wzruszony tym wybuchem gwałtownym, przycisnął ją do swej piersi, nie odejmując ust od jej szyi.

— O! bo ty nie wiesz, najdroższy...

Znów to wyznanie, fatalne, nieuniknione. I nic nie mogło go powstrzymać, bo wydobywało się całą siłą z piersi Seweryny.

W całym domu nie było słychać szmeru najmniejszego. Nawet sąsiadka, sprzedająca dzienniki, spała już prawdopodobnie snem głębokim.

Paryż, pokryty śniegiem, nie dawał najmniejszego znaku życia. Nawet na stacyi ucichł już turkot wagonów jakgdyby ostatni pociąg odchodzący do Caen, zabrał ze sobą resztę gwaru i ruchu.

Ogień w piecu dogasał, plama czerwona znikła z sufitu. W pokoju było duszno, gorąco.

Jakób i Seweryna czuli się spowici w mgłę ciężką.

— O! bo ty nie wiesz, najdroższy...

Jakób spróbował ostatniego środka.

— Ależ wiem, wiem wszystko.

— Nie!.. możesz się tylko domyślać.

— Wiem, że zrobił to, chcąc otrzymać spadek jak najprędzej.

Rozśmiała się nerwowo, ironicznie.

— A! tak... spadek...

I pocichu, ciszej niż mucha brzęcząca na szybie u okna, opowiedziała mu swe lata dzieciństwa u prezesa Grandmorrina.

Początkowo chciała skłamać, nie przyznawała się do stosunków, jakie ich łączyły. Wkrótce jednak chęć wyznania wszystkiego otwarcie, uczyniła ją szczerą.

Wypowiadając owe szczegóły, czuła pewną ulgę, przyjemność. Słowa jej płynęły jak potok, wirem niepowstrzymanym.

— Wyobraź sobie, to było tutaj, w tym samym pokoju, w lutym, pamiętasz?.. właśnie wtenczas Roubaud miał tę sprawę z podprefektem. Jedliśmy przy tym samym stole, spokojnie, wesoło, tak jak i my dzisiaj. On, naturalnie, nie wiedział o niczem. No... przecież nie byłam tak głupią, aby niepytana opowiadać te dawno minione awantury. I oto, sama nie wiem, jakim sposobem, z powodu jakiegoś pierścionka, czy jakiejś starej pamiątki, dosyć, że zrozumiał i domyślił się wszystkiego!.. O!.. mój drogi!.. nie, nie!.. nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak się obszedł ze mną.

Zadrżała.

Jakób czuł drobne jej ręce, zaciskające się silnie.

— Jednem uderzeniem pięści, powalił mnie na ziemię. Złapał mnie potem za włosy i tarzał po podłodze. Kopał nogami, chciał mnie zdeptać, jakby robaka jakiego!.. Nie... dopóki żyć będę, nigdy tego nie zapomnę!.. I znowu zaczął mnie bić na nowo!.. A!.. Boże!.. Gdybym ci powtórzyła to wszystko, o co mnie zapytywał, co zmuszona byłam mu opowiedzieć!..

Widzisz... jestem otwartą, mówię ci o rzeczach, o których mogłabym nic nie mówić, i niktby mnie do tego nie zmusił, nieprawdaż? i mówię przecież wszystko otwarcie, a jednak nigdybym się nie ośmieliła dać ci najmniejsze pojęcie o tych brudnych zapytaniach, na które musiałam odpowiadać, gdyż inaczej byłby mnie zamordował... o!.. z pewnością!.. On mnie kochał... wiem o tem... musiało to być bardzo dla niego bolesne, gdy się dowiedział o wszystkiem, zgadzam się nawet na to, że byłoby o wiele szlachetniej z mojej strony, gdybym mu była to wszystko opowiedziała przed ślubem... prawda... Ale trzeba zrozumieć moje położenie... To wszystko już minęło... oddawna było zapomniane... Nie!.. tylko dzikiego może zazdrość doprowadzić do podobnego szaleństwa. Widzisz... mój drogi... czy ty przestaniesz mnie kochać, dowiedziawszy się teraz o wszystkiem?..

Jakób nie odpowiedział, rozważał on to wszystko, co słyszał.

Podobna historya przez myśl mu nawet nie byłaby przeszła. Jakżeż się to wikłało, a przecież chęć posiadania majątku zapisanego testamentem mogła bardzo łatwo sprawę całą wyjaśnić.

Zresztą wolał nawet tę chociaż pewność że Grandmorrin nie został zamordowany dla pieniędzy, podobne bowiem podejrzenie nie raz przechodziło mu przez głowę i pomimo całej swej miłości, odczuwał często w głębi swego serca pogardę dla Seweryny, i to częstokroć w chwilach gdy ją całował.

— Ja? mam nie kochać cię? dlaczego? co mnie obchodzi twoja przeszłość? Jesteś dziś żoną Roubauda, mogłaś być wprzód czyją inną

Przez kilka chwil zapanowało milczenie.

Seweryna uścisnęła go tak, że omal go nie zdusiła, czuł jej gardło okrągłe, nabrzmiałe, twarde na swem ramieniu.

— A jednak to trochę dziwne... byłaś kochanką tego starego?..

Zamknęła mu usta pocałunkiem.

— Tylko ciebie jednego kocham prawdziwie!.. Nigdy nikogo nie kochałam. Inni... o!.. gdybyś ty wiedział!.. Z innymi... widzisz, ja nawet pojęcia nie miałam co to jest miłość, tyś mnie dopiero uczynił szczęśliwą.

Uścisk długi, namiętny, był tych słów potwierdzeniem.

Jakób teraz jednak był już zaciekawiony, sam więc zapytał, chcąc się dowiedzieć reszty:

— A więc ten stary?

— Zabiliśmy go... tak! — odpowiedziała pocichu, a silne drżenie przebiegło po jej ciele.

I znów milczeli czas dłuższy.

Po chwili Seweryna, oparłszy twarz na jego ramieniu, opowiadała dalej pocichu:

— Kazał mi napisać list do prezesa, ażeby wyjechał pośpiesznym pociągiem, tym samym, którym i my jechać mieliśmy, i żeby się nie pokazywał aż w Rouen. Drżałam cała, nie wiedząc, co robić, i bojąc się jakiego nieszczęścia. Pojechaliśmy. W przedziale wagonu siedziała naprzeciw mnie jakaś kobieta czarno ubrana, milcząca. Obawiałam się jej okropnie. Nawet nie spojrzałam na nią. Zdawało mi się, że z moich oczu zaniepokojonych, z mej twarzy pobladłej, wyczytała to wszystko, cośmy mieli uczynić. Tak minęło dwie godziny. Dojechaliśmy nareszcie do Rouen. Nie mówiłam ani słowa, nie ruszałam się, zamknęłam oczy i udawałam, że śpię. U mego boku czułam Roubauda, również siedzącego nieruchomo, a najbardziej mnie przerażało to, że wiedziałam dokładnie, co się dzieje w jego głowie, jakie myśli straszne tam nurtują, a nie mogłam z równą dokładnością odgadnąć, co zamierza uczynić. A!.. co to była za podróż! Turkot kół, gwizd lokomotywy, wszystko to mnie rozdrażniało.

Jakób słuchał spokojnie tego opowiadania, oparłszy usta na jej włosach wonnych, i od chwili do chwili mimowolnie całował jej głowę.

— I w jaki sposób zabiliście go, nie będąc w tym samym przedziale?

— Zaczekaj... zaraz zrozumiesz. Był to plan mojego męża. Prawda, że jeśli mu się udało, to tylko wina przypadku. W Rouen pociąg zatrzymuje się na dziesięć minut. Wysiedliśmy. Zmusił mnie, abym się przeszła po peronie aż do przedziału Grandmorrina, i poszedł razem ze mną spokojnie, z miną człowieka, chcącego wypro-

stować nogi po dwugodzinnem siedzeniu. Podszedłszy do przedziału, gdzie siedział prezes, zadziwił się zobaczywszy go, jakgdyby nie wiedział, że Grandmorrin jedzie tym samym pociągiem.

Na stacyi ścisk był olbrzymi, śpieszono do wagonów, potrącano się wzajemnie, tłumy ludzi przebojem zdobywały siedzenia, wszyscy śpieszyli do Hawru, gdzie nazajutrz miała się odbyć jakaś uroczystość. Skoro konduktorzy zaczęli zamykać drzwi od wagonów, prezes sam zaproponował, abyśmy wsiedli do jego przedziału. Bełkotałam coś, mówiłam o naszej walizie, znajdującej się w innym wagonie. On jednak nastawał koniecznie, dowodząc że walizy nikt przecie nie ukradnie, i że będziemy mogli przesiąść się w Barentin, gdzie on właśnie wysiada. Mój mąż, zaniepokojony przez chwilę, chciał biedz po walizę; lecz w tejże chwili konduktor zagwizdał, a Roubaud prędko wsadził mnie do wagonu, sam skoczył pośpiesznie, zatrzasnął za sobą drzwiczki i podniósł okno.

Jakim sposobem stało się, iż nas nie widziano? tego dotąd jeszcze nie mogę sobie wytłomaczyć. Mnóstwo ludzi biegało tam i napowrót, urzędnicy tracili głowy, nie było ani jednej osoby, któraby mogła na pewno zaświadczyć, żeśmy wsiedli do tego wagonu. Pociąg powoli opuścił stacyę.

Zamilkła na chwilę, przypominając sobie tę scenę. Nie czuła nic, tylko drżenie nerwowe wstrząsało jej nogi.

— A!.. ta pierwsza chwila w wagonie!.. gdym czuła, jak ziemia z pod nóg się naszych wymyka!.. Byłam jakby oszołomiona!.. Początkowo myślałam tylko o naszej

walizie. W jaki sposób zabrać ją ztamtąd?.. czy ona nas nie zdradzi, jeśli ją tam zostawimy? Myśl o zabójstwie wydawała mi się głupią, jak senne marzenie, niemożebną do uskutecznienia.

Przecież nazajutrz schwytają nas na pewno, dowiodą nam wszystkiego... Starałam się uspokoić. Wmawiałam w siebie, że nic się nie stanie, nic stać się nie może. A jednak, słysząc jego rozmowę z prezesem, czułam z tonu słów, iż postanowienie jego było niewzruszone, dzikie. A pomimo to, był zupełnie spokojny; rozmawiał wesoło, jakgdyby nie miał żadnego złego zamiaru, i tylko we wzroku, rzucanym od czasu do czasu na mnie, czytałam zaciętość jego woli.

Widziałam w tym wzroku wyraźnie, iż zabije prezesa, gdy pociąg ujedzie jeszcze kilometr, może dwa... nie wiedziałam, lecz czułam dobrze, iż ma nawet punkt obmyślony, w którym dopełni morderstwa. Gdzie? nie mogłam się domyśleć. A jednak było to pewne; malowało się to w oczach, spokojnie patrzących na tego, który za chwilę miał już pożegnać się z tym światem.

Nie mówiłam ani słowa, czułam tylko dreszcz wewnętrzny, który starałam się pokryć uśmiechem, w chwilach, gdy na mnie spoglądano. Dlaczego nie przyszło mi wówczas na myśl przeszkodzić wykonaniu tych strasznych zamiarów? Dopiero później ździwiłam się, gdym zrozumiała, że mogłam przecie krzyknąć przez drzwiczki wagonu, że mogłam nacisnąć sprężynę dzwonka alarmowego. W owej jednak chwili byłam jakby sparaliżowana, czułam się bezwładną. Zdawało mi się, że Roubaud znajduje się w swojem prawie; i, ponieważ mówię ci już wszystko

otwarcie, muszę więc i to wyznać szczerze: pomimowoli, a jednak z całej duszy mojej, znalazłam się po stronie Roubauda przeciw prezesowi. Dlaczego? Należałam do obydwóch, nieprawdaż?.. jeden z nich był młody... gdy tymczasem drugi... o!.. pieszczoty drugiego... alboż ja wiem zresztą?.. Robi się tyle rzeczy, na które później patrzy się z zadziwieniem, jakim sposobem można to było uczynić?.. Dziś... gdy sobie pomyślę, że nie zdobyłabym się nigdy na odwagę, aby zarznąć kurczę!.. A!. to uczucie nocy burzliwej!.. ta groza straszna, nurtująca w mej piersi.

Jakób czuł to stworzenie wątłe słabe, zamieniające się w potwór, pod wrażeniem uczucia, o którem mówiła. Wspomnienie tej sceny wywoływało gorączkę, zdradzającą się w przyśpieszonym oddechu

— Powiedz mi... więc pomagałaś do zabójstwa tego starego?..

— Siedziałam w kącie — mówiła dalej, nie odpowiadając na zapytanie — mąż mój przedzielał mnie od prezesa, który zajmował kąt drugi. Rozmawiali o przyszłych wyborach. Przez chwilę ujrzałam, jak mąż mój przechylił się do okna i wyjrzał, chcąc upewnić się dokładnie, gdzie jesteśmy. Zdawało się, iż niecierpliwość nim miota. Za każdym razem śledziłam wzrok jego i zdawałam sobie sprawę z drogi przebytej. Noc była pochmurna. Czarne masy drzew przesuwały się przed naszemi oczyma z szybkością błyskawiczną. Słyszałam wciąż ten turkot kół, który wydawał mi się tak głośny jak nigdy. Jakiś zgiełk głosów jęczących, ponure wycie zwierząt, przeczuwających śmierć blizką.

Pociąg biegł z największą szybkością. Nagle rozjaśniło się na chwilę w przedziale, usłyszałam echo turkotu odbite od ścian budynków stacyjnych. Byliśmy w Maronne, dziesięć i pół mili od Rouen. Jeszcze Malanney, później Barentin. Gdzież się więc rzecz cała dokona?.. Czyż trzeba czekać aż do ostatniej minuty?.. Nie miałam już pojęcia ani o czasie, ani o odległości. Myśli me biegły bezwiednie, jak kamień rzucony z wysoka, przerzynający ciemne przestrzenie.

Przejeżdżając przez Malauney, zrozumiałam nareszcie. Stanie się to w tunelu, o wiorstę ztamtąd odległym. Obróciłam się ku mężowi, wzrok nasz spotkał się równocześnie, oczy jego wyraźnie mówiły: tak!.. w tunelu, jeszcze dwie minuty... Pociąg biegł ciągle. Minęliśmy odnogę boczną do Dieppe. Spostrzegłam zwrotniczego. Zdawało mi się, iż na drodze stoją ludzie, przeklinający nas ze wzniesionemi rękoma. Potem.. machina zagwizdała przeciągle, wjechaliśmy do tunelu.

Gdy pociąg się tam już dostał... o! co za odgłos pod tem nizkiem sklepieniem... wiesz .. ten hałas, podobny do odgłosu młota, uderzającego o kowadło... w moich uszach zamienił się w odgłos piorunu.

Dygotała zębami. Przerwała na chwilę opowiadanie poczem odezwała się głosem zmienionym, prawie ze śmiechem:

— Czyż to nie głupie, mój drogi, dotąd jeszcze czuć dreszcz w kościach. A jednak przy tobie jestem tak szczęśliwa, zadowolona. A zresztą nie ma się przecież czego obawiać. Sprawa cała została umorzona, zaprzepaszczona, tembardziej, że grube ryby... te z rządu... nie

mają najmniejszej ochoty wydobywania jej na światło, oho!.. już ja to zrozumiałam, i jestem zupełnie spokojną.

Potem dorzuciła, śmiejąc się głośno:

— Ale możesz się pochwalić, żeś nam napędził tęgiego strachu... Powiedz mi... tak naprawdę... bo mnie to zawsze zaciekawiało... coś ty właściwie widział?

— No, to co powiedziałem u sędziego, nic więcej. Widziałem mężczyznę mordującego jakiegoś człowieka. Wyście byli tacy zabawni, tak dziwnie patrzyliście na mnie, że w końcu niechcący zacząłem się domyślać. Potem poznałem nawet twego męża... Ale to dopiero później... o wiele później nabrałem tej pewności.

Przerwała mu, odezwawszy się wesoło:

— Tak, na skwerze, tego dnia, kiedy ci powiedziałam „nie“; przypominasz sobie? Pierwszy raz gdyśmy się sam na sam znaleźli w Paryżu... Doprawdy!.. Czyż to nie dziwne?.. twierdziłam stanowczo, iż to nie my, a widziałam doskonale, że słowa moje rozumiesz wprost przeciwnie. Nieprawdaż? Już wówczas prawie wszystko ci opowiedziałam... O!.. mój drogi!.. jedyny!.. nieraz myślałam o tej chwili.. zdaje mi się, że od tego właśnie dnia cię pokochałam.

Uścisk namiętny, łączący ich prawie w jedność, był odpowiedzią na te słowa.

Po chwili milczenia, Seweryna opowiadała dalej:

— W tunelu pociąg biegł jak poprzednio... jedzie się tam, jak wiesz, przez trzy minuty. . Mnie się zdawało iż trwało to conajmniej godzinę. Prezes przestał mówić z powodu hałasu ogłuszającego, jaki wydaje w tem miejscu turkot pociągu. Mój mąż zawahał się widocznie

w ostatniej chwili... nie ruszał się z miejsca. Widziałam tylko przy błysku lampy migocącej, że uszy jego przybierają barwę czerwoną, potem fioletową... Czyżby znów chciał czekać, dopóki nie znajdziemy się w polu otwartem?..

Położenie moje stawało się z każdą chwilą straszniejszem. Czułam tylko jedno pragnienie... chciałam zakończyć już raz tę niepewność i oczekiwanie... Dlaczegóż go nie zabija, jeśli to jest konieczne? Sama byłabym chwyciła nóż, ażeby raz już z tem skończyć, tak dalece byłam rozdrażniona bojaźnią i cierpieniem... Patrzył na mnie... Myśl moja musiała wyraźnie odbijać się na twarzy. Nagle zerwał się i chwycił w swe ramiona prezesa, który na chwilę odwrócił się ku oknu. Prezes przerażony, wyrwał się ruchem gwałtownym z objęć Roubauda i instynktownie wyciągnął rękę ku dzwonkowi alarmowemu, znajdującemu się nad jego głową. Roubaud jednak pochwycił go powtórnie i rzucił na ławkę z taką siłą, iż prezes był jakby związany. Z ust jego wyrwał się krzyk trwogi i przerażenia, stłumiony hałasem pociągu, a jednak wśród tego turkotu, słyszałam wyraźnie głos Roubauda; powtarzał on jeden tylko wyraz: „łajdak!.. łajdak!.. łajdak!..“ Był to raczej gwizd jakiś dziki, aniżeli głos ludzki. W wyrazie tym objawiała się cała jego wściekłość. Turkot pociągu z każdą chwilą stawał się coraz mniejszy, wyjeżdżaliśmy z tunelu.

Wkrótce znaleźliśmy się na równinie, o czem świadczyły drzewa, przesuwające się szybko przed oknami wagonu. Ja siedziałam skamieniała w kącie, przyciskając się do ściany przedziału, aby jak najdalej odsunąć się od

tej walki... Jak długo trwało to wszystko?.. kilka sekund zaledwie... mnie się jednak zdawało, że wieczność mija cała... że podróżni słyszą te krzyki przerażające... drzewa czarne patrzą na nas. Mąż mój trzymał nóż otwarty, nie mógł jednak uderzyć, gdyż odpychany wysilonemi ruchami Grandmorrina, tracił co chwilę równowagę. A pociąg pędził wciąż szybko, dając tylko znak gwizdaniem, że zbliżamy się do Croix-de-Maufras. Wtedy to, nawet nie mogę sobie przypomnieć, jakim się to stało sposobem, rzuciłam się na nogi Grandmorrina. Upadłam na niego jak pakunek, przyciskając go całym ciężarem, tak, że się nie mógł poruszyć. Nie widziałam nic, lecz czułam wszystko... uderzenie nożem w gardło, przeciągły dreszcz ciała, potem śmierć, objawiającą się trzema drgawkami gwałtownemi. O!.. odruch tego konania, czuję dotąd w mych członkach.

Jakób, zaciekawiony do najwyższego stopnia, chciał przerwać Sewerynie, aby ją o coś zapytać, ona jednak pragnęła teraz jaknajprędzej skończyć to opowiadanie.

— Nie... nie... czekaj!.. Gdy się podniosłam, przejeżdżaliśmy całą siłą pary koło Croix de-Maufras. Widziałam wyraźnie zamknięte drzwi mieszkania Misarda, potem posterunek strażnika baryery. Jeszcze cztery kilometry, najwyżej pięć minut, a znajdziemy się w Barentin... Trup leżał na ławce, krew sączyła się i tworzyła na podłodze kałużę brudną. Mąż mój stał oszołomiony, kołysany ruchem pociągu, ocierał chustką ostrze noża i patrzył bezmyślnie przed siebie.

Trwało to może z minutę, żadne z nas nie pomyślało, aby uczynić cokolwiek, coby nas mogło uratować... Jeżeli

zostaniemy tu wobec trupa, wszystko się odkryje, być może niedalej nawet niż na przystanku w Barentin... Schował wreszcie nóż do kieszeni i wyprostował się, jakby zbudzony nagle ze snu głębokiego... Widziałam, jak przetrząsał ubranie prezesa... zabrał zegarek, pieniądze, wszystko, co znalazł, i, otwarłszy drzwiczki, wysilał się, aby wyrzucić trupa na drogę, obawiał się tylko, aby krew zabitego nie poplamiła mu ubrania...

„Pomóżże mi!..“ krzyknął...

Nawet nie próbowałam... nie czułam najmniejszej władzy w mych członkach. „No!.. pomożesz, czy nie!..“ Głowa zwisła już na zewnątrz wagonu, ale tułów opierał się we drzwiach. Pociąg pędził bezustannie z całą szybkością. Nareszcie Roubaud wytężył wszystkie siły, pchnął raz jeszcze, trup przechylił się i zniknął wśród turkotu kół. „A! przecież!.. skończyło się“ potem porwał kołdrę, zwinął ją i wyrzucił za trupem. Zostaliśmy sami w przedziale, nie śmiąc usiąść na ławce zakrwawionej. Drzwi otwarte na oścież, obijały się o ścianę wagonu... stałam ogłupiała, bez zmysłów, patrzyłam z zadziwieniem na Roubauda, wychodzącego na zewnętrzne stopnie wagonu. Zniknął na chwilę z mych oczu. Po chwili powrócił. „Chodź prędko za mną, jeśli nie chcesz, aby nam ucięto głowy“. Nie ruszałam się z miejsca. Zaczęło go to niecierpliwić. „Chodźże — zawołał — nasz przedział jest pusty. Możemy tam powrócić“. Pusty nasz przedział?.. Więc on tam był?.. A ta kobieta czarno ubrana, milcząca, której twarzy nawet nie widziałam... czy on jest pewny, że jej tam już niema gdzie w kącie?.. „Idziesz czy nie!.. milion dyabłów!.. bo cię wyrzucę pod koła, jak

tamtego!..“ Wszedł napowrót do przedziału, popchnął mnie brutalnie, jak szalony.

Znalazłam się na stopniach, mimowolnie uchwyciłam kurczowo za poręcz mosiężną. On szedł za mną. Zamknął starannie drzwi wagonu. „Dalej naprzód!.. Nie śmiałam się ruszyć. Bieg pociągu zawrócił mi głowę. Zanosiło się na burzę... wiatr smagał mnie po twarzy... rozrzucił włosy na głowie. Zdawało się, iż palce skostniałe puszczą poręcz, jedyną obronę, chroniącą mnie od upadku śmiertelnego. „No!..“ krzyczał Roubaud, popychając mnie przed sobą. Musiałam iść. Puszczałam się jedną ręką, chwytałam drugą, przyciskałam się do wagonu, wiatr zawiewał mą suknię i tamował ruchy, chwilami nie mogłam postąpić ani kroku. Zdaleka na zakręcie widać już było światła ze stacyi Barentin. Machina zaczęła gwizdać! „No!.. ruszaj naprzód!“ O!.. ten hałas piekielny, te wstrząśnienia gwałtowne wagonu, zdawało mi się, że wpadłam w środek huraganu, który niesie mnie jak słomkę leciuchną, dopóki nie rzuci mną o mury lub kamienie i nie rozbije na kawałki. Drzewa migały koło mnie, wydając jęki płaczliwe. Gdym doszła do końca wagonu, gdzie trzeba było przejść na stopień następny i chwycić inną poręcz, zatrzymałam się wyczerpana zupełnie. Sił mi już zabrakło. Roubaud pchał mnie ciągle i krzyczał brutalnie. Zamknęłam oczy. Sama nie wiem jakim cudem szłam dalej. Chyba tylko siłą instynktu, jak zwierz dziki gdy uchwyci jaki przedmiot pazurami, bojąc się by nie upadł. Jakim sposobem nas nie zobaczono?.. Przeszliśmy wzdłuż koło trzech wagonów... Szczególnie jeden z nich, drugiej klasy, przepełniony był podróżnymi...

Widziałam dobrze ich twarze, oświetlone bladym płomieniem lampy... Dziś jeszcze, spotkawszy się z niemi, poznałabym je natychmiast... jakiś gruby jegomość z rudemi faworytami, dwie panny rozmawiały, śmiejąc się do siebie... Roubaud naglił coraz bardziej... Nie wiem nic więcej! . światła z Barentin zbliżały się, machina gwizdała... pamiętam tylko, że porwał mnie za włosy i poniósł w powietrzu, jedną ręką otworzył ponad moją głową drzwi przedziału i wrzucił mnie do środka jak pakunek. Zadyszana, siedziałam na pół zemdlona, w kącie, gdyśmy przybyli na stacyę. Słyszałam tylko, jak rozmawiał spokojnie z zawiadowcą w Barentin. Po chwili pociąg ruszył dalej. Dopiero wtedy upadł na ławkę... i on już swe siły wyczerpał. Do samego Hawru żadne z nas nie odezwało się ani słowem. O!.. nienawidzę go... nienawidzę za to wszystko, co mi kazał wycierpieć... a ciebie! . ciebie kocham!.. jedyny!.. najdroższy!.. bo tyś jest dla mnie szczęściem... rozkoszą!..

Ostatni ten wykrzyk wywołany został chęcią przytłumienia wspomnień przykrych.

Seweryna pragnęła zapomnieć o przeszłości, tonąc w szczęściu obecnem.

Na Jakóbie jednak opowiadanie to, dziwne wywarło wrażenie.

— Nie... nie... zaczekaj... siedziałaś na jego nogach, i czułaś, jak umierał?..

Nieznane uczucie w nim się budziło... Jakaś fala gwałtowna przypływała do piersi, zalewała głowę, budząc w niej widmo czerwone. Opanowała go ciekawość, do-

wiedzenia się szczegółów najdrobniejszych, dotyczących chwili morderstwa.

— A nóż?.. czułaś jak nóż wpijał się w gardło?..

— Tak, było to jedno tylko uderzenie... głuche, krótkie...

— Jedno tylko? . głuche?.. żadnego szarpania?.. jesteś pewna?..

— Nie, nie, cios jeden, raz tylko zadany.

— A potem drganie? co?..

— Tak. Trzy razy... o!... wzdłuż całego ciała, od stóp do głowy... czułam je doskonale... pierwsze bardzo mocne, potem słabe...

— I umarł wyprężony?

— Tak.

— A ty?.. coś uczuła, widząc, że umiera od uderzenia nożem?

— Ja?.. o!.. ja nie wiem...

— Nie wiesz?.. Dlaczego kłamiesz?.. Powiedz!.. powiedz, coś uczuła?.. mów otwarcie!.. zgrozę?..

— Nie... zgrozę? nie... bynajmniej...

— A więc przyjemność?

— O! nie... nie!.. nie była to przyjemność.

— A więc co?.. moja najdroższa!.. powiedz mi wszystko, proszę cię!.. gdybyś ty wiedziała!.. O! powiedz... powiedz mi, co się odczuwa?..

— Mój Boże!.. czyż to można określić... To coś strasznego... przerażającego... Coś porywa .. niesie daleko!.. o! . daleko!.. Przez tę jedną chwilę przeżyłam więcej niż przez całe życie ubiegłe...

Jakób chciał jeszcze o coś pytać, Seweryna jednak zamknęła mu usta pocałunkiem. Wyczerpana tem opowiadaniem, a zresztą przejściami dnia minionego, podróżą, oczekiwaniem u Misardów, czuła potrzebę snu. Powieki ciężyły jej jak ołowiane.

Zaledwie zdążyła wyszeptać „dobranoc“ głosem dziecinnym i już spała snem głębokim, oddychając równo, spokojnie.

Piec wygasł zupełnie. W pokoju zaczęło być zimno. Ze dworu nie dochodził nawet szmer najmniejszy. Cały Paryż, spowity całunem śnieżnym, odpoczywał po trudach dnia przebytego, czerpiąc w śnie siły do dalszej pracy. Kukułka odezwała się, znacząc godzinę trzecią.

Jakób nie mógł zasnąć, nie mógł nawet oczu zamknąć. Jakaś ręka niewidzialna otwierała mu przemocą powieki.

W pokoju wśród ciemności nic nie mógł rozróżnić. Wszystko było czarne: piec, meble, ściany.

Odwrócił się, chcąc dojrzeć okna, których kształty występowały niewyraźnie na tem tle czarnem. Daremnie zmuszał się do snu. Mózg jego odbywał pracę ciągłą, nieustanną i jednakową.

Przed oczyma przesuwała się scena morderstwa ze wszystkiemi szczegółami. Nóż wpijał się w gardło uderzeniem, głuchem, krótkiem, ciało drgnęło trzy razy, życie uchodziło wraz ze strumieniem krwi letniej.

Zdawało mu się, iż czuje tę krew na swoich rękach. Daremnie odpędzał od siebie to widziadło! Powracało ono ciągle i zawsze w jednakowy sposób. Po raz dwu-

dziesty, trzydziesty, nóż wpijał się w gardło, ciało wydawało trzy drgnienia!..

Widmo to dręczyło go, dusiło, przyprawiało do szaleństwa.

A!.. uderzyć tak raz jeden nożem!.. Zadowolić tę żądzę, nurtującą go oddawna!.. dowiedzieć się, jakie to wywołuje wrażenie!.. Odczuć tę minutę, w której żyje się dłużej, niż w przeciągu całego istnienia!..

Widząc, że wszelkie wysiłki na nic się nie zdadzą, oddał się na łup temu widmu upartemu. Czuł tę olbrzymią pracę, jaka dokonywa się w jego mózgu, słyszał prawie turkot tej machiny ruchliwej.

Widmo to prześladuje dzisiaj myśl jego nie po raz pierwszy. Zna on się z niem oddawna, od najpierwszej młodości.

A jednak zdawało mu się, iż był wyleczonym, że ta żądza wygasła już w nim oddawna, od chwili, gdy odezwała się miłość dla Seweryny. A oto teraz uczuł ją tak gwałtowną jak nigdy jeszcze, i co ją wywołało?.. opowiadanie o mordestwie.

Odsunął się od Seweryny, dotknięcie jej paliło go jak ogień.

Nieznośne gorąco przebiegało wzdłuż jego pleców, zdawało mu się, iż miliony szpilek kłuje go w piersi, w kark, w głowę.

Zaczął się obawiać o swoje ręce. Splótł je silnie na piersiach, jakby je chciał uwięzić, aby nie popełniły czegoś, przed czem się sam wzdryga.

Za każdem uderzeniem zegara liczył godziny. Czwarta piąta, szósta.

Z niecierpliwością oczekiwał ukazania się brzasku dziennego. Jasność rozpędzi przecież te myśli, uwolni go od tej zmory strasznej.

I znów obrócił się ku oknu, chcąc dojrzeć, czy dzień się nie zaczyna. W oknach ujrzał tylko blade odbicie śniegu.

O trzy kwadranse na piątą usłyszał przybycie pociągu z Hawru. Spóźnił się czterdzieści minut, ruch jednak widocznie został przywrócony na całej linii.

Dopiero koło siódmej szyby w oknach zaczęły powoli przybierać mleczną białość; w kilka chwil później, można już było rozróżnić przedmioty w pokoju; z pośród ciemności wypływały meble, piec, szafa, kredens.

Jakób nie mógł wciąż mieć oczu zamkniętych, przeciwnie, chęć zobaczenia czegokolwiek nie dawała mu spokoju od dłuższego już czasu.

Zaledwie się rozjaśniło i to jeszcze nie zupełnie, pierwszym przedmiotem jaki dostrzegł, a raczej odgadł na stole, był nóż, którym wczoraj wieczorem krajał ciasto.

Nie widział nic więcej, tylko ten nóż... ten nóż ostry, śpiczasty... Dzień coraz jaśniejszy, światło wpadające już teraz obficie przez oba okna, nie oświetlały przed jego oczyma nic więcej, tylko to ostrze małe, wązkie.

Usunął ręce z piersi i splótł je jeszcze mocniej za plecami, czuł bowiem, że drgały, wzburzone, silniejsze niż jego wola.

Czyżby już przestały być jego własnością? Czyżby należały do kogo innego... może przekazane mu zostały

przez którego z pradziadów, żyjącego w czasach, gdy jedynem zajęciem człowieka, było duszenie zwierząt po lasach.

Nie chcąc patrzeć na nóż, obrócił się ku ścianie.

Ujrzał Sewerynę. Spała spokojnie, z oddechem regularnym, jak dziecko po wielkiem zmęczeniu. Jej ciężkie włosy czarne, rozpuszczone, pokrywały poduszkę aż do ramion. Na tle tem czarnem odbijało jej gardło, delikatne, miękkie, różowe.

Patrzył na nią, jak gdyby jej nie znał wcale. A przecież ją uwielbiał, widział jej obraz zawsze przed swemi oczyma i nieraz tak się weń wpatrywał, że zdawało się, iż w sen popada.

Zdarzało mu się to nawet i w drodze. Ze snu podobnego raz obudził się, przejechawszy przez stacyę całą siłą pary, nie zważając na sygnały, nakazujące zwolnienie biegu.

Dziś jednak widok tego gardła delikatnego, białego, wpływał na niego szatańsko, czarował go. Czuł niepokonaną chęć pochwycenia za nóż, leżący na stole, i utopienia go w tem gardle, aż po samą rękojeść.

Zdawało mu się iż słyszy już uderzenie głuche, szmer ostrza zagłębiającego się w ciało, trzykrotne drgnięcie, krew sączy się z rany... ciało sztywnieje...

Walczył, chcąc wyrwać się z objęć tego widziadła, a z każdą chwilą tracił coraz więcej wolę własną. Przeczuwał już chwilę, gdy pomimowoli będzie musiał uledz temu strasznemu popędowi.

Zabić Sewerynę?.. Nie!..

Zerwał się gwałtownie, z zamiarem, że ubierze się jaknajprędzej, pochwyci nóż, wybiegnie na ulicę i zabije pierwszą spotkaną kobietę.

Dzień już był jasny. Widział dokładnie wszystkie przedmioty. Przybrały one w jego oczach barwę czerwoną; wszystko, na co spojrzał, wydawało mu się zakrwawionem.

Z wielkim trudem ubrał się nareszcie.

Ten nóż, od którego oczu nie mógł oderwać, znajdował się teraz w jego rękach; z rękojeścią ukrytą w rękawie ubrania.

Pomimo iż ubierał się i poruszał, o ile można najciszej, szelest jednak, powstały z tego powodu, obudził Sewerynę.

— Jakto? już wychodzisz?

Nie odpowiadał, nie spojrzał nawet na nią, lecz stanął jak przygwożdżony obok stołu. Sądził iż zaśnie ona znowu.

— Dokąd idziesz, mój drogi?

— Nic... nic... sprawa służbowa... śpij... śpij... ja zaraz powrócę.

Seweryna bełkotała niewyraźnie, z oczyma na pół zamkniętemi.

— O!.. jakże mi się spać chce. Chodź... uściśnij mnie, nim odejdziesz.

Jakób nie ruszał się z miejsca. Wiedział, że gdyby podszedł ku niej z tym nożem w ręku, gdyby ją tylko ujrzał na chwilę, delikatną, różową, gdyby ujrzał to gardło, niczem nie przysłonięte, nie byłby w stanie oprzeć się

głosowi szepczącemu wciąż: „zabij ją!“ Pomimo woli podniósłby rękę i utkwił nóż w jej gardle.

— Uściśnij mnie!.. pocałuj!..

Głos jej stawał się coraz cichszym, zasypiała spokojnie z szeptem pieszczoty na ustach.

Jakób oszołomiony otworzył drzwi i wymknął się jak mógł najśpieszniej na ulicę.

Była godzina ósma, gdy znalazł się na chodniku ulicy Amsterdam. Śnieg, jeszcze nie odmieciony, głuszył odgłos kroków zarówno Jakóba jak i nielicznych przechodni, krążących po ulicach.

Pierwszą osobą spotkaną była jakaś stara kobieta. Zawróciła jednak na rogu ulicy Londyńskiej, nie poszedł za nią, lecz pragnąc uniknąć spotykania się z przechodniami, zwrócił swe kroki w stronę placu Hawre. Noża ani na chwilę nie wypuścił z dłoni, ukrywszy ostrze w rękawie.

Młoda dziewczynka, mająca może lat czternaście, wybiegła z bramy domu, położonego po drugiej stronie ulicy.

Przebiegł szybko na drugą stronę, pragnąc ją doścignąć: zniknęła mu w sklepie piekarza. Niecierpliwość jego była tak wielką, iż nie przyszło mu nawet na myśl, aby poczekać na nią. Szedł dalej.

Od chwili, gdy wybiegł z pokoju z tym nożem w ręku, czuł, iż nie on teraz jest panem położenia, to ktoś inny, ten, który oddawna odzywał się w głębi jego istoty, ten nieznajomy; powrócił on zdaleka, gnany dziedziczną żądzą spełnienia morderstwa. Zabijał już kiedyś... kiedyś, i teraz znów chce zabijać.

Wszystkie przedmioty, otaczające Jakóba, pokryte były mgłą jakąś gęstą, widział je zaledwie jakby we śnie. całą jego istotę opanowała myśl jedna. Życie jego codzienne zniknęło, szedł, jak lunatyk, niepomny na przeszłość, nie myśląc o przyszłości, czując tylko jedną żądzę, którą krew jedynie ugasić mogła. W tem ciele, przesuwającem się przez ulice, jego „ja“ było zupełnie nieobecne.

Dwie kobiety przeszły obok niego i wyprzedziły go. Przyśpieszył kroku aby je dogonić. Już był blizko nich, gdy z przeciwnej strony nadchodzący mężczyzna zatrzymał obie i zaczął z niemi rozmawiać. Śmiano się, mówiono głośno, Jakób nie słyszał jednak ani słowa. Ten mężczyzna przeszkadzał mu.

Po drugiej stronie ulicy spostrzegł inną postać kobiecą. Natychmiast puścił się za nią w pogoń. Szła wolno, zapewne do jakiegoś zajęcia ciężkiego, które jej bynajmniej nie uprzyjemniało życia, a prawdopodobnie i dochodów nie przynosiło wielkich. W ruchach jej malowała się niechęć i powolność, twarz wyrażała smutek rozpaczliwy.

Jakób, doścignąwszy ją, nie śpieszył się również, lecz upatrywał miejsca na jej szyi, gdzieby dogodnie skutecznie mógł uderzyć.

Musiała się domyślić, że ją ktoś ściga, gdyż obejrzała się po za siebie, i wzrokiem bolesnym wyrażała zadziwienie: Czego chcą od niej?

Zanim doszli do połowy ulicy Havre, obejrzała się jeszcze dwa razy, uniemożliwiając w ten sposób Jakóbo-

wi dokonanie ciosu, do którego już się od kilku chwil przygotowywał.

Wyciągnął nóż z rękawa, już .. już chciał uderzyć. Znów się obejrzała... a wzrok jej łagodny zdawał się wzywać litości! Ot tam, gdy zejdzie z chodnika, tam uderzy już na pewno.

Nagle zawrócił się i pobiegł za inną, która nadeszła z przeciwnej strony. Dlaczego? Bez przyczyny, pomimowoli, ponieważ w tej chwili właśnie tędy przechodziła... ponieważ . tak być musiało.

Za tą znów biegnąc, Jakób dostał się napowrót na dworzec kolei. Kobieta szła żywo jakkolwiek krokiem bardzo drobnym. Była zachwycająco ładną. Lat dwadzieścia najwyżej, a jednak już rozwinięta, blondynka, z oczyma niebieskiemi, wesołemi, śmiejącemi się do życia. Nawet nie zauważyła, że ktokolwiek idzie za nią.

Musiało jej się bardzo śpieszyć, szybko bowiem wyszła na stacyę i, nie idąc lecz biegnąc, podążyła do okienka kasy kolei obwodowej i kupiła bilet pierwszej klasy do Auteuil.

Jakób kupił takiż sam dla siebie, ścigał ją krok w krok na sali poczekalnej, na peronie przed stacyą, aż do przedziału w wagonie, gdzie usiadł obok niej.

Pociąg niebawem ruszył w drogę.

— Mam czas — pomyślał — zabiję ją w tunelu.

W przedziale tym była tylko jakaś stara dama.

W chwili gdy pociąg ruszał, usadowiła się naprzeciw Jakóba i nieznajomej.

Rozejrzawszy się po wagonie, spojrzała na młodą kobietę i nagle zawołała:

— A! to pani?!.. dokąd to pani jedzie tak wcześnie?

Zapytana wybuchnęła głośnym śmiechem i odpowiedziała z komicznym ruchem rozpaczy:

— Widocznie nigdzie ruszyć się nie można, aby kogoś ze znajomych nie napotkać. Ale mam nadzieję, że mnie pani nie zdradzisz... Jutro imieniny mojego męża, dziś więc, skoro tylko wyszedł na miasto za interesami, wymknęłam się pocichutku z domu i jadę do Auteuil, do ogrodnika, który sprzedaje specyalny rodzaj storczyków. Mąż mój widział je raz i odtąd marzeniem jego jest mieć ten kwiat w domu. Chcę kupić tę roślinę wymarzoną i ofiarować mu ją na imieniny... To się dopiero ucieszy! pojmujesz pani.

Stara dama kiwnęła głową z wyrazem współczucia i dobroci.

— A mała zdrowa?

— Mała?.. a! to rozkosz prawdziwa... Wiesz pani? tydzień temu odłączyłam ją od piersi... a! gdybyś pani mogła widzieć, jak ślicznie zajada mleczko i kaszkę!.. O! wszyscy jesteśmy zdrowi, mamy się tak dobrze, że to aż doprawdy przerażające...

Śmiała się coraz głośniej, ukazując dwa szeregi białych zębów.

Jakób tymczasem, wcisnąwszy się w kąt przedziału, ściskał nerwowo nóż w dłoni, ukrywając go przy boku lub za plecami, i obmyśliwał sposób, w jaki ma zadać cios śmiertelny.

Potrzebował tylko podnieść ramię, zrobić pół obrotu i już ją miał w ręku.

W tunelu batignolskim już spełni swój zamiar. Naraz przyszło mu na myśl, iż wstążki od kapelusza mogą być przeszkodą do zadania ciosu stanowczego.

— Koło gardła muszą być związane na węzeł... trzeba się przekonać.

Obie kobiety rozmawiały tymczasem wesoło.

— Jesteś więc pani, jak widzę, zupełnie szczęśliwą?

— Szczęśliwą!.. a, gdybym to mogła powiedzieć... szczęśliwą!.. to za słabe wyrażenie. Zycie moje teraźniejsze to sen... marzenie... Przed dwoma laty byłam niczem... Przypominasz sobie pani, nikt nie chciał zajrzeć do mojej cioci... bo to ani grosza posagu. Gdy on się zjawił... drżałam, czułam potrzebę miłości, i pokochałam go. A jak się bałam... On taki piękny, bogaty.. I dziś należy do mnie, jest moim mężem, mamy dzieci cudowne... a!.. powiadam pani, że to za wiele!..

Przyglądając się węzłowi, Jakób dojrzał pod spodem na czarnej aksamitce duży medalion złoty.

Obliczał wszystko.

— Chwycę ją za kark lewą ręką i usunę medalion, przechyliwszy jej głowę, w ten sposób będę miał gardło gołe... uderzenie pewne!

Pociąg zatrzymywał się, to znów ruszał dalej co minutę. Krótkie tunele następowały jeden po drugim w Courcelles, w Neuilly. Jedna chwila, jeden ruch i wszystko skończone.

— Byliście tego lata nad morzem — zapytała stara jejmość.

— Tak jest, byliśmy w lipcu i sierpniu przez sześć tygodni w Bretonii, w kącie zapadłym, cichym, zabitym

deskami od reszty świata... raj prawdziwy. Wrzesień spędziliśmy w Poitou u teścia. Posiada on w tamtych stronach obszerne lasy.

— A w zimie nie zajrzycie na południe?

— Owszem. Jedziemy do Cannes, piętnastego, dom już wynajęty, kawałek ogrodu, widok na morze. Wysłaliśmy tam już kogoś co urządził wszystko i czeka na nasze przybycie. Nie jesteśmy zmarzluchami, broń Boże!.. ani ja, ani mój mąż... ale to tak przyjemne.. słońce!.. Powrócimy w marcu. Cały następny rok spędzimy w Paryżu, a za dwa lata, skoro dzidzi wyrośnie już na dużą pannę, puszczamy się w podróż... A!.. doprawdy?.. święta... ciągłe święta... bez końca.

Radość jej była tak wielką, iż czuła konieczną potrzebę dzielenia się nią z kimkolwiek.

Dlatego też zwróciła się ku człowiekowi, obcemu jej zupełnie, ku Jakóbowi, i uśmiechnęła się do niego.

W tym ruchu węzeł i medalion usunęły się, ujrzał szyję różową z maleńkim dołeczkiem, cokolwiek zaciemnionym.

Palce jego zdrętwiały na rękojeści noża.

Powziął postanowienie nieodwołalne.

— Tu uderzę, w to miejsce właśnie... zaraz... za chwilę... za następnym przystankiem... w tunelu.. nim dojedziemy do Passy.

Ale na przystanku w Trocadero wsiadł jakiś urzędnik kolejowy, znajomy Jakóba i zaczął w tej chwili rozmowę o sprawach służbowych, o kradzieży węgla, na jakiej przyłapano jednego z maszynistów i palacza.

Od tej chwili myśl Jakóba była jakby zamgloną i nie mógł już nigdy, choć nieraz myślał nad tem, przypomnieć sobie dokładnie, co się wtenczas stało.

W wagonie śmiano się ciągle.

Szczęście promieniejące ze słów i z oczu młodej kobiety przenikało go, wzruszało, uspakajało jego gorączkę.

Zdaje się, że dojechał w towarzystwie obu kobiet do Auteuil.

Czy wysiadły? kiedy? co się z niemi stało? kiedy sam wysiadł? Nic nie wiedział.

Znalazł się nad brzegiem Sekwany; jakim sposobem?

Jedno tylko wspomnienie wyryło się wyraźnie w jego pamięci, a mianowicie, że z nadbrzeża rzucił nóż, trzymany tak długo w dłoni, i ukrywany w rękawie.

Prawdopodobnie błąkał się długo przez kilka godzin po ulicach i placach, zostawiwszy zupełną swobodę nogom.

Ludzie, domy, wszystko przesuwało się przed jego oczyma blade, zamglone, niewyraźne, nie zostawiając najmniejszego śladu w jego myśli.

Musiał gdzieś wstępować; jadł coś, w jakiejś sali przepełnionej gośćmi, przypominał sobie bowiem, iż widział wyraźnie białe talerze przed sobą.

I jeszcze jedno dobrze pamiętał: na jakimś sklepie zamkniętym, widział czerwoną kartkę nalepioną.

Po za tem wszystkiem nic... nic!.. Pogrążył się w jakiejś przepaści czarnej, w nicości, obojętnej na czas i przestrzeń; spoczywał w niej... może wieki całe.

Gdy przyszedł do siebie, spostrzegł, że znajduje się w swem obszernem mieszkaniu przy ulicy Cardinet, ubra-

ny, rozciągnięty na łóżku. Instynkt go tam przywiódł; przywlókł się, jak pies zbity i zmęczony wlecze się bezmyślnie do swej budy. Zresztą nie przypominał sobie, kiedy szedł po schodach, kiedy zasnął. Zbudził się ze snu ciężkiego, oszołomiony tym powrotem do przytomności, jakby po omdleniu głębokiem. Być może, iż spał trzy godziny, a może trzy dni?..

Nagle pamięć mu powróciła: noc spędzona z Seweryną... opowiadanie o morderstwie... ucieczka zwierzęcia krwiożerczego... ściganie ofiary. Czuł, iż nie był sobą samym, teraz się odnajdywał; z przerażeniem przypominał sobie to wszystko, co stało się pomimo jego woli.

Na myśl iż Seweryna może czeka na niego, zerwał się na równe nogi.

Spojrzał na zegarek, czwarta już minęła. W głowie czuł pustkę, spokój, jakby po mocnem upuszczeniu krwi.

Szybkim krokiem podążył na ulicę Amsterdamską.

Do południa Seweryna spała głęboko.

Zbudziwszy się, wstała i chodziła zaniepokojona po pokoju.

— Dlaczego on dotychczas nie powraca?

Napaliła w piecu, ubrała się i umierając z niepokoju i bezczynności, postanowiła koło godziny drugiej wyjść i zjeść cokolwiek w sąsiedniej restauracyi.

Czekała jeszcze chwil kilka, a widząc że nie nadchodzi wyszła.

Wchodziła właśnie do pokoju z powrotem, gdy Jakób się ukazał.

— O! mój drogi! jedyny!.. jakże się obawiałam.

Uwisła u jego szyi, spoglądała mu zblizka w oczy.

— Co się stało, żeś tak długo nie wracał?

On wyczerpany, zmęczony, zziębnięty, uspakajał ją, nie zdradzając przebytego wzruszenia.

— Ależ nie... nie!.. pańszczyzna przeklęta... Skoro tylko cię schwycą, nie chcą cię już puścić.

Zniżając głos, odezwała się pokornie, pieszczotliwie:

— Wyobraź sobie. . zdawało mi się... O!.. brzydkie przypuszczenie... tyle trosk mi napędziło!.. zdawało mi się, iż po tem wszystkiem, co ci wyznałam, już mnie nie chcesz widzieć. Myślałam, żeś pojechał i nie wrócisz już nigdy!.. nigdy!..

Nie mogła powstrzymać łez, wybuchnęła głośnem łkaniem.

Po chwili chwyciła go szalenie w swe ramiona:

— O!.. mój jedyny!.. gdybyś ty wiedział, jak ja potrzebuję miłości!.. Kochaj mnie!.. kochaj mnie bardzo!.. ponieważ... widzisz... tylko miłość może wpłynąć na to, abym zapomniała o tem wszystkiem. Teraz, gdym ci opowiedziała wszystkie moje nieszczęścia, nie powinieneś, nie możesz mnie opuścić!.. zaklinam cię na wszystko, co ci jest drogiem!..

Ten gwałtowny wybuch uczucia, nie mógł pozostać bez wrażenia.

Jakób miękł z każdą chwilą.

— Nie, nie!.. kocham cię!.. nie masz się czego obawiać...

Łzy pociekły mu po twarzy. I on czuł fatalność tej choroby strasznej, która przed chwilą go opanowała, a która zdawała się nieuleczalną. To wstyd!.. hańba!.. rozpacz bez granic.

— Kochaj mnie! kochaj bardzo, z całej siły. Potrzebuję tego tyleż co i ty.

Zadrżała. Chciała się dowiedzieć.

— Masz zmartwienie? Musisz mi je powierzyć.

— Nie... nie!.. Nie zmartwienie. Bynajmniej. Rzecz nie istniejąca, smutek, który mnie rozstraja, czyni najnieszczęśliwszym, a jednak nie da się wypowiedzieć.

Przyciągnęli się wzajemnie w objęcia. Melancholia bolesna łączyła ich w jedno. Cierpienie to bez końca, bez pamięci, bez przebaczenia. Płakali i czuli ciężącą na sobie ślepą siłę życia, wytworzoną z walki i śmierci.

— Chodźmy — przerwał Jakób, wyrywając się z jej objęć — czas pomyśleć o odjeździe. Dziś w wieczór będziesz w Hawrze.

Seweryna zmarszczyła czoło i po chwili milczenia mruknęła pochmurnie:

— Gdybym była wolną!.. Gdyby Roubaud nie żył. A! jakżebyśmy szybko zapomnieli o wszystkich troskach i bólach!..

Jakób uczynił ruch gwałtowny. Myślał głośno:

— Nie możemy go przecież zabić!..

Wpatrzyła się w niego wzrokiem stanowczym.

Zadrżał.

Zadziwił się, iż wyrzekł to, o czem nigdy nie pomyślał.

Jeżeli chciał koniecznie zabić kogokolwiek, dlaczegóż nie miałby zabić tego, który mu staje na drodze do szczęścia?

W chwili, gdy żegnali się po raz ostatni i Jakób miał już odejść do magazynów kolejowych, pochwyciła go raz jeszcze w objęcia i okryła pocałunkami.

— Najdroższy!.. kochaj mnie!.. Ja kochać cię będę bardziej... bardziej jeszcze!.. O! . jakże będziemy szczęśliwi!..

IX.

Dni następnych w Hawrze Seweryna i Jakób postępowali jak można najostrożniej.

Obawiali się cokolwiek. Ponieważ Roubaud wiedział o wszystkiem, a zatem może mu przyjdzie chęć szpiegować ich, czatować, pochwycić i zemścić się gwałtownie, okrótnie. Znali przecież dawniejszą jego zdolność do szalonych wybuchów zazdrości, jego brutalne postępowanie z Seweryną.

I rzeczywiście zdawało im się, iż od niejakiego czasu Roubaud stał się ciężkim, prawie niemym, na wszystko spoglądał wzrokiem pomieszanym.

Bezwątpienia knuje on jakiś podstęp, jakąś zasadzkę, w którą pragnie ich pochwycić i dostać w moc swoją.

To też w ciągu pierwszego miesiąca widywali się wśród tysiącznych ostrożności, i to tylko przelotnie.

Roubaud tymczasem coraz częściej wymykał się z domu. Może naumyślnie ulatniał się tak, aby kiedykolwiek wpaść niespodzianie i schwytać ich w uścisku miło-

snym. Obawa ta nie sprawdzała się jakoś. Przeciwnie, nieobecność jego przedłużała się do tego stopnia, że go już prawie nigdy w domu nie było. Uciekał w tej chwili skoro tylko był wolny, a powracał punktualnie, gdy go służba wzywała.

W tygodniach służby dziennej zjadał śniadanie o dziesiątej, w przeciągu pięciu minut i przybywał dopiero o pół do dwunastej. Wieczorem zaś o piątej, gdy przyszedł kolega jego na zastępstwo, znikał, często na noc prawie całą. Spał zaledwie po kilka godzin. To samo działo się w tygodniach nocnych. Wolny od piątej zrana jadł prawdopodobnie gdzieś za domem, gdyż nie pokazywał się, aż o piątej wieczorem.

Długi czas pomimo tego nieładu, starał się być zawsze punktualnym. Obecny zawsze o oznaczonej minucie, niekiedy tak zmordowany, iż zaledwie mógł się utrzymać na nogach, służbę swą jednak pełnił sumiennie.

Powoli i pod tym względem objawiać się zaczęły pewne niedokładności. Już dwa razy drugi pomocnik zawiadowcy, Moulin, musiał czekać na niego po godzinie; pewnego nawet rana po śniadaniu, widząc że Roubaud nie nadchodzi, naumyślnie poszedł go zastąpić, aby jako dobry kolega, oszczędzić przyjacielowi nagany.

I cała służba Roubauda zaczęła odczuwać to powolne rozprzężenie.

Podczas dnia nie był to już ten dawny urzędnik, czynny, zapobiegliwy, przyjmujący lub wysyłający pociągi, dopiero po obejrzeniu wszystkiego własnemi oczyma, notujący najmniejszy drobiazg w raporcie do zawiadowcy

stacyi, surowy dla siebie i innych. W nocy zasypiał snem ołowianym w głębi swego fotelu przy biurku. Zbudzony, zdawało się, iż śpi jeszcze. Szedł tam i napowrót po peronie z rękami skrzyżowanemi na plecach, wydawał rozkazy głosem stłumionym, a nigdy nie dojrzał, czy dobrze zostały wypełnione.

Pomimo to wszystko szło w porządku, siłą nabytego przyzwyczajenia.

Raz jeden tylko pociąg osobowy wjechał na tor niewłaściwy, wskutek nieuwagi Roubauda. Obyło się jednak bez najmniejszego wypadku, koledzy tylko mieli powód do żartów i śmiechu.

W rzeczywistości Roubaud żył teraz na pierwszem piętrze kawiarni kupieckiej, w małej salce na ustroniu, która powoli przemieniła się w zakład gry hazardowej.

Mówiono, iż co noc przychodzą tam kobiety; naprawdę jednak, bywała tam tylko jedna, kochanka kapitana z rezerwy, mająca co najmniej lat czterdzieści. Grywała zapamiętale, z namiętnością bezprzykładną.

Pomocnik zawiadowcy zadawalał tam żądzę ponurą, jaka zbudziła się w nim nazajutrz po dokonaniu morderstwa, przypadkowo, przy partyi pikiety.

Żądza ta zmieniła się następnie w przyzwyczajenie, kierujące całem jego życiem, w rozrywkę, która jedynie zapewniała mu chwile przyjemne i sprawiała, iż zapomniał o przeszłości.

Namiętność ta opanowała go do tego stopnia, iż zapomniał o wszystkiem, niczego nie żądał, nic nie potrzebował, gra starczyła mu za wszystko.

Powodem tego stanu nie były wyrzuty ani też potrzeba zapomnienia przeszłości, lecz w chwili wstrząśnienia, w której rozprzęgło się jego pożycie domowe, wśród tej egzystencyi zniszczonej, znalazł sposób zapełnienia tej próżni, wywołanej zburzeniem szczęścia egoistycznego, znalazł pocieszenie, z którego sam mógł korzystać.

Wszystko zniknęło w głębi tej namiętności, która dokonała rozkładu ostatecznego. Alkohol nie mógł mu zapewnić chwil szczęśliwszych, szybciej upływających, swobodniejszych.

Uwolnił się od trosk codziennych, od owych drobnych kłopotów, które go nieraz do wściekłości doprowadzały. Czuł się zupełnie zdrowym, z wyjątkiem zmęczenia, które odczuwał po tylu nieprzespanych nocach. Stłuściał nawet cokolwiek, ale za to stał się ciężki, cerę miał żółtą, powieki jakby ołowiane, ruchy ospałe. Powracając do domu, wnosił weń za sobą wszechwładną obojętność.

Owe trzysta franków w złocie, które zabrał z pod podłogi, potrzebne mu były na zapłacenie długu panu Cauche, komisarza bezpieczeństwa, do którego wciąż przegrywał.

Pan Cauche był to gracz namiętny lecz zimny, co go czyniło strasznym wobec przeciwników. Mówił zawsze, iż gra jedynie dla przyjemności, musiał bowiem jako urzędnik i dawny wojskowy, zachować pewne pozory, nie przeszkadzało mu to jednak spędzać częstokroć całe noce w ustronnej salce kawiarni kupieckiej i zgarniać wszystkie pieniądze swych partnerów.

Złośliwi, co prawda, opowiadali, iż czynności jego służbowe w niezupełnym znajdują się porządku, i że nawet miano mu niezadługo zaproponować, aby się podał do dymisyi.

Ciągnęło się to jednak jakoś z dnia na dzień, roboty widocznie miał niewiele, pocóż więc wymagać więcej staranności. Dosyć i tak już było, jak sądził, iż codziennie pokazywał się przez chwilę na dworcu kolejowym, gdzie każdy oddawał mu ukłon.

W trzy tygodnie później Roubaud zadłużył się u pana Cauche na czterysta franków. Tłómaczył się, iż spadek, jaki otrzymała jego żona, pozwala mu na podobne małe wybryki, lecz zaraz dodawał z uśmiechem, że klucze od kasy spoczywają w rękach małżonki, dlatego w wypłacie długów karcianych nie może być punktualnym; każdy jednak może być pewnym, iż odbierze w całości, co mu się należy.

Kilka dni później będąc sam w domu, podniósł płytę posadzki i wyjął bilet tysiąc frankowy. Trząsł się cały przy tej czynności Daleko łatwiej szło mu przedtem ze złotem. Tamto uważał tylko za pożyczkę, którą zwróci, gdy szczęście mu posłuży, gdy tymczasem teraz, zabierając bilet tysiącfrankowy, popełniał kradzież.

Mrowie przechodziło go na myśl o tych pieniądzach przeklętych, których nie miał nigdy poruszyć. Dawniej przysiągł przecież, iż gotówby był umrzeć z głodu, nie dotknąwszy tych pieniędzy. I nie mógł sobie w żaden sposób wytłómaczyć, gdzie i w jaki sposób znikły te skrupuły, zapewne codzień powoli, przy powolnem trawieniu się wspomnień o dokonanem morderstwie.

W głębi tej dziury czuł coś wilgotnego, coś sprawiającego mdłości Ze wstrętem dotykał tych pieniędzy.

Założył prędko taflę na swoje miejsce, przycisnął ją nogą i znów przysiągł, że pierwej rękę sobie uciąć pozwoli aniżeli tam jeszcze raz zajrzy.

Obejrzał się następnie, czy go przypadkiem żona nie szpieguje, jak owej nocy, gdy wyjmował złoto.

Nie było jej.

Odetchnął swobodnie, a na pokrzepienie wypił szklankę wody. I serce znów biło mu wesoło na myśl, że zapłaci dług zaciągnięty i że tyle mu jeszcze pieniędzy zostanie na dalszą grę.

Ale gdy przyszło zmienić ten bilet tysiącfrankowy, straszna obawa go opanowała. Dawniej był odważniejszy, nie bałby się, gdyby nie to głupstwo, iż wmieszał żonę do tej całej sprawy.

Dziś, na samo wspomnienie o żandarmach, na czoło jego występował pot zimny.

Daremnie wmawiał w siebie, że sąd nie ma zapisanych numerów pieniędzy zaginionych, że proces cały został już na zawsze pogrzebany w aktach sądowych, strach przejmował go za każdym razem, gdy wstąpił gdziekolwiek w celu zmienienia tego nieszczęsnego biletu.

Przez pięć dni nosił go przy sobie. Przyzwyczaił się tak, że musiał go czuć ciągle, dotykać każdej chwili, nie rozstawać się z nim nawet w nocy. Obmyślał najrozmaitsze sposoby, a wszystkie rozbijały się o nieprzewidzianą przeszkodę.

Najpierw zamyślał dokonać wymiany na dworcu kolei. Mógłby udać się do pierwszego lepszego z kolegów,

gdy otrzymają pensyę. Po chwili namysłu, myśl ta wydała mu się nadzwyczaj niebezpieczną.

Lepiej pójść na drugi koniec miasta, naturalnie bez czapki urzędowej, i zmienić tam, kupując jakąś drobnostkę. Tak, ale czy to nie wywoła zdziwienia, iż na zapłacenie przedmiotu kosztującego najwyżej kilka franków, rozmienia bilet tysiącfrankowy?

Nie... najlepiej uczyni, udając się do składu tytoniu, gdzie bywa codziennie. Tam wiedzą przecież, iż odziedziczył spadek, nikt się więc nie zadziwi .. Sposób to najprostszy.

Poszedł natychmiast. Doszedłszy do drzwi, zawahał się, powrócił na ulicę, przechadzał się nad brzegiem morza, dla nabrania odwagi. Po upływie pół godziny powrócił, nie mógł się jednak zdecydować.

Wieczorem, przyszedłszy do kawiarni kupieckiej, zastał tam już pana Cauche.

Bojąc się, aby mu nie przypomniano długu niezapłaconego, a przytem chcąc się pochwalić, wydobył z kieszeni bilet tysiącfrankowy i podał go gospodyni, z prośbą o zmianę.

Gospodyni nie miała drobnych, posłała więc chłopca usługującego do składu tytoniu.

Śmiano się i żartowano z powodu tego biletu, który był zupełnie nowy, a jednak nosił datę dziesięć lat wcześniejszą.

Komisarz bezpieczeństwa, oglądając go pod światło, zauważył wesoło, iż musiał prawdopodobnie cały ten czas przeleżeć w jakiej głębokiej dziurze.

Uwaga ta nastręczyła kochance kapitana rezerwy sposobność do opowiedzenia bardzo długiej historyi o majątku ukrytym, a później znalezionym pod marmurową posadzką.

Tygodnie mijały, a pieniądze, znajdujące się w rękach Roubauda, rozgorączkowywały jeszcze bardziej jego namiętność. Nie grał co prawda o wielkie stawki, lecz nieszczęście prześladowało go tak stale, tak uporczywie, iż małe przegrane, zebrane razem, stanowiły znaczną sumę.

W końcu miesiąca znalazł się już bez centima, nawet zadłużył się na parę ludwików. Musiał zaprzestać gry. Doprowadzało go to do rozpaczy, omal się nie rozchorował. A jednak walczył i trzymał się mocno.

Myśl, że dziewięć takich samych nowiuteńkich biletów tysiącfrankowych spoczywa sobie jaknajspokojniej tam, pod posadzką w pokoju jadalnym, nie dawała mu spoczynku, naprzykrzała się dniem i nocą.

Powiedzieć, że gdyby tylko chciał, mógłby wziąć jeszcze! Nie... nie... przecie przysiągł... Pierwejby rękę włożył w ogień... nie!.. nie zajrzy już więcej pod tę taflę przeklętą.

A jednak widział je tam, widział nawskroś, jakby ta tafla była szklaną. Jeśli stąpił na nią przypadkowo, czuł iż pieniądze te parzą mu nogi.

Pewnego wieczora, gdy Seweryna wcześnie zasnęła, opanował go taki smutek, iż łez nie mógł powstrzymać. Pocóż opierać się daremnie? po co cierpieć tyle?

Przybliżył się do tafli i podniósł ją, przejęty uczuciem gniewu na samego siebie.

Nie mógł się już tym razem przezwyciężyć. Czyż to warto tak się męczyć? Ostatecznie musi dojść do tego, iż wybierze te bilety jeden po drugim.

Na drugi dzień zrana Seweryna zauważyła przypadkowo, iż tafla świeżo była podejmowaną, gdyż na brzegu widniał ślad od noża, którego dotąd nie dojrzała.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości... mąż znowu zabiera pieniądze.

Zadziwiło ją uczucie gniewu, jakiego doznała w tej chwili, dawniej było jej to zupełnie obojętnem, tembardziej że i ona postanowiła nie tykać tych pieniędzy, choćby jej przyszło umrzeć z głodu.

Nie... nie... za nic w świecie nie dotknęłaby tych pieniędzy, krwią splamionych. A jednak były one tak dobrze jej własnością jak i Roubauda

Dlaczego on śmie rozporządzać temi pieniędzmi, nie zapytawszy się nawet ani słowem o jej zdanie?

Do południa nie mogła się uspokoić w żaden sposób. Chciała mieć pewność pod tym względem.

A może on tam nie ruszał, może jej się tylko zdaje? Może chciał zobaczyć, czy pieniądze leżą w porządku?

Byłaby chętnie przekonała się, podnosząc taflę posadzki, lecz myśl grzebania tam samej bez Roubauda przejmowała ją dreszczem, obawą. A może tam śmierć spoczywa i wylezie z tej dziury? Ta obawa dziecinna, wznieciła w niej taki wstręt do pokoju jadalnego, iż, zabrawszy robotę, przeniosła się do swej izdebki.

Wieczorem, gdy w milczeniu spożywali resztki potrawki pozostałej z obiadu, znów opanowało ją uczucie jakieś dziwne.

Dostrzegła wyraźnie, że Roubaud od czasu do czasu spogląda ukradkiem na taflę.

— Znowu brałeś? — zapytała nagle.

Podniósł głowę zdziwiony.

— Co takiego?

— O! nie udawaj niewiniątka... rozumiesz ty mnie dobrze. Ale słuchaj: ja nie chcę, ażebyś ty zabierał... to jest tak samo moje jak i twoje... rozumiesz... a myśl, że ty zabierasz nie daje mi spokoju, czyni mnie chorą.

Roubaud zazwyczaj unikał wszelkiej sprzeczki. Pożycie ich było tylko stosunkiem dwóch istot, związanych wzajemnie, zmuszonych przepędzać dnie jedno obok drugiego, często nie mówiąc ani słowa, przesuwając się koło siebie jak ludzie obcy, obojętni, samotni.

Zamiast jakiejkolwiek odpowiedzi lub tłomaczenia, wzruszył tylko ramionami.

Seweryna była jednak zanadto rozdrażniona; postanowiła raz zakończyć tę sprawę z pieniędzmi ukrytemi pod tą taflą, prześladującemi ją od dnia popełnienia zbrodni.

— Żądam koniecznie odpowiedzi... Odważ się powiedzieć, żeś nie ruszał!

— Co ci do tego?

— To mi do tego, że mnie to boli... rozumiesz... nie daje mi spokoju... Nie dalej jak dziś... bałam się... nie mogłam siedzieć sama w tym pokoju. Za każdym razem, gdy poruszysz tę taflę, przez trzy noce przynajmniej śnią mi się najstraszniejsze rzeczy. Nie mówimy nigdy o tem, siedźże zatem cicho i nie zmuszaj mnie do mówienia.

Roubaud patrzał na nią uparcie swemi wielkiemi oczyma. Nareszcie odezwał się ociężale:

— Co ci do tego, czy ruszam czy nie ruszam, jeżeli tobie ruszać nie każę. Moje sprawy mnie tylko obchodzą.

Zrobiła ruch gwałtowny lecz się powstrzymała. Po chwili odezwała się wzburzona z widocznym wyrazem cierpienia i wstrętu na twarzy:

— Nie... ja cię nie rozumiem!.. byłeś pomimo wszystkiego, człowiekiem niby uczciwym. Nie byłbyś zabrał nikomu jednego nawet centima... To, co zrobiłeś... możnaby jeszcze wybaczyć... byłeś szalony... i mnie do szaleństwa doprowadziłeś... Lecz te pieniądze... o!.. te pieniądze wstrętne, które nie powinny istnieć dla ciebie, a które ty wykradasz powoli dla przyjemności. Co się z tobą dzieje?.. jak mogłeś upaść tak nisko!..

Słuchał spokojnie. Przez chwilę uczuł rzeczywiście prawdę tych słów, nawet zdziwił się, iż doszedł aż do tej kradzieży. Poczucie tego występku zatarła w nim demoralizacya, roztaczająca powoli swe skrzydła.

Nie mógł sobie jasno zdać sprawy z tego położenia, nie mógł nawiązać węzłów, przeciętych nagle w chwili popełnienia zbrodni gwałtownej, nie mógł sobie wytłomaczyć, jak się rozpoczęła ta nowa egzystencya, nowe prawie życie, obok żony, unikającej go, wrogo prawie usposobionej.

Po chwili uczynił ruch, jakby się chciał pozbyć myśli natrętnych.

— Kiedy się człowiek nudzi w domu — mruczał — szuka rozrywki po za domem.. Nie kochasz mnie... więc...

— O, tak... nie kocham cię!..

Spojrzał na nią gwałtownie, uderzył pięścią w stół, twarz krwią mu nagle nabiegła.

— A więc daj mi spokój... Czy ja przeszkadzam ci się bawić?.. Czy ja ci co mówię?.. Człowiek uczciwy dużoby musiał zrobić na mojem będąc miejscu, a ja nic nie robię... Najpierw powinienem cię kolanem za drzwi wyrzucić... potem... potem możebym i nie kradł...

Pobladła jak ściana. Nieraz już myślała, że gdy człowiek zazdrosny oddany jest na łup zła wewnętrznego do tego stopnia, że wybacza swej żonie nawet kochanka, to widocznie musi ulegać gangrenie moralnej, toczącej go szybko, zabijającej wszelkie skrupuły, głuszącej nawet głos sumienia.

A jednak opierała się, nie chciała przyjąć winy na siebie, krzyczała:

— Zabraniam ci dotykać tych pieniędzy!.. rozumiesz!..

Dokończył kolacyi, spokojnie rozwiązał serwetę, złożył ją, wstał i odezwał się tonem szyderczym:

— Jeżeli tak chcesz koniecznie... to się podzielimy.

I pochylił się, jakby chciał podnieść taflę.

Zerwała się gwałtownie, stanęła na niej obiema nogami.

— Nie!.. nie!.. wiesz dobrze, że wolałabym umrzeć!.. nie otwieraj... przynajmniej nie przy mnie!..

Seweryna tego wieczora miała się spotkać z Jakóbem, za stacyą towarową.

Gdy powróciła po północy, przyszła jej na myśl scena wieczoru minionego.

Zamknęła drzwi swego pokoju na dwa spusty. Roubaud pełnił służbę nocną, nie obawiała się więc, że przyjdzie spać, co zresztą przydarzało się bardzo rzadko.

Nie zgasiła lampy, przyćmiła ją tylko, nakryła się kołdrą pod brodę; nie mogła zasnąć.

Dlaczego wzbraniała się przed proponowanym podziałem? Uczciwość jej już nie oburzała się na myśl, że mogłaby korzystać z tych pieniędzy. Czyż nie przyjęła zapisu Croix-de-Maufras? Mogła tak samo wziąć i pieniądze. Przecie to wszystko jedno.

Po chwili wstręt powrócił. Nie... nie... nigdy! Tych pieniędzy nie śmiałaby nigdy dotknąć... spaliłyby jej dłonie... pieniądze te skradzione zostały umarłemu... pochodziły ze strasznej zbrodni...

I znów się uspokoiła. Zaczęła rozmyślać, przecie mogłaby je wziąć bez zamiaru wydania dla swej przyjemności... przeciwnie... schowałaby je gdzieindziej, zagrzebałaby je w miejscu, jej tylko znanem, gdzieby leżeć mogły spokojnie wieczność całą; przynajmniej połowę tej sumy uratowałaby przed chciwością męża. Nie tryumfowałby, zatrzymując wszystko, nie przegrałby tego, co było jej własnością.

Przyszła jej myśl do głowy, nie wyraźna jeszcze, nie całkiem ukształtowana, daleka: wstać, pójść do pokoju jadalnego, wyjąć wszystko... onby już nie wziął więcej. Zimno jej się zrobiło, nie chciała myśleć o tem...

Zabrać wszystko, zatrzymać wszystko... onby się nie ośmielił nawet słowem odezwać!..

Projekt ten powoli przybierał kształty coraz wyraźniejsze. Jakaś wola silniejsza, niż jej opór, wzmagała się

w nieznanych głębiach jej istoty. Nie uczyniłaby tego... nie... nie chciałaby tego uczynić... i wyskoczyła z łóżka, bo nie mogła inaczej.

Podniosła płomień lampy i poszła do pokoju jadalnego.

Od tej chwili już nie drżała, bojaźń gdzieś zniknęła. Postępowała spokojnie, zimno, powoli, uważnie, jak lunatyczka.

Poszukała pogrzebacza, którym podnoszono taflę. Odkrywszy dziurę nie mogła zajrzeć do wnętrza, przysunęła lampę bliżej.

Zdumienie nagłe przykuło ją na miejscu, klęczała pochylona martwa: dziura była pusta.

Widocznie w chwili, gdy poszła na schadzkę z Jakóbem, Roubaud wrócił na górę z tą samą myślą, która ją tu przywiodła: zabrać wszystko, zatrzymać wszystko.

I tak też uczynił... zostawił tylko zegarek z łańcuszkiem, błyszczący wśród kurzawy z wapna i gruzu.

Wściekłość zatrzymała ją na chwilę prawie zdrętwiałą, na pół nagą, powtarzającą głośno po dwadzieścia razy:

— Złodziej! złodziej! złodziej!..

Następnie ruchem gwałtownym pochwyciła zegarek, a pająk duży czarny, zbudzony ze spoczynku, uciekał po wapnie.

Nogą przytłoczyła taflę ułożoną na swem miejscu i powróciła do łóżka, postawiwszy lampę na nocnym stoliczku.

Gdy się cokolwiek rozgrzała, zaczęła starannie oglądać zegarek, który dotąd trzymała w zaciśniętej pięści;

obracała go na wszystkie strony, przyglądała mu się długo.

Na kopercie wierzchniej wyrznięty był monogram prezesa, złożony z początkowych liter jego imienia i nazwiska. Wewnątrz wyczytała cyfrę 2516, numer fabryczny.

Przedmiot to bardzo niebezpieczny do przechowania. Sąd znał tę cyfrę. Ale w złości, iż nic nie mogła uratować prócz tego jednego, nie czuła nawet obawy.

Zdawało jej się, iż ta zmora, prześladująca ją po nocach, już więcej nie powróci; już niema tego trupa pod posadzką!..

Nareszcie będzie mogła chodzić spokojnie po swem mieszkaniu, gdzie jej się podoba.

Wsunęła zegarek pod poduszkę, zgasiła lampę i zasnęła.

Na drugi dzień Jakób, mając właśnie urlop, oczekiwał chwili gdy Roubaud pójdzie do kawiarni kupieckiej, aby zajść do Seweryny na śniadanie. Od pewnego czasu często urządzał się w ten sposób.

Tego dnia, jedząc, drżąca jeszcze cała, mówiła mu o pieniądzach prezesa, opowiadała, w jaki sposób znalazła kryjówkę pustą.

Wściekłość jej przeciw mężowi nie uspokoiła się; złość jej objawiała się w słowie, powtarzanem bezustannie:

— Złodziej! złodziej! złodziej!

Potem przyniosła zegarek i chciała go koniecznie dać Jakóbowi, pomimo że się wzbraniał od przyjęcia tego podarunku.

— Zrozum że, mój drogi, że przy tobie nikt go szukać nie będzie. Jeżeli ja go zatrzymam, on mi jeszcze i to zabrać gotów, a ja wolałabym teraz dać sobie wyrwać kawałek ciała. Nie... on już ma za dużo. Nie chciałam tych pieniędzy, przejmowały mnie wstrętem, nie byłabym z nich nigdy wydała ani jednego centima... Ale czy on miał prawo korzystać z nich?.. co?.. o!.. nienawidzę go!.. nienawidzę!..

Płakała, prosiła, błagała, aż wreszcie Jakób schował zegarek do kieszeni w kamizelce.

Dłużej niż godzinę siedziała obok niego napół ubrana, z głową, przechyloną na jego ramię, a ręką otoczywszy go za szyję pieszczotliwie.

Nagle wszedł Roubaud, mający swój klucz od mieszkania.

Skokiem raptownym znalazła się koło stołu.

Było to jednak pochwycenie na gorącym uczynku, nie ulega wątpliwości.

Mąż zatrzymał się na chwilę koło drzwi.

Jakób siedział pomieszany.

Seweryna nie starała się nawet wytłomaczyć, z wściekłością tylko podeszła ku Roubaudowi, powtarzając:

— Złodziej! złodziej! złodziej!

Roubaud zawahał się przez chwilę, potem zamiast odpowiedzi wzruszył ramionami, wszedł do pokoju, wziął jakąś notatkę służbową, której widocznie zapomniał.

Seweryna jednak szła za nim wciąż powtarzając:

— Zabrałeś wszystko!.. ośmiel się powiedzieć, żeś nie zabrał!.. o! złodziej!.. złodziej!.. złodziej!..

Nie mówiąc ani słowa, przeszedł przez pokój jadalny; doszedłszy do drzwi, obejrzał się na Sewerynę wzrokiem ponurym:

— Czy ty mi dasz spokój?. Hę?..

I wyszedł, nie zamknąwszy nawet drzwi za sobą.

Zdawało się, iż nic nie widział. Nie zwrócił nawet uwagi na Jakóba, który nie śmiał ruszyć się z miejsca.

Po jego wyjściu zapanowało długie milczenie.

Wreszcie Seweryna, zwróciwszy się do Jakóba, zapytała:

— Czy to do uwierzenia?

Jakób teraz wstał dopiero.

— Ten człowiek już z sobą skończył.

W tej kwestyi zgadzali się na jedno. Mąż, zabijający jednego kochanka, a tolerujący innego, może budzić tylko odrazę.

Gdy człowiek dochodzi do tego stopnia, znaczy to, iż zanurzył się w błoto i może się walać po wszelkich rynsztokach.

Od tego dnia Jakób i Seweryna byli zupełnie swobodni, nie zwracali uwagi na Roubauda.

Teraz jednak, gdy mąż ich wcale nie obchodził, inny znów mieli kłopot, a mianowicie, szpiegowanie ze strony pani Lebleu, sąsiadki, która wiecznie stała na czatach. Musiała się ona czegoś domyślać.

Daremnie Jakób tłumił odgłos swych kroków. Za każdą wizytą widział, jak drzwi uchylają się nieznacznie, a przez maleńką szparę wygląda oko ciekawe.

To stawało się coraz bardziej nieznośnem; nie śmiał już przychodzić na górę, jeżeli się bowiem odważył, zaraz

wiedziano o jego przybyciu, koło dziurki od klucza znalazło się wnet ucho, zdradzające się szmerem, tak, że nie można się było pocałować, ani nawet rozmawiać swobodnie.

Seweryna, rozdrażniona temi przeszkodami, jakie stawiano jej miłości, rozpoczęła dawną walkę przeciw Lebleu chcąc odebrać im mieszkanie.

Wiadomem było powszechnie, iż mieszkanie to prawnie należało do pomocnika zawiadowcy.

Nie chodziło Sewerynie o widok wspaniały, o te okna na dworzec, gdzie odjeżdżały pociągi, i na wyżyny Igounville.

Jedyną przyczyną jej żądania, o czem zresztą nikomu nie mówiła, było to, iż mieszkanie miało drugie wyjście, drzwi otwierające się na schody służbowe.

Jakób mógłby wchodzić i wychodzić, a nikt, nawet pani Lebleu, nie domyślałaby się tych wizyt. Nareszcie byliby wolni.

Walka była zaciętą. Kwestya ta dawniej już roznamiętniała wszystkich mieszkańców korytarza, obecnie zajątrzała się z dniem każdym.

Pani Lebleu, zagrożona, broniła się rozpaczliwie. Umarłaby na pewno gdyby ją zamknięto w mieszkaniu ponurem, jak więzienie, z oknami zasłoniętemi blaszaną markizą. Jakżeby ona mogła żyć w tej dziurze, ona, przyzwyczajona do swego pokoju jasnego, z oknami na daleki horyzont, zkąd widać było ciągły ruch podróżnych.

Nogi nie pozwalały jej na przechadzkę po za dworcem kolei, a więc nigdyby już nic więcej nie widziała, tylko ten dach cynkowy!.. Toby ją zabiło.

Na nieszczęście były to tylko przyczyny nie wystarczające, musiała przyznać, że mieszkanie należało do dawnego pomocnika zawiadowcy, poprzedzającego Roubauda, który, będąc bezżennym, ustąpił to mieszkanie przez wrodzoną mu galanteryę. Powinien być nawet gdzieś list, w którym mąż jej zobowiązał się opuścić mieszkanie natychmiast, gdy tego nowy pomocnik zawiadowcy zażąda.

List ten gdzieś się zapodział, a pani Lebleu twierdziła, iż nic podobnego mąż jej nie pisał i do niczego się nie zobowiązywał.

O ile sprawa się pogarszała, o tyle pani Lebleu stawała się zjadliwszą, złośliwszą. Starała się przeciągnąć na swoją stronę żonę drugiego pomocnika zawiadowcy, pana Moulin, a to w ten sposób, iż zamierzyła wmieszać ją do plotek i historyj, obiegających po dworcu kolei.

Pomiędzy innemi zaczęła opowiadać że pani Moulin widziała — jak to sama mówiła — że mężczyźni całowali na schodach panią Roubaud.

Moulin rozgniewał się bardzo, usłyszawszy coś podobnego; żona jego, kobieta łagodna, nie wtrącająca się do nikogo i do niczego, której nikt nawet nigdy nie spotykał, płacząc, przysięgała, iż nie tylko nic podobnego nie mówiła, ale nawet i nie widziała.

Burza wyła przez tydzień na całym korytarzu.

Największym błędem, który przyczynił się do upadku pani Lebleu, było ciągłe szpiegowanie panny Guichon. Stało się to u niej manią.

Umyśliła sobie, iż biuralistka co noc odwiedza zawiadowcę i myśli tej, w żaden sposób pozbyć się nie mogła.

Potrzeba przekonania się, podchwycenia ich, stała się u niej chorobliwą, tem gorszą, iż stanowczo niczego się na pewno dowiedzieć nie mogła.

Od lat dwóch, odkąd powzięła podejrzenia i zaczęła ich szpiegować, nie dostrzegła nic, ale to nic zupełnie, najmniejszy cień podejrzenia nie mógł być usprawiedliwiony. A jednak wewnętrznie była najmocniej przekonaną o prawdzie swych twierdzeń. To doprowadzało ją do szaleństwa.

Panna Guichon, również rozgniewana najokropniej, doprowadzona prawie do wściekłości, iż od dwóch lat nie może się krokiem ruszyć, aby jej nie szpiegowano, starała się wszelkiemi sposobami, aby tylko wyrzucić panią Lebleu z zajmowanego mieszkania. Oddzielałoby ją przynajmniej kilka pokoi, nie mieszkałaby na przeciwko swej nieprzyjaciołki, nie byłaby zmuszona za każdym razem przechodzić koło tych drzwi znienawidzonych.

Skutkiem tego i pan Dabadie, zawiadowca stacyi, który dotąd w całej tej kwestyi zachowywał się obojętnie, obecnie z dniem każdym przechodził na stronę przeciwną pani Lebleu. Był to bardzo zły znak dla niej.

Codzienne kłótnie, pogarszały jeszcze położenie. Filomena przychodziła codziennie do Seweryny, przynosząc jej świeże jajka. Ilekroć spotkała panią Lebleu, odzywała się do niej zuchwale, a gdy ta naumyślnie zostawiała drzwi otwarte, ażeby tylko wszystkim dokuczyć, pomiędzy temi dwiema kobietami rozlegała się ciągła kłótnia, i to nie zawsze w przyzwoitych toczona wyrazach.

Otwartość i poufałość pomiędzy Seweryną a Filomeną doszła wkrótce do tego stopnia, iż ostatnia spełniała często najrozmaitsze polecenia Jakóba i nosiła jego listy, kiedy sam nie mógł przyjść do mieszkania Seweryny.

Urządzała schadzki, tłómaczyła, dlaczego dnia poprzedniego nie mogli się widzieć, opowiadała, gdzie Jakób ten czas spędził i co robił.

Jeśli jaka ważna przeszkoda nie pozwoliła przyjść mu na górę, natenczas zwykle, chcąc się w jakikolwiek sposób rozerwać, przychodził do małego domku Sauvagnata, dozorcy magazynów i gawędził z Filomeną.

Nieraz udawał się tam wraz ze swym palaczem Pecqueux, spędzenie bowiem choćby jednego wieczora w samotności wydawało mu się strasznem.

Zdarzało się czasami iż Pecqueux zabłądził do jakiejkolwiek szynkowni nad brzegiem morza, gdzie czas szybko mu ubiegał w towarzystwie kolegów i marynarzy, Jakób wówczas wstępował do Filomeny, aby jej słów kilka powiedzieć i tak się wkrótce zagadał, iż zapomniał zupełnie o wyjściu.

Filomenie zwierzenia te przypadały bardzo do gustu; ona znała tylko miłość brutalną. Drobne ręce, obejście grzeczne tego chłopca smutnego, o łagodnym wyrazie twarzy, wszystko to było w jej pojęciu przysmaczkiem, którego nigdy jeszcze nie kosztowała.

Gdy przychodziła do Seweryny, ze słowami czułej wymówki lub tęsknego niepokoju, jakie miała wypowiedzieć ze strony Jakóba, zdawało jej się, iż czuje wytworny smak tego owocu zakazanego.

Pewnego dnia zwierzała się przed Jakóbem ze swych trosk i skarżyła się na Pecqueux. Był on, mówiła, zawsze pochmurny, pomimo swego uśmiechu, bił ją nieraz, zwłaszcza gdy był pijany.

Jakób zauważył, że od pewnego czasu Filomena była staranniejszą o czystość swego ubrania i mieszkania, piła mniej i starała się przypodobać maszyniście.

Jej brat, Sauvagnat, usłyszawszy pewnego wieczora głos mężczyzny, wbiegł szybko do pokoju z ręką podniesioną, gotową do uderzenia; poznawszy jednak Jakóba, który najspokojniej rozmawiał z Filomeną, zaprosił go na butelkę jabłecznika.

Jakób, przyjmowany chętnie, upodobał sobie wkrótce dom Sauvagnatów, a Filomena czuła coraz żywszą przyjaźń dla Seweryny, nienawiść zaś dla pani Lebleu, która ani na chwilę nie zaprzestała szpiegowania wszystkich osób, zamieszkałych na tym samym co ona korytarzu.

Pewnej nocy, spotkawszy Jakóba i Sewerynę koło swego ogródka, odprowadziła ich aż do remizy, gdzie zwykle się ukrywali.

— O... pani jesteś za grzeczną — mówiła do Seweryny — to mieszkanie należy przecie do pani... jabym ją ztamtąd za włosy wyciągnęła. Chcesz pani? ja to zrobię, o!.. mnie to przyjdzie z łatwością.

Jakób jednak nie chciał dopuścić do jakiejkolwiek awantury.

— Nie, nie, pan Dabadie sam się tem zajmuje, lepiej poczekać, aż się rzeczy jakoś same ułożą.

— Przed upływem miesiąca — oświadczyła Seweryna — jej mieszkanie będzie mojem, a my będziemy się mogli widywać każdej chwili.

Pomimo cieniów nocy, Filomena czuła, jak przy tych słowach Seweryna uścisnęła rękę Jakóba; pożegnała się z nimi.

Odszedłszy jednak ze trzydzieści kroków, zatrzymała się. Ścigała ich wzrokiem pośród ciemności. Czuła dziwne jakieś wrażenie, wiedząc, iż są razem. A jednak nie była zazdrosną. Bezwiednie potrzebowała kochać i być kochaną.

Jakób stawał się pochmurniejszym z dniem każdym. Już dwa razy, mogąc się widzieć z Seweryną, wynajdywał sposoby, aby tego spotkania uniknąć. Czasami zasiedział się za długo u Savaugnatów, jedynie tylko dlatego aby jej uniknąć. Pomimo to kochał on bardzo, miłość jego nie tylko się nie zmniejszyła, ale przeciwnie wzrosła jeszcze bardziej. Tylko ilekroć pochwycił ją w swe ramiona, szalona namiętność, chęć mordu, zamieniająca człowieka w zwierzę, opanowywała go całą siłą.

Męczący ten stan starał się zwalczyć wysiłkiem pracy, ubiegał się o nadliczbowe godziny pracy. Czternaście do szesnastu godzin spędzał na machinie, powracał do domu, zmęczony trudem, z płucami spalonemi od wiatru Koledzy jego skarżyli się na ciężki zawód maszynisty, który, jak powiadali, w przeciągu lat dwudziestu niszczył człowieka. On, chcąc być zniszczonym natychmiast, nie upadał ze znużenia, czuł się jedynie szczęśliwy, jadąc całą siłą pary na Lizie, nie myśląc o niczem, nie widząc nic, tylko sygnały ostrzegawcze.

Powróciwszy do domu, rzucał się natychmiast na łóżko i zasypiał snem twardym, nie mając nawet czasu umyć się z kurzu i dymu. A jednak gdy się budził, straszne myśli tłumnie napływały mu do głowy.

Lizę zaczął znów utrzymywać we wzorowym porządku, spędzając po kilka godzin przy jej czyszczeniu i żądając od Pecqueuxa, aby części stalowe świeciły się jak srebro.

Inspektorzy, wsiadający czasami po drodze na machinę, chwalili go i winszowali mu takiej lokomotywy. On wstrząsał tylko głową i milczeniem pokrywał swe niezadowolenie, wiedział bowiem, że Liza, od czasu uderzenia o nasyp śnieżny, nie jest już tak dzielną, tak zdrową jak dawniej, w czasie naprawy stempli i szufladek; musiała prawdopodobnie stracić tę duszę, którą zawdzięczała jedynie przypadkowi.

Martwiło go to bardzo, udawał się do władz swoich, żądając ciągłej naprawy, a żądania jego uznawano za bezcelowe i bezpożyteczne; to znów czyniło go jeszcze bardziej ponurym.

Czułość jego dla Lizy zmniejszała się z dniem każdym, zresztą po co kochać? — myślał — jeśli dochodził tylko do tego, że chciałby zabić wszystko, co kocha?

Seweryna czuła tę zmianę widoczną. I ona również chodziła zmartwiona, sądząc iż ona sama jest powodem tej zmiany. Przypisywała ją niebacznemu wyznaniu i zwierzeniu

Nieraz zauważyła jak Jakób drżał, nachylając się ku jej szyi, gdy chciała go pocałować, usuwał się gwałtownie zapewne — myślała — przypominał sobie to opowiadanie

o morderstwie i uczuwał wstręt do tej, która była wspólniczką strasznej zbrodni.

Nie ośmieliłaby się już nigdy mówić o tych rzeczach, żałowała obecnie, iż to dawniej uczyniła. A jednak kochała go obecnie bardziej niż dawniej, kiedy o niczem nie wiedział. Namiętność to była nienasycona.

Seweryna stała się kobietą rozwiniętą, istotą stworzoną jedynie do pieszczoty, kochającą, a nie mogącą stać się matką. Żyła jedynie dla Jakóba. Zawsze bierna i łagodna, obok niego jedynie znajdowała przyjemność, chciałaby spędzić życie jak kotka, drzemiąc od rana do wieczora na jego kolanach.

Po krwawym strasznym dramacie pozostało jej jedynie wspomnienie, rodzaj źdźiwienia, że do tego wszystkiego była wmieszaną. Do męża nie czułaby zresztą i teraz wielkiej urazy, gdyby tylko nie krępował jej swobody. Nienawiść do tego człowieka zwiększała się, w miarę o ile wzrastała jej miłość namiętna dla Jakóba.

On obecnie był jej panem, za nim poszłaby wszędzie, mógł nią rozporządzać jak rzeczą, jak swoją własnością. Kazała sobie zrobić jego fotografię; spała z nią, nie mogąc zasnąć inaczej, jak tylko trzymając usta na tym kartonie. Czuła się nieszczęśliwą, od chwili gdy widziała, iż on cierpi, a nie mogła odgadnąć prawdziwej przyczyny tego cierpienia.

Schadzki ich pomimo to trwały ciągle. Widywali się ukradkiem, czekając spokojnie chwili, które będą mogli spędzać spokojnie, bez obawy, w nowo zdobytem mieszkaniu

Zima skończyła się, luty był bardzo łagodny. Korzystali z tego, przechadzając się całemi godzinami wśród pustych budynków stacyjnych.

Jakób unikał jej uścisków, pocałunków, a gdy już nie mógł się uchylić, wymagał, aby się to działo pociemku, gdyż obawiał się, że, zobaczywszy kawałek choćby najmniejszy, ciała nagiego, nie mógłby się oprzeć gwałtownej żądzy morderstwa.

W Paryżu, gdzie Seweryna przyjeżdżała regularnie co piątek, zapuszczali firanki i zamykali szczelnie okiennice.

Podróż tę odbywała Seweryna, nie tłomacząc się bynajmniej mężowi. Dla sąsiadów wystarczał powód dawny, ból w kolanie; mówiła też, iż jedzie odwiedzić swą mamkę matkę Wiktoryę, która przychodziła powoli do zdrowia w szpitalu.

Oboje znajdowali wielką rozrywkę w tej wycieczce. On zwracał największą uwagę, aby Liza była w porządku, ona cieszyła się, widząc go mniej ponurego, niż zwykle. Bawiła ją i podróż sama, jakkolwiek zaczynała już znać na pamięć najmniejszy pagórek, najmniejszą gromadkę drzew stojących przy drodze.

Przejeżdżając koło Croix-de-Maufras, czy to rano czy też wieczorem, spoglądała ciekawie, nie wychylając głowy, pewna, że koło baryery ujrzy Florę, stojącą z chorągiewką, zwiniętą w pokrowcu i płomiennym wzrokiem obejmującą cały pociąg.

Jakób zwrócił uwagę Seweryny, aby nie dowierzała tej dziewczynie, od chwili gdy była ona świadkiem ich uścisków, w dniu, kiedy pociąg, zatrzymany został wśród

zaspy śnieżnej. Domyślał się, jak daleco to dziewczę dzikie może być zazdrosne, zresztą wiedziała ona dużo rzeczy, które mogłyby wielce zaszkodzić Roubaudom, gdyby o nich opowiadała. Przypomniał sobie, jak pewnego razu wspomniała o stosunkach pewnej panienki z prezesem, która następnie wyszła za mąż.

Gdyby się o tem dowiedziano, gdyby tak chciała donieść o tem do sądu, łatwo możnaby wpaść na trop zbrodni, popełnionej na Grandmorrinie.

Mijały jednak dnie i tygodnie, a nic nie zdradzało jakichkolwiek kroków ze strony Flory. Stała spokojnie, jak skamieniała. Zdaleka już Jakób czuł jej spojrzenie na sobie. Pomimo dymu widziała go i odprowadzała wzrokiem, dopóki pociąg nie zniknął na zakręcie.

Wiedziała ona dobrze o Sewerynie, przejeżdżającej co piątek i pomimo, że ta wychylała głowę tyle tylko, aby ujrzeć w przelocie swą posiadłość, nie mogła jednak ustrzedz się spojrzenia Flory.

Wzrok ich krzyżował się jak szpady. Pociąg znikał a Flora ścigała go wciąż wzrokiem, zrozpaczona, iż nie może przeszkodzić szczęściu, znajdującemu się tam wewnątrz.

Jakób patrzył na nią za każdym razem. Zdawało mu się, iż wyrosła cokolwiek. I on niespokojnie przemyśliwał nad tem, że w tej głowie szalonej dojrzewa jakiś projekt zemsty, zdradzający się jedynie w spojrzeniu pochmurnem.

Od pewnego czasu krępował Sewerynę i Jakóba nadkonduktor, Henryk Dauvergne. Prowadził on zawsze

pociąg piątkowy i okazywał się dla żony Roubauda tak ugrzecznionym, iż się to stawało nieznośnem.

Dostrzegłszy, jakie węzły łączą Sewerynę i Jakóba, miał nadzieję, że przy stosunkach i cierpliwości, na niego też może przyjść kiedyś kolej. Starania jego były tak widoczne, iż nawet Roubaud dostrzegł ich i w każdy piątek gdy wyjeżdżano z Hawru, pokpiwał cokolwiek z nadkonduktora, który zawsze zatrzymywał osobny przedział w wagonie, pilnował aby kamionka z wodą ciepłą, ogrzewająca nogi, była w porządku, a nawet sam wprowadzał Sewerynę do wagonu i sam drzwi za nią zamykał.

Pewnego dnia Roubaud, rozmawiając z Jakóbem, wskazał mu Dauvergnea wzrokiem, wyrażającym zapytanie, dlaczego na to pozwala. Innym znów razem, w sprzeczce z Seweryną, zarzucił jej, iż obudwóch obdarza swemi względami.

Zarzut ten zmartwił Sewerynę o tyle tylko, że Jakób może myśleć tak samo i że to właśnie jest prawdopodobnie przyczyną jego smutku.

Nie mogła się powstrzymać od zwierzeń w tym względzie, i wśród wybuchów płaczu, przysięgała Jakóbowi, że jest niewinną, prosząc go, aby ją zabił, gdyby go kiedykolwiek zdradziła.

Jakób żartował, ściskał ją blady i zapewniał, iż wie o jej niewinności i ma nadzieję, że nikogo nigdy nie zabije.

Pierwsze wieczory marca były nadzwyczaj ostre i zimne. Musieli przerwać swe schadzki. Wycieczki do Paryża, te kilka godzin swobody, których należało szukać tak daleko, już nie wystarczały Sewerynie.

Wyrodziła się w niej miłość, zwiększająca się z każdym dniem, potrzebująca czuć Jakóba wciąż koło siebie, w dzień i w nocy, i nie rozłączać się z nim nigdy.

Wstręt do Roubauda wzrósł do tego stopnia, iż sama jego obecność rozdrażniała ją i wprowadzała w stan chorobliwy. Oskarżała go, że zniszczył jej życie, że nie może istnieć obok niego.

Czyż nie on winien wszystkiemu? Kto zburzył to spokojne domowe pożycie, kto w dom wprowadził kochanka?

Spokój, posunięty do granic ostatecznych, spojrzenie obojętne, jakim na wszystko spoglądał, plecy okrągłe, a brzuch tłusty, świadczący o życiu, pędzonem bez troski, wszystko to drażniło Sewerynę coraz bardziej. Ona tak cierpiała. Zerwać z tem życiem, uciec, rozpocząć inne, nowe, to było jej marzenie.

Przez tydzień wymarzyła projekt ucieczki. Wyjechałaby z Jakóbem do Belgii, tam rozpoczęliby gospodarstwo jak młodzi małżonkowie. O projekcie tym nie wspominała mu nawet, wkrótce bowiem nasunęły się najrozmaitsze trudności.

Przedewszystkiem niewyraźna pozycya, w jakiejby znaleźć się musieli, następnie obawa ciągła, aby ich ktokolwiek nie odkrył i nie zdradził, a co najważniejsza, brak środków do utrzymania. Uciekając, musiałaby zostawić Roubaudowi swój majątek, pieniądze, Croix-de-Maufras.

Nie!.. wolałaby umrzeć, aniżeli oddać mu choćby jeden centim z tego, co było jej własnością.

Pewnego dnia Roubaud wrócił na górę blady, przerażony. Opowiedział Sewerynie przypadek, jaki go dopiero co spotkał.

Przechodząc przez tor kolejowy nie dostrzegł machiny, szybko nadjeżdżającej, Uderzony buforem, w chwili gdy stał na szynie, odrzucony został w bok i cudem tylko uniknął śmierci.

I znów Sewerynie przyszło na myśl, że byłaby wolną, szczęśliwą, gdyby nie ten cudowny jakiś wypadek. Spoglądała na niego dużemi oczyma.

Dlaczego nie umiera; przecież ona go nie kocha, a on jest tylko zawadą do jej szczęścia.

Od tego czasu marzenie Seweryny w inną przyoblekło się postać. Roubaud umarł wypadkowo, a ona wyjechała z Jakóbem do Ameryki, jako żona, prawnie poślubiona. Przedtem sprzedali Croix-de-Maufras i zrealizowali cały majątek. Po za sobą nie pozostawiali nic, czegoby się mogli obawiać. Jeżeli pozbawiali się ojczyzny, to jedynie, aby odrodzić się gdzieindziej.

Tam nie przypominałoby im nic życia dawniejszego, mogliby rozpocząć nową egzystencyę. Jakób znalazłby łatwo jakiekolwiek zatrudnienie, i onaby zresztą pracowała, wkrótce mieliby dzieci, żyliby wśród pracy i szczęścia

Cały dzień będąc sama, czy to zrana w łóżku, czy też w dzień zajęta jaką robótką, ciągle o jednem i tem samem myślała. Pieściła się tym projektem, poprawiała go, przemieniała, dodawała coraz to nowe szczegóły, była chwilami szczęśliwą, wesołą, sądząc, iż to wszystko już się spełniło.

Ona, co tak rzadko dawniej wychodziła z domu, obecnie wybiegała co chwilę na brzeg morza, patrzyła na statki odjeżdżające, zdawało jej się, że już jest z Jakóbem na pokładzie, zdaleka od Francyi, na drodze do raju wymarzonego.

W połowie marca, pewnego wieczora Jakób odważył się przyjść do Seweryny na górę. Opowiadał jej, że przywiózł w swym pociągu z Paryża jednego ze starszych kolegów szkolnych, który jedzie do Nowego Yorku, gdzie pragnie wprowadzić w użycie pewien wynalazek, machinę do robienia guzików. Potrzebuje wspólnika, również mechanika, i w tym celu zwrócił się do swego dawnego znajomego. Interes to znakomity, potrzebaby co prawda włożyć z jakie trzydzieści tysięcy franków, ale możnaby zarobić miliony.

Jakób opowiadał to tak sobie, ażeby o czemś rozmawiać, dodając, że naturalnie na podobną propozycyę, dał odpowiedź odmowną, chociaż z przykrością. Niezbyt to bowiem przyjemne odtrącać majątek, gdy się nasuwa do ręki.

Seweryna słuchała tego opowiadania, stojąc, i patrząc na Jakóba niespokojnie. Czyż to nie było urzeczywistnienie jej marzeń?

— A! — szepnęła nareszcie — pojechalibyśmy jutro...

Jakób podniósł głowę zdziwiony.

— Jakto, pojechalibyśmy?

— Tak... gdyby nie żył.

Nie wymieniła nazwiska Roubauda, Jakób jednak zrozumiał i odpowiedział ruchem oznaczającym:

— Niestety... ale on żyje.

— Pojechalibyśmy — podjęła Seweryna, głosem powolnym i cichym — i bylibyśmy tam szczęśliwi! Trzydzieści tysięcy mogłabym dostarczyć, sprzedawszy Croix-de-Maufras; wystarczyłoby nam jeszcze na zagospodarowanie się i na pierwsze potrzeby... Tybyś pracował... ja urządziłabym mieszkanie, w którem kochalibyśmy się z całej siły. O!.. jakby to było dobrze!.. jakby to było dobrze!..

I dorzuciła po cichutku:

— Zdala od dawnych strasznych wspomnień, przed nami dnie nowe... szczęśliwe...

Umilkli na chwilę, oszołomieni temi pięknemi projektami. Ręce ich się złączyły, uścisnęli się instynktownie i pogrążyli się w zadumie, pełnej błogich projektów.

Po chwili Seweryna odezwała się półgłosem:

— Powinieneś pomimo to wszystko zobaczyć się jeszcze z twym kolegą i prosić go, aby nie brał wspólnika, nie uprzedziwszy ciebie.

Jakób zdziwiony zapytał:

— Dlaczego?

— Mój Boże!.. alboż ja wiem?.. Ten wypadek z lokomotywą przed kilku dniami... Jeszcze raz coś podobnego, a byłabym wolną... Rano człowiek żyje najzdrowszy, najspokojniejszy, wieczorem może umrzeć... czyż to jest niepodobieństwem?..

Patrzyła na niego uporczywie i powtarzała:

— A!.. gdyby on nie żył... gdyby on już nie żył!..

— Nie żądasz jednak, abym go zabił — zapytał z przymuszonym uśmiechem.

Potrzykroć odpowiedziała „nie“, ale oczy jej mówiły „tak!..“ te oczy pogodne a niezgłębione w okrutnej namiętności. On zabił innego, dlaczegóżby jego nie można zabić?

Według niej, było to następstwo zupełnie naturalne, zakończenie konieczne, rozwiązanie jedyne. Zabić go i pójść sobie... to przecież tak proste!.. Umarł...; wszystko skończone i wszystko zaczyna się na nowo...

Postanowienie to stanowcze widniało z jej oczu, a jednak nie odważyła się go wypowiedzieć i jeszcze raz powtórzyła:

— Nie!..

On, oparty o kredens, przymuszał się wciąż do uśmiechu.

Mimowoli dostrzegł w szufladzie wysuniętej nieco, nóż ostry, błyszczący.

— Jeżeli chcesz, abym go zabił, musisz mi dać nóż... Mam już zegarek... powoli zbierze się małe muzeum.

Rozśmiał się głośno.

Seweryna odpowiedziała zupełnie poważnie:

— Weź go!..

Wziął, schował do kieszeni i, jakby doprowadzając żart do końca, uścisnął ją.

— A więc... tymczasem do widzenia. Idę zobaczyć się z moim kolegą i powiem mu, aby zaczekał... W sobotę, jeśli deszcz padać nie będzie, przyjdź, jak zwykle za dom Sauvagnatów... Co?.. zgoda?.. I bądź spokojna, nie zabijemy nikogo... To tylko żarty!..

A jednak, pomimo pory spóźnionej, Jakób udał się ku portowi i wstąpił do hotelu, gdzie zatrzymał się jego znajomy, który miał odjechać nazajutrz.

Mówił mu o spadku możliwym, prosił o zwłokę dwutygodniową, zanim mu udzieli odpowiedzi stanowczej.

Później, powracając ulicą do dworca kolei, dziwił się sam swojemu postępowaniu; czyżby postanowił już zabić Roubauda, czyżby chciał zabrać mu życie, tak, jak zabrał mu już żonę i pieniądze.

Nie... nic jeszcze nie postanowił, a to co czyni, to jedynie na wypadek, gdyby kiedykolwiek miał powziąć podobne postanowienie.

Przypomniał sobie wyraz twarzy Seweryny w chwili gdy mówiła „nie“, a oczy jej twierdziły „tak“. Stanowczo chciała, aby zabił Roubauda. Myśl ta zaczęła go przerażać. Co robić?

Powróciwszy na ulicę François Mazelaine, położył się obok Pecqueux chrapiącego, nie mógł jednak zasnąć.

Pomimowoli umysł jego wciąż pracował, zajęty stale myślą o morderstwie, obliczał wszelkie skutki, zastanawiał się nad przyczynami, przemawiającemi za dokonaniem tej zbrodni, lub przeciwko niej.

Nareszcie, po długiem rozmyślaniu, przyszedł do przekonania zimno, spokojnie, bez śladu gorączki, iż wszystko przemawiało za morderstwem.

Czyż Roubaud nie był jedyną przyczyną do jego szczęścia? Gdyby nie żył, mógłby ożenić się z Seweryną, kobietą uwielbianą i ubóstwianą, która zresztą i tak oddawna już jemu swe serce oddała. Zresztą miałby pieniądze, majątek, porzuciłby swój ciężki zawód, zostałby

panem w Ameryce, w tym kraju szczęśliwym, o którym koledzy jego opowiadają nieraz, iż mechanik złoto łopatą zbierać może.

Egzystencya jego nowa tam przedstawiała mu się, jak marzenie czarowne. Miał żonę, kochającą go namiętnie, sposobność szybkiego zarobienia milionów, życie prowadzić mógł na wielką skalę, ambicyi jego nic nie ograniczało.

I aby urzeczywistnić ten sen czarowny, czegóż potrzeba?.. prawie nic. Ruch jeden, wymierzony pewną ręką, i wszystko skończone.

Trzeba usunąć tylko tego człowieka, zawadzającego mu na drodze do szczęścia. Roślina, zwierzę, gdy zawadza na drodze, należy je usunąć, zdeptać. Zresztą, co komu zależeć może na życiu tego człowieka, dla którego gra była jedyną namiętnością i wyczerpywała jego dawną energię, dlaczego oszczędzać podobne stworzenie. Żadna okoliczność, stanowczo żadna, nie przemawiała na jego korzyść. Wszystko go potępiało, gdy dla innych śmierć jego była warunkiem szczęścia. Wahać się, byłoby to tchórzostwo, nikczemność!..

Myśli, dotąd niewyraźne, przybrały w końcu kształt tak pewny, iż Jakób uczuł drżenie w całem ciele. Czyżby się miał wahać? Od dzieciństwa przecież chciał zabijać, nie mógł nigdy znaleźć spokoju przed tą żądzą, dręczącą go nieustannie, dlaczegożby miał wahać się, z zabiciem Roubauda.

A może ta ofiara wybrana uczyniłaby raz zadosyć tej żądzy strasznej, uwolniłaby go od tych męczarni, i byłby ocalony... uleczony... Mógłby kochać Sewerynę, nie

czując szalonego uderzenia krwi do głowy, na widok jej szyi obnażonej.

Pot wystąpił mu na czoło. Widział w myśli siebie samego z nożem w ręku, czuł, jak nóż ten wchodzi w gardło Roubauda, oddychał swobodnie, patrząc na krew broczącą mu po rękach.

Zabije go!.. to postanowione!.. Zabije go!.. bo w ten sposób zostanie uleczony i posiędzie żonę uwielbianą... majątek... Jeżeli już ma koniecznie zabijać, a więc zabije Roubauda... przynajmniej postąpi rozsądnie... logicznie.

Zabije go!..

Trzecia biła, gdy powziął to postanowienie. Chciał usnąć koniecznie. Powoli zapadał już w sen, tracił świadomość, gdy nagle wstrząśnienie jakieś obudziło go i przywróciło mu przytomność.

Nie mógł leżeć, zerwał się i usiadł na łóżku.

Zabić człowieka!.. Czyż ma prawo do tego?.. Gdy mucha mu dokucza, zabija ją jednem uderzeniem, gdy pewnego dnia kot zaplątał mu się pod nogi, jednem kopnięciem przetrącił mu grzbiet, niechcący, co prawda... Tak!.. ale to co innego!.. to człowiek... jego bliźni!..

I znów zaczął rozumować, ażeby wmówić w siebie prawo do popełnienia tego morderstwa, prawo siły, która druzgocze to, co jej zawadza.

Żona innego kocha go, chce być wolną, pragnie go poślubić, a więc usuwając go w ten sposób, tylko usuwa przeszkodę... to proste. Gdy w lesie znajdą się dwa wilki obok jednej wilczycy czyż mocniejszy nie zadławi słabszego?..

A dawniej, gdy ludzie mieszkali po norach jak wilki, czyż kobieta nie należała do tego, który zdobył ją, przelewając krew rywala? A więc było to prawem życia, i wszyscy musieli być prawu temu posłuszni, nie zwracając uwagi na skrupuły wynalezione później, jedynie dla celów towarzyskich.

Powoli prawo to zdawało mu się niezaprzeczalnem. Postanowienie dawniejsze wróciło w całości. Od jutra zabierze się do wyszukania miejsca i godziny, oraz poczynienia odpowiednich przygotowań.

Najlepiej bęzwątpienia będzie zamordować go w nocy na dworcu, gdy będzie obchodził w czasie służby budynki w nieludnych częściach stacyi. W ten sposób całe podejrzenie padnie na włóczęgów, kręcących się licznie po nocy. Po za stosami węgla jest najlepsze ku temu miejsce, gdyby go tylko można tam zwerbować.

Pomimo wysiłków, jakie czynił, aby usnąć, ani na chwilę nie mógł zamknąć oczu; urządzał już w myśli całą scenę tego dramatu krwawego, obmyślał, gdzie ma się zaczaić, jak uderzyć najlepiej.

I w miarę, gdy zapuszczał się w najdrobniejsze szczegóły, głos jakiś wewnętrzny protestował przeciw spełnieniu tej zbrodni.

Nie... nie... nie zabije! To potworne, niemożliwe do wykonania, to nieprawdopodobne. Człowiek cywilizowany budził się w nim i oburzał.

Nie zabijaj!.. Przykazanie to wpojono mu od dzieciństwa, wyssał je wraz z mlekiem swej matki, umysł jego odpychał myśl zabójstwa ze wstrętem. Zabić w potrzebie, w uniesieniu instynktownem, dobrze!.. ale zabić zimno,

spokojnie, z obrachowaniem, dla interesu, nie... nie!.. nigdy tego nie potrafi uczynić!..

Dzień już świtał, gdy zasnął snem niespokojnym. W mózgu jego odbywała się pomimowolna walka pomiędzy zwierzęciem a człowiekiem.

Dni następne były dla niego najprzykrzejsze, jakie przeszedł kiedykolwiek. Unikał Seweryny, kazał jej powiedzieć aby nie przybywała na schadzkę sobotnią, obawiał się jej oczu.

W poniedziałek jednak musiał ją spotkać.

Nie mówiła nic o tej sprawie, nie uczyniła ani jednego ruchu, nie wyrzekła ani słowa, a jednak jej oczy niebieskie, łagodne, wciąż pytały i błagały.

Gdy się z nią żegnał, uścisnął ją gwałtownie, jakby uściskiem tym chciał zapewnić, iż rzecz została już postanowiona.

I rzeczywiście tak było, Jakób zdecydował się, będąc w mieszkaniu Seweryny. Zaledwie jednak wyszedł na schody, dawna walka sumienia na nowo się zaczęła.

Gdy na trzeci dzień potem stawił się na schadzkę z Seweryną, blady był jak ściana, spojrzenie miał lękliwe ukradkowe, jak u tchórza, cofającego się przed czynem koniecznym.

Seweryna dostrzegła, co się w nim dzieje.

Oparłszy głowę na jego ramieniu, wybuchnęła płaczem gwałtownym, nie mówiąc ani słowa.

Jakób pogardzał samym sobą. Raz należało przecie skończyć z tem wszystkiem.

— We czwartek... tam... chcesz?.. — zapytał po cichu.

— Dobrze... we czwartek... będę cię oczekiwała.

We czwartek noc była bardzo ciemna, ani jedna gwiazdka nie świeciła na niebie. Mgła gęsta opadła z nad morza, tak, że o krok nic nie można było rozróżnić.

Jakób przybył pierwszy na miejsce oznaczone i, stanąwszy za domem Sauvagnatów, oczekiwał na Sewerynę. Zamyślił się na chwilę.

Wkrótce Seweryna nadbiegła tak cicho, lekko, że zadrżał, gdy, przechodząc koło niego, dotknęła go prawie, a on jej nie dostrzegł.

W tej chwili zawisła u jego ramion i czuła niespokojna, jak drży na całem ciele.

— Przestraszyłam cię? — zapytała.

— Nie, nie, chodźmy, nikt nie może nas dostrzedz.

I szli po cichu, nie mówiąc ani słowa.

Seweryna oparła głowę na jego ramieniu, od chwili do chwili podnosiła ją i całowała go w policzek, on odpowiadał pocałunkiem, składanym na skroni.

Z wieży oddalonego kościoła odezwał się dźwięk godziny pierwszej.

Nie przerywali ani na chwilę milczenia, myśleli o jednem i tem samem. Zresztą po co czas tracić na słowa niepotrzebne, gdy działać potrzeba?

Seweryna, ściskając go, poczuła nóż w jego kieszeni, widocznie zatem postanowił dokonać tego, czego od niego żądała.

Po chwili usta jej się otwarły i szepnęła głosem cichym:

— Przed chwilą przyszedł na górę, nie wiem po co... Widziałam, jak brał rewolwer, którego zapomniał,

wychodząc. Bezwątpienia będzie zwiedzał dziś magazyny.

I znowu milczeli.

Uszedłszy ze dwadzieścia kroków, Jakób odezwał się:

— Tak .. to bardzo prawdopodobne... złodzieje jacyś zakradli się wczorajszej nocy i zabrali w tej stronie mnóstwo rzeczy. Zapewne będzie dziś na nich czatował.

Seweryna zadrżała nieznacznie i znowu popadli w milczenie i szli krokiem wolnym.

Niepewność jakaś zaczęła ją opanowywać.

Czy to jest na prawdę nóż, co poczuła w jego kieszeni.

Dwa razy przycisnęła się do niego, całując go raz po raz, aby się przekonać. Niedowierzała.

Nareszcie, niby niechcący opuściła rękę i znów przysunęła się do niego.

Dotknęła kieszeni... nóż to był z pewnością.

Jakób dostrzegł ten manewr, przycisnął ją gwałtownie do swych piersi i szepnął do ucha:

— Nadejdzie z pewnością .. będziesz wolną.

I znów szli dalej w milczeniu, zaledwie mogąc rozróżnić przedmioty, obok których przechodzili.

Doszedłszy do stosów węgla, stanęli, wytężając wzrok i słuch, aby nic nie uszło ich uwagi.

— Słyszysz!.. tam się ktoś odzywa.

— Nie... to wagon przesuwa się po szynach.

— Ależ tam... na prawo, ktoś idzie, słychać chrzęst piasku pod nogami.

— Nie... to szczury gospodarują na stosach węgla.

Chwile ubiegały, nagle Seweryna pochwyciła go silnie za rękę.

— Patrz! . to on!..

— Gdzie?.. nic nie widzę.

— Zdąża wprost ku nam .. widzisz? cień jego odbija się na białym murze..

— Ten punkt czarny?.. sądzisz, że to cień?

— Jestem pewna.

— A więc idzie sam?

— Sam, z pewnością sam.

I w tej chwili stanowczej zarzuciła mu gwałtownie ramiona na szyję i uwisła u jego ust, całując je długo, przeciągle, jakby chciała wraz z tchnieniem krew weń przelać swoją.

Jakże go kochała!.. a jak nienawidziła tamtego!.. Dwadzieścia już razy byłaby sama z nim skończyła, chcąc oszczędzić trosk i niepokojów Jakóbowi, ale ręce jej były za słabe. Tym pocałunkiem namiętnym, chciała natchnąć Jakóba odwagą i nienawiścią.

Gdy nareszcie oderwała usta, zdawało jej się, że już nic w niej nie pozostało, że cała już weń przeszła.

Jakób otworzył nóż ruchem gwałtownym.

Czekał chwilę.

Nagle zaklął głosem stłumionym, dodając:

— Patrz, patrz, odchodzi!..

Rzeczywiście. Cień ruchliwy, zbliżywszy się do nich na pięćdziesiąt może kroków zawrócił na prawo i oddalił się szybko, krokiem miarowym stróża nocnego, który nie uczuwa najmniejszego niepokoju.

Seweryna popchnęła Jakóba.

— Biegnij za nim.

I oboje krokiem przyśpieszonym ścigali ten cień, unikając najmniejszego szmeru, mogącego ich zdradzić.

Na rogu remizy warsztatowej stracili go z oczu. I oni zwrócili się na prawo, a przebiegłszy ulicę pod przekątnią obiegli budynek; z drugiej strony spotkali go, oddalonego najwyżej o dwadzieścia kroków. I oboje szli chyłkiem koło muru, bojąc się, aby ich nie dostrzegł.

— Nie .. nie dościgniemy go — mruczał Jakób ponuro — jeżeli dostanie się do budki strażnika sygnałowego, wymknie się nam z pewnością...

Seweryna, postępując krok w krok za nim, szeptała wciąż jedno:

— Biegnij prędzej.

Jakób w tej chwili był już zdecydowany, a jednak ścigając ukradkiem Roubauda, jeszcze zastanawiał się nad swym czynem, wmawiał w siebie, iż postępuje rozsądnie i słusznie.

To, czego ma dokonać, jest przecież prawem, ta krew przelana potrzebna jest do jego istnienia. Jedno pchnięcie nożem, a zdobędzie szczęście.

— Wymknie się!.. wymknie — powtarzał ciągle, widząc, iż cień zbliża się do budki strażnika. — O... o!.. patrz... wszystko przepadło!..

Nagle, ręką drżącą nerwowo, pochwycił ramię Seweryny, zatrzymując ją na miejscu i stając sam jak skamieniały.

— Powraca! — szepnął.

Roubaud istotnie powracał.

Może instynktownie przeczuł za plecami morderców, ścigających jego kroki. A jednak szedł spokojnie, jak dozorca sumienny, który wszędzie musi zajrzeć, obejść wszystkie kąty, nim ukończy swą czynność.

Jakób i Seweryna stali nieporuszeni, przypadek umieścił ich na rogu wielkiego stosu węgli.

Oparli się plecami, jakby chcieli wniknąć w tę masę czarną; z obawy, aby ich nie odkryto, powstrzymali nawet oddech.

Roubaud szedł prosto ku nim, oddzielało go teraz może jakie dwadzieścia metrów.

Przestrzeń ta zmniejszała się za każdym krokiem. Jeszcze piętnaście.. jeszcze dziesięć... Za chwilę będzie przed Jakóbem, znajdzie się tuż pod jego ręką.

Sekundy wydawały się maszyniście wiecznością, przez mózg jego przepływała taka fala myśli, iż poczucie czasu zupełnie zniknęło.

Wszystkie powody, które wpłynęły na jego postanowienie, przesuwały się w myśli lotem błyskawicy.

Jeszcze pięć kroków.

Postanowienie jego było nieugięte... Zabije go stanowczo!.. Wie przecież, dlaczego ma go zabić!..

Jeszcze dwa kroki.

Nagle cały gmach rozumowań zbudowanych w umyśle Jakóba, runął jak podcięty!.. Nie... nie... nie zabije... nie może zabić człowieka bezbronnego. Rozumowanie nie uczyni z niego zabójcy. Na to potrzeba co innego... Zabiłby, zmuszony instynktem, głodem, lub w obronie własnej... ale tak... na zimno... spokojnie... z wyrachowania... nie! to niemożebne! On nie ma prawa do tego.

I daremnie wmawiał w siebie, iż to rzecz konieczna, głos silniejszy, stanowczy odezwał się w nim, zaprzeczając i nie dozwalając nawet na podniesienie ręki.

Roubaud przeszedł koło nich spokojnie. Ramię jego dotknęło ich prawie...

Stali skamienieli, bez oddechu.

Oddalił się już o dziesięć kroków, oni wciąż stali, przerażeni widokiem tego człowieka, samego, bezbronnego, który otarł się o nich, przechodząc krokiem tak spokojnym.

Jakób wybuchnął tłumionem łkaniem wstydu i wściekłości.

— Nie mogę!.. nie mogę!..

Chciał ująć rękę Seweryny, aby wytłomaczyć się z tej słabości.

Nie mówiąc ani słowa, umknęła. Wyciągnął ręce i zdążył zaledwie tylko dotknąć palcami jej sukni. Słyszał tylko jej kroki ciche i śpieszne.

Pobiegł za nią, wkrótce jednak przystanął.

Ta ucieczka nagła dopełniła miary wzburzenia, jakie miotało nim od chwili. Więc ona się oburza na jego słabość?.. pogardza nim.

Roztropność nie pozwalała mu biedz za Seweryną.

Gdy znalazł się sam wśród tych pustych budynków, oświeconych tu i owdzie nielicznemi płomykami gazu, wśród tych czarnych mas węgla, rozpacz go ogarnęła.

Pobiegł czemprędzej do swego mieszkania. W ubraniu rzucił się na łóżko, pogrążył głowę w poduszkę, chcąc zagłuszyć obrzydzenie, jakie uczuł dla siebie samego.

W dziesięć dni później rozegrała się ostatnia walka pomiędzy Roubaudami a panią Lebleu.

Zwycięztwo było po stronie pomocnika zawiadowcy. Administracya kolei uznała jego słuszne żądanie, poparte przez pana Dabadie, tembardziej iż słynny list kasyera, w którym tenże zobowiązał się na natychmiastowe opuszczenie mieszkania, jeśli tego zażąda nowy pomocnik zawiadowcy, znalazł się przypadkowo. Odszukała go panna Guichon szperając nad dawnemi rachunkami w archiwum dworca.

Pani Lebleu, rozjątrzona klęską poniesioną, postanowiła w tej chwili opuścić mieszkanie. Żądają jej śmierci, a więc niech się to stanie jaknajprędzej.

Przez ciąg trzech dni, pamiętna ta przeprowadzka rozgorączkowała do najwyższego stopnia umysły na całym korytarzu. Nawet mała pani Moulin, tak cicha, spokojna, prawie że niewidzialna, wmieszała się w tę sprawę i, stając po stronie Seweryny, pomagała własnemi rękoma do przeniesienia drobniejszych mebli.

Głównie jednak działała Filomena, która przybiegła natychmiast, usłyszawszy o rozporządzeniu administracyi. Pakowała drobiazgi, rozbierała meble większe, zajęła mieszkanie frontowe, zanim jego poprzednia lokatorka zdążyła się z niego usunąć. Okazywała dla Jakóba i dla wszystkiego, co on kochał, tak wielką gorliwość, że Pecqueux, zdziwiony, zaczął podejrzywać i zapytał z miną ponurą mściwego pijaka Filomenę, czy przypadkiem nie zakochała się w Jakóbie, ostrzegając ją równocześnie, że prędko załatwiłby rachunek z obojgiem w dniu, kiedyby ich pochwycił.

Podobne ostrzeżenie wzmogło tylko przywiązanie Filomeny do Jakóba, stała się teraz poprostu służącą jego i jego kochanki, w nadziei, że część szczęścia którego jest świadkiem, stanie się kiedyś jej udziałem.

Przyniósłszy ostatnie krzesełko, zatrzasnęła za sobą drzwi nowo zdobytego mieszkania.

Po chwili dostrzegłszy gdzieś w kącie mały taburecik zapomniany przez kasyerkę, otworzyła drzwi raz jeszcze i wyrzuciła cudzą własność do sieni. Skończyło się.

Życie powoli weszło na dawniejszy tor monotonny. Podczas gdy pani Lebleu w swem mieszkaniu od tyłu umierała z nudów, przygwożdżona reumatyzmem do fotela, i płakała ciągle, że nic nie widzi prócz blachy cynkowej, zasłaniającej nad oknem widok nieba jasnego, Seweryna tymczasem zasiadła do wykończenia dywanika, przeznaczonego przed okna frontowe.

Przed sobą miała widok wesoły, ruchliwy. Ciągła fala podróżnych, przybywających pieszo lub powozami, drzewa na brzegu chodnika, zieleniejące pod wpływem ożywczej wiosny, a w dali wzgórza Igouville, upstrzone białemi domkami wiejskiemi.

Dziwiła się jednak, że tak małą przyjemność znajduje w urzeczywistnieniu tego marzenia, że jakoś nie cieszy jej wesoły widok dalekiej przestrzeni, dnia, słońca.

Nieraz nawet, nie mogąc przyzwyczaić się zrazu do nowego rozkładu mieszkania, była tak niezadowoloną, iż żałowała dawnych pokoików.

Co do Roubauda, ten godził się ze wszystkiem; nie obchodziła go wcale ta zmiana. Często zdarzało się, iż, zabłądziwszy do drzwi, do których oddawna był przyzwy-

czajony, spostrzegał wówczas dopiero pomyłkę, gdy nie mógł włożyć klucza do zamku.

Zresztą coraz rzadziej bywał w domu, rozkład moralny postępował coraz szybszym krokiem.

Była jednak chwila, w której ożywił się cokolwiek; stało się to przy nadchodzących wyborach. Nie wypływało to z jego przekonań politycznych, bynajmniej, nie mógł poprostu zapomnieć sprawy z podprefektem, dzięki któremu omal nie stracił miejsca.

Cesarstwo, zachwiane wyborami ogólnemi, przechodziło straszliwe przesilenie. Roubaud tryumfował, powtarzał, iż nie na zawsze owi ludzie pozostaną panami.

Przyjacielska uwaga pana Dabadie, który przypadkowo dowiedział się o przekonaniach głoszonych przez swego pomocnika, bardzo prędko go uspokoiła.

Na korytarzu było jakoś spokojnie, życie upływało w zgodzie, pani Lebleu ucichła pod ciężarem klęski i smutku, po co więc nowe stwarzać kłopoty i to w kwestyach politycznych?..

Roubaud uznał słuszność tej uwagi, machnął tylko ręką, co miało oznaczać, iż polityka nie więcej go obchodzi niż wszelkie inne sprawy jego życia codziennego. I pędził dalej dnie obojętnie, spokojnie, nie troszcząc się o nic na świecie.

Jakób i Seweryna zaczęli się coraz bardziej krępować, od chwili gdy mogli urządzać schadzki o każdej porze, nie wzbudzając podejrzenia najmniejszego.

Nic nie przeszkadzało im do szczęścia, mógł przecież przychodzić tylnemi schodami, bez obawy, aby go ktokolwiek szpiegował, mógł siedzieć dzień i noc całą, a niktby

o nim nie wiedział. A jednak owe postanowienie, powzięte przez oboje, niedokonane przez Jakóba, a które pomimo wszystko nie przestało ani na chwilę nurtować w ich myślach, obecnie dzieliło ich jakby mur jakiś nie do przebycia.

Ilekroć przychodził zastawał zawsze Sewerynę bladą, pochmurną; to oczekiwanie w niepewności pożerało ją, zdawało się, iż lada chwilę ulegnie chorobie, z której trudno jej będzie podnieść się w krótkim czasie. Usta ich nie szukały się już do pocałunku, nie zadawalało ich to pół szczęście, marzeniem ich był wyjazd do Ameryki, małżeństwo, inne zupełnie życie.

Pewnego wieczora Jakób zastał Sewerynę zapłakaną. Gdy wszedł, nie tylko nie otarła oczu i nie starała się uśmiechnąć, jak to kiedyindziej czyniła, lecz rzuciwszy mu się w objęcia, wybuchła głośnem łkaniem.

On ujął jej głowę w obie ręce i patrzył w jej oczy czarne, z których widać było, iż powodem jej rozpaczy jest niemoc kobieca, nie dozwalająca jej samej załatwić się z Roubaudem.

— Przebacz mi!.. — szeptał Jakób — miej cierpliwość... przysięgam ci, że z nim skończę niezadługo... jak tylko będę mógł...

Seweryna zamknęła mu usta pocałunkiem, jakgdyby chciała przypieczętować tę przysięgę, od której spełnienia zależało jej szczęście, życie, wszystko!.. wszystko!..

XI

Ciotka Phasia umarła we czwartek wieczorem, o godzinie dziewiątej, w najstraszniejszych konwulsyach.

Daremnie Misard, który był obecny przy jej śmierci starał się zamknąć jej powieki. Oczy pozostały otwarte, głowa stężała, przechyliła się nieco na bok, jakby spoglądać chciała na izbę, a usta uchylone z jednej strony uśmiechały się ironicznie.

Jedyna świeca, ustawiona koło niej na rogu stołu, oświecała pokój bladawem światłem.

Pociągi, przebiegające całą siłą pary od godziny dziewiątej, wprawiały te ciepłe jeszcze zwłoki w lekkie drżenie, powiększone migotliwem światłem łojówki.

Misard, chcąc się pozbyć Flory, wysłał ją natychmiast do Doinville, aby zawiadomiła, kogo należy o śmierci. Nie mogła powrócić przed jedenastą, miał więc dwie całe godziny do rozporządzenia,

Spokojnie ukroił sobie kawałek chleba, gdyż zaczął głód uczuwać, od rana bowiem nic nie miał w ustach, bo nie odstępował od łoża konającej. Jadł, chodząc po pokoju i przerzucając wszystko po kolei w całej izbie.

Napad kaszlu powstrzymał go w tej czynności; skurczony we dwoje, na poły umarły, suchy, wątły, oczy bez blasku, włosy bez koloru, wydawał się takim, że nie na długo będzie mógł korzystać ze swego zwycięztwa.

Mniejsza o to, w każdym razie dopiął swego, stoczył tę kobietę, dzielną, piękną, tak, jak robak toczy dąb olb-

rzymi. Ona leżała już martwa, stężała, a on żył jeszcze. I pomimo, że niedowierzała niczemu, wystrzegała się każdego kęsa, każdej kropli wody, aby nie była zaprawiona trucizną, on jednak był dowcipniejszy, bo nie mogąc struć jej jedzeniem lub piciem, przyjmowanem przez usta, struł ją inaczej. To jej własna wina, dlaczego była tak upartą?

Dumny był prawie z tego, co uczynił, z uśmiechem przypominał sobie tę walkę długą, z której on wyszedł zwycięzcą; wzrok jego przypadkowo padł na miednicę z wodą, znajdującą się pod łóżkiem, usunął ją czemprędzej aby nikt nie mógł dojrzeć śladów trucizny.

Powróciwszy przed łóżko, spojrzał na martwą. Oczy wciąż otwarte, usta uśmiechnięte, mówiły wyraźnie... szukaj!.. szukaj!..

Misard, zawsze flegmatyczny, tym razem jednak czuł się wzburzonym... Gdzie mogą być te pieniądze?.. nie zabrała ich przecież ze sobą, i teraz, gdy mu nikt przeszkadzać nie będzie, odnajdzie je z pewnością. Czyż nie powinna była oddać ich dobrowolnie!.. w ten sposób uniknęłaby wszelkich trosk i cierpień, a jemu oszczędziłaby kłopotu. Oczy jej ścigały go ciągle. Szukaj! szukaj!..

Nie wahając się długo, rozpoczął natychmiast poszukiwania. Najpierw w szafie. Wyjął klucze z pod poduszki, otworzył, przerzucił całą bieliznę, zajrzał do szuflad, przeszukał wszystko, wyjął nawet, podejrzewając, czy niema gdzie jakiej skrytki tajemnej. Nie .. nie!..

Zwrócił się następnie ku stolikowi nocnemu. Oderwał marmur, przewrócił, daremnie. Zdjął lustro z nad kominka, myśląc, że tam coś znajdzie, prócz grubej war-

stwy kurzu nie było nic. A oczy wciąż otwarte i usta uchylone mówiły wyraźnie jedno i to samo: Szukaj!.. szukaj!..

Chcąc uniknąć tego wzroku, zaczął na czworakach pełzać po ziemi i stukać w posadzkę. Może pod którą z tafli jest próżnia, dół wygrzebany, może tam znajduje się skarb ukryty. Kilka tafli było źle przytwierdzonych, oderwał je... nic, zawsze nic.

Powstał i spojrzał na trupa. Phasia widocznie szydziła z niego. A może ukryła koło siebie?

Odkrył ją, rozebrał, przeszukał w każdej fałdce ubrania i ciała... początkowo czynił to z pewnego rodzaju wstrętem... lecz oczy jej i usta mówiły: szukaj!. On też szukał. Obok niej, pod nią, wyrzucił ją z łóżka, przetrząsł materace, siennik. Nie znalazł nic. Złożył zwłoki napowrót na łóżku; głowa upadła w nieładzie na poduszki, a usta wykrzywione ironicznie i oczy wciąż otwarte, mówiły: szukaj!.. szukaj!..

Misard wściekły, drżący, rozgorączkowany, chciał czemprędzej uporządkować choć cokolwiek łóżko, na którem zbyt widoczne były ślady jego poszukiwań, gdy weszła Flora, powracająca z Doinville.

— Pogrzeb pojutrze, w sobotę, o jedenastej — rzekła.

Rzuciwszy tylko okiem po pokoju, domyśliła się w tej chwili, czem Misard zajęty był w czasie jej nieobecności.

Machnęła ręką, okazując tym ruchem obojętność pogardliwą.

— Po co to? i tak się nie znajdzie.

Misardowi zdawało się, że i Flora kpi sobie z niego. Przyskoczył do niej.

— Ona ci dała te pieniądze, ty wiesz, gdzie one są?

Na myśl, że jej matka mogła dać swe tysiąc franków komukolwiek, nawet jej, swej córce, wzruszyła ramionami, tak jej się to wydawało niedorzecznem.

— Aha!.. juści!.. dała!.. Dała ziemi!.. tak. O! patrz tam są!.. tam ich możesz szukać.

I ruchem szerokim wskazała na dom cały, na ogród ze studnią, na tor kolei żelaznej, na całą wieś obszerną.

— Tak, tam, gdziekolwiek, w głębi jakiejś dziury, gdzie nikt nawet nie podejrzywa.

Gdy Misard wzburzony, przejęty trwogą, wziął się znowu do przewracania mebli, do stukania po murze, nie krępując się nawet obecnością Flory, ona, stanąwszy przed oknem, mówiła spokojnie, półgłosem:

— O... jakaż piękna pogoda, co za noc ciepła, przyjemna... Biegłam bardzo prędko; gwiazdy świecą na drodze jasno jak w dzień biały. I jutro będzie pewnie czas śliczny.

Przez chwilę stała zapatrzona na pola zieleniejące, pod wpływem ożywczego ciepła, potem usłyszawszy, że Misard przeszedł do drugiego pokoju, aby tam prowadzić dalej poszukiwania, podeszła do łóżka i, utkwiwszy wzrok w twarz zmarłej, usiadła na krawędzi.

Na rogu stołu paliła się świeca płomieniem długim nieruchomym. Po chwili ciszy, nieprzerywanej najmniejszym szmerem, pociąg przebiegł szybko, wprawiając cały dom w lekkie drżenie.

Flora miała zamiar całą noc spędzić przy zwłokach matki. Tymczasem zaś puściła swobodne wodze swym myślom.

Jedno ją dziwiło nadzwyczajnie, a mianowicie: dlaczego nie odczuła żadnego zmartwienia wskutek śmierci swej matki? dlaczego teraz, siedząc koło tego trupa, nie płacze? Przecież ją kochała!.. O tak, kochała ją całem sercem, pomimo swego usposobienia dzikiego, pomimo tego, że unikała zawsze domu, i biegała po całych dniach po polu, jeśli tylko służbą nie była zajętą.

Gdy widziała jak matka jej wiła się w strasznych boleściach, podchodziła do niej i dwadzieścia razy namawiała ją, aby wezwać czemprędzej lekarza, nie dlatego, aby ją środkami swemi miał uzdrowić, nie, lecz Flora domyślała się zkąd pochodzi ta choroba, podejrzewała Misarda i przypuszczała, że gdyby lekarz się zjawił, natenczas bojaźń sama, zmusiłaby truciciela do zaprzestania trucia.

Daremne były jednak jej prośby. Phasia odpowiadała na nie odmownie, jakgdyby w dumie swej postanowiła nie przyjmować od nikogo pomocy, pewna i tak, że odniesie zwycięztwo, gdyż pieniądze nikomu w rękę nie wpadną.

Flora też przestała ją namawiać, i biegła w pole, aby zapomnieć o własnem cierpieniu.

O własnem cierpieniu!.. Ono było przyczyną, iż nic, nawet śmierć matki nie czyniła na niej wrażenia.

Gdy się ma zawiele własnych cierpień, nie znajdziesz w sercu miejsca na odczuwanie cudzych. Zresztą, cóż ona może poradzić? Dać znać żandarmeryi? Wydać Misarda? Myślała i o tem, biegnąc do Doinville. Ale po co?

Na co się to przyda? Czy to jej ulży choć trochę? I zamyśliła się głęboko.

Patrzyła na matkę, lecz jej wcale nie widziała, zajęta jedynie myślą, co jak gwoździem mózg jej świdrowała.

Zdaleka słychać było już od chwili łoskot pociągu pośpiesznego, nadchodzącego z Paryża. Łoskot ten stawał się coraz wyraźniejszy, nareszcie wśród drżenia pociąg przebiegł, a latarnia machiny oświetlała przez chwilę wnętrze pokoju jakby błyskawicą.

— Kwadrans na drugą — pomyślała. — Jeszcze siedm godzin; zrana o wpół do dziewiątej będą przejeżdżali i...

I znów się zamyśliła, przypominając sobie dnie ubiegłe.

Od kilku miesięcy co tydzień oczekiwała dnia tego. Wiedziała, że w piątek rano, w pociągu, prowadzonym przez Jakóba, Seweryna przejedzie do Paryża.

I w tem męczącem uczuciu zazdrości, żyła jedynie po to, aby ich szpiegować, aby widzieć, jak przejeżdżają, aby módz powiedzieć sobie, że oni tam będą szczęśliwi, gdy tymczasem ona! .

O!.. ten pociąg przeklęty!.. Jakżeby chętnie przyczepiła się do ostatniego wagonu, aby módz razem z nim pojechać.

Zdawało jej się, iż te koła przechodzą po jej ciele przecinają jej serce!

Cierpiała tak dalece, że postanowiła bądź cobądź raz to zakończyć. Ale jak?

Pewnego wieczoru zasiadła do stolika i chciała napisać do sądu. Wiedziała o jej sprawkach z Grandmorrinem, domyślała się co było przyczyną jego śmierci.

Jeśli napisze, Seweryna zostanie na pewno zaaresztowaną... ale czy na pewno? Kto wie? Oni tam, w tym pięknym świecie wszyscy wzajemnie się rozumieją. A może jeszcze zamiast Seweryny ją wsadzą do więzienia, tak jak wsadzili Cabucha.

Nie... nie... tak nie można!.. chce się zemścić i zemści się sama bez niczyjej pomocy.

Nie była to nawet właściwie chęć zemsty o jakiej nieraz słyszała... Uczynić komuś źle, aby swe własne cierpienie zagłuszyć!.. nie!.. Ona chciała zakończyć raz to wszystko, wywrócić, zburzyć, zniszczyć!.. chciałaby, aby piorun jaki spadł z nieba i wszystkich pozabijał, nawet i ją z nimi razem.

Bo i dlaczego tak cierpi?.. Jest silniejszą, łagodniejszą, niż tamta, czuje, iż posiada wszelkie prawo, aby być kochaną... O!.. gdyby ją tak mogła dostać w swe ręce, gdzie na krańcu lasu, rozprawiłaby się z nią krótko.

Na tydzień przed śmiercią matki, przyszła jej do głowy myśl nagła, jak uderzenie młota, nie wiadomo zkąd... Zabić ich, aby już więcej nie przejeżdżali.

Nie rozumowała, była posłuszną dzikiemu instynktowi niszczenia, postanowiła działać natychmiast.

Gdy drzazga wbije jej się w rękę, ona rozcina przecież ciało aby uniknąć cierpienia... Zabić ich!.. zabić za pierwszym razem, gdy będą przejeżdżać... wykoleić pociąg... założyć podkład wpoprzek toru, wyrwać szynę, po rozbijać, podruzgotać wszystko!.. On, na machinie... nie

wymknie się... zgnieciony zostanie na miazgę... a ona?.. ona zawsze siedzi w pierwszym wagonie, aby być bliżej niego... Znajdzie się też bardzo blizko!.. bliżej może niżby chciała. Co zaś do reszty, tego tłumu osób, przejeżdżających zawsze tym samym pociągiem.. a!.. co ją to obchodzi?.. Czyż ona zna kogo?..

Ta myśl o zdruzgotaniu pociągu, o poświęceniu tylu ludzi opanowywała ją coraz bardziej. W tem morzu krwi i boleści zdoła ochłodzić swe serce, łzami przepełnione.

Nadszedł piątek. Do tego dnia nie zdecydowała się jeszcze, gdzie i jak ma wyrwać szynę.

Pociąg ranny przejechał spokojnie. Widziała ich oboje. Ale wieczorem.. o!.. wieczorem musi już coś zrobić.

Nie będąc zajęta służbą, wybrała się ku tunelowi, chcąc dojść aż do miejsca, gdzie tor się rozdwaja i boczna odnoga skręca do Dieppe... tam będzie najlepiej.

Wycieczka w tunelu nie była dla niej nowością. Nieraz już tam chodziła w tem podziemiu długiem na pół mili, nieraz zdarzało się, że pociąg przebiegł tuż koło niej i gdyby tylko na chwilę straciła przytomność, gdyby pół kroku się ruszyła, nie wstałaby już więcej. A jednak to narażanie się na niebezpieczeństwo najwięcej ją tam wabiło.

Owego wieczora, a było to właśnie na tydzień przed śmiercią jej matki, przesunęła się ostrożnie koło budki stróża, weszła do środka i postępowała śmiało, trzymając się lewej strony, aby być pewną, że pociąg, idący z przodu, zawsze ją minie po prawej.

Naraz niewiadomo dlaczego, przyszło jej do głowy obejrzeć się po za siebie. Chciała zapewne sprawdzić, czy widać jeszcze czerwone latarnie pociągu, który przed chwilą przejechał w stronę Hawru.

W chwili, gdy zamierzała pójść dalej swoją drogą i w tym celu zwróciła się ku dawnemu kierunkowi, potknęła się wśród ciemności o coś, prawdopodobnie o szynę, i instynktownie, aby nie upaść, wykręciła się na jednej nodze.

Odzyskawszy równowagę, straciła zupełnie kierunek. Ciemno dokoła. Z której strony znikło czerwone światło? w którą stronę iść należy? którym torem będzie szedł pociąg nadchodzący?

Z doświadczenia wiedziała, że wśród ciemności nigdy okiem rozróżnić nie można toru po którym pędzi lokomotywa.

Pomimo całej odwagi, oszołomiona łoskotem pociągu, który przebiegł przed chwilą, zatrzymała się, nie wiedząc co robić.

Przez chwilę starała się zebrać zmysły, przypomnieć sobie, wyrozumować.

Nagle strach ją opanował; zaczęła pędzić co sił przed siebie. Nie... nie!.. ona nie chce być zabitą, dopóki tamtych nie zabije.

Nogi jej potykały się o szyny, upadała co chwilę, a to powiększało grozę położenia. Zdawało jej się, iż ściany tunelu zmniejszają swą odległość, zbliżają się ku niej, zaduszą ją lada chwilę. Odgłos jej własnych kroków odbijał o sklepienie przeraźliwem echem groźby. Co

chwilę odwracała głowę, sądząc, iż czuje już palący oddech lokomotywy.

Dwa razy jakieś przeczucie ogarniało ją, iż w złym biegnie kierunku. Stawała na chwilę, zwracała się i biegła w przeciwną stronę, i znów po chwili tą samą wracaa drogą.

I pędziła, pędziła wciąż, gdy przed nią, zdaleka zabłysła gwiazda, oko okrągłe, promieniejące, zwiększające się z każdą chwilą. Tym razem oparła się gwałtownej chęci aby odwrócić się i uciekać przed tem okiem. Szła śmiało naprzód.

Gwiazda zamieniła się wkrótce w ognisko pełne żaru, w paszczę pieca olbrzymiego, pochłaniającego wszystko, co mu staje na drodze. Oślepiona tym blaskiem, oszołomiona łoskotem, odskoczyła na lewo, nie wiedząc kiedy i dlaczego.

Pociąg przebiegł koło niej jak błyskawica; czuła tylko przewiew wiatru, jakby wśród burzy gwałtownej.

W pięć minut później wyszła z tunelu po stronie Malauney, cała i zdrowa.

Była godzina dziewiąta, jeszcze kilka minut, a nadejdzie pociąg z Paryża.

Nie zatrzymując się, szła szybko, uważając tylko po drodze na tor, czy nie trafi jej się jaka sposobność, z którejby mogła skorzystać.

Nareszcie doszła do miejsca, gdzie tor się rozdwajał. Na drodze ku Dieppe stał pociąg roboczy, który przywiózł kamienie, potrzebne do naprawy drogi. Zwrotnica nastawiona była na tor boczny, pilnował jej Ozil.

Florze błysnęła myśl jak błyskawica; nie dopuścić Ozila do nastawienia zwrotnicy, w ten sposób pociąg pośpieszny zamiast podążyć wprost do Hawru, skręci na bok i całym pędem wpadnie na pociąg towarowy.

Ozil, dawny wojskowy, suchy, milczący, pilnował swego zajęcia, jak oka w głowie, nie można mu było nigdy zarzucić opieszałości.

Starał on się już oddawna o pozyskanie względów Flory. Raz, posunąwszy swą natarczywość za daleko, dostał tak silne uderzenie kijem przez głowę, że kilka dni musiał przeleżeć w łóżku.

Pomimo to nie tracił jednak nadziei, iż kiedyś starania jego będą uwieńczone i okazywał się dla Flory zawsze przyjacielski i gotów do wszelkich usług.

Flora ze swej strony nie czuła najmniejszej urazy do Ozila i często przychodziła do niego na pogawędkę, zwłaszcza od pewnego czasu gdy samotność stawała się dla niej nieznośną.

Tym razem, przybywszy w nocy, rozpoczęła opowiadanie o matce chorej, o swych zamiarach na przyszłość w razie gdyby Phasia umarła.

Powoli rozmawiając, odciągnęła go od zwrotnicy i prowadziła ku wsi sąsiedniej. Mówiła lecz słuch jej chwytał zbliżający się łoskot pociągu, który pędził całą siłą pary. Ozil tak się zagadał, iż zapomniał w jej obecności o całym świecie.

Pociąg zbliżał się coraz bardziej.

Nagle Flora się obejrzała. Jakież było jej zdziwienie, gdy ujrzała, że bieg machiny staje się coraz wolniejszym.

Przed samą zwrotnicą pociąg się zatrzymał. Nie wiedziała o tem, że zwrotnica, fałszywie nastawiona, automatycznie z drugiej strony daje sygnał zatrzymania.

Ozil z krzykiem człowieka zbudzonego pod gruzami walącego się domu, poskoczył ku zwrotnicy i nastawił ją właściwie.

Pociąg wśród okrzyków zadziwienia, które wydobywały się z wagonów, popędził dalej prostą drogą do Hawru.

Flora zdrętwiała nieruchomo ścigała wzrokiem tych, którzy tylko wypadkiem umknąć jej zdołali.

W dwa dni później Ozil, usunięty ze służby, przyszedł się z nią pożegnać, nie podejrzewając bynajmniej, iż ona sama była przyczyną tego wypadku. Prosił ją aby przyszła do niego, w razie gdyby matka umarła. U niego znajdzie spokój i opiekę!..

Po odejściu Ozila, uśmiechnęła się gorzko... Opiekę!.. ta jej była najbardziej potrzebną. Bądź cobądź plan się nie udał, trzeba było znaleźć co innego.

Wszystko to były wspomnienia z tygodnia ubiegłego, a tak się teraz nad niemi zamyśliła, że chociaż szeroko otwartemi oczyma wpatrywała się w trupa swej matki, nic jednak przed sobą nie widziała.

Potarła ręką czoło, myśli pierzchły jak mgła za podmuchem wiatru i ujrzała zwłoki, oświetlone żółtym płomieniem świecy.

Matka jej nie żyła. Czyż ma odjechać, pójść do zagrody Ozila, poślubić go? On ją tak kochał, możeby przy nim była szczęśliwą? Cała jej istota wstrząsnęła się na myśl podobną.

Nie, nie!.. Jeżeli jest dość słabą i pozwala żyć tamtym dwojgu, żyjąc sama, w każdym razie będzie o tyle silną, aby nie łączyć się z człowiekiem, którego nie kocha. Nie... nie!.. lepiej pójść w świat, pomiędzy ludzi, wynająć się do służby, byle nie to!..

Hałas jakiś niezwyczajny dobiegł do jej uszu. Domyśliła się wkrótce, co oznacza. Misard kopał łopatą ziemię ubitą w kuchni i nie pokrytą podłogą.

Szukał tak zawzięcie pieniędzy ukrytych, gotów dom cały rozwalić. O... z nim takżeby nie została!.. Cóż jej więc pozostaje.

W tej chwili przeszedł pociąg mieszany z Paryża. Machina jego, ciężka i sunąca się powoli, wprawiła dom cały w febryczne drżenie.

Flora odwróciła głowę, spojrzała przez okno na niebo pogodne, zasiane gęsto gwiazdami.

— Trzecia... jeszcze pięć godzin do pociągu, którym będą jechali.

I znów się zamyśliła. Widzieć ich tak co tydzień, razem, szczęśliwych!.. a! . to przechodzi jej siły.

Od chwili, gdy wiedziała, że Jakób do niej należeć nie będzie, wolałaby, aby nie żył, w ten sposób przynajmniej nie należałby do nikogo.

Spojrzała na zwłoki matki. Boleść po jej utracie była niczem w porównaniu z boleścią, jaka wypełniała jej serce. Nie ma nikogo na świecie, za kimby jej żal było... Niechby nawet świat cały wymarł... co ją to obchodzi. Umarli!.. tylu ich było, tylu ich jeszcze będzie... Matka jej umarła, siostra jej umarła, miłość jej umarła... a ona teraz zostać ma sama... zostać gdy tamci dwoje... Nie...

nie!.. lepiej, żeby świat cały się zawalił, aby śmierć, która przed chwilą gościła w tej izbie, tchnęła na ziemię i potężnem swem tchnieniem wszystkich porwała.

Powróciła do swych planów, rozmyślała nad najpewniejszym sposobem, jaki przedsięwziąć należało.

Wyrwać szynę... sposób to najłatwiejszy, najpewniejszy i najniezawodniejszy. Wykręcić tylko szruby obcęgami i usunąć na bok. Przyrządy potrzebne miała pod ręką, nikt jej nie zobaczy, w tem ustroniu odludnem nikt jej nawet przeszkadzać nie będzie.

Ale gdzie? w którem miejscu? Najlepiej na łuku przy zakręcie do Barentin, nasyp w tem miejscu wysoki na siedm do ośmiu metrów. Tam wykolejenie jest pewne, katastrofa przerażająca.

Zaczęła obliczać godziny. Według rozkładu jazdy, przed pociągiem pośpiesznym z Hawru, który przechodził o ósmej minut szesnaście, szedł tylko pociąg mieszany o siódmej minut pięćdziesiąt. Miała dwadzieścia minut czasu na wykonanie zamiaru. To wystarczy.

Tylko, że często pomiędzy pociągami zwykłemi przechodzą też i nadzwyczajne, towarowe, a w tych czasach zwłaszcza ruch był bardzo wielki.

Jak się upewnić, że przed pociągiem pośpiesznym żaden już inny nie idzie? Przez głowę jej przechodziły najrozmaitsze przypuszczenia.

Noc była jeszcze ciemna, świeca oświetlała pokój płomieniem jasnym, gdyż knot nie obcięty opadł na bok i łój stopiony spływał obficie po lichtarzu.

Nadchodził pociąg towarowy; w tejże samej chwili wszedł Misard z rękami zabłoconemi, zmęczony, rozgo-

rączkowany daremnem poszukiwaniem. Nie ustawał jednak ani na chwilę w swej czynności.

Ledwie wszedł, zaraz zaczął szukać pod meblami, w kominie.

Pociąg wlókł się powoli bez końca i wstrząsał zwłokami, leżącemi na łóżku.

Misard wyciągnął ręce, chcąc zdjąć z nad łóżka mały obrazek, zawieszony na murze.

Wzrok jego mimowoli padł na umarłą, na jej oczy otwarte i usta, ironicznie uśmiechnięte.

Pobladł, dygotał zębami i z największą wściekłością powtarzał szeptem zaledwie dosłyszalnym:

— Tak, tak. . szukaj... szukaj!.. i znajdę, znajdę z pewnością, choćbym miał poruszyć każdy kamień w całej okolicy, choćbym miał przekopać każdą piędź ziemi.

Pociąg minął, drżenie ustało, a zmarła, nieruchoma spoglądała wciąż na męża tak szyderczo, z taką pewnością zwycięztwa, iż Misard wybiegł, zostawiając drzwi otwarte.

Flora podniosła się, zamknęła drzwi, aby ten człowiek nie przerywał jej spokoju i wróciła na miejsce. Od kilku chwil głos jakiś jej szeptał:

— Dziesięć minut wprzód nim przejdzie pociąg, to wystarczy.

Słuchała z zadziwieniem tego głosu. Rzeczywiście będzie miała dość czasu.

Jeżeli więc na dziesięć minut przed przejściem pośpiesznego pociągu, żaden inny nie będzię sygnalizowany, wtedy zabierze się do roboty.

Od tej chwili rzecz cała była obmyślona pewna, niepokój jaki od dłuższego już czasu ją opanował, ustąpił, czekała spokojnie.

Około piątej zaczęło się powoli rozwidniać. Pomimo dotkliwego chłodu, otworzyła okno. Świeże powietrze wiosenne napełniło izbę duszną, pełną dymu ze świecy łojowej.

Powoli i słońce ukazało się z za wzgórza i ozłociło promieniami wierzchołki drzew, tu i owdzie rozrzuconych.

Do służby stanąć miała dopiero o szóstej. I Misard także o szóstej zajmował miejsce kolegi, dozorcy nocnego.

W kilka chwil później odezwała się trąbka i Flora stała już przy baryerze z chorągiewką, zwiniętą w futerale.

Powiodła wzrokiem za oddalającym się pociągiem.

— Jeszcze dwie godziny — pomyślała.

Matka jej nie potrzebowała już żadnej posługi. Myśl o powróceniu do pokoju wydawała się jej wstrętną.

Zresztą po co? uścisnęła ją po raz ostatni, nim wyszła, a teraz może rozporządzać już sobą, swem życiem... no, i życiem innych.

Nieraz, pomiędzy nadejściem pociągów wymykała się, znikała. Dziś jednak coś przykuwało ją do jej stanowiska przy baryerze.

Usiadła na ławce, na zwyczajnej desce, położonej na czterech słupkach.

Słońce wznosiło się po nad widnokrąg, roztaczając jasne promienie. Cała natura wydawała tchnienie

wiosenne, wonne. Flora siedziała bezmyślnie, kąpiąc się w tych ożywczych promieniach światła i ciepła.

Przez chwilę uwagę jej zwrócił na siebie Misard, znajdujący się po drugiej stronie toru.

Kręcił się koło budki, zbitej z desek, przeszukiwał wszystkie kąty, poruszał kamienie, a od chwili do chwili zwracał wzrok ku domowi, wpatrując się stale, jak gdyby chciał myślą przebić te ściany i dowiedzieć się, gdzie skarb został ukryty.

Patrzyła długo, lecz w końcu, zajęta swemi myślami, zapomniała o nim i straciła go zupełnie z oczu.

Minuty upływały, Flora nie ruszała się z miejsca. O siódmej minut pięćdziesiąt pięć, Misard dał znak dwoma dźwiękami trąbki, iż nadchodzi pociąg mieszany z Hawru.

Podniosła się, zamknęła baryerę i stanęła przed nią z chorągiewką w ręku.

Pociąg przeszedł powoli, wprawiając ziemię w lekkie drżenie i po chwili zniknął w tunelu.

Flora została na miejscu, nie wróciła już na ławkę, stała, licząc minuty.

Jeżeli w przeciągu dziesięciu minut nie nadejdzie sygnał o jakim pociągu towarowym, pobiegnie na miejsce upatrzone i wykręci szruby z szyn.

Stała zupełnie spokojnie, pierś tylko uginała jej się jakby pod jakimś olbrzymim ciężarem. Myśl, że Jakób i Seweryna zbliżają się i pojadą dalej, do Paryża, gdzie ich czekają chwile szczęścia i miłości, wzmocniła ostatecznie jej postanowienie. Ona nie może dopuścić do tego i nie dopuści.

W egoistycznem poczuciu zemsty nie widziała nikogo więcej tylko ich dwoje, nie zwracała uwagi na ten tłum podróżnych, obcych, nieznanych, przesuwających się od lat tylu przed jej oczami.

Jeszcze dwie minuty... jeszcze tylko jedna.

Już miała się ruszyć z miejsca, gdy głuchy turkot kół, dolatujący od strony Bécourt, zatrzymał ją przy baryerze.

Zapewne jakiś wóz z kopalni lub ze wsi, podążał do sąsiedniego miasteczka. W każdym razie trzeba otworzyć baryerę, postać przez chwilę, a może i porozmawiać, i znowu się nie uda!.. Zresztą... mniejsza o niego, niech sobie czeka.

I, nie zwracając uwagi na nadjeżdżającego, uczyniła tylko gwałtowny ruch ręką, oznaczający obojętność i pobiegła wzdłuż toru.

Nagle trzask bicza i głos wesoły zatrzymał ją na miejscu.

— Hej! Flora!

Był to Cabuche.

Flora stanęła jak przygwożdżona o kilka kroków od baryery.

— Cóż to? śpisz jeszczez na taką ładną pogodę? Otwórz prędzej, niech przejadę zanim pociąg nadejdzie.

Flora była wzburzona. Zamiar jej się nie uda, tamci dwoje przejadą bez przeszkody, a ona ich nie zatrzyma. I, otwierając powoli baryerę starą, na pół spróchniałą, której zawiasy zardzewiałe wydawały zgrzyt przeraźliwy, szukała w myśli jakiejkolwiek przeszkody, czegoś, coby mogła położyć w poprzek toru, zrozpaczona do tego

stopnia, że byłaby się położyłae chętni sama na szynach, gdyby miała pewność, że kości jej są dość twarde, iż zdołają wykoleić lokomotywę.

Mimowolnie rzuciła okiem na wóz Cabucha. Był on nizki, ciężki, naładowany dwoma słupami kamiennemi, które pięć koni zaledwie udźwignąć mogły. Te dwa słupy szerokie, ciężkie, przydałyby jej się bardzo. Gdyby mogła niemi tor zastawić, dokonałaby tego, czego tak pragnęła. Pięć koni spoconych, zadyszanych, czekało na znak woźnicy.

— Co ci jest? — zapytał Cabuche — taką masz dziwną minę?

Trzeba było coś odpowiedzieć.

— Moja matka umarła wczoraj wieczorem.

Cabuche, z okrzykiem przyjacielskiego współczucia, uścisnął ręce Flory.

— O!.. biedna ty... biedna!.. Chociaż można się było tego spodziewać oddawna, zawsze to jednak bardzo smutne!.. Więc ona w domu leży?—dodał, wskazując mieszkanie. — Zaczekaj, pójdę ją pożegnać po raz ostatni.

I powoli poszedł z Florą ku domowi, gdzie leżały zwłoki jej matki.

Doszedłszy do progu, odwrócił się, spoglądając na wóz i konie.

Flora starała się go uspokoić.

— Niema niebezpieczeństwa, konie stoją spokojnie, zresztą pociąg jeszcze daleko.

Kłamała. Wprawne jej ucho rozróżniało już łoskot nadchodzącego pociągu. Najdalej za trzy minuty ukaże się z wąwozu i wyjedzie na równinę.

Podczas gdy kamieniarz, stanąwszy nad zwłokami Phasii, zamyślił się smutnie, Flora czatowała przy oknie, nadsłuchując regularnego szumu lokomotywy, zbliżającej się z każdą chwilą.

Nagle pomyślała o Misardzie. Zobaczy i przeszkodzi! Obróciła się i nie dojrzała go na stanowisku. Był po drugiej stronie domu, kopał ziemię koło studni, gdzie zdawało mu się, iż znajdzie ukryte pieniądze. Rozgorączkowany, zaślepiony, nie słyszał nic, tylko wciąż kopał.

Flora odetchnęła spokojniej. Widocznie więc los sam chce, aby się stało, to co zamierzyła.

Lokomotywa huczała już po drugiej stronie wąwozu, jeden z koni Cabucha odezwał się głośnem rżeniem.

— Nie bój się... pójdę i potrzymam, aby się nie ruszyły z miejsca.

Rzuciła się gwałtownie ku koniom. Pierwszego z brzegu pociągnęła silnie za wędzidło. Konie oparły się w pierwszej chwili, później szarpnęły gwałtownie. Wóz jednak, naładowany olbrzymim ciężarem, nie ruszał się z miejsca.

Flora wytęzyła wszystkie siły, chwyciła za zaprząg i ciągnąc, dopomagała koniom.

Za chwilę wóz stał na torze. Z wąwozu, odległego o sto metrów, wysuwała się lokomotywa.

Flora, bojąc się, aby konie, spłoszone jej hukiem nie szarpnęły i nie usunęły ciężaru, zatrzymała cały zaprzęg, wysiłkiem nadludzkim.

Siła jej znaną była w całej okolicy. Pewnego razu zatrzymała swemi rękami wagon, staczający się po spadzi-

stej pochyłości, dziś siły tej użyła na zatrzymanie pięciu koni, rżących i wyrywających się, jakby przeczuwały instynktownie niebezpieczeństwo.

Dziesięć sekund oczekiwania przed nadejściem pociągu wydawało się Florze wiekiem całym.

Dwa kamienie olbrzymie zagradzały zupełnie drogę. Lokomotywa sunęła się pocichu z szybkością błyskawicy. Jej części stalowe błyszczały w rannem świetle słonecznem. Katastrofa była nieunikniona, nic nie mogło jej przeszkodzić.

Wtem Misard jednym skokiem znalazł się na swojem stanowisku i zobaczył natychmiast, co się dzieje. Wyciągnął ramiona, zawył przeraźliwie, jak szalony, chcąc wstrzymać pociąg.

Cabuche, usłyszawszy łoskot kół i rżenie koni, wybiegł z mieszkania, rzucił się ku koniom, i nie zważając, że machina już na niego nadjeżdża, chciał je zmusić, aby ruszyły z miejsca.

Flora chwyciła go w pół i odrzuciła nadludzkim wysiłkiem o kilka kroków od toru. Sądził on, że konie ruszyły same, a Flora nie może sobie dać rady. Wprawdzie, odrzucając go, ocaliła mu może życie, lecz on tego nie czuł, płakał, przeklinał siebie, z rozpaczy i wściekłości.

Flora tymczasem stała z boku, spokojna, nieruchoma i patrzyła z oczyma szeroko otwartemi, płomieniejącemi.

W chwili, gdy przód machiny oddalony był od przeszkody na metr jeden, dojrzała jeszcze Jakóba, z ręką na korbie.

Odwrócił się, wzrok jego padł na Florę; spojrzenia krótkie lecz wyraźne, skrzyżowały się, wypowiadając to, czego słowami nie było już czasu powiedzieć.

Tego rana Jakób uśmiechał się do Seweryny, gdy zeszła na peron kolejowy w Hawrze, przed odejściem pociągu.

Dlaczego truć sobie życie jakiemiś przywidzeniami, dlaczego nie korzystać z chwil szczęśliwych, kiedy się same nasuwają? Wszystko przecież da się jeszcze jakoś urządzić!..

I postanowił spędzić dzień ten w najprzyjemniejszy o ile możności sposób, układając w myśli projekt, jak, natychmiast po przybyciu do Paryża, pójdzie z Seweryną na śniadanie do restauracyi, do której zwykle zachodzili.

Seweryna rzuciła smutne wejrzenie na pociąg, gdyż w pobliżu machiny nie było wolnego przedziału pierwszej klasy, musiała więc usiąść gdzieś na końcu pociągu

Uśmiechnął się do niej, chcąc ją w ten sposób pocieszyć. W każdym razie przecież przybędą razem, a tam, na miejscu, powetują sobie to chwilowe rozłączenie w dwójnasób.

Wesołość ogarnęła Jakóba do tego stopnia, iż, gdy wychylił się z machiny, chcąc zobaczyć, jak Seweryna wsiada do przedziału na samym końcu pociągu, zaczął żartować z Henryka Dauvergne, stojącego tuż koło pierwszego wagonu.

Wiedział on dobrze, iż nadkonduktor jest w Sewerynie zakochany po uszy. Zdawało mu się nawet, iż w zeszłym tygodniu Dauvergne stał się natarczywszym, niż

zwykle, a ona chętniej zabiegi jego przyjmowała. Sądził, iż czyni to dla rozrywki, życie jej bowiem w ciągu ostatnich kilku tygodni wcale nie wesoło się przedstawiało.

W żartach zapytał Henryka, komu to zasyłał wczoraj całusy, ukryty za jednem z drzew, stojących przed dworcem kolei.

Pecqueux, zajęty przerzucaniem węgla do ogniska, wybuchnął na to pytanie głośnym śmiechem.

Z Hawru do Barentin pociąg przeszedł ze zwyczajną szybkością, bez najmnietszego wypadku. Henryk, siedzący wysoko w swej budce służbowej nad wagonem, pierwszy dostrzegł niebezpieczeństwo, ujrzawszy jakiś przedmiot wielki, zagradzający drogę. Zdziwienie jego było tak wielkie, iż przez chwilę stanął oniemiały, jakby sparaliżowany. Stracił kilka sekund.

Pociąg wyjeżdżał już z wąwozu, z machiny rozległ się krzyk przeraźliwy, i wtedy dopiero pociągnął za sznurek od dzwonka sygnałowego, którego koniec wisiał koło niego.

Jakób w tej chwili, z ręką na korbie, patrzył zamyślony, nie widząc nic przed sobą. Myśl jego zajęta była czemś tak nieokreślonem, odległem, że nawet obraz Seweryny zniknął z niej zupełnie.

Przeraźliwy odgłos dzwonka, rozpaczliwy krzyk palacza, wyrwały go z tego zamyślenia.

Pecqueux, niezadowolony że ogień nie ma należytego przeciągu, opuścił cokolwiek popielnik i wychylił się, aby zobaczyć, z jaką szybkością pociąg się posuwa. Wychyliwszy się, ujrzał przeszkodę, stojącą w poprzek toru i krzyknął.

Jakób w jednej chwili zrozumiał całą grozę położenia. Pobladł jak trup. Widział wóz ciężki, zagradzający przejazd, widział wyraźnie dwa olbrzymie kamienie, czuł już straszne uderzenie, które lada chwila nastąpi, czuł już nawet wstrząśnienie, wynikłe z tego spotkania. Katastrofa była nieunikniona.

Ruchem gwałtownym odwrócił korbę, zamknął regulator, zakręcił szrubę hamulca. Chciał cofnąć machinę; instynktownie ręka jego dotknęła sprężyny gwizdka, jak gdyby tym świstem ostrym, przerażliwym, chciał usunąć olbrzymią przeszkodę tarasującą przejazd.

Liza odmówiła posłuszeństwa, szła wciąż naprzód pomimo wszystkiego, zwalniając bieg cokolwiek. Nie była to już ta machina uległa, którą niegdyś mógł zatrzymać na odległości kilkudziesięciu metrów. Straciła swe przymioty w walce z zaspą śnieżną. Od tego czasu stękała, kaszlała, grymasiła, jak stara kobieta, której przeziębienie zniszczyło zdrowe dotąd piersi. Huczała, a biegła wciąż naprzód, jęczała pod uciskiem hamulców, lecz biegła ciągle.

Pecqueux, oszalały z trwogi, wyskoczył z machiny. Jakób stał zdrętwiały na swojem stanowisku. Prawą ręką kurczowo zaciskał korbę, lewą przytrzymywał bezwiednie sprężynę gwizdka i oczekiwał bezmyślnie katastrofy.

Nareszcie Liza z szumem, hukiem, świstem przeraźliwym, wpadła na wóz z kamieniami, pchana całym ciężarem trzynastu wagonów, które ciągnęła za sobą.

Misard i Cabuche, z rękami wyciągniętemi, przygwożdżeni przerażeniem do miejsca, odległego o dwadzie-

ścia metrów od pociągu, i Flora, ze wzrokiem, wyrażającym zadowolenie, po spełnieniu zemsty, ujrzeli widok straszny.

Pociąg wznosił się w górę, siedm wagonów piętrzyło się jeden na drugim, upadając następnie wśród huku i trzasku i tworząc bezkształtną masę z rozbitych szczątków. Trzy pierwsze wagony rozleciały się jak okruchy, cztery następne utworzyły górę z dachów pogiętych, kół połamanych, łańcuchów poszarpanych, ze ścian, drzwi i szyb, potrzaskanych na drobne kawałki.

Przez chwilę słychać było jeszcze tarcie machiny o kamienie, nareszcie Liza rozdarta, rozszarpana upadła na lewo, a kamienie rozleciały się w kawałki, jakby wysadzone miną prochową.

Z pięciu koni, cztery pociągnięte wraz z wozem, zostały zabite na miejscu.

Koniec pociągu, sześć wagonów zatrzymało się spokojnie, nie wyskoczywszy nawet z szyn i nie poniósłszy najmniejszej szkody.

Krzyki przeraźliwe, wołanie o pomoc, wszystko to mieszało się w jedną całość, z której zaledwie można było rozróżnić słowa:

— Do mnie!.. na pomoc!.. O, mój Boże!.. Umieram!.. Na pomoc!.. na pomoc!..

Liza leżała wywrócona na bok, z wnętrza jej wydobywała się para gęstemi kłębami, a z węgli rozżarzonych, porozrzucanych tu i owdzie, wznosił się dym czarny.

Obok niej wyciągnął się koń z uciętemi nogami przedniemi, a z brzucha rozdartego wyglądały mu wnętrz-

ności. Ryczał przeraźliwie, głos ten jednak niknął wobec łoskotu machiny konającej.

Krzyki i wołania wzmagały się coraz bardziej.

— Ratujcie!.! Zabijcie mnie!.. Co ja cierpię!.. Boże!.. Co ja cierpię!.. Zlitujcie się nademną!..

Wśród tych krzyków ogłuszających, wśród zamieszania, zaczęły się otwierać drzwiczki wagonów ocalonych.

Podróżni wyskakiwali gwałtownie, jeden przez drugiego, popychając się, upadając. Uczuwszy ziemię pod nogami, zobaczywszy pole przed sobą, wszystko, co żyło uciekało galopem, aby jak można najbardziej oddalić się od tego miejsca strasznego. Mężczyźni, kobiety, wszyscy chowali się w głębi lasu poblizkiego.

Seweryna blada, z włosami, rozpuszczonemi wyskoczyła również z wagonu. Ona nie uciekała, lecz pędem biegła ku machinie. Po drodze zobaczyła palacza.

— Jakób?.. Jakób?.. uratowany?.. nieprawdaż?..

Pecqueux, który cudem jakimś wyskoczył tak szczęśliwie, iż nie poniósł najmniejszego szwanku, biegł równie ku machinie, z sercem ściśniętem na myśl, że jego maszynista znajduje się tam zagrzebany pod szczątkami.

— Wyskoczyłem przed spotkaniem, nie wiem co się stało... biegnijmy prędko.

O kilka kroków dalej stała Flora, nieruchoma, przerażona czynem, jakiego dokonała, rzezią, jaką wywołała rozmyślnie.

Stało się! Dobrze się stało!.. Czuła tylko ulgę w swej piersi i zadowolenie ze spełnienia zemsty. Nieszczęście innych nic jej nie obchodziło, nie widziała nawet nikogo.

Spostrzegłszy jednak Sewerynę, oczy jej powiększyły się bezmiernie, cień strasznego cierpienia przyćmił jej twarz bladą.

Jakto? ona żyje?.. ta kobieta żyje?.. a on tam?.. zapewne zagrzebany pod szczątkami machiny?..

Ból gwałtowny, jakby pchnięcie nożem, zadane w samo serce, obudził w niej poczucie wstrętu do siebie samej, do czynu popełnionego.

Krzyk przeraźliwy wydarł się z jej piersi, załamała ręce, pędziła jak szalona.

— Jakób!.. Jakób!.. On tam jest... widziałam, jak go wyrzuciło w tył... Jakób!.. Jakób!..

Liza ryczała coraz ciszej, wydawała tylko ostatnie jęki skargi i rozpaczy, za to coraz bardziej słychać było straszne krzyki ranionych i konających.

Dym zwiększał się coraz więcej. Olbrzymia masa szczątków, skąd wydobywały się skargi i błagania o pomoc, spowita była tym całunem gęstym, którego promienie słońca rozwiać jeszcze nie zdołały.

Co robić? Zkąd zaczynać? Jak dostać się do tych nieszczęśliwych?

— Jakób! . Jakób!.. — krzyczała wciąż Flora. — Powiadam wam, że patrzył na mnie, leży tam pod tendrem. Chodźcie!.. pomóżcie mi.

Cabuche i Misard podnieśli już Henryka, nadkonduktora, który w ostatniej chwili także wyskoczył, lecz wywichnął obie nogi. Odnieśli go na bok i ułożyli na ziemi. Patrzył na wszystko niemy, oszołomiony, nie wydając najmniejszego jęku, nie okazując nawet, iż cierpi.

— Cabuche!.. chodźże mi pomódz .. powiadam ci, że Jakób jest tam pod spodem.

Kamieniarz nie słyszał. Biegł z pomocą do innych ranionych; z pośród kół wydobył jakąś kobietę, której nogi obwisły bezwładnie, przecięte powyżej kolana.

Na głos Flory, rzuciła się Seweryna.

— Jakób?.. Jakób?.. gdzie?.. chodź!.. ja ci pomogę.

Pobiegły, wspólnemi siłami usuwały koło strzaskane, chcąc przez wolne miejsce dostać się do środka.

Delikatne ręce Seweryny na niewiele się przydały, za to Flora siłą nadludzką usuwała przeszkody jednę po drugiej.

— Powoli! uważaj!.. — krzyknął Pecqueux, również przyłączając się do nich.

Gwałtownym ruchem zatrzymał Sewerynę, która, nie zwracając na nic uwagi, co leży pod jej nogami, miała już nadeptać na rękę, ubraną w rękaw z sukna niebieskiego.

Cofnęła się ze zgrozą. Po chwili spojrzała. To nie jego ubranie. Zapewne jakaś ręka odcięta od ciała, które się znajdzie gdzieindziej.

I stanęła drżąca, jakby sparaliżowana, płakała tylko i patrzyła na usiłowania Flory i palacza.

Ratowanie umierających, poszukiwanie trupów stawało się coraz trudniejszem Dym czarny, zamiast niknąć zwiększał się z każdą chwilą. Wkrótce zobaczono płomyki ognia, wydobywające się tu i owdzie. To żar z ogniska machiny, porozrzucany wśród szczątków suchego drzewa, wzniecił ten ogień.

Niebezpieczeństwo groziło coraz bardziej. Chcąc ugasić pożar, zanim wybuchnie całą siłą, zaczęto kopać

ziemię i zarzucać nią zarzewie. Ratunek z każdą chwilą stawał się energiczniejszy i szybszy.

Wiele osób, zwłaszcza mężczyzn, którzy w pierwszej chwili popłochu uciekli w pole lub do lasu, powracali, zawstydzeni, i rączo brali się do pracy.

Wysłano do Barentin o pomoc. Do Rouen zatelegrafowano z budki dróżnika o wypadku. Jakkolwiek rąk już nie brakowało, lecz trzeba było działać ostrożnie. Każdy kawałek usuwano z uwagą, aby nie przydusić kogo z tych, co znajdowali się wśród szczątków.

Po kwadransie wydobyto kilka osób. Jakiś młody człowiek, blady jak płótno, przygniecione miał nogi; gdy zajęto się usuwaniem ciężaru, pod którym został przywalony, zapewniał spokojnie, iż nic mu nie jest, nie czuje żadnego bólu. Gdy usunięto ciężar, okazało się, iż obie nogi ma ucięte. Zaledwie wyniesiono go na bok, wyzionął ducha bez skargi, nie czując nawet prawdopodobnie bólu, w obec przerażenia, jakie powszechnie panowało.

Z wagonu drugiej klasy, który zaczął się już palić, wydobyto całą rodzinę. Ojciec i matka mieli pokaleczone kolana, babka złamaną rękę, lecz i oni nie czuli bólu, ale z płaczem i łkaniem przywoływali maleńką swą córkę, dziewczynkę trzyletnią, jasnowłosą, która wśród katastrofy zniknęła bez śladu. Znaleziono ją później pod dachem, wygiętym w kabłąk, leżącym opodal od miejsca gdzie byli rodzice. Wydobyto ją całą i zdrową, z miną na pół płaczącą, na pół uśmiechniętą.

Inna dziewczynka, cała zakrwawiona, dłonie miała zmiażdżone. Usunięto ją na bok, czekając, aż znajdą się jej rodzice. Nie jęknęła ani razu, siedziała z twarzą, wy-

krzywioną konwulsyjnie z boleści i bezmyślnie spoglądała po swem otoczeniu.

Do wnętrza wagonu nie można się było dostać przez drzwiczki, gdyż przy uderzeniu wszystkie zamki i sprężyny zostały połamane i powykręcane. Musiano wchodzić przez szyby potłuczone.

Na boku ułożono już cztery trupy jeden obok drugiego. Z dziesięciu rannych, rozciągniętych na ziemi, blizkich śmierci, oczekiwało pomocy lekarza

Odgarnianie szczątków dopiero się zaczynało; za każdą przegrodą znajdywano nowe ofiary.

— Ale kiedy wam mówię że on tam jest pod spodem — powtarzała bezustannie Flora, znajdując ulgę w tym wykrzykniku, ponawianym bez końca i bez powodu. W tonie tych słów malowała się cała skarga jej rozpaczy. — Woła... o!.. o!.. słuchajcie!..

Tender, wywrócony zupełnie do góry, zagrzebany był pod wagonami, które, spiętrzywszy się jeden na drugim upadły i przykryły go swemi szczątkami.

Rzeczywiście, od chwili gdy ryk machiny ustawał, z pod tego stosu drzewa i żelaza wydobywał się głos męzki, jęczący przeraźliwie.

W miarę jak się zbliżano, jęk ten, oznaczający konanie, brzmiał coraz głośniej i coraz boleśniej, tak, że pracownicy nie mogli wytrzymać i sami płakali i jęczeli.

Gdy nareszcie wydobyli tego człowieka, którego nogi i jedna ręka znikły gdzieś bez śladu, jęk ustał zupełnie. Już nie żył.

— Nie... nie... to nie on! — wołała Flora — to głębiej .. On tam jest pod spodem.

I rękami silnemi podnosiła koła i odrzucała je daleko, wykręcała blachę na dachach, wyłamywała drzwiczki, a gdy natrafiła na rannego lub zmarłego, wołała, aby go uprzątnięto, nie chcąc tracić ani chwili czasu w poszukiwaniu.

Cabuche, Pecqueux i Misard pracowali przy niej.

Seweryna utraciła siły do tego stopnia, że nietylko nic pomódz, ale nawet na nogach utrzymać się nie mogła. Usiadła na jakimś odłamku wagonu.

Misard, odzyskawszy przytomność, pomagał spokojnie, obojętnie, unikając trudniejszych wysiłków i zajmując się przedewszystkiem przenoszeniem rannych i trupów. I on także, jak i Flora, przyglądał się tym twarzom nieznanym, niewidzianym nigdy, jakby chciał poznać, czy w tym tłumie znajduje się ktokolwiek z owych tysięcy, które przez przeciąg lat dziesięciu przesunęły się pod jego oknami.

Flora poznała jednego. Był to ów amerykanin, z którym rozmawiała wówczas, gdy pociąg stanął tu wśród zaspy śnieżnej. Misard poniósł go i ułożył obok innych zmarłych

Gdy dostano się do wagonu pierwszej klasy, ujrzano widok rozdzierający. Jakieś młode małżeństwo, niedawno zapewne po ślubie, leżało przygniecione w ten sposób, iż ona dusiła go swą osobą, a sama ruszyć się nie mogła, przyciśnięta kasą żelazną, która tu wpadła, z sąsiedniego służbowego przedziału.

On stracił już zupełnie przytomność, ona zaś, mając twarz i usta wolne, wzywała ratunku nie dla siebie, lecz dla niego, aby go czemprędzej z pod niej wydobyć.

Uwolniono ich nareszcie. Po kilku chwilach ona wyzionęła ducha, skaleczona śmiertelnie w skroń uderzeniem spadającego żelaza, on zaś odzyskał wkrótce przytomność i, oszalały z bólu i straty poniesionej, klęczał przy jej zwłokach, jęcząc, rycząc z rozpaczy.

Wydobyto już dwanaście trupów i przeszło trzydzieści osób rannych.

Po wielu trudnościach zdołano nareszcie dostać się do tendra. Flora pracowała zażarcie rękami, a ujrzawszy jakąkolwiek szczelinę, zaglądała do środka, wkładała głowę pomiędzy szczątki drzewa potrzaskanego, żelaza pokręconego, chcąc się przekonać, czy nie dojrzy gdzie Jakóba. Nagle zawołała z całej siły:

— Jest!.. jest... widzę go!.. To jego ramię, jego koszula wełniana niebieska... Nie rusza się... nie odzywa.

I, wyprostowawszy się, zaklęła jak mężczyzna:

— Do kroćset dyabłów! śpieszcież się prędzej... wyciągnijcie go ztamtąd.

Obiema rękoma chciała oderwać jednę z desek, nie mogła jednak tego uczynić, gdyż ściana innego wagonu całym ciężarem na tender się zwaliła. Pobiegła do mieszkania i za chwilę wróciła z siekierą, służącą do rąbania drzewa. Ujęła ją w obie ręce i rąbała tak, jak drwale rąbią w lesie pnie dębowe.

Wszyscy usunęli się od niej, wołając tylko, aby uważała.

Nie słyszała nic, rąbała z całą zaciętością; trzaski i kawałki drzewa leciały jak piórka. W jednem z uderzeń natrafiwszy na oś stalową, siekiera pękła na dwoje.

Przy pomocy palacza usunęła koła, które ochroniły Jakóba od pewnej śmierci, tworząc dach nad jego głową, i pierwsza pochwyciła go w silne ramiona.

— Jakóbie!.. Jakóbie!.. Oddycha!.. żyje!.. A!.. Boże!.. żyje!.. Wiedziałam, co mówię. Widziałam przecież jak tam upadał.

Seweryna oszołomiona szła za nią. Ułożyły go na trawniku tuż koło Henryka Dauvergne, który dotąd jeszcze nie mógł zrozumieć gdzie jest i co się koło niego dzieje, i patrzył na wszystkich z miną ogłupiałą.

Pecqueux, zbliżywszy się, stanął przed swym maszynistą, wzruszony jego smutnym stanem. Flora i Seweryna, uklękły koło Jakóba, jedna z prawej, druga z lewej strony, i podtrzymywały głowę nieszczęśliwego, śledząc z obawą najmniejsze drgnięcie jego twarzy.

Jakób nareszcie otworzył powieki.

Popatrzył kolejno na jedną i drugą, lecz widocznie ich nie poznawał.

Ani Flora ani też Seweryna nie śmiały odezwać się ani słowem.

Spojrzenie jego błędne spoczęło nareszcie na rozbitej machinie; Liza przypomniała mu wszystko: te dwa kamienie olbrzymie, zagradzające przejazd, uderzenie, wstrząśnienie straszliwe, nareszcie upadek, z którego on powstał, ocalał, lecz ona na pewno się nie podźwignie.

Nie obwiniał jej, iż okazała się tak uporną pod jego ręką, iż nie chciała się zatrzymać. Od chwili wstrząśnienia na jakie naraził ją w zaspie śniegowej, nie posiadała już dawnej siły i giętkości. Przebaczył jej chętnie i pa-

trzył bolesnym wzrokiem na zranioną śmiertelnie, umierającą.

Biedna Liza wydawała ostatnie tchnienia, żar jej ogniska rozpadał się powoli w popiół, jęki, wydobywające się w pierwszej chwili tak gwałtownie przez rozdarte jej boki, obecnie podobnemi były do cichej skargi dziecka płaczącego.

Ona, tak zawsze błyszcząca, tarzała się teraz w błocie czarnem, z węgla, ziemi i popiołu.

Umierała tragicznie, jak zwierz wspaniały, rażony piorunem na miejscu.

Przez boki jej rozdarte można było dojrzeć w jej wnętrzu resztki życia, z każdą chwilą gasnącego. Wentyle uderzały jeszcze jak dwa serca bliźniacze. Para krążyła w rurach jak krew w żyłach; tłoki, podobne do ramion wygiętych konwulsyjnie, nie poruszały się, lecz drgały jeszcze chwilami jak w ostatnich wstrząśnieniach uciekającego życia. Oddech jej niknął powoli, zasypiała spokojnie, cicho, wreszcie umilkła, umarła.

Jakób, zrozumiawszy, że Liza już nie żyje, zamknął oczy, i pragnął umrzeć z nią razem. Tak zresztą był osłabiony, iż mu się zdawało, że życie jego wymyka się równocześnie z ostatniem tchnieniem machiny. Z pod zamkniętych jego powiek łzy wydobywały się obficie i pociekły po policzkach.

Tego już było zawiele dla Pecqueux, stojącego obok nieruchomie z piersią, ściśniętą bólem. Jego najlepsza przyjaciółka zginęła, a przełożony również chciał za jej śladem podążyć. Więc się już skończyło ich pożycie we trójkę? Skończyły się te podróże, kiedy przebywali set-

ki mil, nie zamieniając między sobą nieraz ani jednego słowa, a jednak rozumieli się tak dobrze. O!.. biedna Liza, tak łagodna przy swej sile, tak piękna, gdy błyszczała w promieniach słonecznych!

I Pecqueux, pomimo że zupełnie był na czczo i nawet, co mu się rzadko zdarzało, nic jeszcze nie wypił, wybuchnął łkaniem gwałtownem, które wstrząsało potężnem jego ciałem, a którego w żaden sposób nie mógł powstrzymać.

Seweryna i Flora również były zaniepokojone, zrozpaczone tem nowem omdleniem Jakóba. Flora pobiegła do domu i powróciła w tej chwili z flaszeczką spirytusu kamforowego. Zaczęła nacierać mu skronie w nadziei, iż w ten sposób przywoła go do życia.

Grozę powiększał ryk konia leżącego w pobliżu, z uciętemi nogami przedniemi. Ten tylko z pięciu, nie został zabity na miejscu. Jęk jego, podobny do głosu człowieka, był tak przerażający i tak bolesne wywierał wrażenie, że dwóch rannych, leżących obok, zaczęło również jęczeć głosem nadludzkim wraz z biednem stworzeniem.

Nigdy jeszcze podobne skargi i jęki nie przerywały ciszy, panującej zawsze w tej wiosce. Ryk ten działał denerwująco na wszystkich. Zaczęły się odzywać głosy prośby i gniewu, aby raz skończyć z tym koniem jęczącym.

Nareszcie Pecqueux, łkający ciągle, podniósł siekierę, której ostrze do połowy złamało się w rękach Flory, i jednem uderzeniem obucha zabił nieszczęśliwe stworzenie.

Po dwóch godzinach oczekiwania nadeszła pomoc. Wszystkie wagony zdruzgotane w tem nieszczęsnem spotkaniu wywróciły się na lewo tak, że tor prawy mógł być w bardzo prędkim czasie przyprowadzony do porządku i gotowy do dalszego użytku.

Pociąg, złożony z trzech wagonów i machiny pomocniczej, przywiózł z Rouen naczelnika biura prefektury, prokuratora królewskiego, inżenierów i lekarzy kolejowych.

Naczelnik stacyi z Barentin zjawił się również z drugiej strony, z całą załogą, która natychmiast wzięła się do usunięcia szczątek rozbitego pociągu.

Wzburzenie nadzwyczajne zapanowało w tym zapadłym kącie kraju, niemym i pustym zazwyczaj. Podróżni ocaleni uczuwali gorączkową potrzebę ruchu. Jedni szukali koni i wozów, przerażeni samą myślą, że mają wsiąść napowrót do wagonów. Inni, przekonawszy się, że w całej okolicy, nie tylko wozu, ale nawet lichych taczek nie znajdą, do którychby jakiekolwiek zwierzę zaprządz można było, pytali zaniepokojeni, gdzieby mogli dostać cokolwiek do jedzenia, gdzieby po tak straszliwem przejściu mogli odpocząć, rozgrzać się cokolwiek.

A wszyscy żądali biura telegraficznego. Kilku mężczyzn poszło piechotą do Barentin, chcąc ztamtąd wysłać depesze.

Podczas gdy władze przy pomocy administracyi rozpoczęły pierwsze kroki śledcze, lekarze zabrali się śpiesznie do opatrywania ranionych. Wiele osób leżało pomdlałych w kałużach krwi i błota. Inni jęczeli głosem przytłumionym, cichym, znosząc cierpliwie operacye chirur-

giczne, podjęte na poczekaniu. W katastrofie tej było wogóle piętnastu trupów i trzydzieści dwie osób, ciężko poranionych.

Zmarłych ułożono szeregiem, twarzą do góry, zanim osobistości ich nie zostaną sprawdzone. Zajmował się nimi jakiś młody urzędnik, jasny blondyn z twarzą różową, przeglądał ich kieszenie, przeszukiwał papiery, bilety wizytowe, listy, ażeby mógł w jakikolwiek sposób dowiedzieć się o adresach i nazwiskach.

W około niego utworzyło się wkrótce kółko ciekawych, którzy niewiadomo zkąd się tu wzięli, bo w okolicy, przynajmniej w promieniu milowym, nie było nawet śladu ludzkiego mieszkania.

Było ich może ze trzydzieści osób, mężczyzn, kobiet i dzieci, które przeszkadzały tylko, nie przynosząc żadnej pomocy.

Jakób leżał ciagle omdlały; Seweryna, spostrzegłszy jakiegoś doktora, który właśnie koło niej przechodził, ubłagała go, aby się zatrzymał.

Doktór obejrzał omdlałego i nie dostrzegł żadnej zewnętrznej rany, obawiał się jednak uszkodzeń wewnętrznych, gdyż na wargach ukazały się ślady krwi, sączącej się z ust powoli.

Nie mogąc orzec nic stanowczego, radził, aby chorego przeniesiono czemprędzej do mieszkania i ułożono na łóżku, unikając wszelkiego wstrząśnienia.

Pod dotknięciem rąk, Jakób otworzył oczy i wydał słaby jęk boleści.

Tym razem poznał natychmiast Sewerynę. Zwrócił ku niej wzrok błagalny i szeptał ledwie dosłyszalnym głosem:

— Weź mnie ztąd... weź mnie natychmiast.

I uczynił ruch, chcąc się podnieść. Nie miał jednakże dość na to siły.

Flora nachyliła się, chcąc mu dopomódz.

Jakób odwrócił głowę, poznał i ją także. Wzrok jego wyrażał przestrach dziecka. Cofnął się gwałtownie ku Sewerynie, jakby chciał uciec przed grożącem mu niebezpieczeństwem.

— O!.. weź mnie ztąd... zaraz... zaraz... czemprędzej...

Seweryna, widząc, że oprócz Flory, na którą nie zwracała uwagi, niema przy nich nikogo obcego, zapytała mówiąc:

— Do Croix de-Maufras? dobrze?.. będziesz tam jak u siebie.

Zgodził się skinieniem głowy, drżąc ciągle i nie odwracając oczu od Flory:

— Gdzie chcesz, byle zaraz.

Flora, nieruchoma, pobladła pod tem spojrzeniem, wyrażającem wstręt i oburzenie.

A więc w tej rzezi, sprawionej pomiędzy ludźmi nieznanymi, niewinnymi, nie zdołała zabić ani jej ani jego!.. Ona wyszła z całej katastrofy bez najmniejszego zadraśnięcia a on może się także jeszcze wykręci przed śmiercią zaglądającą mu w oczy.

I czego dokazała?.. Zbliżyła ich tylko do siebie, rzuciła ich we wzajemne objęcia, ułatwiła im pobyt sam

na sam w tym domu odludnym. Widziała już w myśli, jego uleczonego, przychodzącego powoli do zdrowia, ją, zajętą staraniami o wszelkie możliwe wygody, za które on płacić jej będzie ciągłemi pieszczotami. Oboje będą przeciągali jak najdłużej ten miesiąc miodowy po katastrofie, zdala od świata, wśród ciszy i swobody, niczem niezamąconej.

Dreszcz zimny przeszedł po jej kościach. Spojrzała na długi szereg umarłych... Tylu ludzi zabiła daremnie, daremnie!.. Wzrok jej zatrzymał się na grupie osób, stojących w pobliżu.

Jacyś panowie wypytywali Cabucha i Misarda o szczegóły wypadku. Bezwątpienia było to pierwsze dotknięcie ręki sprawiedliwości.

I rzeczywiście prokurator cesarski i naczelnik biura prefektury starali się dowiedzieć, w jaki sposób ten wóz z olbrzymiemi kamieniami znalazł się na torze w chwili przejazdu pociągu.

Misard utrzymywał, iż ani na chwilę nie opuszczał swego stanowiska, lecz że w tej kwestyi nie może udzielić żadnych objaśnień. Nie widział nic a nic, stał odwrócony przodem do nadchodzącego pociągu, z sygnałem w ręku, i nie może zrozumieć, jakim się to wszystko stało sposobem.

Cabuche, wzburzony jeszcze do najwyższego stopnia, opowiadał długą historyę, dlaczego zostawił konie, chcąc zobaczyć umarłą, i jak zwierzęta, przestraszone łoskotem pociągu, ruszyły same, a Flora nie mogła ich wstrzymać.

Opowiadanie jego nie odznaczało się bynajmniej jasnością. Rozpoczynał, przerywał, wracał do tych samych

szczegółów, które wypadku wcale nie objaśniały i ostatecznie nagadał tyle, że obaj urzędnicy nic z tego nie zrozumieli.

Flora pojęła jasno, co jej zagraża. Będą ją wypytywali, zaaresztują może? Oprócz zbrodni, idzie przecież jeszcze o przewinienie służbowe, za które zostanie pociągniętą do odpowiedzialności.

Nie... ona nie da się zaaresztować, musi być wolną, musi sama rozważyć dokładnie, co zrobiła i co dalej zrobić należy.

Ta myśl przywróciła w jej żyłach krążenie krwi, zmrożonej przez chwilę spojrzeniem Jakóba Postanowiła uciec. Czekała tylko chwili, w której Jakób zostanie przeniesiony do mieszkania, a tymczasem czekała spokojnie.

Pecqueux, uproszony przez Sewerynę, poszedł wystarać się o nosze lub o coś, coby je na razie zastąpić mogło.

Po chwili powrócił, przyniósł to, co potrzebne było do przeniesienia chorego i po drodze przywołał człowieka jakiegoś, któryby mu pomógł.

W czasie nieobecności palacza, jeden z doktorów podszedł do Seweryny, prosząc, aby udzieliła w swym domu schronienia nadkonduktorowi, Henrykowi Dauvergne, który prócz wywichnięcia nóg, cierpiał wstrząśnienie mózgu.

Seweryna przychyliła się do tej prośby. Chorych miano przenieść jednego po drugim.

Jakób skarżył się, iż kołnierz dusi mu szyję, i prosił, aby go rozpięto. Seweryna, nachyliwszy się i odpinając

guzik, pocałowała go w oczy, otwarcie, chcąc dodać mu odwagi do zniesienia cierpień przy przenoszeniu.

— Nie bój się!.. będziemy szczęśliwi.

Jakób. uśmiechając się, pocałował ją również. Dla Flory był to cios najstraszniejszy. Czuła, iż krew jej płynie strumieniem z rany nieuleczalnej.

Jakóba ułożono wkrótce na noszach i poniesiono ku domowi.

Flora nie miała już czego czekać, powolnym z początku krokiem ruszyła się z miejsca, na którem tak długo stała.

Przechodząc koło domu, ujrzała przez szyby okien izbę, w której leżał trup jej matki. Na stole paliła się jeszcze świeca, rzucając wśród dnia jasnego żółtą plamę na białe tło ściany. Zmarła leżała w czasie wypadku sama, z głową, na pół odwróconą, ustami, z jednej strony odchylonemi, oczyma otwartemi szeroko, jakby patrzyła na śmierć tylu ludzi obcych, nieznanych.

Flora, minąwszy dom, biegła pędem drogą ku Doinville. Po chwili rzuciła się na lewo pomiędzy krzaki.

Znała ona doskonale najmniejszy zakątek kraju i nie obawiała się żandarmów, w razie gdyby jej mieli poszukiwać. Namęczyliby się tylko i napewnoby jej nie znaleźli. Dlatego też przestała biedz, stanęła na chwilę, a następnie wolnym krokiem podążyła ku skrytce dobrze jej znanej, gdzie często lubiała się zagrzebywać w dniach, gdy napadał ją smutek niepokonany.

Skrytką tą była dziura obszerna, wykopana w ziemi, zarosła i prawie pokryta krzakami. Leżała ona nad tu-

nelem. Spojrzała ku niebu. Poznała po słońcu, że było już południe.

Dostawszy się do dziury, wyciągnęła się na skale twardej i leżała nieruchomie, z rękami, złożonemi jak do modlitwy i podsuniętemi pod głowę.

Zaczęła rozmyślać. Uczuła straszną pustkę w piersi. Zdawało jej się, iż umiera, czuła że wszystkie członki jej sztywnieją powoli. Uczucie, jakiego doznawała, nie było wcale wyrzutem sumienia z powodu śmierci tylu osób zabitych niewinnie i bez potrzeby.

Ją samą nawet to zastanowiło; czyniła wysiłki, aby wzbudzić jakikolwiek żal w sercu; daremnie. Nie.. myśl inna ciągle jej się nasuwała.

Jakób widział, że to ona zatrzymała konie i sprowadziła całe nieszczęście. Zrozumiała dobrze po jego wzroku, iż czuje ku niej wstręt taki, jaki zwykle się czuje ku potworom. On jej tego nigdy nie zapomni. Zresztą, skoro się chybia cios wymierzony przeciw innym, należy zwrócić go przeciw sobie, i uważać dobrze, aby przynajmniej tym razem nie chybić.

Postanowiła umrzeć. Nie miała już żadnej nadziei. Konieczność zakończenia raz życia przedstawiła jej się wyraźnie od chwili, gdy znalazła się sama, gdy zaczęła rozmyślać i starała się uspokoić. Jedynie tylko nadmierne zmęczenie i obezwładnienie całej jej istoty powstrzymywało ją od powstania i poszukania natychmiast sposobu jakiegokolwiek, aby natychmiast umarła.

Senność niczem nieprzezwyciężona ogarniała ją coraz bardziej. A jednak odzywało się w jej głębi przywiązanie do życia, potrzeba szczęścia. Ma prawo przecież być

szczęśliwą, skoro pozwala tamtym dwojgu żyć swobodnie. Dla czegóżby nie miała poczekać do nocy, a następnie pobiedz do Ozila, który ją uwielbia, i potrafiłby ją obronić?

Myśli jej mieszały się coraz bardziej, mgła jakaś je pokrywała, nareszcie zasnęła snem ciężkim, bez marzeń.

Noc już była ciemna, gdy się przebudziła. W pierwszej chwili oszołomiona, nie wiedziała, gdzie się znajduje. Dotknąwszy ręką zimnej skały, na której leżała, przypomniała sobie wszystko. Nieubłagana konieczność przebiegła przez myśl jej, jak błyskawica.

Trzeba umrzeć!... Marzenie o życiu szczęśliwem rozpierzchło się teraz, jak mgła, gdy siły swe snem pokrzepiła.

Nie!.. Nie!.. tylko śmierć!.. nic jej więcej nie pozostaje. Nie może przecież żyć wśród tych potoków krwi, niewinnie przelanej, nie może żyć z sercem strzaskanem, przeklęta przez człowieka jedynego, z którym mogłaby być szczęśliwą. On ją nienawidzi.,. to pewna... przeklął ją... widziała to przecież w jego spojrzeniu...

Teraz, gdy sił już nabrała, trzeba umrzeć...

Podniosła się i wysła z ukrycia. Bez najmniejszego wahania poszła szybkim krokiem. Instynkt wskazywał jej drogę. Spojrzała na niebo, na gwiazdy; godzina była mniej więcej dziewiąta. Idąc wprost przed siebie, znalazła się wkrótce przy torze kolei. O kilka kroków od niej przebiegł pociąg z szybkością nadzwyczajną. Widocznie ruch już przywrócono, usunięto przeszkody i naprawiono szyny. Szła dalej wzdłuż toru, wśród ciszy niczem nieprzerywanej. Nie pilno jej było; najbliższy pociąg nie nadejdzie prędzej, jak za pół godziny.

Szła wciąż krokiem drobnym, spokojnie, jak gdyby się wybrała na zwykłą przechadzkę. Zbliżywszy się do tunelu, przemknęła chyłkiem koło budki strażnika, aby jej nie dostrzegł, tak, jak to zwykle czyniła, wybierając się z wizytą do Ozila, na drugą stronę.

W tunelu szła wciąż, wciąż naprzód, jakby na spotkanie pociągu

Idąc ostatnim razem, obawiała się czegoś, dziś szła śmiało; nie przerażała jej ta ciemność, w której niknie poczucie czasu i przestrzeni. Co ją to obchodzi!.. Nie rozumowała, nie myślała nawet, powzięła tylko stałe postanowienie, iść wciąż naprzód, przed siebie, wprost na spotkanie światła latarni, która przecież musi się pokazać za chwilę.

A jednak zdawało jej się, iż idzie już od kilku godzin. Zdziwiło ją to cokolwiek. A!. jakże to trwa długo, jak powoli zbliża się śmierć, której ona tak pragnie.

Przez chwilę przyszło jej na myśl, iż pociąg może nie nadejdzie, może ruch kolejowy został wskutek jakich nowych przeszkód wstrzymany, może będzie tak szła mile całe i nie spotka się z lokomotywą.

Przypuszczenie to przeraziło ją cokolwiek. Nogi zaczynały ją boleć, czyżby zmuszona była czekać, usiąść, położyć się w poprzek szyn? Nie... to jej się wydało niegodnem.

Chciała iść wciąż naprzód, śmiało, wyczekiwać tej śmierci upragnionej w postawie stojącej, bojowej. Odwaga i energia powróciły, przyśpieszyła kroku i nagle ujrzała w dali maleńkie światełko, migocące na tle czarnem.

Pociąg nie wszedł jeszcze pod sklepienie, gdyż nie słychać było łoskotu, jaki zwykle w całym tunelu odzywa się echem przerażającem. Tylko ten ognik żywy, wesoły, zwiększający się powoli, oznajmiał nadejście machiny.

Flora wyprostowała się, i szła krokiem szybkim, pewnym, nie biegnąc jednak, szła spokojnie, jakby na spotkanie przyjaciółki, której chce oszczędzić trochę drogi.

Pociąg wszedł do tunelu, przerażający łoskot rozlegał się coraz bardziej, mała gwiazda zamieniła się w olbrzymie oko płomienne, tryskające mnóstwem promieni wśród ciemności nieskończonych.

Flora, pod wpływem jakiegoś uczucia niewytłomaczonego, wypróżniła kieszenie, nie zwalniając bynajmniej kroka, wyjęła chustkę, klucze, kawałek sznurka, dwa noże, i zwinąwszy wszystko razem, położyła na skraju toru. Zdjęła chustkę z szyi, rozpięła stanik, odrywając z pośpiechu guziki.

Oko ogniste przybrało już pozór ogniska, paszczy, ziejącej żarem.

Potworny oddech machiny zbliżał się coraz bardziej. Flora czuła go już na twarzy... wilgotny... ciepły; łoskot piekielny, odbijający się tysiąckrotnie o sklepienie tunelu ogłuszył ją zupełnie.

Szła wciąż śmiało naprzód, wpatrzywszy się w ten żar oślepiający, szła prosto w ogień, jak ćma nocna, wabiona urokiem światła.

W ostatniej chwili wyprostowała się sztywno, wygięła głowę naprzód, jakby nią rozbić chciała tego olbrzyma, zbliżającego się ku niej z błyskawiczną szybkością.

Wyciągnęła ramiona jak do uścisku, i uderzyła czołem w sam środek latarni.

Szkło pękło strzaskane w drobne kawałki, światło olbrzymie zagasło.

W godzinę później znaleziono trupa Flory.

Maszynista widział dobrze tę postać bladą, idącą pewnym krokiem, wprost ku machinie, nie zdążył jednak wstrzymać pociągu. Gdy latarnia zgasła raptownie, a pociąg znalazł się wśród ciemności, której grozę powiększał łoskot straszliwy, maszynista zadrżał, czując powiew śmierci. Gdy wyjechał z tunelu, krzyknął w biegu do dróżnika, zawiadamiając o wypadku.

Nie dosłyszano go. Dopiero w Barentin opowiedział, iż ktoś zabił się pod lokomotywą, prawdopodobnie kobieta. Garść włosów i szczątki czaszki rozbitej widniały na latarni i dawały pojęcie o sile uderzenia.

Wysłano natychmiast do tunelu kilku robotników z latarniami. Znaleźli trupa Flory i stanęli zdziwieni, na widok piersi odkrytej, białej jak marmur.

Trup leżał z boku toru, odrzucony widocznie gwałtownem uderzeniem. Głowa była rozbita na miazgę, reszta ciała nietknięta.

Poznali natychmiast Florę. Widocznie zabiła się, chcąc uniknąć ciążącej na niej odpowiedzialności. W milczeniu przenieśli ją do mieszkania Misarda.

Zwłoki córki złożono obok trupa matki. Świeca, stojąca na rogu stołu, migotliwym blaskiem oświecała twarz Phasii, która zdawała się patrzeć szeroko otwartemi oczyma na Florę.

Zdala dochodził niewyraźny łoskot uderzeń łopatą o ziemię. To Misard, zadyszany, zmęczony, szukał wciąż skarbu ukrytego.

W przestankach regularnych przechodziły pociągi, krzyżowały się, gdyż oba tory doprowadzono już do porządku. Biegły obojętnie, nieświadome tych dramatów i tych zbrodni. Kogo to zresztą mogło obchodzić!.. Trupy usunięto; zatarto ślady krwi i wszystko szło dalej trybem zwyczajnym.

XI.

W Croix-de-Maufras na piętrze, był pokój sypialny, obity różowym adamaszkiem, z oknami wysokiemi, zwróconemi na tor kolei. Z łóżka dębowego, rzeźbionego, ustawionego wprost okien, można było widzieć przebiegające pociągi.

Od lat kilku nie zmieniono tu nic, nie poruszono ani jednego sprzetu.

Do tego pokoju kazała Seweryna przenieść Jakóba ranionego i omdlałego.

Henryka Dauvergne złożono w innym pokoju, cokolwiek mniejszym, na parterze.

Drzwi pokoju różowego prowadziły do sieni.

Seweryna zajęła mały salonik tuż obok Jakóba.

W przeciągu dwóch godzin urządzono się jak można najwygodniej, co zresztą przyszło z wielką łatwością, gdyż

dom zaopatrzony był we wszystko, aż do bielizny, ułożonej w porządku, na półkach w kilku szafach.

Seweryna, przypasawszy fartuszek na wierzch sukni, przyjęła na siebie obowiązki opiekunki chorych, zawiadomiwszy Roubauda depeszą telegraficzną, iż musi pozostać przez kilka dni, dopóki ranni, umieszczeni w jej domu, nie wyzdrowieją.

Nazajutrz lekarz, zbadawszy dokładnie stan Jakóba, mógł już zapewnić, że najdalej za dni dziesięć, będzie mógł podnieść się z łóżka.

Cudem tylko maszynista nie poniósł cięższych obrażeń. Skończyło się na wstrząśnieniu wewnętrznem. Lekarz jednak zalecał wielkie starania i spokój niczem niezamącony.

Gdy chory otworzył nareszcie oczy, Seweryna, która czuwała przy nim jak przy dziecku, prosiła go najłagodniejszemi, jakie dobrać mogła, słowy, aby we wszystkiem był jej posłuszny.

Jakób skinął głową na znak przyzwolenia. Zanadto był osłabiony, aby mógł mówić cokolwiek. Myśl jednak jego niczem nie zamącona, pracowała ciągle.

Rozejrzał się po pokoju. Poznał go natychmiast, choć nigdy w nim nie był. To ten sam pokój, o którym opowiadała mu Seweryna. Tu przed szesnastu laty uległa ona gwałtownym napaściom Grandmorrina.

Myślał nieraz o tym pokoju, przejeżdżając tędy, spoglądał zawsze na okna, przysłonięte żaluzyami. Widok tego domu wywoływał w nim zawsze dziwne uczucie smutku; dziś znajduje się tu, i w jak niezwykłem położeniu, i w tym pokoju umrze z pewnością. Nie wierzył aby się

to mogło skończyć inaczej, czując się tak bardzo osłabionym.

Gdy Seweryna zauważyła, iż chory jest w stanie słuchać ją i zrozumieć, szepnęła mu do ucha, nachyliwszy się niby dla poprawienia kołdry:

— Nie bój się... wypróżniłam twoje kieszenie... zabrałam zegarek...

Spojrzał na nią oczyma szeroko otwartemi, wysilając swą pamięć.

— Zegarek?.. A!.. tak... zegarek.

— Mogli byli szukać po kieszeniach, dlatego też schowałam go pomiędzy moje rzeczy. Nie kłopocz się bynajmniej.

Podziękował jej uściśnieniem ręki. Odwróciwszy głowę, dostrzegł na stole nóż, również wyjęty z kieszeni. Tego nie było co chować. Nóż, jak wiele innych.

Na drugi już dzień, Jakób czuł się silniejszym. Zbudziła się w nim nadzieja, że może ten wypadek nie będzie kresem jego życia, może jeszcze nie umrze.

Z przyjemnością ujrzał koło siebie Cabucha, który sprzątał pokój, starając się robić jak najmniej hałasu swym ciężkim chodem.

Cabuche, od czasu wypadku, nie odstępował na krok tego domu, czuł jakby gwałtowną potrzebę niesienia pomocy, poświęcenia się dla rannych. Szczególnie często kręcił się koło Seweryny, usługiwał jej jak pies wierny, zapatrzony w nią jak w tęczę. Dzielna kobieta, myślał sobie, chociaż taka szczupła; warto jej pomódz, tembardziej że ona też pomaga innym.

Jakób i Seweryna prędko przyzwyczaili się do niego, nie krępowali się jego obecnością, mówili do siebie ty, ściskali się nawet i całowali.

Cabuche w podobnych chwilach starał się dyskretnie zniknąć z przed oczu zajętych sobą kochanków.

Jakóba jednak dziwiła częsta nieobecność Seweryny. Pierwszego dnia, słuchając rady lekarza, nie wspomniała mu nic o Henryku; o wiele będzie spokojniejszy, myślała, sądząc, iż sam się znajduje w tym domu. Gdy więc ją zapytał:

— Czy sami tu jesteśmy?

— Sami, najdroższy, zupełnie sami — odpowiedziała. — Śpij spokojnie.

A jednak znikała co chwilę.

Nazajutrz Jakób dosłyszał niby szept rozmowy i śmiechy, stłumione na parterze. Później, po kilku dniach, rozróżniał wyraźnie rozmowę wesołą dwóch osób. Głosy to były młode, świeże, śmiały się i opowiadały ciągle.

— Co to jest?.. nie jesteśmy sami w tym domu.

— A więc tak, mój drogi, na dole, akurat pod twoim pokojem, znajduje się ranny, którego także musiałam przyjąć i umieścić w tym domu.

— A!.. i któż to taki?

— Henryk Dauvergne, wiesz, nadkonduktor.

— Henryk?.. a!.. to on?

— Dziś rano przyjechały jego dwie siostry. To właśnie ich głosy słyszysz tu ciągle. Śmieją się ze wszystkiego... Ponieważ Henryk ma się o wiele lepiej, więc wyjadą dziś wieczorem. On zaś zostanie jeszcze przez dwa lub trzy dni, dopóki zupełnie nie wyzdrowieje. Wy-

obraź sobie, że wyskoczył w pełnym biegu pociągu i nic mu się nie stało. Tylko mózg sobie wstrząsnął i przez kilka dni był jak idyota, ale to już minęło.

Jakób milczał, patrząc na nią wzrokiem przenikliwym. Po chwili milczenia odezwała się:

— Rozumiesz? gdyby go tu nie było, zarazby ludzie zaczęli gadać plotki o nas... A dopóki nie jestem z tobą sam na sam, mąż nie może mi nic powiedzieć i mam doskonały powód, do zostawania przy tobie... rozumiesz?..

— Tak, tak, doskonale...

I do wieczora Jakób słuchał śmiechów małych Dauvergne, poznawał ich głosy, przypominał sobie, że już raz słyszał je w Paryżu, również pod pokojem, w którym znajdował się z Seweryną, w mieszkaniu palacza Pecqueux.

Wieczorem wszystko się uciszyło. Od czasu do czasu dolatywał go tylko cichy odgłos kroków Seweryny, idącej od niego do drugiego rannego. Potem słyszał zatrzaśnięcie drzwi na dole i wkrótce dom cały zapadł w ciszę głęboką.

Dwa razy, czując pragnienie, musiał stukać krzesłem o podłogę, aby przywołać Sewerynę. Za każdym razem przybiegała rozpromieniona, uśmiechnięta, i śpieszyła się bardzo, gdyż, jak mówiła, nie może ani na chwilę odejść od Henryka, któremu musi przytrzymywać na głowie okłady z lodu.

Czwartego dnia Jakób mógł się już podnieść i spędzić dwie godziny w fotelu przed oknem. Wychyliwszy się cokolwiek, patrzył na ogród niezbyt wielki, przecięty

torem kolei żelaznej, otoczony niskim murem, zarosły krzakami róż dzikich o bladych kwiatach.

Przypomniał sobie, jak owej nocy wspinał się po tym murze, ażeby zajrzeć do środka.

Po drugiej stronie domu ogród był pusty, niezarosły, otoczony płotem z dzikich krzewów. Owej pamiętnej dlań nocy, przeskoczył przez ten płot i spotkał przypadkowo Florę, zajętą rozplątywaniem pęku powrozów.

A! przeklęta noc!.. wspomnienie jej jeszcze dotąd dreszczem go przejmowało. Ta Flora!.. Jej kibić smukła i wielka, jej głowa jasnym włosem pokryta, jej oczy płomienne, patrzące tak prosto a tak przenikliwie, wszystko to coraz wyraźniej rysowało się w jego umyśle.

Z początku ani on sam, ani też nikt z otoczenia nie wspominał o zaszłym wypadku. Powoli jednak, w umyśle Jakóba zaczęły budzić się wspomnienia najdrobniejszych szczegółów tej katastrofy.

Szczegóły układały się powoli w jednę całość, która tak zajęła jego umysł, że jedynem jego zajęciem było, siedząc przy oknie, wyszukiwać ślady, domyślać się powodów tego wszystkiego, co się stało.

Dlaczego jej do tego czasu nie dostrzegł? . dlaczego ona nie stoi już na swojem stanowisku, z chorągiewką w ręku?

Pytania podobne mimowoli nasuwały mu się na myśl. Bał się odpowiedzieć sobie na nie, a bojaźń ta wzmagała tylko gorączkę, rozwojowi której sprzyjał ten dom ponury, zamieszkały przez widma i straszydła.

Pewnego rana jednakże, gdy Cabuche, kręcił się po pokoju, pomagając Sewerynie w porządkowaniu, zdobył się na odwagę i zapytał:

— A Flora?.. co się z nią stało?.. czy przypadkiem nie chora?..

Kamieniarz, zapytany tak nagle, nie zrozumiał znaków gwałtownych młodej kobiety, nakazującej mu milczenie. Sądził przeciwnie, iż Seweryna każe mu powiedzieć otwarcie.

Nie wahając się długo, odrzekł głosem bolesnym:

— Biedna Flora! . umarła!..

Jakób spoglądał na nich drżący, blady. Po pierwszej odpowiedzi Cabucha, nie wypadało już nic innego, jak tylko opowiedzieć smutną prawdę.

We dwoje więc, dopomagając jedno drugiemu w przypominaniu szczegółów, Cabuche i Seweryna, opowiadali, jak Flora, tegoż samego dnia po wypadku, który tylu ludzi uśmiercił, pobiegła do tunelu i tam rzuciła się pod koła pociągu.

Opóźniono naumyślnie pogrzeb matki, aby ją pochować razem z córką. Leżą jedna obok drugiej, na małym cmentarzu w Doinville, tuż obok grobu nieszczęśliwej Ludwiki, która także umarła śmiercią gwałtowną. Trzy ofiary, jakby zmiecione gwałtownym podmuchem wiatru, wzbudzonego przez pociągi, przebiegające z szybkością błyskawicy.

— Umarły!.. mój Boże! — powtórzył Jakób po cichu — umarły!.. moja biedna ciotka Phasia i Flora, i Ludwika!..

Na to ostatnie imię, Cabuche, zajęty wraz z Seweryną słaniem łóżka, spojrzał na nią instynktownie, jakby przeraził się wspomnieniem swych uczuć dawniejszych. wobec namiętności świeżej, rozwijającej się i opanowującej go zupełnie, przed którą on nie bronił się wcale, lecz ulegał pierwszemu popędowi, jak pies ulegający od pierwszej, okazanej mu pieszczoty.

Seweryna jednak patrzyła nań jak dawniej, wzrokiem, wyrażającym sympatyę. Ręce ich przypadkowo zetknęły się, a Cabuchowi krew uderzyła do głowy.

Jakób nie widział tej sceny przelotnej; zajęty innemi myślami, zapytał:

— Oskarżono ją więc o wywołanie tej katastrofy?..

— O... nie... nie — odpowiedział Cabuche, jąkając się i powoli przychodząc do przytomności. — Tylko... zawsze tam trochę i jej w tem było winy... to przecież jasne.

I zdaniami urywanemi, opowiedział to co wiedział. Nie widział nic, gdyż właśnie w chwili, gdy konie ruszyły ciągnąc wóz z kamieniami w poprzek toru, on był w domu przy trupie Phasii, z którą chciał się po raz ostatni pożegnać.

I on czuł z tego powodu pewne wyrzuty sumienia. Panowie z sądu, którzy przybyli na śledztwo, czynili mu ciężkie wymówki, że nie należało zwierząt zostawiać bez dozoru, że nieszczęście by się nie było stało, gdyby on nie zostawił koni samopas.

Śledztwo jednak wykazało, że główną przyczyną było niedbalstwo Flory, a ponieważ ona sama się ukarała i to nawet bardzo surowo, dano więc wszystkiemu pokój; nie

ruszono nawet Misarda, który z miną pokorną wykręcił się ze sprawy, całą winę składając na zmarłą.

Za baryerę była ona tylko odpowiedzialną, powinna ją była za każdym nadejściem pociągu zamykać; on nawet nie mógł widzieć co się dzieje za jego plecyma, zwrócony przodem do pociągu nadchodzącego.

Śledztwo ostatecznie stwierdziło, że Misard tego rana spełnił dokładnie wszystkie swe obowiązki, i nic mu nie można było zarzucić. Zostawiono go więc na miejscu a do czasu, zanim się ożeni po raz drugi, pozwolono mu przyjąć jako dozorczynię baryery, starą Ducloux, dawną służącą z oberży sąsiedniej, która utrzymywała się dotąd z zaoszczędzonych dawniej dochodów.

Gdy Cabuche wyszedł z pokoju, Jakób zatrzymał Sewerynę wzrokiem, dając jej znak aby na chwilę została.

Był bardzo blady.

— Czy ty wiesz, że Flora naumyślnie pociągnęła konie i zagrodziła przejazd?.,

Teraz znów Seweryna pobladła.

— Co ty mówisz?.. ty masz gorączkę...

— Nie... nie... to nie jest przywidzenie .. Słyszysz?.. Widziałem ją tak dobrze, jak ciebie widzę w tej chwili. Trzymała za wędzidła i siłą ręki nie pozwoliła ruszyć się koniom, które chciały uciekać i zejść z drogi wraz z wozem...

Seweryna osunęła się na krzesło, nie mogąc utrzymać się na nogach.

— Mój Boże!.. mój Boże!.. jak ja się boję... jakież to potworne... nie będę mogła zasnąć w nocy.

— Przecież to jasne... Chciała nas zabić... nas dwoje w tym tłumie... Oddawna już kochała się we mnie, była zazdrosną... A przytem ta głowa szalona... myśli jej Bóg wie z jakiego świata przychodziły... Tyle trupów... stos ludzi we krwi... a!.. nędznica! .

Patrzyli na siebie wzrokiem szeroko rozwartym, nie odzywając się długo ani słowa.

Nareszcie, chcąc uniknąć tego widma wstrętnego, które gwałtem nasuwało się przed ich oczy. Jakób odezwał się półgłosem:

— A!.. umarła .. więc to dlatego zdaje mi się, iż ciągle ją widzę Od chwili, gdy odzyskałem świadomość, zdaje mi się ciągle, że ona jest tuż koło mnie. Dziś jeszcze czułem jej oddech na twarzy, jak gdyby stała za łóżkiem, tak, iż musiałem się pomimowoli odwrócić. Umarła... a my żyjemy... Oby tylko nie chciała teraz się zemścić.

Seweryna zadrżała.

— Daj pokój... proszę cię... daj pokój. . przywodzisz mię do szaleństwa.

Wyszła

Jakób słyszał wyraźnie, jak podążyła śpiesznie do drugiego ranionego.

Stanął przy oknie i zapatrzył się na tor kolei, na małą budkę dozorczyni baryery, na studnię obok stojącą, na domek dróżnika, zbity z desek, gdzie Misard spał, jak się zdawało, w chwili gdy był wolny od monotonnego swego zajęcia.

Patrzył na to wszystko, pogrążony w zadumie, jak gdyby zamyślił się nad rozwiązaniem zagadki, niemożli-

wej do rozwikłania, a od której jednakowoż całe szczęście jego zależało.

Z szczególnem zajęciem wpatrywał się w Misarda, w tę istotę suchą, bladą, wiotką, wstrząsaną co chwilę kaszlem uporczywym. A jednak on struł swą żonę, zniszczył tę kobietę tęgą, którąby mogła, jak się zdawało, przeżyć dziesięciu podobnych Misardów. Stoczył ją jak robak, niszczący drzewo potężne, powoli lecz uparcie i bez przerwy.

Od lat wielu, bezwątpienia, w głowie jego nie zbudziła się myśl inna! W dnie i noce w czasie dwunastogodzinnej służby, myślał on o jednem i tem samem.

Za każdym odgłosem dzwonka elektrycznego, zawiadamiającego o nadejściu pociągu, dawał sygnał trąbką, później, gdy pociąg przeszedł, naciskał guzik aparatu sygnałowego, aby otworzyć przejazd na następnych posterunkach, poczem za naciśnięciem innego guzika zawiadamiał posterunki poprzednie, iż droga jest wolną, oto całe zajęcie, spełniane co chwilę, które w końcu stało się przyzwyczajeniem, wykonywanem bezmyślnie.

Bez wykształcenia najmniejszego, nie umiejąc nawet czytać, spędzał godziny całe bez zajęcia, patrzył oczyma nieruchomemi w dal nieokreśloną.

Ciągle w budce, oczekiwał tylko sygnału, a jedyną jego rozrywką, było spożycie śniadania lub obiadu, które też starał się przeciągnąć jak najdłużej. Następnie siadał z głową ociężałą, pustą, bez myśli, trapiony jedynie gwałtowną potrzebą snu, tak, że często zasypiał z oczyma otwartemi.

W nocy, bojąc się, aby nie zaspał, wstawał i chodził koło budki, zataczając się, jak pijany, bo ledwie na nogach mógł się utrzymać.

W tym mózgu zdrętwiałym, jak zwykle u człowieka, odosobnionego od reszty świata, jedna tylko myśl się budziła. Tą myślą była chęć zabrania żonie owych tysiąca franków.

Gdy dawał znak trąbką, gdy manewrował sygnałami, czuwając bezmyślnie i automatycznie nad bezpieczeństwem życia tylu setek osób, myślał o truciźnie; gdy stał na stanowisku nieruchomie, z oczyma opuchłemi od senności, myślał tylko o tem jednem. Nic więcej: musi ją zabić, następnie będzie szukał i znajdzie, musi znaleźć ten skarb pożądany.

Jakób patrzał nań obecnie ze zdziwieniem.

Jakto? więc on się nic nie zmienił? Można więc zabijać bez najmniejszego wstrząśnienia, i żyć dalej spokojnie?

Po gorączce pierwszych poszukiwań, Misard rzeczywiście zapadł w zwykłą sobie obojętność. Daremnie więc wysilał się, aby zabić tę upartą kobietę, śmierć jej nie przyniosła mu korzyści; Phasia nawet po śmierci tryumfowała. Czuł się pobitym; przeszukał cały dom, nie znalazł nigdzie ani grosza.

Przed oczyma jego widniała ciągle twarz zmarłej z oczyma, szeroko otwartemi i wargami uchylonemi z jednej strony do ironicznego uśmiechu, jakby chciała powiedzieć: „szukaj!.. szukaj!..“

I szukał, szukał wciąż bez wytchnienia, obecnie już nie rękami, nie łopatą, lecz myślą, szukał ciągle. Praco-

wał bezustannie, przechodząc w myśli wszystkie skrytki możliwe, nie zatrzymując się nad temi, które już przerzucił, a zapalając się gorączkowo, gdy tylko zdawało mu się że przypomniał sobie jeszcze jednę nietkniętą. Biegł wtedy pośpiesznie, porzucając wszelkie zajęcie.

Zawsze daremnie!..

A jednak nie zniechęcało go to bynajmniej; szukał ciągle.

Duclox, nowa dozorczyni baryery, przemyśliwała również. Chciała doprowadzić Misarda koniecznie do tego, aby się z nią ożenił, tymczasem zaś pomagała mu w gospodarstwie.

Pewnej nocy Jakób, przyszedłszy już nieco do zdrowia, i mogąc chodzić powoli po pokoju, wstał i podszedł do okna. Koło domu Misarda ktoś chodził z latarnią. Jakób uśmiechnął się i pomyślał:

— Szuka zapewne!..

Jednak nocy następnej, chcąc sprawdzić, czy to rzeczywiście był Misard, dostrzegł z zadziwieniem Cabucha, podkradającego się ostrożnie pod okna sąsiedniego pokoju, gdzie spała Seweryna.

Nie mógł jej widzieć, a jednak stanął i przez dwie godziny przeszło nie ruszał się z miejsca.

Widok tego człowieka nie zgniewał wcale Jakóba, wzbudził w nim tylko litość i smutek.

— Jeszcze jeden nieszczęśliwy! — pomyślał — stoi przygwożdżony pod jej oknami, jak bydlę bezmyślne a wierne.

Rzeczywiście, Seweryna, szczupła, nie zbyt piękna, była jednak aż nadto powabną, z temi włosami kruczemi i oczyma, koloru barwinku, aby nie poruszyć nawet takiego olbrzyma dzikiego, jakim był Cabuche.

I patrzcie... stoi pod jej oknami, w nocy, jak dzieciak rozmarzony!..

Teraz dopiero Jakób przypomniał sobie gorliwość, z jaką kamieniarz biegł na usługi Seweryny, jak patrzył wciąż na nią bez przerwy, niby na obraz święty.

A nazajutrz, zwróciwszy na niego uwagę, dostrzegł, jak ukradkiem podniósł z ziemi szpilkę, która wypadła z włosów Seweryny i trzymał ją w dłoni, nie mając bynajmniej zamiaru oddania jej komu należy.

Jakób przypomniał sobie męki własne, jakie przeszedł swego czasu.

Dwa dni jeszcze minęły, tydzień się kończył, a ranny, jak to doktór przepowiedział, mógł już śmiało powrócić do swych zajęć.

Pewnego rana Jakób, stojąc w oknie, ujrzał swego palacza Pecqueux na machinie zupełnie nowej, kłaniającego się i czyniącego ręką ruch, jakby go przywoływał do siebie.

Jakób jednak nie śpieszył się wcale.

Od chwili, gdy przychodził do zdrowia, czuł, iż dawna namiętność i słabość budzi się w nim całą siłą. Gdy przypadkiem ujrzał obnażoną szyję Seweryny, czy to przy świetle dziennem, czy przy blasku lampy lub świecy, wstrząsał się cały. A jednak nie starał się uciec obecnie

 44

przed tą budzącą się słabością, lecz z pewnego rodzaju trwogą wyczekiwał, co dalej będzie.

Tego samego dnia usłyszał na dole dwa głosy świeże, śmiejące się, krzyczące i zamieniające tym hałasem ciche mieszkanie jakby w pensyonat podczas rekreacyi.

Poznał natychmiast po głosie że są to siostry Dauvergnea. Nie mówił nic Sewerynie, która zresztą przez cały dzień wymykała się z pokoju zajętego przez Jakóba, nie pozostając z nim nawet przez pięć minut.

Wieczorem głęboka cisza zaległa w domu całym Gdy nareszcie Seweryna przyszła z miną surową, cokolwiek pobladła, spojrzał na nią długo, przenikliwie i zapytał:

— Więc nareszcie pojechał... siostry zabrały go już z sobą?..

Na to odpowiedziała krótko:

— Tak.

— Jesteśmy zatem sami?.. zupełnie sami?..

— Tak, zupełnie... Jutro trzeba będzie i nam się pożegnać. Powracam do Hawru. Skończy się to obozowanie w pustyni...

Jakób nie spuszczał z niej wzroku, milczał przez chwilę z miną łagodną, a nawet uśmiechniętą.

Po długiem milczeniu odezwał się nareszcie:

— Żałujesz, że już pojechał?.. co?..

A gdy Seweryna zadrżała i widocznie chciała zaprzeczyć, powstrzymał ją ruchem ręki.

— O... nie myślę bynajmniej kłócić się z tobą. Widzisz przecie, że nie jestem zazdrosny. Pewnego razu powiedziałaś mi, abym cię zabił, gdybyś miała mi być niewierną... a jednakże, przyznaj sama, nie mam wca-

le miny człowieka, noszącego się z zamiarem zabicia kochanki... Ale tak, prawdę mówiąc, nie ruszałaś się prawie z dołu. Trudno cię było zatrzymać koło mnie choćby przez minutę. I wiesz co? przyszło mi ostatecznie na myśl to, co twój mąż opowiadał, że pewnego pięknego wieczora, zaszczycisz tego chłopca swemi względami, bez przyjemności... ot tak sobie... aby tylko rozpocząć coś nowego.

Seweryna nie chciała się tłómaczyć. Powoli, przeciągle, powtórzyła tylko po dwakroć:

— Rozpocząć... rozpocząć!..

Nagle, pod wpływem jakiegoś napadu rozpaczliwej szczerości, zaczęła mówić szybko, głosem przytłumionym:

— A więc tak... to prawda!.. My chyba możemy ze sobą rozmawiać otwarcie. Dosyć jest rzeczy na tym świecie, które nas łączą. Od kilku miesięcy ten człowiek chodzi za mną ciągle i prześladuje mnie swą miłością. Wiedział dobrze, że należę do ciebie; sądził iż mnie to nie będzie wiele kosztować, abym zechciała i do niego również należeć. Gdym go spotkała tu na dole, mówił znów do mnie, powtarzał mi, że mnie kocha do szaleństwa, wyrażając przytem taką wdzięczność za starania, jakiemi go otoczyłam, odzywając się z takiem uczuciem i szczerością, że... to prawda... zdawało mi się przez chwilę, jakby we śnie, że go kocham także... że chcę rozpocząć coś nowego, coś lepszego, coś... co być może, byłoby bez przyjemności, lecz coby mnie uspokoiło przynajmniej.

Przerwała sobie sama, zawahała się, po chwili jednak mówiła dalej:

— Gdyż... na naszej drodze stanęła zawada nieprzebyta... my już nie pójdziemy dalej... Nasze marzenia o wyjeździe, nasze nadzieje zostania bogatymi, szczęśliwymi tam w Ameryce, cały ten raj, jaki nam się uśmiechał, a którego spełnienie od ciebie zależało, jest rzeczą nieprawdopodobną, gdyż... ty nie mogłeś!.. O!.. ja ci nie robię wymówek!.. Broń Boże!.. Nawet lepiej że się nie stało to, czego tak pragnęłam... Chcę jednak, abyś zrozumiał, iż z tobą nie mam się już czego spodziewać. Jutro będzie takie same jak i wczoraj, te same męki, te same cierpienia!..

Jakób pozwalał jej mówić, nie przerywał jej nawet skinieniem oka. Dopiero widząc, iż powiedziała to, co powiedzieć chciała, odezwał się zimno, spokojnie:

— Więc dlatego ofiarowałaś swą miłość tamtemu?..

Przeszła kilka razy gorączkowym krokiem po pokoju, wreszcie stanęła przed Jakóbem i wzruszywszy ramionami, odrzekła:

— Nie... nie ofiarowałam mu swej miłości, i mówię ci to poprostu, spokojnie, a ty mi wierzysz, jestem tego pewną, kłamstwo bowiem pomiedzy nami byłoby całkiem zbytecznem. Doszliśmy już do tego, iż nie mamy nic przed sobą ukrywać... A więc... nie... nie zrobiłam tego!.. Dlaczego?.. Dlatego że... nie mogłam... zupełnie tak samo, jak ty nie mogłeś... w tamtej sprawie... Co? . To cię dziwi, iż kobieta nie może obdarzyć mężczyzny miłością, jeżeli to się stać ma jedynie wskutek wyrachowania, obmyślenia, jakie ztąd mogą być korzyści?.. Co do mnie, nie namyślałam się długo... Nie kosztowało mnie to nigdy wiele trudu,

aby być uprzejmą... a raczej, aby sprawić przyjemność Roubaudowi, lub tobie, gdy widziałam, że mnie tak kochacie... A jednak... tym razem nie mogłam!.. Pozwoliłam się całować po rękach... nawet nie w twarz... przysięgam ci... Oczekuje mnie w Paryżu, kiedyś później, widząc go bowiem tak nieszczęśliwym, nie chciałam powiększać jego rozpaczy.

Miała słuszność, Jakób wierzył jej zupełnie, widział dobrze w jej spojrzeniu i w tonie głosu, iż nie kłamie. Zresztą nie wiele zwracał uwagi na jej tłomaczenie. Czuł, że krew uderza mu do głowy, że dawna żądza budzi się w nim z nieprzepartą siłą.

Z bojaźnią największą myślał, że znajduje się sam na sam z nią, w tym domu odludnym. Chciał się pozbyć koniecznie tej myśli... Rozgniewany więcej na siebie samego niż na Sewerynę, odezwał się gwałtownie:

— A tamten... drugi... jest przecie jeszcze jeden... Cabuche!..

Poruszyła się raptownie.

— A!.. spostrzegłeś i to?.. i to wiesz także?.. Tak, to prawda, jest jeszcze i drugi... Sama siebie zapytuję, co im się wszystkim stało?.. No!.. ten przynajmniej nie odezwał się do mnie nigdy ani słowa. Widzę jednak dobrze, jak wykręca sobie palce gdy my się ściskamy, gdy słyszy, że mówię do ciebie po imieniu, kryje się po kątach i płacze... A do tego kradnie wszystko, co tylko do mnie należy... rękawiczki, szpilki, chustki do nosa; wszystko to znika mi z przed oczu. Zabiera i zanosi do swej dziury, gdzie chowa jak skarby... Nie sądzę jednak, abyś mógł przypuścić, że byłabym zdolną go pokochać... o nie,

nie!.. za wielki .. bałabym się. Zresztą, on o nic nie prosi, nic nie mówi .. nie... nie... Ludzie tego rodzaju, gdy są zakochani a bojaźliwi jak ten, umierają, nie żądając niczego. Mógłbyś mnie zostawić miesiąc cały pod jego opieką a ręczę, że nie dotknąłby mnie końcem palca .. tak samo, jak nie dotknął Ludwiki... o!.. dziś mogłabym za to zaręczyć.

Na to wspomnienie spojrzenia ich się spotkały i milczenie zapanowało. Na myśl im przyszły rzeczy dawne, minione, ich spotkania u sędziego śledczego w Rouen, później pierwsza podróż do Paryża, początek ich miłości, a dalej wszystko, co nastąpiło złego i dobrego.

Podeszła ku niemu tak blizko, że czuł ciepło jej oddechu.

— Nie, nie, z tym mniej jeszcze niż z kimkolwiek innym. Z nikim, słyszysz, z nikim, ponieważbym nie mogła. A chcesz wiedzieć dlaczego? Ja to czuję w tej chwili, i jestem pewną, że się nie mylę; dlatego, żeś mnie wziął całą. Daremnie szukam innego wyrażenia .. tak... wziął, zupełnie jak się bierze rzecz jakąś, obydwoma rękoma, zabiera się dla siebie, rozporządza się nią dowolnie, dlatego że jest ona własnością. Przed tobą nie byłam niczyją. Dziś jestem twoją i zostanę twoją, choćbyś nawet nie chciał tego, choćbym nawet ja sama tego nie chciała... Dlaczego tak jest, tego nie potrafię ani tobie ani sobie wytłomaczyć. Tak jest... i rzecz skończona!.. Inni?.. ja ich się boję... przejmują mnie wstrętem, gdy tymczasem ty... ty jesteś dla mnie rozkoszą, szczęściem prawdziwem, niebem... A!.. tylko ciebie kocham i tylko ciebie jednego kochać mogę.

Wyciągnęła ramiona, chcąc go chwycić w objęcia, złożyć głowę na jego ramieniu, uwisnąć ustami u warg jego.

On schwycił ją gwałtownie za ręce, zatrzymał raptownie, wzburzony, oszołomiony.

Czuł drżenie wszystkich nerwów, krew biła mu w skronie, w uszach dzwoniło, głowa bolała, jakby kto młotem tłukł po niej. Dziwna żądza zabijania wracała całą siłą i wzmagała się na widok szyi białej, wychylającej się z pod rozpiętego przypadkowo kołnierzyka

Seweryna mówiła dalej, głosem rozgorączkowanym, błagalnym:

— Życie nasze nie może się zmienić?.. Ha!.. trudno... tem gorzej dla mnie .. ale, skoro inaczej być nie może... i na to zgodzić się trzeba. Chociaż wiem, że ty położenia tego zmienić nie jesteś w stanie, że jutro czekają mnie te same przykrości i cierpienia, co i wczoraj, wszystko jedno... nio pozostaje mi nic innego, jak żyć z tobą i cierpieć razem z tobą. Powrócimy do Hawru; niech będzie jak chce, bylebym cię tylko od czasu do czasu mogła widzieć, nacieszyć się tobą.

Jakób nie słyszał tych słów, czuł tylko ich ton pieszczotliwy, to powiększało tylko jego gorączkę.

Już wyciągnął rękę ku tej szyi śnieżnej białości, chcąc jednem uściśnieniem zdusić ją, dogodzić swej wrzącej namiętności, gdy Seweryna, ulegając przyzwyczajeniu, odwróciła się i zgasiła lampę.

Zapanowała cisza, przerywana tylko szeptem pieszczoty i szmerem gorących pocałunków..

Po długiej chwili milczenia, odezwała się Seweryna głosem cichym, stłumionym.

— O!.. mój drogi.. gdybyś był mógł... jakże bylibyśmy szczęśliwi tam, w Ameryce!.. Nie, nie!.. ja nie żądam, ażebyś zrobił to, czego zrobić nie możesz!.. to tylko żal przemawia przezemnie, żal, za znikłem bez śladu marzeniem!.. Czy wiesz? przed chwilą strach jakiś przejął mnie na wskroś... Nie mogę pojąć, zkąd to pochodzi, a jednak czuję, że coś strasznego mi zagraża!.. To dziecińпро, rzecz prosta.. co chwilę oglądam się, jakbym czuła za sobą kogoś, co chce mi zadać cios śmiertelny. Ty jeden tylko możesz mnie obronić; cała moja radość, całe szczęście moje od ciebie zależy. Tyś jedynym celem mego życia!..

Jakób, nie odpowiadając, przycisnął ją do piersi, chcąc w tem uściśnieniu wyrazić to, czego słowami nie mógł wyjawić: wzruszenie swoje, chęć szczerą, aby mógł być dobrym dla niej, i miłość gwałtowną, która pomimo wszystkiego ani na trochę się nie zmniejszyła.

A przecież przed chwilą chciał ją zabić, i gdyby się była nie odwróciła, gdyby nie była zgasiła lampy, byłby ją zadusił... to pewna.

Widocznie nie wyleczy się nigdy, te napady wracają, niewiadomo kiedy, dlaczego i zkąd.

Nie mógł tego odkryć, nie chciał nawet zastanawiać się nad tem.

I dlaczego właśnie dziś się to stało, dziś, gdy widział w niej miłość, zaufanie bez granic?.. Czyżby to był egoizm?.. czyżby miał kochać ją aż tak dalece, że chciałby

zniszczyć ją zupełnie, czyżby widok zwłok martwych, zimnych jak ziemia, miał wpłynąć na jego uspokojenie?

— Powiedz mi, najdroższy, dlaczego ja się boję?.. Czy ty nie przeczuwasz nic, co mnie zagraża?..

— Nie, nie, uspokój się, nic ci nie grozi.

— Być może. A jednak są chwile, że trzęsę się cała. Czuję wyraźnie za sobą jakieś niebezpieczeństwo. Nie wiem co to jest, a czuję je wyraźnie... Dlaczego ja się boję?..

— Nie, nie, nie bój się... Kocham cię... nie pozwolę ci zrobić nic złego.. W mojem objęciu możesz być bezpieczną.

Przez chwilę milczeli.

— A!.. najdroższy... jakieżby to było szczęście bez granic, gdybyśmy... Ty wiesz... sprzedalibyśmy dom, pojechalibyśmy z pieniędzmi, w Ameryce wszedłbyś do spółki z twym przyjacielem, który wciąż cię oczekuje... Niema dnia, żebym o tem nie myślała... A jakbyśmy się tam ślicznie urządzili!.. Ale ty nie możesz... wiem!.. Jeżeli mówię coś podobnego, to nie dlatego, abym ci chciała sprawić tem przykrość... o nie!.. broń Boże!.. to tak sobie... jakoś tak mi się samo wydobywa z serca... pomimo woli... nie chciałabym myśleć o tem, mówić, a jednak nie mogę pozbyć się tych myśli.

Nagłe postanowienie, nie pierwszy już raz powzięte, opanowało znów Jakóba. Zabić Roubauda, ażeby jej nie zabijać... Tym razem, tak jak i dawniej, zdawało mu się, iż wola jego pod tym względem jest nieugiętą.

— Nie mogłem — szepnął — ale będę mógł. Czyż ci nie przyrzekłem?

Seweryna przeczyła, lecz bez widocznego oporu.

— Nie przyrzekaj, proszę cię... Ty wiesz, ile nas to potem kosztuje, gdy tobie brak odwagi.. Zresztą, to by było straszne... nie trzeba... nie, nie... nie trzeba.

— Przeciwnie, tak, trzeba... wiesz o tem dobrze, że trzeba koniecznie. I właśnie dlatego że trzeba, znajdę dość na to siły. Chciałem o tem mówić, a teraz tem lepiej, jesteśmy sami i nie możemy widzieć koloru słów naszych.

Seweryna zdawała się na wolę Jakóba, słuchała z sercem ściśniętem, bijącem tak mocno, iż on sam czuł to bicie.

— O!.. mój Boże!.. dopóki to się stać nie mogło... pragnęłam bardzo, aby się stało... a teraz, nie uwierzysz, jak się boję...

I zamilkli. Rozmyślali nad postanowieniem powziętem. Wokoło siebie czuli pustkę, kraj dziki, bezludny, jakby naumyślnie stworzony do snucia podobnych planów, a nawet do wykonywania ich na tem miejscu.

Po chwili, gdy Jakób zamyślony, całował ją pieszczotliwie w szyję, w podbródek, nie wiedząc zupełnie co robi, Seweryna odezwała się szeptem, jakby mówiła do siebie samej:

— Najlepiej byłoby go tu sprowadzić... ale jak?.. Ale mniejsza... pozór znalazłby się łatwo... nie wiem jeszcze jaki, zobaczylibyśmy później... Ty oczekiwałbyś na niego, zaczaiłbyś się... prawda? co?.. i wszystko byłoby dobrze.., tu by nam nikt nie przeszkadzał... jak myślisz?..

Posłuszny jej myślom i planom, zgadzał się na wszystko, i całując jej ramiona, bąknął tylko:

— Tak, tak.

Seweryna zastanawiała się, rozważała każdy szczegół, i w miarę jak plan rozwijał się w jej głowie, ulepszała go poprawiała.

— Tylko, mój jedyny, byłoby bardzo głupio z naszej strony, gdybyśmy nie przedsięwzięli wszelkich możliwych środków ostrożności. Bo gdyby nas miano pochwycić na drugi dzień, to jużbym wolała, aby wszystko zostało tak jak jest obecnie... Widzisz, ja to czytałam, już nie pamiętam gdzie, prawdopodobnie w jakiejś powieści... że najlepiej jest rzucić podejrzenie na samobójstwo... Roubaud jest taki jakiś dziwny, zwaryowany od pewnego czasu, że samobójstwo z jego strony nikogoby nie zastanowiło. Dlaczegożby mu nie miała przyjść myśl do głowy przyjechać tu i odebrać sobie życie... przecież to możebne... Tylko chodzi o to, aby tak wszystko urządzić, iżby wypadek samobójstwa był prawdopodobny .. Prawda? co?

— Tak, tak.

Szukała sposobów, zadyszana trochę, gdyż Jakób pochwycił ją wargami za gardło i chcąc ją pocałować, dusił ją nieco.

— Coś takiego, coby zatarło zupełnie ślady... Czekaj... czekaj!.. mam myśl!.. słuchaj no... Gdyby tak naprzykład pchnąć go nożem w gardło, a później wziąć go we dwoje, zanieść na tor kolei i położyć na poprzek. Rozumiesz? Szyję położylibyśmy na szynie tak, że pierwszy pociąg, jakiby nadszedł, uciąłby mu głowę .. Niechby potem sobie szukali śladu na szyi... aha! nicby nie znaleźli... No? jak ci się to podoba?

— Doskonale.

Ożywiali się oboje. Seweryna była prawie wesoła i kontenta, że ma tak bujną wyobraźnię. Ruch pieszczotliwy ze strony Jakóba, wstrząsnął ją jakby dreszczem.

— Czekajno... dajno spokój na chwilkę... Bo widzisz, mój drogi, trzeba się nad tem dobrze zastanowić, to jeszcze nie wszystko; jeżeli ty ze mną tu zostaniesz, samobójstwo nie będzie tak jasno wyglądać; mógłby ktoś rzucić podejrzenie i po co? Trzeba koniecznie, żebyś wyjechał. Dobrze?.. Jutro pojedziesz otwarcie, żeby o tem wiedzieli wszyscy, Cabuche, Misard, w razie wypadku mogliby poświadczyć, że cię tu nie było. Wsiądziesz do pociągu w Barentin, zatrzymasz się w Rouen, pod jakimbądź pozorem, a potem, skoro tylko noc zapadnie, powrócisz. Ja cię wpuszczę drzwiami od tyłu. Masz cztery mile do przebycia, możesz być z powrotem za trzy godziny... No, teraz już zdaje mi się, że wszystko ułożone jak najdokładniej. Plan cały masz gotów, jeżeli tylko chcesz.

— Ależ tak, tak; chcę koniecznie.

Jakób także zaczął teraz rozmyślać. Przez chwilę nie mówili ani słowa; ciszę tę przerwała Seweryna.

— A!.. a powód, dla jakiego sprowadzić należy tu Roubauda? Mógłby wyjechać dopiero pociągiem o ósmej wieczorem, skoro ukończy służbę; przyjechałby zatem tutaj o dziesiątej... to najlepsza pora... Ale powód... Mam... mam... mam!.. ten jakiś pan, który chce kupić Croix de-Maufras, mówił mi o nim Misard, ma przyjechać pojutrze zrana! . Doskonale się składa. Wyślę do Roubauda depeszę zrana, że jego obecność jest niezbędną Ty

pojedziesz po południu, wreszcie zanim on przyjedzie... Znakomicie... Noc ciemna, księżyc nie świeci... Wszystko nam sprzyja!..

— Rzeczywiście...

I wśród tych rozmyślań, przerywanych pocałunkami i pieszczotami, zasnęli.

Jakób spał snem głębokim; gdy zbudził się około dziesiątej, Seweryny nie było w pokoju; ubierała się u siebie, po drugiej stronie sieni.

Jasne promienie słońca, wpadające przez okna, kąpały się w czerwonych portyerach, w czerwonem obiciu ścian, i nadawały dziwnie rażące wejrzenie całemu pokojowi i umeblowaniu.

Dom cały trząsł się jakby w febrze, gdyż właśnie przechodził wolno jakiś pociąg towarowy. Łoskot tego pociągu zbudził prawdopodobnie Jakóba.

Olśniony promieniami słońca i czerwonym kolorem pokoju, nie mógł na razie zebrać zmysłów, wkrótce jednak odzyskał przytomność i przypomniał sobie powzięte postanowienie.

A więc to dziś, gdy noc nadejdzie, gdy zniknie to jasne światło słoneczne, stanie się to, czego od tak dawna żąda Seweryna.

Wszystko tego dnia stało się tak, jak było obmyślane. Seweryna przed śniadaniem poprosiła Misarda, aby zaniósł depeszę do Doinville. Po południu Jakób w obecności Cabucua przygotował się do wyjazdu. Co więcej, gdy wyjeżdżał do Barentin, gdzie miał wsiąść na pociąg o czwartej minut piętnaście, Cabuche mu towarzyszył, niby to dla przepędzenia czasu, a właściwie z powodu głu-

chej potrzeby, aby być bliżej tego, który mu przypominał Sewerynę.

W Rouen, dokąd Jakób przyjechał koło piątej, zaszedł do oberży tuż koło dworca, którą trzymała jakaś jego rodaczka.

Mówił, że pragnie odwiedzić swych kolegów jutro zrana, zanim pojedzie do Paryża na służbę. Ponieważ jednak przecenił swe siły, po chorobie dopiero co przebytej, i czuje się zanadto zmęczony, więc chciał zaraz położyć się do łóżka.

Dano mu pokój na dole, z oknami wychodzącemi na odludną uliczkę, aby mu nikt spać nie przeszkadzał; posiedział w restauracyi do szóstej, a potem udał się na spoczynek.

W dziesięć minut potem dążył już drogą do Croix-de-Maufras. Z mieszkania wyszedł oknem, które zostawił uchylone, aby mógł przez nie powrócić, nie będąc spostrzeżony.

O dziewiątej przybył przed dom odludny, stojący w pobliżu toru kolejowego.

Noc była ciemna. Ani jedna gwiazdka nie oświetlała frontu szczelnie zamkniętego.

Uczuł w sercu uderzenie bolesne, jakby przeczucie nieszczęścia, które się tam za chwilę spełnić miało.

Stosownie do tego, jak ułożył się z Seweryną, rzucił trzy razy małym kamyczkiem w okiennicę pokoju czerwonego, następnie przeszedł na drugą stronę, gdzie wkrótce otworzyły się drzwi, umieszczone w tylnej części domu.

Zamknąwszy je za sobą, szedł krokiem cichym, poomacku, gdyż schody nie były oświetlone.

Dopiero na górze, przy blasku lampy, stojącej na rogu stołu, zobaczył łóżko rozebrane, ubranie młodej kobiety, rozrzucone po krzesłach, i ją samą, rozebraną, w koszuli, z nogami bosemi. z włosami rozpuszczonemi, związanemi nad głową wstążką niebieską.

Stanął jak skamieniały.

— Co? już się położyłaś?

— Naturalnie, tak będzie najlepiej. Przyszła mi myśl doskonała. Skoro on nadejdzie, a ja pójdę otworzyć mu, tak jak jestem, nie będzie się niczego domyślał. Powiem mu, że mam straszną migrenę, Misardowi już powiedziałam że jestem słaba. W ten sposób będę mogła śmiało twierdzić, że nie wychodziłam wcale z pokoju, gdy go jutro rano znajdą tam na drodze.

Jakób jednakże drżał ciągle; po chwili odezwał się głosem gniewnym:

— Nie, nie, ubieraj się, koniecznie trzeba, abyś była ubraną, nie możesz zostać tak, jak teraz...

Roześmiała się zadziwiona.

— Dlaczego? Nie bój się, mnie wcale nie jest zimno; o!.. patrz, jaka jestem gorąca.

I ruchem pieszczotliwym chciała mu zarzucić ramiona na szyję. Koszula jej usunęła się cokolwiek na bok, a Jakób ujrzał jej ramię zupełnie obnażone. Seweryna, widząc, iż usuwa się od niej, a gniew jego wzrasta coraz bardziej, okazała się posłuszną.

— Nie gniewaj się, już idę do łóżka... nie potrzebujesz się obawiać, abym się nie zaziębiła.

Gdy się napowrót położyła i naciągnęła kołdrę aż pod brodę, Jakób uspokoił się cokolwiek. Seweryna

opowiadała dalej spokojnie, jak to ona sobie wszystko w myśli ułożyła.

— Skoro tylko zapuka, zaraz pójdę mu otworzyć. Z początku myślałam aby go wpuścić tu, do pokoju, gdzie byś czekał na niego. Ale w ten sposób z przeniesieniem trupa byłoby już trudniej. Zresztą tutaj posadzka jest drewniana, a tam na dole przy drzwiach jest marmurowa, co nam ułatwi zatarcie śladów, jeśliby jakie były. Przed chwilą nawet, rozbierając się, myślałam o pewnym romansie, w którym autor opowiada, że pewien człowiek, chcąc zabić drugiego, rozebrał się zupełnie. Rozumiesz? potem trzeba się tylko umyć, na ubraniu niema najmniejszego śladu krwi. Co? a gdybyś ty się tak rozebrał?

Jakób spoglądał na nią pomieszany. Nie mogło mu się pomieścić w głowie, skąd tyle potworności bierze się w tej kobiecie. A jednak twarz jej była spokojna, oczy uśmiechnięte, zdradzały jedynie zajęcie i chęć poprowadzenia całej sprawy jak można najlepiej, aby zapewnić jej całkowite powodzenie. Na myśl jego nasunął mu się widok dwóch ciał nagich, pokrwawionych krwią zbrodniczą; zatrząsł się cały.

— Nie, nie!.. zupełnie jak dzicy ludzie; może jeszcze powiesz, aby mu pożreć serce?.. O!.. ty musisz go bardzo nienawidzieć...

Wzrok Seweryny zachmurzył się nagle. To pytanie wyrwało ją z marzeń, jakie snuła niby dobra gospodyni, pragnąc się urządzić jak najlepiej, a przedstawiło jej całą grozę zbrodni dokonać się mającej. Oczy jej zaszły łzami.

— Zawiele cierpiałam od kilku miesięcy... trudno wymagać odemnie abym go kochała. Sto razy już sobie powtórzyłam: niech się stanie, co chce, byle tylko nie żyć dłużej z tym człowiekiem. Ale prawda... masz słuszność, to rzecz straszna do czegośmy doszli... jedynie tylko chęć gwałtowna, abyśmy byli szczęśliwymi może nas tłómaczyć.

Zamilkła na chwilę. Jakób chodził szerokiemi krokami po pokoju. Seweryna jednak nie mogła oderwać się na długo od myśli, jak się to wszystko urządzi i mówiła dalej:

— Zresztą, będziemy bez światła; ty staniesz za drzwiami, a gdy ja otworzę drzwi i on wejdzie... zrobisz, co zechcesz... Jeżeli się tem zajmuję, to jedynie, aby ci dopomódz, abyś się sam nie potrzebował troszczyć o wszystko. Robię jak mogę najlepiej.

Jakób zatrzymał się przed stołem, spostrzegłszy nóż, ten sam, który już raz służył w podobnej sprawie Roubaudowi, a teraz miał kolejno w jego utkwić gardle. Wziął go do ręki, oglądał.

Seweryna patrzyła również, milcząc. Ponieważ ma go w rękach, a zatem zbyteczne mówić mu cokolwiek o tym nożu. Odezwała się dopiero, gdy Jakób położył nóż na stole.

— Mój drogi!.. jedyny!.. nie chcę, abyś kiedykolwiek powiedział, iż ja cię do tego popchnęłam... Jeszcze czas... odejdź, jeśli nie możesz...

Jakób uczynił ruch gwałtowny.

— Czy ty mnie masz za tchórza?.. Tym razem... już się stało!.. przysiągłem!..

W tej samej chwili dom zatrząsł się cały. Kuryer przebiegł z szybkością błyskawicy, tak blizko, iż zdawało się, że łoskot, wywołany jego przejściem, wydobywał się z dolnych pokoi.

— To jego pociąg... Więc już wysiadł w Barentin... będzie tu za pół godziny...

Ani Jakób ani Seweryna nie mówili już ani słowa. Zapanowało długie milczenie.

Zdaleka odczuwali kroki ofiary, zbliżającej się wśród ciemności nocy.

Jakób mimowolnie zaczął znów chodzić po pokoju, jakby licząc kroki Roubauda, który z każdą chwilą zbliżał się coraz bardziej.

Jeszcze chwila... jeszcze jedna .. a w ostatniej zaczai się na dole, za drzwiami w sieni i wpakuje mu nóż w gardło, w chwili, gdy będzie wchodził.

Seweryna leżała wciąż, nakryta kołdrą aż pod brodę. Oczyma szeroko otwartemi patrzyła na Jakóba. Odgłos jego kroków odbijał się w jej głowie jak echo innego chodu, oddalonego.

I ona również widziała już w myśli Roubauda, zbliżającego się z każdą chwilą... coraz bliżej... coraz bliżej... nareszcie przyjdzie, zapuka, ona wyskoczy z łóżka, pobiegnie boso, bez światła, do drzwi... „Czy to ty, mój przyjacielu?.. wejdź, ja już się położyłam do łóżka“ a on nie zdąży odpowiedzieć ani słowa; padnie wśród ciemności z gardłem rozpłatanem.

I znów przeszedł pociąg, tym razem z przeciwnej strony, ten który się krzyżuje z kuryerem w odległości pięciu minut od Croix-de-Maufras.

Jakób zatrzymał się zdziwiony... Jakto? dopiero pięć minut, jakże to trwa długo!.. jeszcze całe prawie pół godziny...

Potrzeba ruchu nie dała mu ustać na miejscu, znów rozpoczął swą przechadzkę z jednego końca pokoju na drugi.

Na myśl jego nasunęło się mimowolne zapytanie, czy będzie mógł. Znał on już dobrze siebie pod tym względem, wiedział, w jaki sposób odbywa się w nim całe to przejście.

Z początku stanowcza chęć zabicia, zdaje się, iż nic go od niej nie odwiedzie, wola jego panuje nad mięśniami, które mu są zupełnie posłuszne. Powoli zaczyna odczuwać brak oddechu, serce bije tętnem przyśpieszonem, pod piersiami czuje ból krótki, urywany, nieznośny, jakby mu kto gwóźdź wbijał pod żebra; następnie ręce i nogi zaczynają mu marznąć, lodowacieją, wreszcie wola, tak silna przed chwilą, popada w omdlenie, staje się słabą, ulega zupełnie muskułom, powstrzymującym go na miejscu, nie dozwalającym uczynić najmniejszego ruchu.

Objawy te nieraz badał sam w sobie. Teraz oczekiwał niespokojnie, czy znów ich nie uczuje? Nie... dotychczas jeszcze nie.

Chcąc się zabezpieczyć przed niemi, zaczął rozumować, powtarzał sobie w myśli to, co już tyle razy mówił do siebie: potrzeba zmusza go do zabicia tego człowieka, od tego bowiem zależy cała jego przyszłość... tam, w Ameryce, będzie szczęśliwy... obok kobiety ukochanej .. zresztą jedyny to sposób wyleczenia się ze swej słabości strasznej, na której wspomnienie wstrząsa się cały...

A słabość ta, przed chwilą jeszcze, odezwała się całą siłą... Ujrzawszy Sewerynę rozebraną, już myślał, że się to wszystko inaczej skończy... odczuł to straszne drżenie, wywoływane zawsze widokiem ciała obnażonego. A w chwili takiej nie mógł odpowiadać za siebie; widok podobny każe mu zapomnieć o wszystkiem.

I przez chwilę kusiło go coś gwałtownie... ona rozebrana... na stole nóż błyszczący... Ale na szczęście uspokoił się, a teraz... teraz jest zupełnie silny, nie czuje ani drżenia, ani zwykłych objawów niemocy i upadku woli. A zatem będzie mógł... zrobi to, co zrobić trzeba koniecznie.

I czekał dalej na swą ofiarę, chodząc wciąż po pokoju od drzwi do okna, i odwracając się za każdym razem, ilekroć przechodził koło łóżka, którego nie chciał wcale widzieć.

Seweryna leżała nieruchoma, ścigając tylko wzrokiem Jakóba i obawiając się, aby w ostatniej chwili nie zabrakło mu siły, tak, jak to już się stało raz w Hawrze. Skończyć raz z tem wszystkiem i rozpocząć życie na nowo, to jedyne marzenie, przejmujące całą jej istotę.

Chciała się pozbyć Roubauda, bo jej przeszkadzał, zdawało jej się to całkiem naturalnem. Zresztą, przecież to konieczne do jej szczęścia i do szczęścia człowieka, którego kocha.

Zbrodnia zamierzona nie wzburzała bynajmniej jej sumienia. Musiała rozmyślać nad wszelkiemi szczegółami morderstwa, aby wywołać w sobie uczucie pewnego wstrętu.

W chwilach jednak, gdy widok krwi zacierał się w jej umyśle, stawała się znów spokojną, łagodną, czułą, uśmiechniętą.

I znów dom zaczął się trząść cały jakby w febrze. Przechodził pociąg towarowy, długi, sunący się powoli.

Seweryna oparła się na łokciu, czekając aż przebrzmi ten łoskot nieprzyjemny i zniknie w oddali wśród wsi uśpionej.

— Jeszcze kwadrans — rzekł Jakób głośno.—Przeszedł już lasek Bécourt, jest teraz na pół drogi. O! jakże to trwa długo...

Odwrócił się ku oknu, jakby chciał dojrzeć cokolwiek wśród ciemności.

Po chwili, wracając na środek pokoju, ujrzał Sewerynę, stojącą przed łóżkiem.

— Gdybyśmy tak zeszli na dół z lampą i obejrzeli tymczasem miejsce?.. co? jak sądzisz? Stanąłbyś za drzwiami, jabym pokazała, jak otworzę, a tybyś sobie przygotował ruch najpewniejszy i najwygodniejszy?

Jakób drżał cały.

— Nie, nie, nie!.. Nie chcę lampy...

— Potem ją zagasimy .. trzeba przecież wiedzieć, jak to będzie, jak się ma zrobić...

— Nie, nie .. połóż się napowrót...

Nie słuchała tego, przeciwnie, szła wprost ku niemu, z uśmiechem kobiety, przekonanej o swej przewadze. Mówiła dalej głosem pieszczotliwym, chcąc go przekonać.

— Cóż znowu?.. mój drogi... co tobie jest?.. Mogłabym myśleć, że się mnie boisz... Gdy się tylko zbliżę, unikasz mnie... O!.. gdybyś ty mógł wiedzieć jak ja czu-

ję w tej chwili potrzebę oparcia się o ciebie, zapewnienia się, że jesteś przy mnie, że mnie nie opuścisz.

Jakób cofał się ciągle przed nią, aż do stołu do którego, następując wciąż, przyparła go i uniemożliwiła mu dalszą ucieczkę.

Lampa stojąca na rogu stołu, oświetlała ją jasno. On nigdy jej jeszcze w ten sposób nie widział. Włosy, spiętrzone w górze, odsłaniały jej szyję, z pod koszuli usuwającej się z ramion, widniało łono obnażone.

Czuł straszne drżenie, krew uderzała mu do głowy, nie mógł schwycić oddechu, nie widział nic, co się koło niego dzieje. Jedno tylko pamiętał, a mianowicie, że tuż za nim leży nóż błyszczący, otwarty, że potrzebuje tylko wyciągnąć rękę, aby go pochwycić.

Ze strasznym wysiłkiem zdążył jeszcze wyjąknąć:

— Nie... nie... połóż się .. proszę cię!.. błagam!..

Tym razem nie słuchała. Widziała jego drżenie, lecz nie zastanawiała się nad jego powodem, a właściwie inaczej je sobie tłómaczyła. Zarzuciła mu ręce na szyję i głosem pieszczotliwym mówiła:

— Uściśnij mnie... uściśnij mnie mocno, jak tylko możesz... to nam doda odwagi, a trzeba nam jej wiele... Musimy się kochać inaczej niż inni, bardziej niż inni, abyśmy mogli zrobić to, co mamy zrobić... uściśnij mnie z całego serca, z całej duszy!..

Jakób nie oddychał. nie mówił, nie słyszał nic. Szum ogłuszający huczał w jego głowie. W skroniach żar przenikliwy rozwijał się coraz bardziej, przebiegał ręce, piersi, nogi.

Czuł wyraźnie, jak część jego istoty ucieka przed pogonią szaloną innej jakiejś części. Zwierzę wypędzało człowieka... wola znikła zupełnie.

— Uściskaj mnie, najdroższy, dopóki jeszcze czas mamy... Wiesz przecie, że lada chwilę on nadejdzie... zapuka... Ponieważ nie chcesz, abyśmy zeszli, więc zapamiętaj sobie dobrze... ja otworzę... ty będziesz stał za drzwiami... nie wahaj się... nie czekaj .. uderz zaraz... zaraz, aby raz z tem skończyć. Ja cię tak kocham, tak będziemy szczęśliwi!.. On przecież nie zasługuje na naszą litość... ileż ja przez niego wycierpiałam. . a teraz jest jedyną przeszkodą do naszego szczęścia... Uściśnij mnie mocno... bardzo mocno... jakbyś chciał mnie zjeść całą... aby nic ze mnie nie zostało.

Jakób, nie obracając się, sięgnął prawą ręką po za siebie i pochwycił za nóż.

Przez chwilę ściskał go w dłoni.

Patrzył na Sewerynę oczyma osłupiałemi, czuł żądzę nieprzezwyciężoną, szaloną, chciał widzieć ją martwą u nóg swoich, jak łup odebrany innym... zabić ją, aby ją posiąść zupełnie.

— Uściśnij mnie!.. uściśnij!..

Ruchem pieszczotliwym oparła głowę na jego lewem ramieniu, jakby umyślnie poddać chciała gardło pod nóż morderczy.

Widok tego ciała białego, delikatnego, oszołomił go do reszty. Szybko podniósł w górę rękę uzbrojoną nożem, chcąc zadać cios śmiertelny.

W jednej chwili Seweryna spostrzegła błysk ostrza, odskoczyła w tył i zawołała głosem przerażonym, błagalnym:

— Jakóbie!.. Jakóbie!.. Mój Boże!.. dlaczego?.. dlaczego?..

Przyskoczył do niej z zębami zaciśniętemi, nie mówiąc ani słowa.

Ona cofała się do łóżka, bezbronna...

— Dlaczego?.. mój Boże!.. dla...

Nie dokończyła wyrazu, nóż utkwił w jej gardle.

Jakób, uderzywszy, przekręcił broń morderczą, czyniąc zadość potrzebie swej ręki.

Ten sam cios, jaki otrzymał prezes Grandmorrin, w to samo miejsce, z tą samą wściekłością.

Czy krzyczała?.. Nie widział nic i nie mógł sobie tego przypomnieć.

W tej chwili przechodził pośpieszny pociąg z Paryża, tak szybko, tak gwałtownie, że dom zatrząsł się jak wśród burzy szalonej.

Na podłodze leżał trup Seweryny, niby porażonej piorunem tej burzy.

Jakób stał nieruchomy i patrzył na tego trupa, rozciągniętego u nóg jego koło łóżka.

Odgłos pociągu niknął w oddali, on wciąż stał nieruchomy, zatopiwszy w nią oczy. Krew ciekła z rany po piersiach i utworzyła na podłodze kałużę dość znaczną.

Nie przypuszczał nigdy, aby tyle krwi było w jej ciele. Nie mógł oderwać oczu od tej twarzy, nawet jeszcze po śmierci pięknej, łagodnej, na pół uśmiechniętej.

Wstążka, podtrzymująca jej włosy, rozwiązała się, a głowa spoczywała na puklach czarnych jak noc, rozrzuconych w nieładzie.

Szeroko otwartemi oczyma, koloru barwinku, pytała jeszcze teraz, przerażona: Dlaczego? Dlaczego ją zabił?

Jakób stał wciąż nieruchomy. Przysłuchiwał się dziwnemu hałasowi, który od chwili już dochodził do jego uszu. Było to jakby wycie przeraźliwe jakichś dzikich zwierząt, jakby ryk lwa zranionego. Starał się odzyskać przytomność, ręką potarł po czole. To w jego głowie tak huczało, własny jego oddech wydawał mu się wyciem wichru.

Nareszcie!.. nareszcie zadowolił się, zabił ją!.. Tak... uczynił to raz przecie!.. Opanowała go dziwna radość, bezgraniczna, nieokreślona, pochodząca z zadowolenia nieokiełznanej żądzy. Czuł się dumny z tego, co uczynił.

Na myśl jego nasunęło się wspomnienie, trup prezesa Grandmorrina; widział go owej nocy strasznej, niedaleko ztąd, zaledwie o pięćset metrów.

To ciało delikatne, białe, było teraz tylko powłoką, niby lalką rozbitą; i to on wywołał tę zmianę, jednem uderzeniem noża.

Łoskot wstrząsający całym domem wyrwał go z tego zamyślenia... Czy przychodzą go aresztować?..

Obejrzał się naokoło .. nic. . cisza... to tylko pociąg!

A ów człowiek, którego miał zabić?.. Zapomniał o nim zupełnie... Jakto?.. co to się stało?.. Więc kobieta, którą kochał i która go wzajemnie kochała do szaleństwa, leży na ziemi z gardłem rozciętem, gdy tymczasem

mąż, jedyna przeszkoda do szczęścia, żyje jeszcze, zbliża się krok za krokiem?.. Jakimże to sposobem?..

Czyż kto zabija wskutek rozumowania?..

Nie!.. Zabić można tylko pod wpływem krwi, nerwów; to resztka dawnych walk, w pierwotnych lasach, gdy człowiek rzucał się jak wilk na człowieka, bo potrzebował żyć, bo potrzebował czuć się silnym!..

Wśród tych myśli, błąkających się w głowie Jakóba, nie obudził się ani na chwilę żal lub wyrzut sumienia. Nie; czuł tylko zadowolenie, zadziwienie i smutek pewnego rodzaju, że się to już zmienić nie da.

Widok nieszczęśliwej, która oczyma szeroko otwartemi wciąż zadawała mu jedno i to samo pytanie, przejmował go do głębi. Chciał odwrócić oczy.

Nagle zdawało mu się, iż koło łóżka stoi inna jakaś postać, biała, smukła. Czyżby to był duch zmarłej?.. Spojrzał odważnie. Nie, to nie ona, to Flora! . Widział już to widmo kilka razy w czasie gorączki, gdy leżał chory po katastrofie.

Krew zastygła mu w żyłach z przerażenia... Czego ona chce tutaj?.. A!.. przychodzi tryumfować... czuje, iż została pomszczoną.

Pomimo przerażenia jednak Jakób zapytywał sam siebie, co on tu jeszcze robi w tym domu, na co czeka?

I ruchem gwałtownym rzucił się ku drzwiom, wybiegł na schody, stoczył się raczej po nich, niż zszedł, otworzył na oścież główną bramę wjazdową, jak gdyby małe drzwi od tyłu za wązkie były dla niego i popędził w pole, jak szalony, zostawiając za sobą pustkę i grozę śmierci...

Cabuche tego wieczora tak samo jak i codziennie, od czasu przyjazdu Seweryny, przelazł przez mur ogrodowy i kręcił się pod oknami czerwonego pokoju. Wiedział dobrze że Roubaud miał przybyć za chwilę, nie dziwiło go więc światło, przebijające się przez rolety zapuszczone.

Nagle dostrzegł człowieka, wybiegającego pędem z domu i zostawiającego drzwi otwarte. W ciemności nie mógł dojrzeć ani jego twarzy, ani nawet ubrania.

Zadziwiło go to tak dalece, iż przez chwilę stanął jak przygwożdżony. Gdy się ocknął, zapóźno już było ścigać uciekającego.

Podszedł bliżej ku drzwiom, miotany trwogą i przerażeniem. Co się stało? czy ma wejść, czy czekać, aż się ktoś przecie odezwie... Milczenie ponure, i to światło jednostajne przejmowały go coraz większą zgrozą.

Nareszcie zdecydował się i wszedł na schody. Szedł powoli, gdyż schody nie były oświetlone. Przed drzwiami na górze, również otwartemi na oścież, znowu się zatrzymał.

Zdawało mu się iż z boku widać ubranie kobiece, porozrzucane po krzesłach Prawdopodobnie Seweryna musiała się rozebrać i położyła się do łóżka, pomyślał.

Zawołał na nią pocichutku. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Trwoga jego powiększała się coraz bardziej, serce biło mu jak młotem.

Posunął się krok dalej i ujrzał krew. Zrozumiał wszystko nagle...

Ze strasznym krzykiem, wydzierającym się z serca rozdartego, rzucił się ku trupowi.

Boże!.. to była ona... zamordowana, porzucona na ziemię, obnażona!.. Zdawało mu się, iż oddycha jeszcze. Oszalały z boleści, zawstydzony tym widokiem ciała nagiego, chwycił ją obiema rękoma i przeniósł na łóżko i nakrył kołdrą. Dotykając jej, pokrwawił sobie ręce i piersi.

W tejże samej chwili stanęli we drzwiash Roubaud i Misard. I oni również byli bardzo zdziwieni, zastawszy wszystkie drzwi pootwierane.

Mąż spóźnił się cokolwiek, gdyż po drodze spotkał dróżnika i zagadał się z nim, rozpytując o nabywcę, który nazajutrz miał przyjechać.

Misard opowiadając, odprowadził Roubauda i wszedł z nim razem na górę.

Obaj spoglądali teraz skamienieli na Cabucha, z rąk którego krew ciekła, jakby z rąk rzeźnika po zabiciu wołu. Misard pierwszy podszedł do łóżka, przypatrzył się spokojnie trupowi, obejrzał ranę w gardle i odezwał się tonem najzimniejszym:

— To samo pchnięcie, od jakiego zginął nieboszczyk Grandmorrin.

Roubaud przybliżył się także. Nie mógł wymówić ani słowa, potrząsał tylko głową i wpatrywał się w martwą twarz Seweryny, w rozrzucone pukle czarnych włosów, w oczy szeroko roztwarte i zapytujące:

— Dlaczego? Dlaczego?..

XII.

W trzy miesiące później, pewnej pogodnej nocy czerwcowej, Jakób prowadził do Hawru pociąg pośpieszny wyjeżdżający z Paryża o szóstej minut trzydzieści.

Jego nowa lokomotywa Nr. 608 nowiuteńka, od kilku zaledwie tygodni w ruch puszczona, której nie znał jeszcze dokładnie, nie była bardzo posłuszną. Uparta, kapryśna, jak klacz, którą dopiero trzeba ujeżdżać, zanim przyzwyczai się do wędzidła. Klął często i żałośnie wspominał Lizę. Tej musiał na każdym kroku pilnować, z ręką na korbie, z oczyma utkwionemi w manometr.

Owej nocy niebo było tak pogodne, powietrze tak łagodne, że nawet machinie pofolgował cokolwiek, pozwolił jej pędzić według fantazyi, szczęśliwy, że sam może pełną odetchnąć piersią. Był zdrów, nie czuł żadnych wyrzutów, używał błogiego spokoju.

Wesołość jego doszła owej nocy do tego stopnia, że on, co w czasie drogi nigdy daremnie słów nie tracił, pozwolił sobie zażartować ze swego palacza.

Był nim Pecqueux. Zostawiono go przy dawnym przełożonym, pomimo wielu zmian dokonanych.

— Cóż u dyabła; patrzysz tak otwartemi oczyma, jak człowiek, co nigdy nic prócz wody nie pija.

Pecqueux, rzeczywiście, wbrew swemu zwyczajowi, był zupełnie trzeźwy, a do tego mocno zachmurzony.

Na żart Jakóba, odpowiedział krótko i ostro:

— Kto chce dobrze widzieć, powinien oczy otwierać szeroko...

Jakób spojrzał na niego z ukosa, jak człowiek, który nie ma zbyt czystego sumienia.

Zeszłego tygodnia został pochwycony na uścisku Filomeny, która od jakiegoś czasu łasiła się koło niego, jak chuda kotka zakochana.

Nie powodowało nim żadne uczucie zmysłowe, ulegał jedynie gwałtownej chęci przekonania się, czy został już zupełnie wyleczony, czy zupełnie już zadowolnił swą żądzę morderczą? Czy będzie mógł ją kochać bez gwałtownej chęci wpakowania jej noża w gardło?...

Przekonał się istotnie, iż tak było rzeczywiście... To go właśnie uspakajało, to napełniało go, mimo nawet jego wiedzy szczęściem, radością, iż jest takim, jak wszyscy inni ludzie.

Gdy Pecqueux otworzył ognisko machiny, chcąc dorzucić węgla, zatrzymał go.

— Nie, nie, już ma dosyć, daj spokoj, idzie przecież doskonale.

Pecqueux zaklął tylko w odpowiedzi.

— Aha, juści, doskonale... albo to potrafi iść doskonale takie bydle przeklęte!. . To nawet porównania niema z poczciwą Lizą!... Szurgot jakiś... nie wart kopnięcia nogą...

Jakób, chcąc uniknąć sprzeczki, nie odpowiadał zupełnie. Widział on, że dawna przyjaźń, łącząca ich, znikła zupełnie po śmierci Lizy.

Teraz kłócili się o najmniejszą drobnostkę, o śrubę, zakręconą za mocno, o garstkę węgla, ułożoną nie tak,

jakby należało. I przyrzekał sobie, że musi być bardzo ostrożnym z Filomeną, aby nie doszło kiedy do otwartej wojny z palaczem, zwłaszcza, że teren do niej, ten wązki ruchomy mostek, łączący tender z maszyną, nie był bardzo bezpiecznym.

Pecqueux, przez wdzięczność, iż to i owo przepuszczono mu przez palce, iż mógł robić małe oszczędności na węglach, a zwłaszcza, że znajdywał zawsze jakieś resztki w koszyku Jakóba, który zaopatrywał się na drogę w rozmaite wiktuały, dotychczas służył, jak pies wierny, gotów nawet kąsać, gdy potrzeba było bronić swego pana.

To też żyli spokojnie, jak bracia, połączeni obawą przed niebezpieczeństwem, grożącem im na każdym kroku i nie mówili do siebie ani słowa, znali bowiem na wylot swe ruchy, nawet swe spojrzenia.

Pożycie to jednak łatwo mogłoby się zamienić w piekło, gdyby im przyszło żyć w niezgodzie jeden obok drugiego, ocierać się wciąż o siebie, i gdyby się chcieli pożreć wzajemnie.

Towarzystwo kolejowe miewało nawet z tego powodu rozmaite przykrości. Przed tygodniem zaledwie musiano rozdzielić maszynistę i palacza na pośpiesznym pociągu z Cherbourga, ponieważ pokłóciwszy się o jakąś kobietę, pierwszy tyranizował drugiego, który też za to nic a nic nie słuchał wydawanych rozkazów. Staczano formalne bójki w czasie drogi, zapomniawszy zupełnie o tłumie podróżnych, o pociągu, pędzącym całą siłą pary.

Dwa razy jeszcze Pecqueux otworzył ognisko i dorzucił węgla, jedynie przez nieposłuszeństwo, chcąc wywołać awanturę.

Jakób udawał, że tego nie widzi, pilnował tylko korby, regulatora i manometru, i ciągle wypuszczał parę, aby zmniejszyć ciśnienie.

Powietrze było nadzwyczaj przyjemne. Lekki wietrzyk, wywołany pędem pociągu, łagodził upał nocy czerwcowej.

O jedenastej minut pięć pociąg przybył do Hawru. Gdy podróżni wysiedli z wagonów, lokomotywę odprowadzono do remizy, a Jakób wraz z palaczem oczyścili ją i opatrzyli zupełnie zgodnie, tak jak to dawniej bywało.

W chwili jednak, gdy wychodzili po za obręb zabudowań kolejnych, z zamiarem udania się na ulicę Fraçois-Mazeline, gdzie mieli łóżka przygotowane, jakiś głos ich zatrzymał.

— Gdzież to tak śpiesznie?.. Wstąpcież choć na chwilę.

Była to Filomena, która z progu mieszkania swego brata oddawna czatowała już na Jakóba.

Spostrzegłszy palacza, zrobiła ruch, wyrażający wielkie niezadowolenie. Chcąc jednak porozmawiać choć trochę ze swym nowym przyjacielem, musiała znieść obecność dawnego, to też po chwili wahania zaprosiła ich obydwóch.

— Mogłabyś też dać nam spokój — mruczał Pecqueux — tacy jesteśmy zmęczeni i spać się nam chce okropnie.

— O... jaki miły, uprzejmy... prawda?... Na szczęście pan Jakób nie jest taki do niczego, jak ty i nie odmówi mi kieliszka... prawda, panie Jakóbie?...

Maszynista już miał odmówić, przez ostrożność względem Pecqueux, gdy ten nagle zgodził się wstąpić na chwilę.

Przyszło mu bowiem na myśl, iż w ten sposób łatwiej będzie mógł wyszpiegować jak rzeczy stoją i przekonać się raz przecie na pewno.

Weszli do kuchni, zasiedli za stołem, na którym ukazały się wkrótce kieliszki i butelka wódki.

Filomena, stawiając to wszystko, mówiła pocichu:

— Nie trzeba, ile możności, robić hałasu, bo mój brat tam śpi na górze, a on nie lubi, abym gości przyjmowała.

A nalewając kieliszki, dodała:

— Ale... ale... wiecie co?.. matka Lebleu wyciągnęła nogi... a jakże... O!.. ja dawno już powiedziałam, że to ją zabije, jak ją zapakują do tego mieszkania od tyłu... przecież to prawdziwe więzienie. Kwękała jeszcze przez cztery miesiące, nie widząc nic przez okna, tylko blachę cynkową... A co ją ostatecznie dobiło, to że nie mogła się ruszyć ze swego fotelu... nie mogła już szpiegować panny Guichon i pana Dabadie... a to było przez przyzwyczajenie, całe jej zajęcie... Do wściekłości ją to doprowadzało, że nie mogła ich nigdy złapać, a jak się już przekonała, że jej się to w żaden sposób nie uda, tak się zmartwiła, że umarła...

Przerwała sobie sama, wychyliła łyk wódki i mówiła dalej:

— Juścić, że tam pomiędzy nimi coś być musi... ale to takie filuty!.. ho, ho!.. ani oko ludzkie ich nie dojrzy, ani ucho nie podsłucha... Chociaż podobno ta mała

pani Moulin ich widziała... Ale ta nie piśnie ani słówka, za głupia na to... a zresztą jej mąż... pomocnik zawiadowcy...

I znów przerwała, lecz widząc, że nikt się nie odzywa, mówiła dalej:

— Więc w przyszłym tygodniu będzie w Rouen sprawa Roubauda.

Jakób i Pecqueux słuchali ją dotąd, nie otwierając ust wcale. Palacz tylko zauważył w myśli, że stała się bardzo gadatliwą. Z nim nie trudziła się nigdy na tak długą pogawędkę. I nie spuszczał z niej oczu, w których coraz silniej błyskała zazdrość, widząc ją tak podniecong wobec swego zwierzchnika.

— Tak — odpowiedział maszynista, tonem najspokojniejszym. — Odebrałem już nawet wezwanie.

Filomena zbliżyła się, szczęśliwa, że przy tej sposobności mogła trącić Jakóba łokciem.

— A! i ja także jestem wezwana na świadka. O, panie Jakóbie, gdy zaczęto mnie wypytywać o pana, bo wiesz pan, chcieli wiedzieć całą prawdę co do pańskiego stosunku z tą kobietą, tak; otóż, gdy zaczęto mnie wypytywać, powiedziałam sędziemu:

„Ależ, panie sędzio, on ją ubóstwiał, to nie podobieństwo, aby mógł jej wyrządzić jakąkolwiek krzywdę“.

— Alboż to zresztą nieprawda, małoż się na to napatrzyłam? Mogłam zatem odezwać się w podobny sposób z najczystszem sumieniem.

— O! — odpowiedział Jakób, tonem zupełnie obojętnym — nie miałem ja co do tego najmniejszej obawy. Mogłem przecież wykazać jasno jak na dłoni, godzinę po

godzinie, gdzie i co robiłem. Zresztą najlepszym dowodem iż nic a nic nie można mi było zarzucić, jest to, że towarzystwo zatrzymało mnie nadal w służbie i nie żądało bynajmniej tłomaczenia.

Przez chwilę zapanowało milczenie. Wszyscy troje pili powoli wódkę.

— Dreszcz mnie ogarnia, gdy pomyślę sobie o tem wszystkiem — rzekła Filomena. — To dzikie zwierzę, ten Cabuche, cały jeszcze pokrwawiony, gdy go zatrzymano... I pomyśleć, że na świecie mogą żyć tacy idyoci!.. Zabijać kobietę, dlatego, że się w niej kocha, jak gdyby mu to mogło pomódz choć trochę!.. Jak kobieta nie odwzajemnia się miłością, to trudno .. niczem jej do tego nie zmusisz!.. Czego nie zapomnę nigdy w życiu, to owej chwili kiedy pan Cauche zaaresztował nad brzegiem morza pana Roubauda. Byłam tam właśnie wtenczas. Było to akuratnie w tydzień później, gdy pan Roubaud powrócił do Hawru po pogrzebie żony i najspokojniej zabrał się do swej służby. Pan Cauche uderzył go po ramieniu i powiedział, że ma rozkaz odprowadzenia go do więzienia. I pomyśleć sobie, że ci ludzie byli przecież najlepszymi przyjaciołmi, że po całych nocach grali razem w karty. Ale, jak się jest komisarzem, to trudno, prawda? Rodzonego ojca i matkę zaprowadziłby na gilotynę, to już taki zawód przeklęty!.. Co jego to obchodzi?.. W pół godziny później widziałam go, jak grał w karty z najspokojniejszą miną, nie troszcząc się bynajmniej o swego przyjaciela.

Pecqueux słuchał słów Filomeny z zaciśniętemi zębami, wreszcie zerwał się gwałtownie i uderzył pięścią w stół.

— Milion dyabłów! — zawołał — gdybym ja był na miejscu tego biednego Roubauda... Jego żona kochała pana, panie Jakóbie... przyszedł inny i zabił ją, a sąd przyczepia się do niego... Nie!.. to można wściec się ze złości!..

— Ależ, ośle jeden — tłomaczyła Filomena — przecież oskarżają go, że namówił Cabucha, do zamordowania tej biednej kobiety, tak... i to z powodu jakichś tam interesów pieniężnych, czy coś podobnego, bo sama nie wiem na pewno... Zdaje się, że znaleźli u Cabucha zegarek prezesa Grandmorrina, wiecie?.. tego jegomościa, co go to zabili przed ośmnastu miesiącami. I to akurat tak się jakoś zgadza ta dawna awantura z tem świeżem morderstwem, że sąd połączył obie sprawy... a!.. to przecie cała historya!.. Ja wam tego nie potrafię wytłomaczyć, jak należy, ale to wszystko było opisane w gazecie, na całych dwóch stronach.

Jakób roztargniony nie zważał wcale na tę gadaninę Filomeny.

— Po co sobie nad tem łamać głowę? — odezwał się nareszcie — czy nas to obchodzi? Jeśli sprawiedliwość i sądy nie potrafią wyświetlić całej prawdy, to cóż my na to poradzić możemy?..

Pomimo jednak wysilonego spokoju, na jaki z trudnością się zdobywał, policzki jego zbladły Zapatrzył się gdzieś w dal nieskończoną i po chwili milczenia dodał:

— W tem wszystkiem żal mi tylko tej nieszczęśliwej kobiety!.. Oj, biedna ona, biedna!..

— Co do mnie — zakończył Pecqueux gwałtownie — gdyby się kto poważył dotknąć kobiety, którą ja kocham, zabiłbym go bez najmniejszego wahania, i jego i ją także... Potem niechby mi nawet ucięli głowę... wszystko mi jedno!..

I znów zapanowało długie milczenie.

Filomena nalewając po raz drugi małe kieliszki wzruszyła pogardliwie ramionami. W głębi jednak była wzburzona i przypatrywała się z ukosa palaczowi.

Wyglądał on strasznie zaniedbany, brudny, ubranie miał podarte. Nie miał bowiem kto utrzymywać koło niego porządku; matka Wiktorya musiała z powodu choroby opuścić zajmowane stanowisko i przenieść się do szpitala. Nikt nie oddawał jego bielizny do prania, nikt jej nie naprawiał, nie było komu doglądać, aby ubierał się czysto i porządnie.

Filomena porównywała mimowoli ubranie i bieliznę obu swoich gości, a porównanie to wypadło naturalnie na niekorzyść palacza.

— Jakto?.. zamordowałbyś własną żonę? — odezwała się wreszcie Filomena, chcąc przerwać przykre milczenie. — O to chyba niema obawy... Wątpię, żeby się na nią kto złakomił...

— Ją czy inną... wszystko jedno — odmruknął Pecqueux.

Filomena poznała, że rozmowa wchodzi na niezbyt miłe tory, i chciała ją zmienić. Czemprędzej też trąciła się kieliszkiem i odezwała się wesoło:

— No!.. za twoje zdrowie!.. A przynieś mi swoją bieliznę, żebym ją poprała i pocerowała... bo doprawdy, tak jak teraz chodzisz, nie przynosisz wcale zaszczytu ani mnie ani panu Jakóbowi... No, pańskie zdrowie!..

Jakób zadrżał, jakby go kto ze snu zbudził. Pomimo całego jego spokoju, pomimo, że nie czuł wyrzutów sumienia, często jednak odzywał się w nim żal za tą kobietą, zamordowaną przezeń w tak okrutny sposób. Żal ten objawiał się zazwyczaj głębokiem zamyśleniem i łzami, które mimowoli z pod powiek się wydobywały.

Trącił się kieliszkiem i zagadał, chcąc ukryć swe pomieszanie.

— Czy wiecie, że będziemy mieli wkrótce wojnę?..

— Nie może być?.. Z kimże to?..

— A z prusakami... tak... z powodu jakiegoś tam ich księcia, któremu się gwałtem zachciało być królem hiszpańskim. Wczoraj rozprawiano w Izbie caluteńki dzień o tej jedynie sprawie.

Filomena spochmurniała na tę wiadomość.

— To nie bardzo zabawne... A dość już nas przecie nanudzili swojemi wyborami, swojem głosowaniem powszechnem, swojemi rozruchami w Paryżu!.. Powiedzcie mi, czy to wszystkich mężczyzn zabiorą na tę wojnę?..

— O nie... nas nie ruszą... my jesteśmy spokojni. Nie mogą przecież ogołocić ze służby całej kolei. Tylko że nas namordują okropnie przewozem wojska i dostawą żywności. Liczba pociągów, odchodzących z Hawru, zostanie podwojoną. Ha! . zresztą to trudno, każdy musi pełnić swój obowiązek.

Po tych słowach Jakób powstał, gdyż Filomena zanadto wyraźnie zaczęła mu dawać jakieś znaki, trącając go nogą pod stołem, tak, że Pecqueux to zauważył i choć nie mówił ani słowa, lecz złość swoją objawiał zaciskaniem pięści.

— Chodźmy już spać, bo to dosyć późno.

— I ja tak myślę — odparł mrukliwie Pecqueux.

Uścisnął rękę Filomeny tak silnie, że aż się skrzywiła, lecz nie krzyknęła i, korzystając z chwili, gdy palacz dopijał resztkę wódki z kieliszka, szepnęła do ucha Jakóbowi:

— Strzeż się, to bydlę jest okropne gdy się upije.

Na schodach odezwał się odgłos ciężkich kroków. Filomena przestraszyła się i zawołała gorączkowo:

— Mój brat!.. Uciekajcie, uciekajcie prędko!..

Zaledwie oddalili się o jakie dwadzieścia kroków, gdy usłyszeli krzyk i odgłos policzków. Filomena odbierała dotkliwe napomnienia jak mała dziewczynka, złapana na gorącym uczynku, gdy wsadzi nos do słoika z konfiturami.

Jakób zatrzymał się, jakby chciał biedz na pomoc. Pecqueux schwycił go za rękę.

— Co?.. czy to pana co obchodzi?.. Przeklęta dziewczyna!.. dobrze jej tak... a niechby ją nawet i zabił.

Gdy przyszli do domu przy ulicy François-Mazeline, położyli się spać, nie zamieniwszy ani jednego słowa.

W poniedziałek miała się zacząć w Rouen sprawa Roubauda. Był to tryumf dla sędziego śledczego Denizet. W całym świecie sądowym chwalono go za sposób, w jaki przeprowadził tę sprawę ciemną i zawiłą.

— To arcydzieło najzręczniejszej analizy — mówiono — logiczne odtworzenie prawdy, kreacya prawdziwa jednem słowem.

Natychmiast po przyjeździe do Croix-de-Maufras, w kilka godzin po zamordowaniu Seweryny, pan Denizet kazał zaaresztować Cabucha.

Wszystkie podejrzenia zwróciły się ku niemu. Wyraźne ślady krwi, których nie starał się nawet zatrzeć, zeznania Roubauda i Misarda, w jaki sposób zastali go samego, pomieszanego, stojącego nieruchomo nad trupem, wszystko to stanowiło w oczach pana Denizet dowody najbardziej obciążające.

Zapytany dlaczego i w jaki sposób znalazł się w tym pokoju, kamieniarz wyjąkał niezrozumiale jakąś historyę, którą sędzia śledczy przyjął wzruszeniem ramion, tak mu się wydawała błahą i wymyśloną.

Historya ta opiewała o jakimś zbójcy legendowym, o jakimś winowajcy wymarzonym, którego prawdziwy obwiniony widział nibyto uciekającego, wśród ciemnej nocy. Musiał daleko już uciec ten zbrodniarz, skoro tak biegł długo... nieprawdaż?..

Zresztą, gdy go zapytano, co robił przed domem o tak późnej godzinie, Cabuche zmieszał się, nie chciał odpowiedzieć, aż nareszcie przyciśnięty zapytaniami, zapewniał, iż znalazł się tam przypadkiem, wyszedłszy na przechadzkę.

Zeznania te zdawały się panu Denizet zbyt dziecinnemi. Jak uwierzyć w tego tajemniczego nieznajomego, w tego zbójcę, kryjącego się wśród cieni nocy, zostawiającego wszystkie drzwi otwarte, a który jednak nie ruszył

ani mebli, ani ubrania ofiary, nie zabrał nawet jej chustki?.. Zkądby się wziął?.. Dlaczegoby miał zabijać?.. z jakiego powodu?..

W samych początkach śledztwa sędzia, wiedząc o stosunku, jaki łączył ofiarę zamordowaną z Jakóbem, zaniepokoił się o niego. Sam jednak obwiniony uspokoił jego obawy, twierdząc, iż odprowadził maszynistę do Barentin, gdzie widział go wsiadającego do pociągu o czwartej minut czternaście.

Zresztą oberżysta w Rouen przysięgał na wszystkie świętości, iż młody człowiek położył się spać wieczorem natychmiast po spożyciu obiadu, i wstał dopiero nazajutrz rano około godziny siódmej. Zresztą kochanek nie morduje nigdy swej kochanki bez najmniejszego powodu, a zwłaszcza kochanki, którą uwielbia tak, jak Jakób Serwerynę, o czem panu Denizet dobrze było wiadomo.

Sędzia, chcąc uspokoić swe skrupuły, badał, czy przypadkiem nie słyszano gdzie o jakich zatargach pomiędzy maszynistą a zamordowaną, niczego jednak pod tym względem się nie dowiedział. Wszelkie zatem rzucanie podejrzenia na Jakóba wydawało się panu Denizet głupstwem, nonsensem.

Nie, nie... Jeden jest tylko morderca przypuszczalny, jeden tylko widoczny, spotkany na miejscu popełnienia zbrodni, z rękoma zakrwawionemi, z nożem, leżącym u jego stóp, ten Cabuche głupkowaty, opowiadający historye, których słuchając, spać się zachciewa.

Doszedłszy jednak do tego punktu, pan Denizet, pomimo całego swego wewnętrznego przekonania, pomimo swego węchu, któremu, jak sam twierdził, więcej dowie-

rzał niż najjaśniejszym dowodom, na chwilę znalazł się w wielkim kłopocie.

Podczas pierwszej rewizyi, dokonanej w norze obwinionego, mianowicie w lesie Bécourt, nie znaleziono nic podejrzanego. Nie mogąc uzasadnić złodziejstwa lub rabunku, trzeba było wynaleźć jakąś inną przyczynę zbrodni.

Naraz Misard wprowadził pana Denizet na inną drogę, nieco pewniejszą, bo, odpowiadając na pytania postronne, rzucane dla zmylenia domysłów, zapewnił, iż widział Cabucha, przekradającego się pewnej nocy przez mur folwarku i podpatrującego pod oknem Seweryny, która właśnie spać się kładła.

Jakób, zapytany w tej kwestyi, opowiedział najspokojniej, iż widział nieraz nieme uwielbienie kamieniarza względem zmarłej, objawiające się jedynie chodzeniem za nią, wpatrywaniem się w jej twarz jak w obraz, oraz gorącą chęcią posługiwania jej na każdym kroku.

Po tych zeznaniach, nie było już najmniejszej wątpliwości; powodem zbrodni była namiętność zwierzęca. Wszystko składało się jaknajnaturalniej.

Zabójca wszedł przez drzwi, do których miał klucz dorobiony i w przestrachu zostawił je za sobą otwarte. W pokoju wywiązała się walka pomiędzy ofiarą a napastnikiem, zakończona morderstwem. Zabójca miał prawdopodobnie zamiar dopuszczenia się jeszcze innej zbrodni na trupie, lecz przeszkodziło temu nagłe wejście Misarda i Roubauda.

Ta ostatnia okoliczność była wprawdzie cokolwiek niewyraźną. Zachodziło mianowicie pytanie, dlaczego za-

bójca wybrał tę właśnie porę do wykonania zbrodni a nie inną?.. Wiedział przecież dobrze, iż o tym czasie przybędzie z Hawru mąż Seweryny; sam nosił depeszę, wzywającą go do Croix-de-Maufras; zresztą nie robiono z tego bynajmniej sekretu.

Po głębszym jednak namyśle nawet i to zwracało się przeciw obwinionemu. Działał on, zdaniem pana Denizet, pod wpływem żądzy, nie mogącej znieść żadnych przeszkód, a nawet podbudzonej niemi do najwyższego stopnia, do szaleństwa prawie. Nie myślał o niczem więcej tylko o tem, że noc owa była ostatnią chwilą, w której Seweryna znajdowała się sama jedna w domku odosobnionym, pustym, że jeżeli z chwili tej nie skorzysta, nie spotka już nigdy sposobności, gdyż przedmiot jego uwielbień wyjedzie nazajutrz z mężem do Hawru. Przecież to zupełnie naturalne.

Od tej chwili przypuszczenia sędziego śledczego zamieniły się w pewność, niczem nie ugiętą.

Cabuche zarzucony pytaniami, obsaczony najrozmaitszemi zasadzkami, na które nie zwracał uwagi, opowiadał ciągle jedno i to samo: przechodził drogą, chcąc odetchnąć świeżem powietrzem nocy pogodnej. Jakiś człowiek, nieznany mu zupełnie, otarł się prawie o niego, pędząc jak wiatr wśród ciemności, tak, że nie można było w pierwszej chwili dostrzedz, w którą uciekł stronę. Zaniepokojony spojrzał na dom i, drzwi zobaczył otwarte na oścież. Po chwili wahania wszedł do wnętrza i ujrzał widok przerażający.

Na ziemi leżały zwłoki zamordowanej, jeszcze niezupełnie zastygłe, z oczyma szeroko otwartemi. Na razie

sądził, iż tylko omdlała. Schwycił ją więc w ramiona i zaniósł na łóżko, przyczem poplamił się krwią, obficie sączącą się z rany.

To jedno tylko wiedział i to wciąż powtarzał, nie zmieniając najmniejszego szczegółu. Można było śmiało sądzić iż obmyślił sobie tę historyę i trzymał się jej uporczywie. Gdy chciano go sprowadzić z obranej drogi, mieszał się i milczał jak człowiek ograniczony, nic nie rozumiejący. Gdy pan Denizet zagadnął go po raz pierwszy co do namiętności, jaką pałał ku Sewerynie, zaczerwienił się jak student, przyłapany na jakiejś miłostce, przeczył stanowczo i twierdził, że nawet w snach nie śmiał marzyć o czemś podobnem. Wydawało mu się to rzeczą nikczemną, którejby się nigdy nie dopuścił. Nie, nie, on jej nie kochał, nie pragnął jej nigdy, i nie można było z niego wydobyć ani słowa w kwestyi, która wydawała mu się zbezczeszczeniem pamięci kobiety nieszczęśliwej.

Ale i ten upór, to nieprzyznawanie się do faktu, który tylu świadków stwierdziło, przemawiały na jego niekorzyść. Według aktu oskarżenia, ukrywał on całkiem naturalnie tę namiętność gwałtowną, która doprowadziła go aż do zbrodni.

Nareszcie sędzia śledczy, zebrawszy już tyle dowodów, chciał wydobyć z niego przyznanie się do prawdy i w tym celu wypowiedział mu wprost zarzut o zabójstwo i gwałt, dokonany na zwłokach.

Słowa te wywołały wprost przeciwny skutek. Cabuche zaprzeczył, lecz z taką gwałtownością, iż musiano wezwać żandarmów, aby go przytrzymali.

— Zabić ją?.. i po co?.. po to, żeby... o!.. kobietę uwielbianą, ubóstwianą jak świętą!..

Wściekłość jego doszła do tego stopnia, iż groził, że podusi wszystkich sędziów.

Oburzenia tego nie przyjęto, naturalnie jako dowód uniewinniający. Przeciwnie, gwałtowny ten wybuch kazał przypuszczać, iż zdolnym był do spełnienia zbrodni, której się tak uparcie wypierał.

Pan Denizet, jak sam mówił o sobie, węszył zawsze prawdę. Dzięki też temu węchowi i teraz wpadł przypadkowo na ślad, który wprowadził sprawę na nowe, chociaż niezbyt odmienne tory.

Nie dowierzając ludziom, którzy przeprowadzili pierwszą rewizyę w norze Cabucha, postanowił sam szukać. I rzeczywiście natrafił na jakąś kryjówkę, gdzie zagrzebane były rękawiczki, szpilki i chustki kobiece, Co jednak ważniejsza, w tejże samej kryjówce znalazł zegarek złoty.

Poznał on go dobrze i ucieszył się nadzwyczajnie tem odkryciem. Był to bowiem zegarek Grandmorrina, który niegdyś tak śledzono, mający podwójne grube koperty, na wierzchu monogram z liter początkowych imienia i nazwiska prezesa a wśrodku cyfrę fabryczną 2516.

Wobec tego odkrycia stanął olśniony jak światłem błyskawicy. Wszystko się wyjaśniło.

Przeszłość łączyła się z teraźniejszością, fakta łączyły się z faktami i zachwycały sędziego swą logicznością.

Następstwa jednak mogły zaprowadzić tak daleko, iż początkowo zamilczał o zegarku i badał tylko oszołomionego kamieniarza, co znaczą te chustki i rękawiczki.

Cabuche na chwilę zawahał się i chciał wyznać wszystko otwarcie. A więc tak... on ją kochał... on ją uwielbiał... całował jej suknie gdy je zdjęła i wziął je do czyszczenia z kurzu, kradł jej drobiazgi, jej chustki, szpilki, gdyż zdawało mu się, iż wraz z temi przedmiotami przywłaszcza sobie cząstkę jej osoby. Później jednak, wstyd jakiś nie dopokonania, nakazał mu milczenie. I gdy nareszcie sędzia, chcąc go ostatecznie przekonać, podsunął mu przed oczy zegarek, patrzył jak otumaniony.

Pamiętał on go dobrze. Pewnego razu, ścieląc łóżko, dostrzegł chustkę Seweryny, ukrytą pod siennikiem. Ukradł ją i uniósł jako łup ukochany. Ze ździwieniem największem dostrzegł dopiero u siebie, w swej norze, że w jednym z rogów chustki, zawiązany był ten zegarek. Przez kilka dni z rzędu łamał sobie głowę, w jaki sposób zwrócić Sewerynie to, czego zatrzymać nie chciał, nie oddając chustki... Ale teraz opowiadać o tem wszystkiem? po co?.. Trzebaby się przyznać do wszystkich innych gałganków, skradzionych ukochanej kobiecie, do tej bielizny, która tak pięknie pachniała, a której tak się teraz wstydził.

Zresztą, czyżby mu teraz uwierzono?.. on sam zaczynał już nie rozumieć, co się koło niego i z nim samym dzieje; wszystko mieszało mu się w mózgu... chwilami zdawało mu się, iż to sen jakiś okrutny dręczy go tak straszliwie.

Doszedł już nawet do tego, iż nie oburzał się na zarzut morderstwa. Słuchał spokojnie, ogłupiały, i na wszystko odpowiadał ostatecznie:

— Nie wiem!..

O chustce i rękawiczkach nie wiedział, o zegarku również nic nie wiedział. Ciągłe badania zmęczyły go do tego stopnia, iż pragnął spokoju za jakąbądź cenę.

Jeśli chcą koniecznie jego głowy, dlaczego nie wysyłają go na gilotynę. Niech się to już raz skończy... byle prędko.

Pan Denizet kazał nazajutrz aresztować Roubauda. Uczynił to powodowany właściwem sobie przewidywaniem, nie mając nawet na razie przyczyn wystarczających. Znalazł je jednak bardzo prędko.

Niedarmo przeczuwał, że Roubaud jest główną sprężyną tej całej sprawy, iż on jest machiną działającą, choć niewidoczną. Natychmiast po zaaresztowaniu przeprowadził osobiście rewizyę w jego mieszkaniu i znalazł to, co mu koniecznie było potrzebnem. Był to mianowicie akt, podpisany przez Roubauda i Sewerynę w ośm dni po objęciu Croix - de - Maufras, przed notaryuszem Colinem w Hawrze, mocą którego folwark, po śmierci jednej z osób podpisanych, przechodził na wyłączną własność drugiej.

Od tej chwili cała sprawa wydała sie tak jasną, cały gmach oskarżenia był tak mocno zbudowany, iż prawda nawet, wobec tego byłaby nieprawdopodobną, gdyż zawierała nielogiczności i niekonsekwencye, od których dowodzenia sędziego śledczego, zupełnie były wolne. A dowodzenie to streszczało się w następujących słowach:

Roubaud był nikczemnikiem, który nie śmiąc sam zabijać, posłużył się dwukrotnie ramieniem Cabucha, tego zwierzęcia gwałtownego.

Pierwszym razem, chcąc jaknajprędzej odziedziczyć majątek po prezesie Grandmorrin, o którego testamencie

zawczasu już był uwiadomiony, a znając z drugiej strony nienawiść, jaką względem tegoż Grandmorrina pałał Cabuche, ułatwił temu ostatniemu dostanie się do przedziału w wagonie na stacyi w Rouen, uzbroiwszy pierwej dłoń jego nożem morderczym. Później podzielili się pieniędzmi i rzeczami ofiary i byliby się może nigdy więcej w życiu nie spotkali, gdyby zbrodnia nie pociągnęła za sobą innej zbrodni.

I na tym właśnie punkcie sędzia śledczy wykazał całą swą głęboką znajomość psychologii kryminalistycznej, którą w nim tak bardzo podziwiano. Oświadczył on obecnie wyraźnie, iż od czasu śmierci Grandmorrina nie spuszczał z oka Cabucha, gdyż przekonany był, iż pierwsze morderstwo będzie nieuniknioną przyczyną drugiego. Półtora roku wystarczyło, aby sprawdzić ten pewnik, prawie matematyczny.

Małżeńskie pożycie Roubaudów w przeciągu tego czasu rozprzęgło się zupełnie. Mąż strwonił zdobyte zbrodnią pięć tysięcy franków, przegrał je; żona rzuciła się w objęcia kochanka, gdyż w podobnych warunkach musiała koniecznie szukać jakiejkolwiek pociechy. Pomiędzy Roubaudami podnoszono bezwątpienia nieraz kwestyę sprzedania Croix-de-Maufras. Żona nie chciała się na to zgodzić, w obawie, iż mąż straci tak samo i te pieniądze.

Z tego powodu wynikały najrozmaitsze sprzeczki. Prawdopodobnie żona nieraz musiała grozić, iż w razie natarczywości męża, zmuszoną będzie udać się do sądu. W każdym razie mnóstwo świadków stwierdziło zupełną niezgodę małżonków, i nareszcie objawiają się następstwa

pierwszej zbrodni. Cabuche zjawia się ze swoją namiętnością gwałtowną, mąż potajemnie uzbraja jego rękę w broń morderczą, chcąc sobie raz zapewnić posiadanie tego domu przeklętego, który już kosztował jedno życie ludzkie.

Oto cała prawda, prawda nieubłagana, oślepiająca swą jasnością. A dowody?.. zegarek, znaleziony u Cabucha, a szczególnie te dwa trupy, te ofiary zamordowane jednakowem uderzeniem w gardło, zadanem jedną i tą samą ręką, a nawet jednym i tym samym nożem.

Na tym ostatnim punkcie akt oskarżenia wyrażał pewną wątpliwość. Rana prezesa była zadana, jak się zdaje, nożem węższym i ostrzejszym...

Roubaud w pierwszej chwili odpowiadał z wahaniem krótkiemi słowami „tak“ lub „nie“. Zaaresztowanie nie ździwiło go zupełnie. Zresztą rozkład moralny doszedł w nim już do tego stopnia, iż mu to wszystko było prawie obojętnem.

Ażeby cośkolwiek z niego wydobyć, zamknięto z nim razem dozorcę więziennego, z którym grał w karty od rana do wieczora i był najzupełniej zadowolonym. Zresztą był najmocniej przekonany o winie Cabucha: on jeden, mógł być tylko mordercą.

Badany co do Jakóba, wzruszył ramionami i uśmiechnął się, dając w ten sposób poznać, iż wiedział o wszystkiem, co się działo pomiędzy jego żoną a maszynistą.

Gdy jednakże pan Denizet, wybadawszy go już na wszystkie strony, przedstawił mu całe swe oskarżenie, przybijając go jasnością szczegółów i oślepiając zawiłością, a to w celu wydobycia ostatniego zeznania, Roubaud

jak gdyby się obudził i słuchał uważnie wszystkiego. W końcu zadziwił się nadzwyczajnie.

Cóż słyszy?.. A więc to nie on?.. To Cabuche zabił prezesa, tak samo jak zabił Sewerynę?.. A w obu wypadkach, on, Roubaud, jest winien, gdyż tamten zabijał na jego rachunek i w jego interesie?..

Ta awantura zawiła, w ten sposób przedstawiona, osłupiła go a zarazem wzbudziła w nim nieufność. Nie ulega najmniejszej wątpliwości... zastawiono nań zasadzkę. Sędzia kłamie naumyślnie, aby z niego wydobyć wyznanie dawnej zbrodni, półtora roku temu dokonanej.

Skoro go tylko zaaresztowano, domyślał się iż dawna sprawa wypłynie na wierzch. Skonfrontowany z Cabuchem oświadczył, iż go nie zna zupełnie. Gdy jednak powtórzył swe zeznanie, w jaki sposób zastał go nad trupem Seweryny, kamieniarz uniósł się i musiano go siłą powstrzymać, aby się nie rzucił na Roubauda.

Na pana Denizet scena ta zrobiła wrażenie, iż dwaj wspólnicy zbrodni naumyślnie udają nieprzyjaźń względem siebie.

Trzy dni jeszcze ciągnęły się badania. Roubaud zmęczony nie odpowiadał już ani słowa. Nareszcie czwartego dnia, zniecierpliwiony już do najwyższego stopnia, chcąc raz już nareszcie skończyć z tem wszystkiem, ustąpił głuchej potrzebie wypowiedzenia wszystkiego.

To milczenie ciągłe dręczyło go już od dłuższego czasu, chciał mówić, chciał podzielić się z kimkolwiek swą tajemnicą, i teraz w uniesieniu, opowiedział panu Denizet prawdę, nic więcej jak tylko prawdę, najszczerszą prawdę.

Tego dnia właśnie sędzia śledczy wysilił cały swój dowcip, chcąc wydobyć z oskarżonego ostateczne zeznanie. Otoczył go taką matnią zapytań, zapędził go w tak dobrze zastawioną zasadzkę, iż najpewniejszym był zwycięztwa.

Istotnie też Roubaud z miną człowieka, doprowadzonego do ostateczności, zawołał, że ma już tego dosyć, że woli wyznać wszystko, byleby go więcej nie męczono. Ponieważ tak czy owak, uważają go za winnego, niech więc wiedzą przynajmniej za co sądzić go mają.

Jednym tchem opowiedział historyę zhańbienia Seweryny przez Grandmorrina, o swej wściekłości, gdy się o tem dowiedział, przyznał się, w jaki sposób dokonał zemsty, jak zamordował prezesa w wagonie, dlaczego zabrał mu pieniądze i zegarek, wogóle opowiedział wszystko, nic nie ukrywając.

W miarę jednak opowiadania, pan Denizet patrzał na niego coraz bardziej niedowierzająco, a gdy Roubaud umilkł, sędzia wybuchnął głośnym i ironicznym śmiechem.

W jego pojęciu całe to opowiadanie dowodziło tylko nadzwyczajnego sprytu i uporu Roubauda. Przyjąć pierwszą zbrodnię na siebie, przedstawić ją jako przestępstwo, popełnione w napadzie namiętności, zrzucić z siebie podejrzenie, iż stało się to w celu rabunku, a przedewszystkiem wyprzeć się tym sposobem wszelkiego udziału w morderstwie Seweryny, wszystko to dowodziło inteligencyi i zręczności, jakiej pan Denizet nie spotkał w swej prawniczej karyerze. Tylko że on, jako człowiek wytrawny i kierujący się zawsze doskonałym swym węchem, nie wierzył tak łatwo w pierwsze lepsze opowiadanie.

— Wszystko to bardzo piękne, mój Roubaud — odezwał się z uśmiechem. — Ale nie można nas przecie uważać za dzieci naiwne.. Twierdzisz więc, że byłeś zazdrosny i że w napadzie szalonej, niczem nieprzezwyciężonej namiętności, zabiłeś prezesa?

— Naturalnie.

— A!.. No, przypuśćmy, że ja w to wierzę... I ożeniłeś się, nie wiedząc nic o stosunkach żony z prezesem?.. czyż to jest prawdopodobne?.. Wszystko dowodzi przeciwnie, a mianowicie, że tobą powodował jedynie interes. Oddają ci panienkę wychowaną bardzo starannie, wykształconą, wyposażoną, jak należy... jej protektor staje się twoim protektorem. Twierdzisz, że nie wiedziałeś nic o testamencie, w którym stary za życia jeszcze zapisał folwark Croix de-Maufras Sewerynie?.. Ależ to niemożebne!.. Wiedziałeś o wszystkiem, inaczej w żaden sposób niepodobna wytłomaczyć twego małżeństwa... Zresztą, jest jedna jeszcze rzecz, która dowodzi całej błahości twego opowiadania... Mówisz, że zazdrość tobą powodowała, jakto?.. więc ty zdolny jesteś do zazdrości?..

— Powiedziałem prawdę... zabiłem Grandmorrina w przystępie zazdrości...

— A więc jeżeli go zabiłeś za jakieś tam urazy dawne, nieokreślone, wyrosłe prawdopodobnie w twojej wyobraźni, wytłomacz mi, jakim sposobem mogłeś tolerować później kochanka żony... tego Jakóba Lantier.., człowieka młodego, w pełni sił?.. Przecież wszyscy o tem głośno mówili?.. ty sam nawet przedemną nie ukrywałeś, iż wiesz, jakie pomiędzy nimi zachodziły stosunki?.. Dlaczego tym

razem pozwoliłeś im przebywać bezkarnie sam na sam, po całych dniach i nocach?..

Roubaud, przybity tem logicznem dowodzeniem patrzał wzrokiem pomieszanym w dal bezgraniczną, szukając daremnie w głowie jakiegokolwiek tłomaczenia.

Nareszcie po długiej chwili milczenia, odezwał się, jąkając:

— Nie wiem... Zabiłem Grandmorrina... a nie zabiłem Jakóba...

— A więc nie mów mi, że zdolnym byłeś z zazdrości zabić człowieka. Nie radzę ci powtarzać tego, niezbyt wreszcie zajmującego romansu, sędziom przysięgłym, bo, wysłuchawszy go, wzruszą tylko ramionami. Wierzaj mi, zmień system obrony... tylko prawda może cię uratować!.

Od tej chwili, o ile bardziej Roubaud upierał się, twierdząc, że mówi prawdę, o tyle przekonywano go, iż kłamie. Wszystko zresztą zwracało się przeciw niemu. Cała ta historya dowodziła tylko, iż chce się wyprzeć wspólnictwa z Cabuchem.

Pan Denizet tryumfował. Nigdy jeszcze nie wykazał tak wielkiej znajomości serca ludzkiego jak w tym wypadku, gdzie całość aktu oskarżenia oparta była na głębokiej psychologii. Nigdy węch jego wrodzony, zdolność oryentowania się i czytania w duszy przestępcy natychmiast po spojrzeniu mu w oczy, nie wydała lepszych rezultatów.

Przez cały czas śledztwa, nazwisko jego nie schodziło ze szpalt dzienników, które o całej sprawie rozpisywały sie z największą drobiazgowością.

Prasa rządowa tryumfowała, gdyż mogła się nareszcie oczyścić z zarzutów, stawianych częstokroć przez opozycyę, upatrującą w zabójstwie Grandmorrina jakiejś nieczystej sprawy, którą zamazano, nie chcąc kompromitować osobistości, zajmujących wysokie stanowiska.

Od czasu do czasu odzywały się pytania, cóż porabia cała administracya śledcza i policyjna, jeśli nie może wynaleźć mordercy?.. Obecnie znalazł się ten morderca; proces przedstawia się zupełnie jasno, bo na opowiadania Roubauda nikt nie zwrócił uwagi, rząd wychodził z całej tej awantury czysty jak łza, a to wszystko, dzięki zręczności i węchowi pana Denizet.

Tryumfujący sędzia śledczy, wezwany do Paryża, przedstawił się na ulicy du Rocher, w prywatnem pomieszkaniu generalnego sekretarza, pana Camy Lamothe.

Zastał go w gabinecie, opartego o stół, z miną poważną, zamyśloną, zmęczoną

Pan Camy-Lamothe, sceptyczny jak zawsze, zastanawiał się właśnie nad całą tą sprawą i przeczuwał, że pod tą nawałnicą pochwał ukrywa się niedaleki upadek rządu, któremu od lat tylu służył.

Od dwóch dni wrzała w nim walka wewnętrzna. Nie wiedział jeszcze, jaki użytek zrobić ma z listu Seweryny, który zachował do tego czasu. List ten byłby obalił za jednym zamachem cały akt oskarżenia i poparł opowiadanie Roubauda dowodem, nieulegającym wątpliwości. Nikt na świecie nie wiedział o tym małym świstku papieru, od niego tylko zależało zniszczyć go, lub przedstawić sądowi.

Dzień przedtem cesarz Napoleon wezwał go do siebie i wypowiedział wyraźnie żądanie, aby sprawa cała,

wskutek zainteresowania ogólnego, jakie wzbudziła, weszła na właściwe tory, bez względu nawet na to, czy kto z podwładnych mu urzędników na tem ucierpi.

Jakkolwiek sekretarz generalny nie odczuwał wyrzutów sumienia, gdyż wszystkie sprawy tego świata przedstawiały się w jego pojęciu jako prosta kwestya mechaniczna, a jednak rozkaz otrzymany wzruszył go nieco. Zapytywał sam siebie, czy ma do tego stopnia przywiązany być do swego władcy, ażeby nawet dla jego dobra okazać się nieposłusznym?..

Nad tem właśnie zastanawiał się pytaniem, gdy zaanonsowano pana Denizet.

— A co? mój węch mię nie omylił. To Cabuche zamordował prezesa... Chociaż, co prawda, inny ślad już wówczas doprowadził nas do przekonania, że Roubaud umaczał także w tem rękę... ja to zaraz przeczuwałem... Ale na szczęście, mamy ich teraz obu w ręku...

Pan Camy-Lamothe wpatrzył się w sędziego śledczego jasnemi oczyma,

— A zatem wszelkie akta, jakie mi doręczono, są stwierdzone?.. Przekonanie pańskie jest stanowcze?..

— I to w najwyższym stopniu. Wszelka niepewność jest z tej kwestyi wykluczona. Wszystko wiąże się jaknajdokładniej. Dawno już nie pamiętam sprawy, w którejby zbrodnia, pomimo mnóstwa pozornych powikłań, postępowała krokiem tak logicznym, tak dalece z góry przewidzianym.

Lecz Roubaud zaprzecza... przyjmuje pierwsze morderstwo na siebie, opowiada historyę, z której dowiadujemy się, iż Grandmorrin dopuścił się względem jego żony

zniewagi i że właśnie wskutek tego zbrodnia została popełniona, pod wpływem szalonej wściekłości i zazdrości... Dzienniki opozycyjne opiewają to drobiazgowo...

— O!.. opowiadają sobie jako zwykłą plotkę, w którą same nie wierzą. Zazdrosny? kto?.. Roubaud, ułatwiający schadzki miłosne swej żony z kochankiem?.. A!.. może to sobie opowiadać na publicznem posiedzeniu... nie wywoła swoją historyą skandalu, jakiego pragnęłoby wiele osób nam nieprzychylnych. Gdyby choć poparł swe twierdzenie jakimkolwiek dowodem!.. ale nie ma nic... nic!.. Wspomina o jakimś liście, który jakoby jego żona pisała i który nibyto powinien się znaleźć pomiędzy papierami ofiary jego zbrodni... Pan sam, panie sekretarzu generalny, porządkowałeś te papiery, a zatem i list ów musiałby wpaść w pańskie ręce... nieprawdaż?..

Pan Camy-Lamothe nie odpowiedział na to pytanie ani słowa.

To prawda, cały skandal zostałby pogrzebany, zamazany, jeśli sprawa pójdzie drogą wytkniętą przez pana Denizet. Roubaudowi nikt nie uwierzy. Pamięć prezesa zostanie oczyszczona ze wstrętnych podejrzeń. Rząd błogosławić będzie tę głośną rehabilitacyę jednej ze swych figur. A zresztą, skoro Roubaud przyznaje się do winy, mniejsza o to, na jakiej zasadzie zostanie skazany.

Rozchodzi się co prawda o Cabucha; lecz ten, chociaż nie winien pierwszego morderstwa, zdaje się jednak, iż rzeczywiście jest sprawcą drugiego. Zresztą... Boże kochany!.. sprawiedliwość!.. co za złudzenie!.. Chcieć być sprawiedliwym?.. ależ to niemożebne, zwłaszcza że prawdy na wierzch wydobyć nie można, gdyż zaplątała się między

ostre, powikłane ciernie. Czyż nie lepiej być rozsądnym i, korzystając ze sposobności, podeprzeć silnem ramieniem te stosunki obecne, grożące lada chwila ruiną?..

— Nieprawdaż? — zapytał powtórnie pan Denizet — pan nie znalazłeś podobnego listu?..

I znów pan Camy-Lamote wlepił w niego oczy. A po chwili, biorąc za wyrzut sumienia niepokój, wzbudzony rozkazem cesarza, odpowiedział zimno, spokojnie, z całą świadomością, iż sam jeden jest panem położenia.

— Nie... nic a nic podobnego nie znalazłem.

Potem z uśmiechem i najwyszukańszą grzecznością zasypał sędziego mnóstwem pochwał.

Tylko dobry obserwator mógłby był dostrzedz w kącikach jego ust maleńką zmarszczkę, zdradzającą ironię.

Nigdy dochodzenie sądowe, według słów jego, nie było przeprowadzone z większą przenikliwością. Pan Denizet wywiązał się z zadania, jak nie można lepiej; rzecz naturalna, że trud ten będzie wynagrodzony. To już postanowiono w sferach wyższych... natychmiast po feryach powołany zostanie do Paryża, i zajmie stanowisko radzcy.

Pan Camy-Lamote posunął grzeczność aż do tego stopnia, że odprowadził sędziego śledczego na schody. I tu jeszcze, żegnając się, powtarzał:

— Nikt tak jasno nie mógł się w tem wszystkiem rozejrzeć i zoryentować... pan jeden sformowałeś sprawę jak należy... Co to za wzrok, co za przeczucie... to istotnie przymiot wart zazdrości!.. I z chwilą, gdy prawda szczera wyszła na jaw, nic nas już zatrzymać nie zdoła, ani interes osobisty, ani nawet racya stanu!.. Śmiało!..

naprzód!.. niechaj proces toczy się właściwą drogą, bez względu na to, jakie za sobą pociągnie następstwa.

— Staram się, jak mogę najgodniej wykonywać obowiązki sumiennego urzędnika — zakończył pan Denizet, skłonił się i odjechał rozpromieniony.

Pan Camy-Lamote, zostawszy sam, zapalił najpierw świecę, a następnie wyciągnął szufladę z biurka i wydobył z niej list Seweryny. Rozłożył go, chciał przeczytać, a przed oczyma jego przesunęła się postać tej zbrodniarki delikatnej, z oczyma barwinku, które kiedyś na nim tak głębokie wywarły wrażenie. Dziś już nie żyje... Umarła w tak tragiczny sposób!.. Któż zna tajemnicę, którą z sobą do grobu zaniosła?.. Prawda!.. Sprawiedliwość!.. Złudzenie!..

I zbliżył list do świecy, spalił go i zasmucił się, jakby przeczuwając nieszczęście!..

Po co zniszczył ten cenny dowód, po co obciąża swe sumienie, kiedy pomimo to wszystko, przeznaczonem już było, iż cesarstwo zniknie, jak owa szczypta popiołu, pozostała z listu Seweryny i strząśnięta na posadzkę.

W przeciągu tygodnia pan Denizet ukończył całe dochodzenie i sformułował ostatecznie akt oskarżenia.

W towarzystwie kolei wschodniej znalazł najchętniejsze poparcie; dostarczono mu wszelkich żądanych dokumentów, wszelkich świadectw potrzebnych. Zarząd również pragnął skończyć jak najprędzej całą tę historyę jednego ze swych urzędników, która wcale nie przynosiła zaszczytu personelowi kolejowemu.

I znów w gabinecie sędziego śledczego ukazali się panowie Cabadie, Moulin i inni, którzy złożyli zeznania,

co do prowadzenia się Roubauda. Następnie pan Bessieres naczelnik stacyi w Barentin, oraz kilku urzędników z Rouen, świadczących w sprawie zabójstwa Grandmorrina. Później pan Vandorpe, naczelnik stacyi w Paryżu, dróżnik Misard, nadkonduktor Henryk Dauvergne.

Dwaj ostatni stawali jako świadkowie w kwestyi pożycia małżeńskiego, jakie wiódł obwiniony. Henryk nawet opowiadał, iż pewnego wieczora, gdy pozostawał w Croix-de Maufras pod opieką Seweryny, słyszał wyraźnie za oknem głos Cabucha i Roubauda, sprzeczających się o coś; zanadto jednak był jeszcze osłabiony i nie mógł sprawdzić dokładnie i własnemi oczyma ich osobistości.

Zeznanie to było bardzo ważne, gdyż popierało przypuszczenia sędziego, a mianowicie, że oskarżeni znają się doskonale, lecz nie chcą się do tego przyznać.

W całym personelu kolejowym rozbrzmiewał głośno krzyk oburzenia na dawnego kolegę. Wyrażano żal i współczucie dla nieszczęśliwych ofiar, dla tej biednej kobiety, która jakkolwiek nie była wzorem cnoty, ale czyż to jej wina?.. czyż do tego nie była prawie zmuszoną?..

I prezesa żałowano również, tego starca tak poważanego, którego pamięć została nareszcie oczyszczoną od pogłosek ubliżających, a obiegających o nim ciągle.

Nareszcie zaczął się ten sławny proces. Zainteresowaniu szerszemu przeszkodziły wieści o wojnie, mającej lada dzień wybuchnąć z prusakami.

Wieści te przebiegały całą Francyę i zmniejszały zaciekawienie do wszelkich spraw innych. Pomimo to

Rouen było rozgorączkowane przez trzy dni. Duszono się w sali sądowej. Wszystkie miejsca zatrzymane, na które wpuszczać miano za biletami, zajęte zostały przez płeć piękną. Nigdy jeszcze starożytny pałac książąt normandzkich nie mieścił tyle osób naraz w swych murach, od czasu gdy został na sąd zamieniony.

Było to w ostatnich dniach czerwca, na ulicach gorąco, w sali sądowej duszno niedowytrzymania. Przez dziesięć okien wpadały promienie słoneczne i oświecały meble dębowe rzeźbione, krzyż marmurowy biały, umieszczony w głębi na różowem tle ściany, i sufit rzeźbiony i złocony, pamiątkę z czasów Ludwika XII.

Już przed rozpoczęciem posiedzenia publiczność wypełniła salę po same brzegi. Damy wstawały, chcąc lepiej przyjrzeć się przedmiotom, leżącym na stole, a stanowiącym „corpus delicti“, jako to: zegarek Grandmorrina, koszula Seweryny, zbroczona krwią, i nóż, który użyty był do dwóch morderstw.

Z równą ciekawością przyglądano się także obrońcy Cabucha, adwokatowi, przybyłemu z Paryża. Na ławach sędziów przysięgłych zasiadło dwunastu obywateli z Rouen, ubranych poważnie, czarno.

W chwili gdy wszedł cały komplet sędziów, na sali powstał szmer tak wielki, że przewodniczący zmuszony był zagrozić, iż jeżeli publiczność nie uciszy się natychmiast, zmuszony będzie opróżnić auditoryum.

Nareszcie zaczęły się rozprawy. Sędziowie przysięgli złożyli uroczystą przysięgę, a wezwanie świadków znów wzbudziło ciekawość olbrzymią, objawiającą się głośnym szmerem. Z pomiędzy świadków Jakób najbardziej

zainteresował wszystkich, a szczególnie kobiety, które nie spuszczały zeń oczów. Ukazali się i oskarżeni, każdy w towarzystwie dwóch żandarmów.

Publiczność zaczęła cicho czynić pomiędzy sobą uwagi, co do fizyognomii Cabucha i Roubauda. Dojrzano w ich oczach wyraz dziki, nikczemny, według ogólnego zdania, nawet z pozoru wygląd mieli opryszków.

Roubaud ubrany czarno, czysto, choć nieco niedbale, zdziwił wszystkich, że wyglądał tak staro i że był tak strasznie tłusty. Podobna tusza nie zgadza się w pojęciach ogółu z charakterem zbrodniczym; ludzie tłuści zazwyczaj bywają spokojni, łagodni, a przedewszystkiem dobroduszni.

Co do Cabucha, ten zupełnie wyglądał tak, jak go sobie wyobrażano. W bluzie długiej niebieskiej, z pięściami olbrzymiemi, szczękami szerokiemi, przedstawiał typ jeśli nie zbrodniarza, to przynajmniej człowieka, z którym spotkanie w lesie nie należy do zbyt wielkich przyjemności.

Rozpoczęto badanie. Cabuche na wszystko odpowiadał, iż nic nie wie. Nie wiedział, zkąd się wziął zegarek u niego, nie wiedział, dlaczego pozwolił uciec rzeczywistemu mordercy, a jednak uporczywie trzymał się swej historyi o owym tajemniczym nieznajomym, którego widział, wybiegającego z domu i pędzącego jak wiatr pośród ciemności nocy.

Zapytany o swą namiętność do Seweryny, zaczął się jąkać, wymawiać słowa bez związku, lecz z taką gwałtownością, że żandarmi musieli chwycić go za ramiona i przytrzymać na miejscu.

Nie!.. nie!.. On jej nie kochał... jemu nawet przez myśl coś podobnego nie przeszło!.. to kłamstwo. Myśl sama o tej kobiecie wydawała mu się grzechem... była dla niego czemś, ubliżającem tej kobiecie.. Zresztą, na coby się to zdać mogło... ona była tak piękną, taką wielką panią... gdy tymczasem on siedział już raz w więzieniu, a żył jakby dzik jaki!..

Potem uspokoiwszy się, popadł w ponure milczenie, odpowiadał tylko krótkiemi niezrozumiałemi dźwiękami, niepodobnemi do słów, stał się obojętny na wszystko, nawet na to, co go najgorszego spotkać mogło.

Roubaud ze swej strony trzymał się także tego, co akt oskarżenia nazywał „jego systemem“. Opowiedział, jak i dlaczego zabił Grandmorrina, zaprzeczał stanowczo wszelkiemu udziałowi w zabójstwie Seweryny. Odzywał się zdaniami urywanemi, nie wiążącemi się pomiędzy sobą, chwilami tracił pamięć. Wzrok jego był pomieszany, głos przytłumiony, tak, że zdawało się chwilami, iż obmyśla szczegóły, nie chcąc wyjawić prawdy.

Przewodniczący wykazywał mu nieprawdopodobieństwo tego opowiadania, przerywał mu kilkakrotnie, tak, że w końcu Roubaud wzruszył ramionami i nie chciał już odpowiadać.

Po co mówić prawdę, kiedy kłamstwo wydaje się logiczniejszem?

Pogardliwa postawa wobec sprawiedliwości usposobiła zarówno sędziów jak i publiczność na jego niekorzyść. Zauważono również wielką obojętność obu oskarżonych względem siebie i poczytano to za komedyę z góry

ułożoną. Zapierają się znajomości, chcąc oszukać sąd tym sposobem.

Po skończeniu badania oskarżonych, przesłuchano kilku świadków. Zeznania ich były bez znaczenia.

Na zegarze miejskim wybiła godzina piąta; w sali powietrze było duszne, iż dwie damy zemdlały. Niepodobna było dłużej wysiedzieć, odroczono więc rozprawy do dnia następnego.

Nazajutrz wezwano przed sąd resztę świadków. Publiczność, zebrana tak licznie jak i dnia poprzedniego, z ciekawością wysłuchała zeznań urzędników kolejowych: pana Vandorpe, pana Bessière, pana Dabadie, a szczególnie pana Cauche, który nader zajmująco opowiadał że zna dobrze Roubauda, bo z nim często grywał w kawiarni kupieckiej.

Henryk Dauvergne powtórzył zeznanie, nadzwyczaj obciążające oskarżonych, a mianowicie, iż kiedy był chory w Croix-de Maufras słyszał wyraźnie głos Cabucha i Roubauda sprzeczających się ze sobą. Miał, co prawda, wówczas gorączkę i nie może zaręczyć za prawdziwość tego co mówi, ale zdaje się że jest tego pewny.

Zapytany o Sewerynę, okazał się bardzo dyskretnym, dał do zrozumienia, iż sam się w niej kochał, wiedząc jednak o jej stosunkach z Jakóbem, usunął się i nie chciał wchodzić mu w drogę!..

Nareszcie wezwano Jakóba Lantier. Wejście jego przyjęte zostało głośnym szmerem w pośród publiczności. Wiele osób powstało, chcąc mu się lepiej przyjrzeć, nawet sędziowie, wydawali się tym razem bardzo zaciekawieni.

Jakób oparł się oburącz o baryerę, oddzielającą świadków od stołu prezydyalnego. Był to ruch, do którego przyzwyczaił się w długich latach zawodu maszynisty. Zeznania czynił najzupełniej spokojnie, jak gdyby go ta sprawa nic a nic nie obchodziła.

Od czasu spełnienia zbrodni nie zadrżał ani razu, nawet nie myślał o tem wszystkiem. Czuł się jak najzdrowszym, wszystkie organa jego funkcyonowały jak najregularniej, nawet teraz u kratki sądowej nie czuł wcale wyrzutów sumienia.

Oczyma, szeroko otwartemi, spojrzał na Roubauda i Cabucha. O pierwszym wiedział, że jest winnym; skłonił mu się głową lekko, nieznacznie, jakby go chciał przeprosić za to, iż dziś otwarcie będzie musiał przyznać, że był kochankiem jego żony. Potem uśmiechnął się do Cabucha; pomimo całego spokoju, rozumiał jego położenie, czuł, iż powinien sam zająć jego miejsce na ławie oskarżonych; znał go dobrze jako istotę w gruncie łagodną, dobrą, pracowitą, pomimo tej odstraszającej miny bandyty.

Następnie zdaniami jasnemi, krótkiemi, odpowiadał na pytania przewodniczącego o swych stosunkach z ofiarą o swym wyjeździe z Croix-de-Maufras, na kilka godzin przed popełnieniem zbrodni, jak wsiadł na pociąg w Barentin i jak noc spędził w Rouen.

Cabuche i Roubaud słuchali go i potwierdzali jego słowa wzrokiem i milczeniem. W tejże samej jednak chwili na twarzach wszystkich trzech zarysował się jakiś smutek nieokreślony.

W sali zapanowało najgłębsze milczenie; wszyscy pozostawali pod dziwnem jakiemś wrażeniem, nawet sędziowie przysięgli uczuli coś, jakby ich za gardło ściskało. Może to prawda przemknęła przez salę, prawda cicha, niema, milcząca...

Na zapytanie przewodniczącego, pragnącego wiedzieć co świadek myśli o owym tajemniczym winowajcy, który jakby rozpłynął się w mgle nocnej, widziany jedynie przez Cabucha, Jakób wzruszył ramionami, dając wyraźnie tem do zrozumienia, że nie może nic odpowiedzieć, bo odpowiedź jego obciążyłaby obwinionego.

I stał się wypadek, który do reszty wzruszył słuchaczy. Łzy zabłysły w oczach Jakóba i po chwili jak grad pociekły po jego twarzy.

Ujrzał on przed sobą obraz Seweryny, biednej, zamordowanej, z włosami czarnemi, z oczami koloru barwinku, szeroko otwartemi. On ubóstwiał ją jeszcze, ubóstwiał dziś bardziej niż kiedykolwiek; ujrzawszy ją w myśli nie mógł oprzeć się uczuciu, tłoczącemu serce, i zapłakał, zapominając o tem, gdzie się znajduje.

Damy, obecne w sali, opanowane tą boleścią, szlochały głośno. Szczególnym był widok tego kochanka płaczącego, w chwili gdy mąż miał oczy zupełnie suche.

Przewodniczący zapytał obrońców, czy nie zadadzą jakich pytań świadkowi.

Adwokaci podziękowali, nie mając o co pytać. Oskarżeni patrzyli wzrokiem ogłupiałym na Jakóba, który powoli zwrócił się ku ławie świadków i usiadł wśród oznak ogólnej sympatyi

Trzecie posiedzenie wypełniły mowa prokuratora i obrońców.

Przewodniczący streścił całą sprawę w słowach, które na pozór były szczytem bezstronności, w gruncie jednak obciążały oskarżonych. Prokurator w mowie swej nie użył wszystkich argumentów. Zazwyczaj mówił z większem przekonaniem, tym razem był to tylko popis pustej i błyskotliwej wymowy. Złożono to na karb upału, który istotnie był nieznośny.

Obrońca Cabucha wypowiedział mowę wspaniałą ale również nie przekonywającą. Adwokat Roubauda, wezwany umyślnie na tę sprawę z Paryża, starał się zbić niektóre punkta oskarżenia, co mu przychodziło z wielką trudnością wobec jasności i logiki faktów.

Prokurator, zmęczony, zrzekł się prawa drugiego głosu.

Gdy sędziowie przysięgli udali się do sali narad, była godzina szósta. Słońce wpadało jasnemi promieniami przez dziesięć okien i złocistą barwą oświetlało herby Normandyi, umieszczone nad drzwiami wchodowemi.

Publiczność, korzystając z przerwy, rozmawiała głośno, opowiadając sobie wrażenia doznane, przewidując wyrok sędziów oraz wysokość kary.

W chwili gdy trybunał i sędziowie przysięgli zajęli z powrotem miejsca, głęboka cisza zapanowała. W wyroku zaznaczono okoliczności łagodzące, a trybunał skazał podsądnych na całe życie do ciężkich robót.

Wyrok ten był poniekąd niespodzianką dla publiczności, spodziewano się skazania na śmierć, z tego też po-

wodu tu i owdzie odezwały się głosy niezadowolenia, niektórzy nawet gwizdali, jak na przedstawieniu w teatrze.

W całem Rouen mówiono owego wieczoru tylko o tej sprawie i o wyroku, dopełniając go najrozmaitszemi komentarzami. Wyszukiwano najrozmaitsze powody, dla których sąd znalazł się pobłażliwie.

A jednak z całego zachowania się sędziów widać było, iż postępują bezstronnie. Być może, iż sędziowie przysięgli uznali okoliczności łagodzące pod wrażeniem owej chwili, która zapanowała w sali w czasie zeznania Jakóba.

Wyszedłszy z pałacu sprawiedliwości, Jakób spotkał Filomenę, która również przybyła do Rouen jako świadek.

Zaczęła z nim rozmawiać, dając mu do zrozumienia, że chętnie wstrzymałaby się z wyjazdem przez noc do jutra, gdyby i on chciał zostać.

Jakób miał służbę nazajutrz, zgodził się więc, iż zje z nią razem obiad w oberży w której, jak opowiadał w sądzie, spał w nocy zabójstwa Seweryny, ale przez noc zostać nie może, gdyż musi wyjechać przed północą, aby zrana być już w Paryżu.

— Czy wiesz? — mówiła Filomena, idąc z nim pod rękę ku oberży — przysięgłabym, że przed chwilą przed gmachem sądowym, widziałam jednego z naszych znajomych?

— Kogo?

— Pecqueux.

— To być nie może.

— Ależ tak, zaręczam ci, to on był z pewnością, chociaż jeszcze onegdaj zapewnił mnie, że niema najmniej-

szego zamiaru wstępować do Rouen, że nieciekawy jest wcale tej sprawy. Wychodzę z sądu i wyraźnie ujrzałam twarz jego; spostrzegłszy mnie, wpadł prędko pomiędzy tłum ludzi i zniknął mi z oczu.

Jakób wzruszył ramionami.

— To niepodobieństwo. Pecqueux siedzi w Paryżu, kontent z wolnego dnia, jaki mu się trafił przypadkowo, z powodu mojego urlopu.

— A zresztą, może mnie się tak tylko przywidziało. W każdym razie nie trzeba mu zbyt dowierzać. Gdy wpadnie w wściekłość, staje się strasznem zwierzęciem.

I przyciskając się bardziej do jego boku, dodała:

— A znasz tego, co idzie krok w krok za nami, od dłuższego już czasu?

Jakób obejrzał się.

— A... nie obawiaj się... znam go; ma zapewne do mnie jaki interes.

Był to Misard, który rzeczywiście już od rogu ulicy Żydowskiej szedł za Jakóbem w pewnem oddaleniu.

I on także wezwany był na świadka i składał zeznania, zaspany jak zawsze. Czekał na Jakóba i kręcił się koło niego, nie mogąc się zdobyć na zapytanie, które widocznie miał na ustach.

Gdy Jakób z Filomeną weszli do oberży, i on podążył za niemi i kazał sobie podać szklankę wina.

— A!.. Misard!.. Cóż słychać? — zawołał Jakób.— Jakże tam żona?.. zdrowa?.. co?!.

— Tak... tak... dziękuję... zdrowa — bąkał dróżnik. — Ładnie mnie urządziła... kanalia!.. Ja to wam opowiadałem już dawniej?.. prawda?..

Jakóba rozweseliło wspomnienie tej historyi. Ducloux, zezowata, dawna służąca, którą Misard przyjął jako dozorczynię baryery, spostrzegła zaraz, że stary szuka skarbu, zakopanego gdzieś przez nieboszczkę.

Przyszła jej myśl do głowy skorzystać z tego i zmusić go, aby się z nią ożenił. Pół śmiechem, pół seryo dała mu do zrozumienia, że znalazła to, czego szuka.

Zdawało się, iż Misard w pierwszej chwili ją udusi. Później, bojąc się, aby i ta nie schowała skarbu jak nieboszczka, stał się dla niej łagodnym, ugrzecznionym. Ale ona nieczułą była na wszelkie grzeczności. Nie pozwoliła się nawet dotknąć; nie, nie, gdy zostanie jego żoną, odda mu wszystko i skarb i siebie.

Misard, nie widząc innego sposobu, poślubił ją a ona wyśmiewała go jak głupca, który wierzy wszystkiemu, co mu kto powie.

Najciekawszem jednak z tej historyi, że i ona po ślubie została jakby dotknięta tą gorączką poszukiwania i wraz z Misardem przekopali z wściekłością prawie całą ziemię w obrębie kilkudziesięciu kroków od mieszkania.

A!.. te tysiąc franków... Ale oni je znajdą, znajdą z pewnością, zwłaszcza teraz, gdy szukają we dwoje.

— Ale dotąd nic? — zapytał Jakób ironicznie. — Widać że i Ducloux niema szczęścia.

Misard wpatrzył się w niego przez chwilę, wreszcie rzekł:

— Ty wiesz, gdzie one są?.. prawda?.. powiedz mi, proszę...

Jakób się rozgniewał.

— A zkądże ja mam wiedzieć... Ciotka Phasia mi ich przecież nie dała!.. A może wam się zdaje, że je ukradłem?..

— A.. nie!.. wiem, żeś ich nie zabrał, ani też ona ci ich nie dała... Tylko widzisz, ja już jestem chory z tego wszystkiego... gdybyś wiedział, gdzie one są, mógłbyś mi uratować życie...

— A dajcież mi święty spokój... Proście Boga, żebym za dużo nie powiedział .. przypomnijcie sobie puszkę z solą...

Misard wciąż patrzył na Jakóba; nagle myśl mu błysnęła.

— Puszkę z solą?.. to prawda.. Pod szufladą... tak... tam jeszcze nie szukałem.

Zapłacił czemprędzej za wino i pobiegł na dworzec, chcąc zdążyć jeszcze do pociągu, odchodzącego o siódmej minut piętnaście. Tak śpieszno mu było do tego domu, gdzie znów szukać będzie... bez końca.

Wieczorem, po obiedzie, Filomena prosiła Jakóba, aby z nią przeszedł się trochę ku wsi poblizkiej, zanim pojedzie pociągiem o dwunastej.

Noc była ciężka, ciemna, duszna; na niebie nie było widać ni gwiazd, ni księżyca.

Filomena obejrzała się kilka razy za siebie, zdawało jej się, iż ktoś idzie za nimi, nikogo jednak nie dojrzała. Zresztą tak ciemno było dokoła, że gdyby nawet szedł kto za nimi, nie mogliby go ujrzeć.

Na Jakóbie ta noc duszna, ciężka, wywierała dziwne wrażenie. Zdawało mu się iż od czasu zabicia Seweryny uspokoił się zupełnie, powrócił do równowagi, a dziś od

pewnego czasu uczuwał ciężar jakiś tłoczący piersi jego, Czyżby to wpływ był powietrza?

Za każdym razem ilekroć Filomena dotknęła go ręką czuł, iż krew nabiega mu do głowy, a jednak chciałby być blizko niej, chciał uścisnąć ją i zdusić w tym uścisku.

To dziwne... myślał... przecież był już wyleczony ze swej dawnej namiętności. Zresztą nie po raz pierwszy znajduje się obok tej kobiety i nigdy podobne wrażenia w nim się nie budziły. Zaczął się obawiać.

Szli pod rękę; przyszła mu myśl, iż najlepiej zrobi, jeśli nie mówiąc nic, wysunie ramię i ucieknie...

A!.. cóż znowu. Gdyby nawet miała w nim się zbudzić dawna żądza, to przecież noc ciemna zakrywa jej twarz, jej szyję, nie mógłby dojrzeć ciała obnażonego, a wiedział z doświadczenia, iż dotąd może wolę utrzymać na wodzy, dopóki nie dojrzy miejsca, w któreby uderzył.

Przechodzili koło trawnika. Filomena skarżyła się, iż jest zmęczoną, chciała odpocząć. I Jakób także był zmęczony; usiedli więc oboje. Filomena rzuciła na trawnik swą zarzutkę i położyła się na niej.

Jakób nie widział jej, lecz czuł ją. Wrażenie, jakie uczuwał od chwil kilku potęgowało się niezwykle szybko i dochodziło do szalonych rozmiarów. Mimowolnym ruchem zaczął szukać w trawie kamienia lub czegoś ciężkiego, czemby mógł ją uderzyć, roztrzaskać jej głowę.

Naraz ocknął się... straszny obraz Seweryny umierającej przemknął mu przed oczyma. Zerwał się szybko i popędził jak wiatr, sam nie wiedząc dokąd. Uciekał przed własnemi myślami.

Za sobą usłyszał tylko głos męzki, przekleństwa i odgłos uderzeń po twarzy.

— Ty, łajdaczko!.. ty, szelmo!.. czekałem aż do ostatka!.. chciałem się na pewno przekonać...

— To nieprawda .. puszczaj mnie!..

— A... nieprawda?.. nieprawda?.. jak gdybym nie widział na własne oczy... Ale jeżeli nieprawda, to dlaczegoż on ucieka?.. Niech ucieka... wiem ja, co to za jeden... Dostanę ja go w swoje ręce... Nieprawda?.. Masz!.. Masz!.. No, powiedz jeszcze raz, że to nieprawda!..

Jakób pędził co siły, nie z obawy przed Pecqueux, którego głos poznał, lecz uciekał przed bólem, co go doprowadzał do szaleństwa.

Jakto? jedno morderstwo nie wystarcza?.. Krew Seweryny nie uspokoiła go jeszcze?.. a jednak mógłby dziś rano jeszcze przysiądz, przed samym sobą, iż jest zupełnie spokojnym...

Więc to się zaczyna nanowo... Druga... a później trzecia... i jeszcze... i jeszcze... i ciągle?.. I co kilka tygodni, chcąc niepokoić krew swoją, będzie musiał zabijać... Teraz to nawet już gorzej... nie widział jej przecież, czuł tylko jej obecność przy sobie... I cóż to za życie przed nim się otwiera?.. to noc ciemna, straszna... to rozpacz bez granic, przed którą uciec nie można.

Minęło dni kilka. Jakób powrócił do służby, lecz unikał kolegów, stał się odludkiem, bojaźliwym jak dawniej...

Wojna została wypowiedzianą, po kilku burzliwych posiedzeniach w izbie; na granicy stoczono nawet już jakąś

potyczkę, podobno szczęśliwą, tak przynajmniej mówiono. Od tygodnia przewożono wojsko i dostarczano żywności całemi pociągami, służba upadała z wysiłku. Ruch regularny na kolei ustał. Wysyłano pociągi nadzwyczajne, jak można najczęściej. Pociągi nadzwyczajne wywoływały opóźniania pociągów osobowych i pocztowych. Ilość służby była za małą, pomimo że z południa przysłano wszystkich najzdolniejszych maszynistów, aby tylko jaknajprędzej skoncentrować armię na wschodniej granicy.

Pewnego wieczora Jakób dostał nagle rozkaz, iż zamiast pociągu pośpiesznego, który zwykle prowadził, pojedzie z pociągiem nadzwyczajnym, o ośmnastu wagonach, naładowanych żołnierzami.

Pecqueux przyszedł tego wieczora do magazynu bardziej pijany niż zwykle. Nazajutrz po owej nocy, w której schwycił Filomenę i Jakóba, zajął zwykłe stanowisko palacza, na machinie N.608, wraz ze swym maszynistą.

Od tego czasu nie wspomniał nic o owem spotkaniu, ale wogóle nie odzywał się ani słowem do Jakóba, a nawet starał się uniknąć jego wzroku.

Jakób jednak czuł dobrze, iż Pecqueux staje się coraz bardziej nieposłusznym, że każdy rozkaz wydany przyjmuje niechętnie i spełnia, mrucząc jakieś przekleństwa niewyraźne.

Po dwa dni nie mówili do siebie ani słowa. Ów kawałek blachy żelaznej, ów mostek mały ruchomy, łączący tender z machiną, na którym tyle czasu spędzili w zgodzie i jedności, był teraz miejscem ciasnem, niebezpiecznem. Nienawiść ich wzajemna wzrastała z każdą chwilą. Jechać w podobnem usposobieniu na tem małem kawałku

żelaza, zkąd spaść można pod koła pociągu przy najmniejszem wstrząśnieniu, nie należało do przyjemności.

Owego wieczora, gdy wyruszyć mieli z Hawru, Jakób, ujrzawszy palacza pijanego, bardziej mu jeszcze niedowierzał, wiedział bowiem, iż po trzeźwemu nie zdolny był do awantury, lecz, wypiwszy kilka kieliszków, mógłby nawet zabić bez wahania.

Pociąg miał wyjechać o szóstej, spóźnił się jednak. Noc już była ciemna, gdy nareszcie naładowano wagony żołnierzami, pakując ich jak trzodę.

W wagonach towarowych poprzybijano tylko deski zamiast ławek i mieszczono w nich, ile tylko zmieścić się dało. Jedni siedzieli na kolanach drugim, inni stali ściśnięci, nie mogąc nawet ruszyć ramionami.

Po przybyciu do Paryża, mieli przesiąść się na inny pociąg, który miał ich przewieźć nad Ren. Już teraz zmordowani byli tą podróżą niezbyt wygodną, jechali jednak wesoło, śpiewając brutalne piosnki, krzycząc, śmiejąc się i wymyślając sobie wzajemnie.

Na stacyi rozdano pomiędzy nich przed wyjazdem znaczną ilość wódki. To podnosiło jeszcze bardziej wrodzoną ich żywość.

Jakób, wyjechawszy ze stacyi, spojrzał na niebo. Chmura ciężka zakryła gwiazdy i zapowiadała burzę. Zanosiło się na noc ciemną i duszną, gdyż najmniejszy wietrzyk nie poruszał powietrza. Nawet wiatr, wywołany pędem pociągu, zazwyczaj ostry i świeży, tym razem był gorący. Na dalekim czarnym widnokręgu dostrzedz można było jedynie światełko sygnałowe.

Jakób powiększył ciśnienie, aby dostać się szybko na znaczne wzgórze Harfleur pod Saint-Romain.

Pomimo najrozmaitszych doświadczeń i wysiłków, jakie czynił od wielu już tygodni z machiną N. 608, nie był jednak dotąd jej pewny.

Machina ta nowa, pełna grymasów i wybryków, których na każdym kroku strzedz się musiał, zwłaszcza tej nocy, wydawała mu się bardziej podejrzaną, grymasiła bowiem bardziej niż zwykle, gotowa wybuchnąć, gdyby w jej piec wrzucono kilka kawałków węgla więcej, niż potrzeba.

Dlatego też nie zdejmując ręki z korby, pilnował ogniska i coraz bardziej niepokoił się niewyraźną miną i ruchami swego palacza.

Mała lampka, oświecająca poziom wody, rzucała cokolwiek światła na platformę, drzwiczki zaś pieca, rozpalone do czerwoności, oświecały ruchomy mostek kolorem fioletowym.

Pecqueux schylał się kilka razy ku ziemi, jakby szukał czegoś, a Jakóbowi zdawało się, iż czuje na swych nogach dotknięcie ręki. Pecqueux miał widoczny zamiar schwycenia go i zrzucenia pod koła pociągu. A może mu się tylko tak zdawało, może to zwykły objaw pijaństwa.

Pecqueux przykląkł i rozbijał z zawziętością węgle dużym młotkiem, mrucząc coś przytem pod nosem.

Co chwilę otwierał ognisko i dokładał węgla w ilości nadmiernej.

— Dosyć! — krzyknął Jakób.

Pecqueux udał, że nie rozumie; i dalej nakładał łopatę po łopacie, a gdy nareszcie Jakób zniecierpliwiony,

schwycił go za rękę, podniósł się i grożąc pięścią, zawołał:

— Nie ruszaj!.. bo zabiję!.. podoba mi się jechać tak prędko...

Znalazł wreszcie powód do sprzeczki, której tak długo szukał.

Pociąg tymczasem biegł szybko po równinie pomiędzy Bolbec i Motteville.

Miał jechać do Paryża, zatrzymując się jedynie w kilku punktach, dla nabrania wody. Ośmnaście wagonów, przeładowanych ludźmi pijanymi przebiegało, wydając łoskot monotonny.

A ci ludzie, przeznaczeni na rzeź wojenną, śpiewali, krzyczeli na zabój, głusząc swym krzykiem łoskot pociągu.

Jakób zamknął nogą drzwiczki ogniska.

— Za dużo ognia! — zawołał, powstrzymując się jednak od wybuchu — śpij... jeśli jesteś pijany.

Ale Pecqueux otworzył piec natychmiast i znów wrzucił łopatę węgla, jak gdyby gwałtem chciał spowodować eksplozyę kotła.

Jakób schylił się sam, aby, opuściwszy popielnik, zmniejszyć siłę przeciągu. Pecqueux w tej chwili chwycił go w pół i całym wysiłkiem chciał zrzucić z platformy, Jakób jednak chwycił się za brzeg tendra i oparł się całą siłą.

— Łotrze!.. chcesz mnie wyrzucić, abyś mógł potem powiedzieć, iż sam spadłem z machiny.

I pchnął palacza tak, iż ten upadł na platformę, lecz w upadku pociągnął za sobą i Jakóba.

Na chwiejącym się mostku, zaczęli walczyć o śmierć lub życie. Jeden drugiego chciał wyrzucić przez wązki otwór, zastawiony jedynie sztabą żelaza. Nie przyszło im to jednak zbyt łatwo.

A machina, napalona do najwyższego stopnia, pędziła jak wiatr... wciąż pędziła.

Minęli Barentin, pociąg wbiegł już w tunel Malaunay a oni wciąż tarzali się po platformie, dotykając głowami stosów węgla i rezerwoaru z wodą na tendrze, i unikając drzwiczek ogniska rozpalonych do czerwoności, które parzyły w nogi, ilekroć który z nich je wyciągnął.

Jakób przez chwilę miał nadzieję, iż będzie mógł podnieść się, zamknąć regulator i zawołać o pomoc, aby go uwolniono od tego waryata, szalonego w skutek wódki i zazdrości. Czuł jednak, iż siły go opuszczają, czuł, że nie da rady palaczowi i chwilami przechodził go dreszcz, na myśl, iż lada chwilę może wypaść z machiny. Wydobył jednak ostatek sił i zbliżył rękę ku regulatorowi.

Pecqueux zrozumiał ten manewr. Podniósł się, chwycił Jakóba w pół jak dziecko i podniósł go w górę.

— A!.. chcesz zatrzymać?.. to ci się nie uda... pierwej sam wylecisz...

A machina pędziła... pędziła... pociąg wybiegł z tunelu z wielkim łoskotem i biegł dalej wśród pól pustych i nocy ciemnej.

Stacyę Malaunay minęli tak szybko, że pomocnik zawiadowcy, stojący na peronie, nawet nie dojrzał tych dwóch ludzi, chcących zabić jeden drugiego.

Nareszcie i Pecqueux wytężył swe siły i przerzucił Jakóba za mostek. Ten, czując próżnię pod nogami, mimowolnym ruchem schwycił za szyję palacza tak silnie, że ten w jednej chwili stracił przytomność, przechylił się, i wraz z maszynistą runął pod koła pociągu.

Dwa krzyki krótkie, przeraźliwe, odezwały się i zamilkły w tej chwili, wśród łoskotu kół i śpiewu pijanych żołnierzy.

W kilka godzin później znaleziono ich ciała pokaleczone, bez głów, bez nóg, jedynie tułowia, ściskające się w śmiertelnym uścisku.

A machina, pozbawiona teraz wszelkiego kierownictwa, pędziła wciąż bez wytchnienia. Kapryśna, dziwaczna, puściła teraz wodze swej fantazyi jak klacz nieujeżdżona, gdy wyrwie się z rąk dozorcy i pędzi w szalonym galopie po polach pustych. W kotle było pełno wody, węgiel świeżo narzucony rozżarzył się i w czasie pierwsze, półgodziny ciśnienie doszło do szalonej wysokości, pociąg biegł z szybkością przerażającą. Nadkonduktor zmęczony jak cała służba kolejowa, zdrzemnął się widocznie. Żołnierze, coraz bardziej pijani, cieszyli się, że jadą tak prędko i coraz to głośniej śpiewali, krzyczeli.

Przez Maronne przebiegli jak błyskawica. Z machiny nie odezwał się świst przy zbliżaniu się do sygnałów, ani przy mijaniu stacyi. Pociąg biegł jak biegnie zwierzę rozszalałe, opuściwszy głowę i nie bacząc na żadne przeszkody.

W Rouen miano zaczerpnąć wody. Przerażenie opanowało całą służbę stacyjną, gdy zobaczyli ten pociąg sza-

lony, tę machinę bez maszynisty i palacza, te wagony towarowe, naładowane ludźmi wyjącymi piosnki patryotyczne. Urzędnicy stali jak oniemieli.

Po chwili rozległ się krzyk ogólny. Ten pociąg bez kierownika nie uchroni się od rozbicia na stacyi w Lotteville, gdzie zawsze manewruje pełno machin, gdzie krzyżują się najrozmaitsze pociągi.

Rzucono się do telegrafu, uprzedzano możliwe niebezpieczeństwo. Na następnej stacyi zdążono usunąć na czas jeszcze pociąg towarowy, znajdujący się właśnie na głównym torze. Na następnych stacyach zdaleka słychać już było łoskot nadjeżdżającego pociągu w szalonym pędzie, którego niczem nie można było powstrzymać. W Lotteville uprzątnięto tor główny. I znów pociąg przebiegł jak piorun wśród tysiąca przeszkód, nie dotknąwszy żadnej i znów pogrążył się w ciemnościach nocy, a jego łoskot zniknął w oddali.

Zatelegrafowano do wszystkich stacyj na całej linii.

Wszystkie serca biły gwałtownie z przerażenia, słysząc o owym pociągu, o owem zjawisku, które ukazało się w Rouen i Sotteville. Wszyscy drżeli z obawy. Pociąg pośpieszny, znajdujący się na przodzie, zostanie bezwątpienia dognany i rozbity. I ten jednak zdążono na czas zawiadomić i usunąć na poboczną linię. W Oissel machina w szalonym pędzie omal nie wpadła na pociąg robotniczy.

Minęła i Pont-de-l'Arche, nie zwalniając zupełnie, i znowu znikła wśród pól pustych i pędziła... pędziła wciąż wśród nocy ciemnej, nie wiedząc gdzie i dokąd.

Co ją obchodziły ofiary, które zgnieść może na swej drodze!

Pędziła wciąż, nie bacząc na krew przelaną. Bez przewodnika, wśród ciemności, jak zwierzę ślepe i głuche, które wyrwało się z objęć śmierci, pędziła, pędziła wciąż, ciągnąc za sobą ośmnaście wagonów, przeładowanych żerem armatnim, żołnierzami, oszołomionymi ze zmęczenia, pijanymi i śpiewającymi na całe gardło.

KONIEC.